



DZIEŁA ZBIOROWE
SEWERYNA
GOSZCZYŃSKIEGO.

DZIEŁA ZBIOROWE

SEWERYNA
GOSZCZYŃSKIEGO

WYDAŁ
ZYGMUNT WASILEWSKI

NAKŁAD KSIĘGARNI H. ALTENBERGA
WE LWOWIE.

DZIEŁA ZBIOROWE

SEWERYNA
GOSZCZYŃSKIEGO

TOM III

PODRÓŻE I ROZPRAWY LITERACKIE

WYDAŁ
ZYGMUNT WASILEWSKI

NAKŁAD KSIĘGARNI H. ALTENBERGA
WE LWOWIE.

Do czytelnia
tylko w Czytelnia



czyt. 884-1

47922

884-1 + 884-3 + 884-92 + 884(031) Ogólna

Biblioteka Pedagogiczna w Łodzi
nr inw.: K - 47922



BGZs 47922

CZCIONKAMI DRUKARNI NARODOWEJ
W KRAKOWIE.

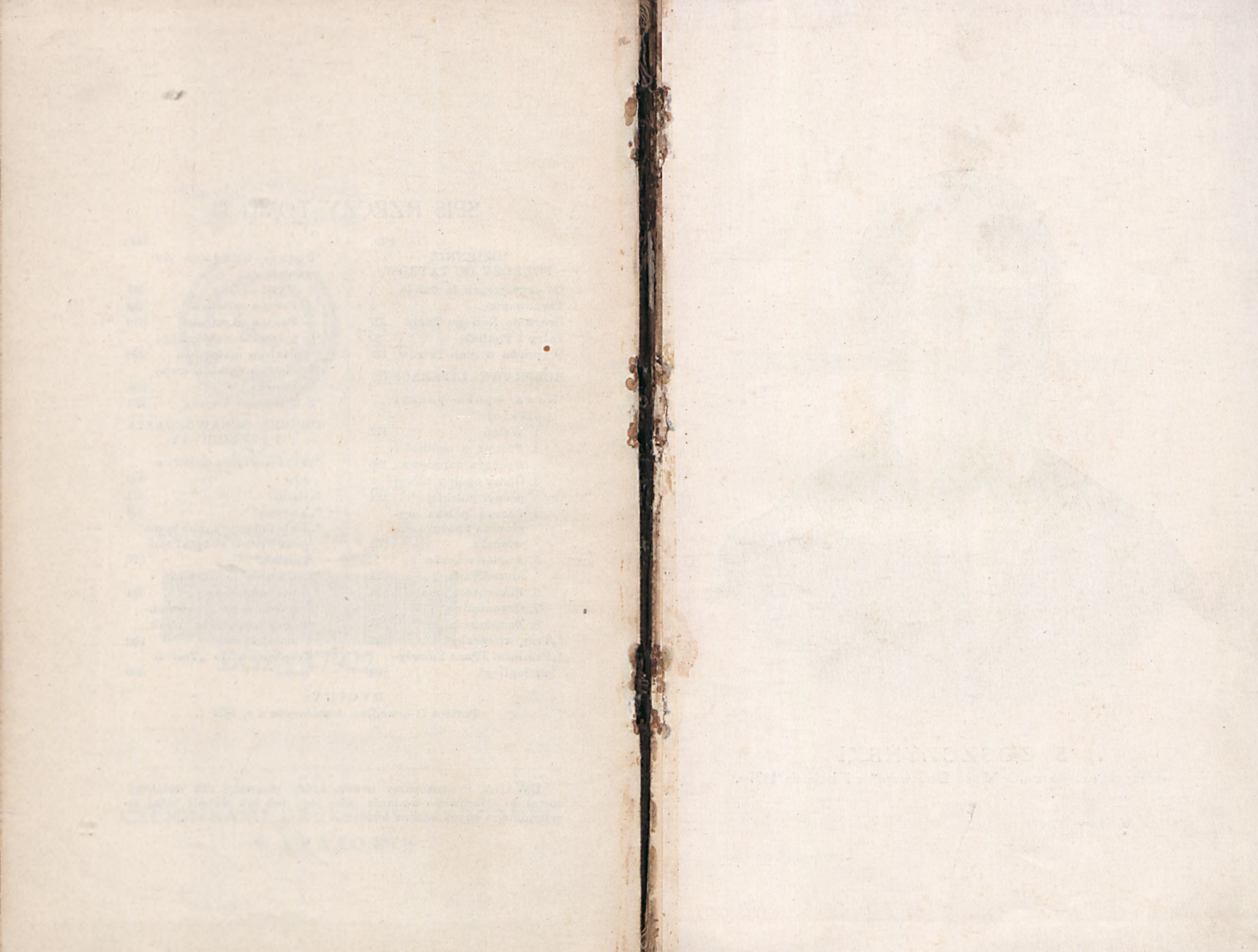
SPIS RZECZY TOMU III.

	Str.		Str.
*DZIENNIK		*Poezye Bohdana Za-	
PODRÓŻY DO TATRÓW.		leskiego:	
Do czytających to dzieło	3	Myśli ogólne	287
Tarnowskie	5	Poezya religijna	293
Droga do Nowego Targu	21	Poezya ukraińska	312
Tatry i Podhale	29	*O potrzebie narodowego	
Wyprawa w głąb Tatrów	118	polskiego malarstwa	323
ROZPRAWY LITERACKIE.		*Stanowisko poetów wspo-	
*Nowa epoka poezyi		łeczności	335
polskiej:		*Z dziennika artysty	351
1. Wstęp	178	DROBNE SPRAWOZDANIA	
2. Poezya w ogólności		I PRZEDMOWY	
i poezya narodowa	180	*Wyprawa Igora na Połow-	
3. Obraz ogólny nowej		ców	
poezyi polskiej	191	*„Giaur“	371
4. Poezya polska ory-		*„Korsarz“	374
ginalna i poezya sło-		*„De la Pologne sur les bords	
wiańska	201	de la Vistule et dans l’emi-	
5. Angielszczyzna i		gration“	376
niemczyzna	211	*Kilka słów o Ukrainie i	
6. Francuszczyzna	224	rzezi humańskiej	381
7. Orientalizm	230	*Przedmowa do „Powszech-	
8. Zamknięcie	233	negu pamiętnika nauk	
*„Trzy wieszczby“	238	i umiejętności“	382
*„Pamiętki J. Pana Sewery-		*Przedmowa do „Trzech	
na Soplicy“	264	strun“	389

RYCINY:

Portret G-o według drzeworytu z r. 1871.

UWAGA. * oznaczamy utwór, który pierwszy raz wcielony
został do zbiorowego wydania pism G-o, lub też wszedł tutaj ze
zmienionym przez autora tekstem.





S. GOSZCZYŃSKI

według drzeworytu z „Opiekuna Domowego” z 7 kwietnia 1871 r.

DZIENNIK PODRÓŻY DO TATRÓW.

DO CZYTAJĄCYCH TO DZIEŁO.

(OD AUTORA).

Autor tej podróży ogłasza ją głównie dlatego, że chwila jego życia, schwyciona w tem dziele, jest jedną z tych, w których żył wszystkimi swojemi władzami, życiem pełniejszym, niż kiedykolwiek.

Podróż ta miała miejsce w roku 1832, a ogłasza się dziś dopiero, niemal we 20 lat.¹ Ogłoszenie to może się wydawać za późne, niewłaściwe. Autor jednak nie cofa się przed niem. Sądzi, że ani przedmiot ani wykonanie jego dzieła nie tracą na przewłocze. Opisuje on góry i lud, który je zamieszkuje, a które w tym przeciągu czasu się nie zmieniły.

Czytelnik nie znajdzie w tem dziełku skarbów umiejętności albo nauki; autor puścił się z małym zapasem wiedzy, z mniejszym jeszcze naukowości, a bez żadnej książki, nawet bez barometru. Nie robił on tej podróży ani jako geolog, ani jako geograf, ani jako archeolog; puścił się obyczajem żebrzących śpiewaków swojej krainy, z lirą swojego ducha, z nią tylko; do niej nastroił swój rozum, swoje zmysły, wszystkie swoje władze — i to tylko zachował, czem mu ten instrument zagrał, potracony od ziemi, którą przeszedł, i od jej ducha. Jakkolwiek nieobojętnem jest autorowi rozszerzenie sfery naukowych wiadomości, pomnożenie prawdziwych pojęć w tej sferze, zajmował się jednak najgłówniej tem, do czego czuł się najzdolniejszym: pisał wiele z serca i dla serca, wiele w ocknieniu się głębszego swego czucia dla obudzenia głębszego czu-

¹⁾ „Dziennik podróży“ opracowany został w r. 1853 i w tym roku ukazał się w druku w wydaniu petersburskiem B. M. Wolffa pt. „Dziennik podróży do Tatrów przez autora Sobótki“. Okoliczność ta wyjaśnia, dlaczego znalazło się w niem zabarwienie religijne, widoczne choćby z tej przedmowy. Widoczna przytem w „Dzienniku“ dyskretyca polityczna z powodu warunków cenzuralnych.

cia w innych — uprzedza przeto, że w jego notatach znajduje się wiele miejsc, które będą pojętne, będą miały wartość jedynie dla ludzi, szukających we wszystkim zasilku żywotnego dla swojego serca, dla swojego czucia głębszego, wyższego i nie gardzących nim, skoro go znajdują, choćby był najskromniejszy. Takie są ustępy w tem dziele, odnoszące się do pewnych osób, do pewnych chwil, do pewnych miejsc, i dlatego autor zostawia je nieprzemazane. Co tu podaje, to wszystko winien miłości pewnych osób, przyjaznym chwilom, natchnieniom dobrym pewnych miejsc; byłby niewdzięczny, gdyby im nie złożył za to w ofierze owocu miłości z pola ich miłości.

Autor nie daje tego dzieła za coś zupełnego, za obraz, którego przedmiot byłby wykonczony we wszystkich swoich częściach, we wszystkich szczegółach; wszakże pochlebia sobie, że nie pominął nic obojętnie, co kraj opisywany i mieszkańców jego mogło przedstawić ze strony najbardziej zajmującej, najgodniejszej uwagi — że następnie dotknął tego wszystkiego w sposób może niekiedy za ogólny, ale nigdy lekki. Tak sobie śmie pochlebiać, a przeto i z tego względu odważa się na niniejsze ogłoszenie.

Wyjątki z tej przejażdżki umieszczane były przed laty kilkunastu w jednym z dzienników krakowskich,¹⁾ i tak, jak były ułożone dla ogłoszenia dziennikarskiego. Największa część jej zostawała w notatach, w formie dziennika; w tej formie i z tych notatek dopełnia autor po części niniejsze ogłoszenie — po części, bo największa, a może najważniejsza część musi jeszcze pozostać zanotowana tylko w duszy i, jeżeli będzie mogła wychodzić na jaw kiedykolwiek, to najpewniej pod innemi formami, o ile Bóg da autorowi natchnienia i czas po temu.

¹⁾ W „Powszechnym Pamiętniku naukowym i umiejętności“, Kraków 1835, tom I, str. 51 — 264.

TARNOWSKIE.

WIEŚ MIKOŁAJOWICE.

4 kwietnia 1832.

Od pięciu miesięcy przebywam w kraju, do którego z dzieciństwa tęskniłem. Trzy lata temu przeleciałem go eilwagenem;¹⁾ nie spodziewałem się wtedy, że za lat trzy będę tu, jak w domu. Myślę nieraz o tych dziwnych kolejach losu... Bądź co bądź. dziękuję losowi, że mię tu rzucił. Nie! Nie losowi — Bogu dziękuję. Los człowieka jest dziełem człowieka, jest koleją, w którą człowiek wchodzi własną wolą, jest skutkiem jego woli, mniej lub więcej dalszym, niekiedy bardzo dalekim, ale zawsze skutkiem, jest fatalizmem — a wtedy Bóg tylko miłosierny łagodzi go, zmienia zły na dobry. Znajduję się w tym przypadku i dlatego dziękuję Bogu. Od kilku miesięcy jestem, jak w porcie przed burzą strasliwą, co tam na wysokości świata szaleje. Port niewielki, niezupełnie bezpieczny, ale przynajmniej do pewnego czasu bezpieczny; mogę odejść, wypocząć, nabrać sił nowych na przypadek nowej burzy. Tak mi się wydaje ta wioska, ten domek, gdzie od jakiegoś czasu przebywam. Miło mi zatrzymywać moję myśl na nich.

Kraj ten jest bardzo zajmujący wszechstronnie, jak w ogólności cała ziemia, osiadła ludem krakowskim. Nadto wiąże mnie z nim wspomnienia z moich lat najmłodszych. Już w dzieciństwie¹⁾ znałem, kochałem ludzi z tej okolicy, oddzielony od niej stu milami. Tarnów był dla mnie jakby sąsiedniem miasteczkiem; pragnąłem go zobaczyć, miałem pewność, że zobaczę. Było to przecucie? Było to ostrzeżenie? Było to powolne, odległe oswajanie z po-

¹⁾ Mowa o podróży z Grabowskim do Wiednia w r. 1828.

wietrzem, którem kiedyś trzeba będzie oddychać, z życiem, wśród którego kiedyś trzeba będzie żyć?... To pewna, że, chociaż po raz pierwszy w tym kraju, nie znalazłem się obcym i coraz mniej się czuję. Widzę miejsca, których obraz rysował się już od dawna w myśli — ze słyszenia; słyszę mowę, zasłyszana już kiedyś; spotykam ludzi, kiedyś zajrzanych — serca, kiedyś zaczone. Oto, co mi wiele upieknie i umila mój dzisiejszy pobyt, bo pozór nie ma nic takiego, coby nadzwyczajnie porywało.

Wieś sama Mikołajowice jest niewielka i podobna do wszystkich wsi tutejszych, których nie można postawić za wzór czystości i porządku, a tem mniej okazałości. Leży niedaleko Dunajca, nad starem jego korytem, wśród płaszczyn ogromnych i zrównanych pod strzechulec. Chaty rozrzucone w nieładzie fantastycznym: każda patrzy w inną stronę, jak żeby dąsała się na swoje sąsiadki. Takim chatkom ulic nie potrzeba, dlatego też niema ich tutaj. Zato snuje się między niemi droga, dosyć sucha w lecie, oprócz kilku kałuż, które ją przecinają, niby strumyki. Liczne wierzby oceniają wioskę: tu uszykowane szeregami, tam zwinięte w gaik, ale co roku szpeczone podkrzesywaniem na potrzeby gospodarskie: co się tworzy wierzchołka, tym mało która popyszczyć się może. Nie zbywa jednak na sadach — i tu dopiero są drzewa wielkie i ładne; owe to sady osłaniają niepowabną srogość wioski, ich to troskliwości macierzyńskiej winna wieś, że patrzącemu z zewnątrz przedstawia wśród płaszczyny, nagiej w tem miejscu, przedmiot dosyć przyjemny dla oka.

Okolice nie jest ani nieładna, ani martwa. Widok na wzgórze z jednej strony, na lasy ogromne z drugiej, jest i zajmujący i rozmaity. Wsie dokoła nie obszerne, ale liczne i gęste. Miasteczko Wojnicz leży o pół godziny drogi od Mikołajowic. Jeszcze bliżej przechodzi wielki gościniec z Tarnowa do Podgórza krakowskiego, najdłuższy i najgłówniejszy w Galicji. Ruch jego niemały ożywia tę okolicę. Dla przechadzki mam brzeg Dunajca: dla przechadzki i oka wyniosłe wzgórze na drugim jego brzegu — a jeszcze dalej, na prawo, wyższą od tych wzgórz mam górę, która zowie się Panięńską. Nasycony wido-

kami wiejskimi, ile razy zapotrzebuję powietrza i życia miejskiego, mam Tarnów o lekkie półtóry mili.

Wszakże wolę, niż to wszystko, domek, w którym dziś mieszkam. Ustronny, niewielki, niepozorny, poprostu wielka chata, najpierwsza we wsi i razem najporządniejsza; drewniana, pobielona, pokryta snopkami, nie zawstydza innych mieszkań wiejskich. Tylne strona domu kupi w sobie cały nieporządek domowego gospodarstwa: tam kurniki, chlewki, obory i wszystka ich nieczystość, zlewająca się w jezioro, zwane gnojanką, a które w tym kraju jest koniecznem *utile dulci* każdej zagrody. Główny graniczy z ogrodem, który osłania prawy bok domu, a jest zarazem warzywnym i owocowym; na jego murawie, pod jego drzewami i ja już nieraz odpoczywałem. Pod oknami przednimi ogródek kwiatowy, uzbrojony sztachetkami; są już tam róże i mojego sadzenia.¹ Ta czelna strona domu ma dwoje drzwi, dwa wchody, bo dom przedzielony jest izbą kuchenną na dwie dziedziny; w jednej mieści się sama moja opiekunka, właścicielka wsi, pani T...² ze swoją żeńską rodziną, na drugiej panuje syn jej młodszy a mój towarzysz i przyjaciel;³ tu jest i mój przybytek. Są to trzy pokoiki, tak niedawno przybudowane, że ściany wewnętrzne nie są nawet jeszcze pobielone, niejako umyślnie dla gości rychłych a niespodziewanych, mimo to wcale porządne i wesole. Drzewościan tak gładko obrobione, że nie razi nagością; szczeliny mchem zatkałe, a, co brakuje w ozdobości, to dopełnia świeżość budowy, jak u człowieka młodość pokrywa nieraz brak urody. Zresztą... dla mnie to konieczne; często obiegam te ściany spojrzeniem i widzę w nich nic więcej dla mnie, tylko rodzaj szalasu podróżnego, wystawionego na prędkę i na krótko.

I dlaczegoż to piszę? Dlaczego chcę zachować pamięć tych drobiazgów? Niemaż w tem własnej miłości? Nie — jest miłość, ale przez wdzięczność i dla tych miejsc, i dla ich właścicielki. Ona swoim duchem wszystko tu ożywia,

¹) Ob. wyżej wiersz „Przy sadzeniu róż“, str. 57.

²) Tetmajerowa.

³) Józef Tetmajer.

dobrocią umila, własną wartością podnosi. Ilem jej winien i w jaki sposób to się nie da wypowiedzieć. A choćbym i wypowiedział, innym byłoby to obojętne, a ona zapewne tego czytać nie będzie.

Pani T... jest już matką dwóch synów¹ i pięciu córek, a babką kilkorga wnucząt. Nadzwigała się więc niemało krzyżów tego życia i niemało lat cięży na niej; mimo to czerstwa i silna ciałem i umysłem. Sama dotąd zawiaduje majątkiem i daje sobie radę w trudnych wypadkach. Ale jest to jedna z mniejszych jej zalet; co zmusza czci ją i kochać — to przymioty kobiety i matki. Mało znam kobiet, któreby połączyły w tym stopniu tyle dobroci, łagodności, słodczy charakteru z energią poświęcenia, gdzie tego potrzeba — tyle miłości rodzinnego kółka z miłością dalszych — tyle swobody, żywości, wesołości z wiekiem lat tyłu — któreby, наконец, przw tak szczupłych środkach umiały robić tyle dobrego i tak ochotczo. Dopełniają matkę jej dzieci. Cztery córki,² mieszkające z nią, są podobne jej sercem i godne jej. Co do mnie osobiście, jak matka ich zastępuje mi moją matkę, tak one za siostry mi służą; kocham je też, jak moje siostry, a całą rodzinę, cały dom, jak własną rodzinę, jak dom własny.

ZAMIAR PODRÓŻY DO TATRÓW.

8 kwietnia 1832.

Jedną z korzyści mojego położenia obecnego jest ta, że będę miał sposobność zwiedzić Tatry. Starszy syn pani T...³ mieszka pod Nowym Targiem, bardzo blisko Tatrów. Dobry dla mnie, jak matka jego, ofiaruje mi ze swojej strony wszelkie ułatwienia do tej podróży: w tych dniach ma tu przybyć i zabrać mnie z sobą. Jestem temu bardzo rad; niczego dziś bardziej nie pragnę. Dotychczas nie mam wyobrażenia o górach. Co o nich słyszę, zaostza tylko ciekawość, ale jej nie zaspakaja. Widzę czasem Tatry z miejsc wyższych tej okolicy, ale je widzieć o mil kil-

¹) Leon i Józef.

²) Katarzyna, Helena, Wiktorya i Zofia.

³) Leon, w Łopusznej.

kanaście, słyszeć o nich choćby najdokładniejszą powieść, nie jest to samo, co postawić własną nogę wśród nich, zajrzeć im oko w oko. Jeszcze w dzieciństwie nasłuchiłem się o nich tyle od mojego ojca!

Dziwny pociąg rwał mię zawsze ku górcom, ku życiu w górach. W mojej szkolnej młodości nie było nic dla mnie przyjemniejszego, nic pożądańszego, jak wśród stepów ukraińskich napotkać lada skałę, drapać się po niej, przesiadywać na niej po całych godzinach, marzyć wielką część nocy marzeniem góralskiem. Nigdy nie zapomnę skalistych brzegów Tykicza, nigdy nie zapomnę jaskiń Zofiówki! Były mi one jakby szkołą góralskiego życia: tam zaprawiałem do gór i głowę i odwagę — tam myślałem wtajemniczałem się w świat rzeczywiście górski. Były to mniej, niż Pigmeje obok Tatrów — a ja wśród nich czułem się już innym. Nic tak nie wyzwałało, nie podnosiło mojej wyobraźni, jak choćby tylko myślenie o górach. Z niecierpliwością czekam dnia, który mię skieruje ku Tatom.

TARNÓW — WOJNICZ I OKOLICA.

10 kwietnia 1832.

Lada dzień opuszczę Tarnowskie i zapewne na długo. — Nie spodziewam się równie, choćbym powrócił, przepędzić tutaj tyle czasu, ile go już przepędziłem — dlatego te kilka słów o niem.

Miejsce to zowie się od dawna Tarnowskiem, dziś dlatego, że jest częścią obwodu tarnowskiego, czyli cyrkułu, dawniej, że stanowiło część majątności, objętych ogólną nazwą hrabstwa tarnowskiego. Tarnów był stolicą hrabstwa i główną włością sławnej kiedyś rodziny Tarnowskich; hrabstwo tarnowskie przeszło różnemi kolejami do rodziny Sanguszków, w których ręku pozostaje obecnie.

Tarnów należy do liczby porządniejszych miast w Galicyi, a celuje między miastami obwodowymi nawet w zachodniej Galicyi. Leży ono w położeniu korzystnem, bo na najgłówniejszym galicyjskim gościńcu. Przepływa pod niem Biała, która też wkrótce do Dunajcu wpada. Położony na lekkiej wyniosłości, Tarnów ma pozór dosyć we-

soly. Oprócz urzędów i władz, przywiązanych do każdego miasta obwodowego, jest tu jeszcze biskup łaciński. Zresztą niema nic, coby zasługiwało na szczególniejszą wzmiankę, oprócz kościoła katedralnego, gdzie jest kilka grobów, mających wartość historyczną. Pod tym względem najlepszy opis Tarnowa wyszedł pracą księdza Bałickiego, proboszcza z Lisiej Góry.

Tarnów od góry Ś. Marcina ozdobiony jest pałacem książąt Sanguszków i dosyć obszernym ogrodem. Całe to miejsce nazywa się Gumniska.

O mało nie ubliżyłem Tarnowu ważnem przypomnieniem Tarnów jest ojczyzną i mieszkaniem głośnego tu wyrabiacza fajek drewnianych, Kopla. Jego fajki, zwane „koplówki“, zasługują w istocie na głośność, jaką mają w sferze okolicznych fajczarzy. Zalecają się i materyałem wybornym i robotą gustowną; w trwałości nie wyrówna im żadna inna fajka. Zapewniają mi o tem wiadomym i właściwym sędziowie w tej rzeczy. Co do innych przymiotów, ja nawet mogę świadczyć, bo sam posiadam dwie koplówki, umyślnie dla mnie robione. To mi dało sposobność poznać szanownego Kopla; człowiek to prosty, skromny, zdaje się nie wiedzieć, jak jest sławny. Handel jego obszerny, bo co roku kilkaset fajek zamawiają do Wiednia.

Na bliższe przypatrzenie się zasługuje okolica Tarnowa, zwłaszcza jej część, widziana z tej tu strony Dunajca, z doliny, na której leży Wojnicz. Widok ten jest już w rodzaju wyższym od powszedniego; nadewszystko południowa jej strona, górzysta, objawia na pierwszy rzut oka, że jest już rodziną Karpat; rodzina drobna wprawdzie — i tak się ma do pnia swojego, jak my do naszych ojców przedpotopowych.

Okazałe garby rozmaitego kształtu, ogromu i kierunku, to nawpół obwieszane lasami, to całkiem odziane ich czernią, to strojne smugami pól uprawnych, to obetkane gronami gęstych wiosek, poźłobione rozdołami, tem głębszemi, tem urwistszemi, im dalej ku Karpatom idą, obwiedzione u podnóża kobiercami łąk świeżych i wstęgami potoków zmiennej barwy według chmurnego lub jasnego

nieba, igrających podczas pogody, jak sarna przyswojona, a przy pierwszym deszczu nabrzmiałych, wzburzonych, rzucających się, jak zwierz rozjuszony, jednym słowem: nieugłaskanych, dzikich, jak lono przyrody, która je poczyną — oto są pierwsze z tej strony wschody do gmachu, którego kopułą są Tatry, a wieżami Łomnica i Krywań.

Płaszczyna, która się od nich poczyną i rozwija ku Wiśle przez mil kilka, podnosi jednotonnością swoją rozmaitość podgórza, a odosobniona góra Św. Marcina, panująca z jednej strony nad Tarnowem i jego niskimi polami, z drugiej nad drobniejszem pasmem pobliskich wzgórzów, zda się stać na straży podgórza, zda się być jednym z szeregu kopców, odgraniczających dziedzinę gór od dolin.

Taki jest główny zarys okolicy, którą przecina gościńiec, wiodący z Tarnowa ku Krakowu. Kierunek jego ze wschodu na zachód. Po lewej stronie panują wzgórza, prawą zalegają niziny. Droga, niska z początku, przechodzi pod Tarnowem kryty most na Białej, pomija brzezinę Koszycką i podnosi się nieznacznie przez pół mili, aż stanie na grzbiecie wzgórza wsi Zgłobiec, skąd po raz pierwszy dają się widzieć podróżnemu Tatry, odległe stąd o mil kilkanaście, a tuż pod nogami białe Dunajec i z drugiej jego strony dolina Wojnicka.

Miasteczko Wojnicz leży przy tymże gościńcu, o dwie mile od Tarnowa; małe, a jeszcze mniej porządne, jak wszystkie niemal miasteczka galicyjskie, wszakże bardzo dawne i historyczne. Autor dzieła: „Żywoty ŚŚ-ch Polskich“, które mam właśnie pod ręką, utrzymuje w życiu Bolesława Śmiałego, że żony niewierne mężom, których wojna ruska i rozpusta kijowska trzymały zbyt długo za domem, obawiając się kar za przeniewierstwo małżeńskie, ogłoszonych i wymierzonych przez króla, okopały się w tem miejscu ze swojemi kochankami i zacięcie broniły się przeciwko oblegającym je siłom; zwalczone je nakoniec, a Bolesław na pamiątkę tej niezwyklej wojny założył miasto i Wojniczem je nazwał. Bądź co bądź, to pewna, że miejsce to było warownią; ślady tego zachowują się dotąd w okopach niezwyklej wysokości na po-

ludnie miasteczka, jak i w tem, że była kasztelania wojnicka.

Podanie powyższe o walce żon z mężami może się więcej odnosić — i w rzeczy samej lud je odnosi — do okopów, które leżą o pół godziny drogi od Wojnicza ku Dunajcowi, na wierzchołku gór. znacznie wyniesionej, która z tego powodu zowie się dziś według niektórych Babią górą, a powszechniej Panieńską. Później miał tam stać zamek, zbudowany przez królową Bonę i dany Firlejowi. Nie byłem jeszcze na tem zamczysku, ale mi powiadano, że okopy są nierównie przestronniejsze i wyższe od wojnickich.

SŁÓWKO O LUDZIE TARNOWSKIM.

15 kwietnia 1892.

Mało bardzo mam sposobności zetknąć się bliżej z tutejszym ludem; stosunki moje z nim są bardzo ograniczone, wiadomości o nim zbyt ogólne, ale wyobrażenie prawdziwe.

Lud ten jest jedno z krakowskim. Znać to na pierwszy rzut oka. Budowa ciała, rysy twarzy okazują tę jednoplemiennosc. Ten sam ubiór, tylko mniej strojny; ubóstwo widoczne. Błyska w nim także nieraz prawdziwa krakowska hystrość i żywość. Zaród na dnie duszy dobru, piękny; rzadkie przymioty w ukryciu, ale w ogólności rzadko objawia swoją pocziwą, dobrą stronę. Technienie jakiegoś zepsucia, obcego jemu, straszliwie przeciągnęło nad nim i dotknęło głębokiem skażeniem słowiańską jego istotę. Sam dzisiaj nie wie, czem jest; traci coraz więcej pamięć i wiedzę siebie, a kto to traci, temu trudno poznać się na swojej wartości moralnej i okazywać ją światu; wówczas wady, namiętności wystawiają się za dobre przymioty.

Uczucie godności własnej, cechujące Krakowiaka, w chłopie tarnowskim przeradza się w oburzającą zuchwałość, szczególnie w stosunkach z miejscową szlachta, z dziedzicami. Miłość chrześcijańska gaśnie w nim zupełnie pod uczuciem nienawiści. Łada spór wywołuje zemstę; niewiele mu potrzeba, aby ogień podłożył pod gumno

swojego przeciwnika, co nazywa „zaświecić świeczkę komu“; ale jest-że to w szlachetnym charakterze naszego ludu? Nie jest-że to głębokim jego upadkiem? Nie lubię słuchać ich śpiewów, bo pod tym względem strona ta przypomina mi Ukrainę. Krakowiak śpiewa wiele — ale co za różnica w charakterze śpiewu! Tam cię śpiew rozrzewnia, podnosi, przywiązuje do ludu — a tu obraża, oburza, odstręcza. Nie znajdziesz w nim uczuć delikatnych, wyższych, jak w śpiewie ukraińskim — tylko w natchnieniu żółć lub rozpusta, w wyrażeniach cynizm obrzydły, tem smutniejszy, że muzyka prawie zawsze skoczna, wesoła, że człowiek bawi się obrzydliwością, podoba sobie w niej. Znam, prawda, kozaki podobnego ducha, ale wiadomo, że one po największej części są własnością teorbanistów, echem zepsucia dworskiego, nie są powszechne między ludem; krakowiaki Tarnowian są dziełem ludu, i nie podobna, żeby kiedyś nie odpokutował za to.

Smutny widok! Biedny lud! Tem biedniejszy, że niema ręki, coby się ofiarowała z prawdziwej miłości pomódz mu, wejść napowrót w ten karb chrześcijański, który sam jedynie jest uczciwością, oświatą, prawem najwyższem, a następnie szczęściem i zbawieniem ludu chrześcijańskiego. Uchowaj Boże, abym utrzymywał, że ta czarna zasłona leży na całym ogóle tutejszego ludu. Nie! Są wyjątki i wsi całe i w każdej wsi pojedyncze osoby, którzy wziętą tę część z całością plemienia, obecność jego z przeszłością, są wierni odwiecznemu duchowi słowiańskiemu — ale z tego dlatego jest bardzo rozszerzone, bardzo widoczne.

Głównem zatrudnieniem i utrzymaniem mieszkańców tej stolicy jest rolnictwo. Ziemia w ogólności urodzajna, a niektóre miejsca, zwłaszcza na równinie około Wojnicza, przybliżają się do najżyźniejszych pól sandomierskich. Lud ten mógłby stanąć prędko w dobrym bycie, ale ma do tego wiele przeszkód zewnątrz i wewnątrz siebie. Najgłówniejsza wewnętrzna jest opieszałość, próżniactwo, a druga po niej skłonność do pijaństwa.

Co potrzeba im przyznać — to wysoką zdolność do koni. Zręczność ich w prowadzeniu koni, w powożeniu, jest istotnie rzadka. W tem celują, są prawdziwemi Krakowiakami. Lubią konie i mają ich dosyć, to też furma-

nowanie i przewożenie towarów jest jedną z gałęzi ich zarobkowania.

Kobiety, jak w ogólności Krakowianki, są powabne żywością, są hoże, a często niepospolicie ładne. Ale ubóstwo znać w ich ubiorze jeszcze więcej, jak w ubiorze mężczyzn.

Rozwolnienie obyczajów mniej tu widoczne, jak na Rusi; po wielkiej części stąd, że kobiety są zimniejsze, mają mniej czucia, jak Rusinki. Zepsucie jednak i pod tym względem jest niemałe, a najwięcej przyczyniają się do tego wojskowi.

O szlachcie tutejszej mniej jeszcze mam do powiedzenia, jak o chłopach. I tu także zostało niewiele śladów dawnego dobrego, a nowonabyte nie wiedzieć do czego podobne. Chciałbym powiedzieć o wszystkich, co mógłbym powiedzieć o niektórych, znanych mi bliżej, ale nie mogę, bo albo ich wcale nie znam, albo znam z próbek bardzo niekorzystnych. Zdarzyło mi się kilka razy spotkać niektórych w obozie w Tarnowie. Myny wprawdzie zawiesiste, hałasu wiele, ale we mnie, patrząc na to wszystko, obudzał się tylko żal wewnętrzny. Myślałem sobie: Mój Boże, niedość nam widać przysłowia „mądry po szkodzie” — zarabiamy sobie na nowe: „waleczny po bitwie.”

Nadto Tarnów zrobił sobie smutną głośność z szulerki. Prawda, że niedawno nazbierali tyle laurów, że mają na co grać i co przegrywać, ale i w tem powinna być pewna miara.

Tarnowskie słynie obfitością szlachty drobniejszej; nie zbywa jednak i na magnatach. Jednego wieczora tej zimy, aby się mróz przesilił, liczono zamiast łysych, jak się to robi zwyczajnie, hrabiów i baronów w Tarnowskim, i naliczyliśmy ich trzydziestu kilku na same Tarnowskie; kobiety — ma się rozumieć — i dzieci nie wchodziły w rachunek.

NA GÓRZE PANIEŃSKIEJ.

20 kwietnia 1832.

Niebo pogodne, ziemia wyjaśniona, na odległych okolicach tylko mgła oddalenia — zgoła poranek, rzadki w tej

porze roku. Taki był poranek, kiedy wstępowałem na górę Panieńską. Wchodziłem od strony wschodniej, od Dunajca.

Plaszczyna niska, zamknięta pasmami wzgórzów, między którymi Dunajec się przerzyna, zdaje się być jego dziełem w czasach zapewne bardzo oddalonych, i można łatwo wierzyć powieściom, że kiedyś koryto tej rzeki ocierało się o podstawę Panieńskiej góry. Sama góra podnosi się ze trzech stron od razu nad płaszczyznę, tylko od strony zachodniej przesmyk wyżyny spaja ją z pasmami innych wzgórzów, rozbiegających się później w różne strony. Boki góry zasiane do pewnej wysokości krzakami jałowcu; gdzieniegdzie ustępy niekształtnych dolin — na jednej z nich, w stronie wschodniej, bliżej szczytu, niż spodu, źródło najczystszej, najświeższej wody — od południa kilka chatek, niemal ukrytych zupełnie w wyżłobieniu doliny, a dopiero wyżej prostopadle prawie ściany okopu, który otacza szczyt góry. Okrążywszy północnym bokiem spód okopów, wszedłem na grzbiet góry stroną zachodnią i drożyną, usypaną przez fosę, znalazłem się wśród wałów.

Pierwszy pokłon obecności, która się rozwija w okólnej przyrodzie. Po wiele razy musiałem przeprowadzić oko po wszystkich stronach, aby je oswoić z przepychem ogółu i pojąć w takim tłumie szczegółów, na takiej przestrzeni.

Na południe miałem biały Dunajec. Prąga jego, rozjaśniona podnosząc się słońcem, czysta i szeroka, wypłynąwszy z pomiędzy wyżyn, które południową część widnokregu zamykały, błakała się okazałe między górami — a w dwóch, równoległych prawie rzędach podnosiły się wzgórze z obu stron doliny i odbijały na skrętach pęd niesfornej wody, dopóki ta, znużona bezskutecznem usiłowaniem, nie rzuci się na dolinę Wojnicką, na nieobejrzaną płaszczyznę, gdzie w swobodnym już biegu dochodzi aż do swojego połączenia się z Wisłą. Kilka wiosek, liczne łałomy wzgórzów i pola, łysiejące wśród lasów, urozmaicały południową część krajobrazu — a dalej, daleko, nad wody, doliny i piętrzące się w kilka stopni wzgórze panował widok Tatrów, jak korona okolicy, ukuta ze srebra

śniegów i mrocznej barwy opok, które przez odległość wydawały się mgłą wół przejrystego obłoku.

Zupełnie różny a nierównie rozleglejszy widok leżał od północy. Z tej strony oczy mordują się po płaszczyznach w całym znaczeniu tego wyrazu. Aby mieć jakiegokolwiek pojęcie tego obrazu, potrzeba sobie przedstawić powierzchnią kilkunasto-milowej równiny, której wyniosłości, jeżeli są jakie, nikną dla oka z punktu, na którym stałem — powierzchnią, ustrojoną najrozmaiciej w drzewa, wody, pola, wie, we wszystko, co przyroda dzika i przy-swojona, śmiejąca się i zachmurzona dostarczyć mogą.

Począwszy od Panieńskiej góry (w kierunku jednego tylko promienia z mego stanowiska), przy której stopach Wielka Wieś tuż leży, nieustannie rozwijają się oku, idącemu naprzód, wieńce, splecione z najrozmaitszych przedmiotów coraz obszerniejszym łukiem. Bliżej, między rozległymi polami, między gromadą gęstych, obsadzonych sadami wiosek, uderza cię przyjemnie Wojnicz białym kościołem i gronem miejskich domów — dalej, jak gaj nadwodny, przytykają do Dunajca Mikołajowice — w dalszem jeszcze paśmie wiosek śnieżne platki kościoła Wierchosławie i chat wiejskich — jeszcze dalej, na prawo i lewo, puszcza Niepołomska, mury Radłowa, zaledwo dojrżane, nadwiślańskie piaski, Dunajec, rozpleciony w kilka smug jasnych — a za tem wszystkiem ciemna, mglista zasłona krain zawiślańskich, gór i borów Świętokrzyskich. Przydaj do tego po prawej i lewej ręce rząd wzgórz, to łysych, to wsiami osiadłych, to lasami najeżonych, z piersiami to zielonemi i okragłemi, to ściętymi prostopadle — przydaj Dunajec, odzwierciadlający te wzgórza, przydaj most na Dunajcu, przydaj wielki gościniec, przecinający podstopową dolinę, ożywiony snującym się ciągle rojem podróżnych i białych bryk kupieckich — a masz w głównych zarysach widok z Panieńskiej góry.

Trudno schwycić ten widok — jeszcze trudniej te myśli, które się zbudziły w tej chwili, podniosły się rojem i zaczęły mi wszystko. Widok, to miejsce podania, na którym stoję, zbieg wypadków publicznych i osobistych dla mnie, przeszłość, obecność i przyszłość zmieszały się wichrem w mojej duszy. Bez wiedzy zrobiłem kilka kroków na-

przód — trąciłem nogą krzak jałowcu. Pierzchnęła spłoszona liszka — opamiętałem się. Wzburzenie wewnętrzne cichło powoli przed chęcią znalezienia gniazdko jednej ptaszynki; przykląknęłam, zgmiotem fiolek — obwionęła mnie woń jego. Położyłem się przy nim; spadziłość okopu była mojem wezgłowiem, białe kwiatki poziomek i błękitne pęki fiołków wieńczyły posłanie z pierwszych wiosennych trawek, okrag walu zamykał widokres kilkuset kroków, w górze tylko niebo z wędrownymi chmurami, a na ziemi dokoła drobny gruz gmachów, stawianych, Bóg wie, kiedy i jak, wspaniałych; ocieniały je gdzieniegdzie krzaki jałowcu, osłaniały wieńce trawy, tego najmilszego dziecka przyrody żyjącej, tej ostatniej dziedziczki najokazalszych dzieł ludzkich, najwierniejszej przyjaciółki ich rozwalin.

Po jałowcu czasem wiatr gwiznął, za wałem słabo pobrzękiwał dzwonek trzody, rozsypanej po stoku góry, z dalsza i słabiej jeszcze dolatywał z doliny głos oracza za plugiem — a wszystko zlewało się w atmosferę woni i muzyki tajemniczej, złożonej z półciszy, z półbrzęku, jedynej muzyki, godnej być melodią najgłębszych dumań samotnika.

Ośm wieków temu, pomyślałem sobie, jaki ruch, jaka wrzawa musiały klócić tę ciszę! Co za burza uczuć najśodszych i najokropniejszych grała tu przed ośmiu wiekami! Z jednej strony mężowie, zemstą rozjadli, z drugiej piękność, występna potrzebą kochania, wściekła rozpacz. Iluż-to pieśzcot miłosnych, iluż-to scen morderczych to miejsce było świadkiem! Stękała ziemia śród walki, kruszyły się mury, wytłoczona trawa krwią krzepła, powietrze wrzało głosami wściekłości, wyciem bólów, jękami śmierci — a dziś i ziemia i kamień i powietrze tak głęboko mileją! Żadnego śladu ani życia, ani śmierci z owych czasów, żadnego śladu z owych czasów, gdzie serce tyle tak pełnem było życiem, gdzie tłum taki w rajskim lub piekielnym uczuciu rozwijał moc duszy, co mu jedną chwilę na wieczność obiecywała zamienić! Tymczasem wszystko przeminęło. Głęboka przeszłość zaległa wszystko, jak puszcza nieprzejrżana, nieuchodzona, niezbadana — tylko ty, poświęcona goro, przetrwałaś i trwać będziesz, nieporuszona, jak pomnik zdarzenia, policzonego

dziś do wieści współbajecznych, odnawiając z każdym nowem pokoleniem wianek podania niezwiędły na twojem czole! Tylko ty, ziemio, jesteś wieczną dziejów człowieka świątynią!... Jakąż czią religijną powinniśmy cię otaczać!...

Marzenia moje coraz się bardziej zasepiały, a kiedym je chciał rozjaśnić rzutem oka na okolicę, dzień wiosenny zmienił się, niebo, pogodne przed chwilą, okryło się chmurami, mgła gruba zalała dolinę i zasłoniła przed okiem najbliższe nawet przedmioty. Rad nierad musiałem zejść ku domowi, zerwawszy kilka fiołków na pamiątkę odwiedzin Panińskiej góry i wzruszeń, jakich na niej doznałem.

ŚMIGUS. — DYABEŁ ISKRZYCKI. — POWIEŚĆ.

23. kwietnia 1892.

Dzień dzisiejszy, drugi wielkanocnego święta, obchodzą tu zabawą, zwaną „śmigus“, znajomą na Ukrainie, a podobno i w innych częściach naszego kraju. Jest to obławanie się wodą chłopców przez dziewczęta, dziewcząt przez chłopców. Najpodobniejsze do prawdy, że tym sposobem przechowuje się pamiątka pierwszego chrztu Polaków, który właśnie około tego czasu (w marcu) miał miejsce za Mieczysława I. Coby znaczyło nazwisko „śmigus“, nie mogę się dowiedzieć. W tym dniu są także maski. Widziałem je, bo przyszły do dworu. Jeden parobek przebrany był za niedźwiedzia, drugi za Cygana, i wyprawiali sztuki, jakie u nas często widzieć dają Cygani, wędrujący z niedźwiedziami — poczem prosili przytomnych o śmigus, to jest o pieniądze na wódkę.

Zaliłem się już na trudność zbliżenia się do tego ludu. Stąd mój zapas głębszej jego znajomości jest bardzo szczupły; udzielam jednak i tę trochę, co mi się dotąd udało schwycić.

Lud ten ma także właściwe sobie życie umysłowe, swoją poezję, swoją muzykę, spólną zresztą Krakowiakom, ma równie tajemniczą stronę wiedzy i pełno mniemań, wierzeń, zabobonów, a następnie powiastek, które stąd płyną.

Nie jest on wolny od czarownic. Niedawno na Zawodziu, folwarku, należącym do wsi Szczepanowic, a w pobliżu Wojnicza, czarownica zasiała jeden zagon solą, a drugi pieprzem i sprowadziła przez to nawalny grad, który zrobił wiele szkody w okolicy.

Wieśniacy tutejsi mają pewien rodzaj poszanowania dla węzów. Zdarza się nieraz, że w czasie żniwnym chłop, składając snopy na wóz, wytrzęsie z nich węza. Tego węza za nic zabić nie pozwoli; pewny jest, że zabicie ściągnęłoby na jego gospodarstwo niebłogosławieństwo boże. Sądzą, że cześć jest jeszcze zabytkiem dawnej religii słowiańskiej, gdzie już nie w tem tylko jednym przeblyskiwała ta miłość bratnia dla stworzenia, którą Twórca chrześcijaństwa podniósł nad wszystko, jako źródło cnót wszystkich.

Z powiastek gminnych umieszczam jedną, która mi się bardzo podobała.

Pewien pan z okolic Tarnowa potrzebował ekonoma. Kiedy się tem kłopoce, przychodzi człowiek nieznamy: powiada, że się zowie Iskrzycki i że szuka miejsca. Właśnie takiego było potrzeba; staje więc umowa bez trudu, a nawet podpisuje się kontrakt. Już go pan wręcza Iskrzyckiemu, kiedy postrzega, że jego przyszły ekonom ma pazury wcale nie ludzkie. Zmieszany zrazu, wahający się przez chwilę, co począć, zbiera wkońcu siły i zrywa całą umowę. Ale Iskrzycki ani chce słuchać; ob staje przy umowie, przysięga, że, raz podpisawszy kontrakt, musi pełnić, do czego się zobowiązał, póki nie wysłuży czasu umówionego, poczem wychodzi i znika z oczu. Ale obiera sobie mieszkanie w jednym z pieców domu i stamtąd pełni swoją służbę jak najgorliwiej na każde zawołanie, tylko, że go nikt nie widzi. Państwo z początku bali się — powoli tak przywykli do Iskrzyckiego, tak się przekonali o jego przychylności, że, wyjeżdżając z domu, oddawali mu dzieci swoje w dozór. Ale sąsiedzi oburzali się na to posługiwanie się dyablem i głośno szemrali. Zaniepokoiły te mowy najbardziej samą panią; zaczęła ona ze swojej strony kłopotać męża. Po długiem wreszcie nastawaniu wymogła na nim, ażeby na jakiś czas opuścić to mieszkanie. Wskutku tego postanowienia wzięto dzierżawę

gdzieś za Wisłą i wyruszono ku niej. Otóż są już w podróży, radzi, że dyabła sztuką podeszli. Nieszczęściem, wypadło przebywać drogę tak złą w jednym miejscu, że się powóz przechylił, a pani w przestachu krzyknęła. Aż tu odzywa się za powozem: „Nie bój się pani! Iskrzycki z wami“. Państwo zdumieni się a razem poznali, że nie było sposobu uwolnić się od sługi, tyle wiernego; zawrócili więc do domu i żyli z nim w dawnej zgodzie, dopóki nie nadszedł termin, oznaczony kontraktem. Po tym czasie Iskrzycki opuścił dom na zawsze.

Inne podanie jest w duchu czystszej religijnym. Stało się to przed dawnymi laty we wsi Głębokiej, w obwodzie jasielskim. Pewien chłop chciał sobie podjeść przed nabożeństwem, a był to dzień święty Bożego Ciała. Bierze więc chleb, który, według zwyczaju naszego ludu, leży zawsze na stole nakrytym, i zaczyna krajać; zaledwo odkroił, postrzega, że tak część odkrojona, jak i cały chleb zamieniły się w kamień. Chleb ten przechowują dotąd potomkowie tego chłopca jako pamiątkę religijną i przepis dotykalny, aby dzień święty święcić.

W tych czasach zaszło tu zdarzenie, w którym dla wielu znajdzie się ciekawa nowość. Rozeszła się wieść, że rząd ma wybrać pewną liczbę dziewczek i wyprawić je do Ameryki do jakichś osad. Wieść ta znalazła powszechną prawie wiarę i nawet strwożyła ludność wiejską. Cóż się wkońcu pokazało? Oto, że ją puścili spiżownicy, którzy w jednej z tutejszych okolic dzwon wylewali, w tem rozumieniu, że dzwon będzie tem głośniejszy, im lepiej rozejdzie się wieść fałszywa, puszczona podczas jego lania.

Lud tarnowski ma jeszcze swoje przepowiednie pogody lub niepogody. Między innemi — pewny jest suchego lata, kiedy deszcz pada na Ś. Wojciech.

DROGA DO NOWEGO TARGU.

LUSŁAWICE — ZAKLICZYN.

28 kwietnia 1832.

Puszczam się na koniec ku Tatrom. Za dwa dni ujrzę je z bliska, będę już jakby między nimi. Wielka to dla mnie radość! Pożegnanie w Mikołajowicach było długie; wyjechaliśmy późno, nadto ciągle deszcz pada, progi rozmokły — niedaleko dziś zajedziemy. Ale trzeba raz wyjechać — wyjeżdżamy. Przebywamy Wojnicz, okracamy Panieńską górę, przewożymy się u jej stóp przez Dunajec, mijamy wieś Janowice, jesteśmy w Lusławicach. Tu zatrzymam przynajmniej uwagę.

Lusławice, wioska dziś nie wielka, miała być znaczna osadą przed laty. Święcki w opisie starożytnej Polski powiada, że miejsce to było jakiś czas stolicą Aryanów i liczyło do trzystu rodzin aryańskich. Aryanie mieli tu swoje szkoły i drukarnię. W Lusławicach umarł i pogrzebiony jest sławny Socyn, twórca sekty Socynianów. Dotąd lud miejscowy pokazuje wysoką jego mogiłę, porosłą dzisiaj ogromnemi drzewami.

Zmierchało się już, kiedyśmy opuszczali Lusławice i znaleźli się w Zakliczynie, który dotyka prawie Lusławic. Nie pędzeni niczem, a moczeni deszczem, umyśliliśmy przenocować w Zakliczynie, robiwszy dzisiaj dwie lekkie mile drogi.

Zakliczyn jest podobno miasteczkiem. To pewna, że pełny błota, niepospolicie głębokiego, przynajmniej dzisiaj. Nie można mu mieć tego za złe, bo leży na niskiej płaszczyźnie i rozszon jest mnóstwem strumyków czy rynsztoków — nie wiem dobrze. Słynie także szewstwem, mniej, jak dawniej, ale zawsze słynie. Było ono głównem

zatrudnieniem, jak i dziś jest, mieszkańców Zakliczyna; tylko, że dawniej była większa ludność. Powiadają, że w owych czasach Zakliczyn zaopatrywał skórą i obuwiem najdalsze strony Galicyi. Główne jarmarki tutajszych szweców były w Brzesku, do którego stąd przez góry za Dunajcem przeprować się trzeba. Pośpiech, z jakim zdążyli do owego miasteczka, leżącego stąd o mil cztery, miał zrodzić przysłowie: „Śpieszy się, jak szwec z Zakliczyna“. Upodobanie w tem rzemiośle zachowuje się dotąd między mieszkańcami Zakliczyna. Według niektórych ma tu być do 400 rodzin, trudniących się szewstwem, ale sędzę, że ta liczba jest przesadzona, zważając obszerność Zakliczyna.

Okolica jego niczem się nie odznacza. Dopiero przeciwny brzeg Dunajca daje mu piękny widok wyniosłem swoim położeniem, a nadewszystko gruzami po sławnym zamku Melsztyńskim. Śród deszczu i zmierzchu zająłem go dzisiaj z naszej drogi.

BRUŚNIK — PALEŚNICA — SĄCZ NOWY I STARY. — KASPEREK.

29 kwietnia.

Dzień pogodny i wcale ładny. Ale, nim rozpocznę dalszy opis drogi naszej prostej, powiem słów kilka z powodu wsi Bruśnika, gdzieśmy dziś na chwil kilka zboczyli. Leży on o trzy mile na wschód Luślawic. Oto jest, co mi jego właściciel opowiadał; zapisuję tę powieść dla jej związku z dziejami Aryanów.

Na polach Bruśnika znajduje się pieczara znacznej długości. Służyła ona Aryanom podczas ich prześladowania w Polsce do tajemnych schadzek. Wchód jej zawalony dziś kamieniami, ale przed laty kilkunastą można było jeszcze zwiedzać jej wnętrze. Ma ono być starannie urządzone sztuką ludzką; schody były wygodne i nie naruszone. Dziś mniemanie ludu złożyło w niej niezmierne skarby, których czarci strzegą. Na dowód, że tak jest, przywiodła opowieść o kulawym ślusarzu z Bruśnika, który niedawno umarł. Dowiedział się on, nie wiadomo,

jakim sposobem, że czarci w pewne święta rozchodzą się na jutrznię i zostawiają pieczarę bez żadnej straży. Korzystając z tego, a pragnąc pieniędzy, udał się do pieczary w porze przyjaznej, znalazł w samej rzeczy, jak żądał, nabrał pieniędzy, ile mu się podobало, i szczęśliwie wrócił do domu. Ta wyprawa zachęciła do drugiej i więcej. Zawsze mu się udawało. Raz, chwyciwszy nad zwyczaj, zabawił się rabunkiem dłużej, niż wypadało. Wtem czarci nadbiegają i łapią go na gorącym uczynku. Nie dał się schwytać, to prawda — uśpieszył wymknąć się za drzwi, ale, kiedy dla większego bezpieczeństwa chciał je zamknąć za sobą, zatrząsł z takim pośpiechem, że mu piętę ucięły, od czego do śmierci już chromał.

Teraz wracam do naszej podróży.

Od Zakliczyna popod klasztor Bernardynów zwraca się droga na wieś Paleśnicę, między wysokie wzgórza. Ta część drogi nie jest przyjemna. Głęboki wąwóz, koryto potoku Paleśnicy, które trzeba kilkadziesiąt razy przekroczyć; wzgórza, po obu stronach jednotonne i niebujnym lasem porośłe, wieś Paleśnica, długa, nieporządna — oto są przedmioty całomilowej podróży. Ale jest to droga, jak każda, wiodąca do miejsc błogosławionych. Zaledwo bowiem opuści się Paleśnicę, wnet wjeżdżasz na szeroki, bity gościniec pomiędzy pięknym jodłowym lasem. Nie zdejmuj on z ciebie trudów od razu, bo idzie przykro i długo pod górę, ale zato wyprowadza cię na szczyt Posadowej, skąd ci okazuje na ogromnej przestrzeni najwdzięczniejszy kraj i wygodnym szlakiem spuszcza się ku niemu.

Tu się już zaczynają położenia, nacechowane urokiem, który górom tylko jest właściwy. Rozległe lasy z drzew wszelkiego rodzaju, pomiędzy niemi przeglądające gdzieśniegdzie skały, wzgórza, tu położyste i jakby splecione jedne z drugimi, tam wznoszące się pojedynczo i stromo, jak piramidy, towarzyszą podróżnemu aż na równię, gdzie go znowu wita Dunajec, pożegnany przy Melsztynie. Ulubione to dziecię Tatrów już nieprędko spuści nas z oka.

Wkrótce mijamy miasteczko Zbyszyce. Jeszcze para przykrych, długich gór — i oto widzimy się nad rozległą,

śliczną doliną Sandecką. Trzy rzeki ją przeplatają: Dunajec, Poprad i Kamienica. Pośrodku doliny, osadzony w zbiegu tych rzek Nowy Sącz błyszczy niemi, jak wieńiec rozpuszczonemi wstęgami... Chciałbym opisać tę dolinę, ale w tej chwili jest to nad moje siły.

Nie podobna wyliczyć wiosiek, co ją zaludniają; nie podobna ująć w wyrazy uroczego, tysiąckształtnego poplecenia dolin, gór, lasów, które składają czarodziejski jej okrąg. Od południa mianowicie wzgórza utworzyły majestatyczną budowę. Rosną one stopniami do kilku pięt, a każde krocie stóp liczy — a każde piętro, a każdy parów zdaje się wabić do siebie: „Macie tu drabinę z pól, z lasów, macie tu nizkie, tajemne uliczki; temi uliczkami, po tej drabinie — do nich, do Tatrów!“ One tak wzywają, a Tatry, szczyt ich szczytów, zasłaniają się chmurami i odsłaniają, jak owe w dawnych wiekach czarodziejskie, igrające ze swoimi kochankami. Pod takim urokiem przebiegłem dolinę i dościsnąłem Nowego Sącza.

To miasto, stolica dzisiaj obwodu tegoż nazwiska, leży na wysokim brzegu Dunajca, oblane z drugiej strony Kamienicą. Dawniej otoczone było murem i okopem, których ślady dotąd jeszcze trwają. Zamek, od Szwedów nadburzony, wali się częściami w podrywający jego posadę Dunajec. Nowy Sącz można liczyć jeżeli nie do największych, to do najporządniejszych miast w Galicyi.

O milę od niego leży Stary Sącz, „staremi miastem“ tu zwany. Droga między niemi równa i wyborna. Na ścianach lazaretu wojskowego, który stoi blisko Popradu, oznaczono wysokość, do jakiej pamiętna powódź 1813 roku zalewała tę dolinę.

Stare miasto słynie klasztorem Panien Franciszkanek, założonym od zony Bolesława Wstydlivego, Świętej Kunegundy, gdzie też księżna ta przepędziła ostatnie lata swojego życia i umarła. Zakonnice chowają dotąd jej zasłonę i obraz, przed którym się modlić zwykła była. W czasie odpustów rozdają nabożnym po kawałku z tej zasłony, ale skutkiem cudu nigdy zasłony nie ubywa; obraz ma tę własność, że odzież, otarta oń, niszczy choroby i zabezpiecza od nich.*

Między ludem tutejszym przechowuje się piękna powieść

o Kasperku. Kasperek był jednym z mieszczan i kupców Starego Sącza. Pewnego razu kupił on na Węgrzech wino, ale Węgier przez omyłkę między beczkami wina wydał mu beczkę z pieniędzmi. Poznawszy omyłkę, żądał od Kasperka zwrotu tej beczki; Kasperek się zaparł — Węgier zrobił mu proces i pociągnął do przysięgi. Kasperek przysięgał tą rotą: „Jeżeli nie mówię prawdy, niech mię nie przyjmie po śmierci ani ogień, ani woda, ani ziemia, ani piekło, ani niebo.“ Wkrótce umarł, ale nie było sposobu go pochować: zakopany w ziemię, nazajutrz leżał na wierzchu; wrzucony w ogień, nie gorzał; zatopiony, wypływał na brzeg — a zarazem włóczył się przez całe noce na białym koniu po ulicach miasta. Nikomu nie zlego nie robił; był nawet tak powolny, że przez okno zazierał, kiedy go zawołano po imieniu — tylko wiecznie milczał. Dopiero pewnej czarownicy udało się go zwabić i zaspokoić pogrzebem nowego rodzaju. Oto powiesiła go na włosku; w tej więc postawie usechłszy i w proch się rozsypawszy, zakończył swoją nocną jazdę.

JAZOWSKO. — ŁĄCKO. — POGRANICZE GÓRALI
BIAŁYCH I CZARNYCH. — KROŚCIENKO. — PIE-
NINY. — CZORSZTYN.

30 kwietnia 1832.

Przez dobrą jeszcze milę jedzie się ze Starego Sącza doliną Sandecką pomiędzy osadami niemieckimi, po drodze wygodnej; tam dopiero przeprawa przez Dunajec rozdziela z żyznemi sandeckimi polami i wioskami równin, a wieś Jazowsko jest już jednym z punktów tej linii, która oddziela siedziby właściwych górali od mieszkańców płaszczyn. Mieszkańcy też z Jazowskiej zowią cały kraj, aż po tę linię, Polską. I w rzeczy samej od Jazowskiej wszystko się zmienia: inna postać ziemi, inny lud pod wszelkim względem. Dolina zwęża się w kręty, ciasny wąwóz — wzgórza coraz wyższe i przykrzejsze; bukowe lasy przemagają — owies najglówniejszymi przedmiotem rolnictwa — ów Dunajec jasny, poważny dotąd, zaczyna się pnieć, szumieć po dnie płytkim i kamie-

nistem, jest ciągłym wodospadem, tem bystrzejszym im bardziej zbliżamy się ku jego początkowi; ogromne kragle kamienie, które coroczna powódź nanosi i wyrzuca, zalegają jego brzegi.

Droga też nie bardzo wygodna, jakkolwiek nie szczędzą starań około dobrego jej utrzymania. Od samego Jazowska idzie ona wciąż nad Dunajcem, to zbiegając ku niemu, to pnąc się wyżej i coraz wyżej, wzdłuż prostopadłych prawie uboczy, które w języku góralskim zowią się „obłazy“. W Łącku jeszcze raz podróżny odpoczywa na miłym ustępie obszernej dosyć równiny, ale tam przygotować się potrzeba do trzechmillowej podróży po górach i głębiach naprzemian; przeprawę tę możnaby porównać z kolysaniem się okrętu na wzburzonym morzu. Mimo to miłośnik przyrody nie może tu doznać nudów i mimowolnie zapomina przykrości niewygodnej jazdy. Wieczny szum Dunajca, bielącego się pianami w zielonawem korycie, podniebne z każdej strony wzgórza, rozpuszczające aż do stóp samych płaszcze z lasów, po największej części brzoźowych i bukowych, przepaściste ich szpary, skąd biją głośnie potoki, nagie ogromy głazów, wychylające się z zieleni polan i borów albo siedzące tuż przy drodze z pochylonemi nad nią głowami, siedziby góralów, to długim rzędem pilnujące rodzinnej wody, to pojedynczo ukryte i ledwo dojrzane w gęstym lesie, pod wytoczoną górą, na swojej dolinie, przy swoim potoczku wiążą się co krok, co skręt drogi, dla urozmaicenia widoku podróżnego.

Przydajmy przewiew górskiego powietrza, rozprószone dokola trzody, donośne ich dzwonki, śpiewy i flety pasterskie, górala, snującego się lekko po miejscach, ledwo przystępnych i dojrzanych, w jego kusej guni, w kapelusiku okrągłym, ozdobionym świeżą gałązką — a doznane wrażenie będzie snem przepowiadnim uczuć, które nie bawnie w całej zupełności się rozwina. W takiej okolicy leżą Kamienica, Ochotnica i Tylmanowa, zamieszkane przez górali, zwanych się „białymi“, dla różnicy od górali „czarnych“, którzy się gnieżdżą w głębszych już górach.

Dzień pogodny dogrzewał, ale między górami przeciągał wiatr ostry; śniegi nocne leżały na wznioślejszych

szczytach; dolna połowa zielenila się trawą i pękającymi drzewy, wyższą rumieniły położywane buki. Nagle ukazało się Krościenko. Mała dolinka, jak żeby góry tyle tylko się rozstały, aby zrobić miejsce tej osadzie, rozwija się przed nią. Olbrzymie Pieniny, ze skał, poprzerastanych lasami, nagle się podniosły, a ściśnione domy Krościenka i kościółek jego o czarnym dachu, przyparte do podnóża Pienin, wydawały się, jak dzieło malarskiego pędzla, na zielonem tle lasów. Dunajec wychodzi tu od południa i oblewa zachodnią stronę Pienin i Krościenka. Pasma nagich wzgórzów po tamtej stronie Dunajca obfituje w kwaśne mineralne źródła. Szczawnice, o milę stąd odległe, z dawna już słyną; źródło wody krościańskiej zaczyna być dopiero uczęszczane. Do przeciwnej strony Pienin przytyka granica węgierska, łozem Dunajca odskolona.

Pieniny są najwyższe w paśmie przedgórnem Tatrów; ozdabia je nadto urok wspomnień dziejowych. Na ich to warownym szczycie wznosił się ów zamek, w grzydzie dzisiaj zamieniony, gdzie Bolesław Wstydlivy z Kunegundą znaleźli schronienie przed Tatarami. W ich skalach pokazują dotąd pieczary, długie do 200 stóp, które miały należeć do zamku i stanowić część podziemnej jego wycieczki.

Z Krościenka skręca się droga na zachód; do Czorsztyna tylko mila, a Czorsztyn strzeże wstępu do Nowotarskiej doliny.

Kto zbliżał się do miejsc, do istot najmilszych sobie, ten pojmie mój słodki niepokój, moją radość, że niebawnie ujrzę główny cel mojej podróży, owe Tatry!... Ale co nieprzyjemności przytem! Droga, jak na przekór, najgorsza w świecie: w połowie kamieniste koryto potoku, zupełnie, jak przez Poleśnicę, drugie pół wciąż pod górę. Nie wytrzymałem, zdrzynałem się. Zbudziło mię trącenie towarzysza podróży. Podnoszą rozdrzymane oczy, zwracam je za jego palcem.

— Otóż i Tatry! — rzekł.

— Tatry! — zawołałem w dziecinnem uniesieniu, w zdumieniu, w radości — Bóg wie, w jakich uczuciach.

Byłem już na wysokości zamku czorsztynskiego i w rze-

czy samej miałem Tatry przed sobą w całej ich okazałości. Chociaż między mną a niemi leżał rzadki las świerkowy, ujrzałem je przecie wyraźnie. Nigdy nie zapomnę tego pierwszego ich zjawienia się — nigdy już może później nie widziałem ich takimi; zgasło też przy tem wrażeniu wszystko, co doświadczałem na ich widok z miejsc oddaleńszych. Rażąca białosć śniegu, pokratowana w rozliczne wzory ciemnymi pręgami opok, pokrywała cały ten ogrom; nadzachodnie słońce cieniowało blade rumianem światłem... Nie śmiem kończyć obrazu... Gdybym powiedział, że Tatry objawiły mi się w olbrzymiem, nieobejrzanem widzeniu za obłokiem bengalskiego ognia, żem zajrzał w zwierciadło najczystsze nieba — i to jeszcze byłoby niedostateczne: tak uroczy był błękit, odziewający Tatry, taki był ich widok przez siatkę świerkowego lasu. I nie cały jeszcze ogrom widziałem; znaczną jego część zasłaniały leżące na drodze wzroku węgierskie przedgórza.

Powóz tymczasem szybko się toczył, las gęstniał, droga spuszczała się w dolinę; mój widok zakrył się górami bliższymi, przeminał, jak sen, ale wiem, że go odzyskam w dolinie. Pragnę jak najrychlej znaleźć się w dolinie. Tymczasem droga okrąża, niby z uszanowaniem, szczyt, uwieńczony gruzami Czorsztyna, zbiega nad Dunajec, skręca się przy Dunajcu na zachód. Jestem wreszcie na dolinie Nowotarskiej. Tatrów jeszcze nie widać; zasłania je szereg skał, które, jak mur samorodny, podnoszą się na przeciwnym brzegu Dunajca: przegroda uroczą, ale w tej chwili nieznośna dla mnie. Pragnę ją przeminać — przemijam nakoniec, ale w tejże chwili chmury białe, olbrzymie, przewalają się z wyższej Tatrów części, zapuszczają jakby zasłonę na cały ich ogrom, a mnie odejmują nawet nadzieję odzyskania go dzisiaj. Cóż robić!...

Szybko przebyliśmy Maniową, Harklową, wsi, leżące na naszej drodze, i w godzinę stanęliśmy w Łopusznej, przed domem dziedzica tej wsi, a towarzysza mego w tej podróży.

TATRY I PODHAŁE.

OGÓLNY POGLĄD NA TATRY.

1 maja 1832 z Łopusznej.

Dziś przecie miałem przed sobą Tatry w całej ich okazałości, w całym ogromie. Żaden obłoczek natrętny nie błakał się po nich. Deszcz calonocny obmył je zucaśnie ze śniegów; wyglądały, jakby eterem oblane. Wybraliśmy do tego stanowisko wzniosłe, na jednej z gór nade wsią, zwanej Wielką Górą. Napasłem dowoli oko tym widokiem, nowym dla mnie, a okazalszym nad wszelki, jaki sobie wyobrazać mogłem; przebiegałem w całej swobodzie ten zdumiewający łańcuch wysokości, od gór, podpierających ogrom Łomnickiego szczytu, aż do miejsca, gdzie się zniża i całkiem przerywa, nad rzeką Wagiem.

Tatry są częścią Karpat, częścią najzachodniejszą. Jest to grupa gór najpiękniejszych między górami Karpaczkami przez swoją wzniosłość i dzikość. Są one wszystkie prawie w wyższej części obnażone i pokryte lodami lub śniegami; tu znajdują się już lodowce, alpejskim podobne. Leżą one na pograniczu Węgier i Galicyi. Linia graniczna, prowadzona rzeką Białką od jej zbiegu z Dunajcem aż do wypływu z Morskiego Oka, okrąża Morskie Oko szczytami skał, później przecina je przez mil kilka w kierunku zachodnim, zwraca się potem na północ ku Babiej górze i, przeciąwszy jej wierchołek, łamie się znowu na zachód. Przez owo odgraniczenie ta część Galicyi tworzy jakby odnogę, otoczoną z trzech stron Węgrami; jest ona całkiem w obwodzie sandeckim, a ze strony Węgier przypierają do niej: dawna ziemia spiska i obwody, czyli stolice: liptowska i orawska.

Linia Tatrów, jak jest widziana z okolic Nowego Targu,

ma kierunek od wschodu na zachód, ukośny cokolwiek ku północy od strony zachodu.

ii Nie śniem oznaczyć ze ścisłością rozmiarów jej długości i szerokości. Powiadano mi, że długość może wynosić do piętnastu mil, a szerokość największa około sześciu mil.

Najwyższą cześć Tatrzów jest strona ich wschodnia; jest ona zarazem i najdziksza na całej szerokości, aż do płaszczyzn na przeciwnej stronie węgierskiej. Górą nad wszystkimi szczytami Łomnica czyli Krępak, wyniesiony nad powierzchnią morza 8000 z górą stóp, i Krywań, niższy od Łomnicy więcej, niż o stóp 1000.

Oba te szczyty pokazywano mi dzisiaj, wszakże, zdaniem innych, nie są one widziane z Galicyi, tylko ze wsi, zwanej Żab Suchy, przyległej Kościelisku. Wszakże na to zgadzają się wszyscy, że się przedstawiają najpiękniej i najokazalej patrzącemu od Kezmarku na Węgrzech, bo z tej strony podnoszą się od razu z płaszczyzny, bez żadnych prawie przedgórzów. Z tamtej także strony jedynie można wejść na Łomnicę; wejście z innych stron niepodobne. Tamtą drogą następca dzisiejszy tronu cesarskiego w Austrii doszedł do samego wierzchołka, na pamiątkę czego postawiono krzyż na Łomnicy.

Oprócz tych dwóch szczytów, bielejących już wiecznym śniegiem i lodem, niepoliczona jest ilość szczytów mniejszych, między którymi znaczna liczba są lodowcami w całym znaczeniu tego wyrazu. Dostępnym jest policzyć szczyty, które tworzą grzebień Tatrzów, odrysowany na widnokręgu, a dopiero niższe od nich z tej strony, albo leżące na ziemi od Węgier!

Piszę, co mi powiadają, albo o czem z pierwszego wejścia sam sądzić mogę. Może w tem niema ścisłej prawdy, ale mam przekonanie, że niema także ważnego zboczenia od prawdy. Zresztą podaję tylko to, co można mniej więcej sprawdzać samym wzrokiem.

Gewont, dzielący dolinę Zakopanego od Kościeliskiej, jest w łańcuchu przedniej strażnicy Tatrzów ostatnią z owych szczytów wyższych i nagich, odznaczających wschodnią ich połowę; jest punktem granicznym, od którego zaczyna się połowa druga, zachodnia. Szczyty tego

szeregu są już coraz niższe, aż do Wagu. Przebijają się jeszcze i tutaj nagie i śnieżne wierzchołki, ale tłem całości jest już barwa życia, wdzięk życia. Zaokrąglenia gór łagodniejsze, lasy świeże lub trawy bujne, przestronniejsze doliny, cichsze wody, umiarkowańsze powietrze. Tatry, uważane w tych dwóch połowicach, wydają mi się małżeńską parą, gdzie jedno obdarzone jest okazalnością, siłą, niszczącą mocą, przymiotami dzikiego męża, a drugie jest niewiastą rodłą, z całą jej łagodnością i ujmującym wdziękiem. Geografia miejscowa nadaje nawet nazwisko Matry tym górą, co może nie jest tak dowolne i nowe, jakby się zdawało, skoro zważymy, że przed wiekami naznaczano tu miejsce tak zwanym Babim górą.

Dalsze przeciągnięcie tego łańcucha pograniczem Węgier i Moraw ku Austrii zowią tu Fatrami. Nie widziałem ich dzisiaj z miejsca, z którego oglądałem Tatry.

Patrząc na Tatry, tak rozłożone przede mną, przesłakiwałem myślą ową przestrzeń kilkomiłową, która mię od nich dzieliła, i widziałem, jakbym był cały na miejscu. Te szczyty, tak ostre, że ledwo się na nich spojrzeć nie zaczęli, to są milowe moze płaszczyzny; te garby rozsiadłe są najeżone krociami skał ostrych, niedostępnych; te ciemne prągi w różnych kierunkach, jak żyłki marmuru, to są wielomilowe doliny, wąwozy, rozdoly, niezgłębione parowy, przepaście, do których dalekie tylko spojrzenie dolecieć może — a między nimi świat, spojrzeniu nawet niedostępny, myśli ludzkiej nawet nieznany, świat osobny, różny od wszystkiego, co wiemy, świat zimny, zgrozy, martwoży, zamknięty kołem trudów i niebezpieczeństw nad wszelkie siły ludzkie, nad wszelką odwagę ludzką.

Nie tracę jednak nadziei dotknąć się bliżej tego wszystkiego, ale to tak prędko nastąpić nie może. Od połowy września, a nawet wcześniej, do większej połowy czerwca głęboka Tatrzów zasypana jest takimi śniegami, obwarowana powietrzem tak zimnem, że najzapaleńszy kochanek przyrody z całą swoją odwagą i wytrwałością musiałby się od nich cofnąć, albo co chwila zagrożony jest śmiercią w otchłani śniegu pod lawinami, albo w objęciach mrozu. A tymczasem dookoła mnie rozwija się pełna

wiosna; ciepło coraz mocniej dogrzewa. Dokola pogoda, zieloność, kwiaty, szum wody swobodnej — u samego nawet podnóża lodowców ciemnieją wzgórza, umajone puszcami świerków i zielonemi polanami... Cóż stąd? Potrzeba czekać. Czekajmy!

PODHALE — WIEŚ ŁOPUSZNA.

3 maja 1932.

Ponieważ nie możemy puścić się dalej, obeznajmy się nasamprzód z tem, co nas najbliżej otacza.

Wieś Łopuszna leży na połowie prawie drogi między Czorsztynem i Nowym Targiem, nad brzegiem Dunajca; przebiega przez nią także potok, tegoż, co i wieś, nazwiska.

Wieś dosyć wielka, skupiona częścią największą ku Dunajcowi, w części rozsypana pojedynczemi chatami po górach, które się natychmiast ode wsi poczynają i rosną stopniami do niepospolitej wysokości. Góry te są na północ wsi i wchodzą do składu pasma, które osłania całą północną stronę Nowotarskiej doliny. Widok w tym kierunku zamknięty jest górami blizkimi i krótki w porównaniu do widoku na południe i zachód; na południe olbrzymie grono Tatrów, na zachód także góry, o wiele razy odleglejsze, niż Tatry, niższe od nich, ale wnieńczone wysokościami Babiej góry i Żywca.

Wieś Łopuszna jest własność obszerna; grunta jej w niektórych kierunkach rozciągają się do dwóch godzin drogi; w górnej części prześliczne lasy, odwieczne, pełne drzew wszelkiego rodzaju, mianowicie buków, jaworów i t. p. Między lasami liczne polany. Część dolna, płaszczyna naga, w części nieprzydatna na nic dla moczaru i torfów, a nawet miejsca, uprawiane z wielkim trudem, skąpo wracają nakład uprawy. Rolnictwo jest tu zatem rzeczą podrzędną, zysk z niego prawie żaden; najważniejszym jego przedmiotem owies i ziemniaki. To samo na całym Podhalu. Główny dochód dziedzica podobnej wioski jest wynajmowanie polan na wypas trzód, i pędzenie wódki. Właściciel Łopusznej ma także gorzelnię. Mimo tych wszystkich niedogodności, mimo ziemi nieurodzajnej, pań-

szczyzny malej, czynszów także nie wielkich, mimo podatków najuczciwszych, można przy dobrym zarządzie i roztropnej oszczędności prowadzić życie wygodne a nawet składać kapitał. Moi gospodarstwo należą właśnie do tej liczby rządnych i dostatnich właścicieli. Życie domowe skromne, ale zaspakaja dostatecznie konieczne potrzeby człowieka; niema w niem zbytku, niema wykwinności, ale nie widzisz niedostatku, nie czujesz braku czegokolwiek.

Dom drewniany, w stylu rodzinnym wszystkich naszych szlacheckich, obszerny, porządnie i mocno postawiony, przyzdobiony krytym gankiem, jak wszystkie nasze ganki, a na ganku poboczne ławki do siedzenia, jak to wszędzie u nas widzimy, mieści wygodnie całą rodzinę, która oprócz gospodarstwa składa się z ojca samej pani T(etmajerowej), żyjącego jeszcze, trojga dzieci i krewnej panny.

Przed domem dziedziniec przestronny, mający po lewej ręce domu drugi domek mniejszy, czyli oficynkę, gdzie kuchnia i mieszkanie służących, z prawej osłoniiony budowlami gospodarskimi.

Dom oceniają z przodu i boków piękne jesiony. W tyle domu ogród niewielki, ale dosyć starannie utrzymany; zdobi go nawet alea świerkowa, bardzo cienista, bardzo miła do przechadzki, zwłaszcza podczas upału. Tuż pod ogrodem bieżąca woda, a nieco opodal, w jednym z kątów ogrodu, rodzaj altany ogrodowej, pozioma, niewielka, o jednym pokoiku i sionkach, ale ustronna, samotna, bardzo dla mnie ponętna. Patrzy ona jednym ze swoich okienek na północne góry i ma niepospolicie ładny widok; patrzy więc nań ciągle, a razem słucha szumu niedalekiej wody, co się bystro przewala przez kamienie, które ją chcą zatrzymać. Ta chatka mnie jest oddana, w niej odtańd moja główna kwatery. Dziękuję moim gospodarzom; nie mogli mi w lepszy sposób okazać swojej dla mnie dobroci. Jestem z niej rad, jak zdobywca z nowo podbitego kraju, lepiej rad. Dobrze mi w niej, dlatego daję jej miejsce w tych zapiskach.

Ale ją opuszczę na chwilę, aby powitać jeszcze jedną budowę, której nie godzi się pominąć; jest to tutejszy

kościółek. Stoi on niedaleko dworu, nad samym Dunajcem. Niepozorny, niewielki, a należy do owych rzadkich pomników religijnych naszego kraju, które z powierzchowności gasną przy olbrzymach gotycyzmu, ale mieszczą w sobie więcej Ducha Świątego, jak większa część owych podziwianych gmachów: jest to tajemnica architektoniczna naszego ludu chrześcijańskiego. Kościółek ten jest jeszcze jeden z owych kościółków modrzewiowych, które sięgają swoim wielkim pierwszymi czasami chrześcijaństwa w Polsce. A że należy do tej rodziny, świadczy rok 1240, wyłożony na jednej z jego belek. Ma on i organy; już je słyszałem.

Szkoda, że nie każdej niedzieli słyszeć je można, bo Łopuszna niema stałego proboszcza. A chciałbym częściej je słyszeć; tak błogie zrobiły na mnie wrażenie, tak rzewne, pośród nabożeństwa przy tym ołtarzu skromnym, gdzie przez tyle wieków powtarza się tajemnica Boskiej ofiary, wśród tych ścian wątych, a mocniejszych, niż budowa niejednego narodu — w atmosferze modlącego się ducha tego ludu, który kolanem swoim odnawia odwieczne ślady pobożności naddziadów swoich i oddaje się Bogu, jak oni przed wiekami oddawali się w tem samym miejscu.

KONFEDERAT BARSKI.

8 maja 1832 r.

Do pomników historycznych a rzadkich, które tu znalazłem, należy ojciec pani T(etmajerowej). Jest to stary konfederat barski, tak już rzadki w tych czasach. Bardzo też rad jestem z jego poznania; jestem tem radniejszy, że znalazłem w nim człowieka, wyższego od innych z owego wieku. Posiada on dokładną znajomość kilku języków; ukształcenie jego jest niepospolite, jak na szlachcica domatora, a jeszcze w takim zakącie, jak Podhale — a nade wszystko uderza mnie sąd zdrowy o rzeczach sfery wyższej, wytrawiony do świadczeniem długiego i nieprzebranego życia. Starzec ten ośmdziesięcioletni, wzrostu miernego, szczupły, zachowuje całą czerstwość władz umysłowych. Siły ciała od roku zaczynają go już opusz-

czać; jeszcze rok temu po całych dniach nie zsiadał z konia, trudnił się gospodarstwem. Dziś pozostała mu nienaruszona siła wewnętrzna i słodycz rzadka w pożyciu. Przez wzgląd na jego zdrowie nie śmiem mu być natrętnym, wszakże i tak dowiedziałem się wiele ciekawego o przeszłości.

Miał lat sześćnaście, kiedy zbiegł tajemnie z domu rodziców do obozu konfederatów, którzy właśnie w tych stronach znajdowali. Nie długo wojował; ojciec go odszukał, wy dobył, zawiózł do domu i wychłostał; wkrótce także rozwiązała się i konfederacja. Później wziął czynny udział w powstaniu Kościuszki. Po upadku powstania wrócił do domu i odtąd żył całym życiem prywatnym. Skłoniła go do tego najwięcej głęboka znajomość swoich społeczeństw, nabyta w życiu czynnym. Odtąd przewidywał wypadek każdego ruchu i nigdy się nie omylił.

Miedzy innymi opowiadał nam jeden przykład z powstania Kościuszki. Kościuszką był wówczas dyktatorem i odbywał przegląd swojego wojska. Zjechało się wiele szlachty z okolicy; jeden z nich postrzeżąc w szeregu powstańców poddanego ze swojej wsi, który tajemnie uciekł do wojska: bez żadnego względu na cokolwiek wyciąga go z szeregu, uderza kilka razy w twarz i każe natychmiast powrócić do wsi, gdzie mu jeszcze zapowiada chłostę za zbiegowstwo. Kościuszką, jakby tego nie widział, odwrócił się i odjechał w inną stronę.

Jeden taki przykład wiele objaśnia. Nasz stary konfederat widział tę rozkielznaną niesforność w każdym ruchu, i to go trzymało już w domu aż do śmierci.

Zachował on z pierwszej swojej wyprawy cały uniform. Wtedy po raz pierwszy widziałem mundur konfederata. Jest to kurta łosiowa z podpiętymi polami — wyłogi są z amarantowej felpy.

Jako sąsiad Czorsztyna, znał ten zamek jeszcze zamieszkanym, żył z jego mieszkańcami i nieraz tam uczładował. Dziś patrzy na ruinę.

GÓRY ŁOPUSZAŃSKIE.

9 maja 1832.

Przez te dni kilka obiegłem całą prawie okolicę górną nad Łopuszną, poznałem się z bliższymi mnie przedmiotami.

Mniej mię zajmuje strona dolna. Jest to płaszczyna, która w sobie samej niema nic nęcącego, oprócz widoku na Tatry. I tu jednak przechadzka jest miła, zwłaszcza ku granicy węgierskiej. Lubię chodzić w tym kierunku: jest tam kilka skał ogromnych, samotnych, rzuconych jakby dla przerwania jednotonności tych płaszczyn. Takimi są: Kramnica nad Białą i Cisowa Skała między wsiami Nową Białą i Gronkowem.

Cisowa Skała szczególnie zatrzymała moją uwagę. Sterczy ona wśród płaszczyny, jak samotna wieża, naga w największej części; można jednak wejść aż na jej wierzchołek, który jest płaski i dosyć przestronny. Co szczególniejsza, że podobne skały znajdują się wzdłuż całego pasma Tatrów, na równoległej prawie od nich linii i w niewielkiej odległości: tworzą one jakby łańcuch szczydłwachów przed górami. Skały te są wapienne i znacznej wysokości. Staszyc, o ile sobie przypominam, w swoim dziele o „Ziemiorodztwie Karpatów“ zastanawia się nad niemi; nie pamiętam, jakie daje zdanie.

Reszta płaszczyny z tej strony Nowego Targu, oprócz kilku sosnowych lub świerkowych borków, przedstawia pola nagie, częścią w rolach uprawnych, a częścią w odłogach jałowych, w bagnach, torfowiskach; zgoła przypomina nadmorskie płaszczyny, zwane u Francuzów „landes“, z jednym dodatkiem mnóstwa kamieni na całej powierzchni, tu przysłoniętych nikłą murawą, ówdzie bez żadnej osłony, coby łagodziła widok tej dzikości.

Całkiem inny kraj na północ wsi, w jej stronie górnej. Rolnik wprawdzie znajdzie tam jeszcze mniej, jak na dolinie, pola dla swojej pracy, ale życie roślinne samorodne jest bez porównania pełniejsze, silniejsze, wyższe: wszystko tam jest pastwiskiem lub lasem. Niektóre polany, zwłaszcza w położeniach niższych i w sąsiedztwie wód, nie ustępują najładniejszym łąkom; taka bujność trawy i ob-

fitość kwiatów. Co do lasów tutejszych, to tylko góry Karpackie mogą podobne wypieęgnować; nie ustępują one niezawodnie ani naszym borom poleskim, ani nawet dziewiczym puszczoł amerykańskim, jak je nam opisują; trzeba cokolwiek zapuścić się w ich głębią, trzeba widzieć ogrom drzew, gęstwą zarośli, stopy warstw powalonych i porośłych już nowymi lasami, aby sobie powiedzieć, że takie być muszą puszcze, nie zbadane dotąd, nie tknięte ani ręką, ani nogą ludzką.

Znajdziesz to na mniejszą skalę, w mniejszym obrębie, wśród lasów Łopusznej. Trafiłem nieraz na takie miejsca, że jest zupełnem niepodobieństwem przedrzeć się głębiej, przebić tę sieć żyjącą drzew, gałęzi, roślin, które ci ze wsząd zastępują, jak wał warowni. Oczyszczanie lasów jest tu niepodobne. Korzystać ze sprzedaży drzewa bardzo mała w porównaniu z wydatkiem, koniecznym na taką pracę. Spuszczanie drzewa odbywa się powszechnie nad wodami bieżącymi, na górach spadzistych, skąd drzewo zrąbane i oczyszczone z gałęzi samo ześlizgiwa się aż ku wodzie; gdzie niema tych warunków, tam sprowadzają drzewo jak najmniejszym trudem i kosztem, ze wzgórzów bliższych, dostępniejszych, mających drogi dogodniejsze. A tymczasem w górach głębszych i trudniejszego przystępu burze, ulew, potoki, robaki wałają co roku drzewa na drzewa, warstwy na warstwy, z czego powstaje dziwna ruina, która służy i za warownię tym lasom i za kolebkę późniejszym ich pokoleniom. Mam próbkę tej uprawy lasów przez samą rękę czasu, za pomocą żywiołów przyrodnych, w górach Łopusznej, które dotąd mogłem zwiedzić.

Góry Łopusznej składają się z licznych garbów mniej ostrych, lub krągłych, lub płaskich, między którymi snują się doliny, parowy, wąwozy, mniej więcej głębokie, jedne bezwodne, inne ożywione potokami; przez nie tworzą się oddzielne wzgórza czyli szczyty, a każdy szczyt z własnem swoim nazwiskiem. — Między takimi szczytami w górach Łopusznej są znaczniejsze: Centyrz, Magóra, Wielka-Góra, Turniska, Groń, Wyżnia, Ciaski, Kluczki i inne, których nazwań nie wiem. Ogół ich, jako mający szczyty różnej wysokości, układa się w stopnie

i tworzy niejako amfiteatr, którego częścią najdalszą i najwyższą są Kluczki.

Różne są oblicza tych szczytów: niektóre dzikie nagimi skałami, jak n. p. Turniska, inne przeciwnie: odkryte, wesole, ożywione źródłem lub jeziorkiem, jak np. Wyżnia. Ale podobne szczegóły na później. Tą razą chcę tylko zachować ogólny rys najbliższej mnie okolicy, jak mi się przedstawiła przy pierwszym poznaniu się.

WYCIECZKA DO ZAKOPANEGO I KOŚCIELISKA.

15 maja 1892.

Ciekawość moja zaspokojona po części, a w największej części rozbudzona bardziej. Widziałem Zakopane i Kościelisko, zjrzałem w Tatry, ale w czasie tak nieprzyjawnym, tak dorywczo, że nie mogę nawet powiedzieć, abym już wszedł choć na ślad prawdziwego wyobrażenia o Tatrach. Zdaje mi się, że byłem tylko w sieniach domu i wróciłem się z sieni.

Bądź co bądź jestem rad z tej dorywczej przejażdżki.

Widziałem, czegom dotąd nigdzie jeszcze nie widział. Widoki, piękności, wrażenia tego rodzaju były mi dotąd nieznane. Jeżeli doznał zawodu, wina okoliczności: przepowiedzieli mi go znający niedojrzałość pory. Ale trudno było czekać. Jeden z moich najstarszych przyjaciół, mający przed sobą daleką i pilną podróż, raczył zboczyć z drogi z towarzyszem podróży dla odwiedzenia mię w moim podhalskim zakątku. Świat goralski był mu, równie, jak mnie, nieznany: miał ciekawość, jak ja, zająrzeć mu w oczy choć pod zasłonę. A więc zobaczymy przynajmniej Zakopane i Kościelisko. Jedźmy! — I pojechaliśmy.

Zaczęliśmy od doliny, zwanej Zakopane. Czas nam sprzyjał i czas nas pędził. Niegłęboko zapuszczaliśmy się, a, cośmy obejrżeli, to było jednym rzutem oka. Resztę czasu zabrał nam obiad i rozmowa z niektórymi urzędnikami znajdujących się tam hamerni. Wszystko to odbyło się pędem kilku godzin. W kilka dni opuściliśmy to miejsce. Ja wyniosłem z niego poznanie zacnego człowieka i notatkę w duszy losów majora Nikorowicza, który tu

wiele ucierpiał z tęsknoty rodzinnej i umarł. Nie żałuję dnia, tak spędzonego w Zakopanem.

Dosyć już późno stanęliśmy w dolinie Kościeliskiej. Po ciemku wjeżdżaliśmy do niej; tego wieczora nic widzieć nie mogliśmy. Musieliśmy przestać na poznaniu karczmy miejscowej. Znaleźliśmy ją porządnie wymurowaną, ale oprócz tego nic, albo mało co więcej.

Ranek nie polepszył naszego położenia, a zepsuł nam humor: pierwsze wejścia nasze padły na błoto po nocnym deszczu i na powietrze, zasępione mgłą, która się nie różniła od drobnego deszczu. Mimo to wyszliśmy na obejrzenie doliny i obeszlśmy jej część najciekawszą. I tej jeszcze chwili nie żałuję. Mimo ścieżek rozmokłych, mimo mgły gęstej, ómiającej najbliższe nawet przedmioty a leżące na miejscach dalszych i na wyższej części gór, otaczających dolinę, byliśmy nieraz wzruszeni, zadziwieni, upojeni, porwani urokiem miejsca, a którego nie mogła zagasić sama niepogoda. Doszliśmy tak aż do jeziorka, zwanego Smerczyn Staw. Dalsza droga, w najpiękniejszym czasie niebardzo wygodna, stawiała obecnie nieprzyjemności, na które nie wszyscy z nas narazić się chcieli. Na tem skończyliśmy dzisiaj naszą podróż do Tatrów.

Wróciwszy do karczmy, zostaliśmy zaproszeni przez miejscowego urzędnika na śniadanie. Tam się umysły nasze wyjaśniły. Dla obecności zapomnieliśmy o przeszłości. W gościnnym urzędniku znaleźliśmy milego i uprzejmego człowieka, w jego żonie jeszcze miłszą kobietę a równie uprzejmą dla swoich gości. Pożegnaliśmy ich ze szczerą wdzięcznością za ich dobroć, a to nam pomogło pożegnać Kościelisko bez żalu do kogo lub czegokolwiek. Przyszło mi to łatwo, bo już na miejscu uknułem zamiar rychłego powrotu w te strony i miałem pewne przeczucie, że mu nic nie przeszkodzi.

W miarę oddalania się od podnóża Tatrów powietrze się wyjaśniało, słońce dogrzewało; wkrótce znaleźliśmy się wśród pięknej wiosny. Nie był to jednak skutek zmiany czasu, tylko zmiany miejsca: za nami ta sama chmura mgły leżała ciągle na Tatrach i dolinę w tej chwili może ulewny deszcz chłostał.

Po dwóch lub trzech godzinach jazdy stanęliśmy w Nowym Targu dla obiadu i pożegnania moich gości. Była to chwila jedna z najrzewniejszych dla mnie w moim tu pobyście. Rozstawałem się z najdawniejszym moim przyjacielem, abyśmy wkrótce znaleźli się o kilkaset mil od siebie i Bóg wie, na jak długo. — Z tem rzewnem uczuciem, nie bez łez zobopólnych, pożegnaliśmy się i w kilka minut byliśmy już na naszych drogach: on ku zachodowi, a ja ku wschodowi.

Z WIELKIEJ GÓRY. — GÓRY TATRY. — DZIECI GÓRALSKIE.

12 maja 1832.

Cale Tatry białe od śniegu, który tej nocy spadł w górach. Nawet wyższe przedgórza po tej stronie doliny, od północy, pokryte są śniegiem w górnej swojej połowie. Niema go całkiem w strefie niższej, koło mnie; przeciwnie, dzień dziwnie piękny i jasny. Dziś widzę najwyraźniej góry, zwane tu Fatrami. Leżą one na drugim brzegu Wagu i stanowią jakby odrębne grono od Tatrów.

Z rana obiegłem płaszczyznę ku Węgrom. Byłem aż na Cisowej skale. Dochodząc do niej, miałem widok, który mnie mocno zajął. Dokoła pasły się trzody, a na spiczastym szczycie Cisowej skały kilkunastu pastuszków, dzieci jeszcze, śpiewali i tańczyli. Coś dziwnego było w tym widoku. Ich strój góralski, obcisły, krótki, ich guńki, spuszczone z rękawów, zapięte tylko pod szyją, ulatujące wśród tańca, ich ruchy szybkie, zwinne, polotne, a wszystko to w blasku podnoszącego się słońca, przedstawiło mi jakąś fantastyczną grupę nadpowietrznych tancerzy.

W istocie dzieci góralskie nie są to nasze zwyczajne chłopskie dzieci. Natura ziemi rodzinnej, rodzaj życia i zatrudnień, rozbudzający silnie wszelkie władze, konieczność fizyczna ciągłego pasowania się z trudami, z niebezpieczeństwami, samo powietrze ostre, ale czyste i lekkie, zresztą pewna swoboda, nieznana wieśniakom innych okolic, sprawiają to, że dzieci góralskie szybciej się rozwijają, jak inne. W tem drobnem ciałku widzisz już dotykalnie pełny

zaród przyszłego górala, jego dobre i złe własności. Wiesz już w tem chłopięciu taką zręczność, przytomność, śmiałość, taki dowcip, a razem taki upór, taką zaciętość, że nie znajdziesz tego w równym stopniu u dzieci innych okolic.

Słyszałem wiele o tem. Ażeby dać próbkę ich naprzekład zręczności, opowiem tylko, jak polują na węże. Sposób wprawdzie prosty, ale wymaga i zręczności i odwagi. Skoro ujrzy węża, rzuca się na niego skokiem rysia i w temże mgnieniu oka chwytą go dwoma palcami jednej ręki za szyjkę przy samej głowie, a drugą ręką za ogon — i już go ma w swojej mocy. Następnie, żeby go zrobić zupełnie nieszkodliwym, wkłada mu w pyszczek brzeg swojego kapelusza; jak tylko wąż schwycił go i ścisnął zębami, chłopak jednym szarpnięciem kapelusza wyrzyna wężowi zęby i wtedy jest już z nim bezpieczny.

Oto inna powiastka, malująca już w dzieciach twardość charakteru góralskiego.

Dwóch kilkoletnich chłopaków dojrzało w jednej skale gniazdo jakiegoś ptaszka. Skala wysoka i tak przykra, że z dołu nie podobna dostać się do gniazda, ale można wdrapać się na szczyt, a gniazdo leżało blisko szczytu. — Biorą się więc na taki sposób: wylażą na wierzch, jeden kładzie się na głazie, który wystawał nad gniazdem, bierze drugiego za nogi i spuszcza go ku gniazdu głową w dół. Pomysł udał się; gniazdo, zdobyte z piskletami które się w niem znajdowały. Ale rozpoczyna się spór — w tem samem położeniu obu: jeden leży na skale, a drugi wisi w powietrzu, na łasce leżącego. Leżący wymawia sobie naprzód taki udział w zdobyczy, że wiszący nie chce na to przystać; pierwszy zagraża, że go puści — drugi nie zważa na to. Ciągnie się ten spór dosyć długo, a kiedy zdobywca gniazda nie dał się pokonać groźbą, pierwszy skutecznie ją i puszcza drugiego. Wysokość była znaczna: zacięty chłopak nie zabił się wprawdzie, ale się bardzo pokaleczył, a podobno nawet złamał sobie rękę czy nogę. Ale postawił na swoim.

Oto są górale: jak jedno, tak drugie z tych dwojga dzieci, w zawiązku swojego charakteru, który z latami tylko się rozwija i wzmacnia.

Z GÓRY GROŃ. — METEOROLOGIA GÓRALÓW.

25 maja 1882.

Nigdy jeszcze Tatry nie wydały mi się tak wyraźnie, tak okazałe, tak blisko, jak dzisiaj, z tej wysokości. A im wyżej postępuję, tem bardziej płaszczą się podnóże ich przedgórze, one zaś, jakby chciały przybrać postać okazalszą, podnoszą się, rosną, zdają się podchodzić ku mnie. Zdumiewam się mimowolnie, widząc je tak blisko siebie, owe góry, co są o kilka mil ode mnie.

W pierwszym złudzeniu o małym się nie podjął policzyć drzewa, rozsypane po nich; o małym nie oznaczył kwadratową przestrzeń każdego płatka ich śniegów. Owa ogromna szerokość Nowotarskiej doliny zwinęła się w głęboki, wązki rozdół, jej lasy zamieniły się w ciemne plamki na dnie jego, Dunajec w taśmę blasku. Zmniejszyło się, co pode mną, rozszerzyło się, co przede mną.

Skutek to wysokości mego stanowiska, a jeszcze więcej przepowiednia blizkiego deszczu, według meteorologii góralów, a można być pewnym, że się nie mylą. Mogę im przyświadczyć z własnego mego doświadczenia przez ten krótki czas pobytu w górach. Wiele razy miały nadejść dni deszczowe, przejrzystość powietrza podwajała się, a wszystkie przedmioty zbliżały się do oka na podziw. Powietrze zamieniało się w szkło przybliżające i powiększające. Zresztą zjawisko to nie jest do niewytlómaczenia.

Co mnie zawsze rwało w stronę ludu prostego, to ten jego związek z przyrodą niby martwą, owo ich porozumiewanie się wzajemne. Rozrzucają mi nieraz dowody miłości, któremi stworzenie niższe odplaca wieśniakowi jego miłość dla siebie. Raz, w jednej z moich podróży, wypadło mi zajechać na noc do chłopa; było to zimą, w mróz trzaskący, jak powiadają. Śród pogadanki z gospodarzem dotknąłem mrozu, który mi był nie na rękę. Obawiałem się jeszcze silniejszego nazajutrz. — „Niech pan będzie spokojny!“ odpowiedział mi wieśniak. „Jutro będziemy mieli odelgę“. A kiedym go spytał, skąd to wie: — „Moja lipa gwiżdże!“ odpowiedział mi znowu. Prosiłem o wyjaśnienie i dowiedziałem się, że ta lipa, którą zapewne uważałem przy jego chacie, przepowiada mu wszelką

zmianę pogody. Jeżeli huczy głucho, a silnie, to znak ogromnej burzy; kiedy puszcza z siebie jakby wystrzały, to silny mróz przybliża się — a zapowiada odelgę, kiedy gwiżdże różnemi głosami. W rzeczy samej nazajutrz rano przekonałem się, że lipa prawdziwie wróżyła: w nocy mróz przeszedł i odbywałem w cieple dalszą drogę.

Na Ukrainie znalazłem wieś, której barometrem był las poblizki. Z szumu tego lasu wiedziano o kilkanaście godzin wszelką zmianę pogody.

W Mikołajowicach pod Tarnowem, a zapewne i w całej tej okolicy, pewni są zmiany powietrza, kiedy pod zachód słońca strona nieba od Węgier przybiera pewien blask złotawo-różowy; nazywa się to u mieszkańców zorzą węgierską.

Górale Podhalanie, zamknięci jeszcze bardziej, niż inni, w pewnem kole, mają może więcej, niż inni, podobnych przepowiedniach znamion. Zapisalem sobie niektóre.

Kiedy waży grzechoce, kiedy bociany krążą nad Nowotarską doliną, kiedy się Tatry przybliżają, kiedy Babia-góra zaczyna chmurzyć się, albo, jak góral mówi: „czepek nadziewa“ — to są znaki pewnego deszczu.

Chmura od północy lub południa przynosi grad w okolicy Nowego Targu.

Wielka powódź nastąpi, kiedy mgła, bardzo przezroczysta, woniejąca siarką, zalegnie powietrze — albo kiedy się napotyka węże, wylazące na drzewa.

Podobnych przepowiedni jest bez wątpienia więcej i na wszystkie przypadki. Lud z tej strony zasługuje na zbadanie. Jest to jego strona wysoce poetyczna, bo poetyczna rzeczywistością, wtajemniczeniem się ludu w życie przyrody rodzinnej, spółzycie z nią głębokie, ścisłe, duchowe. Ale ta poezja, jak wszelka we wszystkich poezjach, nie zdobywa się tak łatwo. Choćbym i wiedział, jak ją zdobyć, nie mógłbym tu, przez szczególne moje położenie, zastosować mojej wiedzy, chyba w cząstce, nic prawie nie znaczącej. Nie wątpię, że się znajdą szczęśliwsi ode mnie.

Lud tutejszy ma jeszcze osobny rodzaj znaków, przepowiadających nadzwyczajne wydarzenia, klęski publiczne. Trwoży się on, kiedy np. śpiewają koguta, podobny

jest do płaczu dziecka, albo do miauczenia kotów, lub ma w sobie inne tony, niewłaściwe jemni, kiedy także znajdzie się kogut, nie mający w ognie szóstego piórka.

ŚWIAT DUCHOWY PODHALAN.

STRZYGI, UPIORY, WILKOŁAKI, BOGIŃKI, DZIWOŻONY.

26 maja 1832.

Winienem pośrednictwu pani T(etmajerowej) ważne dzisiaj posiedzenie ze starą górką. Przedmiotem głównym naszej rozmowy był świat nadmysłowy Podhalan. Słyszałem już o tem niemało z różnych stron; stara Plewina zbogaciła znacznie zapas moich wiadomości. — Gdybyż jeszcze chciała była wypowiedzieć wszystko, co wie — ale widziałem, że nie śmiała otworzyć się do dna, na co zresztą trzeba być przygotowanym z temi ludźmi, a przez naszą winę. Nie łatwo nam zetrzeć z czoła naszego tę plamę Kaimową za zabijanie rozumem ducha; my nie wiemy o niej, ale ją lud widzi i, żebyś nie wiedzieć co robił, ma się przed tobą na bacności, jak przed wężem; wiele, wiele potrzeba, aby ci się zupełnie powierzył. Wszakże znalazłem moją górkę mniej zamkniętą, niż się spodziewałem, i w istocie rozmawiałem z nią w tak dobrej wierze, z powagą, tak odpowiednią przedmiotowi rozmowy, że musiała to czuć i widzieć.

Z podobną przeto szczerością opowiadała mi przykład z własnego swego życia, dowodzący istnienia złośliwych duchów, zwanych strzygami. Była wówczas młodą jeszcze dziewczyną, kiedy jednej nocy poczuła przez sen boleść ręki, jakby od ukąszenia. Ocknęła się natychmiast i czuła coś około siebie, nie mogąc widzieć dla ciemności nocnej, ale strach ten zdawał się jej mieć postać ludzką. Zniknął, skoro się zbudziła, zostawił tylko na jej ręku ślad zębów, jakby ludzkich, co nazajutrz po dniu widziała i nosiła przez dni kilka. Szczęście jej, że się obudziła, bo stryga dusi ludzi, jak upiór, albo ich zabija wysysaniem krwi, podobnie, jak upiór. Strzygi, strzygonie są

więc rodzajem duchów złośliwych, nowych, mających pokrewieństwo z upiorami, może nawet są tem samem, tylko pod innem nazwiskiem: nie mogą przynajmniej schwycić, w zbyt ogólnem opisywaniu, charakterystycznych rysów, im tylko właściwych.

Upiory grają i na Podhalu tę samą krwawą rolę, co w całej Słowiańszczyźnie. Straszna ich głośność uwalnia mię od przytaczania, co tutaj o nich słyszę, a nie chcę powtarzać rzeczy, powszechnie wiadomych.

Do tego plemienia należą jeszcze wilkołaki. Wilkołak jest to człowiek żyjący, albo pod przekleństwem, które go zmusza niekiedy przeobrażać się w wilka i w tej postaci złe wyrządzać: jest to mocniejsze od jego woli ludzkiej, jest to kara, przekleństwo za jakąś zbrodnię, stan pokutny najcięższy, bo jeszcze bardziej pogarsza dolę człowieka. Znałem na Ukrainie młynarza; był to starzec, rzadny gospodarz, człowiek uczciwy, ale w mniemaniu swoich sąsiadów uchodził za wilkołaka. Mówiono o tem z pewnem politowaniem dla niego, jak o nieszczęściu fatalnem, ale zarazem bano się go. Wilkołak jest także powszechnie znany w naszym kraju, ale nie wszystkim zapewne wiadomo, jakim sposobem człowiek-wilkołak przemienia się w wilka. Oto, po prostu, ile razy napada go taka konieczność, wychodzi na pień zrąbanego drzewa dając z niego koziołka na ziemię i powstaje wilkiem. To samo robi, kiedy ma wrócić do ludzkiej postaci.

Wilkołak jest jedną ze złych istot najszkodliwszych. Niszczy bydło, rzuca się na ludzi; jest to niejako wyższy stopień wściekłego wilka, dlatego rzuca wielki postrach na swoją okolicę; sprawa z nim trudniejsza, jak z wilkiem zwyczajnym.

Inne jest plemię, różne od wymienionych dopiero złośliwych duchów — plemię boginiek. Bogińska może się uważać za to samo, co francuzka *fée*; jest ona pokrewna rusałkom, ondynom i im podobnym. Mówiąc nawiasem, ta nazwa bardzo mi się podoba i najlepiej, według mnie, odpowiada francuzkiej nazwie *fée*.

Bogińki góralów zaludniają lasy, wody, góry, jak starożytne greckie nimfy i dryady. Posłania ich są fantastyczne i wdzięczne. Trwożą one ludzi, zwodzą, wyrzą-

dzają psoty, zato niekiedy sprzyjają im, służą w dobrem usposobieniu; mało albo nic nie różnią się pod tym względem od ludzi. Jednem słowem, mają te same przymioty, co ich pokrewne w innych krainach. Nie mam szczegółów, któreby mi posłużyły do dobitniejszego ich opisu.

Najobszerniej rozpowiadają tu o dziwożonach. Jest to także ród istot nadprzyrodzonych, utwór, zdaje się, góraków, i im samym tylko właściwy.

Jak rusalki, lubo istoty złośliwe, są jednak przez formę swoją wietrzne, piękne, wabiące w harmonii z przyrodą, sobie ziemią, tak dziwożony mają rysy charakterystyczne, odpowiednie więcej surowości i dzikości ojczyznej okolicy: całe ciało niezwykle kosmate, włos głowy długi, rozpuszczony, piersi nadzwyczajnej wielkości — na głowie czerwona czapeczka z gałązką paproci. Ulubionem ich pożywieniem jest jakieś ziółko, zwane *słodyczką*.

Dziwożony najstraszniejsze były matkom, ponieważ porwały im dzieci. Dlatego czatowały przy chatach położnic i, skoro znalazły chociażby matkę, ale bez mężczyzny w domu, brały niemowlę, a na jego miejscu zostawiały swoje, które są zazwyczaj krzykliwe, złe, bardzo brzydkie, jednem słowem: rodzaj wyrodka. Wszakże można odzyskać porwane dziecię następnym sposobem: skrzywdzona matka wynosi podrzutka na śmietnik, smaga go różgą, napawa ze skorupki jaja i woła: „Odbierz swoje, oddaj moje!“ Dziwożona, tknięta w macierzyńskie uczucie płaczem bitego dziecka, odnosi pokrywom porwane dziecko, a swoje napowrót zabiera.

Dziewczyny nawet dorosłe nie były od nich bezpieczne: trafiały się częste wypadki porwania ich przez dziwożony.

W tej osnowie opowiadano mi następną powiastkę miejscową. Jednego dnia zniknęła nagle z Łopusznej młoda i ładna dziewczyna; gdzie i w jaki sposób? żadnego nie było śladu. Długi już czas upłynął od tego zniknięcia, kiedy jeden z mieszkańców Łopusznej, zaprowadzony jakąś potrzebą w głąbią gór Łopuszańskich, ujrzał u jednego potoku, wśród największej dziczy, dziewczynę, piorącą bieliznę. Zbliżył się i poznał dziewczynę zginioną. Ta poznała go równie: opowiadała, że ją dziwożony po-

rwali, i wkońcu błagała, aby ją z rąk ich wybawił. Góral chętnie się do tego przychylił, a ponieważ pora obecna nie była po temu, umówiono więc pewien dzień, w którym ona znowu prac tu przyjdzie, a góral przyjedzie konno. Góral dotrzymał umowy, przyjechał w dzień naznaczony, znalazł dziewczynę, schwycił ją na koń i ruszył ku wsi. Ale dziwożony postrzegły to i puściły się w pogoń takim pędem, że już już dościgały uciekających.

Było to właśnie wśród łąki, na której gdzieś rośli gromadami kwiatki, dzwonki zwane. Dziewczyna, widząc niebezpieczeństwo, krzyknęła do towarzysza: „Trzymaj się dzwonków!“ Góral usłuchał i kierował ciągle konia między dzwonkami, do których dziwożony przez jakąś tajemniczą własność tego kwiatu, przystąpić nie mogły; kiedy więc musiały kołować, przez ten czas uciekający, mając drogę prostszą, wymknęły się z dziczy i do wsi dobiegli.

Dziwożony, podobnie jak rusalki, śmiały się tylko z kobietami, lękają się mężczyzn. Zdarzyło się raz, że góral nadybał dziwożoną w swojej rzebie, po prostu, na kradzieży. Dziwożona zdołała się wymknąć, ale została w ręku górala jej czapeczka; nieboga przybiegła wieczór pod jego okna i śpiewała żałośnie:

Chłopczku, chłopczku, wróć moją czapeczkę,
Nie będę już chodzić na twoją rzepeckę.

I tak go błagała, dopóki jej nie oddał zdartej czapeczki.

Dziwożony miały zapewne i mężów, ponieważ miały dzieci, ale tego szczegółu rozjaśnić sobie nie mogę; nie o tem dotąd nie słyszałem.

Nie wiem, jaka była obszerność ich dziedziny, czy obejmowała całe Podhale, czy jego część pewną; to tylko niewątpliwe, że dziwożony przemieszkwały w okolicach Łopusznej. Pokazywano mi pieczarę, gdzie przed laty miało być główne siedlisko dziwożon. Leży ona w urwistym boku Małogóry, na polach Łopusznej, nad potokiem, zwanym takż Łopuszną. Otwór pieczary zawalony dzisiaj takimi głazami, że potrzeba ciężkiej i długiej pracy,

aby go oczyścić. Wewnątrz jej ma się znajdować pełno dziwów do niewypowiedzenia: podziemne przechody w różnych kierunkach, a długie na wiele mil, złote mosty na podziemnych wodach, ściany z drogich kamieni, i tym podobne bogactwa i osobliwości.

Zastanawiając się nad stanowiskiem dziwożon, widzę w tem pewien ślad pobratymstwa wyobrażeń między naszym ludem góralskim, a ludami wschodnimi. Wiadomo, że *diw* wschodni jest rodzajem złośliwego geniusza. Nasze *dziwo* w najwłaściwszem znaczeniu tego słowa odnosi się głównie do zjawiska, mniej więcej potwornego, i odpowiada zupełnie wyobrażeniu ducha, który na wschodzie zowie się *diw* i jest w pewnem pokrewieństwie z naszą dziwożoną.

Nie ja pierwszy jestem uderzony tem powinowactwem niektórych wyobrażeń duchownych naszego ludu z wyobrażeniami duchownymi Wschodu. Już Staszyc mówi w swoim „Ziemiurodzitwie“, że mu się zdarzało słyszeć między góralskami karpackimi nazwiska duchów, znane w mitologii perskiej; wymienia nawet niektóre, ale ich nie pamiętam. Stąd nie kładę tej okoliczności na karb przypadku, obyczajem bardzo wygodnym, który szybko rozstrzyga wszelką zagadkę, ale jej nie rozwiązuje.

Ja przynajmniej nie mam po prostu odwagi rozwiązywać tym sposobem podobnych zagadnień. Tyle razy musiałbym uciec się do przypadku, że wkrótce oburzyłbym się na siebie i możebym sobie powiedział: Ej, głupi jesteś!

Nie tu miejsce wymieniać te wszystkie przypadki, które mam pod ręką, ale mniemam, że i tu jest miejsce życzyć, abyśmy bez uprzedzenia zwrócili laskę naszych badań w tym kierunku. Kto może naprzód wiedzieć, na co padnie jej światło, co nam odkryje?

NIEKTÓRE ICH WYOBRAŻENIA I POWIEŚCI W TYM PRZEDMIOCIE.

27 maja 1892.

Waham się, czy iść dalej światem tajemniczym, w który się zapuściłem, czy cofnąć się? Postanowienie nielatwe.

Opuścić go nie mogę; iść dalej, a tembardziej prowadzić drugich dłużej — może ich znudzę, może rozśmieszę? — Nie o mnie tu chodzi, ale o drugich... Tymczasem prze-wracam machinalnie „Nowe Ateny“, dzieło zeszlowieczne, pełne erudycyi i dobroduszości księdza Chmielowskiego i przypadkiem natrafiam właśnie na miejsce, gdzie mówię o górach karpackich. Oto dosłowny wypis:

„Karpát-góra, a raczej długo ciągnących gór kontynuacja, nazwana od słowa „carpo“, że tam zbierają różne profity obywatele i minerały, albo od miasta Carpis starożytnych Bastarnów. Niemcy ją zowią górą śniegową, Węgrzy Tarczacz, Polacy Tatrami, iż ku krajom tatarskim nadała się; nazywają się i Beskidami. Widać z nich na mil 20 a czasem 30, gdy wypogodzona aerya. Kamień, stamtąd rzucony, niżej się stoczy na dół, wiele inszych ruszy z sobą w kompanii. Śniegi tu po całym leżą lecie, *sensim* czernieją, w jakieś obracają się robactwo. Dzikich kóz na nich mnóstwo, nie nogami chodzących, ale na rogach się od galezi i skał zawieszających. Rodzą się w nich kryształ, dyamenty, różne metale, według Szentywaniego. Na samym wierzchołku gór jest źródło, a raczej jezioro, Oculus maris zwane, gdzie sztuki statków morskich często wypływają; znać, że z morzem ma komunikacyą“.

No, pomyślałem sobie, dotąd nie powlokłem jeszcze Tatrów taką tajemniczością, jak autor „Nowych Aten;“ nie zaszedłem jeszcze tam, gdzie on dobiegł, mogę iść dalej. Utwierdził mię w tem przedsięwzięciu drugi ustęp:

„W ziemi Sandeckiej, wyższej, jest między górami źródło, które ma tę własność, że, jak kto z niego wody nabierze, to zaraz niebo się chmurzyć zaczyna“.

Tego nie dosyć. W towarzystwie podobnego pisarza mogę się na wszystko odważyć, a brak powagi z głębokiej nauki i z cytacyi znakomitych zastąpię szczerą wiarą w niezaprzeczone dla mnie istnienie świata duchowego, najmocniejszym przekonaniem, że we wszelkiem wierzeniu ludu, we wszelkiej baśni jego, skoro umiemy obejrzeć je z różnych stron, trafimy na prawdę bardzo głęboką i bardzo pożyteczną. Bez tego przekonania, do którego przyszedłem własnem doświadczeniem, nie zapisywałbym

jego powieści, nie słuchałbym ich nawet. Ale mój komentarz zachowuję na ten raz dla siebie samego, chcę być tylko prostym opowiadaczem rzeczy słyszanych; dąsyć dla mnie, jeżeli będą przyjęte jako próbki poetyckiej fantazyi góraków.

Wielka część tych powieści ma za główny przedmiot ogromne bogactwa, ukryte w górach. Nie wiem, czemu to przypisać: czy wyobraźni, drażnionej chciwością, czy przeczuciu bogatych kopalni w ziemi rodzinnej, czy temu bogactwu wewnętrznemu, które Arabom wydało „Tysiąc i jedna nocy?”

W tym duchu są próbki następne.

W jednej ze skał nad Morskiem Okiem leży pieczara, zaledwo dostępna, tak jest obwarowana zaroślami kozo-drzewiny. Ktoby miał odwagę dostać się do jej wnętrza, znalazłby tam ogromne skarby. Ale przystęp do niej jest przez krążanki podziemne, bardzo ciasne i kręte. Na każdym zakręcie potrzeba zapalić i zostawić światło. Wkońcu dochodzi się do jaskini obszernej, oświeconej światłami wielkiej jasności, które są właśnie skarbami tego miejsca; ale słyszysz głos, zapowiadający: „Biada temu, kto się ich dotknie.“ Na środku jaskini klęczą trzej mnichy; ów głos tajemny każe pokłonić się każdemu z nich z osobna, potem wolno wziąć sobie z tych skarbów, wszakże nie więcej, tylko tyle, ile siekiera na raz urąbie. Zginałby natychmiast, ktoby ten przepis przekroczył.

Podobna jaskinia znajduje się pod górą Gewontem. Na środku jej stoi słup dyamentowy, pod nim siedzi mnich, obypyany bogactwami wszelkiego rodzaju. Mnich-strażnik udziela ich bez trudności każdemu, kto dojdzie aż do niego; ale dojście jest bardzo trudne, bo przechód niezmiernie ciasny i wszelkie światło w nim gaśnie.

Łatwiejszy jest do zdobycia skarb, zakopany w żłobie na polach Łopusznej, bo tylko na kurzą stopę ziemią przykryty; ale nie wiadomo, w którym miejscu jest zakopany.

Możnaby temu zaradzić zapomocą kwiatu, zwanego florecyna, a który ma własność ukazywania swemu posiadaczowi skarbów najgłębiej zagrzebanych. Ale czegoż to potrzeba, aby dostać tego kwiatu? Florecyna,

jak mi ją pokazywano, jest bardzo podobna do paproci, tylko mniejsze i drobniejsze ma listki. Kwitnie tylko raz na rok, w wilią Bożego Narodzenia, o samej północy. Zeby się posługiwać tym kwiatem, potrzeba go posiąść, nie wiedząc o tem.

Są jednak ludzie, którzy mają tajemniczą moc odkrywania skarbów górskich. Oto jeden z przykładów tego. Wyżej jeszcze, niż Pięciostawy, leży jezioro, zwane Zabieniec, mało zwiedzane dla skał nadzwyczajnie przykrych dokoła, dla ścieżek niebezpiecznych, także z powodu zimna, bo jezioro przez dziesięć miesięcy jest pod lodem. Owoż do tego jeziora przychodzi siedmiu Czechów, ścieżkami im tylko wiadomymi. Muszą oni wydobywać tam złoto, bo po ich odejściu znajdowano żużle z wytopionego kruszczu, a nawet piecyki. Ale nikt dotąd nie zeszedł ich śród tej roboty.

Ci Czesi inogą być bajeczni, ale podobni im, a rzeczywiści znajdują się w każdym prawie biurze urzędowem w Galicyi — także dla złota. Ścieżki ich przechodu są wiadome.

Górale wierzą mocno w istnienie ksiąg czarnoksięskich. Według ich zapewnienia, księgi takie znajdują się na dolinach, to jest w kraju nie góralskim, np. w Krakowskiem. Wielka potęga zamyka się w tych księgach. Górale pokazują w górach jedną skalę, z której na zaklęcie, odczytane z takiej księgi, wychodził smok, dawał się kulbaczyć i jeździć na sobie. Jakiś czas widywano jeżdżącego na nim Niemca, ale pewien baba zabił smoka, a Niemiec zniknął. Baca był stąd w niemałym kłopotcie, bo wkrótce przyszedł jakiś człowiek z dolin bardzo dalekich i ostro upominał się o zabitego smoka, jak o swoją własność. Nie wiem, jak się ta sprawa skończyła.

W innym wcale rodzaju jest powieść o błakającej się głowie. Miejscem tego zjawiska jest polana, zwana Jaworzyna Kamienicka, od wsi Kamienicy, a początek taki: Naczelnik jednej bandy zbójckiej miał podwładnego, który był od niego urodziwszy, celniej strzelał, lepiej skał, szybciej biegał, zgola, przechodził go we wszystkim; stąd zapalił się taką nienawiścią ku niemu, że go zabił, po zabiciu odciął mu głowę i zarzucił w poblizki

parów. Ale ta głowa pokazała się wkrótce na polanie, gdzie było spełnione zabójstwo i odtąd nie chce jej opuścić. Ile razy ją znajdują, odniosą w dalsze miejsca i zarzucają gdzieś w przepaść, tyle razy ona znowu powraca na swoją polanę. Odnacza się tem szczególnie, że ma włosy niezmiernie długie.

POWIEŚCI W DUCHU CHRZEŚCIJAŃSKIM.

28 maja 1892.

Pozostaje nam do odznaczenia najważniejsza część drogi, którą duch góralów przechodzi. Dotąd widzieliśmy go albo w jego brzasku, albo nawet zmroku; w stanie ducha, który czasem cofa się w swoją przeszłość pogańską, czasem zniża się do sfery poziomej, materialnej, nie wychodzi jeszcze na światło właściwe sobie. Taka jest cecha istotna powiastek, mniemań, utworów powyższych. W następnych odbija się już blask religii prawdziwej, kryje się myśl głębsza, wyraźniejsza, chrześcijańska, mądrość pełniejsza, odkrywa się świat z ducha jaśniejszego.

Lud góralski jest głęboko religijny, jak ogół plemienia, do którego należy; jest on skromny, cichy w swojej pobożności, ale prosty i szczery; taki charakter mają jego powieści religijne, i dlatego porywa mnie ich istota, mimo formy, nie prawie nie ważącej, ale mającej tę zaletę, że nie zaciemnia ani wykrzywia prawdy, a przeto prawda jej łatwiejsza jest do ujęcia.

W najszczegółowiejszem poszanowaniu u góralów jest pamięć Świętej Kunegundy. Jej żywot ziemski prawie cały zamknięty jest obrębem tej okolicy. Ulubiona jej dziedzina między Krakowem i Tatrami odznaczona jest całą śladami jej żywota. Wieliczka, jej posag, wypłacony Polsce hojnością samego nieba — Pieniny, jej przytułek warowny w czasie burzy najścia tatarskiego — nakoniec Sącz, ostatnie jej mieszkanie i grób, miejsce, z którego dotąd nie przestaje okazywać sposobem cudownym swojej miłości dla tego ludu — są to tylko widoczne węzły, które wiążą świętego ducha z tą krainą; ale jej

pamięć rozlewa się tu obficie, panuje obszerniej, i dlatego najmniejszy ślad po niej śledzony jest i strzeżony ze świętą troskliwością. Jeszcze przed laty kilkunastu leżał przy Łopusznej nad Dunajcem kamień z odciskiem ludzkiej stopy; według podania, była to stopa Ś. Kunegundy, z owego czasu, kiedy, zmuszona opuścić Kraków, zagrożony od Tatarów, udawała się do Pienin i w swojej podróży zatrzymała się na tym głazie. Dziś go niema w tem miejscu; został podobno przeniesiony do sandeckiego kościoła.

Cześć ludowi, który tak jest wierny w miłości dla tych, co przez swoją miłość stają się jego opieką i chlubą! Potęgą ziemską, huczącą wielkimi czynami ziemskimi, może go przerazić, zdumieć, rzucić o ziemię, ale nie jest jeszcze świętością w jego oczach; jest mu obojętna, po chwili przemija w jego pamięci razem z hałasem swoim — przeciwnie, błogosławi on przez wieki, korzy się, pada twarzą i duchem przed kobietą, przed dzieckiem, przed wszelką słabością widomą, skoro z niej promieni potęga wyższej miłości, ofiary wyższej. Lud ją prosty poczuje, odkryje i uwieczni w swoim świecie.

Jest to jego własność nieoceniona, owo uwiecznianie wszystkiego, co raz dotknął swoim duchem. Idzie mu to bez trudu, bo przedewszystkiem uderza go prawda, i prawdziwie tylko stawia swoje ołtarze. Ten ołtarz może być niezgrabny, przekształcony wpływami czasu, ale go postawił lud w miłości i czci dla prawdy; a, co raz tak postanowił, już tego pewno sam nie zwali.

Następna powiastka maluje cześć Podhalan dla świętych im przedmiotów.

Do kościoła w Łopusznej wieszono obraz Ś. Antoniego; obraz nie mistrzowski zapewne, gdzie był niejeden grzech przeciwko sztuce, a między innemi usta zbyt blade. Jeden z obecnych, widząc to, odezwał się żartem, że święty musiał tylko co jeść śmietanę. Natychmiast obraz tak ocieżał, że wóz stanął w miejscu, jak wryty, przytem niebo okryło się chmurami i ogromny grad się puścił. Próbowano siły liczniejszego zaprzęgu, ale wóz z obrazem stał nieporuszony. Wkońcu dowiedziano się przyczyny tego wypadku

i udano się do modłów błagalnych, a wnet wóz ruszył z miejsca, grad się zatrzymał i jasna pogoda wróciła.

W podobnej myśli słyszałem inną powieść, ale niuważnie, i dlatego nie mogę jej przytoczyć, jak mi była opowiedziana. To mi się tylko zachowało z ogólnej treści, że za przewinięcie, podobne powyższemu, cały lasek dotknięty został karą taką, że wszvstkie jego drzewa powykręcały się w najpotworniejsze kształty i tak dotąd rosną. Lud pokazuje go, jako widomy i trwający przykład za ubliżenie świętościom, światu wyższemu.

W innej powieści, bardzo prostej, dostrzegam ważną ideę o zamknięciu się w sobie, o niedawaniu innym należnego im uczucia.

Był w Łopusznej parobek, bardzo przystojny i równie zimny. Niejedna dziewczyna okazywała mu swoją ku niemu skłonność, ale żadna nie mogła pozyskać jego wzajemności; każdą odepchnął z pogardą. Zdarzyło się, że raz, idąc na mszę do Harkłowej, ujrzał w potoku łosasia; schyla się, aby go schwycić i w tej chwili przebija go nóż, który miał za pasem. Rana była śmiertelna, umarł z niej prawie natychmiast. Nóż nieszczęśliwy wrzucano w potok, gdzie się stał przypadek, a parobka pogrzebiono — ale duch jego nie opuścił miejsca, gdzie nóż był wrzucony: ciągle się tam pokazywał i strzegł ludzi. W tej trwodze znalazły się śmiałe dziewczęta, które postanowiły rozmówić się z duchem, aby dowiedzieć się, czem mu pomódz. Dotrzymały, co postanowiły: rozmówiły się z duchem i dowiedziały się z jego własnych ust, że odbywa pokutę za pogardę kobiet i że dopiero wtedy będzie od niej wolny, kiedy dziewczęta kupią mszę za jego duszę, a na świadectwo przed innemi ludźmi dał im rutę z własnego kapelusza. Dziewczęta zakupiły mszę żadaną i duch parobka nie pokazał się odtąd więcej.

O podobnym duchu pokutującym, ale pokutą straszniejszą, przywiązana jest powieść do włości Ostrowska, leżącej między Nowym Targiem a Czorsztynem. Na jej polach, niedaleko drogi, znajduje się bagno, z którego nocą wybiega człowiek nagi i goni za przechodzącymi. Pokutnik ten straszniejszy, jak pierwszy, bo samobójca podobno, miał się utopić rozmyślnie.

Wiele jest powieści, w których grają rolę czarci, czyli złe duchy, pojmowane już ze stanowiska religii chrześcijańskiej.

W bukowinie łopuszańskiej, która leży pod górą Kluczkami, w sam dzień Śtych Piotra i Pawła ujrzano dyabła, ubranego po niemiecku, jak przeszedł pomiędzy bydłem, wszedł do lasu i narażał jawór; ktokolwiek chciał później ten jawór zrąbać, tak się kaleczył, że musiał zaniechać. Niejedno drzewo tak napiętnowane napotyka się w górach; górale się bardzo strzegą, zwłaszcza w pierwszych dniach po wyżej spomnionem święcie, rąbać podobne drzewa.

Są znowu przykłady złych duchów, odpłacających przysługę odługą. Pewnej nocy, bardzo już późno, zajechał przed jednego z kowali Harkłowej powóz, zaprzężony sześcią dzielniemi karemi końmi. Wyjechał on z Dunajca, siedział w nim pan, ubrany po niemiecku, i sam się powoził. Zatrzymał się przed kowalem, bo jednemu z koni podkova odpadła. Kowal ją przybił i widział, że była ze złota. Podróżny w nagrodę dał kowalowi strzelbę, a sam pędził dalej gościńcem. Od tego czasu dziwny strzelec z owego kowala: zabija takie zwierzęta i ptaki, jakich w całej krainie góralskiej niema.

Nie podobna spisywać wszystkiego, co słyszę w podobnym rodzaju, a tem bardziej nie uważam za właściwe umieszczać tutaj wszystko, co mam w notatkach. Daję tylko próbki, przedstawiające z różnych stron ducha Podhalan, ich życie więcej wewnętrzne, w objawieniu się zewnętrznem na polu wyższem od życia powszedniego.

Zresztą nie wątpię, że będę jeszcze nie raz w konieczności dotknąć tej strony; zachowuję przeto do późniejszego czasu, co będzie mogło zrobić wydatniejszym ten ogólny zarys oblicza religijnego Podhalan. Muszę jednak cofnąć się na chwilę do powieści o obrazie Ś. Antoniego i lesie przeklętym. Co za głęboka nauka w tych powieściach dla ludu nieprostego nawet! Alboż przez grzech bezbożności nie widzimy narodów całych w potwornym stanie tego lasu? Te grady, co biją w ludzkość, ten wóz narodu, którego żadna siła nie może poruścić z miejsca, gdzie uwiązł — skąd to wszystko, co to

jest? Prawda znieważona, wyższy świat bluźniony lub pogardzony w wyższych ludziach, w wyższych uczuciach. I niema ratunku, niema postępu świętego, póki go człowiek nie przeblaga, póki mu nie wypłaci długu należnej części!

DOLINA NOWOTARSKA. — NOWY TARG.

29. maja 1882 r.

Ze wszystkich dolin, które dotąd opisałem, ze wszystkich, które znalazłem na mojej drodze od Tarnowa ku Podhalu, które widziałem gdziekolwiek, żadna nie może iść w porównanie z doliną Nowotarską. Mogą być miłsze od niej, wdzięczniejsze na małą skalę, ale trudno o podobną, bo trudno o takie skupienie tylu i takich przedmiotów, jak są te, które wchodzą do jej ogółu. Wszystko tu się składa na całość rozmiaru ogromnego, różnorodności wszechstronnej, różnorodnego wdzięku. Rozległość, oblicze wewnętrzne, widoki na zewnątrz, mieszkańcy, życie przyrody, życie ludu, pomniki dziejów, poezja gminy i tym podobne — wszystko to tworzy świat, pełny w samym sobie, harmonijny, ogromny, różny od wszystkiego, co dotąd widziałem, zasługujący ze wszech miar na uwagę i bliższe przypatrzenie się. Jestem dla niego pełen cześci i miłości — stąd pragnę i będę usiłował skreślić go, chociaż w pewnej części, w rysach ogólnych, a, o ile można, wiernych. Praca to jest niekrótka i nielekka; nie mając przed sobą innej w tych dniach, jej poświęcę całą tych dni swobodę.

Dolina Nowotarska zajmuje przestrzeń ogromnego obwodu; nie podobna mi oznaczyć jej z dokładnością milami, powiem tylko, o czem mnie zapewniono, że ludność doliny wynosi z górą sto tysięcy mieszkańców. Granice widokregu są granicami doliny. Granicę ową stanowią od południa Tatry, dalej ku zachodowi bieją cokolwiek niższe szczyty, ale śnieżne, gór, zwanych Fatrami — w skrajnie ku północnym napotykaśz wysoki Żywiec i następnie, jak olbrzymi kopiec narożny, jedyną w swoim rodzaju i w tej stronie, samotną, piramidalną, Babia-górę; od niej

cała północna i wschodnia strona doliny zasłonięta jest pasmem przedgórz, które się odznaczają szczytami i garbami niepośledniej wysokości, jak na przykład Kluczki, szczyt Maniowski i inne, nieznane mi po nazwisku; pasmo to kończy się na Pieninach przy Czorsztylinie. Dolina jest znacznie dłuższa, jak szersza; najwęższa pod Czorsztylinem, rozszerza się coraz bardziej, w punkcie Nowego Targu oś jej szerokości liczy się już milami. Kierunek doliny od północo-wschodu na południe-zachód.

Niezliczone wody w potokach rozmaitej wielkości spływają się w dolinie to z przedgórz, to z Tatrów. Najznaczniejsze między wychodzącemi z łona Tatrów są: Białka, Wag, Czarny i Biały Dunajec. Wag odpływa do Węgier, do Dunaju, drogą, którą sobie wyźłobił pomiędzy najwyższymi górami, poczyną się jednak w północnym boku Tatrów i tym sposobem zarywa część okolicy Nowotarskiej. Biały i Czarny Dunajec zlewają się pod Nowotargiem w jeden Dunajec, który zabiera Białkę i wszystkie inne potoki.

Powierzchnia doliny nie jest ściśle płaska; u podnóża Tatrów z jednej strony, przy przedgórzach z drugiej, pogarbiona mniej więcej znacznymi wyniosłościami, spuszcza się jakiś czas ku swojemu środkowi nieznaczoną potoczystością aż do Dunajca, którego łożę jest właściwie głębią dna doliny.

Mówiąc o Nowotarskiej dolinie, powinienem tu zapisać piękne, tyżące się jej podanie. Lud wierzy i powiada, że przed wieki cała ta przestrzeń zalana była morzem, które się zwało Karpackie morze; ale, że jakiś, bardzo dawny król polski kazał przeciąć górę Pieniny i tym sposobem cały ten kraj osuszył — stąd bieg Dunajca aż do Wisły.

W rzeczy samej przechód Dunajca przez Pieniny jest tak wyżłobiony między prostopadłymi skalami, tak ma pozór kanału, że okoliczność ta nadaje pewne prawdopodobieństwo podaniu ludowemu, przynajmniej co do istnienia przedwiekowego wielkiego ogromu wody na dzisiejszej dolinie Nowotarskiej i gwałtownego jej przedarcia się przez tamę Pienin.

Szczegóły podania mogą być późniejszym wymysłem,

ale istotą jego jest ta pamięć ludu, która sięga czasów przedwiecznych, czasów owych, których dzieje, częstokroć najrzeczywistsze, są dla potomności niepodobnemi do prawdy; lud jednak pozostaje religijnie wierny swojej przeszłości. Zresztą, cóż w tem podaniu jest tak nadzwyczajnego? Alboż jedno miejsce, przeludnione dzisiaj, nie miało kiedyś innych mieszkańców, jak mieszkańców wody? Gdzie są dzieje, któreby nam dochowały pamięć wszystkich wstrząśnień, wszystkich zmian, przez które przeszła ziemia od chwili, jak wyszła globem ziemskim z rąk swojego Stwórcy? Mamyż co, na czem-byśmy niewzruszenie oparli zaprzeczenie nasze powyższemu podaniu? Ja przynajmniej nic takiego nie widzę i dziełem wiary ludu w jego powieść, bo ma prawdopodobieństwo za sobą i otwiera ogromne pole uroku poetyckiego człowiekowi, unoszącemu się w przeszłość z miłością dla niej. O, gdybym mógł wypowiedzieć, co za świat dziwny, co za tłum pomysłów rodzi się we mnie z tej jednej powieści!

Wracam do obecności. Liczne i ogromne wsie zapelniają dolinę, lub ją otaczają. Między temi osadami najcelniejsze miejsce zajmuje miasteczko Nowy Targ. Uważane jest ono jako główny punkt tej okolicy; zowie się nawet stolicą Podhalan. Położenie jego jest w istocie bardzo korzystne. Ludność dokoła niezmierna — przemysł, odznaczający górali — dwa gościńce bite kupieckie, jeden do Spiża ku wschodowi, drugi na zachód, zwany Tręczyński, trzeci do Krakowa, z któremi się wiąże pelno dróg pomniejszych — zejście się dwóch Dunajców tuż pod miastem — bliskość kąpiel mineralnych jużto galicyjskich, już węgierskich — okolica, jak Tatry, wabiąca co rok wielu ciekawych wędrowców, są to wszystko okoliczności, wyzywające do ruchu przemysłowego, ułatwiające odbyć jego wyrobów, a przez to sprzyjające podniesieniu się miejsca na stopę miasta porządnego, zaopatrzonego we wszystko. Ale Nowy Targ nie umie jeszcze korzystać z tych darów. Miasteczko nie jest ani tak rozległe, ani tak zabudowane, ani tak ożywione, ani tak wygodne dla podróżnych, jakby być powinno i być mogło; jest to nie więcej, jak miejscina licha, podobna do tylu innych w całym tym kraju. I samo na tem niemało traci.

Pierwsze powstanie Nowego Targu, według zapisek kronikarskich, sięgać ma najdawniejszych czasów Polski.

Miedzy ciekawszemi szczegółami miejscowemi, jest kościółek Ś. Anny, bardzo starożytny. Stoi on za miastem, w stronie jego północnej. Powiadają, że go zbójcy wystawili, a obraz w wielkim oltarzu ma być ukradziony przez nich na Węgrach.

Na zachód Nowego Targu o pół mili, przy brzegach Czarnego Dunajca, leży wieś Ludzimierz — niedaleko niego druga wieś Krauszów. O początku tych dwóch wsi zachowują górale następne podanie: W czasie jednego najścia Tatarów Polacy spotkali się z nimi na tych polach i zostali na głowę pobici; Tatarzy po zwycięstwie ucieli każdemu trupowi po jednym uchu i temi uszami napełnili dziesięć worów: w miejscu, gdzie obrzynano uszy, stanął Krauszów, a Ludzimierz tam, gdzie je odmierzano worami. O Ludzimierzu wzmiankuje Bielski już pod rokiem 1234, w ten sposób: „Teodor, herbu Gryf, wojewoda krakowski, klasztor Cysterszeńskich mnichów w Ludzimierzu, wsi swojej niedaleko Nowego Targu, fundował, lecz, iż od zbiegów często tam przenagabanie miewali mnisi, i przeto na Szczyrzycę się stamtąd przenieśli.“

Gruzy klasztoru Cystersów pokazują dotąd w Ludzimierzu, a spomniony klasztor szczyrzycki jest i dziś osadzony Cystersami; ma on posiadać archiwum, bogate w pomniki, bardzo ważne dla dziejów podgórskiej okolicy, ale zarzucają mnichom, że, przez dziwną ich nieużytość, przystęp do archiwum jest wzbronny.

W ogólności wsie wokół Nowego Targu są bardzo dawne. Szaflary naprzykład, o milę od Nowego Targu ku południowi, mają być założone w 1200 roku, czego dowody znajdują się w aktach, z owego czasu dochowanych. Wieś Zakopane miała osadzić jakaś starościna Wielopolska rozbitkami ze zniszczonej tam hordy tatarskiej, lotrującymi w miejscowych górach. Na dowód tego przytaczają, że dziś jeszcze pewna ilość rodzin tej wsi zowie się Tatarami, a nawet dochowuje w swoich obliczach rysy mongolskie.

Tu z prawdziwą rozkoszą zapisuję miłą mi wdzięczność dla zacnego męża, który mi dostarczał nie tylko najwięk-

sza część podobnych wiadomości, ale z niezmordowaną cierpliwością wtajemniczał mnie, że tak powiem, w życie Podhala. Nie było prawie usługi, którejby mi w tym celu nie ofiarował, do którejby nie był gotów. Jemu to winienem po wielkiej części, com się dowiedział o tej okolicy, com w niej widział. Chociaż obcy rodem tej ziemi, ale się wnarodził swoją dla niej miłością i przez to miał siłę i wytrwałość zbadać ją wielostronnie i głęboko. Wiem od niego, że myśli nawet o publicznem podzieleniu się ze spółziomkami zasobem swoich wiadomości w tym przedmiocie. Bardzo mu życzę, bardzo pragnę, aby swoje przedsięwzięcie mógł przyprowadzić do skutku. O ile go znam, mam prawo sądzić, że dzieło jego byłoby dokładniejsze, ciekawsze, użyteczniejsze, byłoby obrazem zupełniejszym tajemniczej dotąd strony Tatrów, przeszłości tej ziemi i ludu w jego stanie obecnym, jak wszystko, co dotychczas o Tatrach ogłoszono. Spodziewam się tem więcej po jego pracy, że sam jest skromny i bez żadnych do autorstwa pretensyi; powoduje nim tylko miłość naszej ziemi i chęć przysłużenia się jej, czem może. Położenie też jego sprzyja mu bardziej niż komukolwiek. Jeżeli kiedy, szanowny i kochany mężu, dojdą cię te słowa, przyjmij je jako wyraz wdzięczności i pamięci, które ci zawsze zachowam.

PODHALANIE. — LUD.

30 maja 1832 r.

Tatry straciłyby niezawodnie połowę swojego uroku bez swoich mieszkańców; ogrom ich zostałby wprowadzić tym samym ogromem, przyciągałby na chwilę, porywał, zdumiewał, przerażał zmysły, a nawet potraçałby głębiej ducha ludzkiego — ale jak rzadki byłby ten człowiek któryby poczuł życie wewnętrzne Tatrów bez życia człowieczego na ich powierzchni, życia, wyższego nad życie kamieni, wód, roślin — któryby zajął się niem tyle, ile dzisiaj każdy się zajmuje, krzepiony życiem mieszkańców. Tatry bez człowieka byłyby tylko ciałem bezludnem, trupem olbrzymim i zajmowałyby o tyle wędrowca, o ile

możezając człowieka widok niezwyčajnego trupa. Uczucie takie może być bardzo gwałtowne, ale prędko nasycy człowieka aż do przesycecia, a wtedy przeradza się w niesmak.

Są w tym stanie pewne krainy; jedne bezludne, inne zaludnione takimi mieszkańcami, że życie ich ziemi im się przez to nie podnosi, że drzewa, wody, skały, zwierzęta żyją więcej, prawdziwiej, jak ich człowiek. Jest i to zajmujące, ale smutne! Komuby trudno było sprawdzić tę myśl na kraju przestronnym, niech poszuka bliżej siebie, a znajdzie, że nieraz widział podobną okolicę, miasteczko, wieś, dom i już oto ma na małą skalę, co przypuszczam o Tatrach bez ludzi.

Nie mówię tego lekko; nie rzucam myśli, co to czasem wyskakuje z pod pióra mimo wiedzy pióródziercy. Nie powiedziałbym tego, gdybym się nie znajdował kiedy niekiedy wśród takich ludzi, żyjących życiem tylko robaka grobów lub ran zaniedbanych, że wolałbym przebyć ten czas z duchem, który objawia swoje życie jedynie szumem drzewa, ruchem wody, tchnieniem wiatru; byłbym już w sferze życia prawdziwszego, pełniejszego, miłszego, wyższego.

Nie stosuje się to do Podhalan. Winienem im za to wdzięczność. Przez wdzięczność chcę zachować ich obraz, bardzo niezupełny, niewykończony, ale ufam, że wierny, o ile go schwycę. Nie przyrzekam więcej. Znam całą trudność poznania i odmalowania narodu. Poznać naród!... Zwracam się do siebie i widzę, ileby to trzeba komuś, żeby mnie poznał! Przez ileto kolei bolesnych i szczęśliwych musiałby przejść razem ze mną! To samo z narodem, tylko na skalę bez porównania ogromniejszą, bo cały żywot człowieka jest chwilą w bycie narodu.

Przystępując wprost do mego przedmiotu, patrzę na góry tatrzańskie ze stanowiska czysto obecnego: nie znajdują go w przeszłości. Światło przeszłości pada bardzo słabo na lud tej okolicy; niema on na scenie publicznego życia takiej głośności, jak mieszkańcy innych naszych okolic. Szczególnem przeznaczeniem, jakieś odosobnienie, milczenie, brak ruchu, odpowiedniego ruchowi dookoła, otaczały zawsze ten zakąt. Nie potępiajmy jednak

za to naszych górali! Ich byt nie przeminął jeszcze. Jest jeszcze przed nimi przyszłość, i kto wie, jak długa, jak wielka. Zresztą i ta okoliczność przytwierdza, że górale są plemieniem czysto słowiańskim, a człowiek tego rodzaju nie wyłazi ci łatwo ze swojej nory. Wszakże z drugiej strony widzisz już w góralach coś różnego, jakby niesłowiańskiego, po części może z istoty ich posady ziemskiej, ich położenia, tak fizycznego, jak cywilnego, po części może przez obce wpływy — zgoła, że górale są Słowianami; pod pewnym względem wyżsi, pod innym znowu niżsi od swoich pobratymców. Ale o tem we właściwym miejscu. Zaczniemy od tego, co w człowieku na pierwszy rzut oka uderza — od powierzchowności.

Jest to w ogólności lud dorodny. Wzrost więcej, niż mierny, a w wielkiej części wysoki. Budowa zgrabna, lekka, ale mocna. Ruch pełen życia i zręczności. Głowy nierzadko piękne, bardzo często szlachetne w rysach twarzy, które powszechnie prawie odznaczają się śmiałością, rozumem, wyrobionem życiem, pewną dojrzałością i siłą wewnętrzną, albo przebiegłością, zuchwalstwem, chytrością, przed którymi trzeba się mieć na baczności.

Ubiór ich, zanadto obcisły, zanadto kusy, nie jest jednak bez wdzięku męskiego. Był on, jak się zdaje, pierwszym wzorem stroju dzisiejszych huzarów, tylko mniej ozdobny, a raczej mniej upstrzony. Oto szczegóły ubioru górala:

Koszula krótka, mało co przesiągająca piersi — spodnie opięte z grubego białego sukna, u których szwy podłużne zewnętrzne nogawic pokryte są czerwonym sznurkiem — za obuwie ciżmy skórzane, to jest kawałki skóry, przykrępowane tylko do nogi, bez oddzielnych podeszew, rzemiennem sznurowaniem, które dochodzi mniej więcej do połowy łydek — pas skórzany, szeroki, z kieszonkami i pochwami na nóż i inne narzędzia, zapinający się z przodu na kilka sprzążek — guńka biała, długa do bioder, bez żadnego kołnierza, spięta pod szyją, najczęściej z rękawów spuszczone — kapelusz ze dnem niskim, wypukło-krągłym, o wąskich skrzydłach — włosy długie, rozpuszczone po plecach i ramionach, niekiedy splecione w kilka warkoczy — broda i wąsy golone — oto strój górali najpowszechniejszy.

niejszy. Podlega on pewnym zmianom w niektórych okolicach, ale nigdzie co do kroju. Są w nim dodatki i ozdoby, ale te uchodzą tylko młodzieży lub juhasom. Wtedy konieczna jest gałązka za kapeluszem lub pióro z jakiego ptaka dzikiego, spinki błyszczące przy guńce i u rękawów koszuli, wyszywanie na spodniach itd. Wszakże bez tych nawet ozdób strój Podhalań wydaje mi się ładniejszy, jak górali innych okolic. Kapelusze z ogromnymi skrzydłami są dopiero u górali węgierskich w użyciu.

Czas i tu także zaprowadził niektóre zmiany, szczególnie co do stroju głowy. Widziałem dawniejszy na jednym rysunku; podług rysunku i opowiadania, które go dopełniało, był to wysoki kołpak okrągły, ozdobiony mnóstwem kamyków, paciorek i blaszek w rozmaite wzory, z piórem jakiego ptaka lub gałązką na boku. Nie chce mi się jednak wierzyć, aby ten strój był kiedy powszechnym. Strojąca się młodzież górska przeplata i dziś jeszcze długie swoje włosy amarantowemi wstążkami, jak nasze dziewczęta ukraińskie albo parobcy, tylko, że ci ograniczają się na jednym kosmyku włosów pobocznych, który zowią „seledcem“.

Ubiór góralów może razić oczy, nie przywykłe do niego, może nie być w dobrym nowoczesnym smaku, ma nawet ważne niedogodności dla ludzi, nie zahartowanych na wszystkie nieprzyjemności powietrza — ale trzeba mu przyznać, że nie przekształca ani zakrywa składu ciała: tak przylega do niego, tak wydaje wszystkie jego kształty. Ludzie, co go pierwsi wymyślili i odważyli się nosić, musieli być doskonalej budowy.

Rzecz najważniejsza, że z pod tego stroju Podhalań przebija się ich charakter, ich strona moralna. Jest to dla mnie prawdą niezaprzeczoną, że, jak niema przypadku w niczem, tak i w ubiorze; że ten albo ów ubiór, przyjęty zwłaszcza przez pewną ilość ludzi, na czas pewnej trwałości, nie jest rzeczą przypadkową, ale koniecznością i jednym ze znamion widocznych, wyjaśniających stronę człowieka mniej widomą. Nowe potwierdzenie tej prawdy mam na góralach. Kiedyś sobie zadał pracę głębszego zastanowienia się, zdumiałem się nad tym stosunkiem,

który zachodzi między ich ubiorem a charakterem. Byłoby za długie, niewłaściwe w tem miejscu, wykladać wszystkie moje porównania, wszystkie wynikłości; strój opisałem wyżej, a teraz wypowiem, ile zdołałem wnikać w tajemnicę ich charakteru.

Góral dzisiejszy jestto już mieszanina chłopą dawnego słowiańskiego i chłopą, zaczynającego cywilizować się oświatą, jaka do sfery ludu najłatwiej przeniknąć może. Zachował on z dawnego wiele dobrych przymiotów i wiele wad rodzinnych; zarywa z wyższego ukształcenia, z nowego dla siebie porządku rzeczy — nieco dobrego, wiele rzeczy szkodliwych swojej dobrej stronie, niezgodnych z jego duchem ojczystym. Ma wyższość nad wielu innymi Słowianami przez poczucie się w swojej sile, w swojej wartości — i w potrzebie zdolny jest objawić je z wielką energią. Pod tym względem można go uważać za pobratymca, bliższego Serbom i innym plemionom południowych Słowian, jak Słowianom z tej strony Karpat. Rząd jest bardzo ostrożny w stosunkach z góralami: widocznie pობлаża im, niekiedy aż do słabości. W rzeczy samej, biorąc na uwagę ich charakter, ich fizyczność, położenie ich okolicy, lepiej mieć ich sprzymierzeńcami, jak wrogami, choćby z poświęceniem niektórych korzyści panowania, co najczęściej jest pozorne i chwilowe. Górale spostrzegają się na tem przez instynkt niepodległości; stąd panujący im nigdy zupełnie rachować na ich miłość nie mogą. Smutny był los urzędników, którzy przez wypadki roku 1809 na Węgry chronić się musieli; droga wielu szła przez Tatry, górale przewodniczyli i przewozili, ale mała liczba ujrzała Węgry. Niewiadomo, co się z innymi stało.

Góral zagrożony, raniony, napastowany ze strony tego uczucia, staje się strasznym wrogiem. Niezdolny do otwartej walki, uzbraja się zemstą, uzbraja się we wszelki oręż, jaki tylko może dostarczyć zemsta najzaciętsza i najszybsza. Smutne tego przykłady nie są rzadkie, a mianowicie na polu stosunków z dziedzicami. Niedawno jeden góral, upatrzawszy porę i miejsce, schwytał pana swojej wsi, od którego czuł się skrzywdzonym, i z zimną krwią połamał mu ręce i nogi. Co większa, nie zataił tej zbro-

dni; spełniwszy ją, poszedł do sądu i sam odkrył ją starości, nie z żalu, broń Boże, ale przez uszanowanie dla prawa, ciągle utrzymując, że według prawa popełnił zbrodnię, ale zrobił, co był powinien.

Pod tym względem położenie tutejszych posiadaczy szlachty, jest bardzo niemile, a nawet niebezpieczne; jest to trwały stan skrytej wojny, tem obrzydliwszej i zaciętszej, że się toczy między braćmi. Stąd wielu nie śmie wyjechać za dom, tylko zbrojno i w towarzystwie ludzi zbrojnych. To położenie utrzymuje konieczność hajduków czyli służby zbrojnej, do czego sam rząd upoważnia.

Nie zwalajmy jednak całej winy na górala. Zazwyczaj druga strona wywołuje tę walkę przez wymagania bezprawne, przez jakąś krzywdę. Góral staje w obronie swojego prawa, szlachcie naciera silniej, góral zacieka się i poczyną działać zaczepnie. Wtedy się popełnia jakąś niesprawiedliwość — i tak z odwetu w odwet, walka się rozżarza, krzywdy zobopólne tłoczą się na krzywdy, aż przychodzi do tego, że pojednanie staje się prawie niepodobnem.

Ażeby pozostać sumiennym i przysądzić ze złego, co komu należy, trzeba być na miejscu i z blizka patrzeć. Bez tego trudno mieć wyobrażenie, jakim brzemieniem ciąży na tutejszym ludzie niektóra szlachta. Jest to chciwość, niemoralność, rozpusta, bezbożność, pycha w całym swoim cynizmie. W tych czasach właśnie jeden z podobnych dziedziców tej okolicy, i to majątniejszych, tak już przebrał miarkę, że został w kajdany okuty i pod sąd oddany. Dosyć słuchać o jego sprawkach z mieszkańcami swojego majątku, aby zadrzeć ze zgrozy wszystkimi wewnętrżnościami; cóż dopiero musi dziać się z góralem, który jest pastwą podobnego zloczyńcy, z góralem, którego pewne prawa sam rząd najwyższy uznaje i szanuje.

Oskarżają góralów o chciwość i w tej chciwości widzą jedno z główniejszych źródeł pieniania się ich z panami. Prawda, że góral ma za wiele tej wady, jak na Słowianina, ale z drugiej strony trudno być wolnym zupełnie od niej temu, co, jak góral, nic prawie nie ma, kiedy nadto ten, co ma daleko więcej od niego, chce go poświęcić

swojej własnej chciwości. I tu jeszcze zły przykład idzie z góry.

Jakakolwiek jest chciwość górala, może się do pewnego punktu usprawiedliwić, a nigdy nie jest tak wielka, jak na przykład Szwajcarów. Miłość swojej ziemi mocniejsza w nim od ponęty wszelkiej zysku. Jest to jeden z pięknych rysów charakteru naszego górala. Ziemia jego jest mu niewdzięczna, a raczej biedna, jak on; za ledwie ma z niej ziemiaki, owies i nabiał — mimo to kocha ją miłością rzadką, nieznana prawie mieszkańcom ziem hojniejszych. Kilka tygodni oddalenia od gór już wpływa na zdrowie górala. Górale, brani do wojska austriackiego, stojąc z wojskiem we Włoszech, tak marli z tęsknoty, że musiano przeprowadzić ich pułki do krajów, bliższych góróm rodzimym. Góral, zmuszony potrzebą, puszcza się na zarobek z kosą i sierpem aż za Wisłę, ale jak najprędzej wraca do domu. Za nic w świecie nie zaprzeda się, jak Szwajcar, nie uwiezi się w obcym kraju dla, Bóg wie, jakiego, zysku. Wyobrażenie więc o chciwości góralów jest przesadzone. Ma ona swój karb w przywiązaniu do rodzinnej ziemi, jest bez korzenia w sercu górala; jest raczej niedobrym nabytkiem z obczyzny, której się góral dotyka bądź u siebie, bądź w swoich przemysłowych i handlowych wędrowkach poza krajem domowym.

Wadę ową wynagradza góral trzeźwością, wstrzemięźliwością, oszczędnością. Jest w tem do podziwiania i naśladowania. Trudno przestawać na mniejszem, utrzymywać życie pokarmem skromniejszym i lichszym. Stanowią go powszechnie: żur owsiany i placki owsiane, zwane „moskalami.“ Taki jest powszedni pokarm górala. Ziemiaki nawet mogą się uważać za zbyt kową już potrawę. Przez twardość ziemi i krótkość lata ziemiaki często chybają — a cóż mówić o innych gatunkach zboża, jak na przykład żyto lub pszenica. Nabiał także nie jest pokarmem zwykłym, wyjąwszy dla pasterzy w czasie letnim; reszta idzie na sery, a sery po największej części sprzedają się dla opędzenia innych potrzeb. Jeszcze rzadziej pokazuje się dla mięso na stole górala.

Ten sposób życia nie tylko, że nie szkodzi góralowi, ale można śmiało twierdzić, że mu jest bardzo korzystny. On

to przyczynia się niemało do utrzymania go w wyższości umysłowej nie tylko nad chłopami innych okolic, ale nawet nad szlachtą ucivilizowaną, a ciału nadaje tę lekkość, wytrwałość, zdrowie, siłę, które wielce odznaczają górali naszych.

Następnie pracowitość i czynność górala jest niepospolita. Rzuca się on na wszystkie dostępne mu drogi pracy. Zajmuje się głównie rolnictwem i pasterstwem — oddaje się potem tkactwu, ciesielce, kowalstwu, furmanowaniu, kupiectwu mniejszemu rybami, nabiałem, owcami, strzelectwu i t. d.

W zatrudnieniach rękodzielniczych góral rozwija niepospolitą biegłość. Takie wyroby, jak na przykład fajki mosiężne, toporki, torby, są roboty krajowej, wychodzą z rąk krajowców i nie tylko, że są dobre, ale często w wyższym stopniu ozdobne i piękne.

Nie jest rzeczą nadzwyczajną widzieć zegary ściennie, gdzie wszystkie sztuczki są z drzewa, roboty góralskiej, i bardzo dobrze idące. A tymczasem jest to dzieło chłopca, który nie ma ani narzędzi stosownych, ani pojęcia wyższej mechaniki albo wyższych rachunków.

Umysł ich z upodobaniem zwraca się w kierunku spekulacji, niekiedy wyższej. Niedawno jeden góral z tej okolicy przedsięwziął szczerze zastosować do użytku ludzkiego tajemnicę latania. Kilka lat poświęcił on wymyśleniu i zrobieniu skrzydeł. Mniejsze próbki zadowalniały go i utwierdzały w zamiarze; przyszła wreszcie chwila próby na skalę większą. Zaczął od dachu własnej chaty i poszło mu pomyślnie; to go ośmieliło na większą wysokość; w tym celu wyszedł na skalę znacznej wysokości, rozpuścił swoje skrzydła, wyleciał, ale nie mógł utrzymać się długo w potrzebnej równowadze, spadł na ziemię nie po ptaszemu i obie nogi złamał.

Ten przykład maluje przedsiębiorczość górala, jego odwagę. To samo można widzieć codziennie w położeniach, mniej na oko niebezpiecznych, ale w istocie bardzo niebezpiecznych, w ich, na przykład, życiu strzeleckim. Tam góral zasługuje prawdziwie na poklask uwielbienia. Widząc tylko miejsce, a nie widząc na niem górala w czynności, trudno przypuścić w człowieku tyle lekkości, tyle

zręczności, tyle odwagi. Może to ocenić ten tylko, kto sam dotknął się tych stromów i przepaści. Ja się ich dotknąłem i nie dziwię się tej dumie, która pod różną miarą, ale w każdym góralu się przebija — tej zuchwałości, którą napotykamy w innych położeniach jego życia.

Tak jest, góral jest dumny sobą, stąd ma drażliwość miłości własnej. Drażliwość tę podsycają sąsiedzi z równin anegdotami, żarcikami, poniżającymi górala. Niezdolny odbić podobnych pocisków, albo niemi pogardzić, góral zamyka się w sobie z gniewem tłumionym; stąd widzimy często w góralu nieszczerłość i podejrzliwość. Są to jednak stany przypadkowe; góral z natury swojej jest skłonniejszy do otwierania się i łatwowierności. A to z ważnej przyczyny, że góral ma silne religijne uczucie.

Wiara górala jest głęboka, pobożność szczerą. Księży ma w poszanowaniu, ale nie jest ich niewolnikiem. Umie i śmie oceniać osobistą ich wartość. Zdarza się naprzykład, że księdzu, każącemu z ambony, nie idzie, jakby powinno iść w takiej chwili natchnionemu Duchem Świętym: uważaj tylko, a oto górale, jeden za drugim, wysuwają się z kościoła, skupiają się na cmentarzu kościelnym — wtedy jeden z nich, zazwyczaj sędziwszy i poważniejszy, staje pośrodku i przemawia w duchu kazania lepiej, jaśniej, z większą godnością i namaszczeniem, jak kaznodzieja urzędowy, i bywa lepiej wysłuchany.

Wypadki te wśród ludu prostego uderzają mnie niezmiernie; w moich oczach rzucają one wielkie światło na przyszły postęp religijny ludu.

Góral jest jeszcze w tem wyższy od wieśniaków innych stron, że każdy prawie umie czytać i pisać, a nawet kobiety. Ile razy jestem w ich kościółku, widzę książeczkę nabożną wręku każdej prawie dziewczyny. Niemala liczba góralów dochodzi do ukształcenia wyższego nad zwyczajne tutaj. Najupodobańsze im szkoły są księży Pijarów w Podoleńcu na Spiżu. Tam powszechnie oddają swoje dzieci i stamtąd wielu wychodzi po zupełnem ukończeniu szkół. Spotkasz nieraz górala za pługiem albo bacą wśród gór, który słuchał filozofii, umie po łacinie, a dziś uprawia rolę albo dowodzi trzodami.

W charakterze góralów jest jeszcze przymiot rządności.

Chaty ich mają pozór przyjemny; budowane z drzewa, ale obrobione gładko, starannie i są obszerne. Przyczynia się zapewne do tego obfitość drzewa, ale jeszcze więcej miłość porządku, czystości i wygody. Izby przestronne, w każdej chacie jedna izba osobna, niby gościnna, gdzie zazwyczaj stoi warsztat tkacki: taki warsztat ma każda prawne rodzina. W chacie utrzymane wszystko czysto, ułożone porządkie. Bydło nie mieszka razem z ludźmi, jak naprzykład w Krakowskim, ale pod osobnym dachem. Zagrody wszakże są przestronne, wygodne i dobrze utrzymywane — bo też mieszczą w sobie główny majątek górala.

Objechawszy nędzne galicyjskie osady, pod Tatrami dopiero pocieszać się można. Wsie ogromne, ładne — chaty wielkie, piękne, nierzadko domki murowane. Cała zagroda zapełniona budowlami porządnymi. A tymczasem mieszkańcy tych wsi, tych chat, nie zbierają ze swojego pola, jak kilkanaście korcy zarazem owsa i ziemiaków, a i to jeszcze zły rok nieraz wyniszczy. Ale zato jest pracowitość, rządność, oszczędność, wstrzemięźliwość, przemysł. Człowiek wiele nie pożąda, obchodzi się jak najmniejszym, a pracuje jak najwięcej. Karczmy w powszedni dzień stoją puste; jeżeli napełniają się w dni świąteczne, to i wówczas przewodzi umiarkowanie. Niema zbytku w picu, niema hałasu. Zabawa nacechowana pewną godnością; koszt jej opędza się zwykle składką, którą w tym celu składają przytomni i chcący należeć do wspólnej biesiadki. Znalazłem ten obyczaj bardzo ładnym i godnym powszechnego naśladowania przez wieśniaków innych okolic. Nie dziw przeto, że górale mogą się uważać za jeden z ludów, używających dobrego bytu. Oni przynajmniej mają się za szczęśliwych na swojej ziemi i dlatego bardzo ją kochają. Mówił mi jeden z nich: „Gdzieindziej ziemia żyźniejsza — ale ani chleb, ani woda, ani powietrze nie są nigdzie tak zdrowe, jak w górach.“ A gdy tak jest, co im szkodzi, że śniegi padają czasem w czerwcu lub sierpniu, że mrozy do 27 stopni po kilka tygodni trzymają, że zima ciągnie się przez całe sześć miesięcy?

Obyczaje góralów w stosunku do kobiet nie są rozwiązłe, nie są też zbyt ostre. Góral pod tym względem

ma wiele wyrozumienia. O zbrodniach z powodu miłości nie słychać; grzechy zdarzają się i trudne są do uniknięcia przy rodzaju takiego życia, jakie prowadzi młodzież obojej płci, szczególnie przez lato: życia wspólnego, odosobnionego wśród gór i lasów, w wolności zupełnej i prawie w bezczynności. Górale też między sobą nie są bardzo zazdrośni: nie wymagają od kobiet ścisłej niepokalaności. Dziewka, mająca kilkoro dzieci, może być pewna, że dobrze za męża wyjdzie; dla porządnego gospodarza nie jest rzeczą obojętną mieć w dzieciach naturalnych swojej żony gotowych robotników; nadto mniemają, że podobne kobiety są prawie w ogólności dobre gospodynie.

O ile górale są w tym względzie wyrozumiali między sobą, o tyle nie lubią, ażeby do ich kobiet zalecali się obcy, szczególnie szlachta i dworacy. Tacy niech się mają na baczności! Wszakże i tu jest wyjątek dla szlachcica nawet, skoro umiał sobie pozyskać miłość górali; przez prawo nad ich sercem zyskał sobie prawo obywatelstwa między nimi.

Podhalanki, ponieważ ich kolej w tym obrazie przechodzi, mogą stanąć bez zaplonienia się obok Podhalan. Mają one liczne i niepospolite wdzięki płci swojej, jak górale swojej, a nierzadko w takim stopniu i w takiej pełni, że nic do zarzucenia, nic do żądania nie pozostaje. Odsunawszy na bok majątki, ostateczności, jak w pięknie tak w brzydkim, powszechną cechą góralek jest szlachetność rysów: są one zazwyczaj ściągłe, drobne, proporcjonalne, ożywione okiem ciemnym, pełnym, pomniejszej wielkości, ociemnione brwiami kształtnie i wyraźnie zakreślonymi, włosiem bujnym, najczęściej ciemnym. Uwienczeniu temu odpowiada cała budowa, rzadko zbyt wybujała, powszechnie miernej wysokości; smukła, harmonijna we wszystkich swoich częściach, z nogą i ręką małą. Przyznają te zalety swoim kobietom sami górale, między innymi tą piosenką:

Podhalskie dziewczeczki
Hoj! jako sarneczki;
A z dokoń wargule,
Tylko skrobać grule.

Przystosowanie do krępej budowy kobiet na równinach. Płeć góralek przejrzysta, biała, więcej blada, jak zarumieniona — takież barwa i twarzy, co przy żyjącym wyrazie jest tem więcej nęcące jakimś wdziękiem tajemniczym.

W ubiorze góralek, bardzo prostym, zamyka się wszystko, na co dobry smak w ubiorze wiejskim zdobyć się może; ma więcej, niż nasze ubiory miejskie i salonowe, bo ściśle tylko tyle, ile potrzeba do osłonięcia pięknych kształtów ciała, bez obarczenia ich niepotrzebnymi dodatkami. Biorę ubiór dziewcząt, więcej świąteczny, jak powszedni, chociaż różnica między nimi bardzo mała. Koszula perkalowa, bez kołnierza, wycięta na piersiach i na plecach i ściągnięta sznureczkiem; rękawy jej obszerne, marszczone przy pięści, obszyte i związane czerwona wstążeczką. Na koszuli gorset, przykrojony do kibici, materyalny, najczęściej zielony, obsyty galonem po brzegach; nie uciska on piersi, tylko je robi wydatniejszemi, bo ledwo je w połowie przykrywa, i z przodu zapina się na haftki. Spodnica obszerna, gęsto fałdowana, z materyi lub perkalu w kwiaty, na spodnicy krótszy od niej fartuszek muslinowy — za obuwie żółte buty na wysokich podkowach. Po tem wszystkiem splywa z głowy lub ramion aż do ziemi rąbek z muslinu; z pod rąbka przebłyskują na szyi ulubione tej płci błyskotki i ozdoby. Włosy umuskane są aż do zbytku; rozdzielone wierzchem głowy na dwie strony i splecione w jeden warkocz, spływają po plecach. Strój mężatek ten sam prawie, tylko mniej ozdób i głowa związana chustką, której część tylna rozszerzonym końcem spada ku szyi.

Góralki znają się na swoich wdzykach i troskliwie je pielęgnują. Trudno zobaczyć góralską dziewczynę pracującą pod gołym niebem bez obwiązki, która czoło i całą twarz zakrywa. Patrząc na te twarze obwiązane, na te oczy, błyszczące z obłoku płótna, stawały mi w myśli kobiety niektórych okolic Wschodu, kryjące podobnym sposobem twarz swoją.

Góralki są śmiałe, przytomne, pracowite, jak górale; są łagodniejsze od góralów, a nawet załotne. Obyczaje ich są dosyć łatwe. Nie można się temu dziwić, wzięwszy

na uwagę wszystko, co usiłuje zepsuć ładną a łatwowierną w swojej prostocie wiejską kobietę. Nie im kamienowanie za to! Broni je tylko ich niewinność do czasu; jeszcze nawet po utracie tej niewinności nie widzą szpetności złego, w które je wciągnięto. Może to i lepiej dla nich. Może to sprawia, że nierząd nie wydaje między ludem prostym tych skutków straszliwych, jakie nas przerażają w ukształceńskiej warstwie społeczeństwa.

Bądź co bądź, kobiety góralskie odznaczają się wdziękiem łagodnym, który umila nazbyt może twardy i surowy ogół oblicza tego ludu.

ODJAZD W TARNOWSKIE.

1 czerwca 1832.

Opuszczam góry na dni kilkanaście; ważna potrzeba odwołuje mię w Tarnowskie. Korzystam z chwil ostatnich, przebiegam okolicę, napawam się życiem, które tu dopiero zaczyna się objawiać w swojej pełni. Nie tylko przyroda ożywa, ale lud występuje w życiu najpełniejszym, najmiłszym, najrozmaitszym, właściwie jedynie temu krajowi — bo oto nadeszła pora pasterstwa, kiedy górale wychodzą z trzodami koczować w górach przez całe lato. Ruch ten już się rozpoczyna. Trudno, nie widząc, wyobrazić go sobie; równie trudno z pierwszego wejrzenia schwycić jego obraz bądź w ogóle, bądź w szczegółach — dlatego nie śmiem jeszcze dotknąć go piórem. Zostawiam tę czynność na później, a dzisiaj tylko się nasycam, przenikam, tylko się w nim rozpatruję, tylko go zachowuję w pamięci, odciskam na moich myślach, aby w swoim czasie przedstawić jak najpełniej, jak najwierniej.

Jest to widok tak nowy, tak niezwykajny dla tego nawet, komu nie jest nowy, tak pełen ruchu, życia wszechstronnego, że go niepodobna schwycić wiernie w całości od razu, jak niepodobna zapamiętać od razu wielkie dzieło muzyczne. Muszę wprzód nauczyć się tego obrazu. Nie chciałbym dać jego kopii martwej i zimnej. Byłoby to — nic nie dać.

POWRÓT NA PODHAŁE.

15 czerwca 1832.

Powracam z Tarnowskiego. Znajduję dom Łopusznej w żałobie: ojciec pani T(etmajerowej) umarł. Opuścił dom, gdzie się urodził, gdzie przeżył lat ośmdziesiąt. Pustka w domu po człowieku — żal, smutek w pozostałych, a dokoła przyroda cała, życie ludu — rozwija się i podnosi. Wszystko więcej żyjące, miłsze, weselsze, jak w chwili, kiedy się stąd oddalał. Płynęmy i my z tym oceanem, płynącym w wieczność! Stratom chwilowym chwila żalu — i dalej w drogę! Kiedyś, gdzieś znajdziemy się wszyscy, a tymczasem zarabiamy na to, abyśmy się znaleźli w miejscu lepszym, niż to, w którym się rozstajemy, w życiu, któregoby żadna śmierć nie przerwała! Umiejmy korzystać z obecnej chwili, zasługujemy, aby ta chwila znalazła się na drodze nieśmiertelności pożądanej, błogosławionej! Ogólne życie świata naucza nas, daje nam przykład, idzie w swoich karbach, pełni swoje prawo, jest każdej chwili, czem być powinno w ogóle stworzenia. Korzystajmy z widomego wielkiego przykładu! Starsze dzieci, poprawiamy się na wzór młodszych, kiedyśmy mniej lepsi, mniej posłuszni od nich — kiedyśmy stracili w nas samych nasze prawo, nasz ideał!

NARZECZE PODHAŁAN. — SŁOWNICZEK.

18 czerwca 1832.

Nieznacznie, mimowiestnie wędrówka moja wzięła obrót nie w pierwszą myśl moją, a jednak logiczny. Główny początkowo mój przedmiot, Tatry, został podrzędnym, a miejsce jego zastąpił lud jego. Stało się to w skutku przeszkód, nie zależących ode mnie — i nie żałę się na to, przeciwnie, znajduję, że przypadek był mędrszy, niż moje postanowienie. To mi jednak daje do myślenia. Zdawałoby się, że Tatry były tylko rzuconą mi ponętą, aby mię zwaćbić wśród tego ludu, abym, tak zwaibiony, miał sposobność zawiązać z nim stosunek miłości, jak nieraz piękne ciała przyciągają wzajem ku sobie dwie osoby, aby między niemi zawiązał się stosunek ściślejszy, wewnętrzniejszy;

ciała wówczas są tylko narzędziami roboty tajemniczej. Podobnie i mnie postawiono wobec tego ludu; zewnętrzność Tatrów posłużyła za narzędzie. Mnie się zdawało, że to powierzchowny urok ziemi, urok zmysłowy porwał mnie w te strony. Bynajmniej; dziś poznaję, że to była władza, przyciągająca człowieka, który je posiada, ducha ludzkiego, który je ożywia. Dziś myśl moja o Tatrach spokojniejsza; bez niecierpliwości czekam na chwilę bliższego poznania się, a cały pęd mój zwraca się ku ludowi. Między innemi, zadałem sobie pracę nad jego mową i zebrałem w tym przedmiocie kilka myśli, wpadłem na kilka uwag. Nie powinien on być nikomu obojętny. Naród odbija istotę swoją w swoim języku, więcej, niżby się zdawało. Wyobrażenie, choćby ogólne, o języku góralów może bardzo ułatwić głębsze ich poznanie. Moja praca jest prawie nic. Nie podobna mi dokonać jej tak, jak czuję, jakbym pragnął. Jest to nic więcej, jak próbka, jak zachęta dla innych, jak ziareczko do przyszłej uprawy na tem polu — a daj, Boże — przyszłego plonu.

Pisarze nasi szczególnie powinni, przez swój własny interes, zająć się mocniej nauką tej rzeczy. Słownik góralski, przedmiotów świata góralskiego, jest, według mnie, w naszym języku książkowym dosyć ubogi; nie zdąży w tem za innemi językami, posługiwać się musi nieraz nazwami obcemi albo określeniami. Kto wie, czy byśmy go nie zbogacili, gdybyśmy się lepiej obeznali z mową Tatrzańców? Łatwo jest przypuścić, że lud, zamieszkujący od wieków góry, musi mieć swoją nazwę dla wszelkiego ich szczegółu. Ja sam natrafiłem już na wyrazy zupełnie mi nieznane, a nieraz byłem w ich potrzebie i musiałem łączyć mój niedostatek, jak mogłem; umieszczam je w załączonym tu słowniczku.

Dwa plemiona góralskie gnieźdzą się na całej długości pasma najwyższych Karpat, przynajmniej na ich stoku północnym: górale, zwani ruskimi, i drudzy, zwani polskimi. Pierwsi mówią po rusku, drudzy mają narzecze właściwe sobie. Siedziba góralów ruskich rozciąga się od Bukowiny aż do sanockiego obwodu, a nawet jasielskiego, gdzie w pewnej przestrzeni jest widoczna mieszanina

dwóch języków, ale od tego kresu reszta Karpat, aż do Morawii, osiadła jest już góralami drugiego plemienia. Mowa, czyli narzecze jego, nie jest to język czysto polski, nie jest nawet zupełnie krakowski, mimo to spotykam w niej często na wyrazy, znane mi tylko z niektórych dawniejszych pisarzy, takich naprzykład, jak Rej, Kochanowski i t. p. Dla tego skłaniam się bardzo ku myśli, że górale jedni dochowali może w największej czystości polską mowę z owych wieków, gdzie wszystkie języki słowiańskie, pilnując się więcej spólnego swego źródła, mniej się między sobą różniły. Narzecze bowiem Podhalan, ściśle roztrząśnione, wydaje się być tylko zlewkiem wielu języków, a głównie polskiego, morawskiego, słowackiego i ruskiego. Prawda, że go dotyczą wszystkie te ludy, i to sąsiedztwo mogło wpłynąć na mowę górali, co po części mam także za prawdę niezawodną, ale nie idzie za tem, żeby jaka mowa nie miała swego własnego korzenia, swojej posady odwiecznej, swojego tła rodzimego. I ma je niezawodnie. Taki lud, jak góralski, z natury swojego położenia niełatwo przyjmuje obce, jeszcze trudniej puszcza swoje. Ale dłuższe rozprawianie o tem nie jest moją rzeczą. Chcę tylko dać ogólne wyobrażenie obecnego narzecza Podhalan.

Słowniczek, niżej umieszczony, jest to próbka, powtarzam, bardzo małoznaczna — pokaże jednak niektóre odcienia tej mowy, niektóre jej żywioły. Dla mnie samego była ona nieraz potrąceniem do głębszego zastanowienia się nad kolejami tego ludu w jego bycie wiekowym. Nie zostało mi wprowadzić nic więcej stąd, jak domysły, przypuszczenia, ale je zachowałem w pamięci na przyszłość.

SŁOWNICZEK JĘZYKA PODHALAN.

Hale — Tatry, także pastwisko (hala). Najwłaściwiej jednak wyraz ten oznacza góry. U dawnych Sarmatów góra zwała się także „Ala.“ Naród Alanów wychodził z pod gór kaukaskich. Jest więc jakieś powinowactwo między wyrazem „Alanin“ a wyrazem

- Podhalańin*, który oznacza górala z pod Tatrów.
Podhale — kraj, leżący u podnóża Tatrów.
Polana — pole czyste wśród gór i lasów, gdzie się trzody latem wypasają.
Groń — wierzch.
Gronik — wierzchołek. Podobieństwo z polskiem „gran“, zachowaniem w wyrazach: czworogran, sześciogran, ośmiogran i t. d.
Turnia — skała naga, stroma. Znalazłem ten wyraz w jednym najdawniejszym starosłowiańskim przekładzie psalmów, użyty w znaczeniu wyrazu „kolumna.“
Uplaz — równina między skałami.
Drapa — przykry bok góry, także rozdół, wąwóz skalisty, parów.
Skala — wszelki głaz, kamień.
Borowaczna — miejsce bagniste w górach, zarosłe mchem i kozodrzewiem, a niebezpieczne stąd, że, przebiwszy tę powłokę, można utonąć w bagnie, które jest pod nią.
Młako — bagno.
Łaz — miejsce wypalone z zarośli na pole.
Hutor — pastwisko.
Otawa — potraw, łąka skoszona.
Juhas — pasterz, chodzący około trzody przez czas letniego jej przebywania w górach.
Baca — naczelnik pewnego oddziału juhasów. U Szwajcarów „batz“ — moneta miedziana.
Bacówka — chatka pasterska w górach — także
Szałas — szwajcarskie „chalet“, albo
Koliba — u Czerkiesów „koliba“, pokolenie, to samo, co u Szkotów „klan“.
Gruby statek — bydlę rogate.
Drobny statek — nierogaczna.
Strzyżka — owca.
Jarka — owca jałówka.
Wetula — koza jałówka.
Zywina — wszelkie bydlę.
Kirdel — stado np. owiec.
Hatiar — źrebiec.
Żętyca — warzonka wszelkiego rodzaju mleka.
Galeta — wiaderko do dojenia.

- Watra* — ognisko w polu. Wyraz znany na Ukrainie i znaczący: ogień w piecu.
Plekać, wyplekać — odessać, odcykać mleko.
Jedla — jodła.
Smerek — świerk.
Świerk — modrzew.
Limba — rodzaj cedru w górach.
Sochacze — sterczące przy drzewie reszty uciętych gałęzi.
Rąbanica, cieślica — siekiera zwyczajna.
Ciupaga, } — mała siekierka, toporek, osadzony na
Wataszka } rękojeści mniej więcej długiej, albo na lasce; rodzaj broni góralskiej. Zowią ją także „wachlarz.“
Zboże — owies.
Jarzec — jęczmień.
Karpiel — brukiew.
Gruła — ziemiak, kartofla.
Moskal — placek owsiany.
Gadzina — domowe ptastwo, drób.
Gacek — nietoperz.
Gazda — gospodarz, kmięć.
Hawiasz — górnik.
Bania — kopalnia, ruda żelazna.
Pachotek — zbójca.
Niewiasta — synowa; — ruskie „newistka“.
Fräirka — kochanka (zdaje się: z niemieckiego wyrazu „Fräulein“, panienka).
Kopiniak — płaszcz; wyraz perski, oznaczający niemal to samo.
Gajdy — spodnie, hajdawery.
Łagiew — barylka.
Palenka — gorzałka.
Zagłówek — poduszka.
Piparek — cybuch.
Godziny — zegar.
Murań — ma to być każde miasto murowane, a raczej miasto grodowe.
Bursa — zabawa składkowa w zapusty.
Gwara—hwara — mowa, język.
Hasen — zysk.

Tyżeń — tydzień.

Chodnik — ścieżka po nagich górach.

Perś — ścieżka w górach między zaroślami.

Chodza, czesta — droga.

Fruhaniec, furmaniec — gościniec bity.

Cierpialka — krzyż, figura przydrożna.

Ztyraz — szubienica.

Centyrz — cmentarz.

Jaz — tama wodna.

Strysz — kra drobna.

Kurniawa, fujawica — zamieć zimowa.

Srężoga — mgła na pogodę.

Ciekawy — złodziej.

Zdatny — oszust.

Swaty — święty.

Swarny — dzielny, tęgi.

Podufały — zuchwały.

Chytry }
Wartki } rączy, prędko.
Fryszki }

Niżni — niższy.

Wyżni — wyższy.

Hasnować — zyskiwać.

Pytać — prosić, żądać.

Banować — żałować, trapić się.

Naprać — nałożyć, napakować.

Zakubić — zapomnieć.

Zbesnieć — zepsieć się, wściec się.

Chodzić na fraj — chodzić w zaloty.

Radykać — szybko iść.

Strybać — pić co gęstego, chleptać.

Hładzić — upatrywać, pozierać (ruskie).

Ciarac — mieniać. *Ciarach* — nienawistne nazwanie szlachcica u ludu krakowskiego.

Miesiukać się — śpieszyć się.

Dawać pozór — dawać baczność.

Niepeć — niełatwo.

Drzewiej — pierwej, dawniej.

Dawniej — prędzej.

Dosiela, dotela — dotąd.

Suczy — przystoi, należy co do czego.

Słobodno — wolno.

Kirkak — na plecach (nieś).

Haj — tak jest.

Bie, zie, — odpowiada czasem mazurskiemu „dyć“; niekiedy polskiemu: „ba“!

Ażebym dał dokładniejsze jeszcze wyobrażenie o mowie Podhalań, wypiszę tu niektóre sposoby ich mówienia. Są to wyjątki z jednego wiersza, który jest niewątpliwie napisany przez poetę górala. Cały wiersz nie zasługuje na umieszczenie; jest ciekawy tylko dla niektórych miejsc, malujących duch języka i duch górala.

We wszystkich tych wyjątkach jest to góral, który mówi.

Skądżeście wy, panasku? O co się pytacie?

Słówka wam nie rozumię, kiepską hwarę macie!

My tu Lachem zowiemy zakrakowskich ludzi,

Bo tam suknie z wielkimi nosą kołnizami,

My tu zaś po góralsku, jak widzicie sami.

Bie — kej jesce, panasku, mam iść dobrą milę.

Juzeksię tu i zestarzał, jak widzicie sami,

Nie słysałe-'k, zeby kto tak robił...

Ty-ta sobie wywodzis jakieś worensyje.

Jesce-byś mnie i stsyłał, dieboł ci w maciezy.

Miałbys ci mnie w łeb stselić, wpsód ja cię zastsełę,

Tylko się s mym na tobie wachlazem ośmielę.

Znaj ze wachlaz góralski, — tsysta w garle stoi! —

Rozumiałeś, ze się cię łada góral boi. —

Dieboł wie, na co się was tu skidało tak wiele;

Takeście tu potsebn, jako psi w kościele.

Nie będzies mi się włocył, ty Lutse Marcinie,

Zabiję ja cię, nie trwam (nie dbam) na twoje pytanie (prośbę)

Widzis, takie góralskie jest pozałowanie.

Abyścić nie uciecył, mógłbys-ci mię zdradzić,

Wytnę cię w łeb wachlazem, wolę ja cię zgładzić.

Kiedy nie tak, jak ongi, padło w Bujakowie,
Co się chlapi natłukli takiego po głowie,
A nie mogli go zabić, aż wzięli na Sołę,
A on jeszcze wypłynął w chwilę pod stodołę,
Aże chlapi musieli brnąć w Sołę do niego,
Ledwie i tam stłumili bestyę takiego.
Takie to te psy twarde, jak wąż, do zabicia,
Napapęzys się dobrze, nim pozbędzie zycia.
Ale ja go zabił-k, mam w Bogu nadzieję.

O tak, niech znają, ześmy chlöpцы swarni,
Chociaz wychowani w lasowej owcarni!

Wszystkie te próbki powyższe, jakkolwiek nieliczne, są wyjęte wiernie z ogółu podhalskiego narzecza; powinni więc dać o niem pewne wyobrażenie.

W dopełnieniu ich to jeszcze powinienem powiedzieć:

Odgarnawszy na bok z narzecza podhalskiego niektóre obce mu naleciałości, znajdziemy wkońcu tło główne, jemu tylko właściwe, odwiecznie rodzinne. Jest to jedno z narzeczy języka polskiego, takie, jak mazurskie, śląskie itd.; gałąź, więcej niż ze pnia polskiego, bo z tego samego korzenia, co i główny pień polski. Były czasy ich zupełnej jedności, rozdzieliły się później; dzisiejszy pień polski, silniejszy życiem, strzelił w najwłaściwszym kierunku i rozrósł się w drzewo główne — inne zostały tylko odroślami bratnimi. Cała budowa języka Podhalan, duch jego, członki pojedyncze, wiązanie ich — wszystko w nim okazuje brata językowi polskiemu, brata bliźniaka. Przyczyna niektórych różnic w tem głównie, że pozostał ciągle językiem ludu nielicznego, oddzielnego, zacienionego i położeniem swoim i sferą tak swoich potrzeb, jak dążeń. w zatoce prądu głównego.

Mowa Podhalan najwięcej się zbliża do krakowskiej; to samo mazurzenie wyrazów przez wyrzutnię głoski *z*, przez zamienienie litery *a* na *o* szczególnie przed *n*, jak na przykład: pan — pon.

Jest mu właściwe, i to świadczy o duchu starym tego języka, kończenie pierwszej osoby pojedynczej przez *k* na miejscu naszego *m*; na przykład miałek zamiast miałem,

W wielu razach Podhalanin przerabia tylko swoim krokiem wyrazy polskie przez zamianę jednej głoski na inną, w której ma większe upodobanie, jako to: *g* na *h* — na przykład: *g* w a r a, *h* w a r a; *l* albo *w* na *l* — na przykład: *j* o d ł a, *j* e d ł a; *s* w o b o d n o, *ś* l e b o d n o. Tak zamienia *ę* na *u*, a w wyrazach pieszczących *e* na *i*, na przykład: *J* a n e c z k u — *J* a n i c z k u; *c* z a p e c z k ę — *c* z a p i c z k u.

Napotykam tylko każdy szczegół — nie zamierzałem rozprawy uczonej. Kończę na tem, że język ten brzmi przyjemnie w ustach dobrze mówiącego; wybitny jest we wszystkich odcieniach, bądź łagodnych, bądź ostrych, i nagina się do wszystkich — ale trzeba się z nim oswoić, aby wszystko łatwo schwycić w rozmowie z góralem, zwłaszcza, że mowa ich jest więcej szybka, jak powolna.

PASTERSTWO W TATRACH. — PIESNI PASTERSKIE.

22 czerwca 1832.

Górale są ludem pół rolniczym, pół pasterskim, więcej pasterskim, jak rolniczym, a może nawet głównie pasterskim. Wielce się przez to wyjaśnia zagadka jego charakteru, odskakiwanie niekiedy od ducha słowiańskiego. Góral jest Słowianinem przez miłość namiętną swojej ziemi, którą praca rolnicza około niej bardzo zasila i rozwija. Stąd w nim przymioty słowiańskie, cnoty słowiańskie, dzieci tej miłości; można więc powiedzieć, że góral jest Słowianinem przez rolnictwo; pasterstwo zbliża go do ludów pasterskich na wschodzie. Przypatrzmy się dobrze góralom z tej strony, a znajdziemy dziwne zbliżenie pomiędzy nimi a pasterskimi plemionami, na przykład Arabów; zbliżenie w charakterze, dobrych przymiotach a razem złych skłonnościach. Już to dawno postrzeżono, że jest coś w pasterstwie, co zaszczepta w człowieka pewien rodzaj energii dzikiej; tę energią mają Arabowie, którzy są jedynie pasterzami — tę energią mają i nasi górale, i w tem zostawiają powolnych Słowian za sobą.

Ale w tej chwili patrzę na pasterstwo góralów z innej

strony — zachowuję więc ideę powyższą na później a wracam do przedmiotu właściwego.

Góral jest głównie pasterzem. To jest główne utrzymanie jego życia, główny wdzięk jego życia; to jego praca najgłówniejsza, to dla niego najmilsze i najwdzięczniejsze pole pracy.

Trzeba go widzieć, trzeba widzieć jego życie, jego góry w porze pasterskiej. W rzeczy samej jest co widzieć. Ale wtedy pomijaj wioski i chaty: idź w góry, drzyj się po górach, szukaj miejsc najustronniejszych, wystawiaj się na upał, nie dosypiaj nawet nocy, bo tylko tam i takim sposobem zobaczysz górala w jego żywiole, pokochasz wdzięk jego życia! Tak ja robię od mojego tu powrotu z pod Tarnowa. Wynagradzam sobie czas stracony i mogę powiedzieć, że w części wynagrodziłem. Co przez ten czas uzbierałem, tego w zupełności słowa nie wydadzą. Podzielię się tem, czem się podzielić mogę.

Pasterstwo w Tatrach ma swoją organizację; kilka więc słów o tej organizacji.

Dłuższa zima w Tatrach niż w górach niższych, jałowość Tatrów, a nawet w porze płodniejszej rzadkość pastwisk czyli polan, zmuszają największą część Podhalańszczyzny szukać swojemu dobytkowi pożywienia letniego w oddalonych miejscach, w przedgórzach; jest to konieczne dla handlu nabiałem, a mianowicie serami, który jest najważniejszy dla górali. Na ten cel każda wieś ma kilku lub kilkunastu gospodarzy porządniejszych, przedsiębiorców niejako, trudniących się przez lato wyłącznie tym przemysłem; jednemu więc z nich, na mocy pewnych układów, pewna liczba mieszkańców powierza swoje bydło. Jego już jest powinnością wyżywić trzodę, zebrać nabiał, robić sery, i t. d. Taki naczelnny pasterz zowie się „baca.“ Ma on do pomocy w tem gospodarstwie kilku lub kilkunastu pasterzy, od niego zależnych, poddanych jego kierunkowi, którzy się zowią „juhasami.“ Jest to zazwyczaj najdorodniejsza młodzież. Ich obowiązkiem paść powierzoną im trzodę, pilnować jej, opatrywać ją, doić krowy, owce i kozy, warzyć żętycę, urządzać masło, robić sery itp. pod kierunkiem bacy, który jest naczelnym wodzem juhasów i trzody, a pełnomocnikiem odpowiedzialnym przed

właścicielami powierzonego mu dobytku. Baca też zawiera umowy o polany bądź z właścicielem jakiej wsi, bądź z gromadą. Osnowa umowy jest zwykle ta, że mu wolno, jeżeli ma do czynienia z gromadą, wypasać swoją trzodę po wszystkich polach, łąkach i lasach w obrębie tej wsi — a po całej własności prywatnej, jeżeli ma do czynienia z pojedynczym właścicielem. Zresztą różne są rodzaje tych umów, stosownie do zobopólnego przyzwolenia obu stron. Właściciel ma prawo oznaczać miejsca na koszarzy, czyli nocne stanowiska trzody, według tego, jak chce sobie użyżnić pewne miejsce nawozem trzody. Stosunek jest często kilkunasto-, a nawet kilkadziesiątletni, dlatego pośrodku podobnych wypasów stoi porządna, drewniana budowa; służy ona bacy za dom, juhasom za przytułek; tam nadto składają się wszelkie naczynia pasterskie, urządza się i przechowuje się nabiał; jest to zarazem mieszkanie, fabryka, magazyn a nawet sklep handlowy. Budynek ten zowie się „bacówka“, czasem „szalaś“ albo „koliba.“ Jest on zwykle porządny, z dobrego i gładko obrobionego drzewa, jak wszystkie budowle góralów, o jednej lub dwu izbach, o jednych drzwiach; okien niema prawie żadnych. Pośrodku bacówki leży wielki kamień, na którym roznica się ognisko, pod ścianami łózka ze mchu i paproci; naczynia do nabiału lub z nabiałem są rozmieszczone po półkach lub rozwieszone po ścianach.

Życie zwyczajne pasterzy podczas letniego koczowania jest bardzo skromne; całym ich pokarmem chleb i nabiał, a głównie „żętyca“, czyli przewarzona mieszanina mleka wszelkiego rodzaju. Jest to rodzaj serwatki, tylko bez porównania smaczniejszej, gęstszej i posilniejszej. Własność jej, lecząca z osłabienia ciała przez wycieńczenie, znana jest sąsiadom Karpat. Z początku sprawa rozwolnienie żołądka, ale po dniach kilku zaczyna wzmocniać i tuczyć. Psy pasterskie nie znają także innego pokarmu, tylko żętycę, i mają się jak najlepiej.

Niekiedy, wyjątkowo, wyprawiają sobie juhasy pasterskie uczty. Dzień to zwykle świąteczny, a pora nocna, kiedy trzoda odpoczywa już, zamknięta w koszarach. Wówczas dopiero jest na stole i mięso, wódka krąży

w kieliszkach — wówczas przy śpiewach i muzyce ma też miejsce i taniec. A jak ta zabawa jest prawdziwą zabawą, można to pojąć, przeniosłszy się myślą w kraj równie piękny, pod niebo równie wypogodzone, w dusze równie swobodne.

Życie to pasterskie rozpoczyna się powszechnie w pierwszych dniach czerwca, a zamyka się pierwszych dni września. Przez cały ten czas Podhale przedstawia widoki, nieznanne krajom równym, o których nie można mieć prawdziwego wyobrażenia, nie dotknąwszy ich własnymi zmysłami.

Ile tylko roślinne państwo ma płodności pod tchnieniem wiosny, ile tylko życia i uroku może mieć pasterstwo — wszystko to w owych trzech miesiącach zalewa tę okolicę.

Wiosna pełna objawia się tu właściwie dopiero w końcu maja; zato też objawia się odrazu pełniej, niż gdziekolwiek indziej. Roślinność, przytłumiona długiem zimmem, rozwija się we dwójnasób szybciej i bujniej; zaledwie można się postrzedz na jej przejściu z martwoty do pełnego życia. Cała okolica wychodzi od razu w swoim stroju świątecznym wiosennym, jak kobieta ze swojej gotowni; uderza cię tem mocniej, że nie musiałeś być świadkiem jej ubierania się.

W owych to dniach ostatnich maja rozpoczyna się pasterska wędrówka górali i rozlewa się z głębi Tatrów na kraj okoliczny. Ruch ten przesłiczny podnosi jeszcze bardziej młode życie przyrody. Miałem radość być jego świadkiem, a z miejsca nieraz takiego, żem go ogarniał spojrzeniem w części jego najważniejszej.

Widzisz naprzód, jak w oddaleniu, z ciemnej głębi Tatrów wysuwają się ciemne karawany, nie rozpoznane jeszcze; powoli zbliżają się ku tobie coraz wyraźniejsze, coraz ogromniejsze — wkrótce kupią się wszystkie w dołynie, zalewają jej przestrzeń, przesuwają się po niej. Zaczynasz rozróżniać w tym tłumie ludzi, konie, bydło wszelkiego rodzaju, wozy naładowane różnemi sprzętami — po pewnym czasie tłum ten zaczyna się rozdzielać na różne drogi, w różnych kierunkach — każdy oddział zmierza ku przedgórzom — aż póki wszystkie nie znikną w setnych wąwozach — ale zato jutro widzisz już wszyst-

kie góry, lasy, polany, zaludnione trzodami, słyszysz ze wszystkich stron dzwonki, zawieszone u szyi bydła — zewsząd uderza cię granie fletów, skrzypców — ze wszystkich szczytów rozlega się śpiew pasterzy i pasterek, a dzikie skały odpowiadają ich hukaniu.

W tej to porze trzeba poznać góry, a kto je tak pozna, temu trudno nie pokochać ich i później nie tęsknić za niemi; tak ja przynajmniej sędzę z tego, co sam doznaję.

Życie takie nie ustaje razem ze dniem; długo przeciąga się w noc. Tej chwili szczególnie pilnuję, i wtedy dopiero upojenie jest zupełne. Obieram sobie zazwyczaj miejsce dalekie od wsi, ustronne, wyniesione, wpół omroczone drzewami, i czekam, aż ucichnie gwar dziennej muzyki, ryk i dzwonki pasącego się bydła, aż przemoże cisza nocy i okolicy; wtedy rozpoczyna się muzyka nocna, odpowiedniejsza temu, jeżeli bydło ryknie zabłąkane, i słyszysz w głosie jego trwożę, co zasiadła po dzikich miejscach; jeżeli śpiew się odezwie, to czujesz w nim serce, które szuka drugiego serca, a śród tego stąd i owad wyrывa się huknięcie pasterki ostre, długie, obija się o skały, oblatuje echem całą okolicę i ginie gdzieś w przepaści oddalenia.

Wtedy to roztacza się wokół mnie żyjącem przypomnieniem noc ukraińska ze swojemi „ułyциями“, ze swojemi śpiewami. Tyle bo jest podobieństwa w śpiewie, szczególniej góralek, w długiem jego przeciąganiu, do śpiewu naszych dziewczek, ukraińskiego, tęsknego, wlokącego swój smutek w jakąś nieskończoność, zatrzymującego się na pewnych tonach, jak żeby serce przysłuchiwało się samo sobie — i po chwili niknącego w nieschwyconej nieskończoności. Niema tego uroku śpiewu góralski: jest mniej rzewności, mniej słodczy w jego dźwięku — ale wiele go przypomina.

Na próbkę tej muzyki i poezji umieszczam niektóre ich śpiewy. Może one przyniosą, chociaż jako tako, cię czytającego w tę chwilę, która mię tyle upaja.

I.

Juhasy, juhasy, coście owce paśli,
Zgubiłam wianeczek, wyście mi go naśli.

Juhasy, juhasy, dyć się Boga bójcie,
 Zgubiłam wianeczek dyć mi go powróćcie.
 Zgubiłam wianeczek, w zielonej ubocy,
 Ten mi go powróci, co ma carne ocy.
 Dyć-em się taiła, taić się nie będę,
 Gotuj kołyseckę, ja pieluski będę;
 Gotuj kołyseckę z drzewa limbowego.
 A ja pielusecki z rąbka bielonego.

II.

Idzie woda, idzie, z daleka się sieje,
 Idzie mój Janicek, z daleka się śmieje.
 — Idzie woda, idzie, drobny piasek niesie,
 Cekaj mię frairko w smerckowanym lesie.
 — W potoku za laskiem siwe konie piją,
 Nie chodź tam, Janicku, bo cię tam zabiją.
 Bodajże ta woda, bodajże zmalała,
 Cobym cię, Janicku, pierwszej увидziała.

III.

Hej! tęskno mi, tęskno, sama nie wiem, cego,
 Bez mego Janicka, dalekom od niego.
 Boli mię główecka, serdusko nie cuję:
 Hej! nikt tego nie wie, za kim ja banuję.
 Bodaj ten cłek nie zył, bodaj nie wiekował,
 Co on to kochanie na świecie fundował.
 — Nie płac, frairecko, otsyj sobie ocka.
 Psydę ja do ciebie, jak się ściemni nocka.

IV.

Bodaj cię Bóg skarał, bodajęs skamieniał,
 Jak będzies, Janicku, odemnie uciekał.
 — Widziałeś ty, dziwcę, ten kamień nad wodą.
 Hej! jak on popłynię, ozenie się s tobą.
 — Widziałeś ty kiedy, zeby kamień pływał?
 Cemuś się zalecał, kiejć się zenić nie miał?

Leciały gołębie, w źródle wodę piły,
 Bodaj cię, Janicku, moje lzy zabily.

V.

Bodaj ty, dziewczyno, maliniaku (?) zjadła,
 Coś ty Janickowi do serduska wpadła.
 Chyba cię, dziewczyno, dyabli malowali,
 Co do twoich licek taką krasę dali.
 — Ej! dyć mnie malował sam Pan Jezus z nieba,
 Bo do moich licek takiej krasy tseba.

VI.

Hej! Ładnaś, dziewczyno, ładnaś i do smaku,
 Nie zal mi pód z tobą z hory taj do światu.
 Ja pódę po wirsku, ty pódzies doliną,
 Jak się nie zendziemy, to se wezmę inną.

VII.

Werbuja, werbuja i na siłę biorą;
 Hej! nase frairki, gdzie się nam podzieją?
 Hej! trawka zielona, kto ją będzie kosić?
 Jak pódę na wojnę, budę sablę nosić.
 Włosy moje, włosy, moje carne włosy,
 Nie będą otsasać s popod buków rosy.
 Bodaj ten Nowy Sąc pioruni rozbili,
 Zeby nam tam bezeń chłopców nie gonili.
 Bodaj ten Nowy Sąc pioruni stsaskali,
 Zeby nam do niego chłopców nie bierali.
 Nowy Sąc, Nowy Sąc, hej! okragłe miasto;
 Do niego syroko, ale z niego ciasno.

Reszta śpiewków są albo ułamki śpiewów większych,
 albo śpiewki w duchu krakowiaków.

Hej! syckoś ty mnie, mój Janicku, budził,
 Pokiś wianecka u mnie nie wyludził.
 Wziąłś wianecek, weźże i mnie samę,
 Bo bez wianecka sierotą zostanę.

Nie było mnie w domu, byłem za górami;
Moja frairecka posła z zbójnikami.
Albo się zwerbuję, albo póde na zbój,
Juz ci ja, frairko, nigdy nie budę twój.

Leciały gołębie, leciała ich para,
Kiedy ja cię kocham, to drugiemu wara.

Zasię chłopcy, zasię,
Kupiłem se Kasię;
Dałem krajcar za nią,
Nie patscie mi na nią.

Choćbyś mnie ty, matko, w sksynizamykała,
To mię nie upatsyć, kiej ja będę chciała.

W moim ogródecku majeronek bujny,
Niech do mnie nie chodzi, tylko zbójnik sumny.

Czemu ty, dziewczyno, nie chcesz na mnie patsyć,
Jak ja cię nie wezmę, nie wezmie cię ślalcie.

Dziwcęta, dziwcęta, cobyście wiedziały,
Co to za zaraza ten parobek stary.

Wysoki zamecek,
Wzięłeś mi wianeczek.
— Wyzsa jesse skała,
Samaś mi go dała.

Ku potoku wartko idę,
Czarny gawron wodę pije.
Pije, pije, pokrakuje,
Moja miła poplakuje.

Jabym orał, jabym siał,
Jabym ciebie, dziwcę, chciał;
Kiejby mi cię chcieli dać,
Umiałbym cię sanować.

Hej! niéma to, jak juhasom:
Nic nie robia, tylko pasą,
Na groniki wybiegają,
Za stszykami pozierają.

Hej niemas to, niemas, jako pod halami:
Nauca cię spiewać dziwki za owcami.

Choć ja pod halami, nie chcę Podhalana;
Zdariatbym se nogi po same kolana.

Dyć to pod halami syćko dobrze rodzi:
Owiesek posiejes, zytko się urodzi.

Podhalskie dziwecki,
Hej! jako sarnecki —
A z dolów wargule,
Tylko skrobać grule.

Niektóre z wierszy, umieszczonych powyżej, mogą być całością skończoną, nakształt krakowiaków; o innych mam przekonanie, że są urywkami, należącymi do pieśni większych. Umieszczam jedne i drugie w nadziei, że ich całość później się odszuka. Jestem za tem, aby na polu poezyi gminnej zbierać i składać jak najstaranniej wszystko, cokolwiek się nastreczy. Robić brak między niemi w tej chwili, w tym stanie, w jakim je dziś mamy, byłoby niewłaściwem i szkodliwem, bo ich wartość pokaże się dopiero obok ich całości, a dziś wszystkie prawie zasługiwałyby na odrzucenie. Lepiej zachować je, jak są, i starać się o więcej.

MUZYKA I TANIEC GÓRALÓW.

25 czerwca 1832.

Obraz Podhalan w ogólności a w szczególności ich pasterstwa nie byłby zupełny, gdybym nie powiedział coś o ich muzyce i tańcu; muzyka i taniec są w ich życiu, są w chwilach pełniejszych czuciem, ruchem i wdziękiem

— są więc ważną częścią jego życia, nieobojętnym rysem jego oblicza dwustronnego: wewnętrznego i zewnętrznego.

Narzędzia muzyczne, najpowszechniejsze między góralami, są: skrzypce, gęśl, bas, lira czyli kobza, i dudy, to jest dwie piszczałki, wprawione w miech z koziej skóry — ale powszechniejsze są flety, piszczałki, fujarki i dudki rozmaitego rodzaju, nakoniec trąby pasterskie czyli ligawki.

Skrzypce, basetla, gęśl, stanowią muzykę więcej domową, konieczną, gdzie są tańce; można jednak czasem usłyszeć skrzypce i gęśl w głębi gór najustronniejszych. Kobza i dudy są najczęściej instrumentami śpiewaków, żebrzących muzyków błędnych. Najulubieńsze juhasom i górom są ligawki i cała rodzina piszczałek. Ligawka służy juhasowi głównie do porozumienia się z trzodą; jej to głos wyprowadza trzodę na pastwisko, skupia, ile się razy zanańdo rozprószy, i na nocleg do koszar zwołuje. Ligawka jest to drewniana trąba, długa do dwóch łokci, niekiedy więcej; głos jej, donośny i dziki, przypada tylko do gór i lasów, wydaje się, jak żeby z ich piersi był wydobyty, i dziwne robi wrażenie, a nawet bardzo miłe, kiedy się rozlegnie po gęszy lasów i dolin, kiedy się łamie na skalistych szczytach i ścianach.

Milsze są od niej łagodniejszym dźwiękiem piszczałki. Są one rozmaitego kształtu. Zajął mię szczególniej jeden rodzaj. Jest to flet, otwarty z obu końców, i ma tylko dwie dziurki dla dwóch palców — mimo to ma głos dziwnie miły i rozmaity. Wygrywano na nim jak najdokładniej wszelki śpiew góralski.

Co się tycze ich muzyki, skala jej nie jest rozległa. Śpiewy ich są posępne, wysilone, przeciągłe — wyobrażają niejako hukanie z jego rozgłosem po górach. Jest w nich pewna jednotonność — dlatego uczenie się ich trudne; udało mi się jeden zrozumieć, i zdaje mi się, że już wszystkie umiem. Mimo to, słyszane między górami, nie tylko że nie rażą, że nie męczą — przeciwnie, ożywiają, porywają, zachwycają.

Równie trudno dać wyobrażenie o tańcu góralskim. W niektórych częściach przypomina on taniec Rusinów — ale ma jedną figurę, właściwą tylko góralom, kiedy góral,

zamknięty krążącym kolem taneczników, wyrabia na środku rozmaite skoki, a razem ciska raz poraz siekierką w górę i chwyta ją w powietrzu ze zręcznością zadziwiającą. Nada je to jakiś męski charakter tańcowi — przypomina wojenne tańce starożytnych.

Muzyka tańca jest całkiem oryginalna, niepodobna do żadnej muzyki tego rodzaju; jest niby jednotonna, ale tak rozmaita, tak jakaś nieskończona, tak dzika w swym tonowaniu, że mieszkający nawet od dawna między góralami wygrać jej nie mogą. I rzadki jest, ktoby tego w zupełności dokazał.

Nieraz, słuchając muzyki prostego ludu, żalowałem mocno, że, nie będąc sam muzykiem, nie jestem zdolny zająć się zebraniem tych melodyi, a razem pragnąłem, aby się znaleźli tacy, którzyby temu zatrudnieniu poświęcili część swoich trudów i zdolności. Oddaliby przez to wielką przysługę — mianowicie poetom i muzykom. Nieocenione skarby czucia i prawdziwej sztuki leżą w muzyce naszego ludu. Nigdzie też może wielostronny jego charakter ogólny nie maluje się wybitniej w odcieniach swoich; każda nasza okolica ma w swoich melodyach właściwe sobie piętno. Inny jest śpiew Litwina, inny Ukraińca, inny Mazura, inny Górala; inna skoczność kołomyjki, a inna koczaka lub krakowiaka; smutek głębszy, melancholia niewysłowiona, lubo znajduje się na dnie śpiewu wszystkich prawie okolic, ale jak rozmaita, jak malująca oblicze swojej ziemi i serce swoich mieszkańców! Widzisz w muzyce dumki ukraińskiej pola Ukrainy nie obejrzone, tęskne — a coś w nich głęboko rozrzucającego; widzisz w śpiewie Litwina jednotonnym, dzikim, puszcze, szumiące wiecznym wiatrem, rozlegające się rykiem dzikich zwierząt; widzisz równie w muzyce górala jego góry, ludne echemi, życiem trzód, tchnące całą swobodą nieuglaskaną przyrody i mieszkańca.

Muzyka ludu jest jednym z najzdrowszych zasilków naszej muzyki sztucznej, a muzyka ludów słowiańskich jest może pod tym względem najwyższa. Wiadomo, że geniusz Mozarta niemal się zasilł melodyami słowiańskimi, przesiąkł nawet niemi; stąd ten urok dzieł jego,

który mu daje taką wyższość nad największymi nowoczesnymi mistrzami.

Pan Wacław z Oleska dał dobry przykład, umieszczając niektóre melodye przy swoim zbiorze pieśni galicyjskich — ale jest to dopiero próbka, bardzo mała w porównaniu z tem, co zostaje do zrobienia. Miejmy nadzieję, że się znajdą gorliwi i na tej drodze. Jedna tylko obawa powinna towarzyszyć tej pracy, to jest, aby zachować tym melodyom charakter ich ludowy nietknięty. Sztuka nasza, zarażona martwością konwencyonalności, jest tak nieszczęśliwa, że wszystko, czego się dotknie, traci natychmiast swoją, że tak powiem, dziewiczość duchową, którą miało w życiu swoim wśród ludu, w piersiach ludu. Jest to niby to samo, a czujesz, że nie to samo, jak kobieta, którą znałeś niewinną, i widzisz po utracie niewinności. Sztuka nasza odbiera powszechnie tę niewinność utworom gminnym; widzieliśmy to już nieraz na pieśniach ludu, wygładzonych niby przez sztukę; nie życzylibyśmy podobnego losu muzyce jego.

NA SKALE TURNISKA. — GÓRY JAKO POLE DLA POEZYL.

29 czerwca 1832.

Lubię bardzo te skały. Odróżniają one tę górę od wszystkich okolicznych, nadają jej pewną dzikość. Drzewa, rozsypane po nich, tworzą cień i ustron przychylną głębszym myślom.

Niedaleko mam grocie, której, według wiary miejscowej, duch strzeże. Głęboka w tem prawda. Cóż jest, czegoby duch nie strzegł, gdzieby na dnie duch nie mieszkał, gdziebyśmy się mogli przedrzeć, co byśmy mogli osiąść, nie porozumiewszy się wprzód z opiekunem, panującym tam duchem? W duchu jest źródło i zagadka wszelkiego życia, wszelkiego istnienia. Całe stworzenie widome i niewidome jest, czem jest, przez Boga, przez Ducha bożego. Człowiek jest człowiekiem przez ducha ludzkiego, przez część ducha bożego. Cóż nas upoważnia twierdzić, że skała także, że kamień także nie ma swo-

jego ducha? Jest duch stworzenia, jest duch ludzkości, jest duch narodu, jest duch pojedynczego człowieka, jest duch w ogóle — musi być i w każdej części ogółu. „Bóg jest w niebie, na ziemi i na każdym miejscu“ — wraża nam Kościół tę prawdę od dzieciństwa naszego. Dzieci, wierne w dojrzałości swojej niewinności religijnej, kierują podług tej prawdy całe swoje życie; lud prosty, część najdzieciniejsza narodu, trzyma się jej jak najmocniej. Nie żartujmy z tej wiary, bo on zawsze na końcu wygra i zawstydzi naszą mądrość zmysłową, całkiem pełzającą po wierzchu rzeczy. Nie zabijajmy w nim tego uczucia! Biada nam, gdybyśmy potrafili je zabić. Chrystus powiedział o gorszycielach dzieci: „Ktoby zgorszył jednego z tych, byłoby mu lepiej, żeby sobie uwiązał kamień młyński u szyi i rzucił się z nim w morze“. Słowa te mogą się stosować do gorszycieli ludu, który przez prostotę, przez niewinność swoich wierzeń, jest dzieckiem w obliczu Boga.

Oto jest, co mię tak przywiązuje do niego, co mię pobudza stać się podobnym do tych, których „aniołowie są zawsze przed obliczem bożem“, patrzą zawsze na prawdę — oto jest, co mną kieruje i w tej pracy. Jeżeli zbieram i podaję innym pieśni, powieści, podania, wyobrażenia, nawet przesady i zabobony ludu, nie zbieram ich i nie podaję jako kamyczki, mniej więcej przydatne do utworzenia jakiejś martwej mozaiki poetycznej. Nie. Wziąłem je z łona życia, jako żyjące czucie ludu, i za rzecz żyjącą podaję. Chcę je zachować w życiu dla życia ludu. Chcę je zachować także dla życia naszej sztuki.

Kiedy rzucę okiem na cały obszar tego kraju przede mną, kiedy się cofnę w jego wieki przeszłe, kiedy, nadewszystko, zapuszczę myśl w głębie jego życia — nie mogę wstrzymać się od żalu, że dotąd poezya nasza nie dotknęła tych okolic, nie położyła na nich tego uroku widomego, jaki n. p. w nowszych czasach rozlał Walter Skott na góry swojej ojczyzny. Wiem, że to niełatwo, ale nie przez brak poetyczności tej ziemi. Jest ona, a może nawet większa, jak w ludzie szkockim. Tylko trzeba odedrzeć nieco zwierchną jej powłokę, dostać się do głębi, zgodzić swojego

ducha z jej duchem, objąć swoim czuciem najżywszem całe jej życie. A wtedy znajdziesz je wszędzie.

Szyller w jednej ze swoich poezyi żali się na zamarcie, na bezduszną światła obecnego; tęskni za życiem duchowem Greków, oplakuje Nimfy, Dryady, wywołuje bóstwa Greków. Żal jego słuszny, kiedy go zastosujemy do świata książkowego; nie ubolewałby za przeszłością, gdyby zeszedł był do naszego ludu. Byłby tam znalazł ów świat ducha, którego świat grecki był tylko zamglonem, mętłem przeczuciem; byłby znalazł między naszym ludem w świecie, który go otacza, życie i Nimf i Najad i Dryad, ale prawdziwe, wyraźniejsze, bo objawione przez ducha chrześcijańskiego, nie domysły, nie odgadywania, nie wymysły ludzkie, ale pewność wewnętrzną, silną i oczewistą, jak wiara, nieomylną, jak światło wiary prawdziwej.

Tak jest, wszystko żyje dla naszego ludu. Przytoczyłem na to niemało już świadectw, pozwalam sobie pomnożyć ich liczbę jeszcze kilką nowemi, które, jestem pewny, zajmą same przez się, a razem potwierdzają tę prawdę, że lud czuje życie i czucie we wszystkim.

W mniemaniu Podhalań wężę mają swojego króla. Odnacza się on między innymi wielkością, nadzwyczajną pięknnością kolorów i koroną na głowie w kształcie złotego grzebienia. Zagrożony, wydaje gwizd donośny — a wtedy wszystkie wężę, których ten gwizd doszedł, przybywają mu na pomoc.

Bydło, stworzenie niższe od człowieka, ma także swój język, rozmawia między sobą. Można je słyszeć w pewnych chwilach, a mianowicie w nocy przed S. Jerzym. I oto powiastka z tego powodu. Pewien gospodarz, wiedzący o tej tajemnicy, chciał podsłuchać swoje woli. Ukrył się więc w oborze i w rzeczy samej po chwili jeden wół westchnął — drugi zapytuje go o przyczynę westchnienia. — „Jutro — rzekł mu pierwszy — czeka nas smutna i ciężka praca.“ — „Jaka praca?“ — „Będziemy wieźli naszego gospodarza na cmentarz.“ — Wół powiedział prawdę; gospodarz, który to słyszał, tej nocy jeszcze umarł.

Oko moje w tej chwili zwraca się na górę niedaleką, zwaną Centyrrz, czyli Cmentarz, z czasów jakiejś klęski

niepamiętnej, podobno morowego powietrza; to miejsce dostarcza mi także zajmującą powieść. Jest na tej górze pień ogromnej grubości, z pod którego wychodził czasem duch w postaci mnicha. W pierwszej chwili zjawienia się był on bardzo małego, ale zaledwo stanął na ziemi, rósł nagle i wkrótce przenosił wzrostem swoim najwyższego człowieka. Przybierał on różne postaci, ale najczęściej pokazywał się w sukni mniszkiej lub bieli. Objawienie jego poprzedzała czasem wielka burza, czasem mocny zapach kwiatów. Nierzadko wychodził z wody; a kiedy miał odejść, wchodził do wody, rozpościarał nad nią swoją odzież, malał stopniami, aż póki całkiem nie zniknął. Dosyć było mówić o nim, aby się natychmiast pokazał. Nic nie mówił, nikomu nic złego nie robił; zapytany, odpowiadał jedynie skinieniem głowy lub ręki. Ostatni człowiek, który go spotkał, krzyknął na widok jego: „Wszelki duch Pana Boga chwali!“ Mnich odpowiedział: „I ja go chwale“, poczem natychmiast zniknął i już go odtąd nie widziano. Miał to być pokutujący duch mnicha, który kiedyś uciekł z klasztoru i został w tych miejscach przez zbójców zabity.

Niektóre tu miejsca są obwiane tajemniczością straszną, a niezaprzeczoną. Jedno z takich miejsc znajduje się niedaleko drogi do Morskiego Oka, już w głębi gór. Jest to w lesie ustronnym, odwiecznym, ciemnym i z samego już pozoru niemiłym, a jego własność, że obudza chęć nadzwyczajną do samobójstwa. W tych kilku ostatnich latach dwie osoby zastrzeliły się w tem miejscu obie należały do warstwy wyższej społeczeństwa. Ten sam, który mi to opowiadał, jest także człowiek ukształcony i daleki od ślepowierności w zabobony — a zaręczał mi, że przez ciekawość zwiedził to miejsce i wnet poczuł w sobie samym tę chęć odebrania życia sobie, a w sposób tak silny i tak razem nęcający, że nie wie, na czemby się skończyło, gdyby nie był zrobił wielkiego wysilenia i nie oddalił się z lasu jak najrychlej.

Może to być dziwne dla niektórych — dla mnie nie jest bynajmniej. Dosyć być prawdziwym chrześcijaninem, aby sobie rozwiązać tę zagadkę, przynajmniej do pewnego punktu ogólniejszego. Mamy kościoły, miejsca, gdzie czło-

wiek nabiera życia dobrego, siłę ku dobremu, dlatego że są poświęcone duchem Chrystusowym, że są pod władzą ducha bożego wyłączną; muszą być także miejsca, gdzie wyłącznie zły duch panuje. Nasz lud czuje to na pewnych mieszkaniach, a my możemy widzieć na pewnych miastach, na całych narodach, uległych mniej więcej złemu lub dobremu duchowi. Z tą jedną różnicą, że działanie jego jest tutaj widome przez narzędzia widome, przez ludzi — a tam mniej widome przez przedmioty, bezwładne na pozór, przez drzewa, przez skały, niekiedy przez utwory sztuki, jak obrazy, posągi, książki, albo wcale niewidome, przez bezpośrednie działanie ducha na ducha, jakiego przykłady każdy z nas mieć może, skoro się zastanowi, albo na samym sobie, albo na innych.

Taka jest ziemia, taki jest lud — nietknięte prawie dotychczas przez naszych poetów. Wiele na tem traci nasza sztuka, nasza literatura. „Zaczynaj pierwszy pracę, do której innych pędzisz“, może mi ktoś powiedzieć — słusznie. Był to mój głos wewnętrzny, poszedłem za jego nakazem. Zaczynam, ale wiem naprzód, że nie zdobędę się na więcej, jak na próbkę niedoskonałą. Nie będzie to wina moich chęci, ale położenia całkiem wyjątkowego, a przez które nie podobna mi wejść w życie rzeczywiste tego ludu tak blisko, na tak długo, żebym je mógł schwycić w całej prawdzie dotykanej, co jednak czuję koniecznym dla poety tych okolic. Pole to jest dla pisarzy, którzy będą mieli mniej przeszkód, jak ja, a więcej przyjaznych okoliczności. Na takich ono czeka. Bodajby jak najprędzej wystąpili!

KILKA MYŚLI, ROZJAŚNIAJĄCYCH POETYCZNĄ STRONĘ GÓRALÓW.

4 lipca 1892.

Zbieram tu razem kilka myśli, które mi w tych czasach przyszły, a rozjaśniły dla mnie stronę poetyczną górali. Uważam to za konieczne, jak jest konieczne w moim przekonaniu zapatrywać się na pojawy duchowe i umysłowe ludu z właściwego jemu stanowiska. Tylko w ta-

kiem zapatrywaniu się można je pojąć, jak powinny być pojęte, można z nich całą korzyść wyciągnąć. Myśli te, chwytane dorywczo, nie mają widocznego między sobą ciągu i związku, ale wszystkie z jednej głównej idei i w jeden punkt uderzają — i to stanowi ich związek zakryty. Czytelnik, szukający istoty, nie zatrzyma się na formie.

1. Zabobony.

Wielka jest ważność wszelkich podań ludu, jego nawet przesądów i zabobonów. Wszędzie tam na dnie jest głęboka prawda, iskra zadziwiającej wiedzy w przedmiotach, niedocieczonych pracą innego rozumu. Wiele razy miałem pokorę przyjąć je, jak rzecz ważną, a cierpliwość zbadać — tyle razy znalazłem w głębi prawdę, świadczącą jakiejś prawdzie religijnej chrześcijańskiej.

Jest to korzyść prostoty wewnętrznej ludu. Nie wiele wie, ale, co wie, to dobrze, a nigdy nie powiada, że wie dobrze, co wie źle, albo że wie, czego nie wie w istocie. Pycha rozumu nie zaprowadza go na manowce fałszywych systematów, doktryn, budowania na okruszynie prawdy całego świata fałszu, podawania domysłu, przypuszczenia za pewność i tym podobnie, a co w takiej ważnej części wchodzi do składu naszej cywilizacji. Czego lud nie wie, szczerze uznaje, że nie wie. Instynktem prawdy widzi natychmiast, co jest nad jego pojęcie w pewnej chwili, i nie sili się dociekać — a przez to unika zabrnienia w fałsz, z których czasem nie podobna się wycofać, jak się to nam przydarza — nie stawia się w konieczności wykrecania się przebiegłością rozumu prawdy w fałsz, albo fałszu w prawdę.

Lud nie jest nieomylny; nie nad to prawdziwszego dla mnie. Ma przesady, ma zabobony naganne, szkodliwe — i temu nie zaprzeczam. Ale nieraz przekonałem się, że potępiamy go z tej strony najczęściej dlatego, że nie umiemy jej zbadać.

Wiele on ma mniemań, które odrzucamy, jako zabobony a w których wina ludu ta tylko, że widzi głębiej, dalej, jak my. Zadawałem sobie w tym przedmiocie szczerą pracę, brałem nieraz zabobon po zabobonie, przesąd po

przesądzie i najczęściej w zadumieniu korzyłem się przed czystością prawdy, którą w tych skorupach, na pozór niezgrabnych, odkrywałem.

Powiedzmy sobie i tę jeszcze prawdę, że zbyt ostro, zbyt jednostronnie powstajemy na zabobony. Bez wątpienia, obrzydliwe bywały czasem skutki przesądów, zabobonów ludu — ale w moich oczach daleko są obrzydlwsze i zgubniejsze skutki fałszywych systematów filozoficznych, teorii politycznych, doktryn religijnych. Mniej straszny dla mnie głupi, zabobonny człowiek ludu, jak przewrotny mędrzec, jak zepsuty człowiek cywilizacji. Wprawdzie przez zabobon ludu palono nieraz na stosach, topiono i spełniano tym podobne zbrodnie, ale policzmy te ofiary i ofiary fałszywych mędrków, przewrotnych reformatorów, a zobaczymy, gdzie ich więcej padło — jeżeli wielka liczba na jednej stronie, to na drugiej nieporównanie większa; przez jednych mogły cierpieć części narodu, a przez drugich całe narody giną, a giną w tem, co jest najżywotniejsze dla człowieka: tracą życie w Prawdzie. Zobaczymy wtedy przy głębszej bezstronności tę smutną różnicę między prostotą ludu a cywilizacją, że w jednej znajdujemy pod fałszywą nawet powłoką najczęściej prawdę zbawienną, a w drugiej, przeciwnie, pod pozorami prawd najponętniejszych kryje się najczęściej fałsz najszkodliwszy. Złe ludu prostego jest, można powiedzieć, złe dziecka, a nasze jest złe męża dojrzałego już i wytrawnego w złem.

Zawsze ja, dzięki Bogu, wysoko ceniłem tę dziecinną prostotę, tę niewinność wewnętrzną ludu. Straciłem wiele bardzo wiele, na drodze obecnej cywilizacji, ale dotąd jeszcze przechował się we mnie ten instynkt pierwotnej prostoty ludu, ta struna jego sumienia, to zapamiętanie owej niewinności, owego dzieciństwa uczuć wewnętrznych, przez które każdy człowiek przechodzi, co w życiu późniejszym puszcza tak niebaczenie, co tak niedbale strzeże przeciwko duchowi świata, co tak łatwo dozwala sobie wydrzeć, a przynajmniej zasypać późniejszemu życiu, późniejszemu zepsuciu, które nazywa postępem, udoskonaleniem się, a co jest takim postępem, takim udoskonaleniem się, taką dojrzałością, jak nadgnilość dla niektó-

rych owoców. Dobre to być może, a nawet konieczne dla niektórych owoców, ale nigdy nie jest dobre dla człowieka, dla owocu Ducha bożego. Przez ową to resztkę ocaloną dochowałem najdroższą dla mnie rzecz, spójność podstawy wewnętrznej z prostym ludem, miłość ku niemu, zdolność pojmwania go, oceniania, na koniec łatwiejszy wstęp do jego sfery moralnej, wiele razy potrzebowałem zasilić się prawdziwem poświęceniem się na drogach przez puszcę naszej cywilizacji, gdzie tak łatwo wzrok olśnie- wa, kamienieje uczucie, wietrzeje siła prawdziwej ofiary.

II. Lud artysta.

Pozwalamy sobie lekceważyć wiarę ludu w świat ducha, pomiatamy utworami, pod któremi lud przedstawia go sobie, uzmysłowia; widzimy w tem nie więcej, jak niezgrabną igraszkę fantazyi, nie ujętej karbami naszej sztuki. Mylemy się, że już nie powiem, bluźniemy duchowi jego. Może być, że w tem przedstawieniu świata duchowego lud nie jest artystą podług naszych wyobrażeń, ale to pewna, że istotą utworów jego jest prawda, najważniejsza dla człowieka, najniezaprzeczniejsza dla człowieka, który nie spadł niżej zwierzęcia, i pomimo nieokrzesania form daleko mniej skażona, przetworzona, sfałszowana, znieważona, jak w naszej sztuce, pod naszymi formami, więcej obrobionemi z wierchu. Lud nie zna się na formach, ale dziwnie zna się na duchu rzeczy; może nie znaleźć formy, odpowiedniej swoim pomysłom prawdziwym, poczuciom pięknym — ale też fałszowi nie daje formy, łudzącej prawdą, nie poświęca formie ducha prawdy.

Może być niedorzeczne wyobrażać sobie świat ducha, jak go niekiedy lud wyobraża, odziewać w takie formy, w jakie lud niekiedy go odziewa, ale jeszcze niedorzeczniejsza zaprzeczać istnieniu tego świata, wpływowi jego na świat zmysłowy i działaniu nań pod formami zmysłowymi. Jest to prawdziwa, mianując rzecz najwłaściwiej, głupota cywilizacji nowoczesnej, wielka, niczem nieusprawiedliwiona, a gorsza w swoich skutkach, niż się nam zdaje. Lud prosty pod tym względem jest daleko wyższy, rozumniejszy, więcej chrześcijański od tych, co go

za tę wiarę potępiają. Oni tłumia, gaszą prawdę, na której stoi, przez którą żyje prawdziwie cała budowa prawdy chrześcijańskiej na ziemi, a lud ją uznaje i wprowadza w swoje życie, nieodpowiednio zapewne jej wysokości, ale jak umie i może, a z dobrą wiarą.

Takie źródło i taki cel mają wszystkie jego powieści, podania, wierzenia, a nawet przesady i zabobony. Jest to jego sztuka, jego literatura — a ma tę wyższość nad naszą, że utwory jej nie są martwe, jak nasze posągi, obrazy, poemata; przeciwnie, żyją, działają, wiążą się z życiem ludu, dzielą je, stanowią część żyjącą, działającą jego życia, jego sfery spraw ziemskich, zatrudnień wszelkich — spajają w sposób nieobojętny drabiną snu Jakóbowego świat niewidzialny ludu ze światem widzialnym.

Postawmy utwory naszych artystów, postawmy bohaterów naszych pieśni, poematów, dramatów, obok utworzonych sposobem ludu przez lud: jakże oni są niżsi pod względem życia! Byli kiedyś, to prawda, a najczęściej nie byli — i doskonale to wiemy naprzód. Dajmy jednak, że byli i żyli: możemyż ręczyć z całą siłą wiary pewnej sobie, że są i żyją gdzieindziej, jak na płótnie lub w okładkach książki, jeżeli to życiem nazwać można? Inaczej się ma z utworem ludu; dla człowieka ludu był on, jest, nie może nie być, skoro raz był — bo czucie, bo siła twórcza ludu sięga dalej, jak do martwego spomnienia, sięga do samego dna rzeczy, do ducha; z tej głębi wszystko czerpie, do niej wszystko odncsi, a tam tylko jest prawdziwe życie i prawdziwa nieśmiertelność. Weźmy n. p. Bolesława Śmiałego w tragedyi Wężyka; cóż on jest obok tego Bolesława, który, według podania ludu, dotąd się błąka w tych górach, pokutuje, cierpi, nie wyszedł z życia narodu, przechodzi z nim jego koleje, pracuje dla niego, odrabia swoją część złego, którą na naród sprowadził?

I takie wyobrażenie jest jedynie głębokie, prawdziwe, jedynie moralne; stawia wielką naukę pod formą sztuki, jest w duchu religii prawdziwej. Nasi zaś bohaterowie są to tylko mumie moralne, zabezpieczone przeciw zupełnemu strupieniu papierem, płótnem, kamieniem, na tak długo, jak długo trwa ich upowiecie.

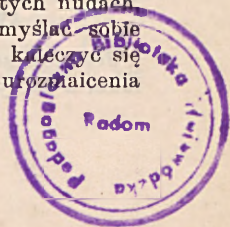
To samo na polu malarstwa. Weźmy najpiękniejszą Madonnę Rafaela i obraz, robiący cuda. Cóż mi po obrazie Rafaela obok obrazu cudownego? Jeden dla prostej uciechy zmysłowej, dla oczu — drugi daje mi zdrowie i ciała i ducha, podnosi mię w świat szczęścia najwyższego, w świat zbawienia. Tu prawdziwe życie — a tam blask tylko pięknej formy.

III. Sumiennność ludu w poezyi.

Jest jeszcze drugie źródło wyższości, jaką dostrzegam w sztuce ludu, zasługujące, abyśmy i my zbliżyli się ku niemu.

Nikt mi zapewne nie zaprzeczy, że, kiedy czytamy jaki nasz poemat, a tem bardziej romans, pierwsi nie wierzymy w wierną rzeczywistość osób i wypadków opisywanych i, gdybyśmy musieli szczerze odpowiedzieć, odpowiedzielibyśmy, że ten romans czy to poema jest nic innego, tylko igraszka artysty, przystrojona pozorem celu i tonu mniej więcej poważnego, a uzmysłowiona dla igraszki czytelnika. Lud prosty wierzy w to, co tworzy, nie igra ze swoim utworem, ze swoją sztuką, nie rozkoszuje się nią, ale, skoro wchodzi na jej pole, to z potrzeby poważnej, dla celu poważnego. Przez to pokazuje z jednej strony więcej zdrowego sensu, więcej dobrej wiary, więcej poważnego umysłu, jak w ogólności artyści ucywilizowani, a z drugiej dowodzi, że ma głębokie poczucie prawdziwego życia, które może być małe w objawianiu się, ale jest silne w swojej istocie.

Sumiennność ta w literaturze ludu idzie z jego natury, która nie ma potrzeb zbytkowych — idzie z głębi ducha, zapehionego czuciem religijnem idzie także z jego położenia materialnego. Niedola jego ziemską trzyma go tak mocno w świecie rzeczywistości, w karbie konieczności najściślejszej, że każdy czyn, w którym objawia swoje uczucie, idzie sumiennie z jego uczucia. Nie jemu to wolno nudzić się nudami dobrego bytu i w tych nudach w przesycie zadowolenia materialnego wymyślać sobie idealne nieszczęścia, trapić się marzeniami, kłócić się i boleć przez rozpustę moralną jedynie dla urozmaicenia



życia, dla drażnienia drętwiejących uczuć, dla karmienia bezładu, który już wszystko zużył, dla podsyceń żądz, konających już po strawieniu wszelkiej swojej pastwy, jak tego przykłady widzimy w sferze ucywilizowanej. Bóg zabezpieczył lud prosty przeciw temu samobójstwu, najstraszniejszemu, bo duchowemu. Lud prosty, zwłaszcza nasz, nie domyśla się nawet, nie wyobraża sobie, niezdolny jest wyobrazić sobie stanu podobnego, a następnie niezdolny jest do podobnych chuci. Jeżeli usłyszysz jaką powieść ludu, bądź pewny, że jej autor nie dla igraszki ją wymyślił, ale zmuszony był ważną jakąś pobudką, bądź ogólną, bądź osobistą. Napotkasz li pieśń miłosną? O, niezawodnie twórca jej rzeczywiście, szczerze był zakochany, możesz na to przysiądź. A czy przysięgłbyś sumiennie, że jakiś z naszych poetów kochał rzeczywiście, bo napisał wiersz miłosny, choćby nawet bardzo namiętny? Ja przynajmniej nie śmiałybym tego zrobić, o ile znam się cokolwiek na naszych poetach. Jeżeli pieśń ludu tęskni, skarży się, narzeka, boleje, cierpi — to był ktoś, dotknięty istotnem nieszczęściem, przyciśniony szczerem smutkiem, obarczony cierpieniem, a tak rzeczywiście i silnie, że musiał nadmiar stanu wewnętrznego wylać na zewnątrz w pieśni.

Człowiek ludu nie tworzy jej, kiedy w ogólnym skarbcu znajduje odpowiednią całkiem swojej potrzebie; chwytą ją i posługuje się nią, jak własną. Nie znajdzie li takiej, wtedy sam tworzy. A ta samorodność tem łatwiejsza, że nie myśli o formie objawienia, nie zawadzają mu przepisy, wymagania sztuki obliczonej, wyważonej nie miarą ducha twórczego, ale rozumem, który nie zdolny przejść jest poza karby materji; dla śpiewaka z łona ludu prostego dosyć, kiedy mu sumienie jego i innych przyswiadczy, że w tem, co wypowiedział, co wyśpiewał, jest wierne wydanie jego uczucia, jest prawda, tak żyjąca w słowach, jak w jego piersi, jak w piersi ogółu.

IV. Życie wyższe w poezji ludu.

Jest jeszcze jeden rym, który cechuje sztukę poetycką ludu, a który szczególnie wybiją się tu, między góralami.

Kiedy my musimy nasze pomysły przylepiać do kawałka papieru lub płótna, wdłubywać w bryłę kamienia — tłem utworów ludu jest cała rodzinna ziemia, cały kraj rodzinny, rodzinne niebo, a nawet i piekło, kiedy tego potrzeba, zgola — cały świat duchowy i widomy. Jak to jest olbrzymie w porównaniu do naszych robót! Chcesz zdarzenia w obrazie? Oto tym obrazem jest cała okolica, nie pendzlem skopiowana, ale namalowana, żyjąca tchem wieków. Trzeba mu posagu dla wypadku lub człowieka, to całą górę w posąg zamienia. Jeżeli puści w obieg jakie uczucie pod postacią pieśni, to wszystkie głosy ludu, wszystkie serca grają jej muzyką. Jest li pieśń wesola — to cały lud staje w chór i płąsa i klaszcze w dłonie; jest li smutna, to z tysiąca oczu łzy płyną. Nie dosyć mu na tem, nie dosyć mu ziemi, materji: dla niego duch rzeczy jest wszystkim, sztuka jego zachodzi w świat ducha. Ktoś zasłużył sobie u niego na pamięć przychylną — więc mu się otwiera na wieki jasny świat wyższy i stamtąd opromienia sferą swoich braci blaskiem niebieskim, jak za życia świecił czynami enotliwemi — nie przestaje służyć, jako duch, tym, którym służył, jako człowiek. Inny zarobił na pamięć przekłątą, więc jego miejsce w świecie ducha niższym, podziemnym. I lud widzi go w ognjach i mrokach zatracenia, w łańcuchach niewoli wiekowej, pod chłostą mąk wiekowych, w stanie grzechu, przemienionego na karę.

Jednem słowem, jemu koniecznie potrzeba, ażeby utwór, przeznaczony dla niego, jakiegokolwiek ogromu jest forma, był naksztalt świątyni, naksztalt kościoła, naksztalt kaplicy przydrożnej, bodajby wreszcie naksztalt tego krzyża na samotnej mogile, byleby zawsze w nim trzymał najpierwsze miejsce jego świat nadmysłowy, jego Bóg, byleby był ożywiony, poświęcony duchem bożym. I ma takie utwory; miałyby ich więcej i doskonalsze, gdyby nasi mężowie sztuki, tak biegli w obrabianiu, w wynajdowaniu form pięknych, mieli jeszcze taką miłość, taką cześć dla prawdy, jaką lud ma — gdyby się postavili w takiej zdolności otrzymywania natchnień prawdziwych, o jaką ludowi łatwo. i połączyli sztukę tworzenia formy z potęgą ożywiania jej techniem światu wyższego, ale

nie abstrakcyjnego, tylko rzeczywistego dla ducha, jak ten materialny rzeczywisty jest dla zmysłów człowieka. Chodzi tylko o to, aby osiąść niewinność wiary, jaką lud posiada, a bez której pisarz religijny jest najobrzydliwszym dla mnie świętokradcą, a jego utwory religijne potworami, które więcej złego rozmnażają między ludźmi, jak szczerze bluźnierstwo, jak szczerza bezbożność. Niewinność tę wiary sam Chrystus określił, polecając ludziom życie w duchu i prawdzie. Chrześcijanin powinien to rozumieć, chrześcijanin-artysta powinien umieć zastosować to na swoim polu. Taki artysta zrozumie wszystko, co powiedziałem, potrafi korzystać ze wzoru, który mu lud przedstawia.

MELSZTYN. — ZAMCZYSKO.

11 lipca 1832.

Jestem znowu w Mikołajowicach po dwudniowej podróży z Tatrów. Tą razą będę ją sobie przypominał po odwiedzinach w Melsztynie. Dziś dopiero zwiedziłem i dotknąłem się z blizka szczątków tego zamku.

Przedzierałem się do nich z Zakliczyna. Dla moczar, które zalegają wielką część niziny pomiędzy Zakliczynem a Dunajcem w kierunku Melsztyna, kołować musiałem na wieś Wesolów. Za Wesolowem przepравиłem się przez Dunajec, zasiany w tej stronie kępami, i drogą nad Dunajcem dojechałem do podnóża Melsztyńskiej góry.

Z tego miejsca poczyna się wędrówka piesza. Uboczą, rozdołu, odcinającego z północnej strony Melsztyński szczyt od innych, doszedłem do przerwy w szczątkach północnego muru. Znużony byłem spieką i przykrym wchodem — chciałem więc przedewszystkiem wypocząć, ale w takim miejscu, żeby mieć zarazem pewny widok. Po skruszonych więc murach, w których wyraźne jeszcze ślady komnat, dostałem się na strom góry, wiszący nad zatoką Dunajca. Z tego miejsca miałem pod okiem trzy niemal boki góry i całe półkole niziny zadunajeckiej z krążącymi koło niej górami. W tem miejscu dzieło ludzkie

spojone z dziełem przedwiecznego Budownika w całym znaczeniu tego wyraża. Mury zamku z prostopadłą ścianą góry zdają się tworzyć najściślejszą jedność; zniszczenie nawet dotyka zarówno obojga; ziemia tu, jak matka, dzieląca los dziecka, popękała pod rodzinnymi gruzami. Cały bok góry, pokryty potokami niebieskich ulew i ziemskich powodzi, nasterczony powywracanymi drzewami, pogarbiony ogromnymi bryłami oddzierającej się co rok ziemi, tworzy dziką harmonję z usuwającym się Melsztynem.

Orzeźwiwszy się winem i dorodnymi poziomkami, które tu w wielkiej obfitości znalazłem, podziękowawszy za nie miejscowemu duchowi rozwalin, który je tak gościnnie ofiaruje wędrowcom, jakby przez wdzięczność za nawiedzenie jego dziedziny, udałem się grzbietem góry ku zachodniej wieży, najokazalszej i najlepiej dochowanej części tych rozwalin.

Wieża jest kwadratowa, obwiedziona wysokim murowanym tarasem. Żadnego już na niej pokrycia; trzy ściany w zupełnej całości, czwarta znacznie u góry wyszczerbiona — w niektórych oknach dochowują się futryny z ciosowego kamienia — wewnątrz wieży zrujnowane, tylko na ścianach ślady sklepień, z których się piętra tworzyły. Podziemna dawniej część wieży zawałona gruzem, zarasta bżem dzikim i innym zielskiem.

Kiedym ją oglądał i przy pięknym krzaku dzikiej róży układał wiązanek pamiętki z jej kwiatów, postrzegłem ku mnie zbliżającego się człowieka. Pozdrowiliśmy się wzajemnie. „To wy zapewne tutaj mieszkacie?” zapytałem go, wskazując na chatkę, opartą o mur północny. „Nie, ale niedaleko, zaraz pod górą, we wsi Melsztynie.“ „Zapewne wiele wiecie o tym zamku i zechcecie nam opowiedzieć.“ „Jakże nie mam wiedzieć? — odpowiedział. — Już to ośmdziesiąt lat z górą, jak żyję na tym świecie.“

Pojrzałem na niego ze zdumieniem i niedowierzaniem: na głowie żadnego prawie włosa siwego, zęby zdrowe, twarz pełna i czerstwa, postawa prosta, w każdym ruchu moc i żywość, niezwykle ludziom podobnego wieku. On tymczasem dalej mówił: „Ja tutaj urodziłem się i mieszkam, nim poszedłem do wojska. Panowie Tarłowie,

panowie Lanckorońscy, do których ten zamek należał za mojej pamięci żyli. Co to za mocny był zamek! A jakie piękne i bogate pokoje! Nie raz, nie tysiąc razy chodziłem po nich; dziś jeszcze mógłbym panom pokazać, gdzie co stało.“ „Właśnie też was prosimy o to.“

Starzec przychylił się chętnie do naszej prośby. Przedewszystkiem poprowadził nas kilkanaście kroków wstecz, ku zachodowi, nad głęboką fosę, która odcinała posadę zamku od reszty góry, coraz rozłożystszej, i mówił:

„Z tej tylko strony można było do zamku wjechać. Przez tę fosę był most zwodzony, a tutaj, gdzie stoimy, wielka brama.“

Zwróciliśmy się potem ku wschodowi. „W tej wieży — mówił dalej — co po prawej ręce, siedziała straż, co bramy pilnowała. Na pierwszym i drugim piętrze były piękne pokoje, a pod spodem w ziemi więzienie; jeszcze niedawno można było do niego wchodzić. Dalej, jak panowie widzicie tę dziurę między dżewami, to była studnia, taka głęboka, że dno jej było równe z wodą Dunajca. Dunajec płynął wtedy po pod samą górą, a od spodu studni szedł aż do niego podziemny kanał. — Cała studnia wyłożona była ciosanym kamieniem; można było dojść aż do jej wody, bo im wyżej, tem była szersza. Niedawno dopiero panowie powybiali z niej kamienie, że były bardzo duże i ładne; przez to się i zasypała. Na prawo za studnią były stajnie, jedne w ziemi, a drugie na wierzchu, właśnie w tych samych murach, tylko, że się już wszystko zawaliło. Zaraz od stajni, jak te ściany, zaczynały się pokoje; pod spodem był więzienie, a kogo tam raz posadzono, już ten więcej świata nie zobaczył. Na prawej ręce tych pokoi była kaplica zamkowa. Cały zamek, ach, jaki był piękny, trudno opowiedzieć; wysoki, jak wieża, na trzy piętra, pod czerwoną dachówką, szkła w oknach były różnego koloru. Z tej strony, na lewej ręce, jak panowie widzicie ten kawałek muru nad tą chatką, taki mur szedł od bramy aż do pokoi; nic tu nie stało, tylko w murze były dziury do strzelania. Te drzewa, jak są dzisiaj, tak i dawniej rosły, tylko, że niektóre, starsze, poschły, a drugie, młodsze wtedy, są dzisiaj już wielkie. Mówili starzy ludzie, ale tego za mojej pamięci

już nie było, że, jak panowie widzicie tę górę, gdzie zamek ten stoi, a góra bardzo wysoka, tak od zamku aż na drugi brzeg Dunajca stał most na słupach, precz, nad te pola, nad ten las, aż tam, na drugi brzeg rzeki, że można było, jak z dachu, spuścić się od zamku za rzekę...“

„I przez co ten zamek spustoszał?“

„Trzeba wiedzieć, moi panowie, że w tej stronie byli kiedyś konfederaci. Panowie zapewne tego nie pamiętają, ale ja byłem już wtedy dorosły. Otóż stali oni obozem koło Zakliczyna przez kilka tygodni. W zamku mieszkali wtedy pan Lanckoroński. Pan to był dobry; kiedy na przykład spotkał chłopów, co wódkę swojego dziedzica wieźli, a wiedział, że im ciężko na konie, to odtykał czopy i wódkę na ziemię wypuszczał. Otóż miał on sługę, który, nie wiem przez co, uciekł i przystał do konfederatów; pan Lanckoroński spodziewał się zapewne, że mu naprowadzi gości, dlatego wyjechał z zamku, bo był przeciw konfederatom. Jak raz wpadli konfederaci do zamku, poodbijali piwnice, powypijali, co znaleźli, krzyczeli: „Niech żyje pan Lanckoroński!“ i dalej butelkami w okna. Było to jeszcze pół biedy; konfederaci natłukli tylko butelki i okna i odjechali sobie, ale zaraz po nich wpadli kozacy i wszystko do góry nogami przewrócili. Od tego czasu nikt tu już nie mieszkał. Zamek coraz bardziej pustoszał. Pan Lanckoroński umarł, a późniejsi panowie brali kamień, dachówkę na stajnie, na gorzelnie, zwyczajnie, na to, z czego są pieniądze.“

Potarłem sobie tylko czoło, przygryzłem wargi na ten argument, który dzisiaj zblić trudno. Nagrodziliśmy uprzejmość Wojciecha Kareckiego (tak się starzec nazywa) i, kilkokrotnym rzutem oka pożegnawszy rozwaliny, odeszliśmy drogą, którąśmy przyszli.

Żal, obudzony ostatnimi słowy opowiadacza, długo mi towarzyszył i na bolesne naprowadzał uwagi. Dla kilku groszy pomagać losowi niszczącemu, zacierać w zawody z nim ślady podobnych pomników! Takżeśmy dalece znaleli, stracili rodzinne czucie? Wszakże i to prawda, że pewnym ludziom podobne mieszkanie jest smutne w tych wesółych czasach; nie każdy wart mieszkać, gdzie jego ojcowie mieszkali, nie pozostaje więc, jak zaglądzić

do szczętu mówiące ich pamiątki. Od tych nie się nie wymaga, nie się im nawet nie wyrzuca. Ale jest część narodu, na której leży obowiązek, jeżeli nie odbudowania zamków, nie zachowania ich gruzów, to przynajmniej zebrania i podania następcom wszystkiego, co pomniki podobne dostarczyć mogą. Węgry, na przykład, mają kronikę swoich zamków; czyż i my mieć jej nie możemy? Nie jest to praca nad siły nasze, a korzyść z niej wielka. Jest w tem wielki interes poetów i pisarzy, którzy przyjęli na siebie obowiązek dochować ludowi jego podania, jego pomniki wszelkie, jego życie przeszłe, którzy się podjęli przenieść je w dziedzinę jego umysłową. Niezawodnie literatura nie jest cała w przeszłości, ale przeszłość jest jedną z bogatych jej kopalni. Są w przeszłości chwile, które nigdy przejść nie powinny; jest blask, który pada na obecność, jak promień ożywczy, i który nie godzi się lekceważyć; są pomniki, z których w obecności nowe wyrastają, a więc godne troskliwego pielęgnowania; są źródła życia, z zatamowaniem których literatura, jeżeli nie wysycha w swoim korycie, to znacznie opada. Dobrze to, żeśmy zdołali rozżarzyć jej ognisko, pilnujmyż, aby nie przygasało, aby pałało coraz wyżej, a to nie stanie się innym sposobem, tylko, kiedy będziemy je podsycać wszelkiego rodzaju żywiołami, a tych pełne są piersi naszego ludu, naszych dziejów, i w końcu naszej ziemi. Dlatego tak mię porywa każda nasza ruina, dlatego, gdybym mógł własnymi siłami, uwiecznićbym każdą, przynajmniej w tym stanie, w jakim się obecnie znajduje.

Słońce jeszcze nie zaszło, kiedyśmy dojechali do Panieńskiej góry. Czas prześliczny zachęcił nas i ją dzisiaj odwiedzić. W ćwierć godziny byliśmy na szczycie. Powietrze, nadzwyczaj wyjaśnione, słońce, spuszczające się ku zachodowi, odkryły nam całą okolicę w blasku takim, żeśmy nie żalowali tego zboczenia z naszej drogi. Nakreśliłem już dawniej ten obraz; dziś go tylko widzę piękniej pod światłem, które nań pada. Ale urok tego rodzaju nie da się ująć w wyrazy.

Przestałem więc tylko na tej rozkoszy, żem z Panień-

skiej góry powitał mile mi strony, po górach dziś mi najmiłsze, najprzyjaźniejsze.

PODRÓŻ DO DRUŻBAK.

26 Lipca 1832.

W tych dniach zaznajomiłem się z częścią Węgier, dawniejszym Spiżem, o ile z drogi i w drodze zaznajomić się z jaką okolicą można. Wszakże w jednym jej miejscu przepędziłem kilkanaście dni. Winienem to dwóm kobietom, które dla zdrowia swojego potrzebowały kąpiel wapiennych, które są w Drużbakach. Oprócz mnie było jeszcze dwóch mężczyzn. W takim towarzystwie puściliśmy się do Drużbak.

Podróż to jednodniowa z Łopusznej, droga bardzo ładna i w kilku miejscach mile mię zajęła.

Granicę węgierską przebyliśmy we wsi Nowa Biała. Droga długo trzyma się Dunajca i w niektórych miejscach jest prześliczna. Oprócz Niedzicy, pod którą przejeżdża się, zachwycił mię widok Czerwonego Klasztoru. Leży on wśród ogromnych lasów z tej strony Dunajca, a tłem jego są Pieniny na drugim już brzegu. Jest to miejsce, gdzie Dunajec ujęty jest w skały, jak w kanał olbrzymi.

Przebyliśmy pasmo Tatrów Magórą. Wysokość jej niepospolita; odznacza się szczególniej silnemi wiatrami, tak silnemi, że porywają ludzi i bydło. Są to jednak chwilowe uderzenia, ale bardzo niebezpieczne.

Zatrzymaliśmy się w Podoleńcu, dla narady z tamtejszym lekarzem. Miasteczko Podoleniec jest mile. Słynie szkołami księży Pijarów; z tego to miejsca rozlewa się oświata na kraj góralski: górale najchętniej oddają swoje dzieci do Podoleńca. Poznałem jednego z księży Pijarów; była to jedna z chwil miłych dla mnie w tej podróży. Był w Polsce i dobrze mówi po polsku, choć rodem z tamtych okolic; nadto przypominał mi moje dzieciństwo szkolne, czas, przepędzony w Międzyrzeczu Koreckim, gdzie także Pijarowie trzymali szkoły.

Na obiad stanęliśmy w Kezmarku. Jest to jedno ze znaczniejszych miast w tej okolicy; i w samej rzeczy pozór jego odpowiada stopniowi, na jakim go stawiają. Ma

wiele kamienie wcale porządnych. Tu przygrywała nam wśród obiadu wędrowną muzyką Cyganów, którzy na Węgrzech słyną, jako najbieglejsi muzycy. Granie ich bardzo mi się podobało, nadewszystko, że wybierali nasze śpiewy, które dziś obiegają Europę. Tuż przy Kezmarku leży Zamek Tekelego, którego Sobieski pokonał. Jest on dziś pusty, ale dobrze zachowany. Nie widziałem jeszcze w tym rodzaju nic tak ogromnego. Dość pojrzeć na niego, aby mieć wyobrażenie o potędze tego, co go zamieszkiwało. Ale najpiękniejszą rzeczą w Kezmarku jest widok na Tatry, a mianowicie na Łomnicę i Krywań. Widziałem je stąd w całym ich ogromie, bo od Kezmarku aż do nich cała przestrzeń jest prawie płaszczyzną. Z tej strony można wejść aż na sam szczyt Łomnicy. Oddalenie, krótkość czasu swobodnego, nie dozwoliły mi schwycić tego widoku, jakbym pragnął.

W dalszej drodze ku Drużbakom co mię uderzało, to ogromne wsie. Na Ukrainie tylko widywałem podobne. Są one przytem porządne, pokazują dobry byt mieszkańców. Lud jest słowacki, dorodny, przystojny, i postawą i strojem mało się różni od górali podhalskich. Uważa się także za lud góralski i zowie się „Tatrańcami.“

W późną noc przybyliśmy do Drużbak i stanęliśmy gospodą w głównej obozie na cały czas kąpiel naszych. Drużbaki, po niemiecku Rauschenbach, leżą w miejscu bardzo przyjemnem, wzgórzystem, w sąsiedztwie gór coraz wyższych i rozległych lasów. Wieś ta, a szczególnie dom, gdzieśmy mieszkali, przez swoje położenie na wzniesieniu ma rozległy i rozmaity widok, zamknięty wysokimi wzgórzami.

Kąpiele Drużbak są dosyć znane; są to wody wapienne, używają ich w potrzebie wzmocnienia się. Dom nasz stał tuż przy sadzawkach, z których ta woda rozprowadza się po łaźniach. Jest ich kilka; dosyć obszerne i bijące źródłami. Muie zajmowały najwięcej skamieniałe dokoła ich od ich wody trawy i rośliny; zajmowały mię tem bardziej, że jeszcze w dzieciństwie słyszałem o takiej wodzie, która w kamień obraca wszystko, co w nią włożysz. O, jak nieraz pragnąłem dostać tej wody, aby utrwalić na zawsze kwiatek, który mi się podobał! Nie wiedziałem, że w tej

operacyi utraci największy swój wdzięk, bo barwę, i zostanie tylko kawalkiem wapna nakształt kwiatka. Dotknąłem się teraz tego cudu — i oto jeszcze jedno miłe złudzenie dzieciństwa uciekło przed rzeczywistością! Próbowałem pić tę wodę w mocnem pragnieniu, ale nie mogłem, tak znalazłem odrażającym smak jej słodkawej.

Kąpiele w czasie naszego pobytu były wcale nieliczne. Zaludniły się raz szczególnie, ale szlachtą madziarską, którzy tam sprawili sobie łaźnię winem. Po raz to pierwszy widziałem tę szlachtę w jej naturze. Zdumiałem się nad jej podobieństwem do naszej szlachty, i to nie przez same tylko ogromne wasy. Gdyby nie mowa obca, byłbym nieraz myślał, że jestem na naszym jarmarku, wśród mojej braci jarmarkującej.

Oprócz wód wapiennych były w Drużbakach inne wody, ale wręcz im przeciwne, bo zabijające. Od lat kilku zniknęły — zostały tylko po nich kotliny. Nie wiedząc o tem, naraziłem się raz na rzeczywiste niebezpieczeństwo. Miejsca te leżą nieco opodal od mieszkań. W jednej z moich przechadzek natrafiłem na dół: widzę w nim kilka dzieci z boku, przy nich zdechłe żaby i wróble. Wszedłem na spód, położyłem się przy jednej dziurze — poczułem jakiś zapach, dosyć nawet przyjemny. Przybliżyłem się ku dziurze, przytknąłem nos do niej i poznałem, że ten zapach stamtąd wychodził. Nie umiałem sobie zdać sprawy z tego; zastanawiał mię tylko zdechłe żaby i wróble. Wróciwszy do domu, opowiadałem moje odkrycie. Przestraszyłem wszystkich; dopiero dowiaduję się, że te dziury, są to otwory źródeł arsenikowych — że w pewnych porach dnia wybucha z nich taki silny wyziew, że zabija ptaki, przelatujące blisko w tej chwili, że, co widziałem nieżywe, to zginęło tym sposobem. Kiedy jeszcze woda była w tem miejscu, zakonnica, jedna z kąpiących się, posłała tam nogi wymoczyć: trafiła na porę wyziewu i padła trupem. Podziękowałem za ostrzeżenie, a razem miałem za złe tamtejszemu urzędowi, że nie obwaruje przystępu do podobnego miejsca.

Drużbaki będą mi jeszcze pamiętne burzą, którą tam widziałem. Nadeszła ona wieczorem, jak noc najczarniejsza, i całe niebo zaległa i trwała godzin kilka. Mało

podobnych burz widziałem i to na Ukrainie. Widok przerażający i zarazem okazały do nieopisania. Użyłem go do woli, bo dom z jednej strony ma galerię krytą. Tam się umieściłem przed deszczem. Był to grzmot i błysk nieprzerwany; światło błyskawic tak silne, że, jak w dzień, widziałem góry najdalsze, drzewa na nich pojedyncze, wioski pod nimi — rozróżniałem kościół wśród wiosek. A wszystko wśród ulewy, dawno nie zapamiętanej w tych stronach. Ogromne też szkody poniosła ta okolica. Wszystkie prawie zboża były wytłuczone i z ziemią zmieszane, wszystkie drogi poryte potokami. Widzieliśmy to sami, wracając w dni kilka z Drużbak. Przedstawiano mi tę burzę, jako słabą próbkę burzy w górach, która całe lasy wali, całe skały rozdziera swoim grzmotem i stacza w doliny.

Wyjechaliśmy z kąpiel nie słabsi, nie zdrowsi, jak przyjechaliśmy do nich. Mój czas przeszedł mi bardzo przyjemnie, a nadewszystko przybyło mi wyobrażenie o ziemi Spiskiej i widok Łomnicy. Teraz jestem pewny, że ją widziałem.

GÓRA KLUCZKI.

10 sierpnia 1832.

Powracam z Kluczek, gdzie dopiero dzisiaj byłem po raz pierwszy, chociaż od dawna wybierałem się. Zalałbym tej przewłoki, tyle pięknego ma to miejsce, gdyby mi jej nie wynagrodził z lichwą dzień dzisiejszy, tyle w nim skorzystało moje uczucie głębsze. Wiem naprzód, że słowa pisane ani w części nie wydadzą, co bym pragnął wydać, ale... tak jestem pełny tej chwili, tak mi potrzeba wylać się z moich uczuć w jakikolwiek sposób, tak wiele mi zależy, aby jakikolwiek ślad dotykany został po niej, a przytem noc miesięczna taka śliczna, taka ciska, taka swoboda w mojej pustelni — sen gdzieś jeszcze za górami... Będę pisał.

Kluczki są jednym ze szczytów w pasmie północnem Łopusznej i najwznioślejszem w tej okolicy. Leży on w dziedzinie Łopusznej, około dwóch godzin drogi. Od

kilku dni postanowiliśmy połączyć odwiedzenie tej góry z większą rodzinną biesiadką na jej szczycie. Uskuteczniłszy, to dzisiaj. Towarzystwo nasze było liczne; cały dom znacznych moich gospodarzy, przy tem jeden ich krewny i jedna krewna, wyruszył na całodzienne koczowanie, a nadewszystko towarzystwo nasze było dobrane; kobiety miłe, żywe i ładne, mężczyźni mili, żywi, dobrego serca, ukształconego umysłu — a ja?... Staralem się nagrodzić, co mi brakowało, miłością dla wszystkich i wdzięcznością za ich przychylność dla mnie niezasłużoną, a która mnie tylko rozrzewniał każdem swoim dowodem. Kobiety musiały jechać dla dzieci i dla przewiezienia wszystkiego, co było konieczne do uczyty na Kluczkach; my, mężczyźni, woleliśmy iść pieszo. Dzień do takiej przechadzki niezły; pochmurno, ale zato nie cierpieliśmy od upału, który w tej okolicy o tej porze bywa często nieznośny.

Droga nie bardzo wygodna, ale sposobna do jazdy wozem, a nadewszystko rozmaita, miła, nawet wdziękiem dzikim. Trzyma się najwięcej dolni, rozdołów, dlatego kręci się, brnie przez potoki, obchodzi szczyty, leżące w jej kierunku, drapie się po stokach, znowu się spuszcza, odpoczywa niejako czasem w dolinie, którą znajdzie na wyżynach, i znowu drze się pod górę. Myśmy się mniej pilnowali drogi; więcej nas zajmowało, co się z boku nastrocza. Wybaczaaliśmy to w lasy, to na wzgórze — czasem przez to przedłużaliśmy ją, czasem prostowaliśmy. Minęliśmy tak wiele wzgórzów, które nas coraz wyżej podnosiły. Zatrzymaliśmy się na Wyżniej, która mi się najwięcej w tem pasmie podoba, przebrnęliśmy szczyt Ciarki — powiadam przebrnęliśmy, bo jest pokryty licznymi źródłkami i moczarami. Ostatni to szczyt przed Kluczkami i najwyższy po nim. Tu dopiero droga prawdziwie przykra po stoku Kluczek, niekiedy niebezpieczna dla wozu, spuszczonego z góry, zwłaszcza naładowanego. Tutaj góral udaje się do swojego sposobu hamowania: uwiązując z tyłu wozu ogromny konar albo i drzewo mniejsze z gałęzmi ponadcinanemi i obróconemi końcem wyższym ku wozowi — gałęzie te, ryjąc się w ziemi, zahaczając o kamienie, których tutejsze drogi są pełne, tępiają pod wozu i ułatwiają koniom powolne schodzenie

z góry. Przebyliśmy i tę drogę i oto jesteśmy na szczycie Kluczek.

Znaleźliśmy spółtowarzyszek nasze krzątające się w szalasy około podwieczorku. Zostawiliśmy je z ich zatrudnieniem, a sami puściliśmy się na obejście szczytu i widoków z niego dokoła.

Szczyt jest dosyć przestronny, w niektórych miejscach ocieniony drzewami, w największej części odkryty. Widok z niego na wszystkie strony przecudny obszarem, który zajmuje, i bogactwem różności. Można to pojąć, wyobraziwszy sobie wysokość, której niema równej w jednych promieniach na kilka mil, w innych na kilkanaście, a w innych, Bóg wie, jak daleko, gdzie granicą widokresu jest granica siły ludzkiego oka. Taki kraj leżał przed nami, a raczej pod nami. Nie miałem jeszcze w moim życiu podobnego widoku. Brakowało tylko pogody zupełnej, jasnego powietrza, pożyty blasku słonecznego. Mimo to nie straciliśmy. W obrazie było więcej ruchu, więcej różności życia.

Na południe mieliśmy Tatry. Grube chmury przewalały się po nich, to je całkiem zasłaniały, to odkrywały raz od spodu, drugi raz od wierzchu, to znowu niektóre szczyty, czasem pewne góry w całym ich ogromie; nie rzadko w niektórych miejscach blask słońca zaświecił. Ta walka chmur z pogodą, cienia ze światłem, ta ich gra ustawna na tych olbrzymich klawiszach była mi daleko miłsza, jak nieruchomość, zadumanie gór pod jednotonnym światłem nieba wypogodzonego, powietrza drzemiącego. Nigdy też Tatry nie wydały mi się tak nęcącymi, nigdy tak rozniosłymi, wiele razy wystąpiły z pod osłony obłoków...

Najograniczeńszy widok mieliśmy wzdłuż pasma wzgórz, które się przedłużały po prawej i lewej ręce. Najnowszy dla mnie leżał od północy. Cała ta przestrzeń, o ile bliższa oka, pokryta górami, lasami, dolinami, polami, przypominała mi morze, które w największym wzburzeniu swoim nagle znieruchomiało na wieki; szeregi wzgórzów wyobrażały mi fale jego. W oddaleniu coraz większym wszystko to coraz się spłaszczało, przybierało pozór równiny, której granicą były dopiero góry Święto-

krzyskie. Zwróciliśmy perspektywę ku owej stronie i dostrzegliśmy Kraków; świecił on, jak biała plamka, na ciemnym tle całej prawie tej przestrzeni. Nie wątpię, że z lepszą perspektywą, a może przy dniu zupełnie jasnym byłibyśmy napotkali nie w jednym miejscu naszą Wisłę; teraz odgadywaliśmy tylko jej bieg.

Żalowaliśmy tego chwilę, aleśmy zapominali o tem, czego widzieć nie możemy, dla tego, co leżało tuż pod naszym okiem. I nie leżało nieruchome. To stąd, to zowąd od chwili do chwili wymykały się obłoczki mgliste z pomiędzy gór, z łona lasów: jedne rozszerzają się, rozwieszają się po górach, inne zwijają się, staczają się na dół — i oto wiatr powionął, a wszystkie te mgły wędrownie biorą jeden kierunek, dążą ku nam, przepływają pod naszymi nogami i nikną w dalszych górach, a na ich miejsce inne wychodzą.

Przez ten czas przygotowano podwieczorek i wezwano nas. Odbiliśmy tę biesiadkę w szalasy, przy ciepłym ognisku, bo niekiedy przykry chłód zawiewał, a jeszcze więcej przy ciepłym sercu, które się między sobą znały, rozumiały, kochały, nie miały nic do tajenia sobie. Była więc swoboda, ochota, prawdziwa radość i weselość. Było jeszcze dobre jedzenie i wino rzeźwiące. Zgoła nie zrobiliśmy krzywdy temu miejscu, które nieraz patrzy na ochotę uwijających się tam juhasów.

Po jedzeniu znalazłem sposobność być na chwilę samotnym. Jest to dla mnie konieczność po pewnym czasie, choćby wśród towarzystwa najmilszego, wśród zabawy najszerszej. Oddzieliłem się niepostrzeżenie od moich spółbiesiadników, zdala od szalasu usiadłem pod drzewem, ze spojrzeniem swobodnym na obraz, namalowany duchem i siłą Najwyższego Twórcy. Sam teraz byłem; swobodnie mogłem rozpatrzeć się, swobodnie zastanowić się nad tem, co widzę. Na com spojrzał, nowa myśl budziła się; każdy przedmiot był ostroga dla myśli. Im dalej puszczałem oko, tem rzewniejsze, tem głębsze marzenia podnosiły się z duszy, prowadziły duszę coraz, coraz dalej. Wkońcu oko ustało, tylko duch sam szedł i szedł po całym kraju, zatrzymał się na ziemi rodzinnej, w miejscach dzieciństwa i młodości, obszedł towarzyszków nie-

powrotnej już drogi, pukał do przyjaciół, dotknął sero rodziny! A oniż to czują? Dlaczegożby nie czuli? Ta przestrzeń materyalna jest dla ciała, nie jest, nie może być przestrzenią dla ducha. Jestże duch słabszy od pioruna, powolniejszy od światła, mniej przenikliwy, jak ciepło, jak elektryczność, mniej czuły, jak magnetyzm? Nie! Duch jest wyższy nad to wszystko w tych wszystkich przymiotach; duch jest dzieckiem Ducha, bożego, jest Jego obrazem i podobieństwem, ma cząstkę Jego istoty, Jego potęgi. Ale od niego zależy, aby go poczuło, wiele razy zechce? Alboż niema ludzi, którzy nie czują Ducha bożego? Gdzież jest człowiek, któryby czuł go w każdej chwili? Ja sam ileż razy jestem w tej nieczułości? Mogę się dziwić, że mnie nie czują, kiedy jestem przy nich całym duchem? Szczęście to jednak wierzyć, że w tej chwili mój przyjaciel, mój brat, moja siostra, zadumała się o mnie, że jej popłynęły na moje wspomnienie, pragnie mnie widzieć, wyrwa się do mnie, bo duch mój jest przy niej. Postrzegłem obłok, który płynął dołem w moją stronę. Pragnąłem zobaczyć w nim posłańca z mojego kraju, odebrać jakąś wieść przez niego. Przepłynął obok mnie.

Niebo tymczasem zaczęło rozchmurzać się, powietrze się wyjaśniło, moje marzenia opadały powoli — życie wracało do oka. Okolica stała przed mną w nowym wdzięku — i znów widziałem tylko góry i lasy, i cały byłem w tym widoku, kiedy za mną głos niewieści zadzwonił. Obejrzałem się, spotkałem piękne oczy, zerwałem się z pod mego drzewa, i — żegnaj mi piękny widoku! Bo człowiek jest królem tej przyrody, całej, jest nad wszelką przyrodę. Ogrom Tatrów jest okazały, zdumiewający, ale czemuż on jest obok wielkiego człowieka! Czemuż jest kwiat najpiękniejszy obok kształtów pięknej kobiety? Mam ja obok siebie z pięknem okiem, z sercem czystym, z duszą niepospolitą — i miałbym się w tej chwili zajmować widokiem, który bez człowieka jest tylko igraszką wzroku? A ja w tem jednym ciele widzę więcej wdzięków, jak w najpiękniejszym kwiecie; lechce mój wzrok barwa kwiatu, ale blask oka kobiety zapala serce miłością, porывa. Oż kiedy miłość otworzy ten kwiat zamknięty!

Jedno jej tchnienie, a Bóg wie, jakieby się skarby odkryły! Szkoda byłaby, piękny, żywy kwiecie, żebyś przeszedł ten świat nieotworzony, nierozwinięty! Wielka szkoda dla ludzi! Tyle miłości opromienia ciebie mimo twej wiedzy, mimo twej woli, kiedy wszystkie twoje usiłowania są w tem, aby ją ukryć, aby ją stłumić. Cóżby to było, gdybyś jej dała całą swobodę!...

Wkrótce byliśmy wszyscy razem. Razem jeszcze obchodziliśmy górę i oglądali widoki. Zmierzając już po częło, kiedyśmy się wzięli ku domowi. Powrót był nierównie miłszy, niż podróż na górę. Wszyscy szliśmy pieszo; dzieci tylko wsadzono w bryczkę. Spuszczaliśmy się prawie ciągle z góry — nie czuliśmy więc żadnego znużenia. W połowie prawie drogi zaskoczyła nas już noc zupełna, ale księżyc czarodziejsko przyswiecał. Góry oblane były jego światłem; skały je odbijały, błyszczały przydrożne potoki, jak lustra salonów — iskrzyły się uroszone łąki, jak mleczna droga gwiazd niebieskich. A gdzie mijaliśmy zarośla, tam krocie świętojanek nam przyswiecało: jedne, nieruchome w mroku gęstwin, w kępach trawy — inne, skrzydlate, przemakały się przed nami, krawiły około nas, jak latające gwiazdki. Nigdy nie zapomnę tego wieczora, tej przechadzki nocnej. Zakończyła ona godnie cały ten dzień, którego także nigdy nie zapomnę. Daj Bóże więcej podobnych!

Wkrótce byliśmy wszyscy razem. Razem jeszcze obchodziliśmy górę i oglądali widoki. Zmierzając już po częło, kiedyśmy się wzięli ku domowi. Powrót był nierównie miłszy, niż podróż na górę. Wszyscy szliśmy pieszo; dzieci tylko wsadzono w bryczkę. Spuszczaliśmy się prawie ciągle z góry — nie czuliśmy więc żadnego znużenia. W połowie prawie drogi zaskoczyła nas już noc zupełna, ale księżyc czarodziejsko przyswiecał. Góry oblane były jego światłem; skały je odbijały, błyszczały przydrożne potoki, jak lustra salonów — iskrzyły się uroszone łąki, jak mleczna droga gwiazd niebieskich. A gdzie mijaliśmy zarośla, tam krocie świętojanek nam przyswiecało: jedne, nieruchome w mroku gęstwin, w kępach trawy — inne, skrzydlate, przemakały się przed nami, krawiły około nas, jak latające gwiazdki. Nigdy nie zapomnę tego wieczora, tej przechadzki nocnej. Zakończyła ona godnie cały ten dzień, którego także nigdy nie zapomnę. Daj Bóże więcej podobnych!

WYPRAWA W GŁĄB TATRÓW.

LEŚNICZOWSTWO BUKOWIŃSKIE.

12 sierpnia 1832.

Właśnie w tych dniach doniesiono nam, że śniegi od dwóch tygodni zginęły, ma się rozumieć, w miejscach dostępniejszych, bliższych doliny. Postanowiliśmy nie zwlekać dłużej i wyprawić się w głąb Tatrów; czekaliśmy tylko ustalenia się pogody, która przez te ostatnich dni kilka często się zmieniała. Dziś ją znajdujemy pewną. Niebo wprawdzie chmurzy się, ale barometr idzie w górę; nadto górale miejscowi zaręczają, a na tem więcej można polegać, jak na skazówkach barometru.

Wyruszamy z Łopusznej o czwartej po południu. Towarzystwo z samych mężczyzn: jest nas pięć osób oprócz służącego. Odbywamy tę wędrowkę konno. Opatrzeni jesteśmy dobrze w perspektywy, w strzelby, a co najważniejsza, w żywność i wino. Każdy, obyczajem wojskowym rzymskim, dźwiga część tego zapasu w swojej torbie podróżnej. Zasób ten jest konieczny dla puszczającego się w góry. Prędzej puszczaj się bez broni, jak bez żywności. Napad zbójców rzecz nadzwyczajna, ale głód bardzo rychło zajdzie drogę i schwyci cię za wnętrzności wskutek ruchu, powietrza i wody górskiej. Na karczmy nie rachuj, nie znajdziesz ich tak, jak w górach innych krajów; po części przez niedbalstwo krajowców, a w wielu miejscach dla niepokonanych przeszkód miejscowych; latem drogi niepodobne do utrzymania, a zimą, i to ośmiolub dziewięciomiesięczną, śniegi i mrozy, o jakich nie mamy wyobrażenia, skazują te miejsca na wieczną bezludność.

Mieliśmy przed sobą dwie drogi. Jedna, dalsza, przez Nowy Targ — jest ona bardzo wygodna dla powozów

nawet, ale znacznie dalsza, a dla nas, wierzchowych, niekonieczna; wzięliśmy więc drugą, mniejszą, ale najprostszą, przez wsie: Nową Białą, Białkę i Bukowinę.

Okolo ósmej wieczorem stanęliśmy w leśniczostwie bukowińskim, zrobiwszy dwie mile drogi. Miejsca, które zamierzaliśmy widzieć, były przed nami jeszcze o mil trzy i więcej. Musielibyśmy nocować w górach, pod gołym niebem, na jakiej polanie. Jakkolwiek nie mieliśmy wstrętu od podobnego noclegu, rozważyliśmy jednak, że polany jeszcze nie pokoszone, konie nasze nie miałyby żywności, a przytem nie byliśmy zabezpieczeni przeciwko nocnemu chładowi; przeto woleliśmy przepędzić noc w leśniczostwie.

Leśniczy, znany moim towarzyszom, uprzejmy, ludzki, nie tylko, że pierwszy podał nam tę myśl, ale ofiarował się być naszym przewodnikiem, jako najświadomszy tych miejsc przez swój urząd i kilkoletni tu pobyt.

Wszakże i tak dzisiejszy wieczór nie był dla mnie stracony. Leśniczowstwo leży na samym już wchodzie do Tatrów najwyższych, na miejscu bardzo wyniosłem, wesołem i pięknem. Pogoda ustalająca się spędziła z niebios i gór do najmniejszej chmurki — pełny księżyc świecił całym blaskiem — Tatry stały tuż przede mną, w takiej bliskości, w jakiej nie widziałem ich jeszcze dotąd. Niedaleko szumiła Białka w głębokiej dolinie, jednym słowem, wieczór ten przeszedł mi jak najmilej, dopóki sen nie nadszedł.

WOŁOSZYN. — ROSTOK POTOK. — SIKLAWA
WODA. — WODOSPAD. — PIĘCIOSTAWY JE-
ZIORA. — ŚWISTOWA GÓRA. MORSKIE OKO.

13 sierpnia 1832 r.

Ze wschodem słońca ruszyliśmy dalej drogą wygodną, przestronną, urządzoną i utrzymywaną kosztem właściciela tych okolic, p. Homolacza, która się poczyna od Nowego Targu a przechodzi przez wsie: Białą Dunajec, Poronin, leśniczostwo Bukowińskie, aż do Morskiego Oka. Droga ta jest utrzymana, jak tylko być może najlepiej

tam, gdzie jedna ulewa rozburza najmocniejsze kamienne dzieła, tu ona jest jakby zmiękła i płynna.

Sliczny poranek spełnił przepowiednię wczorajszego wieczora. Pogoda na cały dzień pewna. Olbrzymia gromada nagich szczytów wydawała się jak skąpana w świetle i świeżości, tylko groźniejsze od innych lodowce błyszczały wiecznym śniegiem. Ktoś choć raz w życiu nie oddychał górskiem powietrzem, kto go nie skosztował z przyprawą świeżości porannej, ten nigdy nie pojmie tej tajemniczej, błogosławionej władzy, jaką góry wywierają na wszystkie zmysły, uczucia, na całą istotę człowieka. Zdaje się, że przyroda, rozkochana we wdziękach Boga, weselsza tutaj, niż gdzie indziej, swobodniejsza, udziela swojego szczęścia każdemu, co na równi z nią Boga czuć potrafi. Odkryłem Jechałem w ciągłym zachwyceniu. Łas świerkowy ciągle prawie towarzyszył naszej drodze. Niekiiedy uchyłał się, a wówczas powitała nas z boku jakaś rozkośna dolina, jakaś góra, naga w swojej wysokości od stóp aż do szczytu; czasem błysnęła Białka, grająca wiecznym szumem, głuchym, jak z przepaści. Tęcza minęła, Niebieską dolinę, polany! Głudową i Klinówkę. Droga wciąż prawie spuszczała się ku dołowi. Naraz ujrzelśmy się na polanie, zwanej Łysą, przy brzegu Białki, tu stóp Wołoszyna! Dokoła jeżyły się Tatry, w niższej połowie świerkami cienione, wyżej ciemne płaczącem się kozodrzewiem, a jeszcze wyżej nagie. Wstąpiłem tam do gmachu, do którego przez sen oddalenia tak długo tęskniłem!

Nagi Wołoszyn, zaledwo pędzą murawę, i mchem przystrojony, z głową, przyproszoną śniegiem, stał tu, jak odwieczny.

Pojrzałem dokoła. Setne wawozy rozbiegały się w różnych kierunkach, pomiędzy góry rozmaitego składu, rozmaitej postawy i wysokości; z każdego wybiegał potok i zapraszał do siebie, obiecywał przewodniczyć do tajemnic, których świadomość on sam tylko posiada. Ale lat potrzebna, żeby wszystko obejrzeć w tobie, olbrzymi gródzie, przez samego Twórcę zbudowany! I poświęciłbym lata, prześlakalbym lata! Śród ciebie, gdybyś ty od innej woli zależało!

Od Łysej polany droga zwracała się nieznacznie ku zachodowi, wciąż nad Białką, wciąż popod skałami i lasami, gdzie jeszcze przed kilką laty było gniazdo zbojeów. Przyszliśmy dolinę i potok Wołoszyn, który jest jednym z wód, zwanych ciepłymi, że w czasie najcięższej zimy nie zamarza. Około godziny dziesiątej zatrzymaliśmy się dla posiłku. Kto się wybiera w góry, nie powinien zaniedbywać dobrego zapasu żywności; trudno sobie wyobrazić, jak powietrze górskie i woda górską trawą dzielnie i budzą łaknienie. Miejsce, gdzieśmy popasali, była to mała równina; za Białką, na uboczu góry, leżała polana Białowoda — na południe szła droga ku Morskiemu Oku — do zachodu mieliśmy dolinę Rostok z potokiem tegoż nazwiska, który wypływa z Pięciu-stawów i wpada do Białki; tuż przy naszych nogach; on właśnie miał nas prowadzić do swoich źródeł. Żadnej drogi w to miejsce; dolina wązka i głęboka na kilkaset sążni, jej boki spadły aż do samego potoku, łoże, podnoszące się za każdym krokiem — ścieżka, z początku zwłaszcza, nadzwyczajnie przykra, bo aniśmy postrzegli, że się znajdujemy na wysokości, na jakiej dotąd nie byłem, przy granicy już, która dzieli państwo świerków od państwa kozodrzewi, strefie wiecznych zjawisk najokropniejszej burzy letniej i zimowej. Około pół godziny drapaliśmy się pod górę, wydającą się pagórkami kilkunastu kroków przy ogromie mas, dokoła siedzących; cała jej powierzchnia nasterczona kamieniami, okryta grubą mchów powłoką, która żywi gęste krzewy borówek, najpiękniejszych truskawek i poziomek; między szczelinami kamieni przyjmowały się jeszcze gęsto świerki. Z nągiego grzbietu, na któryśmy wyszli, pokazano nam w niezmiiernej wysokości dwie dzikie kozy. Golem oku wydawały się one na tle nagich głazów jak dwie czerwone plamki; dopiero przy pomocy perspektywy rozpoznałyśmy, że się jedna pasła, a druga leżała. Nasz przewodnik z tego powodu opowiadał nam polowania na to zwierzę, w tem m. p. miejscu, którego przed oczyma mieli, strzelcy rozstawiają się po wiadomych sobie przesmykach, a podnóża góry lub na jej uboczu. Jeden idzie grzbietami i spuszcza ciągle kamienie; kamień, niezatrzymany niczem, dla nadzwyczajnej gór

spadziściota stacza się aż do dołu i płoszy kozy — tak spłoszone, uciekają i trafiają na strzelców. Patrząc na te góry, ledwo wierzyć można, że je kiedykolwiek ludzka stopa dotknęła: strzelcy jednak biegają po nich, jak po równinie, a to może dać wyobrażenie o nadzwyczajnej odwadze i zręczności górali.

Jest jeszcze inny rodzaj polowania na kozy: pojedynczo. Strzelec, zaopatrzony w żywność na dni kilka, udaje się w góry, upatruje stanowisko, zazwyczaj w jakimś miejscu niedostępnym, przyczajają się w skałach i czeka zwierzynę. Wiadomy miejsc i obyczajów zwierza, najczęściej prędko go ujrzy. Zdarza się, że upragniona zdobycz gdzieś tam w przepaści, pod jego nogami; wtedy kładzie się na kamieniu, połową ciała wychylony nad przepaść, i w tej postawie daje ognia do kozy. Do takich strzałów kul tylko używają.

Najprzykrejsze, a nawet niebezpieczne położenie takiego strzelca, kiedy go w podobnym miejscu mgła zaszkoczy — a mgły, zwłaszcza na Krywaniu, są tak gęste, że człowiek wśród niej nóg własnych widzieć nie może, i trwają czasem kilkadziesiąt godzin. Wtedy to przydaje się zapas żywności, bo nie pozostaje, tylko siedzieć w miejscu i czekać, aż się mgła usunie.

Odpocząwszy, spuściliśmy się znowu z góry ku wodom Rostoka i już odtąd wciąż pilnowaliśmy się jego tysiącznych wodospadów, podnosząc się coraz wyżej. Drogę tu mieliśmy cokolwiek wygodniejszą, chociaż głązy i drzewa, postręcane od wichrów, deszczów i lawin, toż głębokie łoża potoków, suche dzisiaj i zawalone niezmiernymi głazami, ale za pierwszą ulewą pełne i groźne, jak potop, stawiały nam częste przeszkody. Zato kilkasetażniowe ściany skaliste, obwieszane drzewem a często kozami, liczne wody, snujące się, przez całą ich wysokość, opoki oblane wilgocią, błyszczące, jak kryształ, i tysiące innych obrazów, co krok, rozmaitych, porywających samą swoją dzikością, śladami zniszczenia, wynagradzały nam wszelkie trudy.

Z miejsca, gdzieśmy wkraczali do strefy już kozodrzwia, ujrzelśmy nakoniec Siklawą wodę; jest to wodospad, utworzony przez Rostok, a zdumiewający swoją wysoko-

ścią i gwałtownością. Byliśmy od niego więcej jeszcze, jak o godzinę drogi, a już nas głuchy jego szum doleciał i rwał oczy długi, kipiący balwan, biały, jak śnieg. Im więcej zbliżaliśmy się, tem szybciej chęci nasze leciały naprzód, ale nie nogi, bo przeprawa tem trudniejsza. Przeszliśmy po głazach huczący i zapieniony Rostok, aby odtąd iść prawym jego brzegiem; przedarliśmy się przez gęstwy kozodrzewia, odpoczywając po każdym kilkudziesięciu krokach, tak przykro wciąż droga szła pod górę; już sądzimy być u kresu, — złudzenie! Do spodu Siklawej wody nie podobna dostąpić, bo brzegi Rostoka utworzone tam ze szczyrych prostopadłych opok; musiemy pisać się wyżej. Krótką wprawdzie przeprawa, ale podobnie nużącej nie mieliśmy dotąd, bo po uboczach, to skalistych, to omszonych, a zawsze mokrych i śliskich od wilgoci. Przebyliśmy wreszcie wszystko, dościgliśmy śniegu, wiekującego w cieniach skały jednolitej z opokami, po których przewala się Siklawą wodą, i zgrzani, w półomdleni, padliśmy nań dla ochłodzenia się. O sto może kroków od nas przewalał się, grzmiał wodospad i rosił nas swojemi mgłami. Przekrojony od sterczącej na wierzchu opoki, rzuca się on prostopadle dwoma pasmami kilkunastołokciowej szerokości; jedno z nich w połowie spadu trafia na skalę wystającą, uderza w jej wyżłobienie i, wytryskując z niego fontanną, z tymże pędem leci dalej — a rzut wody tak jest gwałtowny, że spadający z nią kamień w to wyżłobienie, wylatuje z niego, jak piłka, na kilkanaście łokci w górę. Od spodu do wierzchu wodospadu można liczyć przynajmniej 50 sążni. Lecąca woda, połamana, pokłębiona, wrząca, zdaje się być tylko pianą i brylantami. Rodzi się z niej wieczny deszczyk i zlewa pobliskie miejsca. W niektórych położeniach słońca zachwycający widok mają tu tworzyć liczne tęcze; nam, będącym około godziny drugiej z południa, nie zdarzyło się coś podobnego widzieć. Dziwniejsze jeszcze zjawisko ma wydawać zima. Ma to być przysionek z lodu, otaczający Siklawą wodę. Nie podobna, jak mi mówili strzelcy przewodnicy, wyobrazić sobie ogromu tej budowy, śmiałości tych kolumn i sklepień, piękności ozdób z lodu, rozsianych pod tysiącami kształtami — i zape-

wne, że takie dzieło mgły, niedojrzanej prawie, musi być nadzwyczajnie, o tej zdania są i w innych okolicznościach.

Czas naglił; dziś jeszcze mieliśmy być przy Morskiem Oku. Musiałem gwałt zadać oczom i upojonym uczuciom i pójść na wodospad. Pieciostawy były teraz celem naszej podróży. Ta sama woda przewodniczyła mi i dalej drogą, rawnie trądząc, po głazach i siatce kozodrzewia. Sto kilkadziesiąt sążni przestrzeni pochyłej, a raczej ubocza i to przykrego, po którym sroń zwaliska głazów szumi i huca; potok, także wodospad, ale nieco wolniejszy i węższy, jak Sikława woda, postawiły mnie w okolicy, jakiejś nie podobnego oczy moje dotąd nie widziały, a nawet wyobraziła nigdy mi nie przedstawiała. Znalazłem się sroń pustyni skał, w całym znaczeniu tego wyrażu. Wyliczyć mogłymi przedmioty, które zapełniały ten przestwór mil kilka pięć jezior nad jednym z nich stałem — gdzieś niedaleko nad wodą zarosłe kozodrzewin, kępa darniny, plimka mchu, kilka żółtych kwiatków jaskró, pliszka, niby zablakana, zresztą pan tej całej dziedzi, kamień. Gdy bym jednak był olbrzymem i chciał pustelnicze życie prowadzić, obrałbym bez wahania się to miejsce na swoją pieczęć; tyle znalazłem w niem uroku przy najdłuższej samotności.

Zaśnuch gór podniebnych, gładkich, nagich, bez kośmyka trawy, w ogromne koło zamknięte zatoczony, jak kocioł. Dno jego we trzy piętra; najniższe zalane okrągłym jeziorem, z którego wypływa potok, tworzący Sikławę w wodę. Brzegi jeziora uzielenione gdzienigdzie kozodrzewiem i trawą; po lewej ręce, patrząc w południe, dwa mniejsze jeziorka, jedno za drugim — po prawej trzecie, także niewielkie, ale na podniesieniu już znaczniejszem, a czwarte jeszcze wyższe, wszystkie zaś związane wązkimi strumykami ze środkowym, najobszerniejszem; kamienisty szalaś nad jeziorem najwyższem, cisza grobowa tego olbrzymiego ustronia, echo Sikławej wody, krążące nieprzerwanym szumem po szczytach, zamykających dolinę. Oto kilka rysów głównych tego miejsca.

Upiś i czystość wody do niewypowiedzenia zachęciły mnie do kąpiel w jeziorze, nad którym znalazłem się. Chciałem też niby ochrzcić się, jako przypuszczony już

do tajemnic Tatrów; kąpiel moja bardzo krótko trwała, dla nadzwyczajnie zimnej wody.

Rozpatrzywszy się w okolicy Pieciostawów, bo na ich obejście nie mieliśmy czasu, i zjadłszy obiad, ruszyliśmy ku Morskiemu Oku. Była czwarta z południa. Kierunek nasz był na wschód. Najbliższe przejście mieliśmy przez górę, Muich, zwaną (u jej to podnóża na stronie przeciwnej leży Morskie Oko), ale podobna przeprawa nie była dla nas wszystkich; samo wejście na owe skały nagie, prostopadłe, już niejednemu z nas odejmowało ochotę doświadczyć siły swojej głowy i zręczności nóg. Postanowiliśmy więc okrążyć ten szczyt — i to wyoboczenie nie było bez trudu i niebezpieczeństw.

Z początku dolina Pieciostawów, szło nam jako tak — nie było tam innych zawał, jak ogromne kotliny, zawalone kamieniami, które niegdyś były niezawodnie jeziorami, jak dziś Pieciostawy, ale w tej chwili zupełnie są bezwodne; dopiero, stanawszy na uboczu gór, wiszących nad Rostokiem, poznaliśmy co to jest przeprawa przez podobne góry i zawrót głowy. Można to sobie wyobrazić jakokolwiek, przedstawiając górę tak wysoką, że dolina Rostok, długa przynajmniej półtory mili, zdawała się nie mieć, jak kilkaset sążni, a przytem gładką, prostopadłą niemal — i ścieżkę, równoległą do dna przepaści, po ślizkich trawach, zaledwie poznaną śladami kóz i strzelców. Dla mnie była to chwila przypomnienia sobie rozkoszy niebezpieczeństw. Jest to jedno z tych miejsc, które mniej śmieli przebywają tym sposobem, że im zawiązują oczy — i postępują, prowadzeni przez dwóch górali, z których jeden idzie przodem, a drugi z tyłu.

Co do mnie, mogę pochlubić się, że sami górale oddawali sprawiedliwość śmiałości i zręczności, jakie okazywałem w tej przeprawie. Byłem zawsze na przodzie i w znacznem oddaleniu od reszty towarzystwa. Ilek razy, chcąc wypocząć, nie mogłem inaczej, tylko oparłszy się o górę, której bokiem szedłem — takiej prostopadłości są te ściany — a wtedy pod nogami miałem przepaść, nad którą podesm tylko orły kazały.

Po takiej przeprawie dościgliśmy wreszcie grzbietu Świsłowej góry. Z tej wysokości, w ogromnej pod nami

głabi, dojrzelismy Morskie Oko; wtedy poznaliśmy, jak znacznie wyżej leżą Pięciostawy.

Około 6-tej stanęliśmy nad Morskim Okiem.

To miejsce, dla jego przystępności z powodu wygodnej drogi (nie tej, którą myśmy wzięli) jest jednym z tych miejsc w Tatrach, które wielu bardzo zwiedza, podziwia, a niejeden opisuje. Morskie Oko nie zrobiło na mnie wrażenia, jakiego się spodziewałem, niezawodnie dlatego, że już widział Pięciostawy. Mimo to zasługuje na to, co o nim mówią. Ma swoją piękność niepospolitą, a sobie tylko właściwą. Jest to wielka masa wody, zamknięta w jeziorze okrągłym, którego powierzchnia zajmuje 70 morgów, brzegów tak rozległych, że człowieka, stojącego na brzegu przeciwnym, dojrzeć niemożna, a czemu na pierwszy rzut oka trudno uwierzyć, tak mniejszem wydaje się z powodu olbrzymich wysokości, które je dookoła otaczają. I my byliśmy ofiarą tego złudzenia, ale dwie próby sprostowały nasz sąd o niem. W nadziei, że się prędko dostaniemy do brzegu przeciwnego, usiedliśmy na stojący tam statek (rodzaj promu) i w pięć wioseł silnie pędziliśmy; w pół godziny pokazało się z oddalenia brzegów, żeśmy jeszcze w połowie nie byli; później strzelaliśmy kulami, ale te przy wszystkich swoich podskokach nie dosięgały nigdy ani połowy jeziora.

Głębia Morskiego Oka jest niezmierna. Może nie jest bez zasady to twierdzenie, że jezioro to łączy się z morzem, że woda jego z morza przychodzi; bądź co bądź, głębokość jeziora w pewnej odległości od brzegów dotąd nie jest docieczona.

Na środku Morskiego Oka jest wir wielki.

Ryby dają się tu widzieć, a czasem nieznanego rodzaju. Powiadał mi człowiek wiarogodny i miał na to świadków, że w roku zeszłym ukazała się im niedaleko brzegu ryba z głową, nad wodę podniesioną, do kociej podobną. Górale także powiadają, że przed laty kilkunastu jakaś ryba, nieznana im, porywała pijące owce, a szczególnie czarne; pasterze zasadzali się ze strzelbą, dali do niej ognia, skoro się pokazała, i odtąd już jej nie widzieli.

Przezroczystość wody Morskiego Oka jest rzeczywiście więcej, niż szklanna; przypomina to, co wiemy o przezro-

czystości wody północnych stron oceanu; na dnie kilkunastosążniowej głębokości widzisz najdrobniejsze prawie przedmioty, jak za szkłem.

Dwoma głównie przedmiotami, godnymi widzenia, odznacza się okolica Morskiego Oka. Pierwszym jest jezioro, zwane Czarny Staw. Leży one we wschodniej stronie Morskiego Oka, w obrębie tychże samych szczytów nadbrzeżnych, ale na podniesieniu, wyższem mniej więcej o sto sążni. Jest to jakby ustęp w skałach Morskiego Oka, wodą zapełniony. Woda jego wylewa się w potoku, rodzaju wodospadu, i spływa do Morskiego Oka.

Od południa znowu stoi góra skalista, Mnich zwana. Ma ona w samej rzeczy podobieństwo siedzącego zakonnika z odrzuconym kapturem — a dłuższe wpatwienie się daje dokładnie rozpoznać twarz, brodę i inne części ludzkiej postawy.

Niewiele wód zewnętrznych zasila Morskie Oko. Oprócz wodospadu z Czarnego Stawu i potoku, który się spuszcza po przepaścistej skale ze strony zachodniej, innych wód nie dostrzegłem; zdaje się, że główny zapas wody tego jeziora na dnie jego być musi, gdyż odchód wody, tworzącej Białkę, każe się domyslać obfitego jej przypływu.

Zajmującym także szczegółem tego miejsca jest echo, zwłaszcza echo wystrzału z ręcznej broni. Trwa ono minut kilka, jak grzmot największy — obchodzi dookoła jezioro, i w chwili kiedy głucho w jednym punkcie, odzywa się w drugim z tem większą siłą.

Gasnący dzień nakazywał pożegnać rozkoszną tę okolicę. Słoneczna luna błakała się jeszcze po szczytach nadbrzeżnych, ale w dolinie Morskiego Oka zmrok już szarzał. Strzeliliśmy kilka razy na odjeździe i, pożegnawszy się przez echo z okolicznymi górą, wsiedliśmy na konie, czekające nas przy Morskim Oku, i wróciliśmy do leśniczowstwa tą samą drogą, która nas aż do Rostoku przyprowadziła.

Taka podróż nie może zaspokoić; rozdrażni tylko. przez pół odsłoni wdzięki gór. Pragnąłem ją powtórzyć. Inaczej się stało: musiałem przestać na 13 sierpnia.

KOŚCIELISKO. — ŹRÓDŁO CZARNEGO DUNAJCA. SMERCZYN STAW. — GÓRA ORMAK.

22 sierpnia 1832 r.

Jeszcze w maju puszczałem się, byłem na zwiedzenie doliny Kościeliskiej. Zdawało się, że w tem przynajmniej miejscu, jako leżącym wśród gór niższych i dostępniejszych, będę mógł złagodzić niecierpliwość dostania się do wnętrza Tatrów. Ale mój zamiar nie miał powodzenia. Śnieg, deszcz i mgła witały mnie na przemian w Kościelisku; za ledwo wyniosłem z owego czasu pamiątkę niższej części doliny i kilku szczytów, błyskających na przemian między chmurami. A tymczasem to miejsce uchodzi za jedno z najuroczniejszych w Tatrach, na co i ja się zgodziłem, o ile z pierwszego i krótkiego rzutu oka osądzić mogłem; postanowiłem przeto zrobić powtórna wyprawę.

Droga z Nowego Targu do Kościeliska idzie przez wsie: Szafary, Białe Dunajec, Poronin, Zakopane, zawsze ponad wodą Białego Dunajca; później rzuca się pod same góry, w bujne świerkowe lasy, i styka się z rzeką Czarnym Dunajcem przy samym jej wypływie z Kościeliskiej doliny. Droga ta, trzechemilowa z górą, nbarwiona jest miłą rozmaitością, szczególnie od Poronina. Dunajec szumiał nam wciąż po ogromnych płytach, co mu dno uścielały — góry po obu stronach i łąki rozdołu, którym droga idzie, jaśniały świeżą zieleńścią, jakby wśród wiosny — po lasach gwizdała wilga i drozd pęczył się, pieśń słowika — jednym słowem przebyliśmy tę drogę bez najmniejszej nudy. Naraz gościniec zbiegł na odkrytą dolinę i skręcił się ku południowi; pojrzałem przed siebie, na tę i na tę stronę pasma wysokich gór, świerkami okrytych: tylko w jednym miejscu przerwa aż do dna doliny, na kilka sażni szeroka — po jednej i po drugiej stronie dwie ogromne skały, jak dwie kolumny w bramie, a z pomiędzy nich Czarny Dunajec wypadał. To wjazd na Kościeliską dolinę! Minawszy spomnianą bramę, ujrzelśmy się na rozkosznej płaskiej dolinie owalnego kształtu; pokrywał ją kobierzec najświeższej darni, ocieniały dokoła góry i lasy, ozdobne takim wdziękiem, że się zdawały być ulubieńcem nad inne dziełem przyrody; po

prawej ręce szumiał nad górami Dunajec — gdzieś gdzie z pomiędzy gór lesistych wytykały nagie szczyty, jak wieże nad okazałym grodem — droga wyprostowana, wysadzona drzewami, szła środkiem płaszczyzny i nikuła w wąwozie, który się zamykał dalekimi górami. Ta mała dolina, to przysiónek Kościeliska! Gdzie ona zwęża się, tam się zaczyna właściwa dolina Kościeliska. Hamernia i budowy, należące do niej, zapelniają początek doliny. Jest tu także oprócz wygodnej murowanej oberży kilka domków, które gościnny tego miejsca właściciel, zmarły przed laty kilką Homolacz, przeznaczył jedynie dla ciekawych podróżujących.

Wieczorem 21 sierpnia przyjechaliśmy do Kościeliska, — dlatego zwiedzanie jego rozpoczęliśmy dopiero nazajutrz. Nim przystąpię do ważniejszych szczegółów, powinienem dać wyobrażenie całej doliny. Długość jej ma wysokości półtóry mili; dno tak wąskie, zwłaszcza w części najniższej, że między potokiem, który je przebiega, a górami bocznymi droga za ledwo się przeciska. Góry, tworzące Kościeliską dolinę, są jedyne w swoim składzie, jedne z najpiękniejszych w rodzinie Tatrów. Pomędzy niemi, po lewej ręce, idąc w głąb doliny, są: Gewont, który oddziela Kościelisko od Zakopanego, i niższe szczyty: Mętuska, Uplaz i t. d., — po prawej Tomanowo, Turnie, Smytnia i t. d. Ormak lub Pyszna, ze śniegami na wierzchu, zamyka półkolistemi piersiami dolinę Kościeliską od południa i odcina ją od Węgier. Zresztą każdy tu szczyt najmniejszy, jak i w całych Tatrach, ma swoje nazwisko, ale tych i dowiedzieć się i wyliczyć trudno. Boki gór, po większej części bardzo przykre, w niższej strefie mają wiele rozmaitości: tu pięknym lasem porośłe, tu ze stromych skał nagich obwieszone drzewami to rosnącymi, to powalonymi przez coroczne ulewę i wichry, w rozmaitych położeniach — dalej usłane kozodrzewiem, a najwyżej nagie.

Ciekawy jest początek nazwiska tej doliny. Podczas jakichś wojen w Polsce wojska nieprzyjacielskie zapędziły się aż w te strony. Górale udali, że się cofają przed większą liczbą, i tym ruchem wprowadzili nieprzyjaciół pomiędzy góry, poczem, przeciąwszy im w ciasnych miej-

scach odwrót, glazami i drzewami, spuszczanemi ze szczytów, do jednego ich znieśli. Od mnóstwa nieprzyjacielskich kości ta dolina przezwana została „Kościelisko“. Właściwie owa porażka miała mieć miejsce w dolinie, leżącej pod Gewontem, przy drodze z Zakopanego do Kościeliska, a zwanej dziś Biały Potok; zdają się potwierdzać tę wieść rozrzucone po niej kości ludzkie do niezliczenia. Tą klęskę, według jednej powieści, mieli ponieść Szwedzi, według innej — Tatarzy.

Nazajutrz, przy pięknej i pewnej pogodzie, z zapasem żywności i wina, puściliśmy się na całodniową przechadzkę po dolinie.

Pierwsze stanowisko jest zaraz niedaleko hamerni, przy źródłach Czarnego Dunajca. Jedno z nich leży na maleńkiej płaszczyźnie pod Upłazem, w kształcie okrągłego zwierciadła, spokojne takż, jak powierzchnia zwierciadła, chociaż woda jego rozlewa się na dwie strony nadwyzczaj obficie i gwałtownie. O kilkaset kroków dalej bije drugie źródło, obfitsze, ciekawsze jużto przez położenie swoje, już przez podanie, przywiązane do niego. Później obszerniej o niem powiem.

W południowej ścianie Upłazu znajduje się pieczara zbójców. Aby dostać się do niej, potrzeba okrążyć tę górę od północy, przebyć jej grzbiet i dopiero spuścić się cokolwiek na dół; cała ta droga idzie gęstym lasem, i tylko drzewa, poznaczone siekierą, są przewodnikiem. Pieczara wykuta jest ręką ludzką, w kształcie długiego korytarza; w ścianach ma otwory, zastępujące okna, wewnątrz kamienne tamy, a w samym końcu źródło. Przed laty kilką znaleziono przy tem źródle kości ludzkie, do podziwienia wielkie; według powieści góralskich miały to być szczątki sławnego przed laty zbójcy z Węgier, Junoszyka. Przystęp do pieczary bardzo przykry i zasłoniiony gęstwiną drzew, ale widok z niej ogarnia całą dolinę i wszystkie góry południowe.

Wchodząc w głąb doliny, nad potokiem Pyszną napotyka się ogromna skała, którą lud zowie Sową, dla jej podobieństwa z tym ptakiem.

Jeszcze dalej masz nad szczytami lasu wyraźny ze skał

zamek, opatrzony wszystkimi prawie częściami murowanej warowni.

Odtąd dolina zmienia postawę, rozszerza się i podnosi; góry stoją rozłożyciej, parowy łagodniej są wyżłobione i pokrewne gałęzie rozpuszczają po bokach. W tem już położeniu, na wysokim przedstopniu Pysznnej, leży Smerczyn Staw. Obszerne to dosyć jezioro, ustronnego wdzięku. Otacza je przyroda żyjąca, ale je szpeci przystęp, najeżony pniami zrąbanego lasu; sama też woda nie ma czystości wód górskich, a brzegi bagniste utrudniają zbliżenie się do niej.

Całą tę drogę urozmaicają górnicze banie, czyli miejsca, skąd się ruda żelazna bierze, dzisiaj zaniedbane od czasu, kiedy się odkryły obfitsze. Trafiliśmy także na dawne kopalnie srebra, które przed kilkunastu laty, czy więcej, woda zalała. Piękne bardzo maszyny mają się dotąd znajdować w głębiach wody.

Cokolwiek napotkaliśmy dotąd, było pod pewnym względem ciekawe, zajmujące, często piękne, ale my śpieszyliśmy do uciechy wyższej, do obejrzenia tego wszystkiego jednym rzutem oka, do skupienia tych wszystkich wrażeń w jednym uczuciu ogólnem, pełnem: śpieszyliśmy na szczyt Ormaku. Obejrawszy przeto mimochodem nie jeden przedmiot zajmujący, obok tego natrudziwszy się niemało, i po niejednym spoczynku pod górą, dosięgliśmy nareszcie zamierzonego celu, upragnionego punktu.

Weszliśmy na Ormak w tem właśnie miejscu, gdzie się stykały podstawami swojemi dwa jego szczyty, zachodni i wschodni, a na które, mówiąc nawiasem, nie mieliśmy ani chęci, ani nadziei dostać się dzisiaj, lubo z pozoru nie zdawały się być bardzo wysokie. Ale my wiedzieliśmy z doświadczenia, jak w górach ten pozór myli i co kosztuje czasu i trudu podobna omyłka. Zaniechaliśmy tego tem chętniej, że spomniony grzbiet góry albo siedło, jak go tu zowią, pokazywałby nam ze swojej wysokości wszystko prawie, co z większej moglibyśmy widzieć.

Było to tylko co po południu. Powietrze było jasne, spokojne, skwarne; pragnienie dokuczało, ale przedewszystkiem musieliśmy pokrzepić ciało wypoczynkiem. Korzy-

staliśmy z tej konieczności i przez ten czas obejrzelśmy ogół okolicy.

Niepospolity to punkt, gdzieśmy się znajdowali. W tem właśnie miejscu przechodzi graniczna linia między Galicyą a Węgrami. Kilka kroków (bo tak jest wązka płaszczyna tego grzbietu) rozdzielają dwa narody, dwa klimaty. Od północy dolina Kościeliska, uroczą rozmaitością i całym wdziękiem wiosennej prawie świeżości — od południa także dolina, do Węgier już należąca, tej samej prawie długości, tegoż samego kształtu prawie, ale bez tych rozmaitości, któremi pierwsza odznacza się: ani tych skał dziwnych, ani wód obfitych, ani dolin pobocznych — raczej jeden wąwóz długi, głęboki, jednotonnym lasem zarosły. Dolinę Kościeliską ubarwia młoda wiosna, na węgierskiej ślady dogorywającego lata; po pierwszej błękitnieją, żółcieją, rumienia się najdorodniejsze, najwonnniejsze kwiaty — na drugiej zaledwie gdzieś żółty jaskier; tam porywa, oświeża oczy zieloność, jak po ciepłych wiosennych deszczach — tu zwiędła już trawa i mech, płowieją. Cały widok na Galicyą rozmaitszy i ma więcej życia — na Węgry może rozleglejszy, ale bardziej pusty: tyle lasów, tyle płaszczyny bezludnej, przedgórza tak oddalone, że tylko rozległością swoją zastępuje inne powaby. Mimo to wszystko rozpatrywaliśmy się w nim nie bez interesu. Ochłodziliśmy się wodą z węgierskiego potoku, podjedliśmy i zeszliśmy napowrót z góry.

Pod samym Ormakiem leży piękna polana z porządną baciówką. Owce właśnie zeszyły z gór na południowy spoczynek do koszar. Ujrzelśmy kilku pasterzy, krzątających się około baciówki — weszliśmy do niej, aby napić się żętycy i kupić serów. Żętyca tu daleko lepsza i zdrowsza, niż w przedgórzach, leżących z tamtej strony Nowotarskiej doliny, a przyczyna tego w balsamiczniejszej paszy. Z pół godziny przepędziliśmy na rozmowie z pasterzami. Z wielu względów trzeba kochać i podziwiać tych ludzi. Co to za uroda w budowie! Co za życie i zręczność w każdym ruchu! Jaki rozum otwarty, jaki dowcip przytomny w rozmowie! Ogólny strój tamtejszych pasterzy jest następujący: koszula krótka, po pas tylko, usmażona w maśle, jedna na całe lato, to jest na cały czas, przez

który trzody w górach się pasą — spodnie sukienne białe, obcisłe, z czerwonym szwem w nogawicach i wyszywaniem na brzuchu, z węgierską — ciżmy krótkie, przysznurowane rzemieniami do wysokości połowy łytek — szeroki pas skórzanny — za pasem, z lewego boku, nóż duży w pochwie skórzanej — przez plecy torba ze szpagatu, ładnie zrobiona, w kolorowe zygzaki, z ogromnemi u wierzchończęj części frenzlami — koszula pod szyją spięta wielką mosiężną spinką, czasem w kształcie medalu, czasem obrazka, z licznemi łańcuszkami, dosyć długimi — rękawy koszuli sfałdowane na ramionach, a fałdy te zbiera w kształcie guzika jakaś robótka z różnobarwnych paciorek — na głowie kapelusik z wązkiemi brzegami, okrągłym wierzchem, obwiązany amarantową wstążką i ozdobiony zieloną gałązką, jakiegokolwiek drzewa — w rękę siekierka na długiej lasce, zwana wataszką lub ciupagą, a w ustach mosiężna fajeczka na kilkocalowym cybuszku. Wszystkie te mosiężne ozdoby, jako spinki i także mosiężne fajki, wyrabiają się we wsi Ząb Suchy, niedaleko Kościeliska.

Miedzy innemi rzeczami gadali nam juhasy o zbójcach. Zwykle gnieźdzą się oni na Węgrzech, a na tę stronę gór czasami tylko dochodzą. Właśnie przed kilką dniami juhasy, którzy nam to opowiadali, mieli u siebie w odwiedzinach czterech takich zbójców. Opisywali nam ich dosyć szczegółowo. Są oni uzbrojeni od stóp aż do głowy. Każdy z nich oprócz siekierki, noża i pistoletów, ma jeszcze ze trzy rusznice. Juhasom nie robią wiele złego; wybierają tylko z trzody kilka baranów, rzną je natychmiast, pieką, najadają się, resztę zabierają z sobą i wkońcu, przymówiwszy się o sery, odchodzą spokojnie. A górale spokojnie ich puszczają. Z tego pokazuje się, że nie z góralami wojnę prowadzą.

Około piątej z południa stanęliśmy z powrotem przy źródle Czarne go Dunajca, o którym już wyżej napomknąłem. W tej chwili niem głównie się zająłem. Wybucha ono wielkimi bałwanami, z wielkim szumem z otworu pieczary, znajdującej się u podnóża Uplazu. Naga skalista ściana, dosyć wysoka, podnosi się dokoła otworu. Jest ona gościnną księgą dla zwiedzających dolinę Kościeliską. Miękki jej kamień okryty jest napisami

rozmaitego kształtu, rozmaitej mowy, rozmaitej treści, imionami i nazwiskami osób wszelkiej płci, wieku, stanu i narodu. Jakiegokolwiek są one wagi, mnie zajmowało głównie źródło i pieczara, z której biło. Zaostrzały moją ciekawość rozliczne o nich wieści. Jedni powiadali, że zwiedzano ją z pochodniami, że po długiej, trudnej i chłodnej podziemnej wędrówce dotarto nareszcie do ogromnej sali, ozdobnej kolumnami i sztukateriami z kamienia tak jasnego, że przy blasku pochodni sala świeciła niby dyamentowa — że pośrodku sali leży małe jezioro, właściwe źródło Dunajca. Odrąciwszy przydatki o podziemnych mostkach na podziemnym Dunajcu, wierzyłem w salę i zdobiące ją sztukatury. Inni utrzymywali, że tę salę wykuli górnicy, dobywający niegdyś w tem miejscu srebro; w tem podaniu nie mogłem dostrzedz poetycznej strony. Niektórzy twierdzili, że tem podziemiem trzy dni i trzy noce iść potrzeba, aby dojść do źródła — że nawet w końcu tej wędrówki można się było obaczyć na szczycie jakiejś góry; na tobym się nie odważył. Inni natomiast zapewniali, że szperanie po pieczarze oburzało Ducha, mającego tam swoje siedlisko, który w gniewie spuszczał na dolinę chmury i ulewę. Tem się nie trwożyłem i postanowiłem w ciemnym siedlisku Ducha rozniecić ziemskie światło. Dziś jeszcze zamierzyłem tego dopełnić. Opatrzony więc w potrzebne zapasy, jako to: świeczki woskowe, zapalki chemiczne, pulares i t. p., wziąłem się natychmiast do dzieła. Zapaliłem świeczkę i wszedłem w groźny, bez przesady mówiąc, otwór. Kształt jego z początku foremny, sklepienie okrągło-wklęsłe, wysokość dorodnego człowieka; pod tym więc względem było mi wygodnie, ale niższa część ciała miała wiele do zniesienia. Woda, nadzwyczajnie chłodna i gwałtowna, lubo z początku sięgała mało co wyżej nad kolana, parla mię wciąż napowrót ku żyjącemu światu — przytem dno tak jest nierówne i śliskie, że co chwila byłem w obawie upadku i całkowitego skapania się: w takiej walce z pędem wody nieraz już pochyliłem się i zamoczyłem po szyję prawie. Trzymałem się jednak, jak mogłem; chodziło mi najwięcej o światło, bez którego czulem, że byłoby mi źle w miejscu ciemnym, nieświadomem i zalanem

wodą rwącą. Mimo to, chociaż z trudem, postępowałem naprzód; szum wody coraz głuszej rozlegał się w podziemiu — ale dotąd szedłem w prostej linii i miałem jeszcze za towarzysza trochę blasku dziennego, zazierającego w otwór. Naraz poślizgnąłem się, upadłem i świeca mi zgasła. Chciałem korzystać z zapalek — na nie się nie przydały. Powietrze w podziemiu, nasiąkłe wilgocią, a przytem wietrzyk mały, skutek zapewne nadzwyczajnego pędu wody, zgasiły mi każdy siarniczek, że wkońcu nie pozostawało mi, jak wycofać się. Zapaliwszy na nowo świecę przed otworem, puściłem się weń powtórę, ostrożniejszy już i pewniejszy drogi, boi ja dwa razy przeszedł i poznał. Prędko dosięgnąłem kresu poprzedniej wyprawy. Świecę zasłaniałem, jak mogłem wszakże jej światło coraz bardziej mdało. W zakręcie podziemia straciłem z oczu jego otwór — grube ciemności otoczyły mię dokoła. Bałwany wody za każdym krokiem silniej uderzały i huczały głośniejsz — stanąłem na chwilę. Huk podziemny, daleki, mocniejszy od szumu tłukącej mię po nogach fali, mieszanina tysiąca najsprzecznějších tonów, muzyka dzika, przeraźliwa, jakiej nie podobnego w życiu mojem nie słyszałem, niby echo oddalonego piekła, ogłuszyły mię naprawdę. Mimowolnie uległem groźnemu wrażeniu: zdało mi się w tej chwili, że się otwierają tajniki ciemnego duchowego świata, że postacie jego nieżywe zaczęły przesuwac się przed okiem, jak poczęły już przelatywać po myślach; spodziewałem się co chwila, że trup jakiś przepłynie koło mnie na falach, że jakiś potwór, nieznamy dotąd światu, objawi mi się przy konającym blasku mojej świeczki. Uwierzyłem na chwilę w nietykalność miejsc podobnych i tajemnic podań ludowych — szedłem jednak. Wkrótce pęd wody wolniej; trafiaam nogą na tram kilkołokciowy. Przyglądam się mu — obrobnym widocznie ręką ludzką. Co on tu robił, tego nie potrafię wytłumaczyć. Opierając się ręką o ścianę, trafiałem na wyłobienie i znalazłem w niem kawałki szkła potłuczonego. Musiał tu więc być człowiek — i oto ujrzałem się w próżnej przestrzeni, mającej obwodu kilkanaście kroków, ale ze sklepieniem tak niskim, że ledwie wyprostować się mogłem. Główny nurt szedł bokiem tego ustępu, woda zaś,

pokrywająca jego dno, była spokojna i płytsza. Zboczyłem kilka kroków, wylazłem na kamień, aby zdrętwiałe od chłodu nogi przyszyły cokolwiek do siebie. Ale świeca moja coraz widoczniej groziła zgaśnięciem. Nie zważając na to, powracam znowu na dawną drogę, pomykam się do kurytarza, skąd bije nurt najmocniejszy — wtem dmuch niespodziewanego wiatru gasi mi powtórnie światło. Jedna była droga dla mnie: ta, którą przyszedłem — łatwo więc, chociaż omackiem, trafiłem na nią, trzymając się przytem fali najgwałtowniejszej, i wróciłem na świat z przedsięwzięciem ponowienia wyprawy.

Tą razą puściłem się z latarnią. Wrażenie podziemnej zgrozy słabiej już na mnie działało. Większa świeca, dobrane szkłem osłonioną, pomogła mi jaśniej widzieć podziemie. Rozpatrywałem dłużej jaskinię, w której wczoraj odpoczywałem; było to proste dzieło przyrody, ozdobione tylko kroplami zgęstniałej wilgoci. Posunąłem się dalej. Z początku zdawało mi się, że jaskinia rozgałęzia się w kilka uliczek. Obejrzałem każdą. Niektóre nie miały długości, jak kilka łokci, inne obiegały tylko, jako głąz, i łączyły się z głównym przechoodem. Po tym jednym obiecywałem sobie piękne odkrycia, cieszyłem się naprzód radością, której doznam, stanawszy w owej sali, która w podobnem miejscu musiałaby przedstawiać coś osobliwego. Ale sklepienie, wycięte pod kątem, coraz się bardziej zniżalo i zwężało: chyliłem się, dopóki tylko mogłem, przysiadalem — mimo to poznałem wkrótce, że dalej niktby posunąć się nie potrafił. Woda wybuchała wprawdzie z równą obfitością, jak gwałtownością, ale już tylko ze szczeliny, i to tak ciasnej, żeby się przez nią żaden człowiek nie przecisnął, choćby miał odwagę pod wodą nurkować.

Tu zakończyłem podziemną moją podróż i zaspokoilem ciekawość. Jakkolwiek nie trafiłem w niej na przedmioty nadzwyczajne, chcę jednak wierzyć, że śmielszy, czy wytrwalszy, czy szczęśliwszy ode mnie potrafi głębiej się zapuścić i odkryć te dziwa, o których podanie zapewniam. Co do mnie, z tego, com dokonał, i z chwili, przepędzonej w podziemiu źródła, pozostały tak żywe, tak mile spom-

nienia, że jeszcze chętniebyłem powtórzył tę wyprawę, i mam nadzieję, żebym wrócił nie bez zdobyczy, jeżeli nie dla oka, to dla uczuć i myśli. W niezwykajnych tylko położeniach budzi się wewnętrzne życie człowieka.

WIDOK Z CZORSZTYNA.

26 sierpnia 1832 r.

Słońce spuszcza się z południa — niebo wpół wypogodzone. Przejrzysta śrężoga obwiewa dolinę lekką zasłoną. Wierchołek Babiej góry dymi, jak przygasły wulkan, słupem obłoków, rozplywających się nad jej czołem, jak pióra bujnej kity. Powódź chmur, wałąc się od zachodu, pnie się jak do szturm po niższych stopniach Tatrów ku najwyższym szczytom: jedne znikają w białawych olbrzymich kłębach, inne, zalane na chwilę, wybijają się na wierch. Podarte chmury spływają po nagich bokach olbrzymiej skalistej twierdzy, ale nadchodzą nowe posiłki — szczyty, zwycięskie przed chwilą, toną w nawale następnej. Wkrótce chmurna chorągiew nawałnicy powionęła rozwinięta na najwyższych wieżach grodu niezmiernego; wszystkie jego szczyty zniknęły w powodzi obłoków, a tryumfująca niepogoda zaległa, jak obozem, cały plac boju i na najniższych lasach rozbiła swoje namioty. Podówczas cała dolina przypatruje się obliczem pokoju całej tej walce. Blask żadnego strzału nie razi jej spojrzenia, żaden grzmot strzału nie dochodzi jej słuchu; chyba cień przelotnej chmurki przemknął się kiedy niekiedy po jej oświetlonej płaszczyźnie. I owszem, przytem ciemnem tle dalekiej burzy żywiej jaśnieje zieleni polan i złoto pól, dojrzałem już zbożem okrytych. Zresztą wszystko spokojne, bezpieczne; prostym gościńcem snują się grupy pracujących, roją się niemi zagrody wiejskie — ożywione niemi pola. Ale nad wszelki urok tego obrazu najuroczniejszy jest widok wód dolin. Nic nie zdoła wyobrazić tego blasku, co odznaczał Białkę w namiętym jej pędzie ku Dunajcowi przez ciągłą pochyłość, więcej, niż milową, i z pod zasłon śrężogi srebrem jej strzelał.

O, jak ja wam zazdrościć w tej chwili, góry, lasy, z wyżyn waszych patrzycie zawsze na tę krainę! Wam

żadne jej zjawisko nie jest stracone! O, jak pragnę niemal zamienić się w cokolwiek, równie, jak wy, trwałe, byle mi pozostawiono to uczucie, które mię dzisiaj ożywia, to szczęście, którego w tej chwili doznaję!

Zazdrościłem drzewom, skałom, a dla gruzów Czorsztyna powziąłem tem większe uszanowanie; z uwielbieniem myślałem o jego pierwszych założycielach. W natchnieniu wyższem musiał być ów człowiek, co pierwszy odgadł to miejsce i pierwszy na tych skalach zakreślił posadę Czorsztyna; wzniosła musiała być dusza, co tu pierwsza zamieszkała! Czemuż tego o współczesnych powiedzieć nie mogę? A nie mogę, kiedy, pojrawszy dookoła siebie, widzę, jakby na urągowisko przeszłości tego miejsca, rozsądzone po gruzach niedźwiedzie z drzewa. Ma to być pomysł dzisiejszego ich właściciela.

SZLACHTA SANDECKA.

23 sierpnia 1832.

Niedźwiedzie drewniane czorsztyńskiego zamczyska zatrzymały moją myśl na szlachcie sandeckiej. Nie mogę jej pominąć w milezeniu. Stanowi ona ważną część ludności miejscowej, nie tyle przez swoją ilość, co przez jakość; nie o niej nie powiedzieć, byłoby to zostawić w obrazie miejsce niezamalowane. Zasługuje ona na wzmiankę tem bardziej, że ma w rzeczy samej niektóre cechy sobie tylko właściwe, a odróżniające ją od szlachty innych obwodów galicyjskich, stanowi wybitny odcień w całości, zwanej szlachtą. Rys ten nie będzie może najpowabniejszy, ale jest konieczny.

Nie cenię lekko, nie sędzę lekko naszych braci, nie uważam ich za gorszych między innemi, nie podzielałam tonu, w jakim ucywilizowanaśna niby szlachta galicyjska przemawia o szlachcie sandeckiej. Szlachta sandecka ma swoją słabą stronę, bo jest szlachtą tak pijącą, że i sandecka na więcej się nie zdobyła.

Wszystko to usłoby za mniejsze grzechy w oczach ludzi wyrzuciłych, dałoby się złagodzić to tem, to owem, gdyby szlachta sandecka pilnowała się drogi ojców dobrej w rzeczach główniejszych dla człowieka —

gdyby okazywała się więcej braterską w pożyciu z bliższymi siebie, w swojej sferze wiejskiej — gdyby mocniej usiłowała trzymać w tem kółku ton jedności, zgody, obyczajów prostych ale czystych, właściwszych człowiekowi, jak zwierzęciu, miłości, rozlewającej się raczej na zewnątrz, jak ściągającej wszystko ku sobie i w sobie wszystkich pochłaniającej — gdyby mniej zapominała, że jest ważną gałęzią społeczności chrześcijańskiej, nie pogańskiej, że ma ważne obowiązki i powinności do pełnienia — że, jeżeli są biedy, na które musi czasem skarżyć, to wszystkie płyną z jednego głównego źródła dla każdego człowieka, z niego samego, ile razy nie robi, co Pan Bóg przykazuje — gdyby jasno zobaczyła to prawo konieczne, że złe rośnie w gorsze, a gorsze w jeszcze gorsze — gdyby... Ale tyle jest owych „gdyby“ do polecenia, że muszę się zatrzymać i zostawić resztę rozważde tego, komu na tem zależy. Najlepiej będzie, kiedy każdy sam przed sobą mnie zastąpi. Zdaję chętnie tę pracę na moich braci, nawet nie-Sandeczau. Może już i tak zanafto rozgadałem się i wpadam w podejrzenie, że chcę uczyć mędrszych ode mnie. Uchowaj mię, Boże, od tego! Co powiedziałem, to głównie między innemi dlatego, że czuję, o ile ta ziemia, te góry byłyby piękniejsze, gdyby ludzie zrobili się piękniejszymi i swoją pracą dopełnili dzieła bożego w tej stronie.

ŚWIAT ZWIERZĘCY W GÓRACH.

30 sierpnia 1832.

Surowość zimy i klimatu sprawia, że ludność zwierzęca w górach nie jest ani tak liczna, ani tak rozmaita, jak w innych okolicach naszego kraju. Ptaki i zwierzęta silniejszej tylko organizacyi mogą być stałemi mieszkańcami tej strony. Słowik tu rzadki, zato pełno olbrzymich orłów, sępów, pułaczy. Mniejsze rody są wędrowne; do takich należą kwiczoły, które podczas lata chmurami przelatują się po górach. Wiadomo, że ulubionym ich pokarmem jest jałowiec, a ten krzew znajduje się tu w znacznej ilości. Nie są jednak puste i głuche pod tym względem góry; można w ich lasach słyszeć wszystkie głosy pta-

ków, znajome nam gdzieindziej. W porze zwłaszcza letniej i ptastwo zdaje się wysyłać tutaj ciekawych swoich wędrowców.

Ze zwierząt celuje tu nad wszystkie koza skalna; jest to najwłaściwszy mieszkaniiec gór i wielka ich ozdoba. Bez nich nie byłoby strzelectwa góralskiego; góry straciłyby wielką część swojego życia. Sarny także są dosyć powszechne. Do ogromniejszych i dzikszych należy niedźwiedź, który tu nie jest rzadki. Wiele także wilków i lisów.

Wody górskie swoją bystrością zwyczajną, swojemi wezbraniemi nie sprzyjają takiej obfitości ryb, jaką znajdujemy w wodach równin; mają zato rodzaje, właściwe sobie. Między temi celują pstrągi i lososie. Oddawna sławne były i są dotąd lososie dunajeckie; do tej sławy Dunajec dotąd ma prawo. Nie wiem, czy lososie znajdują się w innych wodach karpackich; to pewna, że ich połów najznaczniejszy jest w Dunajcu, a co większa, że co do smaku przyznawano im pierwszeństwo.

Mieszkańcy utrzymują, że losoś przybywa z morza Wisłą. Dlatego Dunajec tak mu ulubiony nad inne rzeki, łączące się z Wisłą, o to mniejsza; ciekawszy jest instynkt tej ryby, który ją prowadzi zawsze przeciw pędowi wody. Jest w niej jakaś miłość walki — stąd też obdarzona jest niepospolitą sprężystością; jest ona prawdziwie zadziwiająca. Napotyka się czasem lososia w potoku głębokich już gór, gdzie nie może dojść inaczej, tylko kaskadami, a więc skokami z dołu w górę, nieraz kilkołokciowemi. Zdaje się, że je przebywa w czasie wezbrań, kiedy woda obfitsza; walczy więc z wysokością i pędem spadającej wody. Miejsca, gdzie znajdują lososie, mają zaledwie niekiedy kilka kroków przestrzeni pokrytej wodą, którą zatrzymuje naturalna przeszkoda ze skały, a są tak płytkie, że rybak ręką bierze lososia. Taki połów jest prawdziwą walką człowieka z rybą. Potrzeba niemałej siły, aby ją pokonać. Połów ten bywa czasem niebezpieczny: zdarzało się, że losoś złapany i włożony za pazuchę, obwijał się wkoło piersi i ścisnął tak silnie człowieka, że, gdyby nie prędkie ratunek obecnych,

byłby go udusił. Podhalanie uważają pstrągi za młode lososie.

Nie mogłem skierować mojej większej uwagi do tej sfery stworzenia w górach. Żałuję tego bardzo; jest to godne głębszego zbadania, i pewno znajdzie się, kto mnie w tem dopełni. Ja przestaję na tem słowie ogólnem. Nie mogę wszakże pominąć w milczeniu plagi tutejszych lasów. Są to czerwone robaczki, ledwo dojrzane, z rodzaju robaków toczących drzewa. Ale ich działanie jest na wielką skalę. Odrazu zajmują linię milowej długości i tak się posuwają, a ślad ich przejścia widzisz tylko po czarnych uschłych lasach. Jest to rodzaj choroby, rodzaj zarazy lasów, a w której może leży rozwiązanie zagadki morów, tępiących ludzki rodzaj.

Z TURNISK. — GŁĘBIA TATRÓW.

1 września 1832.

W tych dniach wypada mi znowu droga w Tarnowskie; może tu nie prędko wrócę, a może i nie wrócę. Nie tracę więc ani jednego dnia, ani jednej chwili. Oglądam, czegom jeszcze nie widział, odwiedzam, com już poznał; zwracam na wszystkie strony oko, ucho i uwagę. Dusza moja nie zamyka się: wciąż daje się lub przyjmuje; gromadzę do jej skarbcza wszystko, co mi się nastrocza — a, co się da wypisać, zapisuję. Pragnę zatrzymać, utrwalić tę chwilę, tak ważną dla mnie; pragnąłbym podzielić się ze wszystkiemi wszystkim, co jej winien jestem; pragnąłbym zdobyć się na jakąś pamiątkę po niej, po tych miejscach, po życiu, którem tu przepędził — na owoce z tylu uczuć, wzruszeń, natchnień, przez które tu przeszedłem, które tu odebrałem. Zacząłem już to dzieło, pracowałem nad niem cokolwiek; mam ideę główną, mam główną ośnowę, zbieram szczegóły — a im dalej zapuszczam się w pracę, tem więcej odkrywam bogactw, tem bardziej blask mię ich ośniewa. Do niektórych dostałem się — inne dopiero przeczuwam: leżą przed okiem ducha, jak te skarby w powieściach góralskich. Trzeba warunków tajemniczych, trzeba jakiejś władzy tajemniczej, ażeby je posiąść. Nadewszystko czuję, że mi potrzeba tego ży-

cia widomego i niewidomego, które tu panuje; tem życiem chcę się cały przejąć, przesiąknąć. W tym kierunku zwracam wszystkie moje zatrudnienia, przez te dni kilka, pozostających mi do mojego wyjazdu. Mój trud nie jest bezpłodny, mam to przekonanie. Wiele rzeczy wyjaśniłem sobie, jako pisarz, natrafiłem na wiele prawd sztuki. Zostaną one dla mnie prawidłami, karbami mojej drogi pisarskiej. Polegam na nich tem śmieiej, że nie biorę ich z książek, natężeniem zimnego rozumu; podalo mi je życie, otaczające mię tutaj — przyjałem ożywiony, rozegrzany czuciem, miłością, i odtąd coraz mi ich więcej przybywa. Ująłem już w słowa, co mogłem ująć. Ale to na później; jest to mój skarb wewnętrzny, dla mnie najcenniejszy. Zwracam się do tego, co może być dla wszystkich.

Jeden żal nienagrodzony przyjdzie mi stąd wynieść: to ten, że tak mało poznałem głąb Tatrów. Dziś nie podobna już myśleć o jej zwiedzeniu. Podróż ta wymaga tyle pomocy, że jest nad moje środki; pora późniona otacza ją także trudnościami coraz większemi. Łada dzień mogą spaść śniegi i zasypać wszystkie przejścia w głąb gór; może już nawet spadły. Nie pozostaje mi, jak myślał pobiłkować się po nich. Leżę więc na mojej skale i, położwszy oko na zewnętrznym murze Tatrów, jak kotwicę na dnie morza, przebiegam myślą, jak lekkim czółenkiem, dziwy ich wnętrza.

W istocie, opowiadają mi dziwy o tych miejscach. Wszystko, co widziałem, nie daje wyobrażenia o tem, co najgłębsze Tatry zamykają w sobie. Tak mię zapewniają — i wierzę temu łatwo, sądząc z tego, co słyszę. Ten północny bok Tatrów, widziany z Galicyi, i południowy, od Węgier, jest tylko ogrodą Tatrów najwłaściwszych. Można je stąd odgadywać tylko po niektórych lodowatych szczytach, wyższych nad inne — ale większa ich liczba ukryta jest spojrzeniom z zewnątrz. Prawdziwe lodowce korzenia się i rosną dopiero w głąb Tatrów. I tam dopiero jest istotna dziedzina wiecznej zimy i wiecznego mroku. Tam jeziora, nie odmarzające nigdy — doliny miłowe, usłane wiecznym lodem i otoczone ścianami z wiecznego lodu — tam zobaczysz nad potokiem most z wyzie-

wów, w lód zamienionych, zawieszony na głąbi przerażającej głębokości — a cisza taka, że kiedy pod ciepłym słońcem lód się rozgrzeje i ścieka kroplami w tę przepaść, słyszysz pluśnięcie każdej kropli, co spada. Najdziwniejszą sprzeczność pośród tej martwoty mają tworzyć lasy, leżące gdzieś między lodowcami. Są one zwykle w dolinach nadzwyczajnej głębokości. Cień ich gęstwy nie różni się od czarnej nocy. Rzecz szczególna, że w tych lasach przechowują się zwierzęta, które same tylko gwizdaniem swoim ożywiają tę ciszę, jakby podziemną. Niektórzy myślą, że to są bobaki. Przystępy do tych lasów są niepokonanych prawie trudności dla niegóralskich i niestrzelców: staje ci nieraz na drodze skała z przepaściami po obu stronach, a grzbietem tak ostrym, że niema dosyć miejsca na stopę ludzką, i nie można jej przebyć inaczej, tylko przesuwając się po niej okrakiem. Wyobraź sobie nadto, że taki grzbiet ciągnie się przez kilkadziesiąt sążni!

Kilka rysów podobnych dają widzieć, choć w małej części, czem jest wnętrze Tatrów, i że do zwiedzenia jego nie dosyć mieć chęć i odwagę. Oprócz koniecznej wprawy, potrzeba jeszcze przygotować się na mrozy, burze, mgły, jak noc, ciemne, lawiny nienuknione i inne przykrości i niebezpieczeństwa, przywiązane do miejsc podobnych. Wszakże powiem prawdę, że nie zważałbym na to wszystko, gdyby mi nie zawadzały trudności innego rodzaju, a mniej łatwe do pokonania.

ZAMCZYSKO CZORSZTYŃSKIE.

23 września 1832.

Nad spodziewanie moje wracam jeszcze w góry. Witam je z gruzów Czorsztyna. Mój nocleg blizki, mam czasu dosyć. Obracam go na bliższe poznanie się z gruzami. Chcę dłużej cokolwiek pomówić z niemi o ich przeszłości.

Jedno z miejsc najinteresowniejszych w dziejach Polski, pomnik czasów Kazimierza Wielkiego, mieszkanie Czarnego Zawiszy, a dzisiaj rozsypujący się kościotrup — Czorsztyn!... Dwie godziny przepłynęło koło mnie i gruzów jego, nimeśmy się naszym smutkiem zobopólnym rozmó-

wili z sobą. Jak o przyjacielu, którego widocznej zgubie zapobiedz nie zdołamy, smutne o nim moje myśli. Jeszcze przed kilkadziesiąt laty stał cały; znałem człowieka, który biesiadował w jego salach; dzisiaj rozwalinami tylko przyręca, dzikim powabem owego ciała, któremu śmierć względna zostawia niekiedy na dni kilka ciepło i barwę życia. Słońce, zakryte chmurami, nie urąga wesołym blaskiem rozwieszonemu tutaj całunowi zniszczenia; mrzący deszcz wisi pełnemi kroplami po trawach i drzewkach, utulonych między zwaliska; czasem polne ptaszyny osłonięte resztkami gzymsów, obeśła się urwanem szczebiotaniem, niby krótkim psalnem pośmiertnym, a wiatr wędrowny obejdzie wnętrza pustki, przyrzuci kamyk na mogiłę gruzów, zawyje westchnieniem i polecą dalej. A ja droższej dopełnię powinności: w obrazie zwłok wielkich złożę im część pogrzebową.

Wyniosła i przykra góra, panująca z jednej strony nad szczyłami Nowotarskiej doliny, z przeciwnej zaczynająca pasmo wzgórzów, zakończone skałami Pienin, oto posada Czorsztyna. Sam gmach stoi na południowym jej boku, podnoszącym się od płaskiego błonia prostopadle, nago, jak mur z jednolitej, różowej skały. Ściana zamku z tej strony jest jakby dalszem wyprowadzeniem skały; żaden śmiertelnik nie mógłby tędy ani wyjść, ani się spuścić. Sam widok kilkadziesiąt sążniowej przepaści głowę zawraca, a jednak trudno nie patrzeć. Dno głębiny uściela piękne zielone błonie; po niem rozrzucona wieś tegoż, co i zamek, nazwiska — po niem snuje się dalekowiedny Dunajec — na drugim brzegu Dunajca Węgry, ze swojemi górami, w świeże lasy ubranemi, i z pięknym, nienaruszonym zamkiem Niedzicą, ale już nie tak śmiało, nie tak okazałe zbudowanym, jak Czorsztyn. Wschodnia część góry, o kilkaset kroków od zamku, najeżona jest ostreimi, nagłymi wzgórzami z wapiennego kamienia, które okrywa zarośla z jałowców i świerków; łączy się z nimi szereg wapiennych także opok, obiegających jednym prawie ciągiem górę zamkową ze strony północnej i zachodniej, aż do samej wody Dunajca. Gdzie indziej trudno coś podobnego widzieć; ów szereg nagich, wysokich, przepaściстых opok tworzy linię tak warowną, samorodną, że sam jej

widok nasuwa mimowolnie myśl czarodziejstwa, wspierającego założycieli Czorsztyna. Niższe skał miejsca dopełniane są murem. Pomiędzy górą zamku a spomnionemi skałami jest głęboki rozdół; część jego, obwarowana murem, poprowadzonym od wschodniej i zachodniej ściany zamku aż do owego pasma wapiennych wzgórzów, tworzyła dziedziniec zamkowy.

Z dzisiejszego stanu gruzów trudno mieć dokładne wyobrażenie o szczegółach wewnętrznego rozrządzenia budowy. W zachodniej ścianie zamku wyraźny wprowadzie ślad zamurowanej bramy, ale wjazd do niej tak przykry, że nie można nawet pojąć, jakby tam zwodzony most przystawał; podobniejsza do prawdy, że wjazd główny był od wschodu, jak to zdają się przyswadczać spomniony dziedziniec, szczątki rozwalonej bramy i przystęp łatwiejszy.

Sam zamek tak zbudowany, że nie dosyć było przełamać zewnętrzne obwarowanie i dostać się na dziedziniec, kilkadziesiąt kroków od ścian zamku; po górze przykrej jest wał najspadziwszy, który musiał być w swoim czasie niemałą obroną. Zdaje się, że do wnętrza zamku dwa wchody wprowadzały; jednego z nich można widzieć zabytek w otworze narożnej od zachodu wieży, i szczątkach muru przed nim, a który zbiega na dół i mógł osłaniać wschody — drugi zaś w drugim końcu tejże ściany musiał być ukryty, co wnoszą z pokoju, leżącego w tem miejscu pod górą, opartego jedną ścianą, a raczej składającego część linii zachodniego muru. Dochodzi on wysokością ścian swoich podnóża ściany zamkowej, a stoi tak oddzielnie od reszty pokoi wyższych, że można z podobieństwem do prawdy uważać go za warowną osłonę ukrytego wchodu. Nie powinienem także przemilczeć, że w kierunku jednej jego ściany, równoległej do północnej ściany pokoiów ciągnie się zrównany prawie z ziemią ślad muru aż do spomnionej wieży zachodniej — może więc być, że pokój, o którym mówiłem, był częścią dolnych mieszkań, przypartych jedną ścianą do boku góry, a dachem do podnóża wyższego piętra.

Wnętrza pokoiów, na szczycie góry stojących, tak są zasypane gruzami, ich ściany po większej części tak zni-

szczone, że trudno dziś dociec ich liczby i składu, a tem bardziej wysokości całego gmachu. Wszakże w niektórych miejscach można widzieć podstawę ścian ze szczerzej skały i ślady kucia w skałę; może to być podziemna część zamku, a może i więzienie, ale osiadłe sklepienia zapełniły je gruzami do znacznej wysokości.

Spodziewam się, że tym rysem dałem jakiegokolwiek wyobrażenie Czorsztyna, a raczej gruzów jego; na obraz dokładniejszy potrzeba więcej czasu i pomocy pędzla malarzkiego. Wartaloby zająć się komuś tą pracą, i rysunkiem, chociaż topograficznym, zachować plan tych rozwalisk zajmujących; niejeden artysta byłby szczerze wdzięczny za taką pracę i mógłby z niej piękny użytek zrobić.

Na dopełnienie obrazu muszę powiedzieć, że pod Czorsztynem schodzą się dwie drogi ku Nowotarskiej dolinie: jedna, od Krościenka, okraża północną i zachodnią część Czorsztyńskiej góry, druga południową jej stronę; ta idzie z Węgier ponad Dunajcem. Niższa połowa góry ma kilka źródeł; u podnóża biegnie potok, który do Dunajca wpada, przecinając drogę z Krościenka — od północy góruje nad Czorsztynem las świerkowy, przyległy krościeńskiej drodze, czasem od łotrów osadzony; przez ten to las objawily mi się Tatry tak urocznie po raz pierwszy.

Gdzieindziej dałem wyobrażenie widoku Nowotarskiej doliny i Węgier z Czorsztyna. Widok na inne strony zasłoniiony jest górującym grzbietem góry, której posada zamku jest niejako przyłładkiem.

Dzieje Czorsztyna bogate są w materiały do dzieła poetycznego. Nazwisko jego występuje głośniejsz za Kazimierza W. Długo jest w posiadaniu Zawiszy Czarne go i jego następców. Zdobywany był nieraz przez łotrów góralskich i służył im za warowny przytułek. Między temi wypadkami zanotowany jest w kronikach Napierski, bandyta. Duch poety może wiele zobaczyć w takiej przeszłości i wiele z niej wydobyć.

NA WYŻNIEJ. — WPŁYW TAJEMNICZY GÓR.

29 września 1832.

Nic już prawdziwszego dla mnie, jak twierdzenie góralsi, że ich atmosfera ma wyższość nad atmosferą równin. Przekonałem się o tem z własnego doświadczenia. Trzy razy przejechałem się w równiny i za każdą razą doświadczyłem tego samego. Z początku, przez dni kilkanaście, ruch życia góralskiego, większa swoboda myśli, w ciele lekkość, pewna czerstwość, jędrność wszelkich władz, zdolność do wszystkiego w stopniu wyższym — powoli ciężałem, sępiałem, traciłem sprężystość energii wewnętrznej, tak, że po pewnym przeciągu czasu czulem dotykana w sobie zmianę, niekorzystną. Powracam w góry — zaledwo dni kilka pożyję ich powietrzem, ich życiem — stan zdrowia, rzeźwości, swobody znowu mi powraca, myśli się wyjaśniają, czucie głębiej się otwiera, wszystkie władze grają silniej, czystiej i harmonijniej.

Nie ja jeden to czuję, powtarzam; doświadczam tylko na sobie tego, co tylu innych doświadczyło, o czem inni mię zapewniali.

Jest w tem dziwna jakaś tajemnica, dziwna a niezaprzeczona. Wszystkie ludy ją czuły, czuciem najgłębszem, bo religijnem, wszystkie religie świadczyły o niej i korzystały z niej. Wyżyny były zawsze miejscami, wybranymi do modłów, do obrzędów religijnych, do wiązania ziemi z niebem. Na wyżynach płonęły święte ognie magów, jeżyły się kamienie druidów, wznosiły się świątynie naszych bożyszcz słowiańskich. Na Horebie, na Synai rozmawiał z Bogiem Mojżesz, przyjął prawdę bożą dla swojego ludu, niebieski ogień, który miał przez wieki ożywiać i oświecać lud wybrany. Z wierzchołka Syonu cały ten lud wchodził przez wieki w bliższy związek ze swoim Bogiem.

Góry Galilei były kolebką naszej religii chrześcijańskiej. W góry Galilei rzucił Bóg nieśmiertelne ziarno swojego Słowa dla świata; tam ono przyjęło się, ożyło ciałem, wzrosło i doszło do swojej dojrzałości niebieskiej. Na Taborze Chrystus pokazał się po raz pierwszy swoim uczniom w chwale, w istocie swojej nadziemskiej. Na wyższe

miejsca udawał się, ile razy w trudach boskiej swojej misji potrzebował zasilić ducha swojego powietrzem niebios. Z Kalwaryi podał światu wzór najwyższej ofiary — na górze Oliwnej widziały go oczy śmiertelne jako Boga, triumfującego nad światem!...

Cóż to jest, o góry, ta dziwna potęga, przywiązana do was — owa tajemnica, która was uświęca najświętszymi chwilami życia ludzkości? Skąd to jest, dlaczego to jest? Jakiegokolwiek są tego przyczyny, nie są one materialne; tak ogromne skutki dla ducha ludzkiego nie mogą iść z przyczyn niższych, materialnych. Wasze wybudzenie nad resztą ziemi, rozleglejszy widok z waszych szczytów, rozrzedzone bardziej powietrze na nich, są to warunki zmysłowe, zbyt za liche; mogą one zabawiać oczy, ulżywać płucom, pobudzać, lechtać ciało wrażeniami zmysłowemi, ale nie pojmuję, jakby mogły za pomocą jedynie tych środków działać na ducha ludzkiego, podsycać jego uczucie religijne, robić go zdolniejszym do życia nadziemskiego, do ofiar nadziemskich, do większej miłości Boga i ludzi!... O, nie — tajemnica ta musi się kryć w owej waszej części, której zmysłami dotknąć nie możemy, w jakimś uczuciu, zapełniającem wasze piersi, niezbadane narzędziami zmysłowemi, jak piersi człowieka w pierwiastku jego życia — a co ogniami podziemnymi, wybuchami jakichś technień nieznanych, niedocieczonych w swojej pierwszej przyczynie, potęgą jakichś wysilen tajemniczych podnoszą was nad poziom, jak natchnienia wielkiego ducha podnoszą człowieka w czynach, wyższych nad poziom ludzkości. Może coś być w was, co ma związek z nadzmysłową istotą człowieka niezależny, różny od wpływów fizycznych, a razem silniejszy, bliższy i ściślejszy.

Siebie naprzód badam z tej strony. Jest-że dla mnie wszystkim ten widok, który mam dokoła z tej wyniosłość? Unosił mnie ciągle jej wysokość? Bynajmniej; oko moje nasycza się prędko widokiem i wpada w zubożenie. Ledwo chwil kilka zajmuję się wysokością; wkrótce zapominam o tem — a zato budzi się inny stan wewnątrz: zaczynam czuć się lżejszym, swobodniejszym, zadowolenie wewnętrzne podnosi się we mnie, napętnia mnie całego. Widzę to po moich myślach, świeżych, silnych,

rozległych, lotnych — po zdolności widzenia ich, schwytania i wystawiania — dotykam tego w mojem uczuciu, więcej roztopionem, więcej rozlewającym się, pełniej gorzącem, silniej bijącym ku górze, ku światom wyższym, ku wzniosłości niematerialnej — widzę w sobie płomień, nie mający nic wspólnego z materją, nie zależący od otaczającej mnie sfery materialnej. Wkońcu postrzegam się, że stoję duchem w obliczu nieba, że jestem w modlitwie. Cóż to jest, o góry, owa władza, którą wprowadzacie człowieka w stan podobny? Zapytanie trudne do rozstrzygnięcia, a jedno z tych, które pytający sam w sobie rozstrzygnąć musi. Ufajmy, że będzie kiedyś rozstrzygnięte!

MGŁA PORANNA W GÓRACH.

1 października 1832 r.

Minęło lato. Góry śniegiem się odziewają — przedgórza występują w dzikszych coraz barwach. Polany spustoszały — ogłuchły echa pieśni pasterskich; słońce z każdym dniem widoczniej się nudzi, z każdym dniem wcześniej na spoczynek odchodzi. Pogoda walczy jeszcze ze mgłami, rozdrażnia sny moje, krótkie, jak sny rozkochanego. Budzę się w ciemnościach: gwiazdy iskrzą, lśnią się obfita rosa. Korzystam z ostatnich lata zabytków: chcę sobie przypomnieć letni poranek — puszczam się w góry. Zatrzymałem się na szczycie Wielkiej góry nad Łopuszną.

Cała dolina leżała cichym snem pod memi nogami. Księżyc spuszczał się bezchmurnem niebem do zachodu. Pogoda była mi tem uroczniejsza, że się zdawała być uśmiechem piękne sny marzącego; księżyc tem milej, tem tęskniej świecił, że tylko mnie samemu świecić się zdawał. Tatry stały uroczyste, jak żeby milczącą modlitwą dumaly.

I oto ze szczytu Babiej góry wybuchnął kłęb lekkiego tumanu i stoczył się do jej podnóża. Wschód mocno się płonić się począł. Jutrzenka ucieka w głąbie nieba — na kilku białych szczytach pokazały się płatki różowego blasku. A od zachodu mgły się podnoszą; z początku biegną w postaci kilku chmurków błędnych — powoli idą ku

sobie, spotykają się, łączą się, gęstnieją, toczą się białym wałem cicho, uroczyście. Coraz szerzej osłaniają dolinę; już dosięgły mojego stanowiska — już je oblały dokoła. Rozlewają się dalej — już dosięgły Pienin — i oto cała dolina zniknęła. Lasy i wody, wsie i pola, wzgórze i błonia, wszystko, co księżyc tak pięknie przed chwilą oświecał — w tej chwili zagasło pod mgły morzem. Prawdziwe to morze. Kłęby tumanu burzą się, jak poruszane fale, przewalają się przez siebie nawzajem; cała masa jednym ruchem zdaje się kołysać, cichnie, a jednostajna siwa barwa rozlewa się po powierzchni całego tego ogromu. Tatry, Pieniny, Babia góra zostały teraz brzegami morza, z którego łona podnoszą się gdzieś tam, jak ciemne wyspy, wyższe wzgórza, lasami porośłe.

Wzmagający się blask świtu rozjaśnia coraz mocniej część wschodnią mglistego morza i zaczyna rozścielać po niej pajęczynę z barw płomiennych, igrających. Nakoniec pokazało się słońce. Tu muszę złożyć w pokorze mój pędzel malarski; nie czuję się zdolnym wyobrazić, jak słup jego palący, niezmierzony w swej długości, rzucił się wzdłuż mgieł aż ku mojemu oku — jakimi barwami po ruchomem tle ich igrał — jakiego uroku był ten most tęczy między mną a słońcem — jakim blaskiem zajaśniało wszystko między ziemią a niebem!...

W miarę, jak słońce podnosiło się, odbłask jego na powierzchni tumanów zmniejszał się i ciemniał. Powiał wreszcie wiatr, zawichrzył mgłami, podniósł niektóre do wysokości mojego stanowiska — widowisko skończone! Zszedłem na dół, ale w zachwyceniu i poczuciu, że mi się objawiło owe Morze Karpackie, które, według podań, zalewało niegdyś dzisiejszą Nowotarską dolinę.

POBYT U PROBOSZCZA W FRIEDMANIE.

4 października 1832 r.

Brakowało mi przypatrzeć się z bliska życiu księży w tej okolicy; zbieg okoliczności zaspokoił mię i pod tym względem. Jestem wdzięczny tej konieczności. Kilkanaście dni przeżyłem w domu plebana wiejskiego — przez kilkanaście dni dach jego osłania mię przed nieprzyje-

mnościami wszelkiego rodzaju — przez kilkanaście dni jadłem chleb jego, a co najważniejsza, zbliżyłem się do człowieka, jednego z tych, co cię ogrzewają ciepłem swojej miłości prostej, szczerzej, czystej — poznałem kapłana, o którym każde wspomnienie sprowadza cię do tego życzenia: dalby Bóg, aby wszyscy księża byli przynajmniej tak, jak ten!

Widok półmartwy, jak Tatry, może zrobić silne, dobre wrażenie na człowieku, ale człowiek chrześcijanin bez porównania silniej obudza, zasila we mnie miłość Boga i bliźnich. Jeżeli nie mogę mówić o nim tak obszernie, jak o zmysłowych pięknościach okolicy, winienem mu wspomnienie bratnie, oznakę, że go umiał poczuć, ocenić, że uczucia moje dla niego nie są z liczby tych, co przechodzą z czasem bez śladu. Licha byłaby to odpłata za miłość żyjącą, gdyby została tylko w martwem słowie na papierze — ale z mojej strony nie jest ona taką: chowam ją w mojej duszy i daję żyjącą.

Kilkanaście dni przeżyliśmy prawie sam na sam, a takie życie wielką jest próbą wartości zobopólnej dwóch ludzi; trudno, ażeby w podobnym stosunku nie poznali się wzajemnie na sobie. Pragnąłbym, aby zacny pleban wyniósł z owego czasu takie dla mnie uczucia, jakimi mnie ku sobie natchnął. Poznałem w nim sługę Kościoła, jakich mało w życiu mojem napotkalem. Pełen cnót chrześcijańskich obok wyższego ukształcenia, miły, zniewalający, a mimo to zachowujący wysoką godność swojego stanu w życiu powszednim, światowem; był prawdziwym ofiarnikiem, wskazującym drogę jedynie prawdziwą, ile razy pełnił swoją służbę tajemniczą przy ołtarzu. Słyszałem go, w tym urzędzie przemawiającego do ludu: kazania jego były w języku słowackim, bo od tej wsi poczyną się już kraina, Słowakami osiadła, a słowa jego były napiętnowane tą samą ewangeliczną prostotą, miłością, łagodnością, których przykład stawił w swoim życiu!...

Ala słowa nie zdolne są wydać wewnętrznej wartości człowieka, ani uczuć dla człowieka, który nas istotnie zobowiązuje; przestanę więc na tem, co powiedziałem, a zajmę się więcej zewnętrzną stroną mojego pobytu w Friedmanie.

Między innemi znalazłem w tem probostwie bibliotekę tak liczną i tak dobrą, że niktby nie domyślał się podobnej w domku plebana ustronnej góralskiej wioski. Zamykała ona około 2,000 tomów najcenniejszych pisarzy wszelkiego narodu, tak oryginalnych, jak w tłómaczeniu, najwięcej niemieckiem. Rozumie się samo przez się, że dzieła treści religijnej stanowiły znakomitą jej część; o ich wartości nie mogę nic powiedzieć, bo wszystkie prawie są w języku łacińskim, który mało umiem. Zato przeczytałem wiele sztuk Szekspira, przełożonych przez Szlegla.

Zacny proboszcz ułatwił mi także zwiedzenie zamku Niedzicy. Zamek ten leży naprzeciw Czorsztyna — rozdziela je tylko Dunajec. Jest on dziś własnością hrabiego Paloczaja. Właściciel jego, a dziedzic wsi tegoż nazwiska i Friedmana, często w niem przemieszkuję; stąd budowa cała utrzymana jest w dobrym stanie wewnątrz i zewnątrz. Wewnętrzne jego urządzenie jest już więcej w smaku nowoczesnym. Między innemi ozdobami ma bibliotekę niewielką, ale złożoną z dzieł wyborowych, świadczącą o wyższem ukształceniu właściciela.

Wokoło zamku rozsypuje się wieś Niedzica. Na wejściu do wsi zwrócił moją uwagę słup z tablicą, na której wypisany zakaz palenia fajki na ulicach wsi. Przepis ten jest powszechny we wszystkich wsiach węgierskich i ściśle przestrzegany przez obawę pożarów. Jest on obwarowany sztrofami pieniężnymi, a dla chłopów karą cielesną. Stąd nieraz można widzieć na wstępie do wsi tablicę, na której malowidło przedstawia w wyższej swojej części fajkę, a w niższej chłopą, rozciągniętego na ziemi, a nad nim hajduka z kijem lub batem. Madziarski ten hieroglif chlopi dobrze rozumieją, widzą, że znaczy plagi za palenie fajki na ulicy, choćby *transito*.

Zresztą podobna tablica, zdobiąca każdą wieś, wyobraża doskonale duch prawodawstwa madziarszczyzny szlacheckiej w jej stosunku do chłopów, zwłaszcza plemienia sławiańskiego.

Więcej, niż mieszkanie, niż biblioteka hrabiego Paloczaja, zastanowiła mię jego piwnica we Friedmanie. Jest to w istocie przedmiot godny widzenia. Wyobraźmy sobie dwa czy trzy piętra pieczar, tak długich, że światła, postawionego

w jednym końcu pieczary, nie dojrzysz z drugiego końca, rozgałęzionych na wiele innych równoległych do siebie, a wszystko to zastawione krociami beczek, kuf rozmaitego kalibru, napełnionych winem rozmaitego smaku, wieku, narodu — a masz piwnicę węgierskiego magnata. Miejsce to obudziło we mnie głębsze a smutne myśli. Dotknąłem się jego złego ducha. „Znam cię, pomyślałem sobie, w dziejach mojego kraju. Ty to panowałeś na sejmikach, sejmach, trybunałach, elekcyach! Tobie to w wielkiej części winniśmy tę rozpustę wolności! Z takich to pieczar, jak z otworów piekielnych, buchalo to powietrze, gorsze od morowego, które oziewało naszego ducha i wiodło go krętymi ścieżkami pijackimi, aż dopóki nie zapadł w przepaść razem z ciałem!“... I straszny obraz przeszłości roztoczył się przed moją duszą w ciemnych barwach piekielnych; pokryła go wkońcu krwawa barwa obecności. Odechnąłem swobodniej, wyszedłszy z piwnicy. Rozjaśniłem się w domie ekonoma, przy dwóch jego córkach, bardzo miłych dziewczętach, z którymi i tę jeszcze miałem przyjemność, żeśmy mogli rozmawiać: chociaż mówiły tylko po słowacku, ale mnie rozumiały — a ja tem bardziej. Słowacki język w ustach dziewczyny jest bardzo miły; miałem sposobność przekonać się o tem, bo często towarzyszyłem dwom dziewczątkom na rydzobranie, które tu jest bardzo obfite. Były to jedne z chwil najprzyjemniejszych mojego pobytu we Friedmanie, i winienem za nie wdzięczność łagodności, słodczy owych ładnych Słowaczek. Są one wyższe nad wszelką pochwałę, jaką im dać mogę — dlatego wstrzymam się od niej.

Z powodu ich miewaliśmy rozmowę z proboszczem w przedmocie kobiet. Od niego dowiedziałem się kilka szczegółów, nowych dla mnie, o obyczajach kobiet węgierskich. Według jego opowiadania, księża mają wielki przystęp do kobiet, zwłaszcza w większych miastach węgierskich; wyraźnie mię zapewniał, że księża grają tam tę rolę, jaką gdzie indziej grają wojskowi.

Ten przedmiot nastęrczał nam znowu rozmowę o bezżeństwie księży. Mój proboszcz miał zdrowe widzenie tej rzeczy. Jego zdaniem, żenienie się lub bezżeństwo powinno być zostawione woli każdego; jedno i drugie ma

swoje korzyści i niedogodności. Co się tyczy jego osobiście, miał postanowienie pozostać w bezżeństwie, gdyby żenienie się było nawet dozwolone.

I w rzeczy samej, dla niego było to właściwe, o ile poznałem jego charakter. Przy rzadkich swoich przymiotach, przez stan swój duchowny zaprawił się już do życia więcej cichego, samotnego — stał się lęklwym wobec życia czynniejszego, burzliwszego; przenosi on dzisiaj nad wszystko spokój rozmyślenia. Była to jego wada, ale ja poczuwałem się do tem większej wdzięczności, że oto dla mnie wychodził z tej ciszy. Z tem uczuciem pożegnałem go i zawsze zostanę.

ZBÓJNICY W GÓRACH. — PIEŚNI I POWIEŚCI W TEJ OSNOWIE.

24 października 1832 r.

W tym obrazie Podhala koniecznym jest rys zbójstwa w górach; jest to jeden z najważniejszych rysów obrazu.

Zbójstwo stanowi jeden z celnych żywiołów tutejszej poezji śpiewanej, co się pokaże w przytoczonych poniżej pieśniach; gra ważną rolę na scenie góralskiej krainy i góralskiego życia, a przez to rzuca pewne światło na charakter mieszkańców. Istnienie zbójstwa w górach jest prawdą niezaprzeczoną, jest czynem dotykającym; nie można go więc lekceważyć w badaniu ludu góralskiego, a tem mniej pominąć — przeciwnie, zbliżyć się ku niemu potrzeba i pilnie mu się przypatrzeć, byle z właściwego stanowiska.

Wprawdzie zbójstwo nie jest dzisiaj tem, czem było przed laty: czas je znacznie przytłumił, a najwięcej sprężysta czujność rządu, silniejsza policja w górach; mimo to zbójstwo nie zniknęło, nie wywietrzało, że tak powiem, z ducha góralskiego. Jakkolwiek główna jego siła zapadła już w przeszłość, polyska z przeszłości urokiem przyćmionym znacznie — wszakże nieraz jeszcze znajduje swój odbłask w obecności; góral z pewną tajoną chlubą wywołuje pamięć głośnych zbójców, daje im swoją sympatyę, a niekiedy puszcza się w ich ślady. Ważna jest rzecz z tego stanowiska patrzeć na zbójstwo w górach;

inaczej pojęcie jego, sąd o niem, będą fałszywe, a to sfalszuje sąd ogólny o góralach.

Zapatrywanie się górali na zbójstwo znacznie różni się od naszego. Zbójstwo w oczach górala nie jest rzeczą tak obrzydliwą i hańbiącą, jak dla nas; zbójnik dla górala nie jest takim zbrodniarzem, jakby według prawa być powinien. Wiem to z doświadczenia, dotknąłem się tej strony góralów; przyświadcza mi czyni. Prawda, że zbójcy dzisiejsi nie są to zbójcy okrutni, krwawi, straszni, jak byli dawniejsi, jak przynajmniej wyobrażamy ich sobie wszystkich z powieści o niektórych, z niektórych wydarzeń; ale ta okoliczność najmniej wpływa na pobbazanie górali temu rzemiosłu.

Góral może się obawia swego zbójcy, ale się nim nie brzydzi; w jego obawie jest więcej poszanowania, jak wstrętu. Można by powiedzieć, że zbójstwo między góralami jest uważane jako rodzaj rycerskiej szkoły, przez którą góral nie wzdraga się przechodzić; nie tylko nie wzdraga się, ale nawet jest rwany pędem wewnętrznym, gdyby się nie znajdował w warunkach, wręcz temu przeciwnych; tak dawniej było konieczną potrzebą moralną dla Ukraińca przeżyć część swojego życia na Zaporozu. Sam napotykałem bardzo zacnych z innego względu górali, którzy, poświęciwszy temu przejściu lat kilka, wrócili znowu między swoich i są dziś najporządniejszymi gospodarzami i nie przez to nie tracą na szacunku swoich krajowców.

Przytoczę tu wypadek spólczesny, opowiadany mi na miejscu, który dokładnie wyobraża, jakiej istoty i jakiej jest mocy ten pęd ku zbójstwu. Bohater tego wypadku jest to postać zupełnie upośledzona od natury: mały, pękaty, z nogami koszlawemi, z ogromną głową, brzydką twarzą, ale silnie zbudowany i nie stary. Owoż ten człowiek zapragnął także sławy zbójnika, i nie tał się z tem przed swojemi, że postanowił pójść w góry na zbój. Sledzono go więc, głównie przez ciekawość, co to będzie. Ubrał się tedy i uzbroił się we wszystkie przybory zbójcy; w rękę wataszka, przez plecy dwie strzelby, za pasem nóż i pistolety, a w torbie żywności na dni kilka. Tak zaopatrzony, poszedł w góry swojej wsi, w ustronie

dzikie, gdzie nikt prawie nie przechodził. Łatwo wyszukał miejsce, jakiego mu było potrzeba: skały i powalone drzewa. Siada więc za niemi, jak w zasadzce, przyczajają się, szpieguje okiem i uchem na wszystkie strony, postrzega niby przechodzącego, zmierza ruśnicę, wystrzelił niby, wypada z zasadzki, macha na wszystkie strony wafaszka, wraca pędem na swoje miejsce, znowu przysiadła, podskakuje, niby strzela, niby rąbie, to goni, to ucieka, dopóki nie poczuł znużenia i głodu. To samo powtarza przez całe trzy dni; po trzech dniach wraca do wsi z twarzą zadowoloną, z postawą hardą, w przekonaniu, że ma prawo do imienia i sławy zbójnika.

I jak tu się oprzeć pokusie podobnej sławy? Zbójnik jest rodzaj ideału dla górala. Odnacza się on zwykle okazałą postawą, niepospolitą siłą, zadziwiającą zręcznością w rzucaniu toporkiem, szybkością w biegu, gibkością w tańcu i tym podobnemi zaletami fizycznymi. Jest on jeszcze ideałem jako człowiek, odważny na wszelkie niebezpieczeństwa, obojętny na śmierć, wróg jakiegokolwiek uległości. Jest to wszystko w charakterze górala, a zbójnik najpełniej to objawia. Możeż góral potępiać go za to?

Nieraz rekrutacja napędza do zbójstwa. Ale jest to przyczyna podrzędna, równie, jak niższe namiętności, zemsta i chciwość. Zastanawiam się nad przyczynami i dostrzegam ważniejszych i głębszych. Leżą one w naturze człowieka i w charakterze góralów, po części w ich położeniu.

Napomknąłem już raz, że ludy pasterskie odznaczają się głównie skłonnością ku temu życiu. Dłaczego, nie wiem, ale tak jest. Duch naszych góralów wydaje mi się być w pewnem pokrewieństwie z arabskim; nie mogą mieć farysów — przestają na zbójnikach. Położenie ich nie dozwala im zamienić się w horde Beduinów, ale z drugiej strony położenie to robi niekiedy górala zbójem. Dziwne jest w tym względzie pobłażanie mieszkańców, a nawet rodzaj opieki. Zbójnicy przychodzą n. p. do bacy i każą sobie dać tyle owiec, tyle serów, i t. d. Baca nie robi oporu, składa żadaną żywność, jakby się składała kontrybucya, a jeszcze właściwiej, jakby się płacił podatek. Widzi on wprawdzie swoją szkodę, ale ją uważa

niejako za konieczną, a może nawet w duchu usprawiedliwia to postępowanie, przypominając sobie, że przed czasem on sam żył podobnie. Bo i dziś takie bandy tworzą się często z samychże juhasów, a przyprowadza ich do tego potrzeba nocnej biesiady. Sami ubodzy, uczują kosztu zamożniejszych.

Teraz możemy przypatrzeć się bliżej i szczegółowiej życiu zbójników w powieściach i pieśniach.

Najgłośniejszym bohaterem zbójstwa w Tatrach, jest tak zwany Janoszyk; żył on w końcu przeszłego wieku. Tysiące powieści krąży o nim dotąd. Te powieści przystają go we wszystko, co tylko potrzeba, aby zbójstwo podnieść do ideału. Janoszyk jest ideałem zbójcy najukochańszym, na jaki tylko wyobraźnia góralów zdobyć się może. Skupiają się w nim wszystkie przymioty zbójcy, wszystkie zalety i cnoty człowieka. Olbrzymi wzrost, uroda, rozum, siła nadludzka, zręczność niezmierzona, odwaga bezprzykładna, dobroć, szlachetność — wszystko to łączyło się w Janoszyku. Był on jeszcze człowiekiem nadzwyczajnym przez związek ze światem nadmysłowym, przez władzę nadprzyrodzoną nad duchami i przyrodą nieograniczoną.

Obok tego wszystkiego był bardzo pobożnym, co go nieraz ocaliło, jak np. w następnem zdarzeniu. Janoszyk spotyka raz biednego studenta z Podoleńca, wchodzi z nim w rozmowę i do tego rzecz przyprowadza, że student zaciąga się do jego bandy. Ale po jakimś czasie zdradza Janoszyka, porozumiewa się ze zwierzchnością i przyrzeka zabić go. Wkrótce znajduje sposobność spełnić przyrzeczenie. Było to o wschodzie słońca, kiedy Janoszyk zwykle się modlił, i to klęczący. Zdradca zakrada się z tyłu i strzela do niego, ale chybia; Janoszyk, jakby nie słyszał, nie przerywa modlitwy, nie zmienia postawy. Idzie drugi strzał — i znowu chybia. Janoszyk wciąż się modli; jest właśnie przy końcu modlitwy, kiedy zdradca trzeci raz dał do niego ognia, i tą razą bez skutku, a sam począł uciekać. Janoszyk powstał, bo skończył zwykłą modlitwę, puścił się za uciekającym, dopędził go i zabił. Pobożność go ocaliła.

Sławę Janoszyka dzieli jego siekierka. Była ona także

nadzwyczajna. Nie potrzebował mieć jej ciągle przy sobie, bo sama leciała na jego gwizdzenie, choćby z miejsc najdalszych. Gra ona szczególną rolę w ostatnich chwilach Janoszyka. Kochanka, co go wydała zdradziecko w ręce zwierchności, wiedziała o tej własności tajemniczej jego wataszki, miała więc przezorność zamknąć ją naprzód w dziewięciu skrzyniach z dziewięcią zamkami. Janoszyk, schwytany, gwizdął na swoją broń doświadczoną: wataszka, wierniejsza od kobiety, jak tylko usłyszała gwizdzenie Janoszyka, zerwała się w pomoc jemu. Zaczęła się wyrąbywać z zamknięcia: przerabiała ośm skrzyń, ale dziewiątej nie mogła, bo taka siła jest w liczbie dziewięć.

Koniec Janoszyka pokrywa niepewność. Według jednych podań został powieszony — inne naznaczają mu śmierć naturalną. Na dolinie Kościeliskiej pokazywano mi zdala jaskinię, w której znaleziono szkielet olbrzymiej wielkości, i uważano go jako śmiertelne reszty po Janoszyku.

Miał on być rodem ze Spiża. W Drużbakach, w domie kapieli mineralnych, widziałem obraz rysowany, przedstawiający Janoszyka, uczującego się czterna towarzyszami. Jeden z nich gra na kobzie, drugi wyprawia napowietrzne skoki z siekierką, sam Janoszyk z dwoma drugimi pije. Malarz wystawił ich tam w stroju prawdziwym zbójców, ozdobionym wyszywaniem, w ogromnych kołpakach z gałzkami u góry: strój hajduków i huzarów. Pod każdym wypisane było jego nazwisko. Żałuję, że im sobie nie ponotowałem.

Jest to godne zastanowienia, że każdy z głośniejszych zbójców odznacza się szczególniejszą siłą życia wewnętrznego; ich przewidywania, a raczej poczucia dochodzą niekiedy do stopnia nad pojęcie zwyczajne. Z tego powodu przytoczę powieść prawdziwą, wypadek społeczny, chociaż należy do miejsc innych, bo scena odbywa się w górach kolomyjskich, pomiędzy tamtejszemi zbójcami, głośnieńmi pod nazwą „opryszków“, w odczyźnie tak zwanych Huculów.

Pan G... dzierżawca wsi K... ściągnął na siebie nienawiść jednego z hersztów, który z tejże wsi był rodem.

Pan G. wie o tem, że bandyta odgraża się na jego życie; ażeby uwolnić się od trwogi, bierze się na ten sposób; porozumiewa się z dwoma chłopami, obija ich różgami dla pozorów, ażeby uciekli, niby w skutku tego pobicia, i następnie dla pomszczenia się weszli do bandy wspomnianego bandyty i, upatrzawszy porę, zabili go, zwłaszcza, że rząd nałożył już cenę na jego głowę. Stało się wszystko, jak ułożono. Dwaj pobici uciekli, znaleźli wiarę u bandyty, zostali przyjęci do bandy i przez całe pół roku tak dobrze udawali, takie dawali dowody odwagi i poświęcenia się w wyprawach zbójcekich, że zyskali zupełną ufność towarzyszków i herszta. Pół roku tak przeszło, kiedy bandyta postanowił ostatecznie zrobić napad na dom pana G... i zabić swojego wroga. W tym celu podsuwa się pod wieś K. Ale, z chwilowej konieczności tak wypadło, musiał rozesłać w różne strony swoich opryszków; dwóch tylko zostało przy nim, jako jeszcze mniej doświadczonych; byli to właśnie owi dwaj, nasadzeni na jego życie. Herszt był znakomitym wróżbitą, zaczął więc wróżyć sobie, rzucając fasolką; dwaj towarzysze siedzieli opodal trochę, przypatrując się wróżbie. Na pierwsze rzucenie zmarszczył się; po drugim zawołał: „Żle!“ — po trzecim porwał się, niespokojny, przyzwał do siebie obu i zawołał: „Chłopcy! Tu stoi, że tej nocy jeden z nas zginie. Co to jest? Albo nas napadną, albo może który z was zdradza mnie?“ Dwaj struchleli, pokryli to jednak. Herszt tłumaczył im położenie fasolek i zapewniał, że jeden ze trzech koniecznie tej nocy zginie. Z tem wszystkiem pragnie zapewnić się jeszcze lepiej o prawdziwości wróżby: wraca do fasolek, rzuca je na nowo — ale, kiedy podczas tej czynności stał odwrócony tyłem, dwaj nasadzeni, lękając się, aby nie odkrył zdrady, korzystali z tej chwili, cofnęli się szybko na parę kroków, dali razem ognia i położyli go na miejscu trupem.

Pieśni, osnute na zbójnictwie, są w bardzo wielkiej liczbie; świadczą one, co powiedziałem o pewnem upodobaniu góralów w tym rodzaju życia, o silnym pociągu wewnętrznym do niego. Mała ilość wpadła mi w rękę, ale i ta ilość więcej rozjaśni ten przedmiot, niż wszystko, co bym ja mógł powiedzieć. Niektóre z tych pieśni są

mniej więcej zupełne. Wielka część ma jedynie wartość odrywków; jednak je zachowuję, bo wszystko razem jest upoetyzowaniem zbójckiego zawodu od egzaltacji dla niego aż do śmierci na szubienicy.

Zbójnicy są zazwyczaj głodosz góralscy. Urodziwi ciążem, zdołają się jeszcze strojem, który można nazwać nawet wyszukany. Pielęgnują szczególnie włosy, nie strzygą ich i noszą albo rozpuszczone, albo przeplatane wstążkami.

Darmo wy mnie, darmo do szkoły dać:
Ze mnie zbójnik budzie — darmo nakładzecie.

W poniższych ułomkach przegrywa struna miłostek.

Pije zbójnik, pije na drugiej dziedzinie —
Jego frairecka mało nie zaginie.

Pije zbójnik, pije za ten talar bity —
Nie płac, frairecko, napijes się i ty!

Aby twoje ocka za mną nie hładziły,
Jak mnie będą wisać na jawor zielony.

Z powodu zbójstwa góry do niedawnego jeszcze czasu były w stanie obłąkania, pod prawem, zwanem *Standrecht*. Sąd i kary były jak najszybsze i najsurowsze: najcięższa kradzież karana była szubienicą. Miejscowe władze cywilne wymierzały sprawiedliwość; miały prawo życia i śmierci. Wyrok wykonywał się najdłużej we 24 godziny. Może być, że ta surowość przyczyniła się do przytłumienia zbójstwa; to pewna, że podnosiła pogardę śmierci do takiego stopnia, że ledwo wiarę dać temu można. Ślad jej znajdziemy w niektórych pieśniach, jak np. w tym wierszyku:

Hej, coze temu padnie,
Hej, co owiecki kradnie?
Hej, cozeby mu padło?
Hej, strycek na garło.

Jest to fraszka strycek! Wracamy do tonu miłostek.

Hej, w polu ja, w polu, hej, nie na zbojcece.
Powiedźcie, powiedźcie mojej frairecce.
Zbójnicku, zbójnicku, mas frairkę ładną;
Daj-ze pozór na nią, bo ci ją ukradną.

Powiadali ludzie, że mnie zbójnik budzie.
Jak budzie, to budzie, samym wirchem pudzie.
Nie budę ja gazdą, nie budę rolnikiem,
Jeno budę chodził zbójnickim chodnikiem.
Hej, a jak mnie złapią, to ja budę wisiał;
Na wiersku jedlicki budę się kołysał.
Nie bój się, frairko, choć ja na zbój pudę,
Jeno proś u Boga, to ja twoim budę.
— Jaworu, jaworu syrokiego liścia,
Dajże Panie Boze zbójnikowi szczęścia.

Dwa ostatnie wiersze są w ustach kochanki modlącej się. Ale one są często niewierne; na taką narzeka wiersz następny:

Idzie zbójnik z za Liptowa —
Ciece mu krew z za rękawa,
Z za rękawa i z główecki,
Syćko pse zdradę dziéwecki.

Liptów, miasto na Węgrzech, stołeczne komitatu lip-towskiego, który przytyka do południowo zachodniej strony Tatrów.

Zobaczmy teraz zbójników weselących się.

Tańcowali zbójnicy
W murowanej piwnicy;
Kazali se pięknie grać
I na nózki poziierać.

Hej, pije se zbójnik, turackami płaci —
Wezmą go do nieba aniołowie swaci.

Aniołowie święci, zapewne dlatego, że płaci, mogąc pić darmo; stopień świętości dla zbójnika. „Turaczek“ ma być rodzaj monety, może półtorak w skróceniu.

Daj palenki, zydu, dobry chłopcy psydą:
Jak nie das palenki, to cię trapić budą.

Karcmarecko nasa, nie zagasaj ognia.
Psyda swarne chłopcy, budą tańczyć do dnia.

Pudziemy, pudziemy na pana jednego:
Budziemy się dzielić pieniškami jego.

Następne są różnej myśli i różnego tonu, ale każdy przyrzuca jakiś rys do naszego obrazu:

Jawory, jawory, gdzie macie konory?
Zbójnickowie ścięli, na fujarki wzięli.

Radykał się Janik z gronika na gronik.
Az się psyradykał zbójnikom na chodnik.

Radykać się, znaczy przemykać się. Gronik — wierzchołek. Chodnik — ścieżka w górach dzikich.

Janicku, zbójnicku, zbójcecki hetmanie,
Gdzieś podział pieniński, com ja zbijał na nie.

Widać, że zbójnicy tytułują czasem swoich dowódców hetmanami.

Janosik, Janosik, gdzieś podział pałasik?
W Kosycach na bramie, tam wisi na ścianie.

Musiał umknąć z więzienia. Na ścianie bramy, na ścianie więzienia. Często „brama“ używa się u nich w znaczeniu turmy; może dawniej używanie to było powszechniejsze. W biblii widzimy nieraz miejsce więzienia oznaczone wyrazem bramy. Znaczy ona także miejsce warowne. Koszyce — miasto na Węgrzech.

Rym Janosik i pałasik jest, jak należy w wymawianiu góralów, którzy często głoskę *a* zamieniając na *o*, wymawiają pałosik.

Hej, z plesińskiej bramy pozierały pany,
Jako się Janosik wataskami broni.

Nie mogą wiedzieć, o jakim miejscu jest tu mowa.

Powiadali, powiadali
Ze zbójnika porąbali;
Rozrąbali bucka w lecie,
A zbójnicka wiater niesie.

Udali mię, udali,
Cob ich ciorci zabrali.
Udali mię zbójnikiem
Ze ja chodził chodnikiem.

Zamecku, zamecku nowo murowany —
Hej, siedział ja w tobie rocek okowany!

Siedział ja na zamku pseż rok i pseż tydzień,
Nigdy ja nie wiedział, kiedy noc, kiedy dzień.

Piosenka następna może się uważać za całość.

Mali chłopcy, mali,
Kiej się na zbój brali;
Jesce nie porośli,
Kiedy na zbój pośli;
Jesce nie zbijali,
Kiej ich polapali —
Dyć ich polapali
W zakopieńskiej hali.

W górach Zakopanego.

Czas wreszcie zobaczyć zbójcę w całej jego dzikiej srogości; takiego zobaczymy w pieśni, którą tu kładę.

MAŻ ZBÓJCA.

Hanciu moja, pudź do domu,
Wydam ja cię, nie wiem, komu;

Wydam ja cię Janickowi,
Hej, walnemu zbójnickowi.

Janku, Janku, tęgiś zbójnik!
Wies po wirbach każdy chodnik.
We dnie idzies, w nocy wrócis,
A mnie biedną tylko smucis.

Mas kosulkę uznojoną,
A sablicku zakrwawioną.
Janku, Janku, kędyś ty był,
Coś se sablicku zakrwawił?

Wyrubałem tu jedlicku,
Co stoją w okienku:
We dnie, w nocy hurkotała,
Mnie, smutnemu, spać nie dała.

Psyniósł ci jej chusty prac,
A nie dał ich rozwijać.
Ona prała, rozwijała,
Prawu rucku nadybała:

W tej rucecce pięć palusków,
A na małym złoty pierścień,
W tym pierścionku troje wrótki:
„Dyć to mego brata rucka.“ —

Niedługo się obawiała,
Do matusi odsyłała:
„Matko moja psemilena,
„Czy mam bratów syćkich doma?“

— „Córaś moja! Nic z jednego,
„Z tych to siedmiu najmłodsego.“ —
Skoro wysedł rok, półtora,
Nagodził jej Pan Bóg syna.

„Lulaj, buba, synu mój!
„Nie bądź tak, jak ojciec twój.

„Na kaski-bym cię siekała,
„Orłom, krukcom rozsypała“.

A on za smerckiem słysy
I od złości cały dysy:
„Śpiewaj, Hanciu, jak śpiewała,
„Kiedys syna powijała“.

— „Lulaj, buba, synu mój!
„Być był tak, jak ojciec twój.
„We winie-bym cię kąpała,
„A w jedwabie powijała“.

— „Oblec, Hanciu, drogą satkę,
„A pójdziemy na psechadzkę“.
— „Dwa rocekim s tobą zyla,
„Na psechadzki nie chodziła“.

A wziął ci ją za rucycku
I zawiódł ją ku gaicku,
Ocka carne jej wydłubał,
Rącki białe jej odrubał.

Rozpłakał się syn jej młody,
Nie mógł ojcu on dać rady.
„Wstańże, Hanciu psemilena,
„Pudź, utul twój syna!“

A sam posedł w skały, w lasy —
I niema go po te casy.

Jest to, mojem zdaniem, jedna z najpiękniejszych pieśni pomiędzy pieśniami ludu. Niewoląca prostotą, rozdzierającą głębokiem czuciem, okropna cała osnową, nie przedstawia mi żadnego braku, żadnej skazy; jest wykończona w każdym szczególe równie, jak w całości, z tą sztuką, której tajemnicę tylko lud posiada w swoim czuciu otwartem, w swoim umyśle prostym, dlatego jasnym — do której zdolny jest tylko język ludu, pokorny, niestrojny, ale zwięzły, mianujący wszystko właściwem

imieniem. Jest to jedna z tych pieśni, które za wzór brać powinniśmy i dobrze się ich uczyć, kiedy chcemy wprowadzić prawdę i w duchu i w formie do naszej poezyi.

Ponieważ pieśń ta opiewa zdarzenie prawdziwe i znane w okolicy, przylączano mi opowiadanie, które ją robi jeszcze prawdziwszą, zwłaszcza na początku. Oto jest opowiadanie.

Pewien zamożny góral miał, oprócz siedmiu synów, córkę jedynaczkę, niepospolitej urody. Wielu zalotników starało się o nią. Między temi znalazł się i zbój. Góral ojciec, równie, jak nikt w okolicy, nie wiedział o tem; przeciwnie, widział w nim bardzo porządnego gazdę, dał mu pierwszeństwo nad innymi i przyjął go za zięcia. Żona nie domyśla się także prawdy. Wszakże ją niepokoi i odludne jego mieszkanie w dzikich górach i częste oddalanie się z powodów i dla celu, które jej są niewiadome. Pyta go czasem o to, równie, jak o przyczynę, dlaczego nigdy nie chce otworzyć jej skrzyni ze swojemi rzeczami ani nie daje bielizny do prania; ale nie otrzymuje odpowiedzi, co by ją zadowalniała. Jednego wieczora powraca znużony, spocony więcej, niż zwyczajnie — broń jego zakrwawiona. Przelekniona żona bada go i tą razą — i znowu na próżno. Obsiada ją podejrzenie; czeka więc, aż swoim zwyczajem oddali się na dni kilka — korzysta z tej nieobecności, otwiera jego skrzynię i znajduje pomiędzy szatami uciętą rękę; na małym palcu był jeszcze pierścionek, dla którego ta ręka była odcięta i skryta: po tym pierścionku poznaje, że to ręka jej brata najmłodszego. Odkrycie to przekonało ją prawie, że jej mąż jest zbojcą. Po pewnym czasie „nagodził jej Pan Bóg syna“, jak pieśń powiada; temu, śpiewając raz do snu, dawała nauki, ażeby się nie wdał w ojca. Przypadek zrządził, że mąż ją podsłuchał i poznał, że jest odkryty. Ale w tej chwili zamyka się w gniewie, tylko, wszedłszy do chaty, każe kończyć śpiewanie. Biedna żona daje pieśni inny obrót, pochlebny mężowi. Zbojcę to nie ulagadza; każe jej ubrać się w świąteczne suknie, wyprowadza siłą w las odludny i tam odcina jej ręce za to, że otwarły jego skrzynię, a oczy wydziera za to, że przepatrywały jego bieliznę.

Poczem odprowadził ją do domu, a sam poszedł w Tatry i odtąd niewiadomo, co się z nim stało.

Zamknijemy pieśnią, w której jest całe życie zbojcy:

Hej — chłopiec ja, chłopiec z końca Rogoźnicka;
Miałem matkę dobrą, a ojca zbojnicka.
Jescem nie zbojował, dopierom próbował:
Z bucka na jedlicę w lesie pskakował.
Jescem nie zbojował, dopiero ten rocyk —
Juz mię chcą powiesić na żelazny hacyk.
Panowie, panowie, nie dajcie mię zgubić,
Ja wam będę za to siedem rocków służyć.
Panowie, panowie, wyróbcie mi prawo,
Cobym ja nie siedział na Wiśnicu darmo.
Oj, jakzeby było żal memu kochaniu,
Kiejby mię powiedli z wirsku ku Muraniu!
„Powiadala ja ci: Daj pozór na siebie,
„Hamerscy hajdacy biorą się po ciebie.
„Obwiesą cię, Janku, za pośrednie ziobro,
„Juz ci będzie potem zbijać nie podobno.“
A kiej mnie powiesą, moja dusa wstanie;
Budzie ona hladzić frairki na stamie.
Kiej mnie obwiesicie, obwieściez mnie w mieście,
Barylkę z palenką nade mną powieście.
Tam budę se wisiał, budę se spoczywał,
Tam budę co chwila palenkę popiwał.
Obróć-ze mnie, mistsu, ockami ku drodze,
Niech się ja napatsę tej zbojeckiej chodze.
Zbojnicka frairka syćko popłakuje;
Zbojnickiem na haku wiater porusuje.
Mikułos, Mikułos, Mikułoskie mosty —
Tam się potyrają swarnych chłopów kosty.

Tyle o zbojectwie w górach, które większą swoją częścią jest bardziej w przeszłości, jak w obecności.

DOLINA ZAKOPANE. — ŹRÓDŁO BIAŁEGO DUNA-
NAJCA. — MAGÓRA. — RUDY ŻELAZNE. — STAWY
GĄSIENICOWE.

26 października 1892.

Zakopane jest to miano wsi i doliny w Tatrach, idącej w tymże kierunku, co dolina Kościeliska; przedziela je Gewont i pasmo wzgórzów, o których mówiłem wyżej. Dolina ta nie jest tak wdzięczną, jak Kościeliska; obejmuje jednak przedmioty, godne widzenia. Z niej wypływa Biały Dunajec, jak Czarny z Kościeliskiej; w jej obrębie znajdują się najobfitsze w tej okolicy rudy żelazne.

Chociaż pora roku spóźniona obsypała już śniegiem góry, korzystałem jednak z pewnej sposobności i pojechałem do Zakopanego, aby raz jeszcze zbliżyć się do głębi Tatrów.

Jasny był poranek, w którym wyszliśmy na zwiedzenie doliny. Mróz nocny kilkunastostopniowy gwałtownie wzniał z podnoszącym się słońcem; ziemia przyprószone była płytkim śniegiem. — Biały Dunajec obficie tu płynie i okazalej, niż Czarny przy swoim źródle; z kamienia o kamień się rozbija. Cała dolina, mianowicie przy brzegach Dunajca, zavalona głazami, które woda oglądza i wyrzuca, nim je zabierze w następnej powodzi i dalej poniesie. Głazy te słyną szczególnie z mchu czerwonego, amarantowego; jest on prawie niedojrzany gołem okiem, głaz pod nim wydaje się, jak powleczonej czerwoną barwą. Potarty bielizną, żółty ślad na niej zostawia; pachnie, jak fiołek, a zwłaszcza podczas pięknych, letnich poranków. Mówiono mi, że kamień, tak umszony, trzymany w izbie, wydaje z siebie ten zapach bardzo długo.

Szliśmy ku źródłu Dunajca jego brzegiem; przy drodze mieliśmy piękną polanę Kalatówkę, otoczoną wysokimi górami — dalej bijący w oczy ogrom różnokształtnych opok, który, jak wieniec, otacza wzniosłą górę i zowie się Zakopański Zamek. Z podnóża jego posady wypływa Biały Dunajec wodospadem czterosążniowej wysokości; w lecie uroczy ma przedstawiać widok ta woda, bijąca

się po umszonych kamieniach i biała od wiecznej piany. W zimie wybucha cokolwiek niżej i mniej gwałtownie.

Pierwsze i główne stanowisko w dolinie jest hamernia czyli kuźnia żelaza, przy której leżą domy mieszkalne, a między nimi dom samego właściciela tej okolicy; z tego punktu rozpoczęliśmy naszą wycieczkę, której ostatecznym kresem miała być ruda żelazna, skąd biorą materiał surowy do hamerni. Ta ruda czyli kopalnia, albo jeszcze inaczej, w tutejszym języku, bania, leży o dwie godziny drogi od hamerni, w grzbiecie góry, zwanej Magóra.

Droga do bań przestronna, dobrze utrzymana, ale tak przykro zwijana wokół góry — bo rudy leżą pod samymi szczytami — że wozom, prowadzącym rudę żelazną do hamerni, zdejmują zadnie koła — a i to jeszcze nie może przeszkodzić, aby konie nie zlatywały w całym pędzie aż na miejsce mniej spadziste.

Wewnętrzny widok bań ma w sobie coś smutnie zajmującego. Ci ludzie z dziką, wybladłą twarzą, albo snujący się po licznie rozgałęzionych podziemiach to z żelaznami w rękach kagańcami, to z taczkami skrzypiącymi, albo z ciężkimi młotami, pastwiący się, jak złośliwe istoty nad łonem ziemi matki — te mdłe gwiazdki kagańców, płonące tu wprost, tam w górze o kilkadziesiąt sążni, tam w dole w takiejże głębokości, albo biegnące z taczkami, jak błędne ognie cmentarza — zresztą ta ciemność, ta cisza, ta sfera całkiem grobowa, przenoszą myśl w jakąś dziedzinę fantazyi dzikiej, czarnej, nie ludzkiej a nie anielskiej.

Szesnaście ludzi pracuje w tej bani od niedzieli do piątku. Sobota jest dniem odpoczynku. — Jest nawet wiara między górnikami, że, ktoby odważył się pracować tego dnia w bani, duch, opiekujący się nimi, skarałby takiego jakimś wielkiem nieszczęściem, a nawet zawaleniem całej bani.

Zresztą banie te obfitują w źródła bardzo dobre. Górnicy wychodzą na noc z bani i mają szalas, gdzie odpoczywają. Stoi on pod nawisłą górą i wytrzymuje częste szturmy to lawin, to kamieni, pękających od mrozu i toczących się na dół. Mają swojego naczelnika z pomiędzy

siebie, który surowo karze wszelkie przestępstwa łopatką, umyślnie na to sporządzoną. Uderzeniem tej łopatki poświęcają także pierwszy raz zwiedzających te banie.

Nie mieliśmy dosyć czasu wejść na okazały skalisty szczyt Magóry; musieliśmy przestać na niższym jej grzbiecie. Śnieg, spadły tam przed kilką już tygodniami, grubo leżał i w lód prawie stwardniał. Otaczał nas widok niezmiernie rozległy i piękny na północ, wschód i południe.

Stąd mi pokazano i widziałem, ale w wielkiej odległości, Gąsienicowe stawy. Leżą one cokolwiek niżej, jak Pięciostawy, ale jeden z nich jest tak wielki, jak Morskie Oko i na środku ma wyspę. Z tego jeziora wypływa potok, który wpada do Dunajca pod Poroninem. Miejsce to, blizkie na pozór, leżało od nas, jak mi mówiono, o półtorej mili najmniej, pomiędzy górami, tak nagiemi, jak są góry wokoło Pięciostawów.

O Magórze, na której byliśmy, to mi jeszcze powiadano, że w lecie przylatują tu ptaszki, do kanarków bardzo podobne, i ze śpiewem podobnym; my widzieliśmy dzisiaj tylko mech, kozodrzew, śnieg i kamyki, które pękały pod mrozem na wyższych szczytach i staczały się pod nogi nasze.

Zwiedzenie bań zakopańskich naprowadziło mię na myśl, której sobie rozjaśnić nie umiem; dlatego zapisuję ją tutaj. Zdaje mi się godnem uwagi, że we Francyi zowią się podobnie (bagnes) miejsca surowej kary, po naszymu galery, i że niektóre obyczaje naszych bań są te same, co między francuskimi galernikami. I tam, jak tutaj, sobota jest dniem świątecznym. Wiadomo także, że przybywający do galer musi uznać władzę, którą galernicy mianują wśród siebie, a czemu odpowiada w tu-tejszych baniach zwyczaj uderzenia łopatką zwiedzających je po raz pierwszy. Skąd te podobieństwa? Warto by się nad tem zastanowić.

NA KLUCZKACH. — POŻEGNANIE SIĘ Z GÓRAMI.

1 listopada 1832.

Zima powraca, opanowała już Tatry, zasiadła znowu na nich, jak na odwiecznej swojej stolicy, i rozszerza dokoła

swój podbój, z którego na chwilę ustąpić musiała. Lato cofa się, a z nim wdzięk życia i życie samo tych okolic. Mnie także los mój pędzi w inne strony. Wkrótce znajdę się w innym świecie, sferze innego życia; będzie ono zapewne silniejsze na zewnątrz, gwarniejsze, więcej mię zaprzątnie, bardziej czas mi zajmie, ale czy znajdę w niem tę swobodę, tę błogość, tę pełność uczuć, tę jasność myśli, to zadowolenie wewnętrzne, co tak szybko posuwa łódkę naszej żeglugi ziemskiej, a dmąc tak łagodnie w żagle życia? Czy znajdę tam, co tu tracę, czy mi się wróci kiedy, co tu tracę? Czy wrócę jeszcze kiedy w te strony, gdzie znalazł tyle miłości w tych drzewach, głązach, dolinach, górach, wodach, ruinach, a nawet ludziach — w blasku słonecznym tych dni, w gwiazdkach tych nocy, w belkocie tych potoków, w szumie tych wiatrów i w uroczystej ciszy tych cieni, łagodzonych gwiazdami na niebie, a na ziemi świecącymi robaczkami — gdzie i ja rozlał tyle miłości, złożył w każdy przedmiot tyle uczuć serdecznych, powierzył tyle rzewnych myśli tym wiatrom w różne strony do serc różnych? Znajdę się tu jeszcze kiedy, jak przyjaciel wśród przyjaciół? Będę tu z dzisiejszą wzajemną miłością poznany, powitany, przyjęty? Uśmiechnieć mi się jeszcze przyjazne oblicze tej okolicy? Obejmieć mię choć raz jeszcze w życiu to powietrze swoją miłością macierzyńską?...

Dokoła widok niezmierny. Zachwycam się nim niedawno — ale jak inny dzisiaj! Tatry wyglądają z pod chmur zimowych dziko i groźnie. Lasy żółcieją i czernieją barwą późnej jesieni. Powietrze przeszywa podmuchami przykrego chłodu. Obok mnie szalas pusty, niemy — nie tak, jak było temu kilka tygodni. Pozieram dokoła: ogrom, nieogarniony wzrokiem, a ja wśród tego ogromu — sam! „Świat wielki, a niema się gdzie pomieścić!“ — powiada nasze przysłowie. O, jak ta prawda przypada do obecnego mojego stanu! „Ptak ma swoje gniazdo, liszka swoją jamę, a syn człowieczy nie ma, gdzieby głowę swoją mógł przykłonić!“ wyrzekł Chrystus. Nigdy mocniej nie poczułem tych słów rozdzierającej boleści, najgłębszej skargi, najstraszniejszego wyrzutu, jaki temu światu kiedykolwiek zrobiono. Tak jest! Nie ma gdzie

głowy swojej przyklonić syn człowieczy, skoro nie znajdzie piersi z prawdziwą, czystą, wyższą miłością, jaką znalazł Chrystus u jednego swojego ucznia. Ale jakże ja mam znaleźć?

Szukam jej w przeszłości — szukam w obecności — szukam w przyszłości... Podnosi się w duszy poranek mojego życia. Zawiewa mię jego powietrze. Widzę wioskę wołyńską, ustronną, skrytą w lasach — mój domek rodzinny, niedaleko, pod lasem, mogilki wiejskie. Stała tam kiedyś cerkiew. Splamiło ją jakieś świętokradztwo, gniew boży dotknął to miejsce, i cerkiew zapadła w ziemię z całym ludem, który ją napelniał, w sam dzień Wielkiejnocy, podczas nabożeństwa. Nie zginęła jednak bez śladu i nadziei. Przyłóż w tem miejscu ucho do ziemi w ten sam dzień, o tej samej porze — a usłyszysz dzwony podziemne. Tak lud twierdził i wierzył. Wierzyłem z ludem i wierzę: biegłem kryjomo na cmentarz, przykładalem ucho do mogił, czy nie usłyszę dzwonów zmartwychwstania.

Dziś to samo robię, tylko, że wyższy o lat dwadzieścia i głuchszy wewnętrznym słuchem — tylko, że tą mogiłą jest ogrom góry, na której stoję, a tym cmentarzem świat, co mię otacza.

Ta ziemia, którą widzę przed sobą, ten świat dokoła, to życie za mną i przede mną, jest owa powłoka, pod którą leży mój świat zapadły, moje życie zapadłe. Zwracam ucho na wszystkie strony, przykładam je do ciszy, do każdego wiatru wędrownego, do każdego dźwięku, zabłąkanego w tej dziczy — słucham uchem i myślą, czy nie usłyszę dzwonów mojego życia prawdziwego...

Napróżno wszystko!

Jakto? Miałebym tylko tyle stąd wynieść, tylko ten owoc zebrać i podać innym z tyła czasu takiego życia? Nic więcej, tylko myśl zwątpienia, żal bezpłodny? Ślepyż to przypadek wyrzucił mię tutaj, jak rozbita z nawałności życia? Byłebym już trupem, którego morze ni wiatr nie może ścierpieć w swoim łonie i wymiata żarłocztwem na pastwę zwątpienia, na zginienie uczuciem swojej bezużyteczności? A oweż myśli, których tyle przemignęło przez tę głowę — a owe uczucia, których tyle przegrało w tych piersiach, byłyby tylko pastwem żarłocznem

i takby dalece obrały mię ze wszystkiego, że nicby już więcej nie pozostało ze mnie, jak szkielet, na nic nieprzydatny? O, nie daj tego, Boże, i tak nie jest.

Nie przypadek mię tu rzucił, nie na darmo tu się znalazłem. Nie na darmo otwarto mi wszystkie zasoby zewnętrzne i wewnętrzne tej krainy, jej przyrody i jej człowieka. Nie oddałę się stąd, jak rozpustnik, zniewieściały gnuśnem używaniem, wycieńczony bezrządem marzeń, bezsilny do życia na polu czynności. Nie! Czuję, że nie straciłem nic z tego, com tu przyjął. Piers moja pełniejsza, widzenie jaśniejsze, ochota życia większa, wiara czystsza, miłość Boga i ludzi odważniejsza, nadzieja mocniej przytwierdzona do dna oceanu niewidomego. Czuję w sobie siłę pozostać w tym stanie, przebyć w tym stanie przyszłość, jaka leży przede mną.

Tak was żegnam, góry i ludzie, coście mię zasilali. Tak ci dziękuję, Boże, za tę chwilę łaski, którą mnie w tem miejscu dotknąłeś. Nie stracę jej, pokażę ją w mojem życiu.

Zimny wiatr powiał — dreszcz przebiegł po ciele. To przyszłość, to życie w czynności po życiu w modlitwie, to atmosfera nizin ludzkości. Cóż robić! Schodźmy na dół, trzymając statecznie, cośmy wzięli na górze!

NOWA EPOKA POEZJI POLSKIEJ.

I. WSTĘP.

Nie dotykając zagadnienia, czy Polacy przed wiekiem dziewiętnastym mieli poezję, zostawując komu innemu jego rozstrzygnięcie, zamierzam pisać o nowej, współczesnej, zjawionej w Polsce przed laty kilkunastu. Nie idzie tu już o to, czy mamy poezję, ale — jaką mamy lub mieć powinniśmy. Z tego podwójnego zapytania łatwo postrzedz ogromny, niezmierzony prawie mej pracy przestwór, a razem przedmiot, któremu dać pierwszeństwo czuję potrzebę; i w rzeczy samej, najbliższy cel, jaki mam przed sobą, jest wystawienie czytelnikom objaśnionej dotąd u nas poezji.

Nim przystąpię do rzeczy, niech mi wolne będą kilka słów wstępnych, które jej nie zagmatwają, owszem, rzucą potrzebne światło na całość.

Przedewszystkiem powody. Dzieło Maurycego Mochnackiego o literaturze polskiej jest jedyną zawadą, którą piszący dziś w tym przedmiocie napotka i usunąć powinien. Nie taję, że dzieło Mochnackiego ogarnęło wiele z tych przedmiotów, o których mam mówić, ale śmiem twierdzić, że nie wszystkie, a wszystkie może inaczej. Mochnacki ogłosił swoje pismo przed czterema laty; zawarty w niem obraz polskiej literatury oddalił się od nas, przeniósł o lat cztery. Lat cztery — na pierwszy rzut oka nie wielki przedział: nie wielki w innych czasach, w innym narodzie; z nami rzecz się ma wcale inaczej.

Przypatrzmy się literaturze, jaką nam Mochnacki odmalował, postawmy ją obok dzisiejszej i porównajmy! Zdumieć się potrzeba nad jej postępem, a bardziej jeszcze przemianą. Ale ja nie ograniczyłem się tym okresem, jam

przedsięwziął roztrząsnąć całą epokę nowej poezji polskiej i stosownie do tego wychodzę z punktu, z którego i Mochnacki wyszedł. Spowodowały mię następne, między innemi, uwagi.

Mochnacki, według swojego zamierzenia, pokazał nam jedynie dobrą stronę polskiej literatury: utworzył arystokrację, że tak powiem, polskich poetów, nie troszcząc się o resztę. Systematu jego nie można ganić, ale go można nie przyjąć, i z pobudek równie ważnych, jak były u pisarza „O literaturze polskiej“. Codzień słyszymy, codzień się przekonywamy, że, oprócz wymienionych przez Mochnackiego, naród nasz ma więcej poetów, których czyta, uwielbia i kocha. W tym względzie uległem powszechnej opinii; nie potrafię tem wzgardzić, co ona szacuje, ani obojętnie pominąć, co ją zając zdolało, a nade wszystko potakiwać milczeniem jej błędom. Wszakże niechaj nikt nie mniema, jakobym miał jedynie na celu dopełniać dzieło Mochnackiego. Spodziewam się, że, daleki od chęci oryginalności tam, gdzieby jej, prócz chęci, nic nie usprawiedliwiło, nie zostanę nigdzie jego powtarzaczem; najpewniej, że nasze pisma, oprócz przedmiotu, w niczem się nie zetkną ze sobą. Mojem tylko będzie moje przekonanie, bom się po nie do własnej duszy zapuszczał; moim będzie sąd o pisarzach polskich, bom go oparł na zasadach, z tego przekonania wywiedzionych.

Inny jeszcze wzgląd, niemniej ważny, podał mi myśl tej pracy i kierował mną w jej ciągu, a tym jest wzgląd na korzyść, jaką odnosi ruch i życie moralne ludu przez ścieranie się zdań, wydobytych własną pracą, z własnej rozważki, wzgląd na obeznanie się z przedmiotem tem dokładniejsze, im go z większej liczby punktów oglądamy. Nie stanęliśmy jeszcze na tej wysokości, abyśmy mogli powiedzieć: wyżej ani kroku! Nie natrafiliśmy jeszcze w naszej poetyckiej literaturze na takie zdanie, które za jeden z artykułów estetycznego kodeksu moglibyśmy przyjąć. Otwarta więc i swobodna droga każdemu, kto się na ten zawód ośmieli. Rozwaga, czy tę śmiałość uwieńczy powodzenie, lub zawstydzi upadek, nie powinna ani na chwilę zakłócić myśli pisarza, którego jedynym celem korzyść powszechna; rozstrzygnięcie takiej

niepewności zdać on powinien na sąd narodu i przyszłości.

Mając na baczeniu jasność układu i łatwość pojęcia, oraz uniknienie gmatwaniny myśli ogólnych z ich przystosowaniem, podzieliłem pismo moje na dwie części: w pierwszej z nich rzucę kilka zdań, mających być podstawą sądu mojego o poezji i poetach w Polsce — drugą poświęcę biografii, że tak powiem, moralnej naszych młodych poetów, przytem ocenieniu zasług, które pracami swemi położyli. A że celem mojego pisma jest obejrzenie poezji, jakąśmy przed laty kilkunastu po raz pierwszy w Polsce ujrzeli, obejrzenie jej tak ze złej, jak i z dobrej strony — idzie za tem, że wspomnę mniej więcej o każdym pisarzu, skoro się odstrychnął od starofrancuskiej szkoły, skoro przeszedł pod chorągiew poezji, głosnej u nas pod nazwaniem pospolitem: *romantyczna*. O wszystkich więc w ogólności i w szczególności o każdym, kto tylko pisze z końcówkami, kto te końcówki zwilża łzami, przewiewa westchnieniami, kto padalce cierpień sercami wykarmia, kręci się duszą po wiecznych wirach życia, laje kochanki lub je pieści, prze staje z aniołami lub dyablami, czy on Polak, czy spolszczony Bajron, Gete, Szyller i tym podobni, czy oryginalny, czy mieszanina oryginalnych, czy Krzyżak, czy rycerz, czy pasterz, czy postrzyżony na miarę sonetów, czy w Lamartynowskie dumania rozwałkowany, czy śpiewający ballady, czy rozrzewnia, czy roześmiesza, czy nawet nudzi — każdy znajdzie tu miejsce.

Jak nie mogłem rozgrzeszyć się od powiedzenia czytelnikom, dlaczego i o czem będę pisał, tak równie cięży mi na sercu powiedzieć, jak pisać myślę, choćbym ten wstęp o kilka wierszy miał przedłużyć. Względny czasu, przeznaczenie pracy, zdolności na koniec, nie pozwalają mi przyrzec więcej, nad ulotny i niedokładny rzut oka. Zawiodłby się każdy, ktoby tu coś więcej chciał znaleźć, ktoby dziś, i w artykule, do czasowego pisma przeznaczonym, spodziewał się ujrzeć dzieło, odpowiadające wszelkim literacko-poetycznym naszych dni potrzebom; tę niedokładność radbym choć tem wynagrodzić, że tyle tylko przyrzekam, ile dotrzymać czuję się na siłach,

i w sprawiedliwym ocenieniu siebie dają rękojmnię bezstronności względem innych.

II. POEZYZA W OGÓLNOŚCI I POEZYZA NARODOWA.

Między licznymi podziałami moralnej całości, zwanej literaturą, między władzami, przez które objawia się i rozwija życie moralnej narodu strony, poezya niepoślednie zabiera miejsce. I nie dziś dopiero postrzegliśmy to zjawisko. Własne jej pomniki świadczą o przedwiecznym jej życiu w życiu narodów; cały byt człowieka dowodzi jej obecności w życiu ludzi pojedynczych. Czemże jest poezya? To pytanie rozstrzygną nam dzieje ludzkiego plemienia i ludzkiego życia. Najpierwsza piastunka i nauczycielka narodów, mądrość z natchnienia, filozofia filozofii, towarzysząca prostemu, jak przyroda, pieśniami bytowi człowieka od rozwinienia mu życia w kolebce, aż do ukolysania śmiercią w grobie — przecucie zaziemskiego bytu — piętno duchowe na doczesnych przedmiotach dla upiększenia i razem dla okazania znikomej ich wartości — miłość najczystsza, język wiary, duch niewidomy, prorokujący o bóstwie — najwznioślejsza, najrzeczywistsza prawda, odziana tajemniczością i urokiem niebieskiego początku, dotykalna prawie, a przytem niepojęta: — oto jest drobna cząstka z szeregu tych postaci, pod którymi poezya objawia się światu, w których przeznaczono myśli ludzkiej wiecznie ją zgadywać i nigdy nie pojąć.

Jedynie — zważywszy ją w tej wszechobecności, której ślady jasnieją na całej przyrodzie, w tym uroku, który rozlewa na wszystkie stworzenia przedmioty, czy to podniesiemy się do wysokości ducha, zanurzonego w bóstwie, czy zniżyjemy się ku najdrobniejszemu oguiwu, łączącemu ciało ludzkie z ziemią, w tym nakoniec wzajemnym pościąganiu i pojmowaniu się człowieka z otaczającym go stworzeniem — możnaby powiedzieć, że poezya jest to strefa niewidzialna pomiędzy materią a duchem, w której spływa się i łączy ze sobą wszystko, co tylko w duszy ludzkiej może być zmysłowego, a w zmysłowych przed-

miotach ulotnego i czystego, jak dusza — że poezya jest żywioł istoty anielskiej, rozlany we wszystkim, cokolwiek wyszło z rąk Twórcy na znak przymierza między nim a stworzeniem.

Ale, jeżeli wszyscy czują poezję, nie każdy jest usposobiony postrzedz jej żywioł tak wyraźnie, ująć tak silnie, aby go innym mógł objawić; twórcza więc mądrość obmyśliła przewodników moralnemu płynowi równie poezyi, jak plynom ognia, elektryczności i magnetyzmu: stworzyła poetów. W poetę przeto spływają się niejako myśli wszelkich istot, tak organicznych, jak nieorganicznych, jednym słowem, myśli całego stworzenia — albo, inaczej, dusza poety porozumiewa się bezpośrednio z ich duszami, których reszta ludzi domyśla się tylko przez pewną, niepojętą sympatyę, póki ich pośrednictwo poety wyraźniej uczuć nie da.

Siłę, zapomocą której poeta wydobywa z łona przyrody poezję i zmysłowie ją objawia, zwiemy natchnieniem. Zbadać i określić istotę natchnienia byłoby równie nad możność ludzką, jak zbadać i określić istotę poezyi; nie marnując więc myśli, obróćmy je raczej na rozróżnienie, jaka konieczność przyprowadza poetę, aby kupiący się w swej duszy żywioł poezyi wylewał na zewnątrz. Rozmaite w tym względzie potworzono, mniej więcej logiczne, systemata; zamknąwszy oczy na wszystkie, wszakże bez roszczeń do chwały utworzenia oddzielnego, powiem tylko, co mi moja nastreżyła rozważa.

Byt człowieka składa się z dwóch połów, różnych od siebie co do istoty, to jest: fizycznej i moralnej; jest więc i chęć zachowania podwójnego bytu, są i środków dwa rodzaje. Z porządku mówić będę o stronie człowieka fizycznej, czyli materyalnej. Sen, pokarm i tym podobne potrzeby ludzkie są jej piastunami doczesnymi, do chwili skonań; ta chwila przenosi człowieka w świat moralny. Na takiej chwili, na takim punkcie zniszczenia jednego bytu a poczęcia się drugiego człowiek grób stawia.

Grób możnaby uważać za szczyt ziemskiej poezyi, za najdobitniejsze jej objawienie się w postaci materyalnej. Nie znam pieśni rzewniejszej, wzniolejszej i uroczystszej nad pogrzebowy obrzęd, choć tak prosty i po-

wszedni. Te grudki ziemi, lecące na trunę z rąk stojących nad nią, to pożegnanie z łez rodziny, miłości, lub przyjaźni, ta nakoniec mogiła, usypiana wśród oznak boleści, są to dotykalne dźwięki, zlewające się w pieśń niezgłębionych myśli, nadziemskich uczuć, nierozjaśnionego nigdy znaczenia, w pieśń, nazwaną grobem. Grób ma służyć odtąd za pomnik zniszczonego jednego bytu, na przekór czasowi, który go zniszczył — za upominek pozostałych na ziemi, dany przenoszącemu się od nich w krainę nieziemską — za umówione niby miejsce spólnego kiedyś połączenia się. Tak ja mniemam, tak mniema owa wiara milionów gminu, utrzymując, że się na grobach zmarli pokazują.

Przejdźmy teraz do świata, istniejącego wewnątrz człowieka, wewnątrz poety. Mieszkańcami jego duszy są myśli i uczucia. Przedewszystkiem musimy przyznać, że, co używamy, to tracimy. Przekonamy się o tem z lekkiego zastanowienia się nad użyciem darów materialnych, życia na przykład, które przez używanie w śmierć się zamienia. Ta prawda da się zastosować do darów moralnych, z tą tylko różnicą, jaka zachodzi między materią a duchem. Używamy uczuć, zwracając je ku zewnętrznym względem duszy przedmiotom, i raz tak wysłanych, już nie jesteśmy w stanie odzyskać. Czujemy to, bolejemy nad doczesnością swoją, pragniemy ją w nieśmiertelność przedłużyć, uwiecznić widomie, jak ludzie drogich sobie ludzi, chwytamy ulatujące duchowego życia płomyki i obwijamy je w kamienie, barwy, dźwięki i wyrazy.

Tym sposobem powstają snycerze, malarze, muzycy i poeci, a ich utwory, rzeźby, malowidła, muzyka, rymy nie są niczem innym, tylko pomnikami, grobowcami ich myśli i ich uczuć. A przeto w pieśniach poetów widzimy nie chęć naśladowania dźwięków lub obrazów zmysłowej przyrody, nie potrzebę chwilowego wynurzenia, chwilowych wrażeń i uczuć, ale konieczność daleko nieprzeartszą, dążność daleko szlachetniejszą, a obie, wypływające z istoty człowieka, uważanego, jako dziecię boskie i cząstka nieśmiertelności — obie zgodniejsze z jego całym życiem, z jego chęciami, nadzieją i wiarą — w krótszych słowach: konieczność i dążność przetworzenia w nieśmier-

telność wszystkiego, co go napelnia i otacza inaczej — popęd zachowania bytu w najszlachetniejszej części człowieka, na drodze najszlachetniejszej, w myślach na drodze myśli — tworzy objawianie poezji czyli poetów.

Ale skąd powstaje ów interes, z jakim ludzkość przyjmuje podobnych dusz utwory? Niektórzy utrzymują, że to jest prosta rozrywka powszedniej ciekawości — drudzy, że zbytowa potrzeba — inni inne, podobne naczynia przyczyny. Moje zdanie, oparte na powyższych nad poezją uwagach, przechyla się do tych którzy twierdzą, że to jest potrzeba życia, szlachetniejsza o tyle od innych potrzeb zmysłowych, o ile dusza szlachetniejsza jest od ciała. Najlżejszy to będzie ciężar, który na szalę tego mniemania nawiasem rzucę. Zastanówmy się tylko nad wiekową arcydzieł sztuki trwałością i odpowiedzmy sami sobie na zapytania: czy bawidełka zmysłów potrafiłyby utrzymać się tak długo, na tronie takiej cześci człowieczej? Czy potrafiłyby wyjść nienaruszone z tego umysłowego tyłu wieków zamętu? Czy nie zginęłyby całkiem w tym trącym kołowrocie oświaty, gdzie zgasło tyle religii, gdzie samo wyobrażenie bóstwa uległo tyłu przemianom? Ale, nie bawiąc się podsuwaniem widocznej odpowiedzi, spróbujmy raczej wejść w głąb rzeczy i stamtąd prawdę wydobyc.

Wyobraźmy sobie życie duszy jak życie ciała — co nie jest żadnem przypuszczeniem, bardziej pewnością, opartą na całej przeszłości ludzkiego plemienia. Jedno i drugie potrzebuje do swojego utrzymania i postępu pożywienia czyli karmu, a każde odpowiedniego swojej przyrodzie: cielesnego życia ciała, duchowego życie ducha. Źródłem pierwszego jest ziemia, źródłem drugiego owa kraina, której myślami tylko dosięgamy, którą wiara niebem nazywa. Ziemia zasila cielesność płodami swoimi bezpośrednio, jak na przykład zwierzętami, i pośrednio, jak na przykład kruszcami; szczyt świata duchowego czyli niebo zlewa ten posiłek dla duszy w myślach, uczuciach i tam dalej, równie bezpośrednio i pośrednio. Uczucia i myśli bezpośrednio są te, które się rodzą w każdym człowieku: wszystkim zarówno są dostępne i pojętne — pośrednie zaś spływają na ludzkość przez pewne tylko wybrane z jej łona

indywidua, przez ludzi, którym przyznajemy wyższą, niż jest zwyczajna, moralną potęgę, a nie nabytą, powszechnie natchnieniem zwaną, jednym słowem: przez geniusze.

Zastosujmy teraz to wszystko do poezyi, a będziemy mieli wynikłość, że poezya objawiona, czyli udzielona światu w dziełach geniuszów, jest to kopalnia kruszców. Jednej i drugiej przeznaczono zgromadzać do swojego łona stosowne materyały, przysposabiać je do użycia i nakoniec opatrzyć nimi potrzeby swoich światów. Uslachetniając wyrażeniem, com dopiero powiedział, do zwyczajnego pojęcia, twierdząc, że utwory poetów nie są indywidualnem uświęceniem indywidualnych uczuć, ale wcieleniami boskich prawd, których mąż natchniony jest składem i częstokroć ślepem narzędziem — że najgodniejszymi ludzkiego umysłu pomnikami, olbrzymiami runami najwyższej mądrości, posuwającej ludzkość nieznacznie, zwolna, ale wciąż do celów jej bytu, do najwyższego udoskonalenia — dotykalnemi ogniwami łańcucha oświaty, przedłużającego się z postępem czasu — skazówką drogi, ubieżonej po przeszłości i jej kierunku w przyszłość; że poezya zatem konieczna jest w życiu ludzkości, a interes dla niej, nie chwilowe spółczucie indywidualnych wrażeń, ale widzenie w zachwyceniu owego światła, które ku bóstwu prowadzi — że, nakoniec krzywe jej pojęcie wypływa z tych samych przyczyn, które w religiach tworzą bałwochwalstwo. Kiedy się bowiem ukaże odziana tak uroczą postacią, mniej gruntowne umysły, olsnawszy od zewnętrznej piękności, nie mają dosyć czasu czy chęci wnikać wewnątrz i z duszą się zapoznać, tylko z materyjalnej powłoki robią bożyszcze i stosowną wielbią je cześć, a tak, co z przeznaczenia swojego ma być rozkoszą, utrzymującą życie duszy, nie zostaje niczem więcej, jak przedmiotem zmysłowych zabiegów.

Istota poezyi, przyczyny i drogi jej objawiania się, wielkie jej powołanie, wielkie powołanie poetów oto najważniejsze zagadnienia, które przedmiot mej pracy nastroczył, i te starałem się dostatecznie rozstrzygnąć. Pozostaje mi jeszcze niemniej ważne, niemniej ściśle z celem tego pisma spojone: mówię tu o podziale poezyi na

właściwą pewnym okolicom ziemi, pewnym plemionom, czyli narodową. Zagadnienie to wyjaśni się rozwiązaniem następnych pytań: Czy podział poezyi na narodowe jest dorzeczny? Czy naród może i powinien mieć oddzielny, właściwy sobie rodzaj poezyi? Czy na tem zyskuje ogólna oświata?

Nic pewniejszego nad to, że istota poezyi, będącej żywiołem duchowym, musi być jedna, taż sama na całym świecie, po wszystkie czasy, że ma własność duszy ludzkiej. Czemże usprawiedliwić owo nazwanie *poezyi narodowa*, z którego wynika konieczne wyobrażenie jej podzielności na pewne części, różniące się między sobą? Usuniemy tę pozorną niedorzeczność, biorąc poezję pod dwoma względami: jako przyczynę i skutek, a mówiąc wyraźniej: jako objawiającą i objawioną. — Poezja, uważana w pierwszym przypadku, to jest, jako żywioł duchowy i siła tworząca poetów, jest to samo, co dusza, nie wcielona jeszcze w rodzaj ludzki — jest całością, w której równie, jak w duszy, nie potrafimy wyobrazić żadnych podziałów, żadnych odmiennych względem siebie części; uważana zaś, jako wpływ poetów, czyli objawienie pod zmysłowemi postaciami, jest znowu w położeniu duszy, ciałami ludzkimi odzianej. Naówczas, równie jak dusza, robi w pewnej części poświęcenie z niebieskich swoich przymiotów, przemienia się niejako na własność materyi, poddaje się jej ustawom i płynie potokiem ludzkości, którego falami jest nieskończona kształtów przemienność. Dotąd jest pierwsze wcielenie poezyi, pierwsze jej poddanie się ustawie widomego świata, chcącej wszystko przeprowadzać przez nieobliczone odmiany.

Mnożą się kształty, odziewające duszę, rozdrabiają niejako jej istotę, przez miliony różnic zdają się coraz bardziej rozrywać, oddalać od siebie jej cząstki — ale dusza przemaga; pamiętna pierwotnej swojej całości, obudza w ciałach wzajemny ku sobie pociąg, który właściwie jest usiłowaniem duchowych cząstek zlania się w jedno — przybiera w pomoc zewnętrzne, fizyczne okoliczności, zbliża za ich pośrednictwem ciała ludzkie, skupia je w coraz większe masy i nareszcie układa się w narody. Krok w krok postępuje za nią poezja, towarzysza, powiernica,

sługa duszy; nagina się do każdego jej ruchu, dla porozumienia jej z ciałem przydaje urodzie swojej ozdoby, najlepiej przypadające do smaku masie, na którą ma działać — wchodzi z nią w bliższy coraz stosunek, ścisła się niejako wewnątrz jej, umyka się od zewnętrznych jej kresów i coraz dobitniej powstaje w wielką oddzielną część poezyjnej całości — w poezję narodową. Śmiało więc można twierdzić, że, gdzie narodu, tam jest początek i poezji narodowej, i że nazwisko poezji narodowej tak się da pogodzić z wyobrażeniem jej całości, jak całość duszy nic nie traci na nazwisku: człowiek lub naród — bo się odnosi jedynie do zewnętrznego kształtu.

Dla ludzi, nie wierzących w maksymę, że, co jest, to musiało być koniecznie, nie będzie dostateczny wniosek, że, skoro jest poezja narodowa, więc musi być i jej potrzeba; ten przeto wzgląd, połączony z innemi, powoduje mnie roztrząsać oddzielnie jedno z pytań, wyżej położonych, a mianowicie: czy naród może i powinien mieć oddzielny, właściwy sobie rodzaj poezyi.

Z dwóch stron zapatrujemy się zwykle na poezję objawioną. Na jednej jest mechanizm wiersza, do którego składu wchodzi język, kształt wiersza, układ zewnętrzny wyrazów, zwany stylem zewnętrznym, powierzchowna ozdobność, harmonia i tym podobnie. Moc natchnienia, barwa myśli, przedmiot, cel poezyi i warunki moralne stanowiące styl, wewnętrzny zwany, są na drugiej, na duchowej stronie. Ażeby poezja była narodowa, powinna na każdej niemal części obu stron wymienionych nosić piętno narodu; przy niektórych tylko okażemy konieczność tego piętna, a dowody, za jedną częścią użyte, dadzą się mniej więcej i do innych zastosować.

Warunkiem poezyi, najpierwej w oczy wpadającym, jest język. Ścisły związek, niżby się na pierwszy rzut oka zdawało, zachodzi między przedmiotem ojczystym i językiem ojczystym. Są rzeczy w jednym kraju, których mowa kraju drugiego, pomimo największej usilności, wysłowić nie potrafi. W tem jest cud odwiecznego spółzycia, cud, żadną w świecie sztuką nie naśladowany. Bo i czemuż jest język narodu? Czemu są dla narodu nazwania rodzinnych przedmiotów?

Zrazu towarzyski pociąg człowieka ku wszystkiemu, co go otacza, następnie ściślejsze poznanie się, dalej pewne pokrewieństwo, po niem konieczność spółzycia, na koniec miłość. Musiał człowiek zbliżyć się do przedmiotu, a zbliżyć się przez pociąg ku niemu, musiał go poznać, kiedy mu dał nazwisko; musiał żyć z nim wieki, musiał go pokochać, kiedy nazwisko jego włożył w skarbnicę swej mowy i przez wieki je zachował. Zaprawdę, język jest najwymowniejszą, najjaśniejszą historią stosunków, które wiązały człowieka z przyrodą, w obrębie jego bytu zawartą. Możeż go przybysz z pośrodku obcych ludzi, z łona obcej przyrody zastąpić? Możeż tam być dostateczny cudzoziemski wyraz, gdzie w krótkim dźwięku rodzinnego zamyka się uczucie najwznioślejszej piękności, znajomej milionom, krążące przez lat tysiące po milionach pojęć, gdzie w jednym nazwaniu prostem wylewa się najognistszą pieśczętą, a w jednym wymienieniu przypomina się sercu wiekowa historia rzeczy wymienionej, wiekowe z nią pokrewieństwo? To jedno dostatecznie już rozplątuje zagadkę owej wielkiej trudności tłumaczenia dzieł obcych — tem większej, im bardziej te dzieła są narodowe.

Wyraz, inaczej uważany, jest martwym szeregiem zmysłowych postaci; aby żył, aby odkrył duszę swoją narodowi, długo ten naród, długo żyć z nim powinien. Jest to, że tak powiem, zwierz dziki, który wielkiem tylko około siebie staraniem da się przyswoić. Z natury rzeczy wypada, że, co powiedziano o wyrazach pojedynczo, to się ma rozumieć o ich ogóle, który zowiemy językiem. — Wyżej namieniłem, że wyrazy mogą być martwe; są one takimi, kiedy wymieniają rzeczy, nie znajome ludowi, kiedy uczucie nie spotyka w ich dźwięku uczuć tajemniczego pokrewieństwa z ich twórcami, kiedy mi nie malują przyrody, w której znam odwieczną piastunkę mojego plemienia, kiedy mi nie malują życia narodu, którego harmonijną częścią jest życie moje — jednym słowem, kiedy nie są ojczyste i o rzeczach ojczystych.

Wszystkie niemal warunki poezyi, tak moralne, jak filozoficzne, aż do natchnienia, możnaby podciągnąć pod roztrząśnienie powyższe; o wszystkich niemal możnaby po-

wiedzieć z przekonaniem, że zdolne są i powinny przyjąć piętno narodowości, że dopiero tym sposobem ukształtowane wchodzą w harmonijną całość narodu i objawiają poezję, odpowiadającą prawdziwemu swojemu powołaniu. A cała tajemnica spoczywa w pokrewieństwie człowieka z przyrodą, że tak ją nazwę, podserdeczną, w pokrewieństwie, które wieki spółzycia zawiązały i ścieśniają coraz mocniej. Dlatego pozwalam sobie odsunąć już na stronę wypływające z istoty poezji powody za poezją, właściwą każdemu oddzielnie narodowi, a kilku jeszcze ubocznymi wesprzeć jej sprawę.

Tutaj domagają się pierwszeństwa uwagi nad uczuciem i pojęciem piękności. Można by powiedzieć, że sprawa jej ze sprawą poezji jest niemal zlaną w jedno: poezja jest pięknością, piękność jest poezją. Nie są jednak tem samem; tak się między sobą różnią, jak się różni słońce od swoich promieni. W istocie, nie bardzo odskoczymy od prawdziwego określenia, jeśli powiemy, że poezja jest słońcem, którego promienie tworzy piękność, rozdrobiona nieskończoną różnością przedmiotów, składających stworzenie. Z tego wszystkiego zdawałoby się, że owa harmonia kształtów, z istoty swojej tak tajemnicza, tak czarodziejско władająca umysłami, tak nieziemska, nie powinna ulegać dowolności sądu ludzkiego — że mają słuszość ci, którzy wołają, broniąc poezji, zwanej uniwersalną, i jakichś ideałów, mających zachwycać wszystkich, wszędzie i zawsze. Piękność jest jedna; prawdziwa piękność wszystkim się podoba.

Takby się zdawało; tymczasem nic ogólniejszego nad tę deklamacyę, nic fałszywszego nad owo twierdzenie. Prawda, że istota piękności nie jest wieloraką, że, co piękne, to każdemu podobać się musi — ale i to prawda, że przedmiot, piękny wczoraj i tam, nie zawsze jest piękny dziś i tu. Nic przeto nierozważniejszego, jak to urojenie piękności bezwarunkowej; nic daremniejszego, jak usiłowanie podniesienia jej nad świat cały, nad całe życie rodzaju ludzkiego.

Z którejkolwiek strony obejdziemy ten przedmiot, z każdej otrzymamy tę samą wynikłość. Cnota jest pięknością w świecie moralnym; czyż ją dla tego wszyscy kochają?

Czyż wszyscy uważają za piękność te zjawiska, które pod nazwaniem cnoty znamy? Pomińmy ludzi pojedynczych, skażonych, wyrodków, jak są zbrodniarze — ale coś powiemy o całych masach, o całych ludach, o całym prawodawstwie, które pozwala dobijać zgrzybiałych rodziców, pastwić się ze zwierzęcą wściekłością wśród ludożerczej uczty nad jeńcami boju? Jest-że co sprzeczniejszego naszym o cnocie wyobrażeniom, jak owe zwyczaje? Jest-że co szpetniejszego nad nie w naszym pojęciu? U nich jednak muszą one za piękność uchodzić, kiedy je uświęcono kodeksem tradycyi.

Zjawiska sztuki jeszcze trafniej mówią do przekonania. Z przykładów, nasuwających się tłumem, weźmy dwa tylko: skutek czasu i skutek miejsca. Co do pierwszego — postawmy dawną klasyczną poezję obok poezji chrześcijańskiej. Piękność starożytnych Greków jest-że dziś dla nas ta sama, jaka była za kwitających czasów mitologii? Możeż być coś przeciwniejszego, jak owe ideały, wysilone w powab powierzchownych kształtów, jedynie z obłąkania, że tak powiem, zmysłów wyklute — a pomniki nowoczesne, utworzone pod wpływem religii chrześcijańskiej, ubarwione odcieniami najgłębszych uczuć, odziane całą tajemniczością objawionej wiary?

Co się drugiego tyczy, to jest, skutku miejsca, czyli wpływu okolicy na wyobrażenie piękności, ten poznamy, porównawszy poezję ludów wschodnich z europejsko-zachodnią. Jak dla mieszkańca stref gorących lodem będą nasze uniesienia, okielznane przepisami zdrowego rozsądku, dobrego smaku i tym podobnemi, tak równie wychowaniec umiarkowanych niebios, w owych przenosiach, przesadniach, w owem nastrzępieniu, przeładowaniu poezji wschodniej będzie widział same tylko zdrożności, same niedorzeczności — i, gdzie się Europejczyk zachwyca, tam Arab uśnie — a zapali się najświętszem uczuciem, gdzie nam, zimnym, będzie się zdawało widzieć wybuch maligny. Te są przywidzenia duszy ludzkiej, wówczas nawet, kiedy najmniej od zewnętrznych pobudek zawisła. Zmysły z samej swojej przyrody skłonniejsze są do nich. Piękność kobiety najdobitniej odmaluje nam je z tej strony. Dosyć jest zażądać ideału pięknej kobiety od Chińczyka, Mu-

rzyna lub Kamezadala i postawić go obok europejskiej piękności.

Jednem słowem, niema uniwersalnego ideału piękności — a ona jednak jest silną sprężyną poruszenia umysłów, potężnem do ukształcenia ich narzędziem. Jeśli zaś przytem wszystkiem musi zmieniać oblicze swoje dla dogodzenia przywidzeniom ludzkim, dla pochlebiania ich nałogom, wpływającym z przyczyn czyto moralnych, czy fizycznych — cóż w świecie może sobie pochlebiać, że nieruchomością swoją podbije ową nieskończoną przemienność upodobań?

Wzgląd na usposobienie i stopień pojęcia narodu, który przez poezję kształcić chcemy, jest także jednym z wymownych rzeczników za koniecznością poezji narodowej. Wystawmy sobie człowieka, dręczącego się jakimś przypomnieniem. Każdy z nas zapewne bywa w tym przypadku i łatwo taki stan pojmie. Zgubiona myśl miga nam z daleka to wątpliwsem, to wyraźniejszem światłem, zatrzymuje się, gdy ustajemy, pierzcha, gdy się zbliżamy, niby ów błędny płomyczek grobów; idziemy za nią, błakamy się, nie możemy jednak schwycić, a czasem zupełnie z oczu tracimy — niespodziewanie znajdujemy się w położeniu, stajemy w miejscu, gdzieśmy ją zgubili — i oto ją mamy. Owym człowiekiem jest naród w drodze oświaty — a poezya powinna być dla niego tym tajemniczym popędem do miejsca zgubionej myśli.

Oprzyjmy się na powyższem wyłożonem zdaniu, że poezya jest jakoby treść, wyciągniętą z przyrody. Któża właściwiej zostanie tym przewodnikiem dla pewnej masy, jeżeli nie treść przedmiotów, związanych z nią odwiecznymi stosunkami, rozumiejących się przez odwieczną sympatyę, jakkolwiek tajemniczą i nieokreśloną? Któża inna trafi lepiej w pojęcie rodzinnego narodu? I naród czyż nie tę najlepiej zrozumie, która została uosobionem życiem jego najdawniejszych nałogów, najpowszedniejszych zatrudnień, znajomością najdrobniejszych znajomości, pomiędzy którą a nim biegną wspólne drogi, wiekami ścisłego spółzycia utarte, im tylko samym wiadome?

Skąd na przykład pochodzi, że lud, który tak czuje, pojmuje i kocha swoje pieśni i powiastki, gminami

zwane, patrzy z taką obojętnością na owe zastępy rymów, rozbiegające się codziennie z drukarni? A przecie jest w nich talent, jest harmonia, lechcąca uszy, jest poezya, iskrząca swemi kwiatami, jest wszystko, co się podobać powinno, a czego pierwszym w największej części brakuje. Skądże to pochodzi? Oto ztąd, że literatura gminna wypływa z duszy poetów, którzy się wychowali na łonie ludu i przyrody znajomej, pokrewnej ludowi — przesiąkli niemi przez spółzycie, wyciągnęli z nich treść swoich uczuć i oddali je z taką prostotą, wiernością i prawdą, że lud poznał swoje i dla siebie zrobione malowidło — a przeciwnie, nasza dotychczasowa, drukowana poezya wypływa z natchnień pożyczonych, krąży wciąż około pewnej stałej liczby uczuć, wypolerowanych wprawdzie krociami tyrad, przechodzącami niekiedy z wieku w wiek, ale, jak martwe mumie, ale tak się mającemi do uczuć ludu, jak okazały kwiat sztuczny do woniejącego w samem rozwiciu pączka: kładzie na prostotę wykwinność, na prawdę przesadę, na piękność przepych, aż wkońcu nie poznasz ich, jak człowieka, który na scenę wychodzi aktorem; poczyną się w gronie indywiduów, odstrychnionych całkiem od reszty narodu, i do tego jedynie grona dąży — jednym słowem: jest tylko poezją koteryjną.

Temi słowy niech mi wolno będzie zamknąć, za długie może, roztrząsanie pytania, czy naród może i powinien mieć właściwą sobie poezję, oraz zostać w przekonaniu, że je dostatecznie roztrząsał.

Z powyższego rozwiązania wypływa sam przez się wniosek, rozstrzygający ostatnie założenie, czy poezya narodowa przynosi korzyść ogólnej oświacie. Da się on zawrzeć w kilku wyrazach: Oświata jest całość, literatury narodowe są części, środki zatem, sprzyjające doskonaleniu się części, doskonałą całość.

III. OBRAZ OGÓLNY NOWEJ POEZJI POLSKIEJ.

Żadne względy czasu, miejsca, osób i tym podobnych okoliczności nie zdołają uniewinnić mówienia nieprawdy —

czyli to samo na odwrót: prawdę powinniśmy mówić wszędzie, zawsze i każdemu.

Z jednej strony, zbliżając się nareszcie do owej części tego pisma, gdzie w praktycznem rozwinięciu mojego rozumienia poezyi wypadnie nieraz dotknąć drażliwej strony serc autorskich lub czasu — z drugiej, całkiem nie słysząc dyplomatycznej kłątwy na bezwzględne prawdomówstwo, a które dla bliższej rozwagi okaże się nie samym tylko półśrodkiem, ale po prostu tamą do obalenia błędów, z których jedynie zręczni ich obrońcy pożytek ciągną — wsparty nadto przeciwnem przekonaniem, że między boskimi własnościami prawdy jest i ta, która z wynurzenia czasowych jej niedogodności wyprowadza w późniejszych skutkach stokrotne korzyści — osądziłem za właściwe w tem miejscu przyłączyć do innych, wprzód wymienionych zasad i zdanie, dopiero objawione. Otóż więc jeszcze jedna zasada święta, nieodzowna, kierować będzie moim przeglądem polskiej poezyi: — bezwarunkowa bezstronność.

W części pierwszej rozwijałem myśl, że narodowość tak w duchu, jak w kształcie zewnętrznym stanowi nie tylko główną zaletę poezyi, ale jest jedynym warunkiem dobrze przyjętego jej powołania — w części niniejszej będę usiłował wyświecić, czy tę zaletę ma dzisiejsza nasza poezya, czy ją mają nasi poeci i którzy.

Początek poezyi, nazywanej przeze mnie dzisiejszą, umieszczam około roku 1820. Przed czy po? O to mniejsza. Zjawiska jej, zawarte w tym obrębie czasu, dociągniętych aż do obecnej chwili, skupiłem w napisie „Nowa Epoka Poezji Polskiej“ i o nich tylko mówić tu będę.

Poezja objawiona, równie, jak i wszystko inne, istniejąca na tej ziemi, nie powstaje ani od razu, ani z niczego. Siła rozwijająca się z wewnątrz i wpływ zewnętrznych okoliczności są twórcami wszelkiego bytu ziemskiego; doskonałość jego zależy od harmonijnej tych przyczyn równowagi; potworność wyradza się z najważniejszego jednego lub drugich działań. W zupełności możemy tę prawdę do poezyi przystosować; dlatego, abyśmy obecny jej stan zrozumieli i wytłumaczyli niektóre jego przypadki, musimy koniecznie prześledzić te dwa potoki przy-

czyn w całym ich biegu, od początku zeszłego wieku począwszy.

Jakkolwiek owa literatura, kwitnąca pod nazwiskiem „klasycznej“¹⁾ lat kilkadziesiąt, a w oczach naszych już zgasła, nie jest matką czyli stwórczynią dzisiejszej, jakkolwiek tyle już nam o niej naklektano, żebym ją chętnie pomiął — kiedy jednak stanowi najbliższe ogniwo w łańcuchu umysłowego naszego życia i nie była bez wpływu na czas dzisiejszy, muszę, rad nie rad, ten okres przeżyć, pokrzepiając czytelników i siebie samego tem zapewnieniem, że go jak najrychlej przebędę.

Ziemią polską rządili królowie Sasi, umysłem polskim zakon jezuicki. W ich rękach było wychowanie całego narodu, cała jego oświata. Podstawą wychowania był pedantyzm, ciężki, jak ówczesowe dzieła *in folio*; duch oświaty odbijał się całkiem w ówczesowym potwornym języku. Ogół polskiej młodzieży, przeszedłszy przez takie ręce, zbutwiawszy w takich szkołach, jak księga, skazana przez czas długi na śniedź wilgotnego składu, wychodził na świat, jak ta księga, której mądrości ducha czas wydarł — wychodził, nie mając innej zalety nad lata w szkołach spędzone, i dopełniał plemiona nieuków. Nie dziw, że w takim narodzie Jezuici do samowładnej przyszlizli potęgi. Potęga ta była martwej natury, ciążyła też tem bardziej, trupieszala; zniszczyła ona w duszach myśli nawet opozycyi, któraby jakkolwiek poruszała jego życie — rozlała uśpienie, ciemnotę w pełnem tych wyrazów znaczeniu. Cały naród, bez wspomnienia przeszłości, bez planu na przyszłość, bez uznania się w sobie, bez zwrotu na zewnątrz, w prawdziwym był letargu.

I cóż go zerwało? Trudno byłoby dać wiarę temu, co powiem, gdybym nie miał za sobą świadectwa dziejów. Oto jedno zdarzenie, bez żadnego na pozór związku z na-

¹⁾ Sama trudność nadania nazwiska literaturze, poprzedniczej dzisiejszej, dowodzi jej ulotnego kształtu, niepewność przywiązanych do niej wyobrażeń, wieloznaczności przedmiotu. Nie będzie zapewne w takim przypadku poezja prawdziwie polska; objawi się ona ludowi, jak niebo, jednostajna, niewzruszona i lubo, jak niebo, niewyczerpana będzie w przemijających, pojedynczych zjawiskach, otrzyma przecie od narodu miano, które jej wiecznie w pojęciu wszystkich zostanie. (P. P.)

ukami, a nawet szkodliwe pod względem politycznym polskiemu narodowi: oto wojna z Karolem XII.

Wejdźmy w tę rzecz głębiej, rozważmy ją w dalszych jej skutkach, a przyznamy, że właściwie Karol XII. mimo swej wiedzy, przez czarnoksiężskie niby zaklęcie, pełne burz, zniszczenia i szatańskich widziadeł, wywołał umysłowe odrodzenie Polski. Stronnictwo Stanisława Leszczyńskiego wystąpiło, jako organ wyobrażeń ruchu i postępu. Ale zarody ich zanadto były w duszy narodu przytłumione, aby się z wewnątrz siebie bez obcego zasilku rozwinęły; Leszczyński więc upadł i zbiegł do Francji, z nim przeniosło się całe dzieło. W Polsce znówu kilkanaście lat martwych. Któż tam nakoniec przemówił głosem życia i rozumu? Konarski; Konarski i jeszcze kilku, którzy właśnie powrócili z dworu Leszczyńskiego.¹ Zdawałoby się, że wyobrażenia nowe potrzebowały tego czasu, tego schronienia, aby dojrzeć i z męską siłą na łono kraju powrócić.

Rychły upadek Jezuitów przyspieszył stanowczo ich przewagę. Wtedy to starsza część Polski, pozbawiona uświęconej swojej władzy i siły koncentracyjnej, a nieprzywykła sama przez się działać, zaledwie mogła słaby postawić opór — młodsza zaś przechodziła pod chorągwie odnowicieli, i rzecz, z podziwieniem wszystkich, szybko się posuwała. Ale czy w duchu narodowym? Nie, tak być nie mogło. Rzućmy tylko okiem na okoliczności, towarzyszące kształceniu się samychże odnowicieli! Wpływały na nich dwa żywioły, przemagające wówczas nad innemi: wychowanie duchowne i literatura francuska. Pedantyzm duchownego wychowania wpał głównie nałogową cześć ku pisarzom łacińskimi, to był pierwszy ideał — ideał starożytności. Sława społecznego Woltera i kwitnącej pod jego firmą szkoły tak filozofów, jak poetów, rozmarzyła umysły, chciwe nowości, trawionej potrzebą, i zapaliła żądzą zbliżenia się do takich pisarzy, a z tego powstał ideał drugi — nowożytności, czyli najwłaściwiej

¹ Jest to factum historyczne, że Konarski i kilku innych, najczynniejszych w reformie Polski, podczas ostatnich lat panowania Sasów, kształcili się pod okiem Leszczyńskiego na jego Lotaryńskim dworze. (P. P.)

francuszczyzny. Złanie się przeto tych dwóch wyobrażeń zostało duchem i piętnem owej literatury, którą zaszczerpił Konarski ze społecznymi; podnieśli Krasicki, Trembecki, Naruszewicz i t. d., ogładzili do wysokiego stopnia Feliński, Koźmian, Morawski i t. d. i nakoniec w oczach naszych pogrzebli. Przykry zaiste wypadek, podobny bardzo do przygody owego ich Apollina z ową tam nimfą: już ją bożek dogania, już czuje rozkosz, której na jej łonie dozna, już oto ma ją schwycić — patrzy a w objęciach nieczule drzewo.

Ale wróćmy do związku klasycznej literatury, bośmy zamierzali sobie szybko ją przebyć.

Nie jednemu z nas i nieraz bez wątpienia wpadał w oczy młokos, wychowaniec szkół zakonnych, a mianowicie szkół takich, jakim dawniej były, gdzie zamknięcie klasztornej celi odbierało wszelką sposobność obeznania się z rzeczywistym światem — gdzie jednostronne, przeciwprzyrodne wychowanie przytłumiło zdrowy rozsądek — gdzie długi post moralny zaostrzał popęd do pierwszych lepszych rozrywek światowych. Takich tedy szkół wychowaniec wpadł nam zapewne nieraz w oczy, kiedy się na świat wyrwał i wstępował na *salon* towarzysztwa, *wyższem* zwanego. Cóż mu się tu przedewszystkiem podoba? Co najprędzej do jego skrzywionego umysłu przylegnie? Świecący pozór, wymuskana powierzchowność, łatwa, pochlebiająca zmysłom filozofa, ozdobna gadatliwość, udane czucie, a wszystko do pewnego stopnia podług pewnych przyjętych prawideł, a wszystko pomieszczone z nałogiem szkolnej pedanterii. W młodzieńcu tym macie obraz naszego narodu, kiedy, wyrwawszy się ze szkół jezuickich, stanął przed obliczem ówczesnej francuskiej literatury; jego umysł jest to nasza oświata francusko-łacińsko pseudo-klasyczna.

Kilkadziesiąt lat małpował Polak, przynięciony na samodzielności narodowego umysłu poprzedniem wychowaniem; trzpiotał się i rozumował z Wolterem, deklamował z Kornelem i Krebillonem, płakał łzami Rasyna, penzlem Delila podnosił ziemniaki do ideału, wzbijał się jendyczem natchnieniem z Chrzcicielem Russem i Lebre-nem, nucił na słomianych Marona dudkach rozkosze pa-

sterskiego życia wśród niepogód polskiej strefy, wśród bolesnej nędzy polskich włościan, i niższy od każdego z tych wzorów, tworzył w nieskończoność naśladowce naśladowców, a coraz gorszych. Bóg wie, co by się dalej było stało, gdyby nie potężny geniusz narodu.

Przeróżający stan. W całym tym ogromie tylko „Krakowiaki i Górale“ Bogusławskiego. — „Krakowiaki i Górale!“ Nie przywiązujemy do nich małego znaczenia. Była to daleka wprawdzie, ale pierwsza zapowiednia polskiej literatury, pierwsze zadrażnienie płodu, ożywającego się w matki wnętrznościach, pierwszy znak życia istoty, mającej przyjść na świat — po kilkudziesięciu latach. Nie ważmy lekce tego niepozornego utworu. Spotkał go wprawdzie los skowronka, który przed wszystkimi ptakami letnej doby wita pierwszą bryłką roli, wyglądającą z pod tających śniegów, i prorokuje odrodzenie ziemi, a chociaż potem, zagłuszony nie jedną jeszcze półzimową burzą, musi ustąpić pierwszeństwa świetniejszym z głosu lub pierza braciom, mimo to jednak zostanie zawsze pierwszym prorokiem lata. Lubo nieprzyjazne okoliczności zacierały przez czas długi pamięć zjawienia się tej sztuki, lubo obecnie zgasła ona przy świetniejszych płodach nowych poetów; z tem wszystkiem bezstronny sędzia od niej musi zaczynać łańcuch prawdziwej polskiej poezji; w niej dostrzega, że naród uznał się w samodzielnym wewnętrznym życiu i kształci się nie pod samym tylko zagranicznym wpływem.

I znowu trzydzieści lat zboczenia, trzydzieści lat między pierwszym a drugim objawieniem się polskiej narodowej poezji, między operą Bogusławskiego a „Wiesławem“ Brodzińskiego. Powiedzieć, że to zamarcie naszego umysłu, tak nie nie widzimy w tej epoce napiętnowanego wybitnym rodzimym duchem — a to był jednak stan przejścia z gąsienicy do motyla, był to w wysłowieniu malowniczym stan poczwarny, gdzie pod bezkształtną powłoką pracowały rozliczne żywioły na to przeobrażenie, w którym dziś naszą poezję widzimy. Wprawdzie barwa francuszczyzny miała górę i wszystko powlekała, ale nie zdołała przeszkodzić nurtowaniu innych literatur.

Przekłady Ossyana, przekłady spółczesnych niemieckich poetów ukazują zawiązujące się stosunki z literaturą nowoczesną.

Krasicki w „Podstolim“ i „Doświadczyńskim“ rzuca myśli do narodowych historycznych powieści — Z a b ł o c k i w niektórych komedjach marzy o narodowych charakterach — Książnin w puławskich bawidelkach śmie nie samych tylko królów na scenę wprowadzać — Niemcewicz, przy całej konwencyonalnej deklamacji i trubadurskim duchu dum swoich, napomyka, że Polacy mogą mieć polskie śpiewy. W o r o n i c z, ożywiony wniosłem biblijnem natchnieniem i pomimo ustawnych zbacznięć do greckiego Olimpu, nie mający w całej może ówczesnej Europie podobnego sobie poety, Woronicz, jedynie godny wyobraziciel narodu we wszystkich jego ówczesnych kolejach, zawiązuje dzisiejszą duchową poezję, a przez duch i język pism swoich wydając się mężem wielkiego powołania, jest już niejako tępem, z którego rozum przenikliwy łatwo poznaje budzące się życie w umysłach Polaków.

Tymczasem, jakeśmy już wyżej powiedzieli, francuszczyzna przemagała, trzymała samowładne berło nad opinią i zasypiała na swoim tronie. Mnogie okoliczności zbiegły się do dania jej głosu na to pierwszeństwo; szczególnie tylko, że nie miały innej podstawy, jak zewnątrz narodu, a przeto wzniesione igraszką czasu, z czasem runęły i całą swoją budowę pociągnęły do upadku. Ubolewam prawdziwie, że przez wzgląd na przeznaczenie tego pisma, przymuszony ograniczać się jedynie treścią rzeczy, nie mogę rozwinąć przed oczami czytelników we wszystkich szczegółach tego ciekawego, pociesznego i razem nauczającego obrazu, owych dni zarozumiałej dumy i niedołęstwa ze strony naśladowców francuskich, a potężnej, lubo ciche roboty ze strony nowej poezji.

Ówczesne możnowładztwo literatury dosięgło szczytu, jakiego dosiadać zdolne było; w gładkich sentymentalnych wierszach przeszło samych niemal Francuzów. F e l i ś k i „Barbarą Radziwiłłówną“ wyprowadził w kontuszu polskim spazmujących kochanków Rasyna — W ę ź y k sam nie wie, co porobił z pełną dramatyczności przygodą Gliń-

tań jeszcze nie może się uważać za nic więcej, jak za związek, za istotę, nie określoną końcem, za istotę, której bytu część najważniejsza leży w nadziejach przyszłości, a najciekawsza strona w odgadnięciu składających ją żywiołów i wnoszeniu z nich o charakterze i wartości tak początku ogółu.

Powiedziałem cokolwiek wyżej, że poezja dzisiejsza łączy się bezpośrednio z pseudo-klasyczną; powiem więcej, że, przy całej wyższości nad poprzedniczką, ściśle przylega do niej niepoślednią swoją stroną, tak, że w tym względzie może się za dalszy jej ciąg uważać. Tą nieszczęśliwą stroną jest naśladowstwo.

Źródła jego i dziś, równie, jak wprzód, w zewnętrznych są okolicznościach. W przeglądzie klasycznego rymotwórstwa zwróciliśmy uwagę czytelników na objawiające się z lekka żywioły, różne od żywiołów, w niem panujących. Już tam, w zetknięciu się dwóch wieków, poczynamy dostrzegać to stosunki z literaturami nowoczesnymi, to ich wpływ na naszych pisarzy. Jakkolwiek przechylaliśmy się ciągle ku stronie ułomnej, Krasicki jednak z innemi przez tłumaczenie Ossyana, Bogusławski przez dramata Szekspira, Niemcewicz przez mniejsze angielskie i wschodnie poezye, że o reszcie zamilczę, napomknęli narodowi o pięknościach, nie w samej tylko łacińskiej i francuskiej poezyi zamkniętych.

To wszystko jednak, lubo już skłaniało naród do rzucenia się z drogi naśladowczej klasycznej na drogę naśladowczą romantyczną, może się dopiero uważać za naukę abecadlnika, za naukę początkujących. Bo też i reszta Europy wahała się jeszcze, nie objawiała dobitnie dzisiejszego swojego charakteru. Przyszła nakoniec ta stano, wczoraj godzina. Wybiły ją Niemcy: Kant, Lessyng, Herder, Gete i inni. Po tej chwili zaczęły występować jedne za drugimi imiona, od których blasku zapaliła się nasza poezja. Nie podobna uniknąć ich wzmianki; bez tego pozostałaby nietknięta najrozleglejsza strona naszej literatury.

Po Wolterze i współczesnych jemu francuskich pisarzach nastąpili Szyller, Gete, Byron i Walter-Skott. Z potężnym na całą Europę wpływem, ovladali i nasze umysły. Oni

przeszli, ale ślady ich geniuszów nie zatarły się jeszcze dotąd między nami.

Wyraźniejsze tylko, zbiorowem wytknięciem naszych zbroczeń wskażemy. W następnych oddziałach pomieścić je można: angielszczyzna, niemiezczyzna, francuszczyzna i oryentalizm. Wyznawcy pierwszej albo mizantropi, albo szkodłą barwą ustrojoni, to jest: częścią Byrona lub Walter Skotta. Głównymi bożkami drugiego oddziału są Gete i Szyller, a nabożeństwo ich piętnują sentymentalizm, rycerskość i pasterstwo. Zaszlepieni francuszczyzną, chwieją się między starą i nową; ważniejsza jest nowa, a tej stronników najmocniej zdają się uderzać pieśniarstwa Beranżera i pobożność Lamartina. Oryentalni poeci mają wszystkie wady kobiety, która przez sztukę tylko chce uchodzić za piękną i podobać się.

Po tych kilku wierszach możnaby słusznie zadać, na pozór, pytanie: „I toż więc jest owa poezja nowa, która tak ogłasza swoją wyższość nad klasyczną? Cóż ona ma lepszego nad pierwszą?” — To, odpowiadam, co ma kamień, w którym dyament się rodzi, nad inne kamienie. Nacechowana z jednej strony naśladownictwem, tem się różni od przeszłego naśladownictwa, czem się różnią ich wzory: pierwsze było to martwe — drugie ma zaród nieskończonego życia. Z pociech serca możemy złożyć na to dowód, z jej obecności wyjęty; będzie on stanowił naczelną w piśmie mojem oddział pod napisem: „Poezja polska i sławiańszczyzna.“

Oryginalna przeto polska poezja i sławiańszczyzna, anglomania, germanizm, nowa francuszczyzna i oryentalizm będą mi głównymi stanowiskami w następnej szczegółowem rozważaniu poetów polskich, którzy się w tych kilkunastu latach pojawili.

IV. POEZJA POLSKA ORYGINALNA I POEZJA SŁAWIAŃSKA.¹

Dlaczego poetom oryginalnie polskim daję tu pierwsze miejsce, każdy zapewne łatwo odgadnie bez usprawiedli-

¹) Powiniennem raz na zawsze uprzedzić czytelników, że podziały,

wiania się z mojej strony; dlaczego obok niej położyłem poezję sławiańską, o tem kilka słów powiem. A naprzód przez poezję sławiańską rozumiem tylko albo pieśni starożytne, pomiędzy ludami sławiańskiego plemienia odszukane, albo też nowoczesne, natchnięte przez ducha powyższych. Powtóre, poezya tych pieśni powinna być skazówką dla naszej, bo jest wyczerpnięta z przyrody ukochanej, zrozumiałej, bo jest prosta i serdeczna w objawieniu się swojemu, a od moralnego wpływu wszelkiej obczyzny swobodna, bo przez pokrewieństwo przeszłości, języków, obyczajów, wyobrażeń i t. d., przez jedność kolebki, a co wszystko z pokoleń sławiańskich tworzy tę samą rodzinę, poezya każdego z nich jest naszą. Po trzecie: zatem poeci, którzy z zachowaniem odcieni, będących własnością li polskiego narodu, przyjęli ją za zasadę swoich utworów, wiodą nas po drodze czysto narodowej i są poetami oryginalnie polskimi. Zaczęę od najstarszego między nami w tym zawodzie i niepoślednio zasłużonego.

Komuż ze świadomych polskiej literatury nie przyjdzie od razu na myśl Kazimierz Brodziński, ilekroć wprowadza się mowa o pierwszych usiłowaniach jej reformowania? Tak jest, nikt mu nie odejmie tego miejsca. Sąd najdalszej potomności potwierdzi współczesny wyrok, a może nawet z chlubniejszym od naszego ocenieniem. Pominąwszy tak piękne przekłady pieśni ludu, wybranych między rozmaitemi narzeczami sławiańskimi, jego powieść „Wiesław“ uważam za dzieło, nie mające u nas nic równego sobie, za jedno z owych, które jedynie same tworzą oryginalną literaturę i naznaczają jej niezapomniane niczem miejsce w oświacie powszechnej; uważam ją za zorzę, ukazującą polskiemu narodowi ową stronę nieba, z której wejdzie mu słońce prawdziwej jego poezyi. Brodziński nie ma ogromnych zdolności, w pismach jego nie góruje geniusz, nie porywa natchnienie; ale czucie

które przyjąłem w mojem piśmie, nie są podziałami naszej poezyi, na jakieś szkoły całkiem odrębne; ale skazują tylko główne pierwiastki, wchodzące do obecnego tej poezyi składu, oraz, że rozmieszczeni według nich poeci nie są w mojem rozumieniu ścisłymi pewnych wyobrażeń wyznawcami; raczej chciałem tym sposobem okazać tylko ten lub ów pierwiastek, przemagający w tym lub owym poecie. (P. P.)

zapala się czuciem niewymuszonym, a do serca kołacie pocziwie, tęskne Sławianina serce. Brodziński też tylko mógł z przekonania wyrzec, że sławiańska poezya nie inaczej, jak w postaci sielanek objawiać się powinna. Jakież potrzeba nie na zaletę jego przyznać, że wcielił te przekonania w pisma swoje i przodkuje owym pisarzom, którzy błakające się pomiędzy nami greckie i francuskie pasterki ustroiłi à la Goethe.

Józef Bohdan Zaleski, zrazu czciciel i uczeń Brodzińskiego aż do naśladownictwa z zewnętrznem oddaniem swojej poezyi, został wkońcu poetą, oryginalnym w całym znaczeniu tego wyrazu. Ukraina, rodzinna Zaleskiego strona, jest osnową ogółu pieśni jego. Z jej rycerskich dziejów bierze on wszystkie przedmioty, a z bogactw przyrodzonych wszystkie ozdoby i urok do swojej poezyi. Naiwność, czucie, świetność, wyobrażenia, zewnętrzne nawet wyśłowienie łączą się u niego w najpiękniejszą harmoniję i stanowią jakby wrodzoną muzykę tych pieśni.

Poema „Rusalki“ jest melodyą wyrazów; możnaby o niem powiedzieć, że je złożył czarnoksiężnik z dźwięków, skazanych przez zaklęcie, aby się wydawały jakiś czas wyrazami. Pomysł poematu odpowiada zewnętrznosci. O dumach Zaleskiego dosyć jest powiedzieć, że niektóre zamieniły się już w pieśni narodowe, a to jedno jest podług mnie pochwałą, wyższą nad pochwały wszelkiej krytyki. Obszerniejszy rozbiór tego poety nie przypada do całości mojego pisma; już tego przede mną i daleko lepiej, niżbym ja potrafił, dokonał Mochnacki; ja dodam tylko kilka wyrazów, tyjących się strony Zaleskiego, dotąd nietkniętej, tyjących się wad jego.

Każdy mi przyzna, że wady takiego talentu nie są obojętne, bo łatwo między pięknosciami giną i od mniej ważnych mogą być wzięte za same piękności. Najglówniejsze więc zarzuty, jakie Zaleskiemu mam zrobić, są: jednostajność barwy poetyckiego jego ducha i niestosowność języka z przedmiotem. Język ten, wypieszczony i wciąż wypieszczany, nie nagina się stosownie do przedmiotu; a co się tyczy geniuszu poetycznego, można mu zarzucić brak strony plastycznej. We wszystkich osobach Zale-

skiego przebija się mniej więcej poeta; wprawdzie ten poeta jest zajmujący, ale nie wszędzie na swoim miejscu. Stąd w ogólności kozacy jego są wymuskani, za saloniowi, za zniewieściali na kozaków; nie są takimi, jakimi ich znamy w krwawych dziejach Zaporozia. Podobna wada nie jest do przebaczenia: jest grzechem przeciwko najgłówniejszemu warunkowi poetyckiego talentu, przeciwko prawdzie.

Mala liczba jego Poezyi lirycznych, a właściwie indywidualnych, napiętnowana tą wadą jeszcze wyraźniej. Uderza tam dobitnie tożsamość toku, powtarzanie się, rozciągnięte od pewnych uczuć, od pewnych myśli, aż do wyobrażeń. Nie śmiemy tego nazwać ubóstwem geniuszu, gdyż z drugiej strony i Rossiniego obkładają zarzutem podobnym; bądź co bądź, nie godzi się wzbudzać tak wcześniej podejrzeń o wyczerpanie, zwłaszcza, że lśniąco obok tych wad piękności nie pozwalają temu wierzyć.

Przeciwny jest Zaleskiemu pod wszelkimi niemal względami, a razem najbliższy niego obranym dla swojej powieści przedmiotem Seweryn Goszczyński. Jeden i drugi взгляд skłoniły mię, że ich obok siebie położyłem. Syn tejże, co i Zaleski, Ukrainy, obrał równie drogę kozackiego poety, czy to z przywiązania do strony rodzinnej, czy z usposobienia talentu kochającego się (czego jasno dowodzi powieść jego „Kaniowski Zamek“) w okropnościach, któremi napelnione jest życie kozackiego ludu. Gdyby się godziło podsuwać czyjemu postępowaniu niekorzystne pobudki, tobym sądził, że celem Goszczyńskiego było skupić w swojej powieści to wszystko, przed czem się uchylał łagodny Zaleskiego geniusz. W najdoraźniejszym dwu poetów porównaniu wyskoczy przed oczy każdego prawda słów moich. Powieść Goszczyńskiego pod tytułem: „Zamek Kaniowski“ ogarnęła tyle okropności, że, jak na Madejowe łożo, można by myśl na nią położyć.¹

¹ O Madeju i o straszliwym zgotowanem dla niego w piekle łożu, jest powieść dosyć powszechna między ludem polskim. Kto zechce mieć o niej wyobrażenie niech przeczyta wiersz Podymowskiego, umieszczony w drugim tomie Sandomierskiego Pamiętnika pod napisem „Łoże Madejowe“. Słabe to bardzo słabe przerymowanie gminnej powieści, może dać jednak wyobrażenie. (P. P.)

Gwałt dziewicy, uwiedzenie dziewicy, zemsta, morderstwa wszelkiego rodzaju, okropność bitwy, pożar z całym niszczącym przepychem, szlachcie polski ze zbrodniami tyrana, pieszczoty śmierciowróźbne puszczyków, jeden wisiielec, dwie waryatki, jedna banda, mordująca Polaków, druga banda, karząca niby tych morderców, potoki krwi, szatanów bez liku, i tym podobne; oto są wybitniejsze punkta osnowy „Kaniowskiego Zamku“, powieści prawdziwie oryginalnej pod tym względem, trudnej pod tym względem do dorównania. Gdyby jej wiersze mogły kiedy przybrać widome dla oczu ludzkich postacie, to oczy w słupy stanęły przed tym chorowodem poczwar, z których każda napiętnowana albo zbrodnią, albo karą za zbrodnię.

Taka jest z jednej strony powieść Goszczyńskiego. Słuszność nakazuje powiedzieć słów kilka o drugiej. Obok tych wad przesadzenia, które jednak nie są bez podstawy w historycznym kozaków i owej epoki duchu, znajduje się prawda w malowidle uczuć i miejscowej przyrody, a nie w jednym miejscu życie rzeczywiste i siła nie nadstukowana. Charaktery, jakkolwiek zdają się być nieludzkie — zręcznie wysnute, dobrze oddane i utrzymane ciągle. Zaiste, nie można Goszczyńskiego winić o brak całości w jego poemacie, raczej o wybór pierwszej głównej myśli która po okropnościach jednej zbrodni wprowadziła go na szczyt ich ogółu. Tajemnica ducha tej poezji da się wyprowadzić, mojem zdaniem jak wiele innych grzechów poezji polskiej, w ogólności, z nieszczęśliwego na nas wpływu czarnej fantazyi Byrona. Język powieści odpowiada jej duszy: dziki, nieokrzesany, zaniedbany, jakby naumyślnie, prawdziwy przeciwstópnik stylu Zaleskiego i słusznie zasługujący na oburzenie się literackich naszych purystów, a co ważniejsza, usprawiedliwiający w tym punkcie wyrok Mochnackiego.

O lirycznych Goszczyńskiego poezjach trudno mówić. Wszystkie niemal spoczywają w rękopisach; a tych ani naganiać nie ma prawa krytyk, ani pochwalać; jedno i drugie jest albo podejrzane, albo bez korzyści dla autora, albo bez interesu dla publiczności.

Wprzód cokolwiek, niż „Zamek Kaniowski“, wyszła

powieść, także ukraińska, pod napisem: „Marya“. Nieznany był literackiej krainie pisarz „Maryi“, Antoni Malczewski, przed jej wydrukowaniem — nieznany był długo i po wydrukowaniu. W lat kilka dopiero, dopiero po jego śmierci podniesiono chwałę tego dzieła. Za przesadą w naganach poszło uniesienie chwalców. Każdą tam niemal piękność równoważy niedostatek. Jeżeli przedmiot wzięty jest z wydarzenia narodowego, to główny pomysł nie oryginalnego nie ma. Oprócz katastrofy, przypominającej mimowolnie poemata poety-lorda, ów paż tajemniczy, ów Wacław, graf, nie polski nie samym tylko tytułem, owa nawet Marya, deklamująca, jak królowa francusko-klasycznej trajedyi, nie są osobami poematu oryginalnego, a tem bardziej narodowego. Utrzymały i utrzymują to dzieło na stopniu wysokiej zasługi: widmo, że tak powiem, Wojewody, ideał polskiego arystokraty, Miecznik, ojciec Maryi, ideał polskiego szlachcica, myśl napadu Tatarów, wydobyta z serca dziejów polskich, obrazy Ukrainy nad-Bohskiej, wtórujące im uczucia i mistrzowskie wyprowadzanie w dotykanych niemal postaciach najgłębszych uczuć z najulotniejszymi ich odcieniami.

Język Malczewskiego odpowiedny jest myśłom w niektórych częściach poematu, jak na przykład w ustach Miecznika, niekiedy w ustach Maryi; taki jednak, jaki jest w ogóle poematu, nie może być podany za wzór polszczyzny, pomimo twierdzenia niektórych jego wielbicieli. Jest to wprawdzie język Polaka, ale Polaka, który dla obcej mowy wyrzekł się na długo swojej, postrzegł się później i zaczął się jej uczyć na Zygmuntowskich pisarzach, a co jeszcze mędrsza, na potocznej mowie ludu i dla dowiedzenia się, jak daleko w zaczętej nauce postąpił, odważył się po polsku napisać i tę niejako próbkę poddał pod sąd publiczności. Tak mi się wydaje polski, język Malczewskiego, owoc i dowód wielkiego usiłowania. Cudzoziemskie Malczewskiego nałogi, jego wychowanie, jego całe życie, przybawają na poparcie moich domysłów. Z tem wszystkim, godzi się położyć „Maryę“ między dziełami, jeżeli niezupełnie narodowymi, to zbliżającymi nas wielkim krokiem do czysto polskiej literatury.

Jeżeli powinniśmy przyznać Mickiewiczowi dawne, wielkie zasługi w obaleniu dawnego rymotwórstwa i potężny talent, to nie możemy go nazwać najoryginalniejszym z polskich poetów i narodowym w ścisłem znaczeniu tego słowa. O ogóle jego poezyi śmiało można powiedzieć, że tak są polskie, jak frak, zrobiony dla Polaka przez Polaka i z polskiego sukna, a podług wzoru, wyciśniętego przy którym z modnych europejskich żurnalów. Dłuższe zastanowienie się nad tem odkładając do właściwego miejsca, tu powiemy o tych tylko poezjach, które, naszym zdaniem, stanowią wyjątek w całości. Należy do nich kilka ballad, szczególnie: „Trzech budrysów“, „Czaty“ i powieść litewska „Grażyna“.

W „Grażynie“ możnaby tylko zarzucić Mickiewiczowi, że niedosyć ją nawiązał poetycznym owych czasów kolo-rytem. W głębiach tej starożytności litewskiej, o ile można o niej sądzić z jej podań, z jej pieśni, z całych jej dziejów na koniec, my dostrzegamy więcej poetycznej barwy, niż jej ma Grażyna, która w innych znów miejscach grzeszy duchem przesadzonej romansowości, niezgodnej z wyobrażeniem, jakie mamy o ówczesnej Litwie. Bądź co bądź jednak, przez wzgląd na czas, w którym Mickiewicz napisał „Grażynę“, przez wzgląd na talent, z jakim ją napisał, długo jeszcze zajmować ona będzie niepoślednie w naszej poezyi miejsce.

O innych poezjach Mickiewicza niżej mówić będę, albowiem, podług mojego przekonania, podług systematu, na tem przekonaniu zasadzonego, geniusz zbaczający musi ustąpić wobec chwały ojczyznej mniejszym zdolnościom, byle na korzyść narodowości użytym. Toż mierny talent, oboznany z narodem, przejęty jego potrzebami, obejdzie się bez rażących błyskawic geniuszu. Znam takie talenta talenta prawdziwie narodowe. Nie wyszły one jeszcze na jaśnię moralnego życia ludu, bo jeszcze i to życie potrzebuje czasu, aby się rozwinęło, aby pokazało na szczycie, co leży przywalone wielkimi ciężarami na dnie jego.

Naród można uważać jak niebo, zakryte gwałtowną burzą dla oczu, patrzących z ziemi. Wicher rozbija chmury, błyska gdzieś gdzie gwiazdka — ziemia myśli, że już wszystko widzi — nie; to tylko fenomen burzy; to tylko

przypadek rozpałił owe gwiazd kilka, kilka iskier życia we młodościach nieba. Burza przemienie, chmury się usuną — niebo przyjdzie do siebie — a ziemia miliony takich gwiazd zobaczy. Ale na to potrzeba czasu, życia i pogody. Takimi gwiazdami są w przeszłości twórcy owych pieśni ludu, złani już dzisiaj w mleczną drogę, jak mleczna droga już nam niedocieczeni.

Jedną z takich gwiazd we wczorajszej nam przeszłości jest *Tomasz Padura*. Należy on do poetów, śpiewających Ukrainę, i nie ustępuje żadnemu z nich pod względem historycznego talentu, schwycenia jej rysów najdelikatniejszych i oddania tem uroczniejszego, że po największej części w języku małorusko-kozackim pisał. Jest wieść, że cały zbiór podobnych poezyi miał w Petersburgu ogłosić. Nie wiadomo, czemu tego nie uskutecznił; nie wiadomo, co się też z nim samym stało. Miało się tam znajdować poema niepospolitych piękności, pod tytułem: „*Kudak*“, w języku polskim pisane. Ale dosyć nam znanych śpiewów tego prawdziwie natchnionego poety, aby szczerze utyskiwać na smutny los, który go nam tak wczesnie wydziera. To dopiero są pieśni, życiem wyjęte z serca ludu: o nich można powiedzieć, że już przed wiekami śniły się Ukraincom; taka tam prawda, takie wierne malowidło ludu, jednego z najpoetyczniejszych może na ziemi, a przytem taka poezya.

Na szczęście obecne, na chlubę przyszłą możemy powiedzieć, że takich, jak *Padura*, więcej mamy. Również zdarza się tu i owdzie postrzedz pojedyncze, acz drobne pomniki, ale wielkiej wewnętrznej wartości. Takimi są, na przykład, niektóre poezye *Michała Grabowskiego*, a mianowicie: „*Melodye Ukraińskie*“, którymy tylko nieco rozswiełości zarzucić można i legenda: „*Wawrzyniec z Powoda*“, bezwątpienia najlepsza ze wszystkiego, co dotąd u nas w podobnym rodzaju napisano.

Kończąc zboczenie, które zresztą nie nadwiera mojego planu, wracam do osnowy.

Przed kilku laty zjawił się na chlubę i pociechę naszą niepośledni poeta, *Juljusz Słowacki*. Wyższy zdolnościami od tłumu, nie wyłączył się z niego szczególną oryginalnością i narodowością. Ogół pism Słowackiego

nosi również cechę cudzoziemskiego wykształcenia; zoczył z tej drogi dwoma jedynie utworami: „*Żmija*“ i „*Janem Bieleckim*“. „*Żmija*“ jest przedmiot, wyjęty z bajecznych czasów Ukrainy. Pole dla fantazyi niezmiernie; korzystał też z niego Słowacki i pod względem tylko fantazyi, albowiem, co się tyczy barwy miejscowej, zdaje się ją czerpać z innych poetów, o Ukrainie piszących. Najnie wdzięczniejszy sposób! Kopia kopii, w której zazwyczaj pięknościom nie dorównujemy, a błędy przerabiamy po swojemu. „*Żmija*“ więc nie będzie nigdy ważnym narodowym utworem. Wyższe od niego jest poema „*Jan Bielecki*“. Jest tam kilka rysów polskiej szlachty trafnie schwycionych i rzuconych szczęśliwie; z tem wszystkim najjaśniejsza część jego jest ta, na której Słowacki położył piętno indywidualności swojego talentu.

Oto są wszystkie niemal imiona, wszystkie dzieła, na których się osnuwa poezya polska, jeśli jeszcze nie narodowa w całym tego słowa znaczeniu, to przynajmniej najbliższej do niej przystępująca. Drobne jej odłamki, błyskające gdzieś w utworach innych poetów, będziemy w właściwym miejscu podnosić — a teraz, na zakończenie niniejszego oddziału, przebieżmy kopalnię Sławiańszczyzny, do której tak wielką wagę przywiązujemy, obejrzymy jej polskich robotników i pracę ich ocenimy.

Pierwszy *Brodziński* przyłożył biegłą do niej rękę i przekonywającym głosem zachęcił innych. Nie może się on żalić, że głos jego był długo głosem wolającego na puszczy. Myśl Sławiańszczyzny nie trafiła wprawdzie od razu do mnóstwa, rozchodziła się powoli, ale, gdzie raz weszła, tam już, jak każda wielka prawda, zakorzeniła się na zawsze. Czytelnicy mają zapewne przed oczami, że nie dotykając uczonych prac około Sławiańszczyzny, wprowadzam ją tylko ze stanowiska poezyi.

Wszystkie prawie punkta naukowe Polski, wszystkie pisma czasowe lubiły mówić o Sławiańszczyźnie; lubiły, powtarzam — ale widzieć w niej jedną z podstaw polskiej poezyi trudno było przez czas długi dla literackiej opinii. W ostatnich dopiero latach odbyło się wyrozumowane ku niej dążenie w gronie pisarzy, mających *Lwów* za punkt spójny. Reprezentowało ich czasowe pismo

„Haliczanin“, a „Ziewonia“, noworocznik, dała nam ich poznać w roku zeszłym.

Odznacza się pomiędzy niemi August Bielowski. Obdarzony niepospolitemi zdolnościami, bogaty w stosowne wiadomości, poświęcony fanatycznie swojemu przedmiotowi, Bielowski obiecuje pośrednictwem swoim wiele korzyści ze skarbów Sławiańszczyzny. I niemało już zrobił. Wzorowe jego przekłady wielu pieśni serbskich, a nadewszystko przepolszczenie sławiańskiego poematu: „Wyprawa Igora na Połowców“, są rękojmnią tego, czego po nim na przyszłość spodziewać się możemy. Trud tłumacza jest zazwyczaj niewdzięczny; uważamy go powszechnie nie tak za natchnienie, jak raczej za wprawę i wytrwałość literacką; gdybyśmy wreszcie i najwyższe przysadzili stanowisko tłumaczowi, nigdy on nie stanie na równi ze stanowiskiem oryginalnego pisarza. Bielowski przez to nie należy do rzędu pospolitych tłumaczy, że tak potrafił wynaleźć ducha swojego oryginału, że go tak w polskie ciało przelać umiał, że nowy, właściwy swojemu przedmiotowi język ułożył. Ta to niezwykła nowość języka oburzyła przeciwko niemu niektórych krytyków, uczyniła dla wielu czytanie „Wyprawy Igora“ ciemnem. Jeśli tu Bielowski zawinił, to jedynie o tyle, o ile byłby zawinił na jego miejscu każdy, któryby z ludzkiemi tylko siłami przystępował do tej pracy. Wady przekładu Igora są konieczne na drodze, tak nowej dla Polaków, są nieodstępne puszczającemu się tą drogą bez poprzednika i, można powiedzieć, bez towarzysza. Pomimo wszelkich zarzutów słusznych i niesłusznych, sąd bezstronny przyzna, rozpatrzywszy się dobrze w pracy Bielowskiego, że śpiewak „Igora“, objawił się z głębi odwiecznej Sławiańszczyzny polskiemu swojemu tłumaczowi, że mu użyczył natchnienia owych czasów. Spraw, Boże, aby młodzi nasi poeci przejęli się tymże duchem i nie dali zarósć drożynie, którą Bielowski poszedł, a śmiem twierdzić, że znajdą poezję, której objawienia naród po nich żąda.

Z pomiędzy spółzawodników Bielowskiego zasługuje na szczególniejszą wzmiankę *Lucjan Siemiński*. Prawo jego do tej wzmianki leży w pięknym i wiernym przekładzie rymowym „Krółodworskiego rękopisu“; o tem,

czego on sam jeszcze nie uznał za godne publicznego sądu, mówić mi nie wolno.

Może się kto zadziwić, że w piśmie, przyznajacem z taką trudnością zasługi oryginalnym pisarzom, znalazły się miejsce i pochwała dla tłumaczy. Taki niech zważy, iż praca tych tłumaczy wiąże się z najżywotniejszym zadaniem naszej poezyi, że płodna w tak ważne skutki, a przytem tak niegłośna, powinna znaleźć nagrodę w słusznem sobie ocenieniu i postawieniu za wzór dla ogółu naszych pisarzy. Zresztą, jak Bielowski, tak i Siemiński, nie w samych tylko tłumaczeniach objawili swój talent, a prace ich oryginalne, ogłoszone dotąd, lubo nieliczne i drobne, dopominają się dla nich miejsca w rzędzie poetów narodowych.

Zakończę ten oddział wymienieniem kilku jeszcze młodych poetów, równie mało głośnych a wiele mających za sobą nadziei. Między temi *Dominik Magnuszewski* uderza świetnym, rozległym talentem. Z tego, co ogłosił, jeszcze bardziej z tego, co ogłosić zamysła, śmiemy twierdzić, że będzie wkrótce rozkoszą krytyki, poetą, przez krytykę dotychczasową marzonym. Niepospolitego pisarza zapowiada równie pełen ognia, mocy i prawych dążeń *Ludwik Jabłonowski*. *Aleksander Borkowski* odznaczył się dotąd dobrą chęcią; pozostaje mu otrząsnąć się naprzód z tej rozwlekłej łatwości, potem zbliżyć się więcej do rzeczywistej przyrody opiewanych przedmiotów, nakoniec w tworzeniu mniej mieć przed oczami duszy błyskotki innych pisarzy, zwłaszcza cudzoziemskich.

Na tem kończę oddział, nie utrzymując, że już niema nic do powiedzenia o poezyi narodowej.

V. ANGIELSZCZYZNA I NIEMCZYZNA.

Jak przez poezję polską we właściwem jej pojęciu rozumiem poezję, opartą na duchu staro-słowiańskiej literatury, z odcieniami, odróżniającemi lud polski od innych plemion słowiańskich, a wiek obecny od wieków zeszłych — jak, w mojem przekonaniu, takiej tylko poezyi może służyć miano poezyi narodowej, tak wszelką inną, chociażby

objawioną w wierszach, najczystsza polszczyzną pisanych, chociażby największym talentem jaśniejącą, nie uważam za nic więcej, tylko za wpływ i własność pewnej kasty, jednym słowem, za poezję koteryjną. Tworzy się ona pod wpływem przyczyn, istniejących za obrębem większości narodu. W końcu poprzedzającego oddziału napomknęliśmy o podobnych przyczynach i przestajemy na tem napomknieniu; któż z nas bowiem nie patrzył własnymi oczami na ich robotę kilkunastoletnią? Napomknęliśmy także o pierwiastkach, dzisiejszą poezję składających, czyli widocznych objawieniach się owych przyczyn, jakoto: angielszczyźnie, niemieczyźnie, francuszczyźnie i oryentalizmie. — W tem miejscu pozostaje tylko objawić czytelnikom, że zaczynamy od angielszczyzny i niemieczyzny. Oddział ten składa się po większej części jeżeli nie z najgłośniejszych, nie z najczynniejszych, to z najdawniejszych w nowej poezji pisarzy. Imiona, stanowiące szczyt jego, położywszy w literaturze ważne zasługi przez przechylenie polskiej oświaty i opinii na stronę nowych europejskich wyobrażeń, wzbily się do pewnej potęgi, która w innych, niż nasze, czasach mogłaby krytykę w kłopotcie postawić. Szczęście, że dążenie ku prawdzie zniszczyło tę obawę.

Pan Munk, księgarz poznański, niepoślednie ma prawo do mojej wdzięczności. Jak żeby przewidział trudne położenie recenzenta, obowiązane uszykować jako tako mnogi zastęp młodych poetów, ogłosił pisma cenniejszych pomiędzy niemi pod tytułem: „Nowy Parnas Polski,” a ułożywszy je w sześciu warstwach, jakoto: Poezye Adama Mickiewicza, Edwarda Odyńca, Juljana Korsaka, Aleksandra Chodźki, Antoniego Goreckiego i (Józefa) Massalskiego, usunął mi największą trudność, bo wybór poety, od którego niniejszy oddział mam zacząć.

Zaczynam tedy od Mickiewicza, który, bez żartu mówiąc, jest celnym wyobraźcą naszej poezji koteryjnej. Usuwać tu na bok względy na talent lub popularność. Zdolności wysokie nie unarodowiają pisarza, a imię szeroko rozniesione nie jest przywilejem wobec krytyki. Cieszymy się chwałą, którą nam znakomity mąż zjednywa, używajmy korzyści, które spływają za jego pośrednictwem, ale ostrzegajmy o błędach tem troskli-

wiej, im się te z wyższego rozchodzą stanowiska. Jakkolwiek Mickiewicz przyłożył się niemało do przewagi nad zeszłym rymotworstwem, z tem wszystkim ta zasługa nie odpiera zarzutu, że on także usadowił na miejscu pseudo-klasycyzmu pseudo-romantycyzm i jest głównym wyobraźcą strony naśladowczej w nowej polskiej poezji. Pierwszy polot Mickiewicza odbywa się pod kierunkiem niemieckiego natchnienia. Sentymentalność, pasterstwo, kliwne wymuskanie owych okrzyczanych niegdyś ballad i romansów nie zjedną im nigdy miejsca w literaturze ojczyznej; przeciwnie, będą razić tem mocniej, im dalej naród postąpi w poznawaniu siebie.

Najsławniejsza z tych ballad, „Świtezianka,” jest zupełnem naśladowaniem ballady Getego pod tytułem „Rybak,” dosłownem nawet w jednej wrótce tłumaczeniem. Jeszcze sławniejsze „Dziady” tracą jeszcze wyraźniej niemieczyznę. — Sam poeta nie kryje wpływu, jaki na niego wywierał Szyller i Gete, przenosząc z nich żywcem obrazy, uczucia, a niekiedy całe zwroty. Ktokolwiek czytał Wetera, czyż od razu nie pozna, że Gustaw jest jego marą? Cała zasługa polskiego poety, że charakter, stworzony przez Getego i samobójstwem ucięty, umiał wskrzesić i, stosownie do przeszłości przedgrobnej, utrzymać w życiu pogrobowem. Mochacki, mówiąc o „Wallenrodzie,” z innego stanowiska okazał niestojność tego poematu w poмысле i sposobie wprowadzania miłości Wallenrodowych. Ów grzech, sądzony ze stanowiska narodowości, jest jeszcze trudniejszy do usprawiedliwienia: narusza on najistotniejszą zasadę poezji narodowej, barwę wieku, miejsca, osób, jednym słowem, prawdę.

Nie w samej tylko miłosnej części wykroczył Mickiewicz: całe dzieło woła o pomstę na niego. Całe on dzieło powłókł takim pokostem dziewiętnastego wieku, tak starannie osłonił nowoczesnym salonowym strojem każde miejsce, gdziekolwiek przebiega się szata krzyżacka, litewska lub pruska, że nawet ówczesne pisarza stosunki nie są w stanie dostatecznie go usprawiedliwić. Krótko mówiąc, błędy „Wallenroda” są dalszem i obszerniejszem rozwinieniem tych uchybień, które dostrzegaliśmy w „Gracyźnie.”

Na zakończenie powiemy, że, jakkolwiek Mickiewicz w tych objawieniach się jest poetą silnego, a często twórczego natchnienia, jakkolwiek przywykliśmy kochać go, wielbić i dawać mu miejsce w najmilszych naszej duszy wspomnieniach, z tem wszystkiem szczerze litujemy się nad młodym pisarzem, któryby w Mickiewiczu „Ballad“, „Sonetów“, „Dziadów“ i „Wallenrodów“ szukał tajemnicy zostania poetą polskim, obrał wzór do ukształcenia swoich zdolności. Tymczasem byli i są tacy. Niektórzy poszli ubitą przez Mickiewicza drogą cudzoziemczyzny, inni wprost przyjęli barwę jego służby. Wypłynęły stąd bez wątpienia wielkie niekorzyści, największe jednak dla samego Mickiewicza. Oni to, chwytając łakomie, naśladowując bez braku, przerabiając na swoje kopyto wszystko, co się tylko ze wzorowego poety wzięść dało, odkryli tę słabą stronę, te błędy, które urok wielkiego talentu byłby jeszcze długo przystrajał dla oczu wielkiej części czytelników — okazali je światu, mimo najlepszych dla wzoru swojego chęci, w całej nagości, w jakiej wyszły z rąk przyrody — oni mimowolnie zostali tym niewdzięcznym powojem, który obwija drzewo, buja kosztem najżywniejszych jego soków i niszczy je wkońcu.

Między naśladowcami Mickiewicza najgłówniejszą grają rolę poeci, tak zwani „litewscy“ przez mylne rozumienie, jakoby w ich pismach było w istocie coś litewskonarodowego. Nie trzeba namysłu, któremu z nich mam dać pierwszeństwo. Niezaprzeczone ma do niego prawo Antoni Edward Odyniec. Oprócz tego, że na nowym Parnasie polskim umieszczono go po prawicy Mickiewicza, skierowaliśmy się w tym względzie własnem jego wyznaniem, które tak naiwnie ogłosił w jednej swojej balladzie, gdzie rusalki, omyłone czarnym frakiem Odynca, wzięły go za samego Adama. W rzeczy samej, z tej jednej ballady możnaby już mieć wyobrażenie o poetyckim zawodzie Odynca. Żywemi jej słowami możnaby określić w zupełności charakter pism jego, ale, nie śmiejąc lakonizmem ubliżyć pisarzowi trzech tomów poezyi, wydawcy dwóch noworoczników i t. d., pozwolimy sobie do postaciowego napomknienia jego ballady dodać naszych wyraźnych słów kilka.

Nie przesadzając przyszłości, jak innych poetów, o których mówiliśmy lub mówić będziemy, tak równie i Odynca — roztrząsamy charakter jego poezyi jedynie z prac, wiadomych nam dotąd. Odyniec, podług powyższego namienienia, wydał do dnia dzisiejszego dwa tomy ballad, legend, listów i tym podobnych drobiazgów, wydał dramat „Izorę“, składający tom osobny, wydał nakoniec na dwa lata dwie „Melitele“, gdzie się także kilkanaście jego poezyi znajduje. Oto są rzeczy, z których sądzić go mamy. W zebraniu ich pod jeden ogólny widok pokazuje się, że wielka część składa się z tłumaczeń, a reszta z naśladowań to Anglików, to Niemców, to Mickiewicza. Jedyna pomiędzy jego balladami, ballada narodowa „Wesele“, jest tylko przepolszczeniem ballady Walter-Skotta, równie, jak „Bolesław Śmiały“, nie mający żadnej poetyckiej wartości. Co do objętości, równą owym dwom tomikom ma ważność dramat rycerski „Izora“. Sam napis już go wyłącza z rzędu utworów polskich. Śmiemy powiedzieć, że i rycerstwo za swój go nie uzna. Trzeba talentu cierpliwości, żeby coś podobnego napisać, trzeba pobudek przymusu, żeby coś podobnego drugi raz odczytać można — i w tym tylko przypadku „Izora“ jest prawdziwym dla czytelnika dramatem. O reszcie można powiedzieć, że równie, jak poprzedzające, najrzetelniejsze są z troskliwości o zewnętrzną poprawność, o utrzymanie toku wierszów Mickiewicza.

Godne zastanowienia, że tak Odyniec, jak w ogólności wszyscy jego rodzaju pisarze, wydają się najlepiej w początkowych swoich pracach, a nikczemnieją stopniami w dalszym zawodzie. U nas da się to po części wytłumaczyć zbiegiem okoliczności. Naród, spragniony nowej literatury, przyjął z oklaskiem pierwsze pojawienie się jej, nie zważając, że ten dar mierność mu przynosiła. Lecz, kiedy po zaspokojeniu pierwszego głodu zaczęliśmy przebierać w moralnem pożywieniu i stosownie do sił rosnących, posilniejszego żądać, a mierność jednym i tem samem wciąż częstowała, wtedy musieliśmy się zniechęcić ku jej datkom, poznaliśmy całą nędzę narzucających się dobroczyńców. Tylko sztukmistrz prawdziwie natchniony posiada tajemnicę ciągłego czarowania.

Podobni są do siebie wszyscy naśladowcy Mickiewicza, ale najpodobniejsi Odynieć i Korsak. Można by ich niemal uważać na nowym Parnasie za bliźnięta w nowym Apollinie. Te same wzory, ten sam pociąg do listów rymowanych, do duserów imiennikowych, to samo tulenie się niewolnicze pod tok poezji Mickiewicza, na koniec ta sama słaba wola czy słaba siła zostania pisarzem narodowym. — A że na świecie, podług przysłowia, niema dwóch kropel rosy, do siebie podobnych, więc i Korsak ma właściwą odrębną sobie charakterystykę w pewnej lirycznej odwadze i wzniosłości, których Odynieć nie objawia w mimowolnem parodyowaniu Byrona — w chwalebne współubieganiu się z przekładaczami Od Horacyuszowskich — zresztą w popędzie dobitnym ku ustrojeniu polskich wierszy kwiatami wschodniej poezji.

Całość, napiętnowana temi pociągami, składa tom dosyć gruby, którego napis: „Poezye Juliana Korsaka.“ Świecnieją tam na czele oryginalne liryki, jak to ze spisu rzeczy widać, a które dla nas są niczem więcej, jak gadaniną bez związku, bez utrzymania całości. Każda z tych liryk da się porównać do wieńca myśli przez to tylko, że nie ma początku i końca, jak wieńiec, że w każdym jej miejscu możesz mieć, skoro zechcesz, co zechcesz — początek lub koniec; przeto nazwałbym je hieroglifami, kryjącemi w sobie zwiniętego węża, godło owej wieczności, która na nie czeka. Kto pilnie zważył i roztrząsał charakterystyczne rysy talentu Korsaka, taki zgodzi się ze mną, że ten pisarz pod jednym jeszcze względem jest ważny. Dwustronna dusza jego poezji, błyszcząc na zachód lirykami, na wschód Beyramem, dotykając podobieństwa do Odyńca strony europejskiej, a duchem orientalnym wcielając się w Chodźkę, jest przechodniem ogniem z jednego do drugiego pierwiastku naszej poezji, z pierwiastku europejskiego do wschodniego — jest z gatunku tych istot, na których w państwie stworzeń spotykają się dwa plemiona zwierząt.

Z tem wszystkim na Korsaku rozcinam grono nowego Parnasu polskiego, gdyż Chodźko, Gorecki i Massalski mają właściwsze dla siebie, niżli w tym oddziale, miej-

sce; słabnie w nich pierwiastek angielski i niemiecki, o których dużo jeszcze pozostaje mi mówić.

Nie niższy od Korsaka pod względem ducha swoich poezji, a wyższy mechaniczną stroną talentu jest Witwicki Stefan. — Pisarz ten, umiarkowany, rozważny z jednej strony, a z drugiej ogarniający dziewczemmi chęćmi całe niebo poezji i zamożny odpowiednią swojej woli wytrwałością, potrafił zostać romansistą, balladzystą, komikiem, dramatykiem, poetą sielskim, poetą biblijnym, Edmundem, wyznawcą Mickiewicza, odstępcą. Zgoła wszystkim, wyjąwszy polskim poetą. Witwicki szamotał się jeszcze z pieluchami poetyckimi, kiedy trafił dziwnie w jego życiu sprzeczności okazał naprzód całe wysokie jego powołanie. On, który za gwiazdę przewodniczkę zdał się obrać umiarkowanie, które temu umiarkowaniu winien szczęśliwy pomysł szaleńca Edmunda — on wybujał, pozwoił się unieść pierwszemu polotowi w sferach poezji.

Ballady Mickiewicza wydały się jemu rzeczą tak piękną, geniusz jego (Witwickiego) uczuł się tak pewnym swojej drogi, że i on także puścił na świat dwa tomiki ballad i romansów. Z koniecznego następstwa rzeczy wyniknęło, że słabego wzoru słabsze jeszcze naśladowanie musiało być bardzo słabe; jakoż Witwicki upadł. Oznajmiła to jemu recenzja Michała Grabowskiego. Opamiętał się poeta; okazał nawet tyle zdrowego rozsądku, że przyznał krytykowi słuszność; do tego nawet stopnia chciał sprostować uniesienie autorskie, że cofał z handlu księgarskiego swoje ballady i romanse. Błogosławiła mu wtenczas krytyka. Niestety, późniejsze postępowanie rzuca podejrzenie, że to był tylko chwilowy wybieg, gdyż od-tąd, ciągle wykraczając, jak wprzódy, nie raczył już przystajac wykrecozeń swoich podobną skruchą. Dla przekonania się czytacie poezye sielskie, biblijne, wydane osobno — poezye biblijne i sielskie, umieszczone w „Meliteli“ — na koniec „Edmunda“, któremu jednego tylko szaleństwa przebaczyć nie można, że się zaraz na pierwszej karcie nie otrul.

Żeby dać dowód naszej bezstronności, przeto, obok oskarżenia wniesionego przeciwko poezji Witwickiego,

oddamy sprawiedliwość jego zaletom. Pierwsza rzecz, za którą cześć mu składamy, jest język miły, ukształcony, nadto wszystko prawdziwie polski, potem w zewnętrznej budowie rymów gładkość i poprawność, przemawiające wdzięcznie do każdego ucha; czasami z wewnątrz nawet przebija się dosyć czucia, ożywionego poetyckimi barwami, tylko, że z tego wszystkiego wyziera bardziej głowa literata, jak natchnienie wieszczce. Krótko mówiąc: Witwicki jest dowodem, jak dalece przez usilną pracę można zostać przyjemnie czytany — raz w życiu.

Zdziwilby się poeta, którego umieszczę po Witwickim, gdyby się spostrzegł w szeregu pisarzy, związanych naśladowaniem Mickiewicza. Z tem wszystkim zasłużył na to miejsce, lubo nie mógłby złożyć się wymówka, że jest oryginalny przez tajemnicę naśladowania wszystkich. Mówię tu o Maurycym Gosławskim. Przejrzyjcie tylko jego poemata „Podole“, „Tęsknotę“, ułamek z powieści „Kordecz“, jednym słowem, wszystko, co napisał, a spotkacie we wszystkim to Zaleskiego, to Malczewskiego, to Mickiewicza, to innych polskich i niepolskich poetów.

Gosławski zamierzył sobie opiewać rodzinną ziemię, Podole, zostać poetą narodowym podolskim. To usiłowanie zamieniło się w wielką wadę jego pieśni, zostało słabą jego talentu stroną. Nie mamy nic przeciwko podobnym chęciom; jeżeli poecie wolno obrać za przedmiot swoich natchnień jedną osobę, równie wolno wybrać z całej ziemi jedną okolicę, ale potrzeba zachować najgłówniejszy, wyraźnie dziś uznany warunek poezji — prawdę. Gosławski w uniesieniach ku Podolu wpadł na drogę owych francuskich romansistów, idealizujących nad zakres człowieczeństwa swoje bohaterki. To spaczenie talentu jest tem wyraźniejsze, że w owych pieszczotach z Podolem nie widać instynktowego zakochania się całą duszą, że w uwielbieniu jego wdzięków nie widać przekonania o ich rzeczywistości. Z podobnem usposobieniem dla swojej ziemi trudno być rodzinnym poetą, można jedynie zostać owym kochankiem, który, z pewnych pobudek chcąc wmówić oczom obcym powaby swojego przedmiotu, zyska nazwanie albo obłudnego, albo śmiesznego. Odcie-

niem tych usiłowań jest także w Gosławskim pewna jukakierya, rys, pochwycony z charakteru niby kozaczyny, a która właściwie podobniejsza jest do udawania podpilej maski.

W ogólności pisma tego poety cechuje wielka burdowata śmiałość i, żeby ogólne dać ich wyobrażenie, łatwość, dowcip, nie zawsze wykwintny, nie zawsze na swoim miejscu, czułość, jeszcze niewłaściwsza, jeszcze wyraźniej udawana, kokieteria, salonowość, a niekiedy prawdziwe natchnienie. Biorąc go znowu z innej strony, utrzymujemy, że, jeżeli niektóre talenta przyrównać można do silnego potoku, to talent Gosławskiego da się wyobrazić wirem, który wybuchnie, porwie umysł, puści go, opadnie i długo, długo każe czekać na nowy wybuch, często do znudzenia.

O Juliuszu Słowackim wspomnieliśmy pod oddziałem sławiańsko-polskiej poezji. Spowodowały nas do tego wymienione tamże dwa jego poemata „Żmija“ i „Jan Bielecki“; wszakże razem ostrzeżliśmy, że go nie uważamy za oryginalnego i narodowego pisarza. Na dowód kładziemy 3 tomy jego poezji, a między temi tragedye „Maryę Stuart“ i „Mendoga“, poemata „Lambro“ i „Hugo von Brache“, że zamilczymy o innych. Tragedye, lepsze od wszystkich, jakie do jego czasów napisali Polacy, są tylko szkolnemi próbkami, kiedy je obejrzymy ze stanowiska dzisiejszych o dramatyce pojęć. Oprócz zupełnego braku barwy miejscowej i współczesnej uderza w nich jeszcze wielki niedostatek życia.

„Hugo von Brache“ jest utwór niezgrabny pod każdym względem. Nad dziełami obcej osnowy, jak „Lambro“, nie nasza rzecz zapuszczać się w uwagi. Przymuszeni, dla obszerności naszego przedmiotu i głównego założenia, trzymać się szranek jak najzwęższej treści, kończymy ogólnem o poezjach Słowackiego zdaniem, że objawiają poetę znakomitych nadziei, ale razem, przez błyskotki powierzchownej fantazji, są bardziej dla zmysłów, że tak powiem, jak dla duszy, i w pierwszym czytaniu najmocniejsze sprawują wrażenie. Pod względem zaś wnarodowiania się w swoje przedmioty zbywa mu często na tym miejscowym rozumie czy pociągu, bez którego zasadzamy

tylko, jak w dziecinnyim ogródku, pozrywane tu i ówdzie kwiatki chwilowego życia i woni.

Pisarzem, który, chociaż równie krzywą, ale odrębną od wyżej tu wymienionych poszedł drogą, jedynym pomiędzy młodymi poetami pracującym dla dramatyki, jest Józef Korzeniowski. Z ogłoszonych dotąd drukiem znamy „Próby dramatyczne“ w jednym tomie i tragedję „Mnich“; z nieogłoszonych dramata „Miłość i Zemsta“, a po niej „Piękność zgubą“. W tych wszystkich dziełach widać wprawdzie pojęcie dramatyki z nowego stanowiska — a oryginalności, wyobraźni, czucia, prawdy, jednym słowem, dramatycznego talentu, bez porównania więcej, jak we wszystkich tragediach, które nam dotąd za oryginalnie polskie oglądać i czytać kazano. Ale też obok tego sam pisarz przyznać musi, że kroki jego stawiane są wciąż po śladach Szekspira — dlatego zaręczylibyśmy prawie, że ani „Próby“ ani nie próby dramatyczne nie rokują w Korzeniowskim pisarza, który ma stworzyć dramat, naszemu ludowi właściwy. Przy powyższych Korzeniowskiego dziełach „Fragment“, właściwie poetyczna kompilacja byrońskich okropności i kilka ulotnych wierszyków, są takim motłochem, że krytyka nie raczy nawet spojrzeć na nie.

Przedmiot dramatyki nasuwa nam tu głośnie w literaturze naszej imię Jana Nepomucena Kamińskiego, bodajby lepiej, niż dotąd, zasłużone prawdziwie polskiemu teatrowi, gdyż ani Kalderona, ani Szyllera tragedye nie są tym posiłkiem, który się naszemu narodowi w żywotną krew obraca i jędrną czerstwością pokrzepia jego ciało. Nie chcemy przez to ubliżać zasługom pisarza, któremu winni jesteśmy dalszy ciąg „Krakowiaków i Górali“; chcemy tylko wymówić jemu, że tem dziełem przyrzekł nam coś więcej, jak „Twardowskiego“, jak wszystko, co później z pod pióra jego wyszło. Mógł on być nawet samo natchnienie sławnych swoich sonetów zwrócić ku przedmiotom teatralnym, a słońce jego sławy o jeden promyk byłoby nie przygasło, a dusza narodu na jednąby chwilę nie zatęskniła. Jestem tego przekonania, że, gdyby swojej rozprawie o filozoficzności języka polskiego nadał był kształt dramatyczny, a te postacie dziwne, te widzia-

dła rozsypanych po niej głosek ocielił, mówiąc w duchu jego języka, ludzką zewnętrznoscą, stosowną do charakteru i temperamentu każdej głoski, ujrzelibyśmy czarodziejski dramat, o jakim ani się śniło Szekspirowi, nie mający nic podobnego sobie tak w przeszłości, jak w przyszłości. W „Rozmaitościach Lwowskich“ czytaliśmy poemata „Lunatyk czyli sześć wieczorów Kasztelana“, płód Kamińskiego. Napisany on właściwym Kamińskiemu tokiem, z właściwym jemu ogniem i mocą — ale nadto wszystko zaleca się kilku trafnymi obrazami ojczystego życia, ojczystych okolic. Kamiński całkiem już należy do szkoły niemieckiej. Lwów był jej stolicą.

Ponieważ mój przedmiot aż tutaj mię zaprowadził, muszę też kilka słów powiedzieć o fizjonomii literacko-poetyckiej tego miasta, zwłaszcza, że mam nadzieję i tą boczną ścieżką przesunąć się do głównego celu mojego pisma.

Potrzeba czytelnikowi wiedzieć, że Lwów pod względem literatury nie jest tak martwy, jak niektórzy sądzą, biorąc miarę z pary jego pism czasowych. Jest tam ruch wielki, ale tego samego rodzaju, co ruch niedzielny w niejednej stolicy. Kto ma sposobność zajrzeć we środek Lwowa, ten się zdziwi nad owym tłumem pisarzy różnej płci, różnego stanu, różnego wieku. Jeszcze przed kilku laty wrzały tam zacięte literackie spory, tak o pieśni Tetmajera, to o ballady Paygerta, to o dramata Suchorowskiego; spory te nieraz o mało się nie wylały ze szranków literackich na krwawsze pola. Już to jedno było mi dostatecznym powodem zatrzymać się nad niektórymi pisarzami, co do takich walk byli pobudką, mniej zważając, że komuś ten powód nie będzie dostateczny w piśmie krytycznem.

Przed wszystkim słusznosc wymaga po mnie kilka słów o pieśniach lirycznych Józefa Tetmajera. Prawda, że poeta, mniemając czerpać natchnienia w przyrodzie karpackiej, wysysał je z poetów niemieckich — że nie uderza w tych pieśniach oryginalnością, nie porywa potokiem nowych, niewyczerpanych myśli, że je tworzył bardziej pod wpływem filozofującej głowy, jak poetyckiego natchnienia, że w niektórych siłił się głębokie

pomysły odziać w szatę zanadto powszednią i tem odzieniem zakrył je dla czytelników, nie lubiących bardzo się zastanawiać — że istotą poezyi zdaje się zakładać albo w tej ciszy getyzmu, która tak obojętnie na otaczający ją świat spogląda, albo w humorystyce, którą wszystko do gorzkiego uśmiechu lechce — że nawet na zewnętrznym ich stroju nie widzę tych błyskotek, jakie wielu miernych pisarzy wyuczyło się rzucać na jalowy poziom prac swoich — ale też nie można zaprzeczyć pewnej melancholii, pewnej rzewności w czuciu, pewnej świeżości w barwach, co wszystko stanowi wewnętrzną wartość wielkiej części tych piosnek, a melodyi, zewnątrz je powlekających.

Dlatego nie mogę pojąć dotąd, co mogło być przyczyną, że się pieśni Tetmajera nie podobały tak bardzo, tak powszechnie. Ja przynajmniej winien im jestem jedną chwilę niezwykajnie miłego wzruszenia. Pamiętam, jak dziś, ów czas, kiedym je po pierwszy raz czytał. Odszczerpięństwo w nowej poezyi, któreśmy szkołą litewską zwali, bo wzięło barwę Mickiewicza, a celowało Odyńcem, Korsakiem i tym podobnymi, grasowało, jak zaraza; fanatyczna staranność o zewnętrzne rymowanie, a stąd mordująca jednostajność, przesada w uczuciach czy łagodnych, czy okropnych, wieczne strojenie się klejnotami Byrona, Walter-Skotta i t. d., przy których wyraźniej tylko odbijała się gędzą własnych myśli, zamieniły scenę polskiej poezyi w karnawał szalejących żebraków całą siłą pijaństwa, w które ich wprawiło pozwolenie chwilowego użycia pozorów przepychu i szczęścia, a, co jeszcze gorsza, otwarły piekło nudów. Ze strachem brałeś nowe dzieło — każde prawie rzucasz z rozpaczą, nie doczytawszy się końca. Dusza z uczuciem prawdziwej poezyi, skatowana tylu ciosami, bez przerwy po sobie idącemi, zwątpiła niemal o chwili wytechnienia, wzywała omdlenia, któreby jej uczucie tych tortur odebrało, kiedy niespodziewanie gdzieś tam z za Wisły, od Karpat, z krainy, obcej dotąd poetom polskim, jak gdyby na jej przysionku jaśniał napis Dantowskiego piekła, dały się słyszeć pieśni Tetmajera. „To coś niezłego“ — przemówiono do siebie i odetchniono. Nie, moi panowie, może tu niema nic do-

brego, ale przynajmniej odmienne od wszystkiego, czem nas raczono dotąd.

Tak mówiłem wtedy ze szczerego uczucia prawdziwej ulgi i w tej chwili wyznaję, że może przez to pierwsze wrażenie, trudno mi dziś dostrzedz owe śmiertelne grzechy, za które tak potępiono pieśni Tetmajera. Tem bardziej zaś mam w podejrzeniu krytykujących te poezye, że oni właśnie wystąpili później w obronie ballad Paygerta, w których znowu trudno mi dostrzedz prawa do takiej obrony. Ów Paygert, wysnuwający, równie, jak Tetmajer, z obcego ducha swoje poezye, nie objawiający w nich nic ojczystego oprócz kilku tytułów, ma prawie wszystkie wady Tetmajera, z dodatkiem niższości talentu i niezgrabnego wysłowienia. Czytelnicy przebaczą mi to krótkie porównanie, które w głębi nie ma innego celu, prócz roztrząśnienia dwóch pisarzy trybem odmienniejszym cokolwiek od tego, którego dotąd się trzymałem, czyli wyraźniej, urozmaicenie jednostajności mojego pisma.

Nie mogę lepiej tego oddziału zakończyć, jak pominąć resztę należących tu pisarzy, a których imiona są jedynie dźwiękiem bez żadnego znaczenia i zatrzymać się na chwilę na Stefanie Garczyńskim. Garczyński już nie żyje. Ta uwaga nie jest bez związku z moją rzeczą; jest ona niejako rękojmią ściślejszej bezstronności krytyka i zasłania go przeciwko zarzutowi, że ostrym sądem chce tłumić podnoszącą się literaturę. Kto umarł, tego już ani nagana ugryść, ani pochwałą ująć nie można.

Miejsce, dane tu Garczyńskiemu, jest jeszcze i z tego względu właściwe, że w nikim bardziej wyraźniej, Mickiewicza wyjąwszy, nie zbiegły się różnorodne naszej poezyi żywioły. Zdolności Garczyńskiego wielkie, ale na ich skierowanie ogromnie wpłynęła obczyzna. Poezye Garczyńskiego, uważane nie ze stanowiska narodowego artystowstwa, mają niepoślednie zalety. Fantazya, pełna czucia, wyobraźnia, pełna bogactw ducha, jest ich główną cechą; niemiecki mistycyzm i wszystkie w ogólności rysy zagranicznych literatur — słaba ich strona. Pomimo tych wad, pomimo większych nawet, nie możemy się wstrzymać od szczerzego żalu nad jego bardzo zawczesnym skonem pod wszystkimi względami.

VI. FRANCUSZCZYZNA.

Pomimo niepodobieństwo usprawiedliwienia sentymentalności niemieckiej, mizantropii angielskiej i oryentalizmu w poezjach pisarzy polskich, gdyby mi jednak kazano wybrać koniecznie jedno z dwójga złego, przeniosłbym wszystkie powyższych trzech rodzajów niedorzeczności nad powierzchowność, jałowość, bezbarwność płodów, wylęglych pod wpływem francuszczyzny.

Myliłby się, ktoby mniemał, że ona zgasa z moralnym skonem wyznawców przeszłego rymotwórstwa. Dziś wprawdzie nie jest to już poetyka Boala, ale tem mniej natchnienie Wiktora Hugo. Jest to rodzaj *juste-milieu* literackiego; po części ogon dawnych rymotwórczych nałogów, po części zmodyfikowane małpowanie poetów dzisiejszej Francji. U zapaśników, składających ten zastęp, jeżeli który jest komikiem, postrzeżesz głównie na celu pretensję dowcipu i śmieszenia pod formami, życiem z dawnych komedji Moliera wziętemi, nawet używanych przez niego nazwisk nie wyłączając. Jeżeli pieśniarz wesoły, to masz karykaturę Beranżera; jeżeli dumający liryk, to cię opanuje cała cikliwością jednotonnej tęsknoty de la Martina i tak dalej. Wybitniejszym nad inne, charakterystycznym rysem tego rodzaju poezji jest jeden przedmiot, który, według mnie, najwłaściwiej da się nazwać salonowością. Z samego miana łatwo go sobie wyobrazić. Jest to poezya, zmodyfikowana pod wpływem smaku wyższych towarzystw; uchowaj, Boże, scen gwałtownych, wzruszeń wstrząsających, głębokiego uczucia, a nadewszystko śmiałej, nieokrzeseanej, chropawej oryginalności — ale zato, na każdy wypadek, do każdego przedmiotu dowcipu, conceptów, komplementów, co Bóg dał.

Salonowość jest najmocniejszym jeszcze węzłem, zbliżającym dzisiejszą naszą poezję do minionego rymotwórstwa. Starzy rymotwórcy mniej więcej wszyscy byli salonowemi. Jeżeli chcemy wyobrażenia salonowości z przykładów, czytamy „Ziemiaństwo“ Koźmiana, „Rzeki“ Marcinkowskiego, ulotne Kropińskiego wierszyki o Amorku, apostrofy Niemcewicza do rozmaitych pańskich piesków,

Kicińskiego poema „Kobiety“, наконец wszystkich prawie pisarzy, składających się na „Wandę“ Dmóchowskiego. Moralna ta zaraza przełała się i na pokolenie młodych poetów, dotknęła najznakomitszych pomiędzy niemi. Salonowym jest Mickiewicz, naprzykład, w niektórych sonetach miłosnych; grzeszą salonowością Odyńciewicz, Korsak, Gosławski, grzeszą z upodobaniem przez rymowane po imionnikach, przez tytułowane do tej lub do owej koncepta; salonowemi są przydługie czasem dumania wielu młodszych pisarzy, oświadczaających miłość lub marzących o niej; salonowemi całkiem możnaby nazwać niektóre talenta, jak naprzykład Józefa Massalskiego.

Należy on do składu nowego Parnasu polskiego, a gdybym jednak musiał wymienić dzieło, które jest niczem, bez wahania się wymienilibym Massalskiego poezye. Piosenki dowcipne, powiastki zabawne, liściki, wierszami szpikowane — oto treść tego, co mi zostało w pamięci po przeczytaniu dwóch jego tomików. Jedna, jedna tylko powiastka pod napisem „Czerwony Obrazek“ przemówiła dość rzewnie do mojego uczucia.

My nie jesteśmy za pewnym krojem, za pewnym charakterem poezji, pojmujemy nieskończoną jej rozmaitość, my nie z posępnej tylko strony znamy przyrodę, i jesteśmy przekonani, że pod najłżejszym kształtem można zamknąć głębokie czucie, objawić wielkie prawdy; szukaliśmy tego w Massalskim i nie znaleźliśmy. Czyż to nasza wina? Nasza, skoro jest winą nie przestawać na płaskiej powszedności.

Najbliższy Massalskiego tą stroną poezji i jeszcze niezniośniejszy, Franciszek Kowalski. Najzaletniejszy talentu Kowalskiego przymiot — łatwość i płodność. Mimo całego usiłowania, aby obszerniej o nim pomówić, mimo licznych, ogłaszanych dorywczo jego poezji, muszę przestać na tylu wyrazach, ile jest treści w pismach Kowalskiego, przepełnionych dowcipem.

Nie sam tylko Kowalski z poetów polskich należy do rzędu pisarzy, względem których podobna wzmianka jest dostateczną recenzją, ale o reszcie zamilczę, w przekonaniu, że na to zupełną mam wolność.

Nie da się wciągnąć do tego pocztu Antoni Gorecki, i dlatego poświęcę mu kilka uwag. Imię to dawno się już rozlega po Polsce. Miało nawet chwile niepospolitej głośności — i dzisiaj zajaśniałoby obok najświetniejszych, gdybyśmy się kierowali przeszłymi wrażeniami. Ale dzisiaj tak różne od wczoraj! Ów niegdyś poeta, brzmiały po wszystkich swojego czasu pamiętnikach, dziennikach, tygodnikach — na każdej ich karcie albo swawolący bajeczką, albo palący miłosne oświadczenia baletniczkom, śpiewaczkom, wygląda dzisiaj, jak stary grzesznik: narzeka, płacze, modli się, opowiada światu swoje zdrożności, namawia cały świat do skruchy i tem samem nudzi. Nudzi nie tylko tem samem; czasami wraca do dawnych grzechów, chce znowu popustować, poswawolić, bez względu, że to wszystko, jeśli nie w jego, to w naszych oczach straciło cały swój powab, że my bardziej jeszcze, niż on sam, poznaliśmy się na grzechach jego przeszłości. Sumienie jednak nie pozwala odprawić go całkiem bez rozgrzeszenia. Talent Goreckiego miał swoje szczęśliwe chwile; napotykały w nim tu i ówdzie rzewną prostotę, dźwięki mocnego czucia. Pomijamy dowcip, gdyż przynajmniej taki, jakim się Gorecki wsławił, nie ma w sobie nic poetyckiego.

Kraży także pomiędzy nami jeszcze jedno imię wzięte a niezasłużone — Stanisław Doliwa Starzyński. Zawodem jego jest pieśniarstwo, wzorem Beranger. Usiłuje on we wszystkim schwycić francuskiego poetę i w niczem nie dochodzi, a najmniej w talencie. Pieśni Starzyńskiego nie wiele mamy; można też powiedzieć, że to jest najlepsza ich strona. Największa zaleta, jaką byśmy im przyznali, jest ta, że są pisane dla głosów i fortepianów salonowych. Szkoda, że nie wymagamy nawet podobnej zalety w płodach dzisiejszych poetów. Wyjawiamy otwarcie zdanie powyższe o pieśniach Starzyńskiego, chociaż przekonani jesteśmy, że niektóre z nich pobiłają się jeszcze jakiś czas po świecie.

Pisarz, którego zostawiłem na zapieczętowanie oddziału francuszczyzny, a o którym zacząłem mówić — lubo tu należy ciałem i duszą, z tem wszystkim odróżnia się od reszty zastępu fizyonomią swojego zawodu. Jestto Ale-

ksander hr. Fredro, jedyny, jak utrzymują nasze gazety, komik polski. I w samej rzeczy Aleksander hr. Fredro jest pisarz niepospolity; lat już kilkanaście śmiechy on polską publiczność: napisał wiele pomniejszych wierszyków, nawet utrzymują, za co nie śmiem ręczyć, że ballada w „Meliteli“ jest jego pióra. A gdy waham się, czy tak jest lub nie, mimowolnie przychodzi mi na myśl, co w pewnym wypadku Kollataj do hetmana Rzewuskiego napisał. „Gdy biorę pióro w rękę (słowa są Kollataja), muszę zapomnieć o imieniu, pod którem dzieło to (przeciw któremu Kollataj pisze) wyszło, a wiedząc, iż ten, co na widok powszechności zdanie swoje wydaje, jest w rzędzie pisarzów, o których każdy podług swego przekonania sądzić ma prawo — pismo JP. Hetmana uważam, jak bezimienne, abym okazał, iż do rzeczy, nie do autora mówić będę.“ I w tej chwili nie zdało mi się nic właściwszego, jak cały ten peryod zastosować do pisarza, o którym będę mówił, z maleńką wszakże odmianą, na którą i sam Fredro zapewne przystanie, a ta jest, że będę mówił do autora, jak do autora, nie zaś, jak do rzeczy.

Jest ruskie przysłowie, które powiada: „nie ródź się pięknym, ale szczęśliwym“¹⁾ — jakoby chciało powiedzieć, że częstokroć przyczyny powodzenia są niewytłumaczone, że nie chęci czyste, nie zasługa prawdziwa, ale zbieg okoliczności, niezależny od woli ludzkiej, wpływają na pomyślność, na chwałę człowieka. Duchem tego przysłowia najlepiej da się określić zawód Fredry. Niejeden znakomity pisarz mógłby zazdrościć tej wziętości, jaką jednali sobie i w jakiej utrzymują się jeszcze dotąd jego komedye; chociaż, obejrzone na wszystkie strony, nie pokażą do niej żadnego prawa.

„Złośliwe bluźnierstwo! — zawołają wielbiciele; Weź je tylko i czytaj! Jaki wiersz gładki, jaki dowcip! Potrzeba pękać ze śmiechu na każdej karcie!“ Prawda, jest to jedyna zaleta, którą ludzie, sądzący z powierzchowności, bronić mogą komedyi Fredra przeciw dzisiejszej krytyce, ale i ta nawet broń — jakże niedostateczna!

¹⁾ Ne rodysia krasnym, a rodysia szczasnym.

Wiersz gładki w ogólności nie jest najwyższym poezji warunkiem, a co do Fredra, jego wiersz gładki jest to wymanianie języka trybem francuskim, bez oryginalności, bez indywidualnej barwy, bez odcienia charakterów. Płynny, jak woda, ma też smak wody; nie znajdziesz w nim tej jedności, tej mocy, tego wdzięku, jakie ujmują w znakomitszych naszych pisarzach, prawdziwie po polsku, z prawdziwym talentem piszących. Równie i dowcip nie stanowi komedyi, a tem mniej nie tworzy poety; można słynąć najdowcipniejszym w świecie człowiekiem, a nie być poetą; można być poetą, a nie mieć zgoła dowcipu — gdy tymczasem komedya, według nas, poezją być powinna. Wreszcie stara bajka: że komedya cel swój osiągnęła, skoro rozmieszyła — zginęła wraz z owym przesądem, że ta tragedia jest doskonała, w której na żadnych ustach uśmiechu nie zobaczysz.

O dowcipie Fredra i to jeszcze powiemy, że wpada w karykaturę. Całe jego komedye karykaturami nazwać by można. Weźmy np. „*Nowego Donkiszota*“. Czemże on jest właściwie? Pomysł niezgrabny, wypadki nienaturalne. Ów Karol, pragnący wrócić dawne rycerskie czasy, jest-że w duchu dzisiejszego wieku? Ma-ż jaką styczność z dzisiejszymi obyczajami? Widny-ż w tem cel jaki? Może mi kto odpowiedzieć, że „*Nowy Donkiszot*“ jest alegorią, że właśnie wiek dzisiejszy ma na celu, i powtórz mi na dowód owe wiersze:

..... trzeba być waryatem,
Aby chcieć świat przerobić, walczyć z całym światem.

Na to umilknę. Ale zapytajmy się głębi serc naszych, co myśleć o poecie, który wojuje podobnemi prawdami; co by się stało ze szlachetnemi uniesieniami, gdyby podobne prawdy kierowały ludźmi? Niemoralność, poziomność uczuć jeszcze trudniej wybaczyć poecie, jak karykaturowanie zdarzeń.

Obok tej wady błedną inne, panujące w komedjach Fredra, jako to: niedołężne cieniowanie charakterów, powszednia nienaturalność i deklamacya w rozmowach, naśladownictwo, a niekiedy żywe przyswajanie włoskiego lub francuskiego teatru, wieczne tegoż samego ducha

i kształtu dowcipki bez względu na charakter, na położenie osoby — jednostajność stylu, oklepiane miłosne intrygi, jednym słowem, wszystkie nedorzeczności pseudoklasycznych komedyi.

Nie dotknęliśmy jeszcze narodowości. Że komedye, pisane dla narodu, powinny schwytywać i wydawać treść jego życia z właściwej swemu powołaniu strony, na to się każdy zgodzi, kto przyzna, iż komedya nie jest dziecinem cackiem, ale jednym z najdzielniejszych środków wychowania i ukształcenia narodu. Że komedye Fredra nie odpowiadają temu celowi, że są nienarodowe, o tem lepiej, niż najdłuższa rozprawa, przekona odczytanie ichże samych. Nazwiska polskie nie są tem samem, co charaktery polskie; kilka osób, kilka scen narodowych nie rozleją barwy narodowej na wiersze czterech tomów; paszтет przysłów, bez związku z charakterami i z całością dzieła, jest tylko słownikiem przysłów; miłosna strona narodu jest to rys jego kosmopolityczny — a to jest właśnie wszystko, co ma stanowić polskość komedyi Fredra. Ale cnoty, wady, śmieszności, charaktery pojedyncze, fizyonomia ogólna, zgoła, cokolwiek tworzy pomniki prawdziwie narodowej indywidualności, tego na próżno-byś tam szukał.

Kiedy więc takie zarzuty ciążyą na komedjach Fredra, skąd-że to w nich upodobanie? Wymienimy parę przyczyn główniejszych. Jedna, że talentowi Fredra, jakkolwiek podrzędnemu, potrzeba przyznać dowcip, wesołość, łatwość wierszowania i kilka miejsc, godnych znakomitego pisarza; druga — jest ubóstwo polskiego teatru. Kiedy z jednej strony milczenie talentów, pojmujących swoje powołanie, usprawiedliwione przekonaniem, że dzieło, napisane według ich pojęć, stosownie do dzisiejszych potrzeb, niełatwo-by uzyskało wstęp na scenę, otwiera zawód takim, jak Fredro, komikom, z drugiej naród łaknie dramatycznej poezyi, przyjmuje więc jak, zgłodniały nędzarz, cokolwiek rzuci w próżne jego sakwy, bodaj kawał spleśniałego chleba, bez względu, czy ten datek pochodzi z czystej miłości bliźniego, czy z chęci pochłubienia się przed światem, czy towarzyszy jemu troskliwość, ażeby właściwym był pokarmem; przyjmuje wszystko

i, biedny, jeszcze daje oklaski. Trochę czasu, trochę więcej oświaty, a będziemy skąpsi w oklaskach dla komedyi takich, jakimi są Fredrowe.

Aleksander hr. Fredro bywa niekiedy i romantykiem. Pokazał to w swojej powieści „*Kamień nad Liskiem*“. Niektórzy utrzymują, że „*Kamień nad Liskiem*“ jest parodią powieści, osnutych na podaniach gminu. Jeżeli tak jest, to parodia wcale się nie powiodła i jest właściwie parodią chęci parodywania; jeżeli tak nie jest, to „*Kamień nad Liskiem*“ nie zasługuje na wzmiankę i miejsce pomiędzy powieściami narodowymi.

Dramatyka jest może najwybitniejszym rysem dzisiejszej literatury. Nowocześni krytycy powszechnie prawie utrzymują, że charakter poezji naszego wieku jest dramatyczny i stanowi w niej epokę, różną od wszystkich, przez które dotąd przeszła — wcale więc nie wyrzucam sobie przydłuższego zatrzymania się nad pisarzem, wyobrażającym niejako jej stronę komiczną.

VII. ORYENTALIZM.

Zdaje się, że było przeznaczeniem Mickiewicza przedstawić tak dobrą, jak złą stronę rodzącej się naszej poezji we wszystkich prawie niemal jej odcieniach. Nie idzie za tem twierdzenie, że Mickiewicz był wzorem wszystkich poezji, które w duchu „*Dziadów*“ wyszły, że jego kreaturami są tacy pisarze sonetów, jak Kamiński, Łapsiński, Kajsiwicz, Garczyński, że za jego przykładem rzucili się do wschodnich poezji Chodźko, Borkowski, Korsak. Nie — Mickiewicz w tym względzie nie był lepszym od innych; z duszą bardziej, że tak powiem, przedsiębiorczą, z sercem znakomitego poety, rzucał się on tylko śmieiej, niż inni, w ten zamęt niepokodzonych, pasujących się żywiołów; przyjął łatwiej wrażenie jednego z nich i wytknął nową niby drogę pseudo-universalnego geniuszu, a ciżba dalej za nim. Mickiewicz tylko przodkował, zdobył zasobami swoich zdolności poetyckich potwory krzywego dążenia i przez to obłąkiwał innych. Z tego więc względu nie ma większej chwały, jak drudzy; naśladowano go, jako naśladowcę.

Jednakże, gdyby za takie grzechy dawano przebaczenie, Mickiewicz ma do niego prawo przez większe naprzód zdolności, potem, że pierwszy się narażał na przebieżenie dróg nieznanych, nakoniec, że, poznawszy niewłaściwość zawodu, rzucał go i niejako zapominał o nim. Inaczej postępuje orszak Mickiewicza: stroją się oni w porzuceny przez niego łachman, jak w świąteczną szatę, i jeszcze nie dają się przekonać, że to tylko łachman.

Między zboczeniami naszej poezji, między żywiołami, zwiększającymi jej chaos, ważną gra rolę przyswojona poezja wschodnia. Nie zaczepiając starych rymotwórców (między innymi Niemcewicza), których sny o poezji wschodniej zostały bez żadnego na dzisiejszy czas wpływu, Mickiewiczowi potrzeba przyznać, że on pierwszy zaszczerpił orientalizm w naszą literaturę „*Krymskimi sonetami*“, a na „*Farysie*“ i przekładach kilku kasyd podniósł go do godności wzoru. Po nim wystąpili Aleksander Chodźko, Julian Korsak, Józef Borkowski, Łapsiński itd.

Aleksander Chodźko przełożył wielką część poezji nowogreckich według zbioru Fauriela, wysztukował ze wschodnich wykąsków powieść pod napisem „*Dera*“ we dwóch kasydach, przedstawił po polsku kilkanaście mniejszych poezji to z perskiego, to z innych wschodnich języków, i został oryentalno-polskim wieszczem. Dopelnieniem tomu jego poezji są: kilka tłumaczeń z Byrona, kilka tłumaczeń z rozmaitych słowiańskich narzeczy, kilka wierszy oryentalnych, między którymi dwa lub trzy narodowe, a jeden, mający prawdziwe zalety jako pieśń ludu, pod napisem „*Maliny*“.

Z tego widzimy, że Chodźko nie powinien się liczyć do oryginalnych poetów, jedynie jako tłumacz, może on zajmować stanowisko w literaturze polskiej. Co się tyczy zdolności Chodźki, w tem odsyłamy czytelników do jednej improwizacji Mickiewicza, gdzie Adam przepowiada proroczym duchem Olesiovi, że jego drobność kolibryczną weźmie pod swoje orle skrzydło, wyniesie wysoko i tym sposobem uwieczni dla potomności.

Józef Borkowski, jako poeta, mniej ma zasług od Chodźki. Jego dwie czy trzy poezye oryentalne, umiesz-

czone w „Ziewonii“, nie dają nam prawa sądzić go obecnie, chyba pod względem dążenia jego Muzy nowogreckiej. I na tem jedynie spoczywa jego prawo do wzmianki w tem miejscu.

Jeszcze mniej waży Julian Korsak. Powieść turecka „*Bejram*“ gorsza jest od innych jego poezyi, gdyż talent Korsaka należy do rzędu tych, które, zamiast wyżej coraz szczeblować, spuszczają się każdym, niby nowym, pomysłem o jeden stopień ku dołowi.

Nie mogę właściwiej dopełnić obrazu skrzepło-orientalnej literatury, jak włączeniem do niej sonetów Łapsińskiego, mało zapewne znanych, a których rozjaśnić światu nie mam odwagi. Jest to coś nakształt sonetów krymskich, tylko że ich natchnienie wypływa z trumien królów polskich. Można sobie wyobrazić, jaka harmonia musi panować między uczuciem Polaka z jednej strony, a barwą orientálną z drugiej, jak muszą wyglądać groby krakowskie pod wschodnimi turbanami. Tym pomysłem dowiódł Łapsiński, do jakiego stopnia, kiedy kto zechce, potrafi nad lodami Wisły rozpaść się tureckim słońcem.

Nie śmiem podsuwać za nieomyślne powodów własnego domysłu poetom, puszczającym się drogą cudzoziemską, a w szczególności naszym orientálnym pisarzom; następne jednak nie będą, zdaje mi się, zupełnie chybne.

Przykład cudzoziemców, oziębłość na przedmioty miejscowe, chęć zabłyśnięcia nad innemi, chociażby na stanowisku najniewłaściwszem, niekiedy wyrozumowany zamiar korzystania z owych cieni, w których zakopcony kagańczyk gwiazdą się wydaje — oto, według mnie, treść przyczyn, które część naszych pisarzy rzucają w dalekie od Polski kraje. Naród zazwyczaj zna lepiej siebie, niż inne narody, potrafi zdrowo oceniać prace treści miejscowej. Zaszum-że nad nim orkanem, stwórz mu tajemnicą wschodniej wyobraźni z ziarnka piasku piramidę, podnieś widmo klefta nad biesiadą szakalów, a otworzy oczy i usta, zdumieje się, będzie mniemał widzieć ognisty, oryginalny talent, i niełatwo się znajdzie, jak dzisiaj, jak u nas, ktoby dowiódł, że to słaba tylko kopia, a najczęściej pocziwe przepolszczenie tego, co z mowy wschodniej przefrancuzili de Sacy lub Fauriel.

Niech, co chcą, robią nasi orientaliści, my, nieświadomi Wschodu, będziemy zawsze mieć w podejrzeniu prawdziwość i oryginalność ich utworów, będziemy zawsze utrzymywać, że mierne, pospolite rośliny na ojczystej niwie pragną się nadstawić sztucznemi listkami kwiatów wschodnich, że, niezdolni uczuć piękności, do których są przywiązani bytu swojego najdroższymi węzłami, chcą nas przekonać zimną kompilacją bezdusznych przesadni albo porównań obcej nam przyrody, jakoby w ich sercach płonęła ku arabskim krainom miłość, zdolna przesiąknąć owych stref poezją. Przed stu laty poezya ta mogłaby jeszcze mieć jakieś usprawiedliwienie w bezpośrednich wpływach takich stosunków — ale dzisiaj? Dzisiaj, o ile nie jest historycznie wpłątana w osnowę wypadku, wyjętego ze wspólnej przeszłości, o tyle jest czczem bawidełkiem, nie więcej wartującym u nas, jak świętej pamięci francuski klasycyzm — i tyle tylko ma dla nas ceny, ile jest czystonaukowym przedmiotem.

VIII. ZAMKNIĘCIE.

Na tem kruszę pióro! Jakto? Więc już nie mamy poetów, oprócz wymienionych? O, mamy jeszcze, i usłyszeliście ich nazwiska, gdybyście się zgodzili, abym wszystkich, ale nazwiska tylko, wywoływał, jak z listy apelu, gdyby warunki krytyki pozwoliły na to. Cieszymy się z podobnych przeszkód, zwłaszcza, że oni sami z łatwością przystaną na zastosowanie do nich, jak do umarłych, owej pocziwej maksymy: „aut bene, aut nihil.“

Pozostaje mi teraz zebrać w ogólny widok całe ciało naszych poetów i zmysłowo je przedstawić. Niech tedy czytelnicy wyobrażają sobie, że poezya polska leży przed moją myślą, jak niebotyczna góra. Okolica jej stopy, najniższa jej okolica, nosi na sobie wszystkie piętna indywidualności swojego kraju. Rośliny, drzewa, wody, zwierzęta, jednym słowem, całe podniebie może mglistsze, może drobniejsze, może nie tak piękne, jak gdzieindziej,

ale zrozumiane i rozumiejące, i to jest żywioł, to świat, to plemię poetów sławiańsko-polskich. Wyższą strefę zajmuje poezja naśladownicza. Masz tu pewien zamęt, pewne rozmaitych okolic pomieszanie, płody, wspólne wszystkim niemal krajom, wszystkim górcom tej wysokości. Tu cię zaskoczą mgły, w których na zawsze zgubić się można, tu udręczą ostateczności zimna i ciepła, tu, obok najpiękniejszych polan, przepaście i jałowość, obok najbujniejszych roślin granica, karłami wytknięta jednym słowem, wszystko, co piętnuje w tej wysokości góry całego okręgu ziemskiego. Nad tą strefą przyroda drętwieje: gdzieś tam tylko samotny kwiatek; jeżeli drzewo — to poziomy kozodrzew, jeśli murawa — to mech islandzki, bezwonny, bezsokowy; jeżeli woda — to lodem pokryta, albo pełzająca po nagich skałach ślimaczą wilgocia — a im wyżej, tem coraz mniej życia, barwy, wdzięku, dopóki się nie rozleją w zupełną ciszę, nagość i martwość. W tej strefie żyją poeci... Żal mi ich wymienić.

Zbliżając się do końca mojej rozprawy, chcę jeszcze dotknąć najważniejszej rzeczy, która z niej wynikać musi: są to zarzuty, jakie ją spotkają niewątpliwie. Nie uprzedzać zarzutów może ten, kto się nie domyśla, ale, ktokolwiek spotyka je przecuciem, taki wczesnem ich podniesieniem i odpowiedzią powinien, o ile może, wyręczyć przysięgaczy.

Naprzód tedy niejeden z czytających tę rozprawę (a po większej części będą to ludzie gorliwi o chwałę polskiej poezji) zawoła z oburzeniem: „Cóż, u diabła, same nagany! Ten krytyk odsądził naszych pisarzy młodych od czci i wiary; ktoby mu zawierzył, ten-by musiał przysiąc, że nie mamy poezji — musiałby zadać kłamstwo swoim i obcym, którzy dziś właśnie poznali nas z tej strony i wielbią.“ Podobny zarzut nie jest obojętny — i przeto odpowiadam, że nie uznaję naszej poezji za taką, jaką być powinna, do jakiej widzę leżące już w naszych poetach zarody. Że jej nie uznaję za czystopolską, tego się wcale nie wypieram, ale razem oświadczam, że pomimo skrzywionego na chwilę kierunku, pomimo rażących niedostatków nie mam jej za niższą od poezji nowocze-

snej innych ludów, Anglię wyjąwszy. Powiem więcej: — poezja polska pod wielu względami ma już stanowczo górę nad obecną francuską i niemiecką. Zaspakaja mię więc to przekonanie, że, jak rozbieierałem poetów polskich bez zamiaru ubliżenia chwale narodowej poezji, tak też odkrycie ich uchybień nie poniżyło jej w oczach świata.

Błędy, wytknięte pojedynczym talentom, znikną przed wielkością naszej poezji, w całym jej ogromie obejranej. A wytknąć te wady, ostrzedz o nich naród, sądzę być świętym obowiązkiem i dla mnie i dla każdego. Nie mam wcale zarozumiałości uczyć pisarzy, którzy niewątpliwie, bez porównania i więcej mają zdolności i więcej, niż ja, zasług położyli — ale każdemu wolno pójść za rozkazem swojego sumienia, przemówić wobec publiczności, podać najwłaściwsze w swoim przekonaniu środki, a, co ważniejsza, każdemu wolno mieć zdrowsze poezji pojęcie, jak je ma niejeden poeta. Cokolwiek więc powiedziałem tutaj o naszych pisarzach, powiedziałem z miłości ku nim, powiedziałem z pilnego zastanowienia się nad powołaniem tej sztuki. Wolno zgodzić się na moje zdanie lub je odrzucić, ale potępić niema dostatecznych powodów.

Drugiego zarzutu może być źródłem opaczne rozumienie tych miejsc, gdzie utrzymują, że od naśladowania starych Francuzów zwróciliśmy się ku naśladowaniu Byrona, Goetego lub tym podobnych. Jedni w dobrej wierze, drudzy wykrętnie mogą mi powiedzieć: „Czyż podobna nie spotkać się w myślach z Byronem?“ — Ale ja nie to nazywam naśladownictwem, nie takie naśladownictwo potępiam w naszych pisarzach. Że jedno myśleć można z Byronem, że, jako ludzie, jesteśmy wszyscy do siebie podobni, to nie może być przedmiotem najmniejszego sporu; odrzućcie jedynie z pism waszych to, co jest właściwą, główną cechą indywidualności Byrońskiej, wypędźcie z nich tego ducha, który wypłynął z jego namiętności, jemu tylko właściwych, z jego życia, z jego stosunków ze światem. Niech Byron wpływa na was, jako człowiek, ale nigdy, jako Byron, jako Anglik, jako osoba. Co się powiedziało o Byronie, to zastosujcie i do innych waszych wzorów.

I ci także będą mieli za sobą pozór, którzy mię zgro-

mią, że zamiast roztrząsania krytycznego dawałem raczej wyroki. Tak jest, ten był właśnie mój zamiar. Objawilem go na pierwszych kartach mojego pisma, wymienilem stanowisko, z którego zapatruję się na poezję, nakreśliłem warunki poezji narodowej i według tego przedstawilem czytelnikom naszych poetów. Odbywać operację krytyczną w najdrobniejszych jej szczegółach — tego w podobnem piśmie nie godziło mi się ani obiecywać ani, obcawszy, dotrzymać. Dla mnie dość było pokazać czytelnikom wynikłości mojej roboty i postawić ich na takiej drodze, aby tę robotę sprawdzić mogli.

Będą nakoniec tacy, którzy się posuną aż do zarzucania moim zdaniom fanatyzmu pod względem poezji polskiej, idealizowania jej mistycznego. Przeciw podobnym kłáwtom niech mię zasłoni to przekonanie, że, dążąc do celu tak półziemskiego, półniebieskiego, jak jest poezya, nie będzie od rzeczy przypuścić w nim wszystkie możliwe doskonałości i siebie stosownie podnosić, a gdyby się komu zdawało, że można się zgubić w takiej teorii, temu wręcz oświadczam językiem ziemskim, zrozumiałym, iż nic więcej nie wymagam, jedno to tylko, żebyśmy mieli naszych Homerów, Ossyanów, Walter-Skottów nawet, ale naszych polskich.

Bądź co bądź, czy przewidziałem lub nie wszystkie zarzuty, czy-m dostatecznie lub niedostatecznie odpowiedział na nie, czy dałem do nich powód lub nie dałem, wszystko to jest rzecz podrzędna w tem piśmie; wracam przeto na główną drogę i tak kończę:

Szanowni poeci-naśladowcy! Moznaby do was zawołać, jak do owego rycerza z la Manki: Poco się rzucać w obce strony? Poco szukać tak daleko pani swoim myślom i błąkać się i trudzić i cierpieć dlatego tylko, żeby wrócić do swojej wioski z bliznami poniewierki, z których żadna nie nosi piętna chwały lub korzyści powszechnej, kiedy tu, pod waszym bokiem, przed waszem sercem, przed waszą duszą i kochanka taka piękna i trud nieprzepracowany i długowieczna chwała prawdziwego szczęścia i życia!

Poeci-rodacy, porzućmy tę drogę, wyklnijmy wszelką obczyznę, odłączmy z naszej literatury mieszaninę euro-

pejską, pokażmy tę literaturę świata w całym jej blasku rodzimym! Alboż to mało poezji na naszej ziemi, w naszych dziejach, w istocie narodu naszego? Zbliźmy się tylko do niego, zanurmy się w jego głębię, poznajmy wszystkie tajniki jego wnętrza, a na każdej stopie tej ziemi, w każdym wierszu tych dziejów, pod każdym odzieniem, znajdziemy osnowę najszczytniejszych utworów, przedmioty, godne największych artystów; przez wieki nie zdołamy wyczerpać naszych zasobów. Stworzymy rzeczy większe, głośniejsze wpoprzek świata nad to wszystko, co dziś takim podziwem razi nasze umysły u Anglików, Niemców lub Francuzów. Staniemy na równi, a we właściwym sobie stanowisku z klasycznymi Grekami, będziemy mieć prawdziwą poezję. Jeśli wam polskich rzeczy za mało, to ogarnijcie, wyczerpujcie całą Sławiańszczyznę, Sławiańszczyzny wielkie pola, sławne dzieje, a wtedy rozlewajcie się sobie na świat cały.

Czuję ja zarówno z wami, że barwa dzisiejszej polskiej poezji była niemal koniecznym wypływem przyczyn, na które nie zwracaliśmy uwagi. Ale już minęły czasy doświadczenia — nadchodzi doba korzystania z przeszłości. Wszelkie błędy dotychczasowe w literaturze naszej usiłujmy nagrodzić, obróćmy odtąd całe starania do tego, aby odpokutować grzech długiego lekceważenia.

1835.

„TRZY WIESZCZBY“¹

LUCYANA SIEMIENSKIEGO (PARYŻ 1841).

Poema Lucyana Siemieńskiego pod napisem „Trzy Wieszczby“, wyszła w tych dniach z druku, jest zjawiskiem niepospolitą w piśmiennictwie polskim. Należy ono do rzędu utworów, których ukazanie się podnosi budowę sztuki o jeden stopień wyżej, z których rozrasta się wiekami, listek po listku, nieśmiertelny wieniec chwały narodowej. Zagać sąd opinii powszechnej w sprawie podobnego dzieła, ułatwić pierwsze porozumienie się między narodem a jego twórcą, miłym jest obowiązkiem krytyki. Spieszymy go dopełnić ze szczerem zadowoleniem, żeśmy nie wyprzedzeni od nikogo w tej pracy.

Próbą wartości wszelkiego czynu, jakiegokolwiek byłby on porządku, jest konieczność jego w szeregu społecznych mu zdarzeń. Od prawa tego nie wyłącza się nawet świat sztuki; jak ów świat w ogóle swoim musi przypadać do miary ogółu życia narodowego, tak równie każdy jego szczegół musi zajmować miejsce w odpowiedniej sobie chwili tego życia. Wynalezienie tego miejsca czyli, co jedno jest, pojęcie myśli właściwszej swojemu czasowi jest jednym z najważniejszych zadań poety; wypełnienie chwili danej zasługą, a wypełnienie jej utworem mniej więcej właściwym, daje miarę o mniejszej lub większej potędze talentu twórcy. Moglibyśmy tę myśl obszerniej rozwinąć i poprzeć ją powszechną historią poezji, ustawiwszy w jednym szeregu największe genjusze, a w drugim najpowszedniejsze rymopisy, jednych i drugich z ich dziełami; ale łatwo widzieć, że ten kierunek za dalekoby nas odprowadził — dlatego pozwolimy sobie przestać na

powyższym ogólniku, w przekonaniu, że wszyscy równo z nami czują konieczność rozumowego powodu przy każdym czynie, a tem samem przy każdym utworze sztuki, i uwagi nasze nad „Trzema Wieszczbami“ zacząć z tego naprzód stanowiska.

W ogólności, każdy naród, jak pojedynczy człowiek, ma swoje sny niepojęte, prorocze, widzenia, przeczucia, ma swoją tajemniczą stronę. I może-ż być inaczej? Był narodu w tej przestrzeni, która jest nieskończonością, w tym czasie, który jest wiecznością, w tej otchłani tajemnic, która go zewsząd ogarnia, jakkolwiek długi i wydatny, czemże jest z całą swoją rzeczywistością?

Czemże jest to wszystko, co wiemy, obok tego, czego nie wiemy? Niczem prawie. Wyznanie to nie krzywdzi rozumu. Ma on swoje miejsce, którego mu nikt nie odejmie. Rozum jest to człowiek ziemi, człowiek bytu doczesnego pomiędzy kolebką i grobem; rozum są to ziemskie sprawy człowieka, sprawy, kończące się u grobu: tam jego miejsce. Ale i tam jeszcze niech będzie pokorny; cała przepaść, w którą on spojrzeć nawet nie może bez zawrotu głowy, jest dziedziną wiary. Wiara jest jego punktem wyjścia, wiara najwyższym jego szczytem; niech uderzy największą długością swojego promienia w którykolwiek punkt tego obwodu, a wszędzie padnie złamany uczuciem swojej nieudolności. W istocie, tajemnicza strona narodu ze wszystkimi swoimi zjawiskami nie tylko, że jest wrodzoną, ale konieczną. Jeżeli naród szczęśliwy traci niekiedy wiedzę tej tajemniczości, jak człowiek, którego pomysłowości i uciechy doczesne zanurzyły całkiem w życiu ziemskim, zmysłowem, to, przeciwnie, naród uciśniony ma jej uczucie tem mocniejsze, im kłęski jego są większe. Zwracając się wyłącznie do Polski, widzimy naprzód, że od wieków jej oblicze, jej stanowisko pośród Europy i jej powołanie było, że tak powiemy, mistyczne. Najprozaiczniejsze kroniki, jak są nasze, po największej części nie potrafiły zatrzeć tego piętna na jej żywocie. Od czasu, jak dwaj goście niebieskiego pochodzenia wprowadzili ją w osobie Piasta na scenę dziejów, od czasu, jak Chrobry przyjął z rąk anioła żelazo walki, szła ona po oddzielnej drodze między ludami, samotna prawie po-

¹ Artykuł ten ukazał się w czasopiśmie „Demokrata Polski“, Paryż, w zeszytach z 30. września i 18. października 1841 r.

między niemi przez swoje przymioty, przez swoją myśl społeczeńską — grzeszna, ilekroć w ślady obce wstąpić chciała, a zawsze obojętna na korzyści ziemskie, ujmująca gołębiczą prostotą i dziecięcą dobroduszością, cierpiąca swoim ludem, wzniosła poświęcaniem się dla drugich, mimo to nienawidzona od wszystkiego, co ją otaczało — istna posłanka jakiejś wyższej woli, wcielenie jakiegoś słowa, w którym złości starego świata śmierć swoją widziały, coś, наконец, przez pół nadziemskiego; cała też jej historia jest takim poematem czynów, na tak wzniosłej myśli osnutym, że podobnego jemu żaden może naród nie przedstawi. Nieszczęścia rozwinęły to usposobienie jeszcze silniej. Kiedy choroba obali ciało, kiedy je cierpienia strawią, kiedy krew wytoczona rozleje po nim spokój omdlenia, dusza wtedy bierze przewagę, buja swobodnie między ziemskimi i nieziemskim światem: albo ma widzenia, albo jest na ich drodze. Polska, odępnięta od całej prawie ziemi, opuszczona od reszty, skatowana w całem cielem, całem ciałem cierpiąca, ucieka duszą przed nadzwyczajnymi klęskami ze zwyczajnego świata; nie znajdując na nim wsparcia, nadziei, pociechy, wzmocnienia swojej wiary, szuka ich w świecie tajemnic; potrzebuje widzeń, objawień, cudów, natchnionych ludzi, prorocत्व — i ma to wszystko, a przynajmniej miała. Ale jeżeli na czem, to na masie ludu widać najdobitniej ten stan duszy narodowej, to dążenie, te potrzeby. W nim czucie góruje zawsze nad rozumem, bierze popęd do nadzwyczajnych czynów od czucia, nie od rozumu, w nadzwyczajnych przeto nieszczęściach przemawiamy raczej do jego wiary, jak do przekonania. Tak się zapatrywał pisarz „Trzech Wieszczb“ na lud polski, na jego potrzeby — w podobnym widzeniu rzeczy wyjął powód do utworzenia swojego poematu — z tego źródła wypłynęło pierwsze jego natchnienie. Jest ono wzniosłe i mądre, bo zamyka w sobie pojęcie czasu, narodu, zrozumienie ludu w jego posłannictwie, miłość ku niemu i wiarę weni. Artysta, który staje odrazu na tem stanowisku, daje już pewną rekojmią wielkości swojego talentu.

Zobaczmy teraz, jak tę myśl rozwinął. Natchnienie jest rzecz ważna, żywotna we wszelkim utworze, ale równie

ważnem jest wykonanie. Można zmarnotrawić najpiękniejsze natchnienie, jak najbujniejszy pierwiastek życia; dopiero użycie natchnienia, wcielenie go w postać widomą, dopełnia dzieła, pokazuje nam artystę w jego wartości rzeczywistej.

Nie potrzebujemy ostrzegać czytelników, że Siemieński przez swoje poema nie mierzy w nadzwyczajne powołanie proroka. Siemieński wziął tylko z wiarą ludu historyczny jego materiał, ożłocił go w ogniu własnego natchnienia i ukształtował w utwór poetycki, odpowiedniejszy pojęciu i smakowi narodowemu, jak pierwotworna ich surowość. Materiały poematu Siemieńskiego były to szczegóły oderwane, dotykające pewnych, mniej obszernych epok życia polskiego, błyszczące odłamami myśli polskiej: Siemieński związał je wzajemnie, przeprowadził przez wszystkie jeden główny pomysł i wystawił jedną harmonijną całość. Jego zatem poema w ogólnym swoim widoku wyświeca życie Polski w najważniejszych jej chwilach, od Zygmunta Augusta czasów aż do naszych i poza nasze czasy, a w ostatecznym słowie poematu zamyka się cała Polska, bo nawet rozwiązana zagadka jej przyszłości według wiary ludu, według jego proroków.

Przystąpiwszy do bliższego rozpatrzenia się w poemacie Siemieńskiego, widzimy i tutaj głęboki rozmyśl i bystre oko artysty. W życiu Polski trzy są żywioły, trzy sprężyny jej losów, wydatniejsze przed wszystkimi innemi: władza narodowa, uświetniona pozorami monarchizmu, szlachta, to jest naród polski, w stanie jeszcze, że tak powiemy, poczwarkowatym, наконец lud polski czyli tenże naród w zupełnem rozwinieciu swojej myśli. Każda też ze trzech wieszczb opiera się głównie na jednej z tych trzech myśli: pierwsza prorokuje o królach, aż do ostatniego z nich — druga maluje rozprężenie się i upadek Polski szlacheckiej — trzecia rozpala nad gruzami przeszłości gwiazdę ludu i wyprowadza Polskę, duchem ludu wskrzeszoną; właściwie ostatnia tylko jest prorocत्वem, dwie drugie mówią o czynach, dokonanych już dla nas. Mimo to noszą słusznie nazwanie przepowiedni, i nie można im zrobić zarzutu, że są łatwemi prorocत्वami przeszłości, bo, jak jedna, tak druga, osnute na zabytkach historycz-

nych, które w swoim czasie były rzeczywistymi prorocztwami. Jeśli dziś nie mają pod tym względem dawnej ważności, to są konieczne w całości poematu, jako świadectwo ostatniemu prorocztwu, nie spełnionemu jeszcze. Przez tę przeszłość, postawioną obok przyszłości, objawienie tego, co ma być, wychodzi już z rzędu marzeń, nabiera pewnego prawdopodobieństwa, pewnej uroczystości, ukrzepia wiarę w przyszłość pożądaną.

Dopełnimy tych uwag i jaśniej wykażemy zalety poematu w następnym przeglądzie jego treści.

Poeta otwiera dusze czytelników uroczystym godłem, wziętym z objawienia Świętego Jana: „Nie pieczętuj słów prorocтва ksiąg tych, gdyż czas blisko jest” — i z poezji słowiańskiego poety Kollara:

Wszystkich światów klęski i gorycze
Zagniewano na nas niebo zwali,
Jeśli ludzkość nie postąpi dalej.

Pierwsza wieszczba nosi napis: „Horoskop”; stosuje się ona jedynie, jakeśmy już powiedzieli, do losów Polski, kierowanych władzą królewską.

Poeta, oparty na historycznych słowach Łukasza Górnickiego, kładzie tę wieszczbę pod kształtem powieści w usta jednego ze starych domowników Zygmunta Augusta. Widzimy tu jedną z najpoetyczniejszych postaci między naszymi królami w chwili najpoetyczniejszej, bo w chwili konania, właśnie w stanie duszy najstosowniejszym do przyjmowania objawień przyszłości; błysk ten może być pożądanym, uroczystszy, jaśniejszy, jak w ciemnościach, podnoszących się z grobu? Zygmunt August spoczywa na łożu śmiertelnym, wysila się jednak na życie, chce jeszcze raz napatrzeć się rysom najdroższej swojej Basi, czeka dworzanina, który ich wizerunek ma przynieść. Otoż i on przybywa — zostają sami — drogi obraz już jest w ręku króla — na to jedynie, aby skupieniem całej rozkosznej przeszłości rozpalic gorączkę życia do stanu zdrowia, po raz ostatni, i usposobić go do ważniejszej sprawy, do zobaczenia przyszłości państwa. W tejże skrzynce, która jest składem pamiątek drogich sercu, zło-

żono także pergaminy wieszczce. Na rozkaz króla wydobył je dworzanin z kryjówki, zamalowane dziwnymi znakami i czyta:

Cichy sługa sług Pańskich, opat z Jędrzejowa
Berejus, propheticco spiritu natchniony,
Wiedzion chwałą kościoła i zdrowiem korony,
Takowe vaticinium, z gwiazd i ksiązek wiele
Zebrane, ostatniemu z Jagiełłów udziela. —
— Ostatniemu! — król krzyknął — a już lat trzydzieści,
Jako ta przepowiednia w mym skarbcu się mieści.

Prorok więc odgadł bezpotomną śmierć króla na lat trzydzieści naprzód; więc słowa jego nie są to bałamuctwa gwiazddziarzy; z góry dał rękojmię niemyślności swej sztuki; król mu wierzy, jak żeby własnem okiem przyszłość przeziarał. Stąd taka w nim boleść, kiedy prorocztwo ucięło się na ostatecznem upodleniu ostatniego króla, Stanisława Poniatowskiego:

— Jakże marnie się skończyło! — woła Zygmunt August:

I złożył na krzyż ręce, by modlił, załował,
Ze bezpotomnie nogą do grobu zstępował,
A może z sokołami przegamrncił losy
Korony...

Złamię tę wiarę dopiero słowa, dopisane na boku horoskopu:

Precz na zachodzie gwiazdkę upatrzyłem,
Blask swój od konstelacyi bierze Gedymina,
Do biegu ją popycha satelit drużyna,
Krzyżąc: Król nasz! — i, strojąc w brudny szmat
[szkarlatu,
By w mięsopest krakowski, pośmiewisko światu.

Król, uderzony temi słowami w całą duszę, przerywa czytanie, nie chce słuchać dalej, nie może wierzyć w taki upadek narodu. Woła głosem rozpacz: „Kłamię prorok! Kłamię gwiazdy!” — i w tem wysileniu kona. Śmierć jego przeskodziła dowiedzieć się ostatku przepowiedni. Prorocztwo niezupełne, przyszłe losy Polski w zawieszeniu: myśl monarchizmu oświeca tylko jej upadek.

Druga wieszczba zaczyna się tam, gdzie się pierwsza kończy, w epoce Poniatowskiego, w epoce, tak już napiętnowanej przyszlým upadkiem narodu, że możnaby ją podciągnąć pod chwilę upadku stanowczego.

Moskwa rozrasta się w coraz widoczniejsze kształty olbrzymie, zapuszcza, jak choroba raka, coraz głębiej swoje odrosłe w łono Polski; serce narodu czuje bolesne jej dotknięcia z każdej strony, czuje, że mu coraz ciśnień w narodowej piersi, widzi, że strumień krwi coraz bardziej ubywa; wzdryga się boleścią obecną i niepokojem przyszłych nieszczęść. Niezwykle te poruszenia udzielają się ciału Rzeczypospolitej, gdziekolwiek dochowało się ono jeszcze w starożytnym zdrowiu; przez zamęt bezrządu przeblyskują tu i owdzie zbawienne myśli, sny niespokojne rzucają letargiem gnuśnego odrętwienia — wiara i wolność podają sobie ręce do wspólnej pracy nad zbawieniem Polski i przygotowują w skrytości powstanie konfederacji barskiej; naraz wszystko to wciela się w jedną osobę księdza Marka, kapłana, żołnierza, proroka wkońcu męczennika. On jeden cały swój czas wyobraża; czuł obecność, jak inni, pracował dla niej, jak inni, ale wyprzedził innych przejrzeniem przyszłości i jej przepowiedzeniem. Któż to był ten ksiądz Marek? Cichy członek zakonu Karmelitów w Berdyczowie, ledwie znany potomności z kilku napomknien ówczesnej historii, niezgodnych z sobą; za to wynagrodzony cześcią świętości, jaką podanie ludu do jego pamięci przywiązało, a nade wszystko prorocstwem o przyszłości Polski, które autor „Trzech Wieszczb“ umieścił dosłownie w przypiskach i na którego myślach głównych osnuł drugą „Wieszczbę.“

Zdarzenie całe ma miejsce w klasztorze berdyczowskim. Wchodzimy do szczupłej celi zakonnika — ksiądz Marek, zaskopotany przygotowaniem kazania, z którym powinien wystąpić za godzin kilka. Cała ta scena jest znakomitej piękności; dowodzi w pisarzu silnych, wszechstronnych uczuć, niepospolitego daru przejęcia się swoim przedmiotem, wielkiej znajomości ludzkiego ducha w tajemnych jego robotach, w jego walkach wewnętrznych, i mistrzowskiej obok tego biegłości nadania im formy prostej, wy-

rażnej, szlachetnej. Tej części nie śmiemy malować naszą prozą: odjęlibyśmy jej cały urok — powiemy tylko tyle, ile potrzeba, aby dać wyobrażenie ogólnej treści. Poeta bierze księdza Marka w stanie zwyczajnym, nie jeszcze nie objawia w nim proroka: łamie mu głowę nad kazaniem, bo w Berdyczowie jarmark, zgromadzenie w kościele będzie liczne i świetne, nabożeństwo solenne — trzeba godnie kazać. Ale o czemże kazać, czegoby słuchacze nie wiedzieli? Gdzież ma zasięgnąć w tem rady? Z księgi, z której zawždy pił moc, jak w źródle: z Ewangelii. Ksiądz Marek przedewszystkiem jest kapłanem Chrystusa. Otwiera więc Ewangelia, a pierwsze jego spojrzenie pada na owe, tak poetyczne, tak wzniosłe, a razem tak okropne słowa Chrystusa, zapowiadające spustoszenie Jerozolimy — i wnet po pierwszych kilku wierszach wytryska w księdzu Marku z myśli religijnych myśl polska — obok kapłana powstaje Polak — Jerozalem zamienia się w ojczyznę. W rozpędzie tej myśli przebiega poeta wszelkie prywatne i publiczne grzechy narodu, zepsucie, grasujące po wszystkich stnach: stawia u kresu, jako skutek ich konieczny, okropną karę, którą lęka się wyraźnie wymienić, oddala od jej widoku duszę skierowaniem jej w sferę niebieską, woła o pomoc niebieską. Skąpany w źródle modlitwy, duch księdza Marka wraca pokrzepiony, z myślami weselszemi, ze środkami naprawienia złego, z marzeniami nawet przyszłości, jakiej tylko katolik-Polak może zapragnąć.

O śliczne, o śliczne,

Niebo nad naszą Polską wtedy się otworzy,
Jako druga Chanaan zakwitnie kraj boży.
Szlachetka złota wolność, by ziarna różańca,
Skupi się koło tronu swojego wybrańca,
Z dobytymi w pół kordy, z okiem na granice,
Czy pohaniec nie wkracza?... z okiem na świątynię,
Czy znowu kąkol w zbożu nie naszli bluźnierco
Osmym mieczem boleści przebić Maryi serce?

Marzenia te potracają proroczą strunę duszy księdza Marka: poeta jednak nie od razu stawia go na szczycie, tylko po szczeblach przeprowadza. Uderzająca jest loiczność tego szczeblowania. Ksiądz Marek wchodzi w siebie, naprzód spotyka w duszy swojej silną wiarę, nie wiem, przez jakie sposoby. Mówi on:

Mógłbym nią martwych wskrzeszać, wypędzać choroby,
Z tym oto jednym krzyżem bić Amalecycy.

Z tej pełni wiary wypływa uczucie proroczego powołania. Jest to uczucie jeszcze słabe, widzenie zamglone, a jednak pewne. W sercu ma siedlisko ten duch tajemniczy; przeświadczony jest o nim — z tem wszystkim, sam nie wie, czy to czart, czy Bóg! „Kto wie — rzecze wreszcie po krótkim dumaniu — możemy ja i prorok?” Myśl ta uśmiecha się księdzu, i w tejże chwili odgania ją, jak myśl pychy, i znowu do niej wraca. Ale dusza nie wzniosła się jeszcze nad sferę ziemską; stąd też marzenia, obudzone dumą proroka, krążą przy ziemskich uciechach, przy ziemskiej sławie, przy ziemskich gościnnościach; ksiądz Marek ma powód wziąć je za pokusę piekielną, sili się oczyścić z nich serce, jakby w przeczuciu, że się niebieski zesłaniec zbliża, napelnia je miłością chrześcijańską, podnosi się niem coraz wyżej, do powołania kaznodziejskiego, do gotowości poświęcenia się za winy Polski, aż spotyka się z duchem proroczym i pada w zachwyceniu przed objawieniem senatorów, porwanych na Sybir. Z tego snu proroczego nie zdoła go wyprowadzić nawet przeor klasztoru, który nadszedł w tej chwili przypomnieć mu kazanie i zbliżającą się jego porę.

Druga część wieszczby przenosi nas do kościoła, w chwili nabożeństwa, między tłumy pobożnych, oczekujących na kazanie. Niepokój proroka wzrasta, dostojne państwo nudzi się i ziewa, — otoż wreszcie i ksiądz Marek, blade, jakby z truny. Poeta nie zmarnotrawił chwili między ukazaniem się a wstąpieniem na kazalnicę: ze wszystkich stron gwar słyszymy głosów niewiernych i pobożnych, przychylnych i niechętnych prorokowi; serce drży mimowolnie oczekiwaniem czegoś niezwykłego, głos tłumu nakazuje cichość. „Słuchajcie! słuchajcie!” — woła prorok i w pierwszych słowach rzuca na słuchaczy piorun przeobrażenia:

Ruina

Wisi nad Polską!!! Miałem objawienie,
Oto biskupów wloką na więzienie!
Starców z senatu, z izby... gwałtem za gwałtem...

I prorocy potok, jak buchnął, tak płynie wojną, mordami,

aż póki nie skończy się w grobie narodu. Jak mary krwawe, przesuwają się po przed duszą: konfederacja Barska, sejm Czteroletni, powstanie Kościuszki, wyprawa Napoleona do Moskwy, rewolucya Listopadowa, наконец dzisiejsza emigracya. Proroctwo zamyka koniec, równie okropny, jak początek:

Cierpimy, niema rady:
Oto anioł nad Polską zatrąbił trzy biady,

a grzmotowi anioła nieszczęść odpowiada tylko tajemnicza i daleka piosenka pociechy i nadziei, jakby gdzieś z zagrobowych krain: Ozwie się głos, uciecze noc, zjawi się blask, i Bóg się ulituje nad królestwem Maryi, królowej polskiej. Prorok skończył — gwar tłumu się zaczął. Słyszemy płacze, modły, śluby pokuty; lud rozpaczka, woła: „Koniec świata” — między szlachtą znowu przekąsy, oburzenie, groźby na fanatyzm — latają przydomki kuglarza, oszusta — nagle wpada goniec i potwierdza proroctwo: przywozi on wiadomość o porwaniu senatorów. Z ostatnim wierszem rozpoczyna się dzieło konfederacyi Barskiej — usiłowanie bezużyteczne. Szlachta upadła, Polska jeszcze nie ocalona.

Dwie poprzedzające wieszczby nie rozwiązały losów narodu, nie zaspokoili wiary jego; pokazały tylko, pierwsza: że utrzymanie narodu w całości i zdrowiu było nad siły monarchizmu, druga: że szlachta w coraz większym psuciu się nie znajdzie już w sobie dosyć mocy zapobiedz złemu, które się z niej poczęło, bo ona sama stanowiła naród. A jednak w duchu Polski leży jakieś przeczucie błogiej przyszłości; potrzeba więc to przeczucie oczyścić ze mgieł niepewności, zamienić w wiarę jasną, spokojną, niezachwianą, wzmocnioną wszystkim, co tylko do wiary wejść może, a czegoby rozum nie odrzucał — opartą, jednym słowem, na niebie i ziemi, na Bogu i człowieku, na nadzwyczajności zwyczajnej. W takim duchu i celu jest wieszczba trzecia. Stanowisko, na którym gore jej duch-ognisko, jest okropne i przez tę samą okropność poetyczne; okropniejsze, poetyczniejsze, niż stanowisko księdza Marka. Co tamten przepowiadał, to się już po części spełniło, a spełniło na większe nieszczęście, na pewniejszy upadek kraju.

Hajdamaczyzna powstała i zginęła, ale na Polsce, prawie konającej, ślady jej przejścia: krew, trupy i gruzy, dokoła widoczne. świeże; nie zgasły jeszcze rozniecone przez nią pożary — rany jej noża zapalają się piekielnym ogniem. Ten głos, co wychodzi z ust Polski, to głos piersi, do dna przebitej, wysilającej się tylko w ryk zemsty; konfederacja Barska, przytłumiona w pierwszym wybuchu, zamieniła się w niedołęzną wojnę domową, zgubną. Właśnie temu zaratować chciano; masa szlachty jest jej przeciwna, lub przestraszona, lub obojętna; wielkie słowa wiary i wolności bez uroku; cała ziemia polska, jak bojowisko, a na niem rozciągnięte ciało ojczyzny, a przed ciałem Moskal z uśmiechem szydersko-tryumfującym, a w duszy narodu żadnej myśli silnej, a na niebie żadnej gwiazdy pocieszającej. Wszelkie środki zbawienia zużyte; samo zwątpienie, rozpacz, przepaść grobu. Aż oto naraz podnosi się gwiazda proroka, przebijają strzałą światła ćmę przyszłości, i oświeca oczom Polski znak jej zbawienia, a znak zbawienia, jak powiada poeta, w słowo Lud się wciela. Ufaj, Polsko! Czemu nie podolali ani tvoi królowie, ani twoja szlachta, ani twoja głowa, ani twoje ręce, to dopełnisz sama cała, przez twój lud: twoim zbawicielem będzie masa twojego ludu. Takie jest ostateczne słowo trzeciej wieszczby. Ale poeta nie rzuca nam go, jak wyrocznię, w dymie delfickiego trójnoga, w zamęcie, rozerwanych między sobą, myśli. Promień proroczego oka, jak wyszedł, tak utkwil w swoim celu, jasny, prosty, nieprzerwany. Każdy szczegół tego ustępu nosi na sobie cechę głównej myśli, wchodzi harmonijnie do jej całości. Prorok trzeciej wieszczby nie jest to już żaden opat, żaden kapłan, żaden szlachcic, ale chłop prosty; nie jest prawie Polak — przynajmniej w oczach ówczesowej szlachty — on chłop ruski, a jednak kocha Polskę, cierpi dla niej prześladowanie, tuła się, poświęca się dla niej, już więc we własnej osobie wyobraża lud polski najdoskonalej; dodajmy, że przed potęgą jego ducha sam szlachcic zgina kolano. Nie zapominajmy i o tem, że prorok nie jest dowolnym utworem poety, ale osobą historyczną: kilkadziesiąt lat temu cała Ukraina знаła Wernyhora żyjącego — dzisiaj cała Polska czyta jego proroctwa lub sły-

szy o nich. Przypisy do poematu obszernie to wykładają; my o tyle dotkniemy życia Wernyhory, o ile to będzie potrzebne do dalszego ciągu naszego pisma.

Był on rodem kozak, z Ukrainy zadnieprskiej, zostającej pod panowaniem moskiewskim, chował jednak szczególniejsze przywiązanie do Polski, może przez świeżą jeszcze pamięć jej stosunków z kozaczyzną, a może i pod bodźcem wyższej myśli, która mu objawiała dalszą cokolwiek przyszłość, a w tej przyszłości z jednej strony okropność jarzma, które Moskwa jego braciom nałożyć miała, z drugiej zaś świetność Polski i zbratanych z nią narodów, kiedy myśl jej żywotna, wypróbowana nieszcześciami, stanie na swoim południu. Bądź co bądź, to pewna, że Moskwie nie dowierzał, a trzymał stronę Polski. Uczucia te objawił tak silnie, kiedy poczęła się gotować robota rzezi, przez Moskwę podszeptwana, że przywiódł stronników hajdamaczyzny aż do zamiarów, grożących swojemu życiu, i musiał wkońcu ratować się ucieczką na Ukrainę polską. Lecz zmowa hajdamacka, rozszerzająca się, i tu go ścigać poczęła: wtedy to Wernyhora osiadł w Korsuniu, na jednej z wysep Rosi, pod zasłoną zamku korsuńskiego — i opieką jego rządcy, któremu poddyktował swoje proroctwa, tak dzisiaj głośne. Autor „Trzech Wieszczb“ bierze go właśnie w tej chwili; konieczność swego wyboru tem on usprawiedliwia, że Wernyhora, czując się blizkim śmierci, chciałby raz jeszcze, raz ostatni pomówić ze starostą w sprawie ważnej. Domysłamy się tego z dalszego opowiadania poety, albowiem rzeczywisty początek wieszczby jest tylko przygotowaniem do tej sceny; jest niejako przygrzywką do dalszej pieśni, pełnej muzyki wiejskiej, dzikiej, tajemniczej, jak cała osnowa wieszczby, przygrzywką, malującą istotę całego dzieła. Jak w pierwszej wieszczbie poeta wprowadził nas do komnaty królewskiej, w drugiej odsłonił nam wnętrze domu religijnego, tak dla tej, trzeciej, obiera miejsce w okolicy wiejskiej, wśród widoków przyrody prostej, zgoła, w sferze ludu. W pierwszym zaraz kroku czujemy powiew jego świata. Obraz, rozpoczynający ten ustęp, maluje nam rzekę Roś, i wyspę na niej ze wszystkimi wdziękami cichego ustronia na ziemi ukraińskiej; chwila

nocna i powieść o młynie spustoszałym, z przywiązaną do niego gminną cudownością, dopełniają obrazu rysami tajemniczości, zwiastującymi coś niezwykłego w dalszym jej ciągu, bo:

....zwykle u gminu

Musi się w bajkę oprząść trochę każdego czynu,
Jak w jedwab gąsienica — aż z poczwarki wkońcu
Dumką — skazką — wyleci motylek ku słońcu.

Śród takiej tajemniczości słychać szelest nabrzeżnych zarośli. Coś ciemnego przesuwają się w poprzek Rosi, ślizga się gadzina po sitowiu; staje u brzegu. To łódka, a z łódki wyskakują dwie postacie — znać po stroju, że jeden z nich kozak, a drugi starosta korsuński. Cóż to za spór pomiędzy nimi, zaledwie łódź opuścili? Staroście spieszą do Wernyhory, a kozak lęka się stanąć przed nim. Sumieniem jego szarpną śmiertelne zgrzyoty; on, wychowaniec Wernyhory, dał się uwieść przeciwny mu stronie, wzgardził jego przestrogi, odstąpił go, został hajdamaką; i on także uderzył, jak sam powiada, pasu z tego, co Wernyhore było najdroższe — z Polski. Poznał dziś swoją zbrodnię, ale po niewczasie; żałuje, karze się za nią cierpieniami duszy — ale jakimże czołem stanie przed Wernyhora, który mu to wszystko przepowiedział? Tu występuje na scenę polska szlachetność, tak pięknie, tak rzewnie wydana przez poetę, a tak prawdziwa, tak wrodzona charakterowi polskiemu. Starosta nie cieszy się męczarnią kozaka, nie nasycę swoją zemsty, przeciwnie, łagodzi ją słowami pociechy. Wszystko jeszcze może się naprawić, woła on, jeszcze się naprawi, musi się naprawić, tylko zabyć, co było, wziąć się razem, pan z chłopem — i obejmuje kozaka serdecznym uściskiem. Ale uroczysta chwila pojednania się nie zstąpiła, nie zstąpiło jeszcze święte słowo, które zniszczy konieczną w chłopach nieufność ku panom; kozaka dziwi tylko ta serdeczność szlachcica:

...Patrzy, nie dowierza —

Nareszcie, kręcąc głową: U was, jak u jeża
Skóra, panowie szlachta. Niech się prostak który
Otrze o nią, dalibóg, własnej zbędzie skóry.
Nie, nie! Chleb chłopskiej pracy, to słodka pęczęta!
Panować, to tak dobrze — wy, korolowienta!

powiada słowami Chmielnickiego i nie oddaje uścisku ni ręką, ni słowem, ni okiem. Chwilę milczenia, które zamknęło tę scenę, przerywa dziki chychot w zaroślach, wtórzone hukami sowy i niepojętym turkotem pustego młyna, a po nim głos niewidomy, wzywający podróżnych w głąb ostrowu; głos ten wciela się na końcu w dziwo, pocięte we czworo, ze łbem dużym, jak u konia, które mimo swojej potworności jest jedynym domownikiem, towarzyszem, aniołem-stróżem Wernyhory. Półtajemnicza istota Semka wchodzi do całego obrazu, jako rys konieczny, odpowiada i duchowi ludu ukraińskiego i nieodgadnionemu życiu proroka. Jest to jeszcze jeden szczegół, dowodzący głębokiego rozmysłu artystowskiego w Siemieńskim. Z takim to przewodnikiem dwaj podróżni wchodzi, a raczej spuszcza się w głąb chaty pustej i stają w mieszkaniu Wernyhory, przed nim:

...W ciemnym izby rogu

Z kulbaką nad głowami, na ciemnym barłogu,
Między kudłami burki krymskiej — broda biała
I głowa — siwy sokoł — gościom się kłaniała.
Potem, by niedość jeszcze tego powitania,
Rąk dwoje, pierś zarosła, zwiodły się z posłania
Tak porywco, że obok wiszące nad chorym
Ratyszcze, szablą, kołpak z wierzchem różnowzorem
I janczarka — o mało że ściany nie spadły.

Taki jest obraz Wernyhory na śmiertelnem łożu.

Dobrze, żeście przybyli, póki dusza w ciele:
Mogę wam coś przekazać... choćby słów niewiele.
A i one są czemiś; — wiercie mi, są słowa
Często ważniejsze czynów, gdy je gmin przechowa
W świętościach wiary...

Odzywa się Wernyhora, zanim wejdzie w opowiadanie swojego życia. Może się ono wydać za długie, ale zważmy, że to mówi starzec, który ma sto lat za pasem, wiele widział, wiele robił, że mówi po raz ostatni, że ma nadto potrzebę wypowiedzieć jeszcze niejedną prawdę:

...Niejedną prawdę, o panowie

Szlachta, piłem ja do was. Nie poszło na zdrowie,
Sami powróć kręciecie. Niby to swobodę
Kochacie, lecz tak właśnie, jako dziewczkę młodą,

Upatrzoną na łanie, na siłę wleczoną,
 By swem zdrowiem rozgrzała skrzepkę pańskie łono,
 Wkońcu psami wyszczuta, gdy jej kwiat opadnie:
 Toż lada jaki przybysz nad wami zawiądnie,
 I nie stanie nikomu wrogom się zasłonić!
 Darmo, jak za pańszczyznę, lud będziecie gonić
 W pola, zbroić kosami: pójdzie, krew przeleje,
 Ale dlatego wianek już zazielenieje...
 Bo swobodę wam kochać dla wszystkich pospołu,
 Bo swobody moc idzie nie z góry, a z dołu,
 Tam siła —

Nie w braku zapewne miejsc podobnych wstrzymamy się od liczniejszych wyjątków i poprzestaniemy na napomknieniach: rozszerzylibyśmy nad zamiar nasze pismo. Idźmy więc dalej. Stopniami, z uczucia do uczucia, podnosi się dusza Wernyhory do stanu proroczego. Na pierwsze jego objawienie się dwaj goście mimowolnie padli na kolana. I jest przed czem. Prorok gada z raju,

kędy się wywodzą
 Rzeczy przyszłe — i ludzie, nim się jeszcze rodzą,
 Odgrywają na próbę to samo, co w czasie,
 Gdy się wciela na ziemi, po drugi raz gra się.

A wstępem widzeniem jest śmierć króla i czyn pierwszego zbratania się ludów. Prorok szuka Polski — i jakże okropne pierwsze jej objawienie się! Oto zbrodnia sejmowa: pierwsze podpisanie rozbioru Polski i pierwszy męczennik Rejtan. Następnie przesuwają się: powstanie Krakowskie, Listopadowe, męczeństwo Konarskiego i tym podobne usiłowania i klęski, a w każdej zmianie myśl szlachcica niedołężna, ciemniejsza, przed myślą ludu coraz wybitniej ustępująca. Naraz Wernyhora każe Semkowi obudzić lirę dźwiękiem rzewnym, długim, w cały świat rozgłosnym: on zruca z duszy ciężar nieszczęść, on w potęgę ludu patrzy. Natchnienie wzmaga się, ciało schorzone rozkwita nowem życiem, nadziejskiem, ręce oparły się na głowach Starosty i kozaka — przygarnęły je ku piersiom proroka, bo już jedna pieśń, jedna przyszłość dla szlachcica i chłopą, przyszłość ludu zbawionego; lira zagrała, głos proroka zamienił się w śpiew, i dumka popłynęła ostatnią wojną z Moskalami, ostatnimi tryumfami, ostatecznem zbawieniem całego ludu polskiego.

Odtąd dziwy niebu, ziemi pokażą anieli,
 W znak zbawienia — odkupienia słowo LUD się weieli.
 Ziemia niebem — cudy, cudy!
 Półbogami staną ludy!

Taka jest ostatnia zwrotka proroczej dumki. Następująca ledwo połowy doszła; duch i głos wieszczą nie podolał natłokowi i wielkości objawień — nad wszystkie podniosło się widzenie Dniepru, zalewającego jego mogilę; zagasiło wszystkie, a z niemi głos i życie proroka. Ale w tejże chwili cud uczcił trupa; tym pierwszym cudem jest pojednanie się szlachcica z kozakiem:

„Przy trupie ócz czworo i rąk się spotkało
 We wzajemnym uścisku nowego sojuszu.
 Łza była na siermiedze, druga na kontuszu,
 Równie czysta i święta, jak płacz dwojga dzieci,
 Gdy je macierz pogodzi.

Pan nad duszą świeci —
 Rzekli razem — on duszą niech świeci nad nami!

O, niech świeci — dodajmy z naszej strony — aby oświecił jak najrychlej w postaci całego narodu, co przy jego ciele było tylko przepowiednią, postacią tajemniczą.

Za chwilę głucho na ostrowie. Nad grobem Wernyhory stoją brzozy, jak płaczki, a pod ścianą pustki; dziwne jego chłopie siedzi z gębą otwartą i żrenicą szklaną nad zepsutą gęsłą, niby uosobienie podania o proroku, krążącego dotąd po Ukrainie.

Oto treść trzeciej wieszczby, w której poeta rozwiązał szczęśliwie zagadkę naszego bytu przez słowo lud. Tu jeszcze raz przypominamy, że przepowiednia Wernyhory nie jest wymysłem pisarza, że główna myśl ustępu oparła się na głównej myśli proroctwa historycznego, objawionego przed półwiekiem. Zdarzenia, dotknięte w nich, zaszły wprzód, niżeli jaki poeta zamarzył o nich; nie przygotowywał ich żaden człowiek stanu, ale Opatrzność; mógł je przewidzieć tylko człowiek dalszego widzenia, jak zwyczajni ludzie — wartość więc słów przepowiedni jest prawdziwie proroczą. A zasługa-ż naszego poety? Także wielka. Wynałazł je, umiał ocenić dlatego, że poeta; potrafił schwycić duch proroctwa, rozwinać go dlatego, że jest krewnym po duchu prorokowi.

Ostatni dźwięk lutni Siemieńskiego, *Epilog do Wieszców*, zamykający poemat, należy do najpiękniejszych części dzieła. Trudno dać o nim wyobrażenie inaczej, jak przez wypisanie całego; tam więc odsyłamy czytelników, zachowując sobie wolność jednego wyjątku na zakończenie naszego pisma.

Przedstawiając osnovę poematu Siemieńskiego, sśliśmy za przekonaniem, że tym sposobem najlepiej damy go poznać. Osnowa dzieła jest to istota dzieła; tam najwidoczniejsza myśl główna, twórcza energia talentu — tam zamknięta niezawodna próba jego wartości. Przy miernych zdolnościach można mieć mniej więcej szczęśliwe wybuchy zapалу, zwodnicze połyski natchnienia — można się zdobyć na kilka piękności, na oderwane błyskotki i upstrzyć ubóstwo myśli głównej; ale odejmij te nalepione przydatki a znajdziesz pod nimi, zamiast człowieka, woskową osobę, ubraną tylko pozorami życia. Nie tak się rzecz ma z dziełem prawdziwego artysty; obnaż je, jak zechcesz, z ozdób powierzchownych, podrzędnych, zawsze obaczysz duszę, życie, główną myśl, łączącą wszystkie części, ujrzyś ją tem wydatniej, im więcej obnażysz. W rzeczy samej zdawało się nam, że wszelki utwór dopiero wtedy ma pewną wartość, kiedy go całego jedna myśl podobnie ożywia w najmniejszym szczególe, a zaś główna myśl, że dopiero wtedy ma siłę ożywczą i godną wcielenia się, kiedy, obrana ze wszystkich pozorów formy i wyrażona sposobem najprostszym, wytrzyma sąd krytyki. Dlatego to, jeszcze raz powtarzamy, wyłożyliśmy osnovę „Trzech Wieszców.”

Dawszy tym przeglądem treści dostateczne wyobrażenie o duszy poematu na korzyść poety, zwróćmy się teraz ku niektórym jego szczegółom i zobaczmy, w jakim stosunku wartość ich zostaje z wartością ogólną. Zagadnienie to łączy się już z zagadnieniem zewnętrznej formy dzieła. W rozwiązaniu jego ograniczymy się kilku przykładami. Poeta w tej próbie nie zeszedł ze swojego wysokiego stanowiska; odpowiedział wszystkim warunkom, przez główny pomysł położonym, rozwiązał szczęśliwie wszystkie jego zadania. Życie, jedność, natura pomysłu ożywiają, łączą, piętnują każdy szczegół formy. Gdzie-

kolwiek myśl poematu rozpromienia się w narodowość, tajemniczość, pewien czas, pewne miejsce, pewną osobę — forma nagina się do niej, jest narodowa, powleka się tajemniczością, przybiera barwę czasu, oddycha powietrzem niejscowości, występuje w postaciach wydatnych, snycerskich, żyjących. Zygmunowski język słyszymy w pierwszej wieszczbie; w księdzu Marku widzimy razem kapłana, Polaka, człowieka, patriotę bogobojnego, mimo to nie fanatyka, nie odludka, który ze światem nie ma nic wspólnego; przeciwnie, zna jego przyjemności, używa ich nawet, spojony jest z ludźmi wszystkimi ogniwo duszy i ciała. Dlatego tem więcej ich kocha, tem goręcej pragnie ich szczęścia, tem boleśniej czuje grożące im nieszczęścia, tem szczerzej poświęcić się dla nich gotów. Widzimy w nim księdza, jakim go możemy sobie wyobrazić z jego stanowiska w konfederacyi Barskiej, jakim być powinien człowiek, chcący dla ludzi pracować, idący w ślady Boga, który nie z nieba zbawiał rodzaj ludzki, ale zstąpiwszy na ziemię, zostawszy człowiekiem — i w każdym położeniu jest sobą samym: czy w swojej celi, czy na kazalnicy, czy, kiedy walczy z duchem proroczym, czy, kiedy już wylewa go z siebie; głos jego rozszerza się wprawdzie, podnosi się do tonu dawnych proroków na skalę arfy biblijnej, ale mimo to pozostaje ksiądz zwyczajny, znajomy.

Ważniejsze jest powołanie Wernyhory, odmienne; inna też, dziwniejsza jego postać, uroczystsza, przejrystsza, coś bardziej lirycznego, w rysach jakiś blask przyszłości, jakaś tajemniczość nieskończoności, jakaś melancholia wiary, która przez ciężkie próby przejść jeszcze musi. I nad temi jednak rysami przemaga oblicze Kozaka, człowieka masy: widzisz to w atletycznej, zarosłej jego piersi, do której gości swoich tuli, jak do łona ludu — widzisz to w potężnych jego dłoniach, które z taką pewnością spoczęły błogosławieństwem na głowach, pochylonych przed wagą ich siły, jak żeby wyobrażały potęgę ludu i niewyczerpane źródło jego przebaczeń — słyszysz to w każdym jego słowie, w każdym dźwięku wiersza. Nawet śmierć, nawet grób nie zmieniły tej postaci tajemniczej, zanurzonej większą swoją połową w przyszłości: z za grobu

jeszcze widzimy Wernyhorę w potwornym jego Semku i strzaskanej lirze, niby w odrzuconych powłokach ludu, który się przeobraził. Nie dosyć, że patrzymy na osoby: oddychamy jeszcze ich powietrzem, żyjemy pod ich niebem.

Weźmy za przykład miejsce, do ocenienia którego możemy być właściwymi sędziami; weźmy początek trzeciej wieszczby, gdzie jest obraz okolicy ukraińskiej. Dwa ramiona rzeki, zielony ostrów, brzeg, zarosły sitowiem, w sitowiu dzikie kaczki, na zielonym brzegu dłuższy bocian w samotnej przechadźce, gęstwa leszczyny, nad gęstwą dęby rzadkie, klony szerokolistne, a nad tem wszystkiem nocna ciemność, a dokoła śpiew słowików i gwar wodnego ptastwa; dalej młyn, oniemiały z rozrwaną tamą, komin, sterczący na pustkach chaty, groźny dziwnemi wieściami, oto cały prawie obraz — ale co w tem malowidle życia, wdzięku, świeżości, rozkoszy, tajemniczej zgrozy; ale co tam Ukrainy! Wprawdzie wody, wyspy — drzewa, słowiki, noc — są na całym świecie do siebie podobne — co większa, podobne do siebie nie w jednych wierszach. Ale w obrazie Siemieńskiego są ukraińskie, tworzą wyłączny ukraiński obraz. Jak on to zrobił? — tego nie wiemy; to tylko wiemy, tego tylko jesteśmy pewni, że w tej chwili musiał być duszą na Ukrainie, patrzeć jej okiem u zwierciadła Rosi, słuchać jej uchem słowików; odbił jej zwierciadłem całą okolicę, miał, jednym słowem, widzenie prawdziwego poety.

Cokolwiek powiedzieliśmy dotąd, tyczy się albo wewnętrznej istoty poematu, jego myśli, albo członków oderwanych i jedynie daje wyobrażenie o sile poety, z jaką schwycił swój pomysł, zagłębił się wń, wydobyl z niego, co najdroższe było — przytem o biegłości, z jaką ukształtował niektóre części swojego utworu. Ale to nie przedstawia jeszcze całości zupełnej. Wszelkie dzieło poetyckie jest to planeta w słonecznym świetle literatury, osoba duchowa w szeregu stworzeń umysłowych, żyjąca życiem właściwem sobie, wspólnem swojej myśli i formie, jednym i temże samem dla myśli i dla formy, poczynając się z jednego tchnienia, nadto odznaczona takimi cechami, tak sobie tylko właściwemi, że przez nie dopiero

zostaje prawdziwą jednością, różną od innych jedności, zgola: osobą. Nie dosyć więc dla artysty pochwycić pomysł, rozwinąć go, rozdzielić na części: potrzeba jeszcze wynaleźć odpowiednią mu formę, sprzedać jego członki, powlec jednością formy jedność myśli, wszystko to naznaczyć cechą wyszczególnienia, jednym słowem, stworzyć to, co w człowieku nazywamy ciałem. Cała ta praca jest tajemnicą sztuki pisania, której twórcza moc zależy także od natchnienia. Pod tym względem „Trzy Wieszczby“ przynoszą Siemieńskiemu niepospolitą zaletę. Widać w nim sztukę pisania, posuniętą do rzadkiej doskonałości. Styl porywający swoją płynnością, jasny, że każdą myśl widać pod nim, jak dno strumienia za kryształem wody — a lubo zawsze jeden, jak światło, rozmaity przecież, jak światło, rozbarwione pryzmem, stosownie do przedmiotów, które maluje, do uczuć, któremi dzwoni, do myśli, któremi błyska — zawsze żywo malowniczy, zawsze naturalny, łatwy i nacechowany rzadką poprawnością, nie sztuczną, nie mozolną, ale tą, którą można nazwać „od niechęcenia“.

Te same posiada zalety główny żywioł stylu, język Siemieńskiego: bogaty, giętki, szlachetny, szczególny. Widać, że płynie ze źródła niewyczerpanego, wyższego, z tegoż, co i myśli, z natchnienia, i że jest w ręku mistrza. Trudno w ogólnych wyrazach dać dokładniejsze o tym przedmiocie wyobrażenie; dowody w przytoczeniach byłby za mało liczne, są niepodobne; do samego więc dzieła odsyłamy niezaspokojoną ciekawość lub podejrzliwość, a tymczasem śmiało twierdzimy, że równie pod względem formy, jak pod każdym innym, „Trzy Wieszczby“ są poematem oryginalnym, dziełem, jedynym w swoim rodzaju, nie mającym nic podobnego sobie w polskim piśmiennictwie i tak wykonanem, że w bardzo dalekiej przyszłości widzimy je na zajętem dzisiaj stanowisku.

Wszystko-ż wypowiedzieliśmy o utworze Siemieńskiego, co wypowiedzieć było potrzeba? Nie. Pozostała nam jeszcze do obejrzenia jedna z jego stron najważniejszych, bo strona samego poety. Stosunek między pisarzem a jego dziełem jest ściślejszy, aniżeli sądzimy zazwyczaj powierzchownie, kiedy idzie o przedmioty, ciągle nam obecne. Zdaje się, że znajomości dzieła bez znajomości twórcy czegoś nie do-

staje. Stąd ów interes powszechny dla wielkich pisarzy, dla wszystkiego, co ich dotyczy. Nie jest to próżna ciekawość; zjawisko owego interesu jest tak odwieczne, powszechne, stałe, nakoniec tak pół-religijne że nie godzi się kłaść go na równi z chwilowymi zachczeniami drobnej ciekawości; przeciwnie, trzeba go śledzić w głębszem źródle istoty ludzkiej. I w rzeczy samej, każdy znakomity pisarz, artysta, poeta, jednym słowem, każdy prawdziwy twórca wlewa w swój płód część swojej duszy, swojego bytu — co większa, bierze jego pierwiastek, nieznaną ziemi, ze świata zaziemskiego, objawia ziemi swojem istnieniem, tworzy częścią tej siły, przez którą sam jest, ożywia częścią swojego życia. Wszelki zatem płód sztuki jest częścią artysty, całością, niezupełną w oderwaniu od całości, co go poczęła; stąd, ażeby jego pojęcie było zupełne, powinno się dopełnić pojęciem samegoż artysty. Poema, o którym mówimy, zasługuje, zdaje się nam, na podobne wszechstronne obejrzenie; oto więc w kilku ogólnych ry-sach wiadomość, dotycząca jego twórcy.

Lucyan Siemieński urodził się w roku 1809. Miejscem jego urodzenia jest wieś Kamienna Góra w obwodzie Żółkiewskim, w stronie Polski, przez Austryą zagrabionej. Był to czas, było to miejsce pamiętne w naszych dziejach narodowego ruchu; miło nam wierzyć, że Opatrzność, powierzając duszy naszego poety piękne jego posłannictwo, zesłała ją na ziemię z zamiarem, w okolicznościach, które dla dusz zwyczajnych przeszły bez żadnego na nie wpływu. Polska była naówczas w podniesieniu ducha: szlachetnym zapalem gorzało polskie powietrze, burza walki narodowej przebiegała okolice. Takim to powietrzem odetchnął po raz pierwszy Siemieński, taki ruch kołysał kolebkę niemowlęcia-poety — przez podobną chwilę powitania się z Polską powinien być zostać tem, czem jest dzisiaj. Zaopatrzony w początki nauk domowem wychowaniem, posłany był do liceum lubelskiego, gdzie zostawał do zupełnego szkół ukończenia. Tam poczęły się rozwijać i objawiać poetyckie zdolności Siemieńskiego, a początkowe prace jego rozprószone są po ówczesowych dziennikach, mianowicie w „Wandzie,” wydawanej przez

Małecką, w „Tygodniku dla poci pięknej“ i „Rozmaitościach lwowskich“.

Siemieński opuścił Lublin w r. 1827; w roku następnym udał się na Ukrainę, aby towarzyszyć wujowi swojemu, pułkownikowi wojsk rosyjskich, na wyprawę turecką, w tym właśnie czasie przypadła. Los inaczej zrządził: zatrzymał go w Odessie. Tam, przez stosunki, znajomości, związane z kilku Rosyanami, zbliżył się do źródła literatury staro-słowiańskiej i znalazł w swojej duszy strunę, odpowiedną jej poezji: przekład „Wyprawy Igo-ra,” dokonany w tym czasie, ogłoszony był w jednym ustępie przez dziennik lwowski, zwany „Czasopismo biblioteki Ossolińskich.“ Siemieński napawał duszę Ukrainą, którą dzisiaj tak uroczu miał sobie przypomnieć, kiedy hasło 29 Listopada powołało naród do powstania. W styczniu Siemieński był już w Warszawie: lutnia na bok — i oto poeta w mundurze legii litewsko-ruskiej, z karabinem w rękę, przysposabia materiały dla pokolenia przyszłych poetów. Tak przedzwiągał ciężar powinności żołnierskich, trudów wojennych i klęsk ojczyznej sprawy, aż do ostatecznej klęski, kiedy Bóg jeszcze raz położył na Polsce krwawą pieczęć upadku, jakby zachowując jej podniesienie godniejszym tego dzieła ręką, a bezsilnych robotników, jednych rozprószył na łaskę obcych, drugim kazał dźwigać znajome kajdany. Między ostatnimi był Siemieński.

W porażce pod Chodźczą dostał się on do niewoli rosyjskiej. Zawleczony do Żytomierza, później do Kijowa przetrwał w tem bolesnem położeniu aż do roku 1832, w którym, za staraniem się swojej rodziny, wzięty pod opiekę cesarza austriackiego, jako *jego poddany*, powrócił do Galicji. Tu wszedł na nowo w swój zawód, ale z duszą i zdolnościami, rozwiniętymi przez czas i szkołę doświadczenia. W tymże roku przełożył „Rękopis Królowski,” który w roku 1836 drukiem ogłoszono. Pracę tę osądzili w swoim czasie właściwi sędziowie i przyznali jej wielkie zalety. Po niej następują pomniejsze, mniej więcej z krajowych pism znane. Siemieński odznacza się w nich głównie dwoma zaletami: raz jako pieśniarz ludu, drugi raz jako powieściopisarz; jako jeden i drugi

stoi w pierwszym u nas rzędzie. Ale duszy Siemieńskiego spółczującej, czynnej, zawsze zewnątrz całej, bądź w miłości narodu, bądź w uczuciu obecnej niedoli powszechnej, bądź w upragnieniu lepszej przyszłości, nie mogły wystarczyć spokojne pisarskie zatrudnienia. Zajmowały one jedną tylko jej połowę; druga rzuciła się w wulkaniczny war podziemnych prac narodowych. Tam także poezya, wymowniejsza od poezji wyrazów, bo poezya przykładów, silniejsza, bo gra na niebezpieczeństwach widocznych, wznioślejsza, bo jej wtóruje poświęcenie się niedwuznaczne, godniejsza nakoniec prawdziwego poety, poety ludu, bo każdą myśl miłości ku niemu natychmiast w czyn zamienia. Siemieński i w tej poezji niepoślednie zajął miejsce, tak wreszcie widoczne, że, zagrożony pewnem więzieniem, zmuszony był opuścić rodzinną ziemię i jest dzisiaj we Francji.

Opuszczenie narodowej ziemi nie przygasiło narodowej myśli, nie zmieniło kierunku działania. Potrzeba mu było tylko ogniska, któregoby jednorodność pociągnęła jego myśl główną, gdzieby widział najsilniejsze skupienie, najwyraźniejsze wcielenie myśli ludowladnej, gdzieby znalazł, obok organizacji ogółu, związanej hartownie prawami jedności i porządku, zupełną swobodę rozwijania osobistych przekonań demokratycznych, gdzieby miał nakoniec najpewniejszą rękojmię skuteczności prac swoich i najprostsza drogę do Polski. Znalazł to wszystko w Towarzystwie Demokratycznym Polskiem i został jego współpracownikiem. Z radością powitaliśmy ocalonego na swobodniejszym polu działania. Opatrzność jedno główne wydzieliła mu stanowisko, jedną główną obarczyła go powinnością. Zrobi więcej, niż mu kazano? tem większa jego chwała. Ale przedewszystkiem powinien strzedz swego miejsca, bo tam nikt go nie zastąpi — i niestety! — niewielu ma towarzyszy — a na niem dopełniać swojej powinności, bo tej nikt za niego nie zrobi. Tem stanowiskiem jest poezya ludu, tem powołaniem jest nawracanie umysłu narodowego ku przyszłości Polski ludowej. Tam nasza siła, tam nasze zbawienie.

Narodowe nieszczęścia powinny były, zdaje się, dosta-

tecnie już o tem przekonać; nie przekonali jednak. I cóż podstawiamy na to miejsce? Trochę ciężaru, ujętego z jarzma ludu, a dodanego berłu — trochę mniej wolności dla szlachty, trochę więcej przywilejów dla senatu, prawa boskiego, przewagi księżej i tym podobnych mętów religijnych, ile można, jednym słowem: Polska, jak była, tylko znacznie gorsza. Tymczasem komedia emigracyjna, otwarta przez farsę sejmu, zamknięta liryczną sceną naczelnika de facto, przeplatana melodramatem w nieoznaczonej liczbie aktów, taniec dyplomacyi na linie — oto zbawienie Polski! I wzięliśmy się do dzieła. W czymże jest to działanie? Potworzyliśmy systemata, rozbiliśmy się na koterye, podnosimy na dziennikach, jedni sejmy dla sejmu, drudzy sejmy dla króla, ci naczelnika de facto, tamci monarchię Adama, jeszcze inni znakomite osoby, wielkie zasługi, a wszystko pod hasłem niby przeszłości! Ależ te zasługi, te osoby, te sejmy, te władze, te monarchie, stały już tam, dokąd je znowu dźwigacie, a z upadkiem ostatnim narodu spadły tak ciężko, że skorupy tylko nich pozostały. Popatrzcie tylko bez uprzedzenia. Ale wy to wiecie, wy nie widzicie w nich samych pewnego zbawienia; chcecie ich podstawić tylko za narzędzia pomocnicze jakiejś siły poza Polską: może stosunki polityczne Europy, może miłosierdzie boskie — a wtedy i oni się przydadzą...

Jest-że to wiara polska, wiara, pewna, jak w Boga, zbawienia siebie przez siebie? Możecież wy mieć nadzieję, że sprowadzicie kiedykolwiek naród na tę drogę? Wszak to widoczne zwątpienie: zniżenie się religii polskiej od twórcy

¹⁾ Wyrzutu naszego nie zastosuje do siebie ta część narodu, która sercem ludu umiała odgadnąć przeszłość Polski, wzniosła się przez miłość wyższą nad stanowisko narodowe, widzi przyszłość ojczyzny w urzeczywistnieniu tej miłości, w oparciu na niej społeczeństwa polskiego, w rozszerzaniu zasad braterstwa, wolności, równości do wszystkich jego członków zarówno, wierzy w nią całą duszą, ciąży ku niej wszystkimi siłami; ale do tych jedynie, co kierowani mylnem widzeniem, lub sercem nieczystem, przedłużają męczenną pielgrzymkę narodu wykrętami polityki bez szlachetności, bez podstawy w ogólnym duchu, bez ognia wiary; oddalają odrodzenie się Polski, usuwając konieczny jego warunek, bezpośrednią przyszłość ludową.

narodu do dzieł jego, od całości do cząstek — istne bałwochwalstwo. Stąd próżnia w dźwięku waszych kazań, mglistość waszych nauk, niewłaściwość, niedorzeczność przedstawianych sposobów, we wszystkim pozory, nigdzie istoty ożywiającej, żadnego współczucia między wami a narodem, żadnej spójni z twórczą potęgą jego ducha; stąd obojętność na wasze prace, wstręt ku wam narodowej masy. Błędzicie równie, jeżeli kładziecie w nich wiarę zupełną. Składacie zbawienie Polski w tem, co ją zgubiło, mogąc zbawić, co już raz nie chciało, czy nie umiało dopełnić zbawczego powołania — i spadło z jego wysokości. Czy myślicie, że przyszłe będzie niższe, łatwiejsze — że wybrańcy wasi zdołają mu lepiej odpowiedzieć, jak poprzedzającemu? Jeżeli wy temu wierzycie, to zapewne nie Polska. Ona ma pojęcie zdrowe, bo jest źródłem wszystkich rozumów pojedynczych, a zdrowe pojęcie nie widzi potęgi w niedołężności.¹

Sprawa nasza święta; niepokalanym być musi zbawiciel. Nie powinno być na nim żadnej plamy krwi bratniej, żadnej łzy skarżącej, żadnego wyrzutu, żadnego grzechu z przeszłości; dlatego Polska widzi swoje zbawienie w duchu całego ludu, w jego objawieniu się zupełnem. Tam chrzest, obmywający z dawnych przewinień, błogosławieństwo nowych zapaśników — tam miłość, braterstwo, wspólne dobro, połączona wola, najwyższa potęga, bo jeden cel, wznioślejszy, jaśniejszy, jak dotychczasowy — tam sejmy, władze, ludzie, godni miejsc swoich, bo cały naród odżyły — tam Polska. Nie wierzycie, nie słyszycie jej głosu? A ona jednak wyraźnie przemawia; tak wyraźnie, że już Moskale i Niemcy usłyszeli ją i pojęli. Przed kimże to ich zbiry są w tym ruchu ustawicznym? Kto zakłóca raz po raz królewskie ich myśli, trzyma w ostatecznem naprężeniu królewskie cugle? Kim się zaludniają ich więzienia, stroją szubienice? Czyja krew coraz bardziej cięży na wadze ich zbrodni? Oto apostołów ludu, ludzi przeszłości. Szaleńców! — Może być — ale jakich szaleńców?

¹) Ona także buduje na przeszłości, szuka w niej podstawy i rękojmi dla przyszłości, i nie znajduje ani jednej, ani drugiej w tej jaką jej podsuwacie: wasza podstawa runęła już raz pod nią. Niedostateczna także rękojmia, z jaką stajecie do władzy.

O, niech cały naród zostanie takim szaleńcem, pójdzie na śmierć z taką gotowością, z taką odwagą, a będzie zbawiony. Może nim zostać i zostanie.

Wam, poeci, przodkować w tem dziele. Zostawcie zimnemu rozumowi dziennikarzy, publicystów, dyplomatów, ich królów, ich sejmy, ich względy na gabinety, na stosunki polityczne, na przewagi materialne nieprzyjaciół; niech sobie kleją z tych kombinacyj swoje budowy. Ich to rzecz, rzecz to rachuby brać gotowe materiały, urządzić je i popsuć wkońcu; ale naprawiać, wynajdywać, tworzyć — to wam zostawione. Błąd i nicość leżą u kresu wszelkiej zimnej rachuby; natchnienie tylko jest nieomyłne i twórcze. Jego powinność: oświecać i prowadzić rozum; idźcie-ż mu w pomoc. Od wieków mieliście dar wyśpiwania, czego uszy nie słyszały, objawienia, czego oczy nie widziały — od wieków byliście prorokami, cudotwórcami: wzniescież się do prawdziwej waszej wysokości, bądźcie, czem powinniście. Oto naród do zbawienia swojego potrzebuje cudu, któryby zapalił wszystkie serca jednym, wyższem uczuciem, rozjaśnił wszystkie umysły jednym, narodowem pojęciem, związał jedną wolą wszystkie chęci i pchnął wszystkie ku jednemu celowi. Zróbcie mu ten cud, wytknijcie ten cel, pokażcie mu przyszłą Polskę, Polskę ludową w całym blasku, ogromie, uroku — a miłość ku niej z niej samej wypłynie, a jej ożycie będzie sprawą jednego tchnienia narodowego.

O, tylko śmiało! Nie na gorzkie płacze,
Nie na kancony w puściźnie wam dali
Gęś przedbojańską owi trzej oracze,
Co pieśni mieli, a nie mieli stali.
Na ziemi Lecha stal rodzi się z pieśni:
„Bogarodzica“ Polska nam stanęła,
Mazurkiem: „Jeszcze Polska nie zginęła“ —
Hymnem Marsylskim któż nie śni?

PAMIĄTKI JPANA SEWERYNA SOPLICY

CZEŚNIKA PARNAWSKIEGO.¹

I.

Kiedy umysł narodu zaczyna rozwijać się w dojrzałość, naówczas można twierdzić ze wszelkiem prawdopodobieństwem, że życie tego narodu ma już zapewnioną sobie przyszłość, jakiegokolwiek byłoby jego materyjalne położenie. Umysł narodu rozwija się w dojrzałość, kiedy tak wyraźnie przegląda swoją przeszłość, z jakim zapalem i wiarą rzuca się w przyszłość; niezawodnem tętnem owego stanu jest literatura narodowa. Literatura w owej epoce jest żywiołem, pociechą, najdroższym skarbem dla swego społeczeństwa. Z chlubnem zadowoleniem możemy powiedzieć, że literatura polska stoi już dzisiaj na tym stopniu. Jeżeli nie doścignęła jeszcze zupełnej doskonałości, jeżeli nie ułożyła się jeszcze do harmonii owego wszechstronnego rozwijania się, jeżeli w pojedynczych zjawiskach może podpadać zarzutom surowej narodowej krytyki — to ogół tych zjawisk daje niezaprzeczone świadectwo o wielkiej sile żywotnej umysłu polskiego, z któregokolwiek strony w oblicze mu zajrzemy. Jest to już drzewo, zasadzone przez Opatrzność na wiekach dla wieków; widomie, pod okiem naszym, korzenie jego zapuszczają się coraz głębiej w lata ubiegłe, utrwalają podstawę jego, żywotnymi sokami staroświeczczyzny zapewniają mu wzrost bujny, zdrowie trwałe i czerstwe, kiedy z drugiej strony część jego nadziejska, wieniec liści, zagęszcza się coraz bardziej młodemi alatoroślami, rozkłada

się coraz obszerniej, buja coraz wyżej w przestworach przyszłości.

Owe nasze doktryny religijne, teorie socyalne, systema polityczne, bylibyśmy niczem więcej, tylko marzeniem próżniaczem, paroksyzmem epidemii humanitarnych? Bylibyśmy niemi bez jednej myśli głównej: bez myśli polskiej — nie są jednak z tej przyczyny, że wszystkie zahaczają się o najważniejsze dziś dla nas zagadnienie, o myśl bytu Polski. Wszystkie przechodzą przez miarę tej skali, wszystkie tak są nastrojone do grobowego jej tonu, że powinny zabrznieć naprzód wojenną pieśnią powstania, potem uroczystym tryumfalnym hymnem odrodzenia się, a wkońcu grać poematem życia, długiego, jak życie ludzkości. Jeżeli zaś w całym ich tłumie jednej tylko wybranej myśli zachowane to wysokie przeznaczenie, to i tak nie godzi się wskazywać odsuniętej reszty na wieczne potępienie; w każdym razie ogół ich dowodzi czynności, pełności umysłu polskiego, piastuje w łonie swoim Polskę. Jest to nasza polityka, nasza religia narodowa, jest to narodowa literatura naszej przyszłości, albo, mówiąc inaczej, jest to strona przyszłości w naszej literaturze.

Rozleglejszem jeszcze i wyraźniejszym licem błyszczą w niej przeszłość. Tak chce przyrodzony porządek rzeczy, tego potrzebuje późniejsze życie narodu — a najznakomitsze nasze talenta zrozumiały ten rozkaz Opatrzności i poszły za nim. Do rzędu ich liczymy pisarza „Pamiętek JP. Seweryna Soplidy.“ Nad jego więc dziełem pozwolimy sobie kilka uwag w duchu przekonania, powyżej wyłożonych.

Wszechstronne obejrzenie „Pamiętek pana Soplidy“, wysnucie na jaw całej zawartej w nich nauki, odsłonięcie chociażby tylko piękności, rozsypanych po tem dziele, dostarczyłoby wątku na niejedną rozprawę; zostawując tak miłą, korzystną i konieczną pracę właściwszym piśmom i sędziom, przestaniemy jedynie na kilku rysach ogólniejszych, przypadających do miary niniejszego dziennika, w taki jednak sposób, ażebyśmy dali jak najprawdziwsze o nich wyobrażenie.

Dzieło to jest prostym zbiorem opowiadań, bez koniecznego, logicznego między sobą związku. Scena ogarnia

¹⁾ Dzieło Henryka hr. Rzewuskiego. Krytykę Goszczyńskiego drukował „Demokrata polski“ w czerwcu i lipcu 1841 (tom IV.)

całą Polskę, a występuje na nią szlachta polska, szlachta wieku zeszłego w całej swojej masie, poczynwszy od demagoga szlacheckiego aż do nadwornego kozaka. Główną osobą, osobą, wiążącą owe opowiadania w całość dzieła, jest sam opowiadający, Seweryn Soplica, cześnik parnawski. Stary to, ośmdziesiątletni Polak, szlachcic, katolik, konfederat Barski, człowiek, rozumny rozumem, nabytym nie tyle w szkołach, ile przez doświadczenie życia czynnego publicznego, to wśród obozów konfederackich, to na pokojach wiejskich dworów, to przed kratkami trybunałów; pokorny przed Bogiem, obyczajów surowych, języka szczerzego, prostego serca, prawości w całym życiu nieskazitelnej, nieograniczonego przywiązania do kraju, obok tego wielbiciel dawnych panów, niektórych domownik, innych przyjaciół — zakochany w swoich czasach, widzący w nich przedewszystkiem piękną ich stronę, rozdąsany na młode pokolenie, przyganiający jemu, nieprzyjaciół nowych wyobrażeń i tak dalej. Charakter nowy, piękny, osoba rzeczywista, niepospolita; wszystko to razem może dostarczyć osnowy do wielkiego i zajmującego dzieła — i dostarczyło. Około p. Soplicy, jak około osi, obraca się wiek Stanisława Augusta; na pomysły p. Soplicy, jak na tle obrazu, ustawione, co tylko najwydatniejszego z czynów i osób w owym czasie. I jest na co popatrzeć. Polska w pierwszej połowie panowania Poniatowskiego, w chwili przechylenia się ku niesłychanym klęskom; naród szlachecki nad zachodem swojej potęgi, błyszczący ostatnimi promieniami dawnej wielkości — walka jego z wewnętrznym psuciem się i przemocą zewnętrzną, walka o berło milionów i wieków — wystawa magnatów, przywodzących krociom szlachty, gdzie najlichszy miał prawo królowania — majestat i życie trybunałów, obozowe sceny konfederacji barskiej i nieświeskiej, banda albańczyków, złożona z czoła litewskiej młodzieży, przebiegająca wzdłuż i poprzek Litwę, polując, pijąc i rabując się w pałasze; sicz zaporoska, rozbójnicze nawet pieczary — oto są grupy, oto ruch tego obrazu. W harmonii z temi grupami są pojedyncze figury. Dosyć wymienić z nich niektóre, jak np.: Radziwiłł, Sawa, książdż Marek, Rejtan i tym podobni; jedni znani nam z podań, inni

tak wystawieni, jak żebyśmy przypominali sobie zapomniane podania. A cała ta obrazowa strona opromieniona światłem szlachetnych przekonań. Religia, obyczaje dobre, miłość ojczyzny, poświęcenie dla niej, uszanowanie praw, zgoła, czego tylko potrzebuje nasz czas, nasza dzisiejsza Polska, przypomniane jest umysłowi polskiemu, ożywione czynem lub osobą w opowiadaniu lub rozmowaniu, prostem, mocnym, naturalnem, dalekiem równie od pretensyi kaznodziejskich, jak od oschłości strofującego pedantyzmu. Pod tym względem każda niemal powieść ma właściwą sobie wartość. Nie możemy przenieść na siebie, ażebyśmy nie wymienili niektórych przynajmniej: Sawa, kazanie konfederackie, pan Leszczyc, Tadeusz Rejtan — powinny być nie przez jednego i nie raz odczytywane.

Taki jest najogólniejszy widok dzieła, będącego w mowie. Rozjaśnimy go i rozprzestrzenimy cokolwiek kilką słowami o talencie i sposobie, z jakim je pisarz wykonał.

Pierwsze, główne prawo pisarza do chwały leży w głównej osobie jego dzieła, w osobie Soplicy. Charakter nie tylko piękny, ale prawdziwy. Podobny charakter może objawić się jedynie prawdziwemu, wyższemu natchnieniu; a kto tak pojęty potrafi przeprowadzić przez całe dzieło, nie usterknać w odcieniowaniach jego, ledwo dojrzanych, osnuć na nim harmonijną całość najróżnorodniejszych szczegółów, czynów, zdań, osób — ten dowodzi, że natchnienie jego nie jest chwilowe, że ma w swojej duszy coś, co rozkazuje samemu — natchnieniu, trzymać je na wędzidle, kieruje nim, jak chce, i tak długo, dopóki nie wysnuje z niego całej przędzy, potrzebnej do ogółu dzieła. Podobne wyznanie musimy zrobić, pojrzawszy na inne postacie jego utworu. Wiele z nich widzieliśmy już mniej więcej w podaniach; podaniom przyświadczaży żyjący jeszcze, spółcześni bohaterom Soplicy. Jeszcześmy się nie oddalili tak bardzo od ich czasu; jeszcze dmucha na nas powiew, który idzie od ulatującego wstecz ich wieku — jeszcze owe dzieje związane są z naszymi arteryą, pełną krwi ciepłej, żywej, krążącej — jeszcze widzimy to pokolenie, lubo w przymgleniu, lubo w pół-uduchowieniu; możemy więc porównać z nimi ich obrazy. Dla artysty ciężka próba. Podolał jej pisarz So-

plicy; ujął on ten czas, te dzieje, te postacie w ich polocie ku wieczności umarłej i ukształcił w pomnik dla wieczności żyjącej. Możemy dziś być spokojniejsi o los podań ustnych.

Jak w całym dziele „Pamiętek Soplicy“ niema koniecznego związku pomiędzy szczególnymi jego częściami a całością, tak i w pojedynczych powieściach nie dostrzeżesz owej sztuki, owego najczęściej kuglarstwa nowoczesnych, a zwłaszcza francuskich powieści. Pisarz nie wywija się przed tobą, jak skoczek na linie, nie rzuca ci w oczy blaskiem niezwykłych myśli i wyrażeń, pozornem złotem upstrzonych, nie wodzi cię po labiryncie intrygi, nie wstrząsa twoich nerwów teatralnym gromem: cały urok jego powieści w prostocie — interes w głębi przedmiotu, a sztuka w czarodziejskiej sile wskrzeszania przeszłości.

Do zupełnej doskonałości tego dzieła brakuje tylko, ażeby ułożone było według pewnego systematu, rozwijało się w duchu pewnej głównej myśli, logicznego następstwa powieści. Ten jeden warunek, zachowany, postawiłby „Pamiętki Soplicy“ w rzędzie najdoskonalszych narodowych europejskich romansów; wszakże i z tą niby wadą i w tej formie, jaką dziś mają, górują one o wiele nad tłumem powieści, romansów, poematów nawet, tak naszych, jak obcych, przez prawdę malowidła, wybór osób, niewyczerpaną rozmaitość charakterów i zdarzeń, grę wszystkich stron pocziwego polskiego serca, wreszcie przez opowiadanie, pełne interesu, uroku klasycznego spokoju i tej wzniosłej prostoty, mogącej się tylko uosobić w dawnym szlachciu, który przy całym swoim ubóstwie czuł, że rozkazuje tak królom, jak chłopom.

Pod tymi wszystkimi względami oddajemy szanownemu pisarzowi zupełną sprawiedliwość i przedstawiamy go najoryginalniejszym młodym artystom, jako wzór, godny wyczerpania się i naśladowania.

W drugim artykule obejrzymy „Pamiętki Soplicy“ z innego stanowiska.

II.

Gdziekolwiek jest życie narodu niepozorne, nie skupione wyłącznie we władzach lub pewnej części ludności.

ale robiące we wszystkich umysłach, grające wszystkimi sercami jej ogółu; gdzie przeto jest życie, co się zowie publiczne — tam literatura, aby odpowiadała potrzebom narodu, rozwijała wszechstronnie jego władze, odbijała go wiernie swoim zwierciadłem, stała na wysokości jego umysłu, aby, jednym słowem, dopełniała sumiennie swojego powołania i dostąpiła zaszczytu narodowej literatury — musi żyć w sferze publicznej, czyli, mówiąc zrozumialszym dziś dla nas językiem, musi być w najważniejszej swojej części polityczną.

Ta cecha publiczności, ten polityczny kierunek, objawiają się już bardzo wyraźnie we współczesnej polskiej literaturze. Dzisiejszym, jak pisarzom, tak czytelnikom, chodzi już nie o samą tylko sztukę, nie o świat, oderwany od ziemskiego, nie o rozrywki czysto umysłowe — ale o życie rzeczywiste, o zasadę bytu narodowego. Tak artyści, jak czytelnicy, są dziś przedewszystkiem Polakami, a więc ludźmi politycznymi. Ten stan literatury wytyka drogę polskiej krytyce i wywołuje zarazem konieczność jej kapłaństwa.

Bo czyż sposób, ażeby tak masa czytających, jak pojedynczy pisarze, jakkolwiek zaprzątyni jedną spólną myślą, nie wybiegli czasem, bądź jedni, bądź drudzy, z koleji narodowej, szli zawsze obok siebie w zupełnem rozumieniu się, w jednakowem widzeniu ogólnego celu, a niekiedy z równie czystymi dla ogółu chęciami, ze wszelkiem wyrzeczeniem się osobistych swoich korzyści, wyłącznych uprzedzeń, indywidualnych nałogów? Niekiedy masa może być za niesforna, a pisarz za dumny — inną razą, popchnięta za mocno zapalem ku nowości, posunie się dalej, niżby należało, tak, jak pisarz, rozmiłowany w starych cackach więcej, niż one warte, zechciałby dla nich cały ogół z drogi zawrócić — czasem znowu wyprzedzi zuchwale swój naród, gdy ten, przeciwnie, w płonnem przewiedzeniu jakiejś zaważy stanie w miejscu i ruszyć nie chce; może nawet wystąpić pojedynczy umysł z krótkiem co do ogólnego celu widzeniem, ale z dostatecznym zapasem zdolności, aby pochwycić masę w chwili jej roztargnienia i z bitej drogi sprowadzić ją na swoją ścieżkę. Wszystko to może być w życiu narodów, może się także

przytrafić i w naszym obecnym położeniu, a następnie mieć pojęcia, niweczyć usiłowania, przedłużać bolesne przesilenia narodowego stanu — potrzeba więc siły pośredniej między pisarzami i czytelnikami, któraby zarażać niedogodnościami, jakie z ich nieporozumień wynikać mogą. Za taką siłę uważamy krytykę.

Krytyka nie jest wyłącznie ani wyrazem ogółu czytających, ani stronnikiem pisarzy. Jej stanowisko całkiem bezstronne, niepodległe, wyższe niejako; tem stanowiskiem jest duchowy pierwiastek narodu, główny pomysł, rozwijający jego życie stosownie do rozmaitych położzeń w czasie i pośrodku okoliczności. Z tego stanowiska duch krytyki powinien obejmować całą drogę narodu od jej poczęcia się w przeszłości aż do ostatnich przyszłości kończyn; jej oko powinno się rozpatrywać we wszystkich szczegółach współczesnego wieku i okoliczności, działających na naród — jej głos na koniec powinien prostować pojęcia tak czytelników, jak pisarzy: czytelnikom odkrywać istotę pisarza, jego widoki i dążenia — pisarzom przedstawiać potrzeby narodu — utrzymywać obie strony we wzajemnej sobie znajomości, zbliżać ku sobie, kojarzyć głównym narodowym interesem, wskazywać najwłaściwszą drogę do wspólnego celu tak jednym, jak drugim, krótko mówiąc, powinien być tem dla literatury, czem jest sumienie dla człowieka. Tak w ogólności pojmujemy krytykę narodową; w tym duchu będziemy usiłowali sprawować jej urząd, ilekroć powołani do niego zostaniemy względem na korzyść publiczną i pocujemy się w sile dostatecznie mu odpowiedzieć — w tym też duchu zastanowimy się nad „Pamiętkami P. Soplicy.“ Należą one do dzieł, o których napomknęliśmy wyżej, że są najważniejsze przez swoją stronę polityczną. Dawszy w poprzedzającym artykule ogólne o nich wyobrażenie pod względem sztuki, w niniejszym zajmiemy się jedynie politycznem ich obliczem.

Osobę Soplicy odznaczają szczególnie dwa główne rysy: jest tam Soplica, człowiek Polski całkiem jeszcze szlacheckiej — i Soplica, sędzia Polski dzisiejszej. Pod temi dwoma postaciami zamknięte jest wszystko, cokolwiek nas w „Pamiętkach Soplicy,“ jako Polaków, obchodzi

może. Oceniając więc główną osobą dzieła, wykażemy dostatecznie duch cały jego, zdamy czytelnikom sprawę z najważniejszej jego strony.

A naprzód co do Soplicy, jako utworu historycznego i człowieka przeszłości.

Stary czas ma zawsze pewny urok już przez to samo, że należy do życia narodowego, że przeminął i nie wróci więcej. Jakikolwiek byłby, jest on zawsze dla narodu tem samem, co dla człowieka młodość, niepowrotnie ubiegła, choćby nawet niebardzo szczęśliwa. Cóż dopiero, gdy marzymy o tej młodości na widoku rodzicielskich grobów, w pustkach ojczystej zagrody, pod burzą obecną, pod wątpliwą pogodą, a o przeszłości narodu na jego gruzach i mogiłach? Łatwo wtedy zapominamy o kolcach przebieżonej drogi, o chmurach, co zasępiały niebo, o boleściach, co zatruwały uciechy życia, a w lędnym oddaleniu czujemy tylko woń różaną, patrzymy na niebo, obrzucone obłokami, jak na malowidło, wygrzebuujemy w duszy same zabytki rozkosznych upojeń i nieraz gotowi jesteśmy za jedną chwilę przeszłości oddać wszystko, co jest i co być może. Niemala to zapewne rozkosz, stan podobny. Ale jak ten, co ją wzbudza, tak ten, co jej używa, powinni się trzymać pewnych granic. Niepożyteczna w kółku indywidualnem, może być ona bardzo szkodliwą w sferze narodowej, kiedy grobowa ponętą odciąga od życia obecnego, poświęca rzeczywistość marzeniom, podnosi na łonie narodu bezpłodną a jednak morderczą walkę tego, co być musi, z tem, co wrócić żadną miarą nie może.

Ta była pierwsza myśl, którą w nas obudziło czytanie „P. Soplicy.“

Pod niewinnym pozorem historycznego malowidła tyle tam światła rzucono na przeszłość i w taki sposób, że epoka nasza dosyć się nędznie przy niej wydaje. Jest to wprawdzie złudzenie, niebezpieczne tylko dla oczu, niewtajemniczonych w czarodziejstwo sztuki, ale mimo to mogące mieć wpływ szkodliwy na niektóre umysły, mniej zdolne do zastanowienia się, mniej obeznane z rzeczywistością przeszłego wieku, pomijające dla świetnej całości takie szczegóły, które stanowią prawdę obrazu, a za-

tem bardzo łatwe do uwiedzenia. Zgadza się, że p. Soplica nie miał zamiarów tak podstępnych, nieprzychylnych naszym czasom — ale wiemy z drugiej strony, że ta nieprzychylność, ta przewrotność jest pomiędzy nami; w rękach więc takich p. Soplica może mimowolnie zostać narzędziem złego.

Z tego powodu uważaliśmy za powinność rozebrać go cokolwiek z ozdób artystycznych i przedstawić w świetle rzeczywiście. Nie nasza wina, jeżeli nie zawsze wydamy się jego wielbicielami. Nie uwłacza to bynajmniej ani pobożności, ani cnotom, ani patryotyzmowi p. Soplicy. W przekonaniu naszym usprawiedliwiamy go czasem, w którym żył, wyobrażeniami, w których się wychował, niemocą wieku fizyczną i jej następstwem, niemocą umysłową, nieszczęściami publicznymi, na które patrzył, a może jeszcze patrzy — w końcu miłością, bardzo naturalną, po części nawet chwalebłą, dla swoich czasów, dla swoich ludzi, których oglądał okiem pełnym czerstwości, a którym podobnych dzisiaj znaleźć nie może, czy to, że słabiej widzi, niż dawniej, czy, że tam ich szuka, gdzie dawniej znajdował. Usprawiedliwiamy go tem wszystkiem, czem można usprawiedliwić człowieka innego czasu, innego stanu rzeczy, niż nasze, dzisiejsze; jesteśmy w tem wyrozumiali, o ile można; mimo to jednak nie pozbawiamy się prawa osądzenia go ze stanowiska naszego czasu, dzisiejszego stanu rzeczy, wyrzeczenia, co on widzi inaczej, jak my widzimy, jak widzieć powinniśmy, zwłaszcza, gdy mamy powody tak ważne, jak te, któreśmy wyżej wymienili.

P. Soplica przedewszystkiem jest człowiek pobożny. Tak znamy całą wartość religii dla społeczeństwa, tak chętnie przyznajemy duchowi religijnemu, że był głównem piętnem minionych naszych dziejów, a co ważniejsza, przyłożył się niemal do rozwinięcia pocziwych sławiańskich usposobień w charakter, pełen poświęcenia, który wyniósł Polskę pod tym względem nad inne narody, tak czujemy jego potrzebę w dzisiejszych trudnych okolicznościach narodu — że z całej duszy łączymy głos nasz z jego głosem, ile razy uwielbia religijność przodków i każe ją naśladować.

Ale pan Soplica nie oddziela religijności od katolicyzmu. Dla niego jest to bardzo naturalne; nie tak naturalne dla nas. Czy to katolicka strona oka naszego tak osłabła, że go w całym ogromie obejrzeć nie możemy, czy oko samo tak się rozszerzyło i rozjaśniło, że przeszło za granice katolicyzmu w głąb i w zwyz — o to mniejsza. Dosyć, że katolicyzm podług nas jest w sferze religijnej taką częścią, jak inne religie; ma obok strony jasnej stronę ciemną, obok zasług, wykroczenia; krótko mówiąc, wartość tak względną, jak wszystko, co raz zeszło do lichej dziedziny człowieka. Jest on zapewne lepszy w niektórych częściach od innych religii, zato w niektórych gorszy, a widocznie ulega, jak wszystko, podwójnemu prawu: zużywania się przez życie i przeobrażania się w coś doskonalszego. Dłuższy spór o tem zostawiamy do lepszych czasów Polski; dotknęliśmy te rzeczy dlatego szczególnie, że chcieliśmy i w p. Soplicy widzieć więcej pobłażania dla innych religii, a mniej uprzedzenia za katolicyzmem, przynajmniej do tej chwili, w której katolicyzm panów i szlachtę zniży do chłopów, a chłopów podniesie do szlachty i panów, rozszerzy wszystkie serca miłością wszystkich, zamieni cały naród w jedną rodzinę, obdzieli zarówno wszystkich jej członków korzyściami stanu społeczeńskiego, urządzi ją na myśli braterstwa, w całym znaczeniu tego słowa, a myśl jakiegokolwiek panowania, czyjejkolwiek przewagi wypędzi z niej na zawsze. O, wtedy my sami z rozkoszą przyjmiemy ostatnie jego namaszczenie. Dzisiaj niech przestanie na prawie do pobłażania, jakie się należy wszelkim religiom. Ale Jezuitom i tego prawa przyznać nie możemy, jakkolwiek szanujemy pana Soplicę i jego słabość dla nich; bo rzeczywiście jest to słabość, taka np. jak w pewnych stronach Polski, miłość żon do mężów za to tylko, że je biją. Jak dalece szczęśliwy, kogo tym sposobem rozkochać można, tego nie wiemy. Co do nas, my wolimy dzisiejsze szkoły ze wszystkimi ich wadami, a powody zdają się nam ważne. Między innymi, jesteśmy prawie pewni, że duch karności jezuickiej zaprawił niemal polskie szyje do jarzma zewnętrznego, w które popadli, i że jezuickie chłosty odrętwiły ich ciało i umysł na razy

i obelgi, przez wrogów zadawane. Mniej bici w szkołach, nie byłoby może pobici o Moskalów i Niemców.

Jest to zarzut wprowadzie ważny, ale pojedynczy, i mniejby znaczył, gdyby nie był jednym z tysiąca. Mamyż wszystkie wyliczać? Czyż nie dosyć rozwinąć dzieje przeszłego wieku a na czasy dzisiejsze popatrzeć, jako na ich skutek? Czyż nie dosyć rozważyć pilniej samego p. Soplicę? Widzimy w nim taki zasób wrodzonej poczciwości, rozsądku i innych dobrych przymiotów, że niezawodnie byłby nie powiedział wielu rzeczy niepotrzebnych, a które powiada dlatego tylko, że był w szkołach jezuickich. Ale mniejsza o Jezuitów; jest to dziś ogień tak z daleka dopiekający, że ómom tylko może być niebezpieczny; uwaga nasza zwraca się ku pobożniejszej stronie religijności. Może przesadzamy wskutek nieufności ku staroświeckim wyobrażeniom, których nieprzychylność dla siebie jasno widzimy, ale zdaje się nam, że pan Soplica w czynnościach tego świata, i to w takich na przykład, jak jest walka śmiertelna narodu z narodem, daje rolę zbyt ważną modlitwom.

Nie mamy nic przeciw pobożności, pod jakąkolwiek jest ona postacią, ale z drugiej strony mamy przekonanie, że, jak wszystko ma swoje granice, tak równie i modlitwa. Powiemy więcej, że nie rozpaczalibyśmy o powodzeniu sprawy polskiej, choćbyśmy widzieli mniej modlących się, niż ich dzisiaj widzimy. Dopelnienie swoich powinności czyli pobożność w czynie, potrafi, naszym zdaniem, dostatecznie zastąpić modlitwę w słowach: nadto ma ona tę korzyść, że zaspokaja razem i Boga i ludzi, a nie może być oszustwem, jakim jest często modlitwa słowna, kiedy się podsuwa na miejsce czynu. Gdyby tu było pole do obszernych rozpraw, dowiedlibyśmy jasno, że są przypadki, gdzie nikt nie zastąpi materyjalnej siły, że katolicyzm nawet urósł nie na samym tylko kwasie modlitw, że wreszcie sam pan Soplica więcej bił się, jak modlił, jak to widać z jego opowiadań — ale, skrępowani granicami ulotnego pisma, musimy przestać na ostrzeżeniu czytelników, żeby w tem zdaniu nie widzieli nic więcej, tylko słabość ducha, niezdolnego już wskutek wieku

do czynów, i naśladowali p. Soplicę nie z tego, co mówi, jako prawowierny katolik, ale co robił, jako dobry Polak.

Ileć p. Soplica usunie z duszy i postawy pokorę religijną, a niekiedy jezuicką, tyleć p. Soplica usunie z duszy i postawy pokorę oblicze, jego duch, jego cała istota przybierają fizyonomią szlachecką — i trzeba przyznać, że mu z tem pięknie, bardzo pięknie. Wie on o tem, nie przestaje więc na przystrojeniu siebie, ale wyprowadza całą masę szlachecką, cały ów świat cały ów czas szlachecki, i wszystko powleka takim urokiem cnót prywatnych i publicznych, takim blaskiem wielkości wewnętrznej i zewnętrznej okazałości, a zawsze na tak wielką skalę, że w pierwszej chwili czujemy się być mimowolnie upokorzonymi. Wszakże nie powinno nas to ani gniewać, ani upokarzać bardzo, ani ludzi.

Przystąpmy tylko bliżej i rozpatrzmy się. Powiedzieliśmy już wyżej, że pan Soplica jest to stary szlachcic; możeż on inaczej występować i mówić, jak mówi i występuje? Odjąwszy mu nawet uprzedzenia szlacheckie, pozostaje starcem, jak każdy starzec. Chwali swoje czasy, bo swoje — swoich ludzi, bo swoich. Wszystko dobre u niego, co stare, dlatego tylko, że stare; baczni na to, nie gorszymy się jego mową, nie wstydzimy się jego świata, nie mrużmy oczu przed tym blaskiem: pierwszy to tylko wybuch tak nas razi; wpatrzymy się lepiej, a i tam plamek dostrzeżemy. Pan Soplica, jako stary Polak, ma także zaletę szlachy: słuchajmy go tylko cierpliwie, a jak się rozgada, wygada się z niej jedna rzecz, która bardzo zmienia ogólny pozór obrazu. Na próbę weźmy którekolwiek z przedmiotów jego uwielbienia, przejdźmy z niemi wszystkie jego powieści, postawmy obok siebie, cokolwiek o nich wypowiedział, porównajmy, a przekonamy się, że i wtedy było, jak dzisiaj, złe obok dobrego, a często złe górowało. Jeżeli w niektórych miejscach stawia wzór naszym czasom sprawiedliwość trybunałów, poszanowanie praw, patriotyzm szlachty, poświęcenia się możliwych — to w innych znowu znajdziemy wypadek, przez który Chrystus ukrzyżowany aż twarz odwrócił od sędziów trybunałskich, usłyszymy kazanie księdza Marka, zobaczymy upadające konfederacje. A oważ przeszła szlachta, co dla pomśczenia swojego mecenasa

wyrywa sobie czupryny pod bokiem najwyższego sądu, batoży równych sobie braci — ów nawet sam wielki Radziwiłł, co też on nie wyrabia? Nie wszystko więc tam tak wielkie, tak piękne, tak godne naśladowania, nawet w opowiadaniu pana Soplicy.

Niech go nie martwi nasza uwaga. Zmyślałby, gdyby ten czas, tych ludzi chciał być przedstawić bez żadnej zmazy; nasze dzisiejsze położenie zadaloby mu fałsz nieodpartym sposobem. Żeby ta szlachta była tak dzielna, tak poczeiwa — żeby ci panowie byli tak godni ogromnych środków, którymi rozporządzać mogli na korzyść pospolitą — żeby takie dla praw było uszanowanie — żeby te czasy były tak dobre, czyż Polska byłaby upadła, byliżbyśmy przyszli do tego stanu, w jakim dziś jesteśmy? Myślimy, że nie — i największą część winy zwalamy na ówczesną szlachtę.

Tu zdaje się nam stosowne miejsce powiedzieć, że nie jesteśmy wyznawcami tej szkoły, która naucza, że wszystko, co było, było dobre, dlatego, że było — ale, przeciwnie, mamy za wielką prawdę to prawidło, które o przyczynach każe sądzić z ich skutków. Według tego prawidła z dobra urodzi się tylko dobro tak, jak ze zła zło, nigdy dobro ze zła, lub zło z dobra. Zastosowując te zasady do ostatnich nieszczęść Polski, wyprowadzamy wniosek, że wiek ostatni musiał być zły, kiedy porodził nasze lata tak ciężkie, a że szlachta ten wiek wyłącznie wyobraża, szlachta więc przyszłego wieku nie musiała być taką, jaką ją Pamiątki P. Soplicy wystawiają, a dzieło jego uważać potrzeba za mozajkę, złożoną z kamyków mozołnie pozbieranych. Ma ona niezaprzeczenie swoją wartość, jak ma każde dzieło, które przedstawia ludziom stronę jedynie piękną jakiegoś przedmiotu — ale wartości historycznej mieć nie może, nie może być nigdy uważane za wierny obraz szlachty w przeszłym wieku. Srodze więc omyliłby się p. Soplica, gdyby myślał, że je tak przyjmujemy; nierównie srodzej, gdyby się spodziewał, że swojemi powieściami przerobi dzisiejsze pokolenie na szlachtę, czyli zrestauruje szlachtę dawniejszą, przywróci ją do dawnego wpływu, znaczenia, panowania. Nie, takiej nieodzorności nie śmiemy podsuwać człowiekowi tak roz-

sądnemu, jak pan Soplica, a tem mniej bezimiennemu wydawcy jego pamiątek, który wie zapewne o tem, czego staroświecki Soplica może i nie wiedział, że nic nie jest bardziej szlachtą z potęgi, cnót a nawet rodu, jak lud cały. W ochocie też do szabli i szklanki nie ustąpi on żadnej na świecie szlachcie. Pomóżmy mu tylko zdobyć się na wolność chodzenia z karabelą i możność noszenia jakich takich kontuszów, a na miejscu miliona szlachty będziemy jej mieli dwadzieścia milionów, straszniejszej wrogom zewnętrznym, rządniejszej wewnątrz, a nadto bardziej polskiej, jak przeszła i teraźniejsza.

Nie podobna wymagać po szlachcicu, ażeby się nie przywiązywał do panów, nie miał ku nim szczególniejszej przychylności, nie poświęcał się dla nich więcej czasem, jak dla narodu, nie troszczył się o nich więcej, jak o losy kraju, nie widział w nich uosobienia pomyślności, szczęścia, wielkości, chwały, bytu nawet swojej ojczyzny. Zdaje się, że pod tym względem Pan Bóg inaczej tworzy szlachtę, jak resztę ludzi; zdaje się, że albo im ujmuje jakąś część głowy, albo dodaje do zwyczajnej liczby zmysłów coś naksztalt instynktów, właściwych zwierzętom, a rozmaitych, według rozmaitego ich rodzaju. Ten instynkt widzimy jeszcze w młodej, społecznej nam szlachcie; cóż więc dziwnego, że w starym p. Soplicy tak wyraźnie przebiega się jego uszanowanie, jego miłość dla Panów. Pojmijmy to łatwiej, gdy weźmiemy na uwagę, ile to dobrego p. Soplica od panów doświadczył: a wdzięczność, to tak szlachetne i miłe uczucie, psu nawet nieobce; brzydkoby też było ażeby pies zawstydził w czemkolwiek szlachcica polskiego. Dlatego też p. Soplica szczerze kocha panów i wszystkimi głosami pod niebo ich wynosi. Ale czy w tych pochwałach ma jakie widoki polityczne? Czy chciałby w pełnem uczuciu swojej wdzięczności widzieć ich dzisiaj, czem byli dawniej, w ówczesowej świetności, przepychu, zbytkach, przewadze nad resztą narodu, a resztą narodu szlachetną i nieszlachetną w służalstwie? Nam się zdaje, że nie.

Chwali on panów swojego tylko czasu i wszędzie prawie powiada, dlaczego chwali: ten go wychował, ten obdarzył majątkiem, tamten dobrze pił, ów posłuszny był Jezuitom,

inny znów narażał się w przygodach kraju, i tym podobnie. Ma więc rozumne powody do chwaleń. Ale obok tego widzi różnicę między dawnymi a teraźniejszymi panami, i to różnicę bardzo niekorzystną dla potomków: co większa, zdaje się, że postrzega różnicę między dawniejszym a teraźniejszym gminem narodowym. Wątpimy więc, ażeby przy swoim zdrowym rozsądku mógł marzyć o przywróceniu dawnego wpływu panów na Polskę, jak wątpiliśmy względem szlachty. A gdyby i marzył, byłby do usprawiedliwienia wielu osobistemi względami i w naszem rozumieniu uchodziłby zawsze za mędrsze, jak ten, ktoby słowa jego brał za nauki ewangeliczne, słabości znękanej duszy za przymioty, godne przeszczepienia i wstępowania w ślady, które już połową wieku zrosły i zaległy gruzami tyłu pałaców.

Kiedyż bo to tak piękny ów widok dawnych polskich panów! Prawda, że piękny, prześliczny; my sami lubimy przyglądać się jemu: ale czyż wszystko, co piękne, ma być zaraz i dobre? Szatan ma być także piękny. Czciemy przeszłość, dziwny się dawnym panom, takim zwłaszcza, jakich nam Soplica na wzór wystawia, naśladowmy dobrą ich stronę, módlmy się do nich, ażeby w swoich następców natchnęli czystsze, silniejszego ducha narodowości, ale wkońcu pozdrówmy ich ukłonem pożegnania raz na zawsze i zejdźmy między nie-panów. Tam tylko będziemy, czem być powinniśmy, zrobimy, cośmy zrobić powinni; z czasem doczekamy się, że majestat panów sam do nas zstąpi i będzie służył narodowi, jak niegdyś naród jemu służył, odjawszy ucisk i upodlenie.

Oto są najcenniejsze rysy p. Soplicy, jako postaci historycznej; resztę na później odkładamy.

III.

Z człowiekiem, jak pan Soplica, miło pogadać. Lubo nie we wszystkim zgadza się z nami i nie zawsze ma słuszość, wszakże same jego przywidzenia i mylne mniemania są już z tego względu użyteczne, że otwierają szranki sporu o najważniejszych dziś dla nas zagadnieniach. Czytelnicy więc zechcą nam przebaczyć rozwle-

kłość, za zbytnią może, naszych uwag poprzednich i następnych.

Po tem, cośmy już powiedzieli, pozostaje nam jeszcze poznać p. Soplicę, jako sędziego Polski dzisiejszej. Konieczne to do zupełnej z nim znajomości.

Dwa są stanowiska sądu w rzeczach narodowych: stanowisko przeszłości i stanowisko przyszłości. Pierwsze właściwe jest starcom, którzy, swój czas przeżywszy, stoją wśród pokolenia i wieku nowego, a dla nich niejako przyszłego, jedynie w roli widzów, i porównywiają takowe z czasem i pokoleniem swoim; naówczas przeszłość daje sąd swój o przyszłości. Naród zajmuje drugie stanowisko, kiedy czynne jego pokolenie roztrząsa dzieje minione, a wówczas można powiedzieć, że przyszłość daje swój sąd o przeszłości. Oba stanowiska są w koniecznym porządku spraw narodowych, oba mają za sobą równą prawość, równą powagę, właściwe sobie korzyści, i są konieczne do roztropnego prowadzenia pospolitej rzeczy, a wielce użyteczne, jeżeli pokolenie gasnące daje czynnemu nauki swego doświadczenia z bezstronnością, z miłością większą ku żywym, jak ku umarłym — następcy zaś zabierają się do ocenienia swoich przodków z sumiennem postanowieniem przyznać im wszystko dobre, jakie u nich było rzeczywiście, i korzystać z niego, jak z drogiej spuścizny. Tym sposobem naród idzie w kolei niezaprzeczonego prawa, że obecność żyje zarówno przeszłością, jak przyszłością i idzie dobrze. Każdy zatem ma nie tylko prawo, ale powinność sędzić o sprawach przeszłych i przyszłych narodu. P. Soplica korzysta z tego prawa i wywiązuje się z tej powinności, sędzi nas. Nie możemy jednak powiedzieć, że sąd jego jest zupełnie bezstronny. W wielu miejscach trąci za mocno alwarem, szlachcicem, człowiekiem ośmnastego wieku, a co najprzykrejsza, widoczne w nim niepojmowanie naszego czasu i pewna ku niemu niechęć, nie zawsze usprawiedliwiona. W tem miejscu najważniejsze są grzechy p. Soplicy.

Kiedy starzec chwali nam ogólnie swoje czasy, swoje pokolenie, w głębi tych pochwał widzimy miłość, i przez wzgląd na serce przebaczymy głowie; ale kiedy ten starzec podnosi przeszłość kosztem obecności, zostawia całą

miłość dla umarłych, a żyjących raczy tylko przekasami niechęci, naówczas powinniśmy wyjść z milczenia pobłażających słuchaczy i zawołać do niego: Stój, staruszkule! Milczeliśmy, dopóki grzeszyłeś szlachetną słabością serca — musimy ci przerwać, skoro zaczynasz błędzić tak sercem, jak rozsądkiem. Podnosząc głos starca, głos nauczyciela wobec całego narodu, oceniłeś zapewne całą jego ważność; naprzód więc powinienś być ogarnąć równą miłością ojców i synów, potem być przekonany, że znasz doskonale obie epoki, nakoniec oddać sprawiedliwość dobrej i złej stronie, jednym i drugim — a głównie powinienś być przejąć się tą prawdą, że naród nie jest to jakaś zakamienialość, ale istota żyjąca, rozwijająca się nieskończenie, że nie może być tem samem po stu latach, jakim był przed tą epoką, że spoczynek lub cofanie się — to jego śmierć. A ty wykroczyłeś przeciwko tym wszystkim warunkom. Chwalisz tylko swoich równińników, ich tylko ukochałeś, co nasze, to ganisz, chciałbyś dzisiejszy naród widzieć takim, jakim był za dni twoich młodych — chciałbyś go cofnąć.

Nie jesteśmy tak zarozumiali, żebyśmy się mieli za skończenie doskonałych. Wiemy nawet, że mamy wiele złego, które dawniej było mniejsze, albo wcale nieznane, ale obok tego czujemy, że często jesteśmy równi naszym przodkom, niekiedy wyżsi od nich, a co najpewniejsza, że, ze złej nawet strony, jesteśmy godnymi ich następcami. Ostygliśmy w katolicyzmie — zato coraz lepiej pojmujemy i wypełniamy przepisy religii, którą na ten raz nazwiemy religią narodową; jesteśmy gorszą szlachtą — zato więcej kochamy chłopów; nie szanujemy praw, bo jakież to są prawa, które szanować mamy? Wszystkie niemal narzucone, albo od zewnętrznej przemocy, albo od przemożnej części narodu, idziemy jednak chętnie na śmierć za te, które płyną z ducha ogółu narodowego i dążą ku jego dobru. Jest między nami duch niekarność — ale któż głównie temu winien, jeżeli nie dotychczasowe władze, które prowadziły naród nie tam, gdzie on iść pragnął i iść był powinien, i dlatego zaprowadziły go nad przepaść zguby; są klótnie zażarte — bo występują na jaw zamiary, przeciwne duchowi i zbawieniu narodowemu; jest

nienawiść — bo są ludzie i bandy całe, poświęcające wyłącznym swoim korzyściom sprawę ojczyzny, a takich trudno kochać; są dumni, podnoszący się nad cały naród — są niedołężni, bez wiary w świętość i potęgę polskiej sprawy; są nikczemni słuzalce obcych rządów; ale ci wszyscy nie są — żę jedynie plodem zepsucia klasy rządzącej z przeszłego, z twojego wieku? Są nawet zdrajcy, ale to dzieci sejmu grodzieńskiego. Zato znowu jest ciągly, silniejszy coraz ruch życia narodowego — są rewolucye, emigracye, ustawne spiski, wyprawy, męczeństwa, poświęcenia, miłość ludu, zrozumienie swego narodu i czasu, życie moralne w przyszłości równe, a może i większe, jak u naszych przodków — nakoniec jest ufność w skuteczność narodowych usiłowań, lubo ze słabszymi, niż były dawniej, środkami, a przeto wiara silniejsza, niż dawniej była, a wiara czynna, kiedy ofiarą swojemi, zakrwawia całą Polskę, męczennikami zaludnia wszystkie katownie wrogów, grobami wyznawców zasiewa wszystkie kraje, a wielkością ducha polskiego zapełnia świat cały.

Tacy następcy nie są tak bardzo niegodni swoich przodków; takiego pokolenia nie można kłaść pod nogi przeszłemu, a przynajmniej, ktokolwiek zamierza łączyć nasz wiek ubiegłym wiekiem, powinien wprzód dobrze się zastanowić, ażeby to, co miało zdobić, nie pokazało się w przylataniu zużytym łachmanem i nie wystrychnęło narodu wobec innych ludów, jeżeli nie na coś gorszego, to przynajmniej na arlekinę. W sądach twoich, szanowny Soplico, pominąłeś te względy, nie patrzyłeś na obie strony i okiem takim, jakim według nas patrzeć było potrzeba: dlatego tak żarliwie przeciwko nim protestujemy i obwiniamy ciebie, że stroną krytyczną twojej osoby nadużyłeś strony historycznej.

I skończylibyśmy na tem w przekonaniu, żeśmy wszystko wypowiedzieli o najważniejszej stronie pamiętek pana Soplicy, gdybyśmy nie przewidywali, że niejeden, źle nas pojąwszy, czy to mimowolnie, czy z umysłu, będzie miał wolę zapytać, dlaczegośmy się tak uwzięli na p. Soplicę. Czyż nie wolno pisarzowi wybrać epokę dziejów, jaka mu się spodoba, odmalować ją ze strony, z jakiej zechce, złej lub dobrej? Co naszemu wiekowi może szko-

dzić wystawienie zeszłego ze strony pięknej? Co pomoże rozczerwanie go z przeszłości? Obok pytań mogą być zarzuty, podejrzenia o niepatryotyzm, o przesiąknięcie wyobrażeniami francuskimi, a nawet o rozmyślną chęć szkodenia sprawie narodowej. W tym wieku podejrzeń, wśród kochanych naszych braci, rozdrażnionych bólem klęsk publicznych, nie znających miary w pochwałach i naganach, nie troszczących się o właściwe nazwanie rzeczy, o sąd rozważny, trzeba być na wszystko przygotowanym, przypuszczać zarzuty i zapobiegać im przez wytłumaczenie się jak najjaśniejsze — dlatego przeciągniemy jeszcze nasz artykuł o kilka myśli i odpowiadamy.

Nie — my nie uwzięli się na pana Soplicę. Nie kole nas w oczy piękna strona przodków, nie zaprzeczamy pisarzowi wolności malowania narodu ze strony, jaka mu się podoba, nie mamy nienawiści do przodków, nie chcemy odstręczyć od nich naszego pokolenia, ale uważamy pana Soplicę za utwór historyczny, za wszechstronny obraz przeszłego wieku — chcemy więc w nim prawdy historycznej, a chcemy jej w religijnem przekonaniu, że prawda tylko jest nauczająca, płodna w dobre skutki, pożyteczna narodowi. Cóż on na tem zyska, że go przyprowadzimy do wzdychania za wiekiem upodlenia, do podziwiania głównych sprawców jego zguby? A otrzymamy ten skutek, jeżeli na miejscu prawdy historycznej, wszechstronnej, podsunieśmy jedną tylko jej stronę, podniesioną do piękności artystowskiej, czyli ideał.

Nie niszczymy więc odrazu Soplicy naszymi uwagami, ale łagodźmy jego wrażenie; piękny ideał pisarza dopełniamy rzeczywistością, nie bardzo może piękną, ale ściśle historyczną. Możemy nawet powiedzieć, że nie tyle jej dopełniamy, ile rozwijamy ze szczegółów, w samem-że dziele znajdujących się. Jest ona tam niezaprzeczenie, a maluje się we wszystkich barwach: od jasności anielskiej poświęcenia się dla kraju aż do jaskrawej czerwoności opilca — a gra całą skalą muzyki: od uroczystego śpiewu religijnego aż do sejmikowego gwaru szlacheckiej hałastry. Nie zaślepiajmy się tylko rażącym blaskiem całości, oswójmy z nim oczy, wpatrzmy się cokolwiek dłużej i głębiej, a znajdziemy ją. Mimo całej zręczności

i usilności autora, aby ją przyćmić ozdobami artystowskimi, nieraz ona wystercza z pod nich w rozlicznej postaci i daje o sobie świadectwo. Jedną z pomiędzy nich musimy wymienić: w braku właściwego miana nazwiemy ją komicznością. Objawia się ona tak powszechnie na podobnych utworach, tak mocno uderza duszę, że zastanowimy się cokolwiek nad nią.

Żaden prawie pisarz nie mógł jej uniknąć, jak tylko dotknął przedmiotu z życia szlachty, a mianowicie szlachty przeszłego wieku. A przecież wiek sam w sobie nie był tak wesoły ani przodkowie nasi tak szczęśliwi, a my tem mniej, ażebyśmy ich samym śmiechem witali. Trudno też obwiniać pisarzy o rozmyślnie ubliżanie szanownej ich pamięci, jacyby oni nie byli. Gdzież więc źródło owej komiczności: czy w przedmiocie, czy w naszym usposobieniu? Wartoby rozwiązać to zagadnienie, ciekawe i ważne nie dla samej tylko literatury. Co do nas, widzimy w tem zjawisku okropne objawienie się sprawiedliwości Boskiej, straszliwą naukę wszystkim, którzyby dziś jeszcze w duchu przeszłej szlachty niewolniczo żyć chcieli i przez cześć religijną nie śmieli odstąpić od jej nawet grzechów przeciw ludowi. Sądźmy więc, że owa komiczna strona, przylegająca do postaci dawnego szlachcica, wynika, po części, z jego istoty, a staje się wyraźniejszą przez pewną, instynktową zemstę ducha narodowego za cierpienia, które ze źródła szlachty na lud spływały, za poniżenie, w którym dzisiaj przez jej pychę zostajemy. Kiedy dla dobitniejszego wytłumaczenia się szukamy porównania, mimowolnie nasuwa się na myśl dyabeł. On także dał się ludowi we znaki i straszny jest dla niego, a stąd został w jego powieściach najśmieszniejszą, najbiedniejszą figurą: lud mści się, jak może. Komiczność przeto szlachty ma, według nas, swoje źródło w najwyższej sprawiedliwości. Jest ona pokutą za jej grzechy, czyszcem, że tak powiemy, naigrawania się, który nie skończy się wprzódy, aż znikną smutne tych grzechów następstwa. Bodajby się skończył jak najprędzej, choćby w chwili, kiedy to piszemy!

Zbierając w treść całą rzecz naszą, powiemy na zakończenie, że Pamiątki P. Soplicy, o ile są z jednej strony

utworem niepospolitego artysty, płodem rzadkiej znajomości dawnych czasów, nieocenionym dla nas już nawet ich pomnikiem i wymowną zachętą polskich pisarzy, aby rozprzestrzeniali narodową literaturę w kierunku przeszłości, o tyle skądinąd zdradzają dążenia, oporne cokolwiek dzisiejszemu kierunkowi umysłu narodowego. Pamiętki Soplicy są jednym z pojawów tej szkoły czy partyi, którą nie same tylko względy artystowskie przywiązują do przeszłości; nowy to szermierz w walce narodowej przyszłości z przeszłością. Czy podobna, ażeby taki talent mógł być na drodze tak mylnej? Ważne to zjawisko w naszym czasie, w naszych okolicznościach. Nie możemy więc przestać na krótkim napomknieniu.

Nie podpada wątpliwości, że społeczność polska jest dzisiaj w stanie przeobrażenia się, to jest, zmierza do stanu innego, jak był przed laty kilkudziesiąt, kilkanaście, a może innego, jak obecny. Społeczności przeobrażającej się nie trzeba sobie wystawiać, jak człowieka, który może się przebrać, kiedy zechce; zrzuci tylko jedną odzież, a weźmie drugą. Przeobrażenie społeczności polega całkiem na przeobrażeniu moralnem, umysłowem, wewnętrznem. Idzie w niem o zmianę zwyczajów, nawyków, nałogów, wyobrażeń, obyczajów, charakteru, całego sposobu życia narodowego. Co dawniejsze, musi ustąpić nowemu; ustąpienie to nie może się odbyć bez dolegliwych, bolesnych dla przeszłości uczuć. Stąd jej opór, stąd walka moralna w łonie narodu, między dwiema chwilami czasu. Zwykle gmin ją rozpoczyna: raz dlatego, że niedogodności trwającego stanu jemu najwięcej dają się uczuć, powtórę, że gmin, będąc podstawą narodu pod każdym względem, w nim także wszelka wzniosła myśl przyszłości przechowuje się od wieków; wyrabia się, oczekuje cierpliwie chwili dojrzenia; w jego też kornej postaci naprzód się ona przedstawia, ile razy rozpoczyna wyprawę na podbicie świata. Na ten raz dosyć nam na świadectwie dziejów nauki Chrystusowej. Walka owa w początkach swoich zawsze jest ciężka, niepewna i często niekorzystna dla gminu, bo przeciwną stronę składają zazwyczaj ludzie, zajmujący wyższe stanowiska, czy to pod względem materialnym, czy przez umysłową ich wyższość.

Wytłumaczyć to łatwo. Pierwsza przyczyna ważna, choć nikczemna, że podobnym ludziom dobrze jest ze stanem obecnym i wyłącznie ciągną z niego korzyści, a przemiana znosi te korzyści lub je zmniejsza; z tej strony najdrażliwsi są ludzie, użytkujący z narodu materialnie. Drugi zastęp broni głównie stanowiska duchowego, i składa się z ludzi ukształconych, utalentowanych, takich np., jak są pisarze. Prowadzi ich do tego nie sam tylko bezzasadny upór: ukształcili ich, podniosli do potęgi, stworzyli niejako, wyobrażenia, których bytowi nowość zagroza. Wyobrażenia te stały się potrzebą ich życia, jedynym właściwym pokarmem ich duszy, jedyną strefą, w której życie ich rozwijać się może; przynajmniej wyobrażają sobie, że inny porządek rzeczy musi im śmierć przynieść. Do tych względów osobistych dodajmy wyższe, szlachetniejsze, jako to: obawę o byt narodu, o jego zdrowie, że tak powiemy, a nawet życie — które nie mogą być bez niebezpieczeństwa w podobnych przemianach; nie pominiemy i tego, że przyszłość grzeszy często wybuchami zapału zbyt gwałtownego, nierozważnego. Przeszłość wtedy, chociażby na prawie doświadczenia, uważając się za przyrodzoną strażnicę życia i szczęścia narodowego, osłabia ten zapęd wstecznym kierunkiem — opór ten wzmacnia się w miarę, im gwałtowniej przyszłość ją targa, aż do chwili, dopóki nie upadnie w zupełnem omdleniu.

Cośmy powiedzieli w ogólności, to wszystko można zastosować do widocznego oporu przeobrażeniu się narodowemu niektórych pisarzy, zajmujących skądinąd świetne w umysłowej polskiej sferze stanowisko. Myliliby się jednak, kto by temu postępowaniu podsuwał za główne powody poziome widoki, kto by je tłumaczył czem innym, jak troskliwością o byt narodowy, zamienioną wkońcu przez zbytnią lekliwość w prosty, zwierzęcy instynkt konserwacyi. Chęci ich są niezawodnie w swojej zasadzie pocziwe, ale kryją w sobie niemale grzechy. Po pierwsze, ci ludzie mają więcej miłości, że tak powiemy, familijnej, to jest tego kółka, z którym spojeni są przez wszystkie stosunki życia swojego, aniżeli ogółu narodowego — powtórę, wierzą więcej w jego potęgę, aniżeli

w potęgę ogólnego ducha — po trzecie, chcieliby przyszłość tak jasno widzieć, jak przeszłość, a sam Bóg nam przyświadczy, że to być nie może. Według ścisłej wynikłości zasady, do której stosują swoje postępowanie, nie może być lepszego nad to, co jest, powinno więc być nadal, jak było dotąd. Dla nich przeszłość jedynie daje świadectwo mądrości Boskiej; nie dowierzają opatrności, skoro idzie o przyszłość; stąd, mimo całej religijności, jaką im przyznajemy, ludzie przyszłości są religijniejsi i dlatego zwyciężą.

POEZYE BOHDANA ZALESKIEGO

(Z POWODU WYDANIA PARYSKIEGO Z R. 1840.)¹⁾

I. MYŚLI OGÓLNE.

Mamy tu mówić o jednym z najcelniejszych pojavów naszej poezyi. Przedmiot jest ważny. Chcielibyśmy, o ile można, zbliżyć się do jego wysokości — dlatego musimy zacząć od kilku myśli, przedstawiających dzisiejszą poezję polską w ogólniejszym cokolwiek widoku, w głębszym jej ujęciu.

Od czasu, jak krwawa ręka nieszczęścia naznaczyła swoim piętnem czoło Polski, wszystko sprzysięgło się lub przyzwala na jej zgubę, wszystko pracuje nad pogorszeniem jej stanu albo ją zdradza. Najprzychylniejsi niegdyś, w bok odskakują, jakby się bali zarazić się trądem jej niedoli. Królowie straszą się jej widmem wzaajemnie, jak trupem wywleczonym z grobu; ich przychylność, sympatya ludów objawia się albo, jak owa woń trzeźwiająca, która tylko oddala chwilę nieuchronnego skonu, albo, jak modlitwa nad konającym o szczęście wieczne, w nagrodę cierpień doczesnych. Religia nawet, przynajmniej widoma jej głowa, pośpiesza pieczętować swoją kłatwą trumnę niespokojnego upioru. Co gorsza, wewnątrz niej samej przygasły płomień miłości braterskiej, pękający łańcuch zgody, stygnąca żądza ładu, rozstrzelona jedność myśli społeczeńskiej, zawichrzenie ogólnego rozumu, zdają się być rozwiązaniem jej sił żywotnych i znamionami niechybnej śmierci.

Wszakże pozostała jej duszy jedna władza niezachwiana,

¹⁾ Rzecz drukowana w „Demokracji Polskiej” Paryż tom IV (1842) w zeszytach z marca i kwietnia.

nieulekła, niestłumiona, owszem, coraz mocniejsza, przywiązańsza, troskliwsza, która ustawicznym objawianiem życia zadaje fałsz pogrzebowym pieśniom, rozbudza, wydobywa i wiąże inne siły żywotne, krew z przeszłości serca przelewa w obecność, każe miłość, braterstwo, poświęcenie, zapal, wiarę — jednym słowem, zapewnia przyszłość. Tą władzą jest poezya. W rzeczy samej, od epoki proroków żydowskich nie objawiła się ona we wznioślejszem i świętszem powołaniu, jak objawia się dzisiaj w Polsce. Mówimy tu z głęboką rozważą: wskazaliśmy, chociaż zbyt ogólnie, na czym opieramy nasze twierdzenie. Na poparcie jego mamy czyny widoczne, dotykane, każdemu wiadome, przystępne sprawdzeniu w każdej chwili — dlatego przestaniemy na odesłaniu do nich. One to każą nam widzieć w dzisiejszej poezyi tajemniczy kwiat zmartwychwstania na grobie, a nad otchłanią krwawego potopu tęczę wiary, zaręczającą błogi jego koniec.

Jest-że to mistyczny jaki pierwiastek, owa jej siła żywotna? Bynajmniej. Jest to prawda, wzniosła, jak prawda religijna, ale widoczna każdemu, jak najprostsza rachuba. Poezja dzisiejsza dlatego spełnia tak ważne powołanie, dlatego widzimy w niej tyle nadziemskiej mocy i tyle sobie wróżymy po jej przyszłości, że wyszła z ludu brzmi religijnymi ku niemu uczuciami, wiąże cały ogrom narodu łańcuchem serc braterskich, wsącza w krew jego żywioł niesterany, młodzięczy, potężny, rodzinny — żywioł ludu.

Jest jeszcze druga strona tej myśli, potwierdzająca jeszcze silniej naszą wiarę w dzisiejszą poezję, może więcej tajemnicza, ale, jako wypadek, najrzeczywistsza, a którą z tej przyczyny musimy przytoczyć: jest to sposób, w jakim się objawiła u nas. I tu znowu dla większej widoczności ujmijmy ją ze strony materyalnej, za jeden z jej czynów dotykalnych, to jest, weźmiemy pod przegład życie samego poety, o którym mówić mamy.

Ale wprzód musimy nieco obejrzeć się po świecie, który otaczał naszego poetę, w pierwszych kilkunastu latach jego życia. Przypadają one właśnie na sam początek bieżącego stulecia. Polska, naciśniona potrójnym cię-

żarem jarzma zewnętrznego, wyrojona w żywotniejszej swojej części w legiony, rozbrzmiewa tylko kiedy niekiedy ich chwałą, jak pustka; życie polityczne, sprowadzone do krzątania się podziemnego, porusza tylko wyższe warstwy narodu: głębia nieporuszona. Napoleońska nawet burza przesłiznęła się po powierzchni. Występuje królestwo kongresowe. Część narodu szlachecka, przywykająca powoli przestawać na widziadle ojczyzny, coraz powietrzniejszem, uwinęta w pieluchy polityki petersburskiej, kolsze się w bezpłodnych marzeniach, żyje cała pod wpływem wrażeń zewnętrznych, a w objawieniach swojego życia polskiego nie przekracza nigdy za własną sferę, odrębną od ogólnej narodowej. Ten stan polityczny odbija się wiernie w poezyi.

■ Literatura starożytna, ograniczona szkolnem szperaniem w kilku poetach, a mianowicie, łacińskich, poezja francuska dwóch wieków ostatnich, tłumaczona lub naśladowana bez żadnego oglądania się na przystosowanie jej ducha do potrzeb narodowych, kilka wreszcie hymnów, kilka ód, natchnionych najemną chwałą narodu, a zapełnionych głównie imieniem W. Napoleona, na strój wysoko francuski, oto jedyna poezja, która się wplata w owoczesny ruch umysłowy. Zdaje się ona być raczej igraszką, jak potrzebą: rodzi się i umiera w sferze salonów. Masa narodu lub jej nie zna, lub ją przyjmuje, jak uwiędłe zamorskie kwiaty, których piękność odgadujemy tylko w niewyraźnych śladach, a z których ani użytku ani przyjemności nie możemy mieć takiej, jaką nam rodzinne kwiaty nastroczają. Jeżeli niekiedy w tem rozstrojeniu polskiej gęśli odezwie się dźwięk pokrewniejszy, głębszy, jest on tak rzadki, tak osobny, tak zagłuszony cudzoziemskim chórem, a nadewszystko tak daleki od tonu serca polskiego, że albo rozwiewa się bez śladu nad światem ludu, albo upada w głąb jego, jak nanośne ziarno późniejszego daleko jeszcze żniwa. Nic rodzimego, ludowego, samoistnego, nic podobnego do dzisiejszej poezyi. Nie tam też począć się ona miała. Śledźmy ją głębiej.

■ [Podczas, gdy się to dzieje w sferze szlacheckiej, jedno dziecko, osierocone z matki wnet po wyjściu na świat, wątłe niemocami wieku, rzucone przez opatrzną mądrość

pod strzechę wieśniacza, pod opiekę wiejskiej lekarki, w głębi Ukrainy, na łono ludu, ssie swoje życie wprost z balsamicznych jego piersi, jego powietrzem wzmacnia zdrowie swego ciała, jego sercem zapładnia swoje uczucia, w jego pieszczotach zaczyna kochać, przy jego pieśniach zaczyna marzyć, pod jego oddechem zaczyna żyć ciałem i duszą, zdala od zwyczajnego świata, jakby za światem zwyczajnym. I cóż mu po tym świecie? On się urodził dla innego, już go ma w sobie, w jednej tylko iskierce. Przez nią jest dzieckiem Polski innej, przyszej, doskonałej, dzieckiem wybranem, poświęconem, ale w podziemiach tylko narodu może się przygotować do swojego kapłaństwa; to podziemie wystarczy jemu. Wiara ludu, serce ludu, pieśń ludu, step bezbrzeżny z niewyczerpaną muzyką swoich wiatrów, z tęskną tajemniczością swoich wrażeń, mogiła samotna z rycerską marą przeszłości — otóż i wszystkie ziemskie zapasy na drogę życia; resztę ma z nieba. Może dalej się puszczać. Odtąd w jakichkolwiek znajdzie się kolejach, jakiekolwiek nastroczą się z zewnątrz wpływy i skutki tych wpływów, będą to tylko chwilowe przeszkody albo podrzędne pomoce; promień życia, zaczepiony o lata dziecinne, będzie wciąż błyszczał jedną główną myślą, jednym natchnieniem, wypiastowaniem w objęciu Ukrainy, a dziecię to zostanie już na zawsze narodowym poetą, Bohdanem.

Tymczasem duchowe oblicze Polski zaczyna mienić się w tej właśnie porze, kiedy widzimy Zaleskiego już w latach młodzieńczych, w latach szkolnej nauki. Literatura francuska zamierzczać poczyną przed świtem nowej. Sztuczne to po większej części światło, zapalone promieniem niemieckiego ogniska, wszakże Brodziński miga, jak jutrzienka ludowa w promieniach Sławiańszczyzny. Bez wątplenia poezja Brodzińskiego nie przebrzmiała bez odźwięku, tembardziej sercu Zaleskiego nie mogła być obojętna, jednakże stosunek jej z poezją Zaleskiego był tylko taki, jak stosunek orła z orłem, kiedy starszy przodkuje młodszemu w drodze do słońca. Ośmieliła ją, rozgrzała do lotu zuchwałego, ale nie natchnęła siłą pędu. Duch orli, co dzisiaj Zaleskiego wznosi, leżał samorodny w pierwszej iskrze jego życia. On go też po pierwszych nieśmia-

łych próbkach uniósł innemi zupełnie szlakami i wyżej, a objawił się w pierwszych zaraz próbach.

Z licznych tego dowodów, które zapewne po największej części na zawsze zaginęły, możemy wymienić jedynie „Dumę o Waclawie“, ogłoszoną około roku 1820 w Dzienniku Wileńskim. Główna myśl zdradza jej pokrewieństwo z „Oldyną“ Brodzińskiego; zresztą wszystko w niej jest niezaprzeczoną własnością samorodnego natchnienia.

W tej samej epoce opatrność wprowadza poetę w inną kolej życia. Wyrwa go z nadbrzeży Dnieprowych i przerzuca nad Wisłę, między innych ludzi, w inne życie, w świat całkiem inny, stumilową przestrzeń oddziela go od całej jego przeszłości, na rodzinne strony pozwala patrzeć przez łzawą tylko zasłonę wspomnień. Chciała ona zapewne przez to postawić swojego posłannika w stanie próby, z którejby wyszedł wyższym o pokonane przeciwności, świetniejszym przez tryumf nad niemi, godniejszym swojego powołania, z prawem zasługi moralnej do zasługi poetyckiej, twórcą samego siebie, a obok tego chciała i tu jeszcze okazać potęgę tej myśli, od której przyszłe losy Polski zależą.

Próba nie była lekka ani na zwyczajne siły. Niejeden szturm przypuszczały do duszy poety wszystkie nędze, wszystkie boleści życia, wszystkie potęgi złego. Próba nie była krótka: trwała ona lat kilka i to jeszcze w wieku samowładztwa, namiętności burzliwych, niestałych, przewrotnych, przy stanie duszy, zranionej świeżem i bolesnem przeszczepieniem w świat, tak różny od świata macierzystego. Zbiła-ż go ona z toru? Odpowiedź na to najlepsza w pieśniach, któremi właśnie w tym czasie otworzył swoją duszę. Czytajmy Dumkę o Kosińskim, o Mazepie, Rapsod Rycerski, nakoniec Fantazję Rusalki. Czytajmy i sądźmy. Nie tylko nic nie uronił z niebieskiego swojego dziedzictwa, ale tak je przyswoił sobie, że odtąd jego natchnienie i jego dusza to jedno; tak je rozmięknął, że cały dziś naród może niem obdzielić, tak upięknął, że naród przyjął je do ozdób swojego wieńca i naród tylko godzien zostać jego dziedzicem. Cała też Polska już wówczas poklasnęła mu, jako równemu najpierwszemu jej wieszczom, a jedynemu w swoim rodzaju.

A ta siła poety, a ten jego tryumf, czemuże były w istocie? Oto dowodami, świadczącymi o potędze, wcielonej w niego nowej myśli narodowej, ducha ludu.

Wszakże zakończona walka nie była ostatnia i najcięższa w porównaniu z przyszłą; będzie ona tem, czem jest pojedynczy człowiek w porównaniu z narodem. Każdy łatwo zgadnie, że przechodzimy teraz do tej klęski, która całą Polskę dotknęła, a część jej wyrwała z rodzinnej posady i rzuciła na fale tułactwa, na wszystkie jego nędze. Ta burza obwionęła i naszego poetę i dotknęła go tem boleśniej, że dzisiaj musi cierpieć za siebie i za drugich, że jeszcze zupełnie, niż wprzód, stargęła wszystkie związki jego serca, nie zostawiła bez rany choćby jednego uczucia — że wszystkie źródła pociechy, tam ci jęk odpowie. I w takim stanie dziesięć lat przechodzi bez żadnej ulgi, i po takich dziesięciu latach słyszymy śpiew Zaleskiego.

Jakkolwiek nowy oklask powszechny wiele już powiada na korzyść jego i za potęgą moralnych pierwiastków jego siły, nie przeszkadza on jednak przypatrzeć się z bliska temu nowemu objawieniu się poezji Zaleskiego, choćby dla zobaczenia, o ile wyżej wzniósł się nad siebie i jaką postawę przybrał dzisiaj główny pierwiastek jego natchnienia. Otóż to jest właśnie, co zamierzamy rozjaśnić w niniejszej rozprawie.

Poezya Zaleskiego, nad którą zastanowić się mamy, mówiąc poetycznym jego językiem, a nawet własnymi jego słowy, brzmi pięciu strunami: Bóg, Ludzkość, Słowiańszczyzna, Polska i na koniec Ukraina, są główną jej osnową. My będziemy się trzymać ogólniejszego podziału na dwie części, to jest: na poezję religijną i na poezję ukraińską. Lubo Zaleski jest równie religijny, równie polski, równie miłujący ludzkość, równie pojmujący ważność słowiańskiej myśli, jak zakochany w Ukrainie, lubo Ukraina jest mu droga dlatego tylko, że w niej Polskę widzi, lubo ogół jego utworu jest ciąglem, wzajemnem splataniem się wymienionych myśli żywotnych, najchętniej jednak opiera się na miłości Boga i rodzinnej miłości

ku Ukrainie. Stąd te dwa uczucia są dwoma najwydatniejszymi obliczami jego poezji. Zaczniemy od poezji religijnej.

II. POEZJA RELIGIJNA.

W poprzedzającym artykule przyrzekliśmy zastanowić się nasamprzód nad religijnym pierwiastkiem poezji Zaleskiego; wymieniliśmy powód: wszakże nie jest on jedyny lub najważniejszy, dlatego przedłużymy ową myśl jeszcze o słów kilka.

Pierwiastek religijny leży w istocie wyższego natchnienia, jest koniecznym jego przymiotem. Poeta wielki, prawdziwy, wydobywający pieśń swoją z ostatnich głębin duszy, szukający swojemu natchnieniu w nadziemskich wyżynach kresu, godnego siebie, musi i tu i tam spotkać się z bóstwem. To zetknięcie się kładnie wnet swoje piętno na cały ogół utworów poety i wszystkie już odtąd są tylko podrzędnymi myślami jednej myśli najgłębszej i najwyższej w świecie człowieka, jej rozwinięciem, ale, co najważniejsza, dają świadectwo dotykające, jak dalece owo widzenie było boskie, prawdziwe, jednym słowem, malują pojęcie Boga w duchu poety, a tem samem jego stanowisko mniej lub więcej wzniosłe wobec ludzkości. Dlatego to w ocenieniu poezji Zaleskiego przywiązujemy taką wagę do jego wyobrażeń religijnych.

Przystępując na koniec do rzeczy, musimy jeszcze uprzedzić, że nie jest naszym zamiarem zdawać sprawę z każdej bezwzględnie poezji, zbiór ten składającej: byłaby to praca przydługa i niepotrzebna. W zbiorze poezji Bohdana, jak w każdym jemu podobnym, są pewne utwory, gdzie duch poety odbija się wyraźniej, zupełnie, gdzie można go widzieć w jego chwilach najważniejszych, we wcieleniu się najdoskonalszem, w rozwinięciu całkowitem. Takich utworów kilka dadzą nam wszechstronne wyobrażenie ogółu; tych więc jedynie szukać będziemy i przy nich głównie się zatrzymamy.

Zaczniemy od poematu, mającego napis: „Duch od Stepu“. Sam jego twórca nazwał go „Przygawką do nowej poezji, czyli Wstępem.“ Niezaprzeczenie z wielu

względów należy mu to pierwszeństwo, a szczególnie ze względu uczuć religijnych. Zresztą następny rozbiór jaśniej to okaże.

„Duch od Stepu“, najogólniej uważany, jest wielkim hymnem religijnym, wylaniem się przy nogach bóstwa całego życia poety, całej duszy, we wszystkim, co jej ziemskość ma najrzewniejszego i najwznioślejszego. Muzyczna jego skala ogarnia całą skalę poezji, od nadziemskiego proroczego tonu do milej prostoty piosenki. Przesuwają się po nim wszystkie uczucia serca, począwszy od płaczu pokuty aż do chłoszczącego uśmiechu szyderstwa. Występują na scenę: życie poety całe, bo nawet przedziemskie, w rajskim swoim zawiązku, cała przeszłość rzymskiego katolicyzmu, życie nakoniec Polski w chwilach najboleśniejszych, bo obecnych, i najpromienistszych, bo w przyszłym jej odrodzeniu. Jak w ognisku, skupiły się tu wszystkie promienie ducha poety, skąd, jak promienie ze słońca, można wysnuć wszystkie inne poezye Zaleskiego.

Tu także leżą najbliżej siebie w najwyraźniejszych odzieniach doskonałość i ułomność poety i najwydatniejsza jest siła, która to wszystko płodzi, wiąże i w ruch wprawia, siła myśli religijnej. Wstęp godny całego dzieła, pomysł szczęśliwy i mądry! W ocenieniu tego jednego dzieła możnaby już wykazać całą wszechstronną wartość twórcy; my weźmiemy w nim tylko to, o co nam głównie chodzi, to jest myśl religijną. Dla dokonania tego oprzemy nasz przegląd na przejrzeniu całej osnowy; schwycenie zaś pasma żywotnej myśli w iskrach najwydatniejszych, najwłaściwiej przedstawiających jej istotę tła, będzie głównem dla nas zadaniem. Ten tylko jeden wzgląd może nas przyprowadzić do grzechu przeciwko zwięzłości w wykładzie, o którą zresztą jak najmocniej starać się będziemy.

Ogólny widok budowy poematu przedstawia trzy główne części. W pierwszej oglądamy życie samego poety, a bar dziej życie jego duszy — druga rozwija myśl rzymskokatolicką w jej celniejszych dziejowych kolejach, a razem maluje ludzkość w stosunku do owej myśli — trzecia nakoniec ma wyłącznie Polskę na celu, śpiewa zaś obecne

jej nieszczęścia i przyszłe zmartwychwstanie. Spójnią tych części moralną jest myśl katolicyzmu; do niej nastrojona jest całość poematu.

Poeta, oparty na religijnem podaniu o bycie przedziemskim, szczęśliwym, rajskim, gdzie każdy człowiek przed narodzeniem się, jak Adam w raju przed upadkiem, obcuje po widomu z aniołami, widzi bóstwo twarzą w twarz, bierze swoje życie w samym jego zawiązku. Tym światem pół anielskim świecą początkowe zwrotki poematu. Dziecię-poeta, dziecko, nie urodzone jeszcze dla ziemi, przechodzi z łona matki Ukrainy, w pieśń upowite, pod opiekę piastunki Rusalki.

Piastuj dziecko me, Rusalko! —

woła Ukraina rozczulona, świadoma przyszłości, czekającej pokolenie, społeczne jej dziecka.

Mlekiem dum i mleczem kwiecia
Pój do lotu mdłe to ciałko!
Pięknej sławy mej stulecia
Podaj do snu na obrazki!
Barwą złotą i błękitną,
Tęczę w okrag niech rozkwitną
Wszystkie ludu mego kazki!

W tych kilku wierszach jest cały przyszły zawód dziecięcia. Trudno schwycić trafniej poetycką przyrodę Bohdana, trudno ją odmalować zwięźlej i piękniej. Jest to niby źródłowa kropelka, w której leży całe morze jego poezji.

Tymczasem zjawia się gwiazda, która ma przewodniczyć ziemskim losom Poety: matka Ukraina zmuszona wypuścić swoje pisklą z gniazda, żegna je tajemniczym śpiewem, gdzie niewyraźnie smutna i piękna jego przyszłość przegląda. Chwila łaski, Pańskie stań się! wznosi duszę Poety w niebo. Tam, pośród anielskich śpiewów, błogosławiących na ziemską wędrówkę przy stopach krzyża, wobec bóstwa odbywa się obrzęd jej zaślubin z Aniołem-Stróżem; poczem złani w jedno, opuszczają niebo; a kiedy Anioł zawołał: „Syn ty ziemi! ziemia! ziemia! Snij na falach tam żywota!“ — dusza Poety wchodzi w powłokę cielesną, zaczyna żyć bytem doczesnym, albo, mówiąc językiem pieśni, śnić na falach ziemskiego żywota.

Nasze założenie trzymania się jedynie wątku żywotnej myśli, pozwala nam zaledwie dotknąć innych stron życia poety. Pominiemy więc sieroctwo jego jeszcze w kolebce, lata dzieciinne, pierwsze wtajemniczanie się w rzewną poezję i boleści życia, lata młodzieńcze pierwszymi żądzami kochającego serca, a rozpoczniemy znowu od chwili, kiedy okrzyk rówieśników wyrwał go ze stron rodzinnych i rzucił we szranki życia czynnego, roboty narodowej.

Wielka to praca! ale zaczęta bez Boga, na swój rozum. Młodzian, upojony ogólnym szaleń, idzie za innymi, szamocze się, mąci duszę do dna — wszystko napróżno. Zmarniały wysilenia niepobożne — Polska upadła. I oto młodzian dzieli tułactwo współbraci i dalsze grzechy niedowiarstwa. Wyrzucone z domu śmiecie wdziewa na głowę rogi pychy; pod jej bodźcem łaknie burzy, krwi, swawoli, za nic nie ma ducha i serce, marnuje lata i myśli na jawne zamachy, rozbratał się nawet z pieśnią. Dawno już anioł-stróż, bolejący upadkiem powierzonej sobie duszy, płacze nad nią i czeka na kolanach chwili upamiętania się. Naraz młodzieniec śni jakoś milej, załatuje go jakby wieść o niebie, patrzy za siebie bystrzej.

Rozwiwają się tumany...
Z pod omamień grubych płótna
Widzi świat swój — świat kochany —
Jak grób pusty, pobielany.
Mądrość wieku bałamutna
Syczy w pieśniach, jak gadzina...

Młodzian upamiętał się, uderza czołem w ziemię, łączy łzy skruchy ze łzami swojego anioła, ślubuje nie zagniewać więcej Boga, powraca do wiary rzymsko-katolickiej. Ona też, rodzona matka, tuli go z miłością matki, a dla zupełnego uleczenia duszy zsyła mu dwie czarodziejki, dwie siostry: Pieśń i Czystość. Pod ich opieką otwiera się nowe życie pocie: samotne, pobożne, duchowe, rajskie. Głuche tętno serca zwiastuje mu nowego gościa: to trzecia czarodziejka — miłość. Mimo to wszystko fale życia mgłą się coraz straszniej. Noc prawdziwa. Zewsząd smutki, żale. Przyjaciele bluźnią enocie pobożnych; ukochani — wrogami nawróconego poety, rozminęli się z nim na wieki, ale nie w jego sercu. On modli się za nimi — on

Odtąd świata już nie wini.
Rozmawiał się w pustyni,
Utkwił w ziemię kij pielgrzymi,
Aż rozkwitnie Pańskim cudem.

I trąca w lutnię za ludem, jak prorok, i służy ludowi, nie troszcząc się o płacę: dość mu na błogosławieństwie anioła. Leczą robotnik zadumany, podsłuchuje przyszłość, ma wieszczce ostrzeżenia, dzwoni głośniejszą w lutnię, chwali Pana nową pieśnią, pada krzyżem i słyszy w nagłym grzmocie głos anioła:

Wróć, wygnańcze, do ojczyzny!
Policzone łączy do łezki.

Ocucony tym głosem, woła: Do której, do ziemskiej czy do niebieskiej? Anioł znika bez odpowiedzi a w tejże chwili wiatr stepowy, wiekuiste technienie boże, obwiewa ducha poety, podnosi go w świat nowych widzeń i ukazuje starosławiańskiego gęślara, Bojana.

W tem miejscu pozwalamy sobie widzieć kres pierwszej części poematu. W rzeczy samej różni się ona tem od reszty ogółu, że główny promień obrazu pada tu na osobę samego poety.

Zjawienie się Bojana, zaccucie jego pieśni, otwarły niejako nowy świat proroczy. Odtąd, w widziadłach snu wieszczego, przesuwają się cała ludzkość kolejami myśli religijnej, myśli katolickiej. Życie jej otwiera się porankiem rajskim. Pierwsi ludzie żyją, jak anieli z aniołami po widoku: tylko im kochać, nucić, śnić; tylko płakać czyśćmi łzami i wołać każdym technieniem: Chwała Panu! — Gdzie tam — oni zapragnęli Wiedzy złego i dobrego, skusili jej i oto, arcy-mądrzy, cierpią już pokutę swojego grzechu, w przeznaczeniu zlania własnych cierpień na całe człowieczeństwo. Grzech pierworodny spada na ludzkość. Może późniejsze plemię ukorzy się? O nie. Wiek po wieku gorzej.

Brat zabija brata w złości.
Są już biedni, są bogaci;
Ów chleb chowa, ów zazdrości —
Hurmem bracia nuż na braci!
Owoz owoc wiadomości!

Potop przerzyna pasmo tych zbrodni. Tęcza przymierza zdaje się zapowiadać lepszą przyszłość. Ludzkość żyje jakiś czas złotym wiekiem patryarchalnym, ale wkrótce powraca do dawnej złości, do nieładu. — Nowe kary z nieba; złość na nowo starta. Młoda ludzkość wykwiła z pnia dawnej. Może będzie lepsza? Gdzie tam — i ona ssie swój rajski owoc — wolę. A więc coraz gorzej. Nawet lud żydowski, lud wybrany, łamie zakon objawiony. Groźba boża wisi nad światem w widoku rzymskiej wilczycy — świat jednak pogarsza się. Noc straszna — a wśród nocy

Dzwonią tęską pieśń prorocy.

Aż oto weszła nowa epoka dla ducha ludzkości. Chrystus przychodzi i umiera, jako nieprawość starego świata. Śmierć jego zrywa sojusz Boga z ludem, wybranym dotąd, i przenosi arkę wiary gdzie indziej — do Rzymu. W słowach Pawła, wołającego pod swoim krzyżem: Pietrze! Roma — nasza Roma! — widzicie całą przyszłość chrześcijaństwa, mającego świat podbić duchowej swojej władzy. Z tem wszystkim Rzym pogański jeszcze włada i rozpustuje, a chrześcijanie żyją tylko w podziemiach lub gina, jak męczennicy.

Naraz od stron Kaukazu słychać głuchy okrzyk: Roma! — coraz bliższy i groźniejszy. To wieczna śmierć dawnego Rzymu w osobie Al-hun-ryka, wodza barbarzyńców. Chwila — a po Rzymie ani śladu. Widzimy go w innej całkiem postaci, cały świat inny. W Rzymie, nad światem zasiada papież, mocarz nad mocarze; ma z nieba moc i władzę: krzyżem wynosi i poniża — w jego skinięciu śmierć lub żywot. Apostołowie, męczennicy, mnichy zapelniają ziemię. Nadchodzą wieki rycerskie. Świat w religijnym zapale śni i tworzy dziwy — wiara panuje.

Nagle widzenie zmienia się. Świat zaczyna lysieć, jak opoka. Bujny zasiew wiary marnie w nic idzie; leje się jeszcze dla niej krew pod Kossowem i Warną, ale, powiada poeta:

Ludzkość milczy z daleka;
Już się czemuś lepszą mieni.
Rozum — rozum swój wyzwała —
Miecz — precz — ręce na kieszeni...

A szamocze się — wykrzyka:
„Proch! — i drut i Ameryka!”

Cielesność na miejscu duchowości; mnichy się żenią. Nigdzie Boga: ni w sercach ni w pieśniach. Człowiek stygnie, jak kruszec; bije się o sklepy. Krew pod Wiedniem wyłana chyba dla przyszłości. Albowiem

Rozum się wyzwała. I następnie:

fala pluska z góry.

Królowie, — — kręcą bicz z wiary wolnych. W Imię Boże rozbijają ludy. I niema na nich rady, bo rozum wyzwolony nie ma dość siły do oporu.

Z dołu znowu pluska fala —
O, niewiasta się wyzwała.
Puste słowa: Dom — Rodzina —
Nuda, Niesmak — jak przed wieki
Rozum pewnie znajdzie leki?
Ruszał, uczniu, do Seneki.
Świtać — świtać — och, zaczyna! —
Może jutrznia?... Gilotyna!...

Na tem kończy się część poematu, obejmująca widok ludzkości, w duchu wyobrażeń rzymsko-katolickich. Poeta, zamknawszy ostatnie bolesne widzenie, smutnem zapytaniem: Kiedyż Pan ów świat użyźni — odbiera, jakby w odpowiedzi, wezwanie swojego anioła: Czas wypełnia się twej próby! Oto ziemia — twoja ziemia! — poczem zwraca niecielesne oko na Polskę. To widzenie ojczyście stanowi trzecią część poematu.

Widzenie pierwsze ogromne i krwawo bolesne. Przed okiem wieszczą leży cała przestrzeń Polski, całe jej nie-szczęście; wielka matka narodu, pani tyłu krajów, nie ma ani kęska ziemi wolnej, choćby na grób dla proroka. Zewsząd rozjęk! Cały lud staje na mękę i śmiało świadczy prawdzie z nieba. Złość nieprzyjaciół wyczerpuje do dna źródło katuszy. Wtórzy im jedynie pieśń religijnej skargi. Ale w Tatrach, wśród skał i lodów Łomnicy, tam, jak w pokutnej ustroni, widzimy grzeszną, cierpiącą Polskę. Klęczy na popiele z włosami żalobnie rozpuszczonemi. Litwa, družka, tuli się do jej łona — Ukraina, wcielona pieśń, szlocha na głos; z otchłani przeszłości

wyzierają w groźnych, a sępnych widmach Bolesławy, hetmani stu walk zwycięskich, starszyzna Witoldowa, cała wreszcie wolna kozaczyzna, i szemrzą: Co się to stało z czystą krwią i czystą chwałą?

O, wielkie winy Polski! — Kochała, swawoliła, grzeszyła ciałem, cierpi więc w ciebie. Wielkie winy, ale większe miłosierdzie boskie! Oto niebo umiła się, zniża, rozpromienia, i coraz głośniej słyhać śpiew aniołów i śpiew apostołów sławiańskich. Ten śpiew przynosi Magdalenie-Polsce słowa pociechy i całkowitego rozgrzeszenia:

Grzech wiekowy — jak w płomieniu —
Zgore w ludu uciśnieniu...
Cześć i pokłon Magdalenie,
W Imię Ojca rozgrzeszenie —

odzywa się on w końcu i kona w „Hozanna!“ — coraz wyższem, jak w echu. Odmłodzona Polska podnosi czoło promienne, okazałe. Lica jej sióstr wyjaśniają się, otacza je łuna cudów; słyhać słowa zmartwychwstania; występuje król pieśni — Bojan — i na kolanach przed Polską, z gęśli, co zabrzmia na wszystkie sławiańskie kraje, puszcza ku przyszłości długie, wieszczce słowo: Pieśń — Nadzieja. Widzenie jeszcze się raz mieni. W oku wieszczka ściemnia się — około uszu zamieć głosów; przelatują pogwizdy coraz smutniejsze — słyhać pianie trzeciego kura, a wokrag, niby żywy wieniec, kwilą głosy dzieci bez chrztu błakających się, wołają o chrzest, aby mogły do nieba ulecieć.

Ostatnie słowo poety: zbawienie Polski w powrocie do wiary katolickiej.

Kilka zwrotek następnych, zamykających poema, są czysto liryczne i mniejszej wagi dla treści, jakąsmy sobie zamierzyl; pomijamy je przeto w milczeniu i na tem kończymy przegląd myśli religijnej Ducha od Stepu, zostawując na później dopełnienie jego naszymi uwagami.

Jako wstęp konieczny do zapowiedzianych uwag, wyłożymy tu w kilku słowach jedno z najogólniejszych, jedno z zasadniczych naszych pojęć religijnych.

Wszelką religię uważamy za rozwijanie się ludzkości

z Boga ku Bogu: Bóg w niej początkiem i końcem, a sferą ziemskiego działania duch ludzkości, określony warunkami człowieczeństwa. W każdej zatem religii widzimy dwie strony: niebieską i ziemską. Głównem zadaniem obu przedstawiać pojęcie Boga, jako wzór dla ludzkości.

Na pierwszej stronie są prawdy, złożone w duszy pierwszego człowieka przez objawienie, równoczesne urodzeniu się jego: prawdy wieczne, jak sam Bóg, nieodmienne, niewzruszone, przeznaczone świecić ziemi, dopóki nie opuści jej ostatni człowiek. Są to prawdy, którym nikt zaprzeczyć nie może bez zaparcia się samego siebie, bez najwyższej głupoty, lub najszańszej złości. Żaden rozum nie zdoła ich ostatecznie obejrzyć, zgłębić ani dosięgnąć dla ich boskiej wzniosłości, świetności, głębokości. Możemy je pojąć silnem jedynie wierzeniem. W nich to spoczęła i leży wiara powszechna, niezmienna, nieomylna, spólna dla całej ludzkości, ta sama na całe jej życie, łącząca między sobą wszystkie religie w ich niebieskiej podstawie jednym, pod pewnemi względami, pojęciem bóstwa — krótko mówiąc, jedyna wiara prawdziwa.

Druga strona jest zmienna, chwilowa — mniejsza o to, czy ta chwila ogarnia wieki, dziesiątki, krocie, tysiące wieków; jest ona dziełem umysłu samej-że ludzkości, czy to całej, czy pewnych jej części — dziełem mniej więcej doskonałym, stosownie do usposobienia duchowego danych epok. Jest to niejako ciało ducha wiary prawdziwej, które go robi dotykającym dla wszystkich stopni rozumu ludzkiego, rozosobnia w religie częściowe, odpowiednie różnym epokom, różnym odłamom ludzkości, samo zaś, jak forma każda, podlega kolejom zużycia się i wejścia z czasem do składu formy doskonalszej.

Nie możemy tego jaśniej i godniej wyobrazić, jak przez porównanie z ciałem Chrystusa, które było koniecznym warunkiem jego posłannictwa boskiego między ludźmi, zużyło się w cierpieniach ziemskich, zmarło na krzyżu, a w przemianie zmartwychwstania zajaśniało świętym blaskiem. W rzeczy samej, taka jest kolej każdej religii ze strony ziemskiego jej pierwiastku. Stąd wynika wreszcie, że przychodzi dla niej chwila, gdzie może ona, zaczem śmierć rozwiąże ją ostatecznie, pozostać daleko za

wyzierają w groźnych, a sępnych widmach Bolesławy, hetmani stu walk zwycięskich, starszyzna Witoldowa, cała wreszcie wolna kozaczyzna, i szemrzą: Co się to stało z czystą krwią i czystą chwałą?

O, wielkie winy Polski! — Kochała, swawoliła, grzeszyła ciałem, cierpi więc w ciebie. Wielkie winy, ale większe miłosierdzie boskie! Oto niebo umiła się, zniża, rozpromienia, i coraz głośniej słyhać śpiew aniołów i śpiew apostołów sławiańskich. Ten śpiew przynosi Magdalenie Polsce słowa pociechy i całkowitego rozgrzeszenia:

Grzech wiekowy — jak w płomieniu —
Zgore w ludu uciśnieniu...
Cześć i pokłon Magdalenie,
W Imię Ojca rozgrzeszenie —

odzywa się on w końcu i kona w „Hozanna!“ — coraz wyższem, jak w echu. Odmłodzona Polska podnosi czoło promienne, okazałe. Lica jej siostr wyjaśniają się, otacza je łuna cudów; słyhać słowa zmartwychwstania; występuje król pieśni — Bojan — i na kolanach przed Polską, z gęśli, co zabrzmia na wszystkie sławiańskie kraje, puszcza ku przyszłości długie, wieszczce słowo: Pieśń — Nadzieja. Widzenie jeszcze się raz mieni. W oku wieszczka ściemnia się — około uszu zamieć głosów; przelatują pogwizdy coraz smutniejsze — słyhać pianie trzeciego kura, a wokrag, niby żywy wieniec, kwilą głosy dzieci bez chrztu błakających się, wołają o chrzest, aby mogły do nieba ulecieć.

Ostatnie słowo poety: zbawienie Polski w powrocie do wiary katolickiej.

Kilka zwrotek następnych, zamykających poemata, są czysto liryczne i mniejszej wagi dla treści, jakąśmy sobie zamierzyl; pomijamy je przeto w milczeniu i na tem kończymy przegląd myśli religijnej Ducha od Stepu, zostawiając na później dopełnienie jego naszymi uwagami.

Jako wstęp konieczny do zapowiedzianych uwag, wyłożymy tu w kilku słowach jedno z najogólniejszych, jedno z zasadniczych naszych pojęć religijnych.

Wszelką religię uważamy za rozwijanie się ludzkości

z Boga ku Bogu: Bóg w niej początkiem i końcem, a sferą ziemskiego działania duch ludzkości, określony warunkami człowieczeństwa. W każdej zatem religii widzimy dwie strony: niebieską i ziemską. Głównem zadaniem obu przedstawiać pojęcie Boga, jako wzór dla ludzkości.

Na pierwszej stronie są prawdy, złożone w duszy pierwszego człowieka przez objawienie, równoczesne urodzeniu się jego: prawdy wieczne, jak sam Bóg, nieodmienne, nie-wzruszone, przeznaczone świecić ziemi, dopóki nie opuści jej ostatni człowiek. Są to prawdy, którym nikt zaprzeczyć nie może bez zaparcia się samego siebie, bez najwyższej głupoty, lub najszałamiejszej złości. Żaden rozum nie zdoła ich ostatecznie obejrzeć, zgłębić ani dosięgnąć dla ich boskiej wzniosłości, świetności, głębokości. Możemy je pojąć silnem jedynie wierzeniem. W nich to spoczęła i leży wiara powszechna, niezmienna, nieomylna, spólna dla całej ludzkości, ta sama na całe jej życie, łącząca między sobą wszystkie religie w ich niebieskiej podstawie jednym, pod pewnemi względami, pojęciem bóstwa — krótko mówiąc, jedyna wiara prawdziwa.

Druga strona jest zmienna, chwilowa — mniejsza o to, czy ta chwila ogarnia wieki, dziesiątki, krocie, tysiące wieków; jest ona dziełem umysłu samej-że ludzkości, czy to całej, czy pewnych jej części — dziełem mniej więcej doskonałym, stosownie do usposobienia duchowego danych epok. Jest to niejako ciało ducha wiary prawdziwej, które go robi dotykającym dla wszystkich stopni rozumu ludzkiego, rozosobnia w religie cząstkowe, odpowiedne różnym epokom, różnym odłamom ludzkości, samo zaś, jak forma każda, podlega kolejom zużycia się i wejścia z czasem do składu formy doskonałej.

Nie możemy tego jaśniej i godniej wyobrazić, jak przez porównanie z ciałem Chrystusa, które było koniecznym warunkiem jego posłannictwa boskiego między ludźmi, zużyło się w cierpieniach ziemskich, zmarło na krzyżu, a w przemianie zmartwychwstania zajaśniało świętym blaskiem. W rzeczy samej, taka jest kolej każdej religii ze strony ziemskiego jej pierwiastku. Stąd wynika wreszcie, że przychodzi dla niej chwila, gdzie może ona, zaczem śmierć rozwiąże ją ostatecznie, pozostać daleko za

ludzkością, podnoszącą się w coraz wyższą sferę wiary, za jej potrzebami coraz wznioslejszemi, że może w swoim przedstawieniu bóstwa niżej stać od bóstwa, przez ludzką pojmowaną.

Obie te strony widzimy w każdej religii, widzimy je w dzisiejszej religii katolickiej, widzimy je w poezjach Zaleskiego, pisanych pod wpływem wyobrażeń wyłącznie religijnych. To nam tłumaczy, dlaczego w śpiewie jego spotykamy dwa tony tak sobie przeciwne, odbrzmiewające w duszach czytelników tak niezgodnymi uczuciami, dlaczego, obok szczerzego uwielbienia i miłości dla utworów Zaleskiego, czujemy w nich coś, z czem się żadną miarą pogodzić nie możemy, co nie przystaje ani do przekonań, ani do uczuć naszych. Odtąd nie obwiniamy siebie o bezbożność, ale poetę o pobożność, mylnie skierowaną.

Kiedy patrzy w Boga, który jest wiecznie jednakowym ojcem ludzkości, tak przed objawieniem się katolicyzmu, jak po objawieniu, a człowieka tak przed ochrzczeniem jego, jak po ochrzczeniu — w Boga wszystkich ludzi i wszystkich wieków, przez którego duch dzisiejszych pokoleń poczyną żyć doskonale, unosić się wyżej, jak dotąd — w poezjach jego wieje pewien powiew nieskończoności, słowo jego ożywia, podnosi znękanie do wysokości wiary czynnej, wre przyszłości życiem. Pod jego dźwiękami uczucia zbolale krzepią się, męznieją, w samych łzach przegląda niebieskie światło pociechy, wszystkie serca jemu wtórują, wszystkie za nim idą. Ale jak tylko wciśnie swoje natchnienie w ulonne, zużyte formy rzymskiego katolicyzmu, cały widok duszy zmienia się, posępnieje, maleje; z życia ludzkości wytyka tylko zła strona; rozum i wolność są tylko narzędziami grzechu, mara bezbożności jest wszędzie i zawsze, złe ma wieczność, jak Bóg, i Jego potęgę, w pojęciu Boga odbija się mocarz ziemski, z wiary wygląda tylko bierna jej strona, strona modłów, zwątpienia w ludzkich środkach, zdania się całkowitego na łaskę Opatrzności — myśl polska rozбивa się w ascetyczne dumania, a naród traci swego poetę i znajduje tylko poetę-zakonnika.

Żebyśmy nie byli posądzeni o chęć osłaniania brzmieniami ogólnikami jakichś uprzedzeń bezzasadnych, a może

nawet o nierozumienie samych siebie w zarzutach, bez wątplenia drażliwych, widzimy się zmuszeni dotknąć, choć po krótko, chociaż kilku z owych myśli, gdzie, według nas, poeta jest niżej siebie. Winniśmy to jemu, sobie i czytelnikom, a nade wszystko ważności przedmiotu. Sądzimy, że najlepiej tego dokonamy, kiedy rzucimy więcej cokolwiek światła na główne ich źródło.

Dwie wielkie myśli walczą dzisiaj z sobą w duchowej sferze ludzkości o religijną przewagę nad nią. Dla wyraźniejszego ich odrysowania położymy je obok siebie w najogólniejszym ujęciu. Pierwsza przynosi światu, tak zwane dotąd, prawo postępu czyli doskonalenia się aż do kresu, jaki stworzeniu, określone w swoim zawodzie pewnymi warunkami, osiągnąć wolno. Bierze ona człowieczeństwo w stanie większej może niewinności, jak jest dzisiejsza ludzkość, ale mniejszej doskonałości, bo w tym stanie niemowlęctwa, kiedy, równie, jak człowiek, nie mając jeszcze rozwiniętej wiedzy złego i dobrego, nie może się nazwać ani złem ani dobrem — bierze je z całym zarodem władz i zdolności, mogących mu wystarczyć w najwyższem jego rozwinięciu się, czyli udoskonaleniu, z ogólnym, niewyraźnym, ale prawdziwym pojęciem Boga, a zatem od samego początku pod opieką prawdziwej wiary. Zapomocą tych zasobów, jak zapomocą narzędzi rozwija je, doskonalą, czy to przez zbiorową pracę pokoleń całych, czy przez wyższe natchnienia pojedynczych, podobnie do wzoru, świecącego jej z bóstwa tem jaśniej, im wiedza ludzkości jest głębsza; podnosi je w duchu coraz wyżej, po stopniach religii coraz doskonalszych, aż póki nie zleje duszy jego w jedno z położonym przedwecześnie wzorem, a który zakryty dzisiaj tajemniczą zasłoną wiary, odgadywanym nawet być nie może przez myśl, choćby najśmielszą.

Według ducha tej myśli znajomość i miłość Boga są przewodnikami, bodźcem ludzkości w jej zawodzie — wiedza i wola głównymi jej czynnikami. W wiedzy sprzega się wiara i rozum: wiara jest punktem oparcia dla rozumu, rozum pomocnikiem jej ziemskim; oboje doskonalą się kolejno, wspierają się wzajemnie i wspólnie podnoszą wiedzę ludzką ku wyżynom wiedzy boskiej. Działalność

woli ludzkiej ogranicza się powołaniem człowieka, to jest, ogólnym celem wszystkich i drogą, wiodącą do tego celu. Materyjalne roboty ludzkości idą w harmonii z duchowymi, przeplatają się z sobą dla wzajemnego spomagania siebie. Złe jest pojedyncze, chwilowe; zrządzone przez jednego człowieka, przez jedno pokolenie, może być znieszczone tak dobrze natychmiast przez swoich sprawców, jak przez drugiego człowieka, przez drugie pokolenie. Stąd i kary są doczesne tak w tem, jak przyszedł życiu. Każdy tutaj ma wszystko co potrzeba, aby sam mógł zbawić siebie. Bóg przytomny jest robocie każdego człowieka przez odwieczne swoje prawa; traci jego pomoc, kto tych praw odstępuje; kto się ich trzyma, ten ma wsparcie Boga nieprzerwane.

W tej nauce jest Bóg, jakiego dziś pojmujemy. Nie ubliża ona w niczem zasadom, których dotknęliśmy, mówiąc o niebieskiej stronie religii. Jaśniejszy jej obraz nie w tem miejscu dać możemy: rzucamy go nawiasowo.

Mysł druga, przeciwniczka powyższej, znana jest pod nazwaniem: nauki o upadku człowieka. Poczęła się ona w jednym z podań, krążących na Wschodzie. Chrześcijaństwo wziął ją od żydów, dopełnił, rozwinął i oparł na niej cały systemat stosunków człowieka z bóstwem, a przez to samo wyobrażenie bóstwa w niemalej części podług niej urobił.

Ogólny wykład tej nauki może być następujący.

Człowiek początkowo mieszkał w raju, żył, jako jeden z aniołów, używał wszelkich rozkoszy bytu, nie znał żadnych jego dolegliwości, co większa — to życie miało być wieczne. Wykroczył przeciw jednemu warunkowi swojego bytu, użył danej mu od Boga wolności do rozszerzenia swej wiedzy — za to nie tylko został sam wyany z raju i skazany na bolesną walkę z całym życiem, a wkońcu na śmierć, ale nadto grzech jego przechodzi w spadku, jako grzech pierworodny, na całe jego plemię, na całą ludzkość; robi się całą ludzkość uczestnikiem wiecznej nędzy za życia, wiecznego potępienia po śmierci, bo obraza bóstwa jest wieczna, jak bóstwo. Nie może też zmazać jej zasługą własnej pokuty — bo czemuż jest cała wielkość jego pokuty przy wielkości grzechu? Oto, czem

człowiek przy Bogu, chwilka przy wieczności. Zasługi człowieka, pokuta, są rzeczą podrzędną, są niczem bez ulitowania się, bez łaski Boga, która znów może spadać nie na cierpiących najbardziej, ale na wybranych, na upodobanych Bogu przed wieki; nigdy na wszystkich ludzi, bo wówczas zbawienie przestałoby być łaską boską.

I tej nauki daliśmy ogólne tylko wyobrażenie, równie, jak pierwszej, tak jednak, według możliwości naszej, dokładne, ażeby obie porównane z sobą być mogły, co zostawując czytelnikom, przechodzimy do wyciągnięcia z niej koniecznych jej wynikłości; a ponieważ przystępujemy do tej czynności z powodu poety narodowego, przeto w całym jej ciągu kierować się będziemy samym względem na Polskę i zamknijemy ją zetknięciem z obecnem naszym położeniem.

Owoż, według nauki upadku człowieka, ziemia jest więzieniem kary, człowiek cierpiącym zbrodniarzem, cały byt jego pokutą. Gdybyż jeszcze za tą pokutą szło konieczne zbawienie! Ale nie: wola człowieka i tutaj jest niczem. Sam Bóg ostatecznie rozstrzyga, bez względu na zasługi cierpiącego, bo jego wyroki są przedwieczne. Znaki zbawienia i potępienia rozdane są przed narodzeniem się wybranych i odrzuconych. I w rzeczy samej, jakąż może być zasługa w cierpieniu mimowolnem? Cierpimy, bo nie możemy nie cierpieć. Smutna nauka! Nie dziw, że w końcu wyda wielu wezwanych a mało wybranych. Jest ona równie smutna ze strony, która bliżej dotyka naszej ziemskości.

Nauka ta, potępiając wolę i rozum, jako pierwsze sprawce grzechu, które jednak, według wyobrażeń ludzkiej sprawiedliwości, są najważniejszymi względami w ocenianiu czynów ludzkich — karząc chwilowe, co większa, cudze przewinienia wieczną męką, kiedy przez odmówienie człowiekowi używania rozumu i woli zdejmując z niego odpowiedzialność za jego nawet własne, zachwiewa wszelką moralność, bo w samej podstawie, to jest, w pojęciu Boga, którego robi tak niesprawiedliwym, okrutnym, jak tylko wyobrazić sobie można. Cóż wtedy pozostaje człowiekowi szczerzej wiary? Ślepe posłuszeństwo, bierna rezygnacja, oderwanie się od ziemi, zaniechanie wszystkich

spraw ziemskich, lekceważenie wszystkich obowiązków społecznych, ponury pietyzm, przesadzony spirytualizm. Co pozostaje narodowi uciśnionemu, jak polski? Cierpieć i starać się cierpieć coraz więcej, bo zasługa przed Bogiem tem większa, im cierpienie jest większe. Jest to pokuta za grzech, którego nigdy dosyć odpokutować nie można. Wolno modlić się, niekiedy zapytać, czy daleki jeszcze koniec kary? Ale wylamywać się z pod niej własną wolą, własnym rozumem? Tego nie wolno, bo jest zasłużona. Wylamywanie się to, jest buntem. I kara i narzędzia kary są z wyroku boskiego; trzeba w nich szanować wolę Boga. Mikołaj spełnia względem Polski wyższe posłannictwo, wykonywa czyn pobożny, ułatwia Polakom drogę zbawienia. Zdaje się, że na tem przestać możemy.

Poeta Bohdan, jako prawowierny syn kościoła rzymskiego, z tego dogmatu wychodzi w swojej poezji religijnej. Poema zapewne nie jest rozprawą teologiczną, ale poezja jest objawieniem prawdy przez piękność: w głębi jej powinna być prawda — inaczej, zaprowadzi na bezdroża złego. Pewna i to, że myśl jego poszła wkońcu gdzieindziej, spoczęła ostatecznie na obrazach, pocieszających duszę narodową — ale my tego zboczenia nie możemy przypisać logicznym następstwom przytaczanego dogmatu. My widzimy w tem jedynie miłość narodu, prawdziwe pojęcie bóstwa, natchnienie prawdziwie niebieskie, mocniejsze od więzów panującej myśli. Nie wszędzie jednak zdołał ją przemódz.

Stąd w jego przeglądzie ludzkości tak wydatna jej zła, coraz gorsza strona, a mogąca się jednak usprawiedliwić, gdyby tak było w rzeczy samej, nieznosnymi warunkami bytu — stąd zarzuty bezbożności najświętszym usiłowaniom narodowym około wolności, jak żeby owe czyny nie były już same w sobie najwyższą pobożnością — stąd powstawanie na wiedzę, na wolę, jak żeby wiedza i wola nie były przymiotami samego bóstwa, a będąc w bóstwie dobrem, mogły być złem w człowieku, jak żeby bezrządna swawola i szalony nierozum jedno z niemi znaczyły — stąd pogarda dla wiekowych prac i nabytków umysłu ludzkiego, dla udoskonaleń fizycznych, które wszakże są robotą ducha, a przez wzmocnienie,

uszlachetnienie materyalnej, ziemskiej strony człowieka dążą jedynie do opatrzenia duszy w narzędzia, odpowiednie ważniejszym jej robotom w przyszłości — stąd w pieśniach jego pełno skargi, narzekania i płaczu, które prędzej rzuca do duszy zwątpienie, jak pociechę, prędzej zamkną ją w nieczynnym rozmyślaniu, jak pobudzą do działania, są słabością w człowieku powszednim, mogą ujęść samotnikowi, wspierającemu ludzkość pobożnem tylko rozmyślaniem i ofiarą wewnętrznych boleści, ale powinny być wstrzymane, o ile można, w śpiewach poety, przeznaczonego powoływać naród do życia społecznego, do walki męskiej — stąd nakoniec pojęcie bóstwa, nie przystające całym obrazem do obrazu, leżącego w duszy dziejszych pokoleń.

Świadczyć się treścią „Ducha od Stepu“, przytoczoną powyżej — a jeżeli tego niedość, całkowitym jego tekstem, zresztą wszystkimi poezjami religijnymi.

Nikt zapewne, możemy to śmiało powiedzieć, nie widzi jaśniej od nas potrzeby religii w każdym czasie, dla wszystkich, a tem bardziej w obecnym, dla Polaków — nikt mocniej nie jest przekonany, że konieczna jest myśl, która by położyła koniec moralnemu nieładowi Polski, zniszczyła trawiącym ogniem wszelkie obce jej pierwiastki, narodowe zaś podniosła w potęgę nadziemską, przywróciła pierwotne ich powinowactwo i nakoniec skupiła w jedność polskiego ducha — że tą myślą może być tylko myśl religijna, że jej podstawą i szczytem jest Bóg, że zatem w miłości i pojęciu Boga leży ostatecznie nasze narodowe zbawienie, narodowa przyszłość. Ale i o tem także jesteśmy przekonani, że wiara powinna rozjaśniać umysł człowieka, nie ściemniać — pokrzepiać, nie rzucać zwątpienie — podnosić zaufanie we własnych siłach, a nie naigrawać się jemu — a nade wszystko objawiać Boga, któryby skupiał w najwyższem podniesieniu szlachetne, wzniosłe instynkta, władze i dążenia ludzkości, któryby nareszcie, że się zwrócimy do tego, co nas tu wyłącznie zajmuje, świadczył naszej Polsce boskiem swoim słowem, że mimo jej ułomności nie zasłużyła na los, jaki dzisiaj znosi, że mimo jej przewinień sprawcy jej są zbrodniarzami godnymi kary, że powstać przeciw nim, zniszczyć ich, bę-

dzie najlepszą pokutą za grzechy przeszłości, najwyższą zasługą przed Bogiem i prawem do przyszłego zbawienia.

Takiego Boga pragniemy widzieć w dzisiejszej poezyi, takiego widzimy w poezyi Bohdana, ile razy, jakeśmy to już namienili, idąc za natchnieniem samorodnem, zostawia na boku surowe nauki mnichostwa rzymskiego, ile razy maluje nam Boga Opatrzności, dobroci, przebaczenia.

Otóż jest wszystko, co ciążyło naszemu sercu w tej całej czynności; przyznajemy się do tego szczerze. Kończymy ją z prawdziwem zadowoleniem. Wszakże musieliśmy do niej raz przystąpić: nie dla rozpoczęcia sporu teologicznego, nie dla zachwiania poety w tem, co mu najdroższe. Nie. Prawdziwe powody są nie na jednym miejscu naszego pisma; łatwo je wykryć. Tu jeszcze jeden dodamy.

Jesteśmy widzami usiłowań, dążących do bezwzględnej restauracyi przeszłości na korzyść pewnych wyobrażeń, w interesie pewnych odłamów społeczeństwa, które nie mogą się pogodzić ze szczęściem wszystkich. Duszą tej roboty musi być z porządku rzeczy restauracya papieskiego katolicyzmu. Ta restauracya zaczyna objawiać się i poczyną bredzić, jak bredzić musi restauracya każdej gasnącej myśli, z prostej przyczyny, że opiera się na jej żywotnych pierwiastkach tam właśnie, gdzie się naprzód zagnieżdża zaród zepsucia myśli, skąd się jej zepsucie poczyną. Stąd to dzisiejsi, tak zwani, katolicy w oddziaływaniu przeciwko wolności, oświacie, postępowi rodu ludzkiego, przychodzą do uświęcenia ciemnoty, niewoli, do wykrzywania pojęć o bóstwie. Według nas jest to bezbożność.

W poezjach religijnych Bohdana są rzeczy, które zdają się łączyć go z nimi. Nie omieszkają oni zastawiać się poetą, jako potężnym szermierzem swojej sprawy. My więc, poświęceni prawdzie, wyższej w naszym przekonaniu od niektórych prawd kościoła rzymskiego, musieliśmy je wytknąć, jako ubliżające bóstwu i szkodliwe ludziom. Są-li dla poety nasze uwagi podejrzone, zarzuty niesłuszne, zdania przesadzone? Chce-li znaleźć gdzieindziej usprawiedliwienie ich i poparcie? Niech tylko rzuci wokół

siebie okiem bezstronnej rozważki i rozpatrzy się. Kto przyjął z największym zapalem jego poezye religijne, kto im udziela najtroskliwszej opieki, pieści się niemi najczulej? Zapewne nie strona ludu, nie przyjaciele jego, nie poświęceni jemu. Wielbiciele tacy są tem podejrzani, że potrafiliby dostrzedz pod całym urokiem poezyi i patryotyzmu, co jest w niej przeciwne i grożące ich interesowi. I na nich więc jeszcze zlewamy z całą ufnością obowiązek świadczenia prawdzie słów naszych.

Pozostaje nam jeszcze obejrzeć ją, jako utwór poety-sztukmistrza.

Cokolwiek powiedzieliśmy w sposobie ostrego sądu o poezjach Zaleskiego, wymierzone było jedynie przeciw pewnym wyobrażeniom, które przy całej ich powadze religijnej nie zdają się nam być bezpiecznymi kierownikami czynnego życia narodu, w obecnem zwłaszcza jego położeniu, jak to w całym ciągu naszego pisma jasno widzieć można; lecz nie miało zamiaru i nie może bynajmniej ubliżać ani wierze poety, ani jego duszy, gorejącej taką miłością, ani jego wieszczemu geniuszowi, ani wartości jego utworów pod względem natchnienia i wykonania. Ta strona pozostaje jeszcze do obejrzenia, i do tego przystępujemy z równą, jak dotąd, sumiennością, a z większą rozkoszą; ubolewamy tylko, że musimy być zwężlejszemi, niżbyśmy chcieli.

Wyjdziemy znów z „Ducha od Stepu“. Daliśmy już w kilku głównych rysach wyobrażenie tego poematu — dopełnimy je kilku nowemi. Przedewszystkiem uderza nas w niej wielka siła poetycka. Zdaje się, że to nawet, co w niej rozum razi, uderza w duszę tem przenikliwiej tłem swojej okropności. Ale jest to tylko cień, rzucony na obraz, który nie gasi blasku i życia jego całości, nie zaciera harmonii między częściami — owa siła promieni z pod niego we wszystkich kierunkach. Poświęcenie na przykład poety na ziemską wędrówkę ma w swoim duchu i formie coś tak niecielesnego, ulotnego, rajskiego, że natchnienie podobne Zaleski tylko mieć może. Albo ta bolesna pieśń jego ziemskiej niedoli, albo jeszcze boleśnieszka, najboleśnieszka, niby zasłyszany płacz proroczy nad Jerozolimą, płacz poety nad Polską — albo ten śpiew

aniołów, między ziemskimi jękami, niosący rozgrzeszenie Polsce — albo ten obraz Rzymu, konającego powolnem samobójstwem wszelkiego zepsucia, narysowany tak głębokimi a rzucanymi, jak od niechcienia, pociągami — albo to groźne, półfantastyczne widzenie barbarzyńskiego zalewu, odśpiewane, jak echem dalekich ziem i czasów, i tuż obok niego świat Sławian, taki pogodny w swoim szczęściu, taki miły w swojej prostocie, taki pocziwy na błędnej drodze swojej wiary; nareszcie to polyskanie widma Bojanowego! Tyle rozmaitości w tak niezwykłych poematach!

Prawda, że poeta miał otworem dla siebie i niebo i ziemię, i przyszłość i przeszłość — ale w takiej przestrzeni można się zgubić, można nie znaleźć, czego szukamy, można wiele znaleźć a nie módz lub nie umieć utworzyć z tego jedności. Żeby tego dokazać, trzeba być poetą prawdziwym, przez duszę i umysł. Bohdan dokazał tego. „Duch od Stepa“ ma bez wątpienia cechę całego bogactwa jego talentu: wydatniejsza tu, jak gdziekolwiek, owa czarodziejska giętkość jego języka, nieprześcigniona żywość fantazyi, niewyczerpana barwność, wielka sztuka nagięcia formy do każdej cząstki ducha utworu i, większa od tamtej, sztuka zatarcia wszelkich śladów sztuki.

Mniejszego rozmiaru są inne pieśni religijne, w tych dwóch tomach wyłącznie zawarte. Są między nimi poświęcone jedynie wylaniu się duszy przed bóstwem, jak te na przykład, które są objęte napisem: „Modlitwy i Hymny.“ Są — znowu marzenia, rozmyślanie, w duchu wiary, z których jedne mają za cel poparcie lub rozjaśnienie jakiej prawdy religijnej, inne są znowu prostem wyśpiewaniem się serca, skołatanego już to bytem ziemskim w ogólności, już to życiem, którego ciężar tułaczę tylko, pozbawieni ojczyzny, czuć i ocenić mogą. Między temi ostatnimi najwięcej cenimy: „Sam z pieśnią“, „Przechadzkę poza Rzymem“, „Mdlą ciszę“, a najwięcej rozrzucałyśmy się: „Naszem Endoume“. Między modlitwami, jakkolwiek każda z nich ma właściwą sobie myśl piękną i wzniosłą, my jednak najchętniej przylegamy sercem do modlitwy na dzień gromniczny, a razem na

dzień urodzenia poety, gdzie rozmowa jego ze zmarłą matką porusza wnętrze każdego, ktokolwiek jest synem — i do drugiej, pod napisem „Smutki“. Świat duszy ciemny tutaj, przeraźliwy, jak sam poeta mówi; jest w nim pewna uroczystość rozpacz, śmierci, ale piękności poetyckie wciąż po nim przelatują, jak błyskawice. Zresztą, któż z nas nie wita, jak dawnych znajomych, cokolwiek tu poeta wypowiadał? Stąd-to zapewne przenosimy tę modlitwę nad inne.

Zostawiliśmy na zakończenie najpiękniejszy może w tym zbiorze utwór, a przynajmniej różny od reszty. Mówimy o poemacie, któremu autor dał imię: „Święta Rodzina“. Osnowa jego bardzo prosta, oparta na wiadomem w chrześcijaństwie zdarzeniu z życia Chrystusa, to jest, na zgubieniu go przez Maryę i znalezieniu w kościele jerozolimskim wśród rozprawy z uczonymi. Rozwinięcie tego wypadku jest najwięcej prostoty; jest to spokojne opowiadanie w szczegółach tak, zdaje się, powszednich, że zmyślenie ich poeta mógłby uważać za trud bezpłodny. I w rzeczy samej, jakie one są? Oto tłum ludu na drogach, powracający ze święta Przaśników, obchodzonego w Jeruzalem — nocny jego spoczynek pod gołym niebem — Marya, stroskana zgubą syna — Józef, który ją pociesza — sen, który każe wracać do Jeruzalem, znalezienie Jezusa w kościele, uczta u Elżbiety, powtórne wyjście z miasta świętej rodziny, krótki spoczynek nad Cedronem i na koniec nocleg w lasku oliwnym przy brzegu strumienia. Poema jednak, nie tylko, że nie traci na tem, ale zyskuje.

Główną osobą jego Chrystus, źródło — ewangelia. Powinno mieć przeto prostotę ewangelii a za całą ozdobę urok miłości — i ma to wszystko. Nadto jeszcze jest w nim głębokość uczucia i myśli, głębokość, wiarą tylko zmierzona. Ta matka, rozplywająca się szczęściem z takiego dziecka, a jednak bolejąca przeczuciem najsroźszych cierpień, to pacholę, igrające nad Cedronem, w obliczu Golgoty, albo goniące już wzrokiem najczystszej miłości za wyklętą Samarytanką, albo dające dzieciinne pocałowanie małemu Stefanowi, pierwszemu w przyszłości męczennikowi dla siebie, ten śliczny panicz, Łazarz, który

ubogie, nieznane dziecię w milczeniu pomija, i wiele tym podobnych, są to wszystkie dowody, jakie głębie przedmiotu odkryła poecie szczerą jego wiara.

Wątpimy, aby którakolwiek literatura miała coś lepszego w podobnym rodzaju. My między poezjami Zaleskiego uważamy „Świątą Rodziną“, jako najpiękniejszą jego modlitwę.

Chcielibyśmy dłużej cokolwiek zatrzymać się nad nią, ale oddawna już inny nas przedmiot czeka: poezja ukraińska Zaleskiego.

III. POEZJA UKRAIŃSKA.

Ukraina była kolebką i piastunką Zaleskiego. Z ducha Ukrainy wpłynął w niego duch wieszcz, miłość Ukrainy natchnęła mu pierwsze pienia, ziemia i dzieje ukraińskie dostarczyły mu pierwszych żywiołów do formy poetyckiej. W tej też myśli największa jego potęga: tam on jest samorodny, nowy, znakomity między polskimi poetami, jedyny, nieporównany w swoim rodzaju. Wszakże jego siła, zasługa, chwała nie stąd płyną, że pierwszy umiał skorzystać z poetyckich skarbów tej ziemi, że umiał z nich skorzystać tak, jak nikt przed nim, a może i po nim. Nie — byłoby to brać rzeczy powierzchownie i kłaść wątłą podstawę wartości Zaleskiego. Leży ona w czem innym, z nikim niepodzielona, równie wielka w najdalszej przyszłości, jak dzisiaj. Powiadamy to śmiało i zaraz tego dowiedzimy.

Część Polski, zwana Ukrainą, odbyła powołanie w ogólnem powołaniu narodowem niejasno dotąd pojęte i wyłożone; ma ona właściwe sobie, swoim dziejom, duchowe piętna, które ją bardzo wyszczególniają między innemi częściami i stawia wyżej nad inne; krótko mówiąc, tam spoczął najwidoczniej duch wolności ludu polskiego, objawił się najenergiczniej w swojej walce z uciskiem i najkrwawszymi rysami uwiecznił tak swoje krzywdy, jak protestacją przeciw nim. Przebiegnijmy całe życie ludu polskiego, a nigdzie nie znajdziemy owego zjawiska, przynajmniej w takiej sile, z taką długą ustawiecznością

trwającego, наконец płodnego w takie stanowcze skutki, na nieszczęście, okropne, dla ojczyzny, jak dotąd.

Jakiegokolwiek są tego przyczyny, o to mniejsza w tem miejscu. Mniejsza i o to, że owo uczucie wolności w ludzie ukraińskim objawiało się w postawie za dzikiej może dla dzisiejszych czasów, że wkońcu przyprowadziło go do zbrodni przeciwkojczystych, lubo część ich spada na złość jego braci; nie usprawiedliwiamy złego, bierzemy tylko myśl ogólnie. Wszakże, mimo wszelkich zarzutów, jakie Polska Ukrainie zrobić może, pewna jest, że jej życie kozackie dostarczyło prześlicznych czynów chwały ojczystej, najpiękniejszych kart ojczystym dziejom — a w swoich nawet okropnościach było historycznem, dotykałnem ostrzeganiem narodu o źródłach jego zguby, jak znowu polskiem, świetnem obliczem dziejów zapowiadało tę przyszłość, która rozwinie przerodzenie nasze, a do której wchodzimy już duchem. Stąd to taka poezja na dziejach i ziemi ukraińskiej, stąd takie jej rozbrzmienie w sercu narodowem, taka miłość, taki podziw uwielbienia dla niej. Tak jest, duch ludu polskiego uczuł prawdę w myśli Ukrainy; w jej cierpieniach ujrzał apoteozę swego męczeństwa, a w marze jej przeszłości swojego zapaśnika i wnet złożyć jej część miłości. W tej czci połączył się lud i nie lud. Mimowolne to zapewne, bezwiedne świadectwo prawdy, dlatego też tem ważniejsze. Jest ono dziś tak powszechne, że niema już w niem nawet nadzwyczajnej zasługi. Ale kto pierwszy pojął tę myśl natchnieniem tylko, przylgnął sercem i duszą do tego ludu, uznał za pożyteczne ojczyźnie rozkochać ją swoją miłością, oświecić ją swoją myślą, i dopełnił tego — w tym mieszka geniusz, ten stworzył dzieło, które tyśiące jeszcze robotników zatrudnić może, ale ich mistrzem on tylko pozostanie. Taka jest istota ukraińskiej myśli, a w poezjach Zaleskiego najżywotniejszego pierwiastku. Przezeń to trzyma on to wysokie miejsce między polskimi poetami w całej literaturze narodowej. Najważniejsze byłoby trafne jego ocenienie z tego stanowiska. Głęboka, filozoficzna krytyka miałaby tu wiele do powiedzenia. My nie mamy do podobnej pracy ani siły ani czasu; musimy ograniczyć się ogólnym bardziej widokiem.

Poezya, pisana wyłącznie pod natchnieniem rodzimo-ukraińskim, zajmuje tom trzeci całego zbioru. Podzielona jest przez poetę na Dumy a Dumki, i na Wiośnianki i Szumki. W pierwszych widzimy śpiewaka uczuć tęsknych, smutnych, często bolesnych przeszłości świetnej, obecnej niedoli — w drugich promieni się myśl pogodniejsza, niby słowo pociechy wśród narzekania. Dumy, wiośnianki, szumki są to wszystko rodzaje poezyi miejscowej; poeta właściwie wprowadza ich nazwy i przyswaja poezyi polskiej. Obok tego podziału jest tu jeszcze część historyczna, i ta nas przedewszystkiem zajmie, raz, że ta część objawia poetę w zupełności prawie jego ducha ukraińskiego — potem, że mając za tło rzeczywistość historyczną, jest dla nas większej wagi, niż jakiegokolwiek pieśni, zamknięte sferą osoby pojedynczej lub uczucia domowego. Nadto jeszcze znajdujemy między niemi pewien związek, pewien sztyk nawet, według jednej myśli, tak, że z małemi zmianami możnaby je złożyć w jedną całość. Każda дума jest tutaj niby zwrotką, a wszystkie razem stanowią piękne liryczne poema. Dlatego z żalem nie widzimy tutaj ani rapsodu rycerskiego, ani Dumy o Mazepie, ani im podobnych, dawniej napisanych. Sąsiedztwo ich wcale nie ubliżyłoby dumom. Jest w nich pewna poranna świeżość natchnienia, pewien urok wschodzącego słońca, które nigdy zachwycać nie przestana. Dla treści zaś, byłyby one bardzo na swoim miejscu wśród historycznych śpiewów i dopełniłyby całości. Ale wróćmy do rzeczy.

Zbiór dum otwiera się pieśnią o drzewie poezyi, nazywanem Sen-Drzewo Wieszcze przez poetę, opartego na miejscowych podaniach o roślinie Sen. Piękne upostaciowanie poezyi. Drzewo to, wszczepione na czary mnogich stuleci z bożej rozsady, pachnie, jak młodość, kwieci się, jak miłość, gada wonią i szumem, strzeże mogił, podaje słowiańskim plemionom wieść z nieba; zaklął je wieszcz Bojan.

Kto po tem drzewie puści w górę ducha,
Utraci pamięć żywota, zwiastuje;
Kto woń zaczyna, albo w szum się wsłucha,
Wyśni sam w sobie stu pokoleń dzieje.

Kto pierwszy różdżkę Snu-Drzewa dostanie
I sercem boże cuda w niej zrozumie,
Po królu pieśni, po wieszczym Bojanie,
Między Słowiany zawiekuje w dumie.

Po tym wierszu, pełnym głębokiego pojęcia rodzimej poezyi, następuje дума do gęśli — modlitwa do gęśli, aby mu rozbrzmiała na wiatry powszednie jego smutki. Głównym jej tonem, rzewna skarga i tęsknota do ziemi ojczystej. Podzwonne ku ojcom. Pieśń uroczysta w cześć przodków: gęslarz rej prowadzi, do chóru cały lud wchodzi. Od pobożnego uniesienia się ku zmarłym ojcom, schodzi nakoniec poeta na ziemię ukraińską do dziejów ukraińskich. Z Mogiły Sawor słyszymy głos Zaporozzczów. Śpiewa on wielkość stepu, piękność Ukrainy, jej pustki w przeszłości, początek Zaporozża, i pierwszego Zaporozzczów hetmana, Ostafiego Daszkiewicza. W dumie „Step“ odsłania jeszcze wyraźniej tajemniczy pozór pól ukraińskich. Gęśl poety innym brzmi dźwiękiem w „Lachu serdecznym na marach“. Przeclaw Lanckoroński, hetman kozacki, umiera; ciało jego ma spocząć w Lanckoronie — kozactwo przeprowadza go pieśnią pogrzebową. Pieśń prosta, uroczysta, a spokojna i głęboka, w swojej wielkiej boleści, jednym słowem, taka, jaka musiała być pieśń tych dziwnych ludzi, pół-dzikich przez życie i obyczaje, ciągnących za pogrzebnym korowodem atamana, którego Lachem serdecznym przezwali. Któż ich nie pozna w tej na przykład zwrotce:

• Cześć na dobie — chwała tobie — chwała, póki nas!
Hej, serdeczny! Pokój wieczny w nieprzeżyty czas!
Póki świata, słońca, żal nasz, żal nieukojonny
W pieśń niech wieje od Kudaku aż do Lanckorony!

Trzeba tu zauważyć, że dzieje kozaczyzny najślawniejsze zaczynają się pod przewodnictwem Polaków, przez potęgę myśli polskiej. Świadczy o tem historia, ale wdzięczność poecie, który to przypomina i zapisuje, jak prawdę.

Twardość tej pieśni cieniuje się boleścią łagodniejszą następnej. „Smutna Krakowianka“ jest to powieść o córce Bohdanka (Różyńskiego), także dowódcy kozaków, która, wzięta do Krakowa na dwór królewski, umiera tam z tę-

sknoty za Ukrainą. Powieść włożona jest w usta kozaka, ma też barwę kozacką — i mimo rubasznosci języka, widać w oczach opowiadacza lży myśli głęboko-smutnej, którą zamyka dosłowna nauka:

Nasz nie nawyknie do cudzego chleba:
 Żyć i umierać u nas mu potrzeba;
 I oto Pan Bóg zapowiada w cudzie,
 Że Ukrainiec nie na Ukrainie
 I wiek przepłaczę swój i marnie zginie.

Innego rodzaju rzewność odzywa się w dumie, mającej napis: Luli Niemowlęciu Iwoni. I zapewne rzewny to widok, owi Zaporozczycy wążące, zamienieni w piastunki, śpiewający do snu sierocie po miłym sobie wojewodzie; do tej myśli nastrojony ton całej dumy. Jest to jedna z najpiękniejszych dum, prawdą uczuć i kolorytu, zachowaną w równym stopniu przez cały jej ciąg. „Pochód“ chwytą z domowego życia kozaka chwilę jego odjazdu na wyprawę. Jest to pożegnanie matki z synem, całe w duchu pieśni gminnych. „Wyprawa Chocimska“ i „Czajki“, poświęcone są pamiętce sławnego Konaszewicza. Pierwsza śpiewa jego chwałę na lądzie, druga daje nam obraz jego morskiej przejażdżki; pierwsza jest w tonie powieści, druga ma wzniosłą liryczność wojennego hymnu. Któż z nas nie zna dumy o hetmanie Ksińskim, która zamyka ten szereg imion i wypadków historycznych? Dalej myśl poety, jak żeby zmierzyla cały zawód publiczny, wojowniczy kozaków, zwraca się do uczuć spokojniejszych, poczyną głównie śpiewać tęsknoty rodzinne. W tym duchu są zamknięte: „Zozulicz“, „Downarowski na Jasyrze“, „Co mi po tem!“, „U nas inaczej“, i tym podobne. Położenie za krajem, tęsknota do niego, są w ogólności najplodniejszym tekstem śpiewów naszego poety: przedstawia on je w krocach postaci, a zawsze różnych, zawsze zajmujących, i tak prawdziwych, że je mimowolnie sobie przyswajamy. Jest to niby pieśnioksiąż emigrancki.

Tę cechę ma szczególnie książka wtóra Dum i Dumek. Nie widzimy już tutaj żadnej pieśni historycznej, lecz albo ściągające się jedynie do samego poety, albo przekłady, a raczej naśladowania dumek gminnych, których

osnową dzieje domowego i serdecznego życia. Wszakże we wszystkich brzmi struna ukraińska, widać barwę ukraińską. Między temi godne są szczególniejszej wzmianki: „Tędy leciał ptaszek“. „W spółce ze słowikiem“, gdzie poeta dosyć szczęśliwie schwytyje rytm słowiczego śpiewu. „Nie ma, czego trzeba“; „Stepowa mogiła“, „Któs czy Ktosia“; „Rozczarowanie“; „Okolica alpejska“; „Synowski żal do Ukrainy“: Dumania, skargi, żądania mniej więcej głębokie w uczuciach, mniej więcej proste lub wzniosłe, niekiedy umilone tęsknym uśmiechem, a który czasem szersze lży wyciska, niżeli lża sama. Zamyka to wszystko, „Kalinowy most“, należący do najpiękniejszych poezyj Bohdana. Jest tam pomysł nowy, obszerny, myśl, co tak bystro zapuszcza się w przyszłość, jak w przeszłość, cała prostota wiary gminnej przy natchnieniu wielkiego poety, uczucie, jedno z najposępniejszych, a pokryte jednak wesołością tego rodzaju, że możnaby je wzięść za ów śmiech serdeczny, który zdradza najwyższe bole serca. Osnowa tej ślicznej dumy następująca: Poeta u zwierciadła dostrzega między swojemi włosami jeden siwy. Siwy włos, to owoc życia, to życie, przekwitłe we wszystkim, co ma najmiłszego. Jakie źródło smutku! Ale cóż tu smutek pomoże? A więc przynajmniej raz jeszcze podrzucić ku młodzieży kółpak z głowy po kozacku, na ostatnie: bądź zdrów! I oto poeta na Kalinowym moście, po którym, według podania gminnego, uciekają od nas młode lata — tam poeta i swoje żegna. A tym czasem przesuwają się przed nim przyszłość, jakaby mieć można, jakiejby pragnął dla swojego szczęścia, i przyszłość, jak marzenie, i przeszłość go opuszcza. Spotyka Rusalkę, swoją družkę, tak niegdyś wierną. Rusalka zagwizdała szyderczo po paluszkach i znikła; unosi się myślą w życie domowe, pieści się dzieckiem i żoną — i to marzenie! Podobnie opuszcza go i Pieśń i Miłość. Wtedy duch poety zapuszcza się w głębie przyszłości trzeciego aż gdzieś pokolenia; staje na Ukrainie, jako dziad-piewca. Wszystko tam się zmieniło. Nowi ludzie, nowa prawie ziemia. Wiewska młodzież igra w tańcach i pieśniach. Dziewczęta upraszają starca o nową wiośniankę. Tu zaczyna się spór poety z wesołą gromadką, o którym żadna treść wyobra-

zenia dać nie może; kończy go pojednanie, ale kiedy poeta chce zaśpiewać, smutna rzeczywistość płoszy na nowo marzenie.

Bądźcie zdrowi, goście mili!

woła poeta na zakończenie do swoich lat młodych, a do Ukrainy:

Matko, syn powraca miły!
 Pokolenie Piewców młodo
 Odprowadza — do mogiły!
 Matko, niosą żywe słowa:
 Wyjdź, niebogo, z miłą rzeszą!
 Gdzież gospoda Bojanowa?
 Gęśl przy gęśli niech zawieszają!

Na końcu tomu umieszczone są „Wiośniarki i Szumki“, czyli poezye weselszej treści. Między temi „Śmierć w oblacie“ i „Bojanicz“ są głębszego znaczenia, i z tego powodu zwracamy na nie uwagę czytelników.

Oto są postacie, pod któremi objawił się dotąd ukraiński pierwiastek poezyi Bohdana. Uważamy go, jako brylant, którego każde liczko błyska właściwem sobie światłem: dlatego dotknęliśmy za długo może pojedynczych poezyj. W istocie każda z nich stanowi lice głównego pierwiastku, odmienne od innych. Pierwszeństwo należy niezaprzeczenie historycznej części — lubo i to trzeba przyznać, że talent poety wszędzie, z małymi wyjątkami, utrzymuje się na równej wysokości. Wszędzie natchnienie swobodne, świetne, dusza promienna duszą ojczystą, dźwięki do serca, jasne widzenie przedmiotu, rzadka moc władania językiem, rzadszy jeszcze smak w jego poprawności, niekiedy do wykwinności posunięty, i wzorowa harmonia formy artystowskiej z natchnieniem, a w wielkiej części prostota śpiewu ludowego i uczucia, z serdecznego źródła ludu wzięte. Nie mogą one wprawdzie zaspokoić wyobrażenia, jakie o poezyi gminnej mamy — ale z tego usprawiedliwiamy poetę; jesteśmy przekonani, że dzisiaj zadośćuczynienie wszelkim jej warunkom przechodziłoby prawie siły każdego, dla mnóstwa niezłamanych przeszkód. Wielka już jest zasługa w samym pod-

niesieniu myśli ludu, w wyrobieniu jej prawa obywatelstwa do poezyi ukształconej, w oswajaniu z nią naszych pańskich wyobrażeń: przestańmy temczasem na niej, jak na stopniu do dalszych postępów. Zdajmy resztę na czas w przekonaniu, że poezye Zaleskiego nie zamrą w księgach, jak hieroglify, ale przejdą w usta i serca narodu, a tam rozrodzą się w plemie bliżej — czysto-ludowe. Między innemi mamy wielką tego rękojmię w śpiewności tych poezyi. Wszyscy to uczuli i wszyscy mu przyznali wyższość pod tym względem nad całą rodziną wieszczów polskich dawniejszych i nowszych. I tak jest w rzeczy samej. Wydobył on z polskiego języka melodyjność, nieznana prawie dotąd. W wielkiej części sama natura jego talentu dokonała tej pracy, ale i własnych usiłowań włożył немало. Zbadanie poezyi Bohdana z tej strony może być przedmiotem bardzo ważnym i korzystnym dla pracujących nad nagięciem polskiego języka do muzyczności, a co byłoby nieoszacowanym nabytkiem dla poezyi polskiej; poeci tymczasem powinni go naśladować w tem usiłowaniu, ci zwłaszcza, którzy dla ludu chcą pisać; tam muzyka nie druk uwiecznia myśli.

Za niemają także zaletę poczytujemy Dumom i Dumkom, że są dla wszystkich bardziej, niż poezya religijna. Niema tu prawie uczucia, myśli, któreby się nie przyjęły we wszystkich sercach, nie przylgnęły do każdego umysłu. Znać, że płyną z natchnienia pierwotnego, młodzieńczego, z powszechnego źródła; czuć w nich strunę, którą najpierwej nawiązała na serce poety matka Ukraina. Jest-że ta poezya mniej religijna od pierwszej? Przeciwnie, jest ona wysoko religijna, bo pełna szlachetnych dążeń, głębokiej miłości, otwartego na wszystkie strony uczucia; ma wszystkie przymioty prawdziwości, choć rzadko udaje się do urzędowego słownika religii. Dokaże tego, jak Bohdan, każdy poeta. Niech tylko kocha ludzi i swój lud, a Bóg przyjmie tę miłość za ofiarę miłości ku sobie, a anioł jego natchnienia będzie z poetą nieodstępnie.

Nie możemy pominąć sławiańskiego pierwiastku w poezyach Bohdana. Poezjiw purytanizm katolicki, mimo uwielbienia dla swojego poety, tak jednakże został uderzony tem niepojętem dla niego serdecznem uniesieniem

się do przedchrześcijańskich sławianstwa czasów, tem wywołaniem Bojana, którego chrztu żadna metryka nie poświadcza, że ledwo nie posadził Zaleskiego o herezję — i to, jak mniemamy, przez uszanowanie tylko dla jego talentu, mogącego się jeszcze mu przydać; wszakże wspomniony pierwiastek wchodzi do poezyi Zaleskiego konieczniej, niżby się komu zdawało. Jeżeli narody plemienia sławiańskiego uważać będziemy nie w samych tylko klasach ukształconych, ale w tej masie, którą przywykliśmy nazywać ludem, w masie, niedostępnej wpływom cudzoziemskim, a przez to rozwijającej się logicznie z zarodu swojego życia, dostrzeżemy wszędzie spólnego sławiańskiego pierwiastku: dostrzeżemy go równie w ich poezyi, kiedy wyobrażeniu poezyi narodowej pozwolimy zstąpić do pieśni ludu. Nie mamy potrzeby zapuszczać się w dowodzenia; poparcie ich świadectwami dotykalnemi jest nazbyt łatwe. Przekonani jesteśmy, że wszyscy to wiedzą, co my wiemy. Poeta zatem polski, stający na drodze poety ludowego, nie podjąłby swojego powołania, rozmiąłby się z niem, gdyby odrzucił pierwiastek sławiański. Odsuwamy na bok mus chwilowo polityczny, ale widzimy mus historyczny. Ludowa polska poezya nie będzie zupełna bez tego pierwiastku. Natchnienie wyższej mądrości kierowało Bohdanem, kiedy grał myślą sławiańską; wyższej mądrości, kiedy Bojana wskrzesił. W postaci Bojana ukazał nam ideał wieszczą polskiego ludu, i to ludu, który duchem swoim ogarnie całą Sławiańszczyznę. Myśl ta nie wszędzie zapewne pomieścić się może, ale godna jest duszy Bohdana i opromienia blaskiem niepoślednim jego poezye — blaskiem takim, że poetycka jego zorza rozlewa światło Polski po za jej granicami; zbiega się z każdym płomykiem sławiańskiego ogniska, gdziekolwiek ten błąka się jeszcze. Postać Bojana mglista, niewyraźna! Nic w tem dziwnego. Jest ona jak każda prawda, którą czas dopiero wyjaśnia i robi coraz dotykalszą. Dla nas, Bojan Zaleskiego jest najpoetyczniejszem, jak dotąd, uosobieniem myśli sławiańskiej, a raczej myśli polskiej, ogarniającej sławiańską rodzinę. Oby miał tylko godnych siebie współpracowników!

Oto jest wszystko najważniejsze, cośmy wedle sił na-

szych o poezjach Bohdana, powiedzieć mogli. Wiele zapewne uszło naszej uwagi mimowiedzy — wiele musieliśmy pominąć, ograniczeni samą naturą tego pisma — wiele także opuściliśmy z umysłu, jako przyszły zapas, kiedy jeszcze mówić o tym wypadnie, i to nieraz, zapewne. Tego się spodziewamy, tego jesteśmy prawie pewni.

Sprowadziliśmy teraz całą rozprawę naszą do wyrażenia najdobitniejszego. Powiedzieliśmy z początku, że Zaleski powstał, jako poeta, z natchnienia ludu, że w tej myśli leży tajemnica jego świetnego zawodu; następnie zamierzaliśmy roztrząsać, jak dalece utrzymał się na tem stanowisku w utworach, które obecnie mamy przed oczami. Do tego celu skierowaliśmy całą rozprawę naszą i mniemamy, żeśmy go dopięli — ale nie każdy potrafi schwytać ostatnie słowo, rozprószone po różnych myślach: tu więc wypada nam krótko i ostatecznie odpowiedzieć na pytanie: Jest-li Bohdan Zaleski poetą ludu, lub nie? Odpowiadamy. Jest nim w poezjach Ukraińskich przez podniesienie tej chwili i tej części Polski, gdzie potęga jej ludu wyszła na jaśnią; przez miłość ku podobnym dziejom, ku podobnym ludziom — jest nim niezupełnie przez niektóre wyobrażenia poezyi religijnej. A przecież wiara poety jest wiarą ludu! Nic pewniejszego; nie przeszkadza to jednak kochać lud rozumnie i służyć rozumnie jego dobru. Dalecy od wytaczania procesu przeciw jakiegokolwiek religii, szanując sumiennie każdą, zachowamy się podobnie i względem rzymsko-katolickiej; dlatego wolimy w tem miejscu wytłumaczyć się przez podobieństwo. Lud ma mnóstwo złych nałogów, błędnych przesądów, zgubnych słabości, które czas uświęcił, które wrosły w jego istotę, które szanuje, kocha, a przez które jednak niszczy i zginąć może. Czy poeta powinien uwielbiać, szanować tę słabą stronę ludu dlatego, że na niej leży orok przeszłości, że jej strzeże przychylność ludowa? Powiedzmy, że nie. Takie spółbłędzenie z ludem jedynie przez miłość i cześć ku niemu jest występną słabością w każdym, a trudniejszą do przebaczenia ludziom wyższego pojęcia, do których liczymy wielkich poetów. Według tego nie ten jest u nas wieszcz ludu, który go utwierdza w jego błędach — ale ten, który, wznosząc się nad nie, usiłuje

z nich i lud wyprowadzić. Z tą bezwzględną uległością ogółowi, może wprowadzić być jego ulubieńcem, ale będzie mu szkodliwym — może zostać poetą jego przeszłości, ale nie przyszłości, a na dzisiaj przyszłości potrzeba. Żeby ją mieć, wszystko, co się okaże szkodliwym, trzeba odrzucić, choćby nawet religijną pieczęcią opatrzone. Komuż bardziej podobne dzieło przynależy i przystoi, jeżeli nie człowiekowi natchnienia, który z powołania swojego powinien widzieć złe i dobre ziemskie z wyższego stanowiska, bo jest w bliższych, niż ktokolwiek, stosunkach z bóstwem i może je widzieć jaśniej, niż mu czasem religia jego pokazuje, a w czym powołać się łatwo na świadectwo niejednego starożytnego poety, lub filozofa z widzeniami poetyckimi. O! nie wymagamy tego zapewne po tych, w których poezyi to tylko może jest najpoetyczniejsze co z brewiarza wzięli, ale taki, jak Zaleski, powinien pytać o wszystko samego Boga, a dla sprawy ludu oprzeć się nawet ludowi — a wtedy zostanie jeszcze zupełnie szerszym jego wieszczem i będzie tak do naśladowania w poeziach religijnych, jak jest w ukraińskich.

O POTRZEBIE NARODOWEGO POLSKIEGO MALARSTWA.¹

Rzecz o malarstwie polskiem dla pisarza, któryby ją chciał w zupełności zgłębić i wyczerpać, byłby przedmiot ogromny, nastreściłby wiele pięknego i pożytecznego do powiedzenia. Gdybyśmy nawet czuli się na siłach odpowiednich tej, można powiedzieć, olbrzymiej pracy, to w samym naszym położeniu politycznem napotkalibyśmy tyle przeszkód materyalnych, że upadlibyśmy niezawodnie pod jej ciężarem. Zostawując przeto zdolniejszym i szczęśliwszym od nas myśl o dziejach malarstwa polskiego, ograniczymy się zamiarem skromniejszym: weźmiemy tylko jedną chwilę życia malarskiej sztuki w Polsce, rozjaśniając ją kilku jedynie ogólnymi myślami — rzucimy spojrzenie nasze bardziej na jej przyszłość, jak przeszłość. Żeby zaś od pierwszego słowa stać się jasnymi dla pojęcia naszych czytelników, oświadczamy, że celem naszym jest rozwinąć tę myśl, jako malarstwo narodowe polskie, to jest, właściwe samej Polsce, jest możliwe, a malarstwo polskie, w duchu ściśle ludowym, może się wiele przyczynić do wzrostu jej życia.

W rodzinie sztuk pięknych niema żadnej może, wyjąwszy muzykę, taniec, która mogła stać się tak łatwo ludową, jak sztuka malarska. Budownictwo, snycerstwo, poezya, wymagają pewnego usposobienia wrodzonego w duszy, pewnego ukształcenia zmysłów i sądu nabytego, na które działają, aby sprawiły wrażenie, w jakie artysta godził, aby osiągnęły zamierzony przez niego skutek: malarstwo jedynie jest najmniej wymagające,

¹ Artykuł ogłoszony w „Demokracji Polskiej” (Paryż 1842, t. IV) w zeszytach wrześniowym z r. 1841.

najłatwiej daje się zrozumieć tłumowi, najzręczniejszemu utrafi w jego upodobania, najmniejszym kosztem zaspokoi potrzeby jego smaku. W rzeczy samej, kto tylko ma oczy, kto zdolny odróżnić barwę od barwy, kogo bawi gra kolorów, taki jest już w stanie jeżeli nie ocenić wartość utworu malarskiego, to przynajmniej polubić go, a dla tłumu więcej nie potrzeba. Niema też sztuki, któraby mogła tak wszystko obrócić na swój użytek i każde przetworzenie objawić światu w sposobie, równie zmysłowym i powabnym. Począwszy od paupra wiejskiego, który mści się na swoim bakałarzu karykaturą jego nakreśloną węglem na szkolnej ścianie, aż do Sądu ostatecznego Michała Anioła — od niezgrabnego kwiatka na jajku wielkanocnym do krajobrazów Szwajcarii lub Ameryki — od rodzinnych bohemazów starego szlachcica do Madonny Rafaela, wszystko jest w dziedzinie malarstwa: niema przedmiotu, któryby nie był jemu dostępny, niema myśli, dla której nie znalazłoby formy widomej, dotykanej, niema oka, do którego form swoich zastosować by nie mogło.

Skądże to rozpostarcie się malarstwa tak ogromne? skąd w niem taka siła przenikania, wszędzie, zaczepianie się o wszystko, schwytywanie wszystkiego? Skąd nakoniec ten urok jego utworów i ten ku nim pociąg?

My widzimy trzy główne źródła. Jedno jest w głębi istoty ludzkiej. Każdy człowiek, mający jakkolwiek wyobraźnię czyli zdolność tworzenia wewnątrz siebie obrazów, jest już malarzem. Przez to ma on pociąg, niejako pokrewieństwo ku malarstwu, i coś nakształt ojcowskiej życzliwości dla jego utworów. Drugie źródło jest w posłannictwie samegoż malarstwa: przeznaczenie jego bowiem odsłaniać ludzkości Boga w pięknej stronie stworzenia, jak duchowej, tak materyjalnej. Trzecie nakoniec jest w tem, że tłumaczy się, że przemawia do ludzi językiem najpowszechniejszym, najdzielniejszym, najmilszym i najzrozumialszym, to jest, do oczu, i językiem kolorów — czyli światła.

Malarstwo, ubezpieczone tak potężnymi warunkami, stoi pod względem apostołskiego swojego stanowiska z jednemi sztukami na równi, a od innych wyżej. Może i powinno być w stosunku do całej ludzkości jednym

z głównych narzędzi doskonalenia jej, to jest, ulepszenia człowieka według ideału bóstwa: w stosunku zaś do Polski może i powinno być jednym z głównych narzędzi wyswobodzenia jej ducha z więzów materyjalnych i moralnych, wewnętrznych i zewnętrznych, przyspieszenia chwili samoistnego jej działania, jednym słowem, wywalczenie miejsca, jakie się jej w rodzinie ludzkości należy. Te obywatelskie malarstwa powinności ku Polsce są niezaprzeczane, skoro się zgodzimy na jego powołanie w ludzkości; wpływają one koniecznym porządkiem rzeczy z tego źródła; naród bowiem tak pracuje dla ludzkości przez siebie, jak człowiek pracuje przez siebie dla narodu. Ale, żeby malarstwo mogło wywiązywać się z tych powinności względem Polski, musi w nią wnarodowić się, musi stanąć wobec niej i działać w jej łonie, jak żywioł rodzi, jednym słowem, musi przybrać formę szkoły polskiej. Tu się nasuwa zapytanie ważne, czy utworzenie podobnej szkoły jest możliwe? Doraźna odpowiedź nie trudna: jeżeli mogą być szkoły, włoska, flamandzka, hiszpańska i tyle innych, dlaczegożby nie mogła być polska? Wszakże ta odpowiedź nie jest dostateczna, zwłaszcza dla nas samych.

Wyobrażenie szkoły, przywiązane do szkół spomnianych, nie zaspakaja całkiem naszych żądań: my po szkole wymagamy coś wznioślejszego, coś bezpośredniej pożyteczniejszego narodowi. W miejscu zasady: sztuka dla sztuki, chcielibyśmy widzieć zasadę: sztuka dla ludzi. Warunki, podane przez nas, mogą się wydać albo zbyt uciążliwe, albo wcale nie do wypełnienia — otóż powody, do których powinniśmy obszerniej wytłumaczyć się z naszej myśli, zwłaszcza, że nam chodzi nie o samo wykazanie możliwości malarstwa polskiego, ale o dowiedzenie zarazem jego konieczności.

Zgłębiając istotę sztuk pięknych, ogółem wziętych, widzimy, po pierwsze, że każda z nich powołana jest objawić piękność najwyższą w ideale ogólnym, to jest, w ideale, któryby uznała cała ludzkość, jednym słowem, w bóstwie — 2-ie, że objawienie się tego ideału, będącego nieskończonością, może zstępować między ludzi jedynie w ideałach cząstkowych, ograniczonych, jak są ograni-

czone pojęcia ludzkie i wszelkie formy ziemskie, czyli, co jest jedno, z piętnami pewnego czasu, pewnego miejsca, pewnego społeczeństwa, pewnej osoby i tym podobnymi — 3-cie że każda ma stronę duchową, to jest, pojęcie ideału, natchnienie, i stronę materyjalną, to jest, formę widomą, w którą sztukmistrz natchnienie swoje obleka — 4-te, że jedne z nich działają wprost na czucie, jak poezya, inne znów przez zmysły, jak np. muzyka przez słuch, snycerstwo i malarstwo przez oczy — nakoniec, że stosownie do tych rozmaitych przeznaczeń dano działacze: poezyi potęgę słowa, muzyce dźwięk, malarstwu barwy czyli światło — i wyciągając znowu z prawd powyższych, w jedną ogólną treść zmieszanych, odpowiednie założeniu naszemu wnioski, przychodzimy do międzydrugiego ich szeregu, równie, jak pierwsze, oczywistych, że każda sztuka jest na korzyść duchową całej ludzkości i każdego w szczególności jej członka, że niema człowieka, byle obdarzonego czuciem i zmysłami, któryby nie był w stanie i prawie z niej użytkować, jeżeli sztuka rozwija się w duchu swojego przeznaczenia, i że pojedynczy utwór sztuki, poczynając się z natchnienia wyższego, jest pod kierunkiem mądrości wyższej, jest zjawiskiem, mającym pewne poslannictwo, konieczne, logiczne, w szeregu innych poslannictw, i że, objawiając się cząstkowo, ograniczenie, pod warunkiem przyjęcia formy, na jaką czas, miejsce i tym podobne okoliczności, towarzyszące temu objawieniu się, zdobyć się mogą, okazuje tem samem wolę Opatrzności, aby działał na korzyść pewnej chwili w życiu ludzkości, pewnej części w jej masie, w pewnym określonym celu — że nakoniec pewna ilość takich pojedynczych utworów przez blizkorodność swojego ducha, przez podobieństwo formy, przez jedność celu, przez potęgę głównej wspólnej myśli, sama z siebie, układa się w pewną całość, w pewien ogół, który nazwano szkołą.

Możność przeto tworzenia szkół w sztukach pięknych da się wywieść z samej ich istoty. Komu nie wystarcza oderwane rozumowanie, ten niech je porówna z dziejami sztuk pięknych. Zaprawde, żadna tam nie ma piętna bezwarunkowej powierzchowności, ani ogarnia całego ludzkości życia w jego przeszłość i przyszłość; każda nace-

chowana jest pewną myślą określonej potęgi, pewnym czasem, miejscem, a często pewną indywidualnością — każda przepływa przez zmiany. Pilnując się wyłącznie malarstwa, patrzmy tylko, ile to sfer podrzędnych, rozlicznie większych i mniejszych, zamyka w sobie sfera jego ogólna: znajdziemy tam szkoły, znamionami czasu napiętnowane, znajdziemy szkoły religijne, narodowe, należące do pewnej okolicy, do jednej nawet osoby przywiązane. Jest to woda, oblewająca okrag ziemski, która, nie zmieniając swojej istoty, tu jest oceanem, tam drobnem źródelkiem, tu rzeką, tam ledwie dojrzanym ponikiem,¹ tu smakiem słonym odraża, tam pokrzepia właściwą sobie słodyczą, tu przybiera barwę mętną, tam błyszczy, jak zwierciadło nieba, tu leci pędem niewstrzymanym, tam stoi, jako szkło, nieruchoma, tu grzmi, tam szepce, tam znowu bez żadnego jest głośn, jakby go nigdy nie miała.

Tyle o możności szkoły malarstwa polskiego — teraz o jej konieczności, zwracając tylko uwagę czytelników na związek w tym razie tak ścisły pomiędzy możnością i koniecznością, że dowody, przytoczone za pierwszą, dadzą się użyć na korzyść drugiej i nawzajem. Owa tedy konieczność leży jużto w narodzie, jużto w istocie samegoż malarstwa. W jakimkolwiek położeniu jest naród, ma on prawo użytkować ze wszystkiego wewnątrz siebie, co może przydać siły tak jego duchowi, jak ciału. Artysta przeto, będąc członkiem narodu, powinien być przede wszystkim obywatelem swojego kraju przez wszystkie władze swojej duszy i ciała. Stosując ten ogólny wywód konieczności, w narodzie leżącej, do Polski, odkrywamy prawo jej do wszystkiego, co się wśród niej poczyną, co jej życiem żyje — prawo tem świętsze, im byt jej mocniej jest zagrożony, a następnie, że wielki artysta-Polak powinien dziś bardziej, niż kiedykolwiek, być artystą-obywatelem.

Konieczność znowu, spoczywająca w malarstwie, a którą podzielimy na społeczeńską i artystyczną, wypływa w pierwszej swojej części z narodowych praw do niego, jako do żywiołu, do plodu swojego — w części zaś

¹) Ponik = źródło. Wyrażenie ludowe z okolic Krakowa.

drugiej z tychże samych stosunków między sztuką a narodem, nadto z innych jeszcze przyczyn, mających już bliższą styczność z samą sztuką, jak z interesami społeczeństwa, a które wymagają dłuższego nad sobą zastanowienia się. Aby porządniej odbyć tę czynność, musimy trzymać się głównego rozdziału sztuki malarskiej na dwie strony, to jest duchową i materyjalną.

Weźmy naprzód stronę duchową. Tu oprzemy się głównie na tem, cośmy już napomknęli, mówiąc o objawieniach ideału nieskończonego w ideałach cząstkowych, odpowiadających potrzebie pewnej epoki, pewnej cząstki rodzaju ludzkiego. W samej rzeczy, im głębiej w tę myśl wnikamy z wiarą w mądrość najwyższą, opiekującą się wszystkimi sprawami swojego stworzenia, tem jaśniej widzimy jej prawdziwość. Taka jest troskliwość Opatrzności o nas, taka logiczność następstwa w szeregu zjawisk, jakiegokolwiek są one rodzaju, że gdybyśmy zawsze byli w stanie przyjąć natchnienie w całej jego czystości niebieskiej, i zawsze mieli dobrą wolę pójść za jego popędem, nigdybyśmy nie zboczyli z drogi, wiodącej ku ostatniemu celowi przeznaczenia ludzkiego: zbliżalibyśmy się ku doskonałości po coraz lepszym, a zawsze dobrem, jak po szczeblach. Ale dzieło boskie nie stoi na fatalizmie. Człowiek używa swojej wolności w najbliższych nawet z Bogiem stosunkach, od jego rozsądku całkiem zależy wybór i użycie darów boskich, rozsądek tymczasem może być nieraz przyćmiony ziemskim zepsuciem, a natchnienie przez formę sfalszowane. Cóż więc artysta powinien robić, aby się ustrzegł tego grzechu? Czem powinien oczyścić pierś swoją, aby godnie mógł przyjąć zesłańca niebieskiego? Oto myślą poświęcenia się dobru narodowemu. W czem powinien szukać przewodnika przeciw obłędowi swojego zawodu? W sumieniu społeczeństwie. Cóż dzisiaj mówi sumienie społeczne Polakowi malarzowi? Przedewszystkiem „Bądź Polakiem“. Niech natchnienia twoje mają za cel dobro Polski, bo Polska jest pod opieką Opatrzności, a doświadcza ucisku; staraj się pojąć je i rozwinąć w całej ich czystości pierwotnej; niech wypłyną z twojej duszy polskimi, jak do niej wpłynęły; tym tylko sposobem dopełnisz twojego po-

śłannictwa artystowskiego w duchowej sferze polskiej narodowości; ten kierunek wytyka ci duchowa konieczność twojej sztuki.

Pozostaje nam teraz dowieść tej konieczności malarstwa polskiego, stroną jego materyjalną.

Przez materyjalną stronę malarstwa rozumiemy formę widomą, w jakiej nam malarz swoje natchnienie przedstawia — w szczególności zaś wszystko, co wchodzi do składu owej formy. Pod tym względem podział malarstwa na szkoły jest równie w przyrodzonym porządku rzeczy, jak pod względem poprzedzającym; jest nawet loiczną wynikłością tego, cośmy powiedzieli o narodowości pomysłów; myśl bowiem polska musi koniecznie wymagać dla siebie formy polskiej. Już ta jedna uwaga mogłaby stanąć za dowodzenie — ale, że nam idzie nie tyle o związek, co o jasność w rzeczy, dosyć obcej dla wielu czytelników, przeto pozwolimy sobie zatrzymać ich uwagę nad tym przedmiotem cokolwiek dłużej.

Ideał malarza, zstępując między ludzi po formę doczesną, musi, stosownie do istoty swojej, mieć ją złożoną albo z przyrody martwej, albo z żyjącej w ogólności, a w szczególności z ludzi — albo też z martwej i żyjącej, razem połączonych — nadto musi ją mieć rozjaśnioną odpowiedniem światłem. Oto są główne warunki każdej formy malarskiego pomysłu, czyli każdego malowidła. Zastosowane do myśli polskiej, wszystkie powinny być w ścisłej z nią harmonii, czyli polskie. Nad dwoma pierwszymi warunkami nie będziemy się rozwodzili. Potrzeba-ż kogo przekonywać, że powierzchnia ziemi polskiej ma cechy właściwe sobie, które ją wyszczególniają wśród innych okolic — że takowa różnica jest w drzewach, kwiatach, wodach, kształcie ich łożysk, w budowie gór, w mieszaninie wyżyn i dolin, w barwie lasów, stroju łąk, obliczu ról uprawnych, w próżni stepów nieobebrzanych — że ani piaski afrykańskie, ani puszcze Ameryki, ani lody Sybiru, ani góry Szwajcarskie nie złożą obrazu okolicy polskiej? Równie bez celu byłyby dowodzenia, że podobne cechy miejscowe ma po wielkiej części przyroda polska żyjąca,

a najwybitniejszy człowiek, Polak, a szczególnie Polak ludu w rysach oblicza, w składzie ciała, w jego ruchach, w swoim ubiorze, w całej postawie takim jest Polakiem, że dla oka, cokolwiek wprawnego, nie zastąpi go w obrazie polskim żaden inny krajowiec. Przystąpimy więc do trzeciego warunku, który jest niezbędnym dla sztuki malarzkiej, głównym wszelkiego jej utworu materiałem, jak na przykład dźwięk w utworach muzycznych, jego niemal życiem, a który także może i powinien być narodowym. Jest nim koloryt czyli światło. Wprawdzie podział światła nie da się ściśle zastosować do narodowości, na powierzchni ziemi będących. Na to się zgadzamy. Jednak z drugiej strony nic pewniejszego, że światło nie jest w stopniu równej mocy dla całej ziemi; podlega ono rozmaitym zmianom, stosownie do położenia rozmaitych stref ziemi, a nawet mniejszych jej okolic, względem słońca, stosownie do różnorodnych nieobliczonych przyczyn, leżących już to w powierzchni ziemskiej, już to w składzie atmosfery. Światło pod równikiem jest zapewne inne, jak w krajach podbiegunowych; niebo Anglii nie wygląda, jak niebo włoskie.

Kiedy znowu zastanowimy się, że takie światło, padając z nieba na odpowiednią sobie powierzchnię ziemi, powleka ją stosownym odbłaskiem, że ten jeszcze odbłask zmienia się według rozmaitych ziemskich przypadłości i w tych zmianach nadaje szczególny pozór przedmiotom, polewa barwy pokostem, który, będąc jednej mocy ze światłem, tworzy w nich przez to niezliczoną liczbę odcieni — przyznamy, że światło ziemskie jest nieskończenie rozmaite i nieskończenie jest rozmaity odbłask jego czyli koloryt ziemi. W tem jest źródło różnego kolorytu, oznaczającego różne szkoły. Ciężko zgrzeszyłby malarz przeciw prawdzie sztuki, któryby ten warunek lekceważył — a malarz polski powinien przede wszystkim przyjąć zasadę, że taki, właściwy sobie koloryt ma ziemia polska, że zatem schwycić go i przenieść na swój utwór musi, jeżeli pragnie utworzyć dzieło narodowe. Prawidło, służące pojedynczemu utworowi, służy równie całej szkole. Dla lepszego wyjaśnienia rzeczy o narodowości kolorytu zakończymy krótkiem porównaniem malarstwa do mu-

zyki, światła do dźwięku. Dźwięk dla sztuki muzycznej jest warunkiem tak głównym, jak światło dla malarzkiej; dźwięk, ogólnie wzięty jest jeden tylko, ten sam w całej przyrodzie, mimo to objawia się w nieskończoności tonów najodmienniejszych i tworzy niezliczone szkoły muzyczne. Jeżeli nie przytaczamy przykładów, nikt nas zapewne nie posądzi o trudność ich wynalezienia.

Narodowość zatem może odznaczać utwory malarzkie — i odznaczać je powinna w ich przedmiotach, w krajobrazach, w osobach, w tem nawet, co jest prawie nie ujęte, w świetle — ale, jak uchybienie któremukolwiek z warunków, powyżej roztrząśnionych, nie może być poczytane za grzech niedopuszczalny przeciw malarstwu narodowemu, tak dopełnienie, choćby wszystkich i najściślej, nie utworzy jeszcze szkoły, jakiej dziś Polska potrzebuje, gdyż wszystkie prawie stanowią dopiero mechaniczną stronę sztuki, wątpliwe ciało utworu. Czegóż potrzeba, ażeby utwór ożywił, aby sztuce nadać konieczność jej bytu, aby malarz wywiązał się ze świętego posłannictwa dla dobra ludu i pozyskał jego miłość? Oto potrzeba myśli i uczucia, które stanowią duszę wszelkiej sztuki narodowej, dopełniającej ściśle swojego przeznaczenia, myśli i uczucia swojego narodu i czasu. Dzisiaj taką myślą jest podniesienie ludu, takim uczuciem jest miłość ku niemu. Spraw Boże, aby młodzi nasi malarze uczyli nakoniec tę potrzebę, aby z tego źródła zaczęli przede wszystkim czerpać swoje natchnienia, ku temu przede wszystkim zwracać je celowi i naprawili swoją gorliwością zboczenie poprzedników. Dawno już prześcignęli ich poeci i muzycy, jakkolwiek nieznanych nazwisk. Ale mniejsza o rozgłos imienia, skoro osiągnęli coś ważniejszego od chwały, skoro ich pieśni i melodye w lud się wcieliły, skoro lud pokrzepia się niemi w ucisku, podsyca ogień polskich uczuć, żywi ducha rodzimego i kołysze swoją przyszłość. Malarze polscy, a przede wszystkim wy, malarze młodzi, posłuchajcie jeno tych śpiewów, jak one każdym wyrazem, każdym dźwiękiem błogosławią swoich twórców, jak wołają na was: A więc to nam nie pomożecie? Czyż Bóg dlatego natchnął was ognistym uczuciem piękności, abyście je marnotrawili w ślepej naśladownictwie wzorów cudzoziem-

skich, lub, co gorsza, zamieniali w narzędzie rzemieślnicze? Czyż wy nie część ludu polskiego? Czyście nic od niego nie wzięli i nic mu nie winni? Nie widzicie-ż jego niedoli? Nie czujecie potrzeby, ażeby żył, a żył szczęśliwym i wielkim? Do nas, bracia po natchnieniu i ojczyźnie! Wasza droga jeszcze pusta, wasze dzieło jeszcze nietknięte; czas je zacząć i iść razem z nami. A lud cały wtóruje temu wołaniu: Na was teraz kolej, malarze rodacy! — woła on. Przedstawcie oczom naszym Polskę ludową, jak ją sercem już czujemy i myślą widzimy; niech okiem jeszcze dotknijemy, cośmy już sercem ukochali. Wskrzęście nam całe życie ojczyzny, ożywcie każdą jej chwilę, ustrójcie każdą w urok tego światła, którego szafunek z nieba wam dany, odziejcie je w postacie, widome najtępszemu wzrokowi, bratnie najlichszemu z nas. Znajdziemy miejsce dla waszych tworów w najuboższej chatce, pomiędzy obrazami świętych; będą one dla starców ożywionymi wspomnieniami przeszłości — młodzież będzie na nie spoglądać, jak na niemyłne proroctwa przysłego, odrodzenia się w dawnym bycie narodowym — dzieciom za cacka będziemy je dawać i powtarzać: to my, lud polski. Takimi byliśmy, takimi wy być powinniście dla szczęścia i chwały ojczyzny! Zostaną one aniołami stróżami naszych rodzin, naszych zagród, tylko wejździe pomiędzy nas duchem i czuciem, tylko połączmy się bratnią myślą i miłością. Malarze, rola przed wami dziewczęca, źródło natchnień niewyczerpany, powołanie święte, jak religia, a nagroda nad wszelkie nagrody, bo wdzięczność i zbawienie ludu!

Taki głos wydobywa się z głębi Polski, taki my słyszymy, taki posłyszeli niektórzy z naszych malarzy. Są już widoczne tego dowody, nieliczne wprawdzie, ale dostateczne, aby pocieszyć naród tą myślą, że nie wszyscy widzą w sztuce proste jedynie rzemiosło opatrywania zwierzęcych potrzeb — dostateczne, abyśmy wierzyli, że się już zawiązała bujna przyszłość malarstwa polskiego, że wkrótce będziemy w potrzebie ogłaszać ludowi zasługi nowych nazwisk z uwielbieniem wdzięczności, w imieniu całego narodu. Gotując się do tak miłego obowiązku w przeszłości, nie możemy przenieść na siebie, abyśmy

nie złożyli holdu winnego przeszłości w osobie naszego Stachowicza. Nie znamy wprawdzie nic więcej, jak jego roboty w pałacu biskupów krakowskich — ale, któżkolwiek je widział, zgodzi się z nami, że mu sprawiedliwie przyznajemy jedno z najzaszczytniejszych miejsc pomiędzy polskimi malarzami. Zarzuty, jakieby można zrobić Stachowiczowi, jako artyście, osłabną znacznie, kiedy zważymy, że żył w czasach bardzo niewdzięcznych dla sztuki polskiej, że rozwinął swój talent bez żadnej zagranicznej nauki, przy znajomości bardzo szczupłej dziedzicznych arcydzieł, siłą własnego ducha, na własnej ziemi, pod bodźcem rodzinnych natchnień. Jakiegokolwiek ma wady pod względem wykonania, przebaczymy je dla tej myśli polskiej, patryotycznej, która stale kierowała skromnym jego pędzlem. Przyszły historyk malarstwa polskiego wywiąże się z długu narodowego, wyświecając cały zawód Stachowicza, a młodzi artyści mogą uważać go za jednego z przewodników, jak tylko zechcą być narodowymi. Do pośmiertnej czci mają prawo nie tylko ci, którym niebo dozwoliło dopełnić swoich zamiarów: godnymi są jej niekiedy zapaśnicy mniej szczęśliwi, złamani od przeciwnych losów, ludzie usiłowań bezskutecznych, talenta, zgasłe wprzód, nim zdołały dosięgnąć swego zenitu. Jednym z tych ludzi był Sosnowski. Dwa lata temu, jak ubolewaliśmy nad jego w pośrodku nas zgonem — a ubolewaliśmy dlatego najwięcej, żeśmy w nim widzieli niepospolite narodowe natchnienie, że natchnienie to w ciężkiej walce z przeciwnościami przeszło bez korzyści dla narodu, zostawując po sobie tylko ślady najpiękniejszych nadziei. Patrząc dzisiaj na improwizacje Sosnowskiego, zdaje się nam, że dostrzegamy samych zjawisk, szukających tylko szczęśliwej ręki, aby wyszły z pod niej w rzeczywistej postaci najpiękniejszych, najnarodowszych pomników. I znajdują — wierzymy temu więcej, niż przeczuciom, widzimy więcej niż przeczuciem, powstające już tu i owdzie zapowiedzi nowej narodowej chluby: na ten raz pozwolimy sobie wymienić Romana Postempskiego. Skromna jego dusza niech nam nie bierze za złe kroku, mogącego się wydać z pewnych względów za śmiałym. Niech tak mu przebaczy, jak przy-

szłość go usprawiedliwi, o czem bynajmniej nie wątpimy. Nadewszystko niechaj tych kilka słów przychylnych sobie nie kładzie na karb jedynie bliższych z nim stosunków i na stronność przyjaźni, jaką mamy dla niego i wobec wszystkich wyznajemy: korzyść jak z jednych, tak z drugiej zostaje dotąd całkiem na naszej stronie. One dały nam sposobność poznać w młodym ziomku artystę pełnego nadziei, pojmującego prawdziwe swoje powołanie, a w odpowiednich zdolnościach i przymiotach, jak umysłu, tak serca — dającego rękojmię, że spełni, co przyrzeka. Obecne położenie polityczne, które nam wszystkim cięży i stoi w poprzek wszelkiemu szlachetnemu usiłowaniu, nie dozwoliło dotąd Postempskiemu objawiać swojego natchnienia, jak tylko w pracach drobniejszych, interesu mniej powszechnego, nie odpowiadających potrzebie jego własnej duszy, nie dających dostatecznego wyobrażenia o istocie jego talentu. Wszakże energia artysty zaczyna przelamywać same okoliczności: Postemski zaczyna utwierdzać się na drodze, którą mu duch narodowy wytknął. Szeroko już dał się poznać Polsce: jego „Głowacki na czatach“ pełen różnostronnych zalet. Niebawnie ujrzemy Konarskiego w tej chwili, kiedy go wyprowadzają z więzienia na plac śmierci. Dzisiaj tyle tylko wolno nam powiedzieć o tej pracy; czekajmy z obszerniejszym sądem, aż przejdzie na własność pospolitą. Tymczasem dziękujemy przyjacielowi i artyście, że wzmianka o nim dała nam sposobność tak godnie zamknąć rzecz naszą o malarstwie polskim.

STANOWISKO POETÓW W SPOŁECZNOŚCI.¹

Zagadka poezyi ważniejsza jest dla społeczności, niżby się komu zdawało; tymczasem nieprzyjęcie jej jest prawie powszechne, przez tych nawet, którzy występują, jako szlachetni jej obrońcy. Jakkolwiek niejeden z nich naznacza jej wysokie stanowisko — mało kto odgaduje właściwe. Cóż dopiero powiedzieć o tych, którzy ją uważają za nic więcej, jak tylko za prostą rozrywkę ze strony poetów, za przyjemność urojoną, za przysmak, rzucony w war publiczności dla osłodzenia goryczy powszechnego życia, za bawidelko dla roztargnienia w zatrudnieniach poważnych, rodzaj wetów przy obfitej uczcie, rodzaj oduru na bezsennem łożu. Ale dla niektórych poezya nie ma i tej nawet wartości. Tacy zaprzeczają jej jakiegokolwiek użytku; napomykają o niej, jak o fraszce, nie godnej nawet uprzejmego spojrzenia, jak o dzieciństwie, ubliżającym dojrzałemu w rozumie mężowi. Inni nakoniec bez ogródki ją potępiają nie już jako nieużyteczną, ale wprost szkodliwą, i najsumienniejszy wyrokuja na jej wyklęcie z łona zdrowej społeczności. Niema żadnego między temi zdaniem, któregooby nie podzielali niekiedy wyżsi z innych względów mężowie, któregooby nie objawiali, chociaż pośrednio, całe narody.

Nic łatwiejszego, jak znaleźć w pewnych narodach pewne epoki zupełnego upadku poezyi, aż do jej umilknięcia grobowego, aż do wygaśnięcia ostatniej iskry poetycznej. Na sędziach że cała wina? Nie — wielka jej część leży na samych-że poetach. W niepojęciu przez nich poezyi leży główne źródło powszechnego jej niepojęcia, a stąd wszystkich mylnych zdań o niej. Sami to poeci są w znacznej

¹) Rzecz tę wydrukował „Rok 1848“ (Poznań), tom I, str. 95.

części sprawcami swojego poniżenia albo i nicości, kiedy podsuwają pod barwę poezji, co nią żadnym sposobem być nie może, kiedy niegodnym użytkiem kalają świętość jej istoty a przez to krzywią ją w jej powołaniu, podają w lekceważenie i pogardę, a niekiedy całkiem wygaszają. Wszakże z drugiej strony widzimy, że poezya mimo to wszystko wciąż odradza się, wzmacnia się, staje w całym blasku, robi swoje cuda i ciągnie dalej przez życie ludzkości swój łańcuch, pozornie tylko przerywany; świadczy sama o sobie, o swoim bycie, z zupełną niezależnością od opinii pewnych ludzi, pewnych czasów, jako twór nieziemskiego początku, rosnący i trwający niezłomną potęgą.

Co dotąd powiedziałem, dostatecznie mię usprawiedliwia z zamiaru zwrócenia większej, niż dotąd dawano, bacności na stanowisko, jakie poezya powinna zajmować w moralnem życiu społeczeństwa. Od poetów głównie chciałbym zostać wysłuchanym i pojętym: co jest poza nimi, podrzędną w tej sprawie, bierną, niby gra rolę. Niech tylko poeci będą takimi, jak być powinni; nie do nich należy troskać się, czy znajdzie się, lub się nie znajdzie ktoś, coby ich ocenił i skorzystał: nie oni będą odpowiadać za swoje niepowodzenie.

Zagadnienie, leżące przede mną, jest ważne, zacepione o mnóstwo innych zagadnień. Rozwiązanie jego obszerne, dostateczne pod każdym względem, pociągnęłoby może za sobą roztrząśnienie całego systemu moralnego społeczeństwa: tego nie przedsięwzięję, na to się nie odważam. Nie chcę ja tworzyć wykończonego dzieła o poezji, nie porywam się na systematyczny kodeks dla poetów; podobnej pracy niktby nie dokonał, a ja jeszcze mniej, jak ktokolwiek. Dla mnie dosyć będzie zapisać tu kilka myśli ważniejszych i prawdziwych mojem zdaniem — przyjąć poetom w pomoc kilka radami szczeremi. Wszakże, i tak ograniczony, nie mógłbym przedstawić mojego przedmiotu z pewną gruntownością i jasnością, z pewnym porządkiem, gdybym nie zapuścił chociaż ogólnego spojrzenia w samą głębią istoty wszelkiego społeczeństwa, gdybym nie objął chociaż ogólnem spojrzeniem jego całości, i to jedynie ze stanowiska, jakie mi naznacza cel

wnili go o nalezieniu szaserów do spisku, powierza się oficerowi oddziału, który bierze na siebie eskortowanie go niby i obronę przeciw Moskałom, a tymczasem zaprowadza do carewicza, co bombardyerzy pocziwi spostrzegli dopiero wtedy, kiedy pułkownik Turno przybył do nich z czułem podziękowaniem od księcia, że w samą porę przyprowadzili mu działą. W rozpaczy Nieszokoć i Chajęcki chcieli sobie życie odebrać, zwłaszcza, że żołnierze i podoficerowie czynili im gorzkie, poniekąd słuszne, wyrzuty za spóźnienie tej wyprawy. Odparli jednak myśl samobójstwa tem postanowieniem, że na przypadek, gdyby w. książę rozkazał atakować miasto, obróćą działą przeciw niemu. Oto wyjaśnienie, dlaczego Wysocki nie miał tych dział, jak to było w planie.

Połączenie się z Moskałami strzelców konnych, których tu widzimy już w czynności przeciw powstaniu, było jednym z najsmutniejszych wypadków tej nocy, jednym z najboleśniejszych dla nas ciosów, tem boleśniejszym, że niespodziewanym. Związkowi liczyli na ich współdziałanie, Konstanty był dla nich dosyć zimnym, jak świadczy w swoim piśmie Wł. Zamoyski; niedawno jeszcze dowodził nimi Seweryn Krzyżanowski, najwydatniejsza postać w związku Towarzystwa Patriotycznego — wszystko to kazało się spodziewać po nich czego innego, jak wystąpienia przeciw rodakom w obronie rządu moskiewskiego. — Pułk ten mieścił się w koszarach Mierowskich. Około godziny ósmej, kiedy ruch powstania objawił się już niedwuznacznie, kapitan Trębicki, brat generała a jeden z adjutantów polskich carewicza, z własnego natchnienia pospieszył do ich koszar, zgromadził cały pułk, wyjąwszy jeden oddział, odbywający służbę patrolu na Saskim placu, i zaprowadził go do w. księcia. — W. książę uradował się nadzwyczajnie tą niespodzianką, która mu dostarczała broni polskiej przeciwko Polakom. Oświadczył im, że polega na ich honorze, na ich wierności, że winien im wdzięczność, zapewniał, że o tym szlachetnym postępku cesarz uwiadomiony będzie i t. p., a kiedy te wszystkie oświadczenia podnieśli jeszcze wyżej Kurnatowski, Krasieńscy Wincenty i Izydor, Zielonka, Skarżyński, pułk ten, prawdziwie nieszczęśliwy, zmie-

nił się całkiem w narzędzie czynne przeciw powstaniu, w narzędzie zacięte, bo gotów był więcej, niż jazda moskiewska, przelecieć galopem Warszawę i strącić „ten bunt“. Wykonanie tego rozpoczęło się pod dowództwem pułkownika Turno, także jednego z adjutantów carewicza, który zajął z patrolem służbowym stanowisko na Saskim placu.

Wróćmy teraz do wątku rozwijającego się powstania na innych punktach, w planie wytkniętych, i do chwili, w której pożar na Solcu miał dać hasło.

Uderzyła godzina szósta na miejskich zegarach — pożaru na Solcu nie widać. Uprywiają minuty, kwadranse, liczone niecierpliwie przez związkowych w tem oczekiwaniu zwątpienie zaczęło wielu ogarniać. „Dzisiaj, mówili między sobą, nic już z tego nie będzie“. Wybiła godzina siódma — i jeszcze wszystko spokojne. I jeszcze pół godziny przechodzi w oczekiwaniu. Aż nagle rozlega się po mieście wiadomość o walce w Łazienkach i Belwederze. — Na tę wieść kilka ulic zagrzmiało okrzykiem „do bronii!“ — na wielu punktach ozwały się bębny, Warszawa budziła się — powstanie zapukało do jej serca. Związkowi chwytają za broń. — Ale w tej chwili i Moskale odpowiadają na wyzyw alarmu. W koszarach gwardyi wołyńskiej Czetwertyński wyprowadza szkołę bombardyerów z pośród Rosyan, a z Belwederu przylatuje do rożką jakiś wyższy oficer moskiewski, każe uderzyć w bębny, woła o ludzi, zdalnych do armat — Wołyńce uzbrajają się, szykują się i stają, gotowi uderzyć na stanowisko, które im naznaczono na przypadek alarmu, a tem stanowiskiem dla Wołyńców były place przed arsenałem i giełdą.

W koszarach Aleksandryjskich gwardya litewska, postrzegłszy ruch niezwykle między Polakami, wychodzi na dziedziniec uzbrojona i uszykowana; czeka tylko na swego dowódcę, Engelmanna, który był na ten czas nieobecny, aby się udać na plac Marsowy, swoje stanowisko alarmowe. Nie rozbrojeni w salach, jak plan nakazywał, mogli być rozbrojeni jeszcze na dziedzińcu przez grenadyerów, chociaż z większą trudnością, a nawet może z rozlewem krwi, ale kapitan służbowy Łękiewicz, nie

będący w związku, staje z dobytą szpadą w bramie koszar polskich i zabrania wychodzić żołnierzom, składając się tem, że niema na to rozkazu. Nadbiega podpułkownik grenadyerów Kolbersz i równie, jak Łękiewicz, chce oczekiwać rozkazów, a przynajmniej generała Żymirskiego. Pod ten czas generał Lewicki, gubernator, wpada do koszar i wyprowadza gwardyę litewską na plac Marsowy. Związkowi, po długim sporze z Łękiewiczem i Kolberszem, wyprowadzają wreszcie grenadyerów na dziedziniec; Kiekiernicki, jak mu zlecono, bierze dwie kompanie i udaje się z niemi na zajęcie Pragi, co wkrótce dokonywa — ale reszta, większa, zatrzymana jest jeszcze przybyciem generała Żymirskiego, który, postrzegłszy na placu dwie kompanie, gromi za to oficerów, równie, jak za rozdanie ładunków — każe zsypać proch z panewek i daje rozkaz udania się za sobą na plac Marsowy, stanowisko alarmowe dla grenadyerów, jak dla gwardyi litewskiej. Żymirski miał być wtajemniczony przez Paszkowicza, niektórzy więc oficerowie związkowi sądzili, że działa w duchu powstania, a co teraz robi, to tylko dlatego, aby się nie skompromitować przed czasem; inni, wiedzeni lepszym przecuciem, odłamali swoje kompanie od kolumny, jak tylko przeszły bramę koszar. Tym sposobem Czechowski, Łaski, Klemensowski, Roguski, Bortnowski i Bortkiewicz ocalili kompanie 9-tą, 10-tą, 11-tą, 12-tą, i 2-gą wołyńską, któremi dowodzili, i przez Fawory, Zdroje, ulicę Zakroczymską udali się do arsenału. Nad Zbrojami spotkali się już z pikietami Kiekiernickiego, który zajął Pragę i oba mosty. Żymirski z innemi kompaniami stał jakiś czas na placu Broni, obserwując niby gwardyę litewską, a wkońcu zaprowadził je do wgo księcia.

W koszarach Sapieżyńskich pułk czwarty przeszedł także przez walkę ze swoim pułkownikiem Bogusławskim. Względę w. księcia dla tego pułku a stąd robione mu przymówki, rozbudziły tylko jego patriotyzm. Żołnierze, jak oficerowie, niczego nie pragnęli, jak chwili najrychlejszego powstania. Gdy się ta chwila zbliżała, Przeradzki i Kosicki rozdali żołnierzom ładunki, poczem Wyszkowski i Święcicki wyprowadzili je z koszar, gdy w bramie zaszedł im drogę Bogusławski. Opór jego był da-

remny — rozbił się o energię związkowych. Niewiele, a byłby zginął. — Skończyło się na tem, że go zwalono na ziemię, a pułk ruszył dalej. Dowództwo nad nim objął kapitan Roszlakowski i przez ulicę Franciszkańską zaprowadził pod arsenał, na sam czas rozpoczynającej się tam walki.

Przy arsenale były w owej chwili dwie tylko kompanie piątego liniowego. Jedna z nich, dowodzona przez Czarneckiego, stała na ulicy Przejazd, między pałacem Mostowskich a koszarami gwardyi artyleryi konnej — druga, pod Lipowskim, z przeciwnej strony, między baryerami rajtshuli artyleryi a małym placem przy ulicy Nalewki. Odtąd działanie ich ograniczało się na chwytaniu przez małe oddziały, wysunięte naprzód, oficerów rosyjskich, przemyskających się tą stroną. Tak zostali ujęci generałowie Ksakov i Engelmann, dowódcy dwóch pułków pieszych moskiewskich, oprócz nich kilkunastu oficerów niższego stopnia. Osadzono wszystkich na odwachu przy arsenale.

Zapalono wreszcie dom na Nalewkach jako drugie hasło powstania.

Wtem pokazali się Moskale. Byli to Wołyńce. Podzieleni na dwie części, zbliżali się dwoma ulicami ku arsenałowi, mając działa na przodzie. — Grenadyerzy Lipowskiego, jak tylko ich spostrzegli, przyjęli ich ogniem tak rześystym, że zaraz padło ich kilkudziesięciu. Nie lepiej powiodło się drugiemu batalionowi, który przed pułkownikiem Owandrem przybywał przez mały plac za ogrodem Krasieńskich. Przybyła właśnie kompania 4-go pułku z Roszlakowskim i wzmocniła kompanię Lipowskiego. Rozpoczęło się strzelanie na bardzo krótko; kiedy Moskale odsłaniali działa, nasi rzucili się z bagnetami, Porębski, sierżant z 4-go pułku, zszedł bagnetem z konia komendanta artyleryi, Wołyńcy pierzchli w nieładzie, zatrzymali się na chwilę o kilkanaście kroków, zabrali swoje trupy i znikli. — Było to pierwsze i ostatnie w tych dniach starcie się z wojskiem rosyjskiem.

Arsenał został już stanowczo w naszym posiadaniu.

Wtedy zginął także generał polski Blumer. — Przybył on pod arsenał razem z Wołyńcami w zamiarze przemó-

wienia do powstańców. Schwytany i prowadzony na odwach, usiłował rozbrajać żołnierzy. Odpowiedziano mu strzałami karabinów. Dwie tylko kule trafiły, ale żołnierze mówili, że miał tyle ran w głowie i sercu, ile niesprawiedliwych wyroków podpisał, stosując się do woli carewicza. Jednocześnie prawie Gresser, adjutant Konstantego, przemyskał się z jednym za sobą kozakiem. Zatrzymano go przed pałacem Mostowskich, ale gdy zażądał w imieniu Konstantego, aby mu powiedziano „kto tu dowodzi?“ — posypał się grad kul, który zwałił go z konia. Mniej szczęśliwy był kozak; chciał się wymknąć, w lot konia trafiła go kula — koń wysunął się z pod niego i popędził dalej, a on został na bruku bez życia.

Patrzałem na to. Był to jakiś cywilny, wyglądający na mieszczanina, którego strzał tak był celny; a widziałem to dobrze, bo stał o kilka kroków ode mnie.

Właśnie tylko co przybyliśmy pod arsenał ze szkołą podchorążych, a z innych stron nadeszły grenadyery gwardyi i dwie kompanie pułku trzeciego.

Ważna to była chwila, wydatna w dziejach tej nocy. Najgłówniejsi naczelnicy związku znaleźli się razem. Obdzielono się nawzajem wiadomościami, złożono naradę. Stan rzeczy nie był pomyślny, nie poszło według planu — zostawało wiele, bardzo wiele do zrobienia, a przeszkody ogromne. Nie tracono jednak ani odwagi, ani wiary w dobry koniec tego ruchu; postanowiono utwierdzić się w tym punkcie, bronić się do upadłego, a przedewszystkiem utrzymać się w posiadaniu oręża i pieniędzy, to jest arsenału i banku.

Dopełniając poprzednie umocnienie arsenału i ażeby przedrzeć cokolwiek wzrastający natłok, Łaski postawił pod pałacem Mostowskich swoich grenadyerów, i wznieśiono barykadę z działami, wymierzonymi na ulicę Dziką. Sprowadził je Feliks Nowosielski, podporucznik z batalionu saperów, ze szkoły artyleryi, do której był przyłączony oficer inspekcji. Nie było koni, ni czasu, szukać ich, więc podoficerowie szkoły zatoczyli je swojemi rękami aż pod arsenał — podoficer Korzeniowski sprowadził ładunki z laboratorium.

W tymże czasie występuje na scenę działania batalion

saperów. Wyruszył on ze swoich koszar i zmierzał ku arsenałowi — na Muranowie spotkał się z czołem kolumny Owandra, porażonej pod arsenałem. Dwie te kolumny przeciwnie nie mogły się minąć, weszły z sobą w układy i przepuściły się wzajemnie. Wołyńce udali się na plac broni, gdzie się połączyli z gwardyą litewską, osadziwszy drugim batalionem swoje koszary i przyległe domki — sapersy zaś ku arsenałowi. I oni musieli stoczyć walkę ze swoim dowódcą Majkowskim na placu broni. Chciał on zawrócić ich do koszar; napróżno oficerowie batalionu: Kraśnicki, Gawroński, Kołtunowski, Malczewski, Dernez przekładali mu że „muszą połączyć się z narodem“; on obstawał przy swoim, aż porucznik Malczewski strzelił do niego z pistoletu — a kula, która świsnęła mu koło uszu, obudziła w nim czucie polskie, w którym już wytrwał przez cały ciąg późniejszej kampanii — i szczerze, według świadectwa Mochnackiego.

Batalion ten był na równi z pułkiem czwartym ulubiony Konstantemu, i mocno go przeraził swoim przystąpieniem do rewolucji.

Dotąd powstanie wzrasta wzmagającą się siłą wojskową, ma oblicze żołnierskie. Ale to nie wystarcza do jego tryumfu: przychodzi nareszcie chwila, gdzie się lud warszawski poruszył i wystąpił na pole walki, a tem wystąpieniem zmienia oblicze ruchu, ożywia go duchem narodowym, nadaje mu olbrzymią postać powstania rzeczywiste narodowego. Ruch ten objawia się po raz pierwszy na dwóch szczególniejszych punktach: na Krakowskiem Przedmieściu i na Starem Mieście; na pierwszym punkcie zbudzili go wojskowi, na drugim cywilni. Zaczęło się od Teatru Rozmaitości. Zajączkowski, komendant odwachu na Krakowskiem Przedmieściu, z Józefem Dobrowolskim wpadają na teatr z dobytymi szpadami, wołając: „Panowie! W najlepsze się bawicie, kiedy Moskale naszych w pień wycinają“. Można sobie w części wyobrazić skutek podobnego okrzyku na publiczności, zajętej komedią. Aktorka, będąca wówczas na scenie, miała zemdleć. Jakkolwiek było, to pewna, że publiczność przerażona rozpierzchła się natychmiast na wszystkie strony i zaniósła popłoch w różne punkta stolicy. — Zajączkow-

ski i Dobrowolski, zabrawszy wartę, pospieszili dalej z okrzykami: „do broni!“ Tak przebiegli Podwale, Senatorską i Miodową ulicę, i z młodym Żandrem, oficerem rosyjskim, schwytanym przy kolumnie Zygmunta, stanęli przy arsenałach, w samą porę starcia się z Wołyńcami. Ale ich przechód przeraził tylko pewną warstwę ludności.

Dają tu miejsce dosłownemu opowiadaniu Mochnackiego, jako naocznego świadka tego, co się działo w tej dzielnicy.

Wszędzie, powiada on, z trzaskiem zamykano sklepy, domy. Latarnie pogasły. Jedna część mieszkańców kryła się przed rozruchem, którego wypadki mogły być tak wątpliwe, druga patrzyła nań z okien, z góry. Śmielsi, ciekawsi wybiegali na ulicę i zbierali tysiące bajecznych wieści. Wogóle jednak miasto obróciło się zaraz w pustynię; tylko lud prosty, rzemieślnicy, szewcy, krawcy, kowale, ślusarze od razu, o co rzecz idzie, zrozumieli. Na Starem Mieście, pośród tradycyi 94-go roku, na tym samym klasycznym bruku, gdzie za Kościuszki tylu zdrajców wisiało, Ksawery Bronikowski, Józef Kozłowski, Włodzimierz Kormański, Anastazy Dunin, Michał Dębiński, Ludwik Żukowski i ja oczekiwaliśmy sygnału do działania z tą samą niecierpliwością, która dręczyła spiskowych na innych punktach stolicy. — Godzina siódma już wybila, a nie było końca próżnemu oczekiwaniu. Bronikowski poszedł na zwiady ku Nowemu Światu. Za pół godziny przywiózł najosobliwszą wiadomość: że Konstanty teraz dopiero wracał do Belwederu z teatru francuskiego. Coraz niespokojniejsi o los powstania, usłyszawszy z dala głos bębna, wychodzimy na rynek, krzycząc: „do broni! do broni!“ Właśnie nadciągały dwie kompanie ósmego liniowego pułku z pobliskich koszar (Marcinkanek). Jeden z oficerów, zapytany przez nas: „Czy czas już działać?“ — odpowiedział z udanem zadziwieniem: „O jakim działaniu panowie mówicie? My tu jesteśmy, dodał, bo tu jest nasz plac alarmowy“. Ta odpowiedź, pokazująca wygórowaną ostrożność, miała swe słuszne powody, bo, jeśliby się rewolucja nie udała, mniej skompromitowani oficerowie mieliby zawsze w rezerwie ów

rozkaz patrolowy, który ich wyjście z koszar usprawiedliwiał przed w. księciem. Po chwili jednak krzyki z Podwala, z Piwnej ulicy i widok żołnierzy zwabiły na rynek mnóstwo mieszkańców Starego Miasta. Przemawialiśmy do nich, jakśmy mogli. Gdy się zebrały cokolwiek większe tłumy, ruszyliśmy z nimi przez ulice Senatorską i Miodową ku arsenałowi. Obydwie kompanie postępowały za nami. Na Senatorskiej zatrzymały się i zajęły dziedziniec Prymasowskiego pałacu. O paręset kroków od arsenału na ulicy Długiej już była wielka masa, coraz więcej łączyło się ludu z kolumną, którą-śmy z sobą przyprowadzili ze Starego Miasta, wszędzie brzmiały rewolucyjne odgłosy. W tym właśnie momencie nasi dali ognia od arsenału do nacierającej wolińskiej gwardyi. Wrażenie tych pierwszych strzałów było tak silne, że, co tylko przybyło z nami, co nadeszło z Podwala i z Nowego Miasta, pierzchnęło we mgnieniu oka, i nie wiem, gdzie się podziało, tak, że tylko sami spiskowi pozostali na ulicy. Ten chwilowy popłoch przeszedł, myśmy znowu pobiegli na Stare Miasto i lud znowu zaczął się zgromadzać, rozszerzając z pierwszego przerażenia wieść, „że Moskale naszych wyrzynają“, co niemało pomogło do podburzenia pospólstwa, ugrupowania go w różnych punktach stolicy i ściągnięcia z najodleglejszych przedmieść ku środkowi.

Według planu broń, znajdująca się w arsenałach, miała pozostać nietkniętą. Nie było potrzeby uzbrajać ludu, gdyby Moskale byli rozbrojeni, ale, że się inaczej stało, że nieprzyjaciół przeważał już powstańców swoją liczbą, uzbrojenie ludności było koniecznem. Wzowano wielu rzemieślników do wysadzenia z zawias ogromnych drzwi dębowych arsenału. Gdy się ta robota zanadto przedłużała, Nowosielski, zniecierpliwiony, kazał wylamać kraty w oknach. Przez jakiś czas wynoszono oknami karabiny, pistolety, pałasze. Wysadzono wreszcie i bramę. Ale wszystka broń palna nie miała skalek; Stoltzmann dopiero wskazał miejsce kryjome, gdzie skałki były złożone. Odtąd zaczyna się uzbrojenie ludu, nielicznego z początku, ale w godzinę cisnącego się już niepoliczonym tłumem. W godzinę później wszystkie już ulice mię-

dzy arsenałem a Pragę roily się zbrojnemi gromadami ludu.

Nie spuszczając się na tę nową siłę, wzmocniono punkt arsenału. Znaleziono w arsenałach trzy działa; mieliśmy więc z dwoma, przyprowadzonymi wprzód ze szkoły artylerji, dział pięć. Rozstawiono je w ten sposób: dwa działa pod komendą Grabowskiego broniły przystępu od Muranowa, dwa drugie pod komendą Waligórskiego za barykadą, na prędce zbudowaną z cegieł, ostrzeliwały plac przed pałacem Mostowskich, piąte, skierowane na Leszno, było powierzone Nowosielskiemu. Brakło amunicji, ale znaleziono trochę prochu w arsenałach: podoficerowie ze szkoły artylerji wzięli się natychmiast do robienia ładunków. Nie było rasy: grenadyery i sapery porzucali natychmiast rękawice, chociaż zimno było dokuczliwe, i z pomocą tych rękawic poszła robota ładunków. Kule stosami leżały przy arsenałach, chodziło tylko o wybór ich, odpowiedni kalibrowi dział, któreśmy mieli.

Nie wszystkie jednak punkta, ułatwiające nieprzyjacielowi przystęp do nas, były obwarowane, jak tego wymagało działanie, ale była do rozporządzenia, bezczynna dotąd, główna bateria garnizonu, licząca dział ośm, w koszarach artylerji gwardyi. Dowodził nią pułkownik Chorzewski. Kiedy Nieszokoć oddalił się z bombardyerami po działa, stojące w obozie saperów, porucznik Czetwertyński i Gajewski Wojciech, podoficer, nalegali na Chorzewskiego, aby przynajmniej tymczasem wysłał kogoś na Pragę po amunicję, złożoną tam w prochowni. Na to Chorzewski odpowiedział ostrem sfukaniem Gajewskiego. Uległ dopiero w części, kiedy przybył Nowosielski z odwiezionym pistoletem w rękę, zostawiając mu do wyboru śmierć albo współdziałanie w sprawie narodu. Wskutek tego Czetwertyński z podoficerem Szadurskim, wzięwszy trzy furgony i jaszczyk, eskortowani przez pluton 4-go pułku pod komendą Przeradzkiego, udali się na Pragę. Pomnażał eskortę lud, wzywany do tego po drodze, z powodu fałszywych pogłosek, że kirysyery przecinają od Solca komunikację między Warszawą, a Pragę. Zatrzymano się przez chwilę na Krakowskim Przedmieściu dla strzelców konnych, którzy zaczęli patrol saperów od

Saskiego Placu, ale wkrótce musieli się cofnąć przed ogniem saperów — poczem wyprawa przybyła na Pragę, którą, jak widzieliśmy wyżej, zajął Kiekiernicki. W jego też mocy była i prochownia, z której wydał natychmiast Czetwertyńskiemu żadaną amunicję. W godzinę po wyruszeniu z koszar artylerji wrócił do nich Czetwertyński z zapasem ładunków, rozdawszy część ich po drodze uzbrojonemu ludowi. Chorzewski jeszcze się wahał, jeszcze się wymawiał tem, że bez osłony nie może wyprowadzać dział na ulicę. Sprowadzono więc z pod arsenału kompanię grenadyerów; ale, gdy zwłóczył dalej pod pozorem, że oczekuje wyższych rozkazów, rada oficerów piechoty postanowiła położyć koniec tej zwłoce śmiercią jego. Ocalił go Czetwertyński, przedstawiając im, że oficer ten może jeszcze być pożyteczny sprawie, że nie wymawia się od udziału w rewolucji, tylko oczekuje jakichś wyższych rozkazów. Kiedy nareszcie Onufry Korzeniowski przemówił do niego wobec wszystkich, że odtąd bez wyraźnej zdrady nie może zatrzymywać dział w koszarach, rad nie rad kazał wystąpić baterji. Jakoż około północy wyruszyła ona z koszar i rozłożyła się w tych stanowiskach: Orłowski z pierwszym plutonem skierował działa swoje na Nalewki i Nowolipie; Ekielski i Łabanowski ze czterema działami stanęli na placu Krasińskich, z tych jedno obrócone wylotem na ulicę Freta, drugie na Miodową, a dwa pod teatrem; Hauke zajął Tłumackie, wymierzając jedno działo z Bielańskiej do Saskiego Placu, a drugie na Leszno skąd zeszedł był Nowosielski. Tym sposobem wypełnione zostały przerwy obronnej linii wokoło stanowiska, zajmowanego przez powstańców, zabezpieczona podstawa działania. O to też głównie w tej chwili chodziło, zaczętem nadejdzie pora zaczepnych ruchów. Przez ten czas liczne tylko patrole wysyłano w różnych kierunkach. Ze strony Rosyan nie czyniono także żadnych kroków naprzód. Kawalerya ich z w. księciem od rogatek Mokotowskich, pułki piesze, wołyński i litewski przy placu Marsowym stały spokojnie. Tylko strzelcy konni podsuwali się ciągle i docierali do Saskiego Placu, ale za każdą razą zmuszeni byli cofać się przed ogniem saperów, którym towarzyszył uzbrojony i gwarny tłum ludu.

Tę chwilę skupienia się dwóch sił przeciwnych odznaczyły dwa smutne ustępy: śmierć generałów Siemiątkowskiego i Potockiego. Siemiątkowski grał właśnie w wista z pułkownikiem Skrzyneckim, kiedy się objawił w mieście ruch i zgiełk powstania, i zdaje się, nie miał chęci opierania się jemu; ale Skrzynecki przedstawił mu, że jako szef sztabu ma obowiązek udać się tam, gdzie osoba carewicza jest zagrożona. Mimo tę radę Siemiątkowski waha się, ale kiedy Skrzynecki odezwał się: „Co powiesz, generale, w. księciu jutro, czem się usprawiedliwisz, kiedy on to wszystko uspokoï? Allez, dodaj, et dites à Monseigneur, que je suis corps et âme à lui“. Siemiątkowski wsiadł na konia, a ledwo zrobił kilkadziesiąt kroków, trafił na oddział saperów i kompanię grenadyerów, a gdy przemówił do nich ostro, z góry, w tonie generała posłusznego w. księciu, odpowiedział mu śmiertelnym strzałem Baliński, podoficer z ósmej kompanii grenadyerów gwardji. Tak Siemiątkowski padł trupem na Saskim Placu, a Skrzynecki wymknął się z Warszawy i wrócił do Pułtusza, gdzie pułk jego stał garnizonem. We trzy miesiące został naczelnym wodzem powstańców.

Smutniejszy jeszcze, bo więcej zasłużony, jest koniec Stanisława Potockiego.

Widzieliśmy go, jak pierwszy wystąpił czynnie przeciwko powstaniu i najwięcej przyłożył się do zamięszania go w samem zaczęciu przez zbalamucenie kilku kompanii, które miały wesprzeć szkołę podchorążych, jak odepchnął błagania, zakłęcia w imię ojczyzny, aby stanął na czele jej sprawy; ale na tem nie przestał. Zły duch, który go opętał, bo niczem innem nie da się wytłumaczyć to obłąkanie, ten upór na drodze niepolskiej starca, otoczonego dotąd miłością i czcią rodaków, zły ten duch trzymał go i prowadził aż do ostatniej jego chwili; natchnął go radą, którą przez Władysława Zamoyskiego przesłał w. księciu, aby niezwłocznie puścił swoją jazdę na miasto i jej kopytami stratował powstanie, nie wzmocnione jeszcze, opędził go po całem mieście, nareszcie przyprowadził w okolicę arsenału. Stała w tem miejscu kompania grenadyerów 5-go pułku liniowego pod dowódczą Lipowskim; Potocki przemawia do żołnierzy, usiłuje na-

wrócić ich, w końcu rozkazuje Lipowskiemu, aby ze swoją kompanią szedł za nim do Belwederu. Widząc to, kilku cywilnych, przybiegają do Zaliwskiego, który znajdował się wtedy niedaleko, na Tłumackiem, i powiadają mu, że Potocki rozbraja żołnierzy. „To mu palcie w łeb“ odpowiedział Zaliwski. Owi cywilni spieszą na powrót, otaczają Potockiego, zrywają pióro z jego kapelusza, on się broni szpadą, ale ciśnięty coraz większym tłumem, kiedy mu i szpadę złamano, zostaje obalony na ziemię, zbity, skrwawiony; nadbiegał właśnie oddział żandarmów i byłby go może uratował, ale kilka strzałów z szeregu grenadierów na śmierć go zraniły. Zaniesiony do pałacu Zamoyskich, umarł w kilkanaście godzin.

Były to ostatnie prawie krwawe ciosy broniącej się rewolucyi.

Oprócz tych kilku chwil, gdzie groźna sprawiedliwość ludu zmuszoną była zrumienić swój miecz krwią synów, śmiących jej stawić czoło hardego oporu wobec rozwiniętej chorągwi narodowej, ogół tej nocy przedstawiał obraz, który podnosił serce i ducha nad wszelką obawę o przyszłość narodu, przeniósł je w chwile wielkości i swobody, znane przodkom naszym, napelniał uczuciami życia i radości, jakie może zrodzić tylko spełniona czysta ofiara dla narodu, tylko zmartwychwstanie. Miałem czas i swobodę przypatrzeć się jemu. Z przybyciem naszym pod arsenał, zadanie moje główne, jak na tę chwilę, było dopełnione; główny obowiązek prowadzenia dalszej walki spoczął na wojskowych, cywilnym nie pozostawało, jak złąć się z ludem i nastrajać moralną jego stronę do tonu wypadków, zaszyłych i mających nastąpić. Złożyłem w arsenale mój karabin, zachowałem sobie na pamiątkę jeden z ładunków, danych mi w Łazienkach, zaopatrzyłem się w parę pistoletów i szablę, zawiesiłem szablę na ręczniku, którym byłem opasany po płaszczu, zatknąłem pistolety za pas, zawiązałem w papier garść prochu i kilka kulek, któremi opatrzył mnie jeden podoficer, i tak rzuciłem się w tłum ludu. Nie czułem najmniejszego znużenia, najmniejszej potrzeby snu, tylko głód, skutek konieczny takiego ruchu ciała przez godzin kilka, cokolwiek mi dokuczał. Ale w podobnej porze i w podobnem wzburzeniu

miasta, kiedy wszystko prawie było zamknięte, a co otwarte, zapchane było tłumem, przez który nie podobna się przedrzeć, mogłem znaleźć wódkę, nie miałem nadziei posilić się choćby kawałkiem chleba. Wtem spotkałem się z Robertem Chmielowskim i Tomaszem Malinowskim, których znałem od kilku tygodni, jako należących do naszej roboty, a tej nocy czynnych w środku miasta. We trzech trafiliśmy na dobrą radę: wpadliśmy do Nejmanowej przy Długiej ulicy, gdzie byłem bliżej znany; było już około północy, ale gospodyni, dobra Polka, nie zamknęła swej gospody i pożywiła nas, czem mogła. — Potem znowu sam zostałem, bo miałem potrzebę dowiedzieć się na chwilę do mego mieszkania, ale, że, jak powiedziałem, nie czułem znużenia, wróciłem znowu na scenę publiczną.

Noc ta miała oblicze zasepione. Niebo powleczone mgłą, jakby jedną chmurą. Ale w tych ramach ponurych obraz, pełen ruchu, wrzawy, życia, zapалу, który ogrzewał, oświecał, ożywiał. Cała okolica arsenału i pobliskie place oświecone ogniskami; żołnierze, jedni przy ogniskach i broń w kozłach, inni, uszykowani pod bronią; patrole w różnych kierunkach, jedne wracają, drugie wychodzą. Twarze poważne, surowe, wyraz uroczysty, jak przystało w chwilach podobnej ofiary, a opromienione blaskiem swobody, tłumionej przez lata, blaskiem wiary w świętość sprawy. Dokoła tego obrazu ulice, jak promienie jego, rojące się tłumami zbrojnego ludu, w ruchu nieustannym wrące gwarem głuchym i groźnym, jak huczenie nadchodzącej burzy; kiedy niekiedy to tu, to tam strzał pojedynczy, lub grzmot ognia plutonowego, ile razy strzelcy konni bliżej się podsunęli, a w tem wszystkiem ład, zgodne działanie, karność wojska wyćwiczonego, jak żeby jedna wola kierująca uosobiona była w jednym naczelniku, chociaż w rzeczywistości na każdym punkcie każdy dowódzca oddziału w sobie samym szukał rady, dowodził i rozkazywał niezawisłe. A ten dziwny, jedyny widok był tylko owocem tego samego zapалу dla świętego celu, tego samego zaparcia siebie w poświęceniu się dla wszystkich.

W tem miejscu zdaje mi się właściwem dotknąć pewnych zarzutów, które spotykają związkowych, a mianowicie, że nie ujeli w swoją rękę najwyższej władzy nad

narodem powstającym, czyli, że nie wystąpili jako rząd rewolucyjny, powtórę, że przez tę noc trzymali się więcej odpornie, jak zaczepnie. Mojem zdaniem, sąd, wolny od wszelkich teorii a sumienny w ocenianiu ze względem na rzeczywistość, uniewinni ich, jak w jednym, tak w drugim razie. W ówczesnym stanie stron obu najwłaściwszem było trzymanie się przez pewien czas odporne. Powstanie tym sposobem urządziło się wewnątrz, wzmacniało podstawę swojego działania, unikało niepotrzebnego krwi rozlewu, zwłaszcza krwi bratniej, od kiedy część wojska polskiego znalazła się w obozie w. księcia, nie stawiało powstania na los walki, zawsze nie pewny, a tem mniej pewny śród warunków, w jakich było jeszcze powstanie tej nocy. Zwłoka nie pogorszała ich stanu. Pułki rosyjskie otoczone były wojskiem polskiem: przed sobą miały załogę stolicy, za sobą na prowincyi pułki niektóre tak blizkie, że mniej, niż jeden dzień marszu potrzebowaly, aby stanąć pod Warszawą: prędszej więc czy później byłyby zmuszone poddać się. Chodziło tu tylko o czas.

Pierwszy zarzut ma więcej za sobą pozorów. To wzięcie władzy rewolucyjnej przez ludzi rewolucyjnych, najwyższy kierunek sprawy w ręku tych, którzy ją podnoszą, dobre jest, jak czysta teoria, ale często niepodobne do wykonania w danej rzeczywistości. Naczelnicy powstania znali tę teorię doskonale, a jednak nie zastosowali się do niej, i jest to jeden z najpiękniejszych rysów, odznaczających dusze i rozsądek twórców powstania. Okazali przez to znajomość narodu i jego ówczesnego usposobienia i, trudniejszą jeszcze, znajomość samych siebie. Czuli, do czego byli zdolni — i to wykonali, a nie brali się do tego, do czego sił w sobie nie czuli. Była w tem pokora, była czystość moralna, która zasługuje na pochwałę i na naśladowanie. Pełni poświęcenia się dla zachęca, gotowi na śmierć haniebną nawet, gdyby się nie udało, a udania się nic im nie zapewniało bezwarunkowo, spoczęli zresztą w wierze, że naród cały gotów jest, jak oni, do ofiar i poprze ich dzieło i poprowadzi ich przez ludzi, których sam uznawali za zdolnych do tego: było więc w tem uszanowanie woli narodu, poddanie jej swojej

własnej woli. Zresztą dzielili z narodem cześć dla pewnych władz, dla pewnych osób, korzyli się z nim przed ich zasługami przeszłemi, ufali im, jak naród ufał. Wdzieliśmy, jak w pierwszym kroku ofiarowali władzę, poddawali się natychmiast pod rozkazy Stasia Potockiego, Trębickiego nawet. Była w tem pewna wzniosłość prostoty, ufności dziecięcej, zaparcia siebie, wolność od jakiegokolwiek zarozumiałości, która rozrzewnia. Tem mniej można im mieć za złe, że budowali na takim jenerale, jak Chłopicki, że nie mogli w nim dojrzeć zakrzepnięcia polskich uczuć, jak równie w wielu innych, których wartość wewnętrzna, niższa od przypuszczanej, później się dopiero odkryła, pod wypadkami, pracami do ofiar niedwuznacznych. Jednem słowem, co mogli zrobić, co założyli sobie, to zrobili; co inna część narodu chciała wziąć na swoją odpowiedzialność, tego zatrzymać przy sobie nie mieli ani siły, ani prawa i za to nie są odpowiedzialni. Powstania późniejsze wychodziły z władzami już gotowemi i mimo tego upadły; nie jest to więc rękojmnia powodzenia tak ważna, jak się niektórym zdaje; wszystko zależy od jednoci lub rozstrojenia kierunków, a stąd woli zbiorowej, w głębi duszy ukrytych.

Wracam teraz do ciągu mego opowiadania.

Obraz, na którym zatrzymałem się, ze zbliżającym się dniem wypełniał się coraz więcej, co raz więcej się ożywiało. Gromady zbrojnego ludu mnożyły się i pod przewodnictwem to cywilnych, to wojskowych, przybierały coraz wyraźniej postawę zaczepną, zazierały śmieiej nieprzajacielowi w oczy. Obronna linia głównego stanowiska powstańców posuwała się naprzód w różne strony, rozszerzała okrąg działania. Nad samym rankiem przybył zastęp posiłkowy, na który powstańcy najwięcej liczyć mogli z pewnością: utworzył się legion, cały prawie złożony z uczniów uniwersytetu i innych szkół, mając na czele swoich kompanii uwolnionych świeżo więźniów, lub należących do wyprawy Belwederskiej, a najwyższym naczelnikiem profesora Lacha Szyrmę i już, jeżeli się nie mylę, Kazimierza Brodzińskiego. Legion ten zajmował głównie Leszno.

W takim stanie ujrzał powstańców świt 30-go listopada,

ale ujrzał i drugie lice tego obrazu, które się wykluło w ciągu tej nocy i objawiło z dniem nowym. Był to duch, przeciwny duchowi powstania, kierunek jego odwrotny, ubrany już w ciało i przymioty władzy. Jakkolwiek opowiadanie moje rozszerzyło się nad zamierzony mu zakres, wszakże nie podobna mi pominąć w milczeniu tego zjawiska, które, jak robak w zawiązku owocu, osiadło zarodek powstania i, przybierając różne przeobrażenia, roztoczyło je wkońcu. Dla kilku powodów, a głównie przez wstręt do tego przedmiotu w treści tylko przedstawię, jak się stało; ciekawi szczegółów znajdują je w Pamiętniku Władysława Zamoyskiego.

Około ósmej wieczorem, kiedy się już powstanie zaczęło, wpadł do Władysława Zamoyskiego Bezobrazow, adjutant w. księcia, z wieściami o tem, co się stało w Belwederze i w Łazienkach; Zamoyski był także jednym ze trzech polskich adjutantów przy w. księciu.

Zamoyski wsiadł natychmiast na konia i pospieszył do w. księcia. Znalazł go w wielkiej alei Ujazdowskiej, otoczonego licznym orszakiem, w którym byli generałowie polscy Krasiński, Kurnatowski, pułkownik Turno, jeden z polskich adjutantów księcia, a dokoła dywizya kawalerii gwardyi, to jest trzy pułki rosyjskie i czwarty, polski, strzelców konnych; z piechoty: kilka kompanii polskich, które podchwycił, jak widzieliśmy, Staś Potocki. Konstanty, jak tylko postrzegł Zamoyskiego, przemówił do niego słów kilka, w których przebiegało się oburzenie, przestrach i zadziwienie, i rozkazał mu wracać zaraz do miasta po wiadomości, narzekając, że nikt mu prawdziwych dać nie może. Zamoyski spełnił rozkaz i wkrótce powrócił, oznajmując, że powstańcy są panami arsenału i więzienia karmelickiego, że pułk czwarty i batalion saperów ze swojami oficerami są na czele powstania. Ta ostatnia wiadomość przeraziła widocznie w. księcia; te dwa korpusy najwięcej lubił, jako najlepiej wyćwiczone.

Po chwili wysłał znowu Zamoyskiego do miasta. Zamoyski dociera do placu bankowego, gdzie Staś Potocki trzymał w bezczynności kilka kompanii grenadierów liniowych, które nie domyślały się jeszcze prawdziwych zamiarów tego generała. Potocki widział jaśniej i nie

skich interesów ostrzegał go o złem i dobrem, aby wśród tysiąca dróg ziemskich prowadził go jedną drogą niebieską. Sumienie trzyma ustawicznie ducha ludzkiego na granicy życia ziemskiego, w obliczu świata wiecznego. Przy każdym czynie, przy każdej myśli człowieka uchyla mu zasłonę religii i pokazuje Boga — Sędziego, który gotów jest co chwila pociągnąć do odpowiedzialności za ten czyn, za tę myśl. Żeby to zmysłowiej pojąć, wyobraźmy sobie, że w duszy ludzkiej znajduje się narzędzie o dwóch strunach: pierwsza struna jest odwieczna, jak duch ludzki, czysto-niebieska, grająca wiecznie, bez przerwy, pieśnią życia głównego, nieziemskiego, wiecznego, jednym słowem duchowego — druga zaś jest doczesna, gra na niej życie chwilowe, ziemskie. Pieśni obu tych strun powinny być w jak największej z sobą muzycznej zgodności, a mówiąc właściwiej, pieśń ziemska powinna być najdoskonalszym wtórem pieśni duchowej: jest ona tym wtórem, dopóki życie ziemskie nie schodzi z drogi wytkniętego sobie przez Twórcę powołania. Najmniejszy rozdzźwięk fałszywy, to jest: najmniejsza niezgodność pieśni podrzędnej z pieśnią główną, ostrzega człowieka, że zboczył. Tem narzędziem muzycznym, tym kamertonem życia ludzkiego jest sumienie. Pogoda sumienia, wewnętrzne zdolności człowieka, jest zgodność dwóch strun, dwóch pieśni jego ducha. Przeciwnie, ich niezgodność objawia się w niepokoju sumienia. Biada temu, kto tak popsuł swoje naczynie, że już mu grać przestało, albo swój słuch wewnętrzny, że już nie słyszy jego dźwięku. Niech się stara co rychlej rozbudzić swoją muzykę i czucie dla niej westchnieniami skruchy i boleścią pokuty.

Kapłaństwo Prawdy. — O, jak ciężkie jest Kapłaństwo Prawdy! Jej droga przez ten świat — droga krzyżowa. Skoro ci raz rozpalono w duchu myśl piękną, świętą, ogromną, obejmującą swój czas i naród; skoro ci raz powiedziano: Pilnuj tego świętego ognia, podsycaj go sobą samym, abys go przeniósł przez świat i rozżarzony oddał straży następnego pokolenia; skoro raz uchyliłeś głowę na znak poddania się temu rozkazowi, pożegnaj się z pokojem i szczęściem ziemskim. Świat otoczy się,

jak cierniowy wieniec; najeży się ze wszystkich stron kolcami ku tobie. A ty, uosobienie twej myśli, musisz przejść z nią przez świat, rozpostrzeć ją po świecie. Tymczasem, w którąkolwiek stronę zwrócisz się, spotka cię grot boleści. Wszystko powstanie przeciw tobie, albo cię odstąpi. Nie spodziewaj się przebaczenia, pobłażania! Wszystko jest przeszłością, ty jeden z przyszłością przechodzisz — a wojna przeszłości z przyszłością jest zawsze na śmierć. Cóż wtedy masz począć? Idź naprzód, choćby sam! Twoje życie nie jest już twojem życiem. Przestałeś być sobą; jesteś tylko powierzonym ci ogniem. Twoja zaśluga, twoje szczęście, twoje zbawienie, twoje życie w nim. Cały twój byt ma być jedynie żywiołem, a niczem innym. Kiedy cię całego strawił na ziemi, wtedy dopełniłeś twojego powołania. Idź sam — z oczami w niebo, a co depcesz, nie uważaj na to!

Niebo ducha. — Jest niebo drugie, różne od tego, które widzimy oczami ciała. Widzimy je oczami ducha; jest to niebo ducha. Zdarza mi się nieraz, a zapewne każdemu (byłe tylko dawał baczenie na wewnętrzne zjawiska), otóż zdarza mi się nieraz chwila dziwnego uspokojenia, zadowolenia, swobody w piersiach, jasności w myślach, rzeźwości we wszystkich władzach. Wtedy świat zmysłowy nie robi na mnie najmniejszego wrażenia; troski powszednie uciekają, nie wiedzieć, gdzie i od czego, a podnoszą się myśli czyste, pogodne, spokojne. Słyszę wyraźnie wewnątrz siebie wiejący wie- trzyk ochłody; każde widzenie przybiera urok jakiegoś barw nieznanego oku. Jestem duszą w innym świecie, pod innym niebem. Na całe wtedy życie poglądam pod blaskiem owych tajemniczych niebios. Nigdy wyraźnie nie widzę swojej przeszłości; żyję nią po raz drugi, każdą jej chwilą; tak jestem jej pełny, tak nią szczęśliwy, tak się rozlewam po niej, nigdy nie widzę jej wdziecznej. Wówczas pada na nią promień mego nieba duchowego. Niekiedy znowu podnoszą się nadzieje, równie wdzięczne, jak spokojne; a nie są to już nadzieje, ale wiara jasna, niezachwiana, jak żebym od urodzenia w sercu ją nosił. Cóż to jest? Oto promień duchowego nieba spoczął na mojej przyszłości. Smutków, owych

smutków tajemniczych, niepojętych, nie śmiem odnosić do tego stanu. Niebo duchowe nie ma chmur posępnych, tam jasność i pogoda nieprzerwane; lekkie jego obłoki są przejrzyste, przelotne i mile; jego obłoki są duchy czyste, są anieli. Smutek jest dzieckiem ciała, jak ciemna chmura jest dzieckiem ziemi. Chwile podobnego stanu są to chwile widzenia wyższego, duchowego. Dlaczegoż nie każdy je miewa, a przynajmniej uczuwa? Dlaczegoż i ten, kto je zna, nie zawsze się cieszy niemi? Wszakże niebo ducha jest zawsze, jak sam duch, i zawsze przed jego oczami, równie, jak niebo widome przed oczami ciała. Zapewne, że wino w nas samych. Kiedy słońce śród dnia zajdzie za chmury, czyż wino słońca, że ziemia go nie widzi? Nie, słońce zawsze jasne, ale winna ziemia, z której się chmury rodzą. Czuźmy naszego ducha w każdej chwili, jak czujemy ciało, przywróćmy jemu całą jego potęgę, właściwą duchowi, dajmy przewagę jego władzom nad wpływem władz cielesnych, wywalczmy ich niezależność od formy ziemskiej czyli wolność, przyprowadźmy ducha do hartu większego, jak ma ciało, a przyprowadzimy go do stanu działania tak widocznego, jak widoczne jest dziś dla nas działanie ciała: będziemy tak wyraźnie żyli duchem, jak żyjemy dziś ciałem, będziemy tak jasno, tak zawsze widzieli niebo duchowe ze wszystkimi jego zjawiskami, jak dzisiaj widzimy otaczający nas świat materialny. Ale to wszystko dać może tylko związek z prawdziwym Bogiem, przez przyjęcie Słowa Jego Prawdy.

Życie ludzkie jest to pole ustawicznej walki między złem nałogami ciała, ciężącego wiecznie ku ziemi, a wyższem dążeniem boskiego pierwiastku człowieka, zmierzającego wciąż ku niebu, to jest ducha ludzkiego; jest to więc pole walki między Złem a Dobrem o panowanie nad człowiekiem. Nie chcesz być pokonanym od Złego? Miej-że się na baczności: zaniedbasz się na chwilę — nieprzyjaciół ma górę, dostałeś jednego pana więcej — wojna staje się cięższa, tem, co dobrego wyparł z siebie, w czem osłabił dobrą swoją stronę. Każdy zły nałóg osłabia ducha, jak choroba ducha. Pozbawiając się złego nałogu, uwalniasz duszę od jednej choroby, a tym sposobem

przywracasz jej cząstkę siły przyrodzonej. Dlatego to staraj się, abyś każdy dzień twojego życia odznaczył nowem zwycięstwem nad jakim złym nałogiem: wkrótce spostrzeżesz z radością, że nie masz żadnego. Co ważniejsza, że tym sposobem nie tylko pozbędziesz się wad starych, ale zabezpieczysz się przeciw nowym. Walka przeciw złym skłonnościom, matka sumienia, szczerza, uparta, dziwnie rozwija siły ducha: każdy tryumf podnosi go o jeden stopień wyżej nad ułomność materyjalnej strony — każde uleczenie się jest zarazem życiem pierwszej dozy lekarstwa, niszczącego zarody chorób pozostałych. Leczenie się jednak niełatwe, walka ciężka; nadewszystko pierwsze zwycięstwo kosztuje. Ale to pierwsze zwycięstwo stawia cię już na drodze do tryumfu zupełnego: dosyć zakosztować rozkoszy pierwszego zwyciężenia się. Jest ona tak pełna siły pokrzepiającej, porywa cię do zmierzenia się z drugim nieprzyjazytnym zastępem. Jesteś mocniejszy, szczęśliwszy, dumniejszy po drugim zwycięstwie — jeszcze mocniejszy po trzeciem, a w końcu walka twoja nie kosztuje cię żadnego wysilenia; przeciwnicy twoi są wobec ciebie bez żadnej siły, jak upadły na duchu nieprzyjaciel; dosyć dla twej woli pokazać się, dosyć groźnego z twej strony ruchu, aby złożył oręż i zostawił cię panem bojowego pola. Nie wynika stąd, abyś pokonał wszystko raz na zawsze i w zwyciężkiem upojeniu usnął na pobojowisku; niema dla ciebie pokoju, dopóki ciało nosisz: jest to kraj nieprzyjacielski, pełny kryjówek takich, że nieprzyjaciel potrafi w nim się zachować od ostatecznej zagłady, i czeka tylko sposobnej pory, aby cię podchwycił, ale w tym razie będą to tylko lekkie podjazdy pod dobrze obwarowaną i czujną twierdzę, kiedy przez pokój ze złemi nałogami przyjmujesz do twojej twierdzy załogę nieprzyjacielską i musisz być jej posłuszny.

Namiętność. — Jak wszelka cnota wypływa z zapomnienia siebie dla drugih, tak wszelka namiętność jest uczucie ziemskie, osobiste, podniesione do najwyższej potęgi, do poświęcenia swoich własnych nawet interesów ogólnych, swojego własnego życia, dla interesu chwilowego; jak cnota zmierza do podniesienia człowieka nad

sferę ludzką, tak namiętność spycha go w sferę najniższą, w sferę graniczącą ze zwierzęcą. Wiele jest namiętności, ale kierunek wszystkich jest jeden — poniżenie człowieka, jak jedno ich źródło — widok osobisty. Niema namiętności szlachetnych: niema, któreby dobrze służyły celowi szlachetnemu; zdradzą go prędzej czy później. Wszelka namiętność jest to niejako żołądek w moralnej stronie człowieka, żołądek żarłoka, który opanował całe ciało; tak namiętność obraca na swoją pastwę całą moralność człowieka i obraca pęty, póki jej całkiem nie zamkniesz, to jest póki jej nie zniszczysz. Pożera ona najzdrowsze, najpiękniejsze plody z niwy ludzkiego życia, aby je przemieść — w obrzydliwość. Otwórz raz szranki np. nienawiści, a już jej nie nasycesz tą lub ową ofiarą. Musisz bezprześcannie nowych jej dostarczać; wówczas niema innego przeciw niej sposobu, tylko ją zamorzyć zupełnym głodem, to jest: miłością wszystkich ludzi. Tak i z innymi namiętnościami. Można by także porównać namiętność do narośli jadowitej, która się żywi najzdrowszą krwią człowieka i w jad ją obraca, a której nie zaradzisz inaczej, tylko zupełnem jej zniszczeniem.

Strumień wyschły zostawia po sobie próchno, najmniejszy pyłek nie niknie tak, aby się w nic obrócił, a duch ludzki, on, który stanowi człowieka, on, szlachetniejszy, niż to wszystko, miałaby przepaść bez śladu, bez żadnego wpływu na potomny skład społeczeństwa i całego stworzenia? Nie! Jeżeli forma życia nie ginie, to nie może zginąć i samo życie, z tą tylko różnicą, że byt materyi jest w sferze materyi, a ducha w świecie duchowym, i kiedy tamte zmysłami dotykamy, ducha duchem tylko możemy pojąć. Nie każdy wprowadzie zdolny do tego, ale byli ludzie i będą, przed których wzrokiem wewnętrznym położy się cała przyszłość duchowa rodu ludzkiego, jak przed zwyczajnem okiem leży zwyczajny horyzont.

Skąd najpewniej poznać historję ludzkości od jej stworzenia aż do dzisiejszych czasów? Z obecnego stanu narodów. Nic nad to pewniejszego: w każdej obecności jest cała przeszłość. Ludzkość jest to jedyna księga, w której zamyka się cała umiejętność ludzkości. Narody są myślami

pojedynczemi. Umieć odczytać każdy naród w stanie, w jakim się obecnie znajduje, a będziesz miał historię całej ludzkości, pojdziesz jej istotę w czasie przeszłym i obecnym, nawet jej przyszłość potrafisz mniej więcej odgadnąć.

Poema — rzecz licha w porównaniu z narodem, nieprawdaż? Łatwiej napisać poemat, jak urządzić naród, wszak i na to zgoda? Otóż, nie napiszesz poematu bez natchnienia, choćbyś miał największy rozum, a chcesz urządzić naród samym tylko rozumem bez natchnienia wyższego?

Człowiek, stosownie do celu moralnego, jaki Bóg jego życiu wytyka przy poczęciu się jego, odbiera to życie, tak moralne, jak fizyczne, pod miarą i wagą, że tak powiem. Nadto nie może on żyć ani dłużej, ani krócej, jeżeli żyje według właściwego sobie prawa. Ale w podwójnem swym życiu może prowadzić jedno życie z uszczerbkiem drugiego, np. fizyczne z uszczerbkiem moralnego. Wtedy zbliży się do zwierzęcia. Nie pójdzie tą drogą człowiek, czujący nieśmiertelność i pragnący jej. Prawidłem jego będzie: o ile mniej żyć będziesz fizycznie, o tyle wzmocnisz twoje życie moralne czyli życie, nie kończące się z ciałem.

Kokolwiek zaczynasz, staraj się jak najprędzej skończyć. Tym tylko sposobem zrobisz wiele i wszystko w porę. Potrzeba czasu jest zazwyczaj natchnieniem każdego dzieła. Dzieło, zawieszone w wykonaniu lub przeciągane przez lenistwo, albo się nigdy nie skończy, albo czas jego użyteczności przeminie, a wtedy dokończenie jego na nic się nie przyda. Nadto w tem życiu praca tłoczy się na pracę, jak chwila na chwilę, bo życie jest ruchem postępowym. Za godzinę przychodzi druga czynność, za dwie trzecia i tak dalej — a każda ma swój czas najwłaściwszy; zechciej kończyć zaczęta w innej godzinie, a ukradniesz godzinę pilniejszej i ważniejszej pracy i oto jesteś przeładowany, wikłasz się i wkońcu upadasz pod ciężarem nagromadzonych czynności. Stąd znużenie, które czasami odbiera ci całą siłę. Nie doznasz go, robiąc wszystko w porę. Bóg jest wyrozumiały: nie wkłada na człowieka ciężaru życia nad jego siły; czuje nawet potrzebę spoczynku i opatrzył go w chwili spoczynku. Ale kto chce więcej spoczywać, jak robić, ten z własnej winy poczuje kiedyś ciężar do niezniesienia, bo, co naznaczone, musi się zrobić.

Nie przyzwyczajaj się do próżniaczego marzenia. Jest to nałóg równie szkodliwy, jak inne nałogi, zwyczajnemu stanowi duszy. Jest to pasożytna roślina myśli: wyniszcza ją, a w Innem nie wynagradza jej korzyści. Marzenia upowszechniały się dziś bardziej, niżby się zdawało. Marzeniem jest każda myśl, w której niema zarodu życia, siły do działania. Stąd tyle systematów, dzisiaj pisanych, nie są niczem innem, tylko marzeniami dumnych próżniaków. Jedyńy sposób zabezpieczenia się przeciwko nim jest mieć w swoich piersiach ogień świętej prawdy, a marzenia, bądź obce, bądź twoje własne, będą ginęły w nim, jak ómy, zaledwie się zbliżą.

Pozbyszaj się jak najrychlej wszystkiego, bez czego obejść się możesz. Twoje życie jest podróż: rób-że, jak roztropny podróżny, miej tylko to przy sobie, co ci może ułatwić podróż, a nie utrudzić.

1843.

DROBNE SPRAWOZDANIA I PRZEDMOWY.

„WYPRAWA IGORA NA POŁOWCÓW“. Poemat słowiański, wydany przez *Augusta Bielowskiego*. Lwów. Nakładem Franciszka Pillera, 1833 r.¹

Dziełko całe jest przepolszczeniem staroruskiego poematu, którego tytuł w oryginale: *Słowo o płku Igorewie* — składa się zaś z dwóch tłumaczeń, jednego wierszem, a drugiego ściśle dosłownego prozą — nadto z przemowy na początku i objaśnień przy tłumaczeniu rymowem.

Wprawdzie wyszło to dziełko z druku, jak wyżej widzimy, przed dwoma już laty, ale mała liczba odbitych a jeszcze mniejsza upowszechnionych egzemplarzy, tytuł, nie zalecający się osobliwym wdziękiem przed publicznością, którą znarowia ustawny napływ nowoczesnych, coraz nowocześniejszych utworów — usługa dzienników, opieszała w dokładnem zaznajamianiu czytającego świata z utworami takimi, jakim jest „*Wyprawa Igora*“, zarzuty, poczynione już tłumaczowi — a co ważniejsza, wartość tak oryginału, jak tłumaczenia, i przekonanie, że należy się im wyższe w naszej literaturze stanowisko, niż to, które dotąd zajmują — spowodowały nas i ośmieliły przywołać na nowo przekład Bielowskiego przed oblicze krytyki, przedstawić go jeszcze raz uwadze polskiej publiczności.

Sama istota poematu wskazuje nam obowiązek nakreślić przedewszystkiem jego dzieje; zaczynamy więc od takich wyjątków z przemowy tłumacza, które nam mogą dać nie-

¹⁾ Trzy sprawozdania poniższe o książkach Bielowskiego, Mickiewicza i Odyńca ogłosił „Powszechny Pamiętnik nauk i umiejętności“ Kraków, 1835, w tomie I.

jakie wyobrażenie o części zewnętrzno-historycznej oryginału.

„W r. 1795 (powiada tłumacz) zakupił Aleksy hrabia Mussin Puszkina po archimandrycie kijowskim znaczny zbiór rękopisów, między którymi znalazł się jeden z napisem: „Słowo o płku Igorewie“. Była to pieśń bohaterska, w języku staroruskim, opiewająca wyprawę Igora na Połowców, zaszła w r. 1185, wkrótce po tejże wyprawie, to jest w wieku dwunastym jeszcze napisana, jak się o tem z samego tekstu łatwo przekonać można. Po ocenieniu jej wartości ogłosił ją tenże Mussin Puszkina po raz pierwszy drukiem w Moskwie 1800 roku, wraz z przekładem rosyjskim“. Otóż jest pierwsze pojawienie się w dzisiejszej uczzonej Europie jednego z najdawniejszych poematów sławiańskich. Treść jego następna: Igor Swiatosławicz, książę siewiero-nowogrodzki, postanowił w r. 1185, wraz z trzema krewnymi książętami, zrobić wyprawę na głównych podówczas wrogów Rusi, Połowców, bez wiedzy i pomocy starszych i potężniejszych książąt ruskich. Umówione książęta łączą swoje siły i wyruszają. Pojawiają się im różne złowieszcze znamiona; bez względu na nie uderzają na Połowców i rozpraszają ich. Zbierają się powtórnie Połowcy w wielkich masach i otaczają Igora; trwa bitwa półtrzecia dnia i kończy się zupełną klęską Rusi. Igor dostaje się w niewolę, z której ratuje się ucieczką. Radość Rusi z powrotu Igora. Otóż jest szkielec poematu — lecz jeżeli w jego widoku obejmujemy główną całość działania, z nakreślonych jednak rysów, malujących tylko prostotę układu i naturę przedmiotu, nie mamy jeszcze wyobrażenia o wewnętrznej wartości, o duszy dzieła, o co właśnie najwięcej nam chodzi. Już to więc w nadziei, że prawdziwą sprawimy czytelnikom rozkosz, już z innych koniecznych pobudek przedłożymy przed oczy ich całość w tych wyjątkach, które nam się wydawały wybitniejsze mieć piętno talentu poety, i żywiej malować tak duch swojego czasu, jakoteż jaśniejsze chwile opiewanego zdarzenia.

Śpiewak Igora otwiera lot swój natchniony temi słowy:

Bracia! Nie pięknie-ż piąć starami słowy
Trudne o płułku Igora powieści?

A więc pocnijmy pieśń wedle osnowy
 Zdarzeń, nie zmyślen bojańskimi tory;
 Bo wiezczy Bojan, jeśli k'czyjej cześci
 Pieśń tworzył, myślą uganiał przez bory,
 Wilk ziemią, w wiatrach orzeł czyżopiory;
 Jeśli bój spomniał, w lot dziesięć sokołów
 Puszczal na stado łabędzi — a wtedy
 Poczesną pieśnią pierwszy zabrzmiał połów;
 Wówczas Jarosław stary, Mściśław chrobry,
 Co pośród pułków kasogskich, Rededi
 Dziryt twardemi wskroś przepędził ziobery,
 I krasny Roman, w pierwszych brzmieł rzędzie.
 Lecz nie sokołów na stada łabędzie
 Bojan, o bracia, wypuszczał ku walce,
 Jenó na strony kładł swo wieszczce palce,
 A sławą książąt żywe brzmiały strony.

Ów Bojan jest w całym poemacie jedną z promienistych myśli śpiewaka; kilka on razy odzywa się do niego podobnie. Był to bezwątpienia znakomity starożytnej Rusi poeta; tekst obecnej pieśni napomyka o jego poematach, których przedmiotami miały być: Jarosław Stary, Mściśław Chrobry, Roman Piękny, Trojan, pochód Światosława i t. d. W jednym miejscu śpiewak Igora zowie się potomkiem Welesa, czyli Wołosa, który u Sławian był bogiem pasterzy; pokazuje się stąd wielka cześć między ludem dla Bojana i wysokie dla niego uwielbienie, zapewne zasłużone, śpiewaka. Zachodzi pytanie: Czy *Bojan* było właściwe nazwisko jednej osoby? Tłumacz trafnie domyśla się, że bojanami nazywano w tamtych wiekach ogólnie śpiewaków, opiewających wojenne wyprawy książąt i znakomite czyny bohaterów. Nie zbywało nawet (mówi on dalej) na dowodach w tejże samej pieśni. I znowu dalej twierdzi, że ci bojanie byli razem i wojownikami, jakto już same ich nazwisko oznacza. Dlatego nasz piewca, ilekroć spomni Bojana, dodaje zawsze: *wieszczu* lub *piestworca* (pieśniotworca), jakby chciał przez to wyrazić, że nie wszyscy bojanie (wojownicy) są wieszczami. Na stronie 34, wychwalając rącość i bohatyrskie czyny Wsesława, księcia smoleńskiego, powiada, że „wieszczu dusza mieszkala w jego ciele”. Bądź co bądź, jest to przedmiot, który głębokie tylko i moralne badania rozjaśnić mogą, przeto wracamy do tekstu pieśni. Następane wiersze obejmują pomysł Igora wojowania z Po-

lowcami, porozumienie się jego w tym celu z innymi książętami, pochód wojsk połączonych i znamiona, wróżące zły koniec tej wyprawie.

Całą w tym opisie liryczność toku, całą jasność obrazów, to silne natchnienie, to wystawienie jędrne a pełne prawdy, któremi przepełnione są wszystkie obrazy, uczuje każdy, obdarzony jakimkolwiek pojęciem poezji. Pochwały nasze uważalibyśmy w tem miejscu za deklamację — idziemy więc dalej. Rusini z Połowcami schodzą się w pobliżu Donu nad rzeką Kajałą. Połowcom dowodzą Gzak i Kończak. Zaczyna się bitwa w dzień piątkowy. Rusini przemagają, pierzchają Połowcy.

Tutaj rozwija się dziwnie malarski i wzniosły obraz zgromadzenia Połowców w większej sile, otoczenia wojsk ruskich i nowego boju.

Drugi dzień rano zorze krwawym wschodem
 Świt wioda, tucza, w mury się piętrząca,
 Ciągnie od morza zaćmić cztery słońca¹.
 Drżą sine błyski, piorun po piorunie
 Bije i z Donu strzałami deszcz lunie.
 Tu trzeszczą kopie, tu ostrzem strzaskanem
 O hełm Połowców szable gwizd wydały
 Nad wielkim Donem u rzeki Kajały.
 O ruska ziemio, tyś nie Szełomianem!²
 Stryboga³, wnuki wiatry, się zerwały
 I na Ruś chrobrą z morza miecą strzały,
 I tętni ziemia, mętne cieką rzeki,
 Step ómią tumany, sztandary bołkocą;
 Od Donu, morza, czarną ciągną nocą
 Wrogi, i ruskie obstepują szyki.
 Biesowych⁴ dzieci wrzask pod niebo wzbity,
 Ruś czerwonemi przegradza się szczyty.
 Ty, Wsewołodzie, turze rozbujają,
 Stałoś wrogom murem, pryskasz strzały,
 O hełmy mieczem grzmisz gęstemi grzmoty.
 Gdzie tur poskoczy, gdzie hełm błysnie złoty,
 Leżą szeroko usłane po ziemi
 Pocięte głowy z hełmy Owarskimi,

¹) Cztery słońca, czterech wodzów ruskich.

²) Szełomian, góra; — „tyś nie Szełomianem“, znaczy: ty już nie górujesz nad innemi.

³) Strybóg, bóg wiatrów u Słowian.

⁴) Bus miał być sławny książę połowiecki, pod którym kraj ten przyszedł do najwyższego stopnia sławy. Pieśń niniejsza spomina raz Biesę, drugi raz Busa, co według wszelkiego podobieństwa, jedną osobę oznacza.

Od ciebie, jary turze Wsewołodzie!
 Jak drogie rany, bracia! W tej przygodzie
 Rzucił tron złoty, Czernihów warowny,
 Zrzekł się czci, życia i krasnej Glebówny...¹

Śpiewak oddycha, cofa się w przeszłość, wspomina wyprawę Olga i obrazem ich podnosi obraz obecnej bitwy.

Rusini na głowę pobici — Igor dostaje się w niewolę. — Z tych wierszy wypływa wielkie historyczno-poetyckie malowidło wszelkich klęsk, jakie poszły za przegraną bitwą: osłabienie Rusi, domowe niezgody między jej książętami i grasowanie Polowców pod wodzami Żłā i Karna.

Skończyło ucztę chrobre ruskie plemię.
 Pocciwszy wrogi, padło za swą ziemię!...
 Żałosna trawa ziemią liś rozściela,
 I drzewo tęskne przekłania konary,
 Bo wstały czasy, nie czasy wesela:
 Pustynia całe zaległa obszary —
 W dziedzinie wnuków Dadźboga nieznana
 Wzeszła dziewica na ziemię Trojana.
 Nie dola; w skrzydła płaśnią łabędzie,
 A po kraj morza i u Donu rzeki
 Ze snu mordercze zbudziły się wieki...
 Ustał bój z wrogiem, a brat bratu w rzędzie
 Rzekł: i to moje, i to moje będzie —
 I wszczęto wielką waśń dla rzeczy malój;
 Swoi na swoich nie szczęścia kowali.
 A tu poganin otwartemi drogą
 Szedł w ruską ziemię siać mord i pożogi.
 Rój ptaków sokół popędził na morze,
 Lecz pułku twego nie wskrzesi, Igorze!
 Za nim już w Rusi Żłā i Karna biega
 I trzęsą żary z rogu płomiennego.
 A ruskie żony płaczą: „W myśli tłumie
 „Ani was zmyślić, ani zdumać w dumie,
 „Ani żywemi oglądać oczyma:
 „Niema was, mężo! Srebra, złota niema!
 Zastękał Kijew, w murach Czernihowa
 Wrą zwady, smutek cały kraj powleka,
 Sam środek Rusi krwawa mordów rzeka
 Zalała, kłeski brat na brata kowa —
 A wróg w granice wchodzi bez oporu
 I dań wybiera: wywiorę* od dworu.
 Boć wojną chrobrych Światosławców obu
 Wstały bezprawia, wtrącone do grobu
 Groźnego niegdy Światosława dziełmi.

¹) Glebówna, córka Gleba Jurewicza, księcia perejasławskiego, małżonka Wsewołoda Światosławicza.

²) Wiekosza albo wiewiórka, gatunek monety skórzanej, obacz Rakow: T. I. str. 168.

Odtąd rozwija się w zupełności nowa, melancholijna strona talentu poety. Odtąd tłem poematu niedola ruskiej ziemi. Śpiewak czarodziejskim sposobem przesuwając po nim oderwane obrazy, a które przecież wiąże jedna główna myśl: Igor w niewoli. Takim pierwszym obrazem jest Światosław, ojciec Igora, opowiadający swój stan smutny Bojarom.

Bojarów odpowiedź nie pociesza starca; wonczas on, „złotem słowem, mieszanem ze łzami“, robi wyrzuty, pełne rzewności i prostoty, młodym książętom, że się tak lekkomyślnie w bój wdali. Wreszcie powstaje na duchu, chce odmłodnieć i pomścić Igora. Piękny to obraz liryczny, kiedy Światosław przemawia uczuciami swojemi do innych książąt ruskich; ma nadto za sobą ważność historycznej wiadomości o potęgę ówczesnej niektórych książąt ruskich.

Musimy wszakże ograniczyć się na wyjątkach i często bez przyczyny, gdyż w całym poemacie ciąg jedności i piękność tak jest utrzymana, że wszystkie wypisaćby przysłało — ale i w najściślejsem ograniczeniu się nie moglibyśmy pominąć ustępu, zamykającego szereg wyżej wspomnianych obrazów. Jest to jedyne w tym poemacie pojawienie się kobiety. Jest to pieśń Jarosławy, żony Igora, córki Jarosława Włodimirowicza, księcia halickiego, a ciekawa z tego nawet względu, jak się też podobny przedmiot objawił natchnieniu staroruskiego śpiewaka.

Głos Jarosławny słyhać (rankiem w maju
 Kukułka takim kukaniem się żali):
 Polecę (mówi) kukułką k' Dunaju,
 Bobrowy rękaw umoczę w Kajali,
 Otrę krew księciu i rany niedawne
 Na skrzepłem ciele.

Słyhać Jarosławne...
 Z wieżyc Putywna tak płacze zaraniem:
 O wietrze, wietrze! Czemu silnem wianiem
 Chanowi w pomoc idą skrzydła twoje?
 Czemu miotasz strzały na lube mi woje?
 Małoż ci jeszcze po gór bujać szczytów
 I chwiać korale po morza błękitach?
 Czemuż wesele rozwiążesz mi dawno?

Z wieżyc Putywna słyhać Jarosławne:
 O Dnieprze, sławą ciekący po ziemi!
 Skałyś Polowców przedarł prądy twemi,

Tyś Światosława korablów gromadę
 Niósł na Kobiaka. Wróć mi mego ładę i,
 Niech iza ku morzu nie płynie ustawnia!
 Z Putywa wieżę płacze Jarosławna:
 O słońce, trzykroć promienne i ciepłe!
 Ozywiasz żywe, budzisz twory skrzepło —
 Zaczóż z twych szlaków po podniebnym sklepie
 Na lube woje ciskasz żar nieczuży?
 Łuki w bezwodnym spaczyły im stepie
 Żary, tęsknota zadławiła tuły...

Na tej pieśni, zachwycającej dziewczycą prostotą, naiwnością i prawdą, a przytem tak barwnie poetyczną — jak talent śpiewaka zdaje się dosięgać szczytu rzewnych uczuć, jak smutne jego struny zdają się zrywać, tak równie przesłania się los Igora. Igor z pomocą Owlura ucieka z niewoli. Opisem tej ucieczki, obrazem radości, jaką panuje na Rusi, kiedy Igor przybywa, zamyka się poema; na nich i my kończymy nasze wyjątki.

Prysnęło morze w północ, ciągną zmory
 We mgłach; księżęciu bój wskazuje tory
 Z kraju Połowców do twego, Igorze,
 Szczerozłotego stolca. Zgasły zorze —
 Igor spi. Igor budzi się — myśl wrzaca
 Przebiega przestwór od Donu do Dońca.
 Koń o północy — i Owlur za rzeką
 Świsnął: Owlura świsł Igor rozumie.
 Niema Igora — tylko gdzieś daleko
 Głucho klekocze ziemia, trawa szumi,
 I wież Połowców czernią się wyżyny.
 A Igor skacze gronostajem w trzciny,
 To biała kaczka falami potrąca,
 To na koń skoczy, to z konia zeskończy,
 I bosym wilkiem bieży k'łębom Dońca.
 To znowu sokół chmurą się obłoczy.
 Gęsi, łabędzie bije dla posiłku
 Rankiem, południem i o słońca schyłku.
 Gdy Igor leci sokolemi loty,
 Wlur, zimne rosy trzęsąc, wilkiem ciecze,
 Padł mu koń rączy. Doniec księżu rzecze:
 Sława ci, księżo, wrogowi zgryzoty,
 Wesele Rusi. — I tyś sławy pełny —
 Rzekł Igor — księcia wziąłeś na twe woły,
 Srebrny brzeg szatą ściesz mu zieloną,
 W cieniu drzew ciepłą kryjesz mgły osłoną,
 Kaczką na wodzie, czajkami na strudze,

¹⁾ Łado, sławiańskie bóstwo miłości, harmonii i porządku, spominane i dziś w pieśniach ludu.

Cyranką w wiatrach trzymasz go w swej pieczy,
 Nie tak, jak Stugna, co w mdłej pełźnie ciecze,
 A skoro prądy pochłonięła cudze,
 O pień podwodny roztrząskuje statki.

Sądźmy, że tak prostym przeglądem poematu o Igorze lepiej go wyobraziliśmy czytelnikom, jak żebyśmy tę przestrzeń własnymi zdaniem zapelnili. W wyjątkach trzymaliśmy się głównej myśli, którą jest Igor, dlatego nie zrobiliśmy nawet wzmianki o miejscach ustępowych, lubo wszelkimi zaletami poezji godnych swojej całości. Dla zupełnego obeznania czytelników z oryginałem kilka jeszcze uwag tłumacza pozostaje nam przywieść — a naprzód co do języka tej pieśni. Jest on odmienny nieco od tego, jaki w zabytkach piśmiennych rusko-słowiańskich z X., XI. i XII wieku, a mianowicie w traktatach księżęcia Olga i Igora z cesarzami greckimi, w Prawdzie Ruskiej, w traktacie Mścislawa, księcia smoleńskiego, wreszcie w kronikach owego wieku napotykamy. Okoliczność ta zwróciła w samymże początku uwagę badaczów starożytności sławiańskich. Uczony Szlecer wahał się długo uznać autentyczność tej pieśni. Uznał ją narzeczcie — dziś o tej autentyczności nikt nie wątpi. Główna przyczyna różnicy języka tej pieśni z innemi zabytkami z tamtych czasów jest w samymże przedmiocie: nie mamy żadnych zabytków poetyckich z owych czasów, z któremi byśmy pieśń tę porównać mogli. Śpiewak ludu, a takimi byli podówczas wszyscy śpiewacy, łączony ściśle ze wszystkimi, cokolwiek składało jego narodowość, z wyobrażeniami i przesadami ludu, jak w malowidłach i twierdzeniach swoich różnił się od chrześcijańskiego prawodawcy i klasztorowego mnicha, tak też i pod względem języka obszerniejsze miał pole wyjawiać nieznanne zwroty, a razem jedność i dosadność jego w całej świetności. Pieśń o wyprawie Igora, w dwunastym wieku napisana, jest prawie całkiem pogańska, jakkolwiek Ruś, za Włodzimierza Wielkiego ochrzczona, blisko od półtrzecia wieku zostawała już w chrześcijaństwie. Przydać należy i to, że Ruś ówczesna, składająca się po większej części z różnych sławiańskich ludów, musiała mieć już podówczas w języku swoim rozmaite narzeczca. Dlatego to nie-

k którzy tłumacze posadzają twórcę tej pieśni o spolszczanie wielu wyrazów a Jakób Pożarski, tłumacz jej na język rosyjski, trafnie uważa, że klucza do zrozumienia tej pieśni szukać potrzeba w dawnej Polsce, w narzeczu gminnem około Kijowa, w którym to miejscu, według wszelkiego podobieństwa, pieśń niniejsza tworzona była.

Co do zagadnienia, czy pieśń ta pierwotnie mową związaną czy niewiązaną spisana była — zachodzi jeszcze niejaka wątpliwość, zwłaszcza, że jedyny jej rękopis, który rzecz tę niemaló mógł wyjaśnić, złożony w bibliotece moskiewskiej, podczas pożaru Moskwy w roku 1812 zaginął. Wszelako, biorąc pieśń tę w tym kształcie, w jakim do nas doszła pod rozważę, wnieść można z niejaka pewnością z poprzecinanym okresów i z rozkładu myśli, że była napisaną mową związaną, rytmem, właściwym wiekowi, podobnie, jak pieśni rękopisu królowo-worskiego, z któremi, tak pod względem ducha, jakoteż i języka, wiele ma wspólnego.

Nakoniec co do jej przekładów na różne języki: jest to niejako miara wartości dzieła, podobna więc wiadomość nie może być zbyt cenna, choćbyśmy nawet odrzucili powód oglądania się na stronę krytyki historycznej.

Po wspomnianem wyżej tłumaczeniu Mussin Puszkina wyszły jeszcze w języku rosyjskim następne: Iwana Sierijakowa w Petersburgu r. 1803, admirała Szyszkowa z tekstem i objaśnieniami w r. 1805, Iwana Lewickiego miarami staro-ruskimi w r. 1813, i ostatnie w r. 1819 Jakóba Pożarskiego, z objaśnieniami i dołączeniem przekładu Mussin Puszkina a objaśnień Szyszkowa — wszystkie wydane w Petersburgu. August Kotzebue pierwszy dał o niej wyobrażenie Niemcom w piśmie czasowem: *Der Freymüthige* — Józef Miller, Sederholm, Swoboda i inni ogłosili całkowite niemieckie jej przekłady. Na język czeski przełożył ją w r. 1807 prozą J. Jungmann, a później wierszem Rožnaj. Nakoniec Wacław Hanka wydał w r. 1821 tekst jej pierwotny łacińskimi głoskami, umieściwszy obok dosłowny przekład czeski i niemiecki, tudzież objaśnienia.

Polacy zasłyszeli o „Wyprawie Igora“ po raz pierwszy z wyjątków przekładu Cypryana Godebskiego; ale, że były widocznem tłumaczeniem tłumaczenia francuskiego i wyszły z ręki pisarza, który całego poematu staroży-

ność za wymysł Puszkina uważał, są więc bez żadnej dla nas wartości. Rakowiecki w „Prawdzie Ruskiej“, Linde w historii literatury rosyjskiej, również wyjątki tylko poznać dali; dopiero trud Bielowskiego zbogacił, we właściwym znaczeniu tegoż słowa, polską literaturę tłumaczeniem, które na równi ze znakomitemi, oryginalnymi dziełami położyć śmiemy, choćby przez ten wzgląd jedyny, ale dostateczny, że jest przełaniem w ducha polskiej oświaty natchnienia czysto sławiańskiego.

Jakkolwiek „Wyprawa Igora“ przepolszczona znajduje się od lat dwóch pod sądem publiczności, i powyżej zrobione wyjątki są próbami, z których każdy o wartości tłumaczenia dostatecznie zawyrokować może, wszelako nie ogolacamy się z prawa, pozwalającego recenzentom w każdym wypadku własne otworzyć zdanie.

Powiemy więc na pochwałę Bielowskiego, że jako tłumacz dopełnił wszystkich swojego powołania warunków. Trzeba mieć przed oczyma tekst oryginału, jak my go mamy — trzeba się w ten tekst wczytać, przejąć się jego duchem, aby ocenić, jakich sił wymaga przestrojenie go w dzisiejszą naszą mowę, aby uczuć całą trudność głównego warunku tłumacza: wierności — zmierzyć całą zasługę uczynienia mu zadość i poznać, jak go szczęśliwie Bielowski dopełnił. W ocenianiu nawet przekładów dzieł nowoczesnych, tak dostępnych naszemu pojęciu, nie podobna być właściwym sędzią, nie mając pod ręką oryginału, nie oddychając natchnieniem pierwotwórcy, nie mogąc postawić go obok tłumacza a dopieroż w sprawie dzieła, przegrodzonego od nas sześciu wiekami. Nie wzięli tego na uwagę ci, którzy zarzucają Bielowskiego tłumaczeniu psucie mowy polskiej, użycie dziwacznych wyrazów i zwrotów. Właśnie ten język, stworzony przez Bielowskiego, stworzony umyślnie, właściwie, z głębokiego poetyckiego przejęcia się staroruskiem natchnieniem i wytrawnego zastanowienia się tłumacza, jako uczonego, jest znakomitą jego zaletą, i razem nauką dla wszystkich puszczających się w ten zawód. Bielowski w swojej „Wyprawie Igora“ dowiódł, jak pojął tę prawdę, że przekład, ażeby zajął w literaturze godne siebie miejsce, powinien być podniesiony do wartości oryginału, co większa, do-

wiółł, że można to uskutecznić. Przekład rzeczony jest takim z bogaceniem polskiego języka, już to przez przyswojenie niektórych wyrazów sławiańskich, już to przez wydobywanie polskich, zaległych w głębi staroświeczyny, iż mu w tym względzie, wielka liczba dzieł oryginalnych musi ustąpić pierwszeństwa. Nasze twierdzenia, przeczuwamy to dobrze, pomimo widocznej swojej podstawy, będą się zdawały niektórym, jeżeli nie dziwne, to przynajmniej za śmiałe; zarzuca nam niektórzy przywiązanie zbyt wielkiej wagi do jednej małej książeczki, i to jeszcze nie oryginalnej: takim wyznajemy, że nie czując w sobie dość siły do ich przekonania, będziemy czekać, aż nas usprawiedliwią skutki i sąd przyszłości.

Obok wyświeconych zalet wytkniemy też tłumaczowi jedno ważne uchybienie. „Wyprawę Igora“ nie każdy od razu pojmie. Nie można tego zastosować do całości, jedynie w powiązaniu szczegółów jest pewne zagmatwanie, pewne zatarcie odgraniczających je linii, tak, że nawet z uwagą czytający i wtajemniczony w podobne rzeczy musi się mocno zastanowić, nim sobie powie: wszystko zrozumiałem. Widzimy wprawdzie, iż źródło tej wady jest w samym pierwotworze i w sumiennej wierności tłumacza; wprawdzie przekonani jesteśmy, że musiał zrozumieć ten oryginał, kto go tak pięknie oddał, że, zatopivszy się we wzór, można zapomnieć o nierównym usposobieniu tych, którzy przekład mają czytać — jednakże mimo to wszystko musimy powiedzieć, że tłumacz mógł i powinien był wyraźniej odcieniować szczegóły poematu, przestronniejsze dać im przedziały, pozwolić sobie pewnej w tym względzie niewierności, byle tylko zostać dla ogółu przystępniejszym. Przez wytknięte uchybienie większa część naszej publiczności posiada mniej jednym piękne dzieło, mniej o jedną rozkosz umysłową, a „Wyprawa Igora“ ograniczy wpływ swój sferą poświęconych literatów. Szkoda, pragniemy z serca, ażeby czas późniejszy zatarł tę wadę, co nie jest niepodobne. Na tem kończymy; jeżeliśmy się zaś za obszernie rozpisali, przebaczą nam czytelnicy przez wzgląd, że w dniach naszych, że w obecnej naszej literaturze niełatwo o przedmioty, w którychby krytyka widziała takie zjednoczenie pięknego i dobrego,

jakie zawiera rozebrany przez nas poemat. Zresztą pamiętajmy, że „Wyprawa Igora“ jest jedną z podstaw literatury stu milionów, literatury sławiańskiej, — niepoślednie to prawo do względów krytyki! — i sądźmy, żeśmy się nie pomylili, przyznając jej to prawo.

„GIAUR“. Ułamki powieści tureckiej z Lorda Byrona, tłumaczył *Adam Mickiewicz*. Wrocław. 1835.

Tłumaczenie takiego poety, jak Byron, przez poetę, jak Mickiewicz, jest pojawieniem w literaturze niezwykłym; dlatego spodziewamy się przebaczenia za przydłuższe nieco zastanowienie się nad tym przedmiotem.

Byron, najpotężniejszy naszych czasów poetyckich geniusz, którego odgłos powszechny nazwał „Napoleonem poetów“, a o którym tłumacz słusznie mógł powiedzieć, że wiele wieków minie, nim się znajdzie ręka, zdolna podźwignąć jego berło — napelniał już przed laty kilkunastu tryumfami swojemi i polskie literackie szranki, był długo jedynym hasłem w naszych zapasach romantyczności z klasycznością — nawet dziś jeszcze wpływem swoim przyczynia się do niemałych w nowej poezji zboczeń, a z tem wszystkiem nie był nigdy i nie jest dobrze znany ogółowi polskich czytelników.

Nie wnosimy jednak stąd, żebyśmy nie mieli łaskawych pisarzy, którzyby swoim pośrednictwem ułatwiali to zaznajomienie — i owszem, nie zbywało nam na tłumaczach Byrona; ale jakie były te tłumaczenia, dosyć przejrzyć ich listę.

„Obleżenie Koryntu“ i „Korsarz“ przez Kicińskiego w „Bibliotece powieści i romansów“, wydawanej przez Wandę Malecką, gdzie także przyczepiono ułamek „Korsarza“, przełożony wierszem przez Lisieckiego Dominika, „Dziwica z Abydos“ i „Giaur“ przez Władysława Ostrowskiego, „Oskar z Alwy“ i „Więzień Czylłonu“ przez Juliana Korsaka, różne pomniejsze ułamki, rozrzucone po pismach to Mickiewicza, to Korsaka, to Odyńca, to Chodźki, to innych — i na tem koniec. Z tego widzimy, jak skapo, jak niewłaściwą drogą sprowadzono nam promienie owej europejskiej gwiazdy; gdyż, wyjąwszy Mickiewicza, jednym tłumaczom można zarzucić nietrafny wybór przedmiotów, drugim, jak n. p. Ostrowskiemu, nieobrachowanie się z siłami, trzecim na-

koniec, jak np. Kicińskiemu, tłumaczenie z francuskiego — szkaradny występ! Ostatnie dopiero lata zdają się przyrzekać wynadgrozdzenie przeszłości. Nie znamy dotąd przekładu „Paryzyny“, tudzież „Kalmara i Orli“ przez Szydlowskiego, ani „Manfreda“, który świeżo wydał Bojanowski; zostawiając więc na później wiadomość o nich, tutaj przebiegniemy jedynie tłumaczenie Mickiewicza. A naprzód kilka słów o pierwowzorze.

„Giaur“ uznany jest powszechnie za jeden z cenniejszych utworów Byrona, mimo to, że jest razem jeden z najnieporządniejszych co się tyczy zewnętrznej jego postaci: dramatyka, liryczność, opowiadanie, wszystko tam połączone, wszystko się miesza, krzyżuje, wzajemnie rozcinają, zbiegają, a z tem wszystkim tworzy czarującą całość. Wypadek branki muzułmańskiej, którą jej pan, Basza, za postronne miłości utopić kazał, a której skonu przez zabicie owego baszy pomścił się jej kochanek, Wenecyanin, jest treścią poematu; osnowa jego zamyka to wszystko, nadto spowiedź Wenecyanina (Giaura) przed mnichem S. Bazylego, w którego klasztorze zamieszkał po utracie kochanki i zamordowaniu baszy. Spowiedź ta jest właściwie sama jedna poematem, a przynajmniej najważniejszą jego częścią. Ile tylko jest szaleństwa we wschodniej namiętności, ile uniesienia, do jakiego zdolna pierwsza i ostatnia w życiu miłość, ile boleści po utracie jedynej kochanki, rozpacz z mimowolnego przyłożenia się do jej skonu, udręczeń zbrodni żalowanej i usprawiedliwionej wściekłością zemsty, zwątpienie o niewinnieniu się przed sądem Boga — ile mąk ma przeszłość, napiętnowana zbrodnią, obecność bezduszna, przyszłość potępiona, to wszystko skupia się w owej Giaura spowiedzi. O Giaurze możnaby powiedzieć, że się spowiada za wszystkich bohaterów Byrona.

Taki jest rys ogólny poematu, objawionego nam w polskim przez Mickiewicza przekładzie. Samo imię tłumacza, zdaje się, powinno być rękojmią dobroci dzieła i oszczędzać krytyce trudne roztrząsania. Jeżeli z drugiej strony zgadzamy się na to, jeżeli szczerze przyznajemy, żeśmy dotąd nie mieli lepszego tłumaczenia poezji Byrona — z drugiej twierdzimy z całą bezstronnością, że Mickiewi-

czowi w ogólności zbywa na usposobieniu tłumacza w najrozleglejszym pojęciu, jakie do tego powołania przywiązujemy; łatwiej mu być naśladowcą. Jak w duchu, tak w stylu jego jest indywidualność tak silna, że zaciera charakterystyczne rysy tłumaczonych przez niego poetów — najróżnorodniejsze względem siebie dzieła powleka jedną barwą, barwą Mickiewicza. — Wiersze „Giaura“ są wprawdzie co do zewnętrzności tak wykończone, tak uroczenie harmonijne, jak tylko wiersze Mickiewicza być mogą — ale nie są wierszami Byrona. Można niemal powiedzieć, że w nich omdlał ów buchający ogień, złagodniały nieugłaskane namiętności, opadło natchnienie, przybladło życie angielskiego poety. A gdyby nas kto spytał, gdzie też, według naszego zdania, źródło tej wady — odpowiedzielibyśmy, że w sile geniuszu, który Mickiewiczowi nie pozwala być czem innem, jak Mickiewiczem.

Przedstawiamy czytelnikom mały wyjątek z tego tłumaczenia. Jest to ustęp o samotności, po którym następuje owa scena, jedyna w swoim rodzaju — spowiedź Giaura.

Jeśli cierpiących samotność ogarnie,
Przerwa mąk tylko powiększa męczarnię;
Pusta pierś, czując otchłanianie do koła,
Chce je zaludnić i o boleśń woła;
Bo, nie dzielone — każde uczucie nudne,
I szczęście samo do zniesienia trudne!
Serce, w cierpieniach, gdy samotność widzi,
Chcąc mieć pociechę, wszystkich znienawidzi.
I jest to serce, jak człowiek w mogile,
Gdyby z letargu zbudził się na chwilę
I czuł z wzdrygnięciem, że robactwo toczy
Odżyłe jego oblicze i oczy,
I nie miał siły bronić swych wnętrzności
Od tych szkaradnych, niespodzianych gości:
To serce jest, jak pelikan, gdy leci
Przez obszar pustyń do gniazda, do dzieci,
Krew swą gotowy na żywność im przelać,
Życie z głodem nie skąpy podzielać:
Już dziobem piersi rozranił szlachetne
I widzi tylko swe gniazdo — bezdzietne.
Najsrozsze męki, które nędzni znoszą,
Samotnej duszy zdają się rozkoszą,
Sierocę, stepem otoczonej dzikim,
Trawiącej uczucia, nie dzielone z nikim.
Któżby był niebios ciekawy widoku
Bez słońca i bez żadnego obłoku?

Lepiej jest płynąć, choć się niebo chmurzy,
Niż morskiej nigdy już nie doznać burzy
I, gdy żywioły zakończyły wojnę,
Być wyrzuconym na brzegi spokojne
W pustą zatokę i bez towarzyszy,
Próżnego zgonu czekać w wiecznej ciszy;
Lepiej raz przepaść w zaburzone fale
Niżli żyć, gnijąc potrochu na skale.

Pomimo chęci naszej urywamy i tak zadługi na to miejsce wyjątek; może on wszakże dać dostateczne wyobrażenie, jak Mickiewicz tłumaczeniu nadał tok całkiem sobie właściwy. — Mimo wszelkie zarzuty, tłumaczenie „Giaura“ jest pracą niepośledniej wartości, znakiem z bogaceniem polskiej literatury, i domaga się szczerzej wdzięczności; jest razem dla naszych tłumaczeń skazówką, jakiego rodzaju dziełami możemy otworzyć sobie stosunki z literaturą europejską.

„KORSARZ“. Powieść Lorda Byrona, przekład z angielskiego *Edwarda Odyńca*. Wrocław. 1835.

„Korsarz“, jako utwór Byrona, ma w niektórych względach wyższość nad „Giaurem“; zdaniem p. Stael, zasługującym na poważanie, należał on do liczby dzieł, których czytanie przedłużyło o lat kilka jej życie. Pomysł i wykonanie „Korsarza“ ma rozleglejszy wymiar, niż inne Byrona powieści; wszystkie pozory są za tem mniemaniem, że „Lara“ jest jej dopełnieniem. Oto jest kilka słów o treści Korsarza: Konrad, zbójca morski, osoba bez początku, że tak powiem, i końca, odbiera uwiadomienie przez swojego szpiega, że basza Seid gotuje wyprawę dla zniszczenia jego bandy; uprzedza baszę, pali mu flotę i zamek, ale, pokonany od większej liczby, dostaje się w niewolę, z której go wydobywa Gulnara, jedna z niewolnic baszy, wyniesiona własnymi rękami Konrada z palącego się pałacu. Odtąd wdzięczność i miłość przywiązują Gulnarę na zawsze do Konrada. Basza ginie z ręki Gulnary — Konrad wraca z nią do wyspy zbójców i zastaje na katafalku swoją kochankę Medorę, zabita przez wieść o porażce i mniemany skonie Konrada. Ten wypadek jest powodem, że Konrad znika z Gulnarą z pośrodku swoich towarzyszy na zawsze. Gdzie i jak? — nie wiadomo. Korsarz jest je-

den z charakterów najszcześliwiej przez Byrona skreślonych — Medora jedna z najmiłszych jego kobiet; jak w życiu Konrada, tak w powieści o nim najważniejszą rolę gra miłość; widzimy ją tutaj w całym uroku, w całej potęgę. Jeżeli o rycerzach Byrona można powiedzieć, że mają sumienie, to Konrada sumieniem jest miłość dla Medory.

Taka jest powieść, którą dał poznać Polakom w ich języku Odyniec, znany z niejednej w tym rodzaju pracy i właściwie w tym tylko rodzaju pracy najzasłużeńszy polskiej literaturze. Oddając sprawiedliwość dobremu tłumaczowi, uznając gwałtowną potrzebę posiadania w języku naszym takich pomników poezji, jakimi są dzieła Byrona, czując prawdziwą wdzięczność dla talentów, poświęcających się temu trudnemu zawodowi, nie znamy się do obowiązku bezwarunkowego chwalenia wszelkich na tej drodze usiłowań, nie widzimy w niczem musu powiedzieć, że wszystko, co się stało, stało się dobrze. Możemy to zastosować do niniejszego także tłumaczenia. Odyniec nie zaspakaja znających Byrona, chociażby z niektórych tłumaczeń na inne języki. Ta zwykła wodnistość stylu Odyńca, zresztą dosyć wytoczonego, nie rażąc zbytecznie w oryginalnych jego poezjach lub tłumaczeniach niemieckich ballad, uderza w niniejszej pracy o tyle, o ile poezye Byrona wyższe są nad to wszystko, co tłumacz dotąd napisał. Inne, mniejsze uchybienia chętnie pomijamy i przyznajemy pracy Odyńca miejsce pierwszeństwa, tak przez wybór przedmiotu, jakoteż przez wywiązanie się z przedsięwzięcia, nad ogromem owych przekładów bezcelnych, bezbarwnych, ktorými spekulanci po największej części zarzucają nas dzisiaj i głuszą podnoszące się zasiewy narodowej niwy.

Udzielamy czytelnikom mały wyjątek z „Korsarza“, w którym skreślony jest charakter Konrada:

Konrad nie w sobie niema nad człowieka.
Błask czarnych oczu ómi smutna powieka,
Krzepki w ramionach, lecz kształt nie olbrzymi
Ani się wzrostem wyniósł nad innymi,
We wszystkim jednak biegły wzrok badacza
Znajdzie coś, co go od gminu odznacza.
Patrząc nań, wszyscy dziwią się i śledzą;
Jakim jest, czują, lecz, kim jest, nie wiedzą.

Twarz ogorzała, skroń wzniosła i blada,
 Włos kruczy bujno pierścieniami spada;
 Nieraz z brwi groźnych, z drżenia ust lub z czoła
 Znać dumę, której poskromić nie zdoła.
 Głos jego wdzięczny, serce jednak ziębi;
 Więcej, niż mówi, znać, że tai w głębi.
 Szybka gra rysów, nagle się mieniających,
 Wabi ciekawość, lecz miesza patrzących,
 Jakby w tym duszy posępnym pomroku
 Kryły się uczucia, zbyt straszne dla wzroku.
 Tak o nim sądzą — prawdy nieświadomi;
 Wzrok jego śmiałość dostrzegacza gromi,
 A i któż wzajem oka mu dotrzyma,
 Gdy nań raz w pełni zaiskrzy oczyma?
 Wie on, jak trzeba — gdy ciekawość skryta
 Mniema, że z twarzy głąb' serca wyczyta —
 Odeprzeć baczność natrętną i snadnie
 W ciekawca duszy wzajem brodzić na dnie,
 Aż uczuó musi, że wprzód wzrok Konrada
 Przejrzy go na wskroś, niż on w nim co zbada.
 Śmiech jego głośny, lecz jest coś w tym śmiechu,
 Jakby sam szatan śmiał się w jego echu;
 Jest coś, co w sercu słyszających go ludzi
 I gniew, i trwogę, i nienawiść budzi.
 Wzrok jego gniewny zabija Nadzieję,
 Przed groźbą jego Przebaczenie mdleje.

1835.

„DE LA POLOGNE SUR LES BORDS DE LA VISTULE
 ET DANS L'EMIGRATION“, par. F. V. Raspail. Pa-
 ris 1839 — z dewizą: Assis sur les bords du fleuve
 de Babylone, pauvres exilés, nous avons versé des
 pleurs, au souvenir de la patrie. ¹

Przedmiotem dzieła — sprawa Polski, autorem — cudzo-
 ziemiec, Francuz. Wszakże ani pisarz, ani dzieło nie na-
 leżą do tłumy. Raspail jest jednym z niepospolitych ta-
 lentów dzisiejszej Francji, jednym z najcelniejszych
 politycznych jej pisarzy; nadto podnosi się nad nich
 swoją wiarą w odradzającą się ludzkość, jest demokratą,
 a może i czemś więcej jeszcze, jak sam o sobie w je-
 dnym miejscu powiada; następnie być musi i jest rzeczy-
 wiście przyjacielem, kochankiem polskiego ludu.

¹) Sprawozdanie to ogłosił „Pszonka“. Strasburg 1839, t. I, str. 48.
 — Dzieło Raspaila wyszło potem w przekładzie polskim: „Polska
 nad brzegami Wisły i w Emigracji.“ Poitiers, 1840.

Tego więc rodzaju przyjaciel nie może należeć do liczby
 owych dobroduszných, którzy mniemają wyświadczać
 największą przysługę polskiej sprawie, kiedy w niej dobrą
 jedynie stronę widzą; lecząc Polskę, boją się ran jej do-
 tknąć, odjąć zepsute członki: głaszczą, ośmielają, gdzie
 potrzeba skarcić, ludzą siebie i drugich, więcej szkodzą,
 jak pomagają, zasługują ledwie na pół wdzięczności.
 Raspail kocha Polskę niemniej, jak pierwsi, a służy jej
 skuteczniej, bo bezstronnie wchodzi w jej przeszłość,
 jaśniej widzi przyszłość, surowiej ocenia obecność; stara
 się znać jej sprawę, jak Polak. A co najważniejsza, Ra-
 spail patrzy na Polskę, jak człowiek ludu, jak na Pol-
 skę ludową. Dla tych to powodów przywiązujemy nie-
 małą wagę do jego dzieła i nie możemy poprzestać na
 ogólnem przemówieniu za niem.

Przestrzeń, ograniczona Dźwiną, Dnieprem, morzem
 Czarnem, Karpatami, Odrą i morzem Bałtyckiem — oto
 posada Polski, wyznaczona jej ręką natury, punkt oparcia
 materialny, do którego przywiązane jest całkowite roz-
 winienie się narodowego jej życia. Ludowładztwo jest
 znowu podstawą społeczeńskiego urzędzenia Polski. W tej
 myśli poczęła się ona, w tej myśli, rozszerzonej do całej
 masy polskiego ludu, spoczywa zagadka jej przyszłości.
 Do zwichnienia tej myśli korzenno-rodzinnej, żywotno-
 narodowej, przyczynił się głównie katolicyzm. Oparłszy
 on interes rozszerzania się swojego na możniejszych człon-
 kach narodu, zaszczerpił w Polskę feudalizm zachodni, ile
 takowy mógł się pogodzić z jej naturą, ustąpił praw ludu
 na korzyść pewnej części, uświęcił niedolę większości,
 stworzył wszechwładną kastę — szlachtę. Królewskość nie
 ma korzenia w gruncie Polski, nie jest rośliną samorodną
 jej strefy, nie mogła nigdy rozwinąć się w jej życiu.
 Szlachta nie przestała nigdy być względem siebie repu-
 blikańską; czciła w swoim kole zasadę wszechwładztwa,
 była, jak ją nazywa Raspail, monopolistką równości —
 nigdy poddanką jednej rodziny, dynastji.

Źródło upadku Polski widzi Raspail w szlachcie. Wy-
 łączeniem się z masy narodowej rozerwała narodową je-
 dność — zamknięciem się w samej sobie położyła zapórę
 wszelkiemu postępowi, nieograniczonemu rozwijaniu się

ducha narodowego — dążeniem do najwyższej przewagi, niehamowanym przez żadne wędzidło, wydała wśród samej siebie bezrząd — tyranją na zewnątrz ohydziła się w oczach reszty ludu, odrętwiała masę nieszlachecką, znikczemniła ją, zobojętniła dla sprawy ogólnej. Tymczasem, w miarę tego, jak owe żywioły niemocy narodowej wzmagaly się i dojrzewały, nieprzyjazne zewnętrzne siły wzrastały również przez jedność kierunku, przez doskonalenie się postępowe w administracji i strategii. Przyszło do walki; szlachcie zdało się, że nieprzyjaciół słaby, jak dawniej, a ona, jak dawniej, mocna; wystąpiła sama i upadła. Powtórzyła te wysilenia raz drugi i trzeci, i wysilenia jej za każdą razą spełzły na niczem. Kościusko miał natchnienie ducha ludowego, powołał lud; szlachta przeczuła ideę demokratyczną i poświęciła swojemu interesowi interes ojczyzny. Przez długie lata obnosimy po Europie trupa Polski; widok jego budzi oburzenie przeciw mordercom, ale to oburzenie nie jest ową pełną sympatją, owym popędem poświęcenia, który prowadzi sprawiedliwych w obronie sprawiedliwości. Wciąż jakaś obojętność, same półkroki ze strony najszczerzych przyjaciół, bo każdemu zawołaniu o pomstę zdaje się wtórzyć głos Boga: „To tylko trup Polski szlacheckiej! Patrzcie, na jego czole plama krwi bratniej, piętno Kainowe“ — bo wciąż zdaje się grzmieć nad naszymi głowami wyrok przedwieczny: „Polska ludowa lub żadna!“ I w końcu zmuszeni jesteśmy złożyć naszego trupa przed nogi cara.

Jakie upokorzenie! Jaki szatański upór przy złem! Nauka nie skończona. 29 listopada objawia się duch całej Polski, lud rozpoczyna walkę, ale w tejże chwili zlatują się ze czterech końców kraju magnaci w charakterze zbawców ojczyzny, jak się wyraża Raspail, biorą na siebie znowu cały ciężar wskrzeszenia ojczyzny w zamiarze dalszego panowania, sadzają na jej piersiach zmorę dyplomacji i upadają pod własnem niedołęstwem i zdradami gabinetów, razem ze sprawą. Raspail przytacza w tem miejscu słowa Czartoryskiego do Lafayetta, które nazywa nagrobkiem Polski przez jednego z jej lekarzy; my je uważamy za spowiedź politycznego zbrodniarza, my jesteśmy pewni, że z tego aktu powoła kiedyś Bóg-sędzia

naszych dyplomatów do zdania liczby ze krwi polskiej, która tak marnie w ostatnich czasach popłynęła. Następnie przegląd dziejów emigracyjnych. Odkrywa się walka, nieznana dotąd Polsce. Emigracja rozłamuje się na dwa główne oddziały: jeden chce Polski przez lud dla ludu. W pierwszym widzie rej dyplomacya, drugą ideę wyobraża Towarzystwo Demokratyczne Polskie. Opowiadanie kilku czynów arystokracji, przytoczenie kilku aktów pisemnych Towarzystwa dają dokładne wyobrażenie o jednych i drugich, wykazują całą nikczemność pierwszych, oddają sprawiedliwość zdrowemu widzeniu rzeczy i szlachetnym dążeniom demokratów.

Najwymowniejszą częścią dzieła jest ostatni jego paragraf, pod napisem: „Przyszłość Polski.“ W nim to rozwija Raspail cały swój talent, całą siłę uczucia, całą wymowę rozumowania, nakłaniając szlachtę do zespolenia się z resztą ludu, nawracając ją na prawdziwie polską wiarę.

„Wszystko — powiada — możecie dzisiaj z siebie zrobić, bo oto jesteście niczem. Nadajcie chłopom własność. Do monopolu własności nie macie żadnego prawa. Jedynym właścicielem ziemi jest stan; jedynym, prawnym jej posiadaczem jest praca. Tak są dziś urządzone wszystkie narody demokratyczne i konstytucyjne, i jest-że im źle z podobnem urządzeniem? Zresztą, dzisiejsze wasze prawa własności są chimerą i rzeczywistym jej panem jest Mikołaj. Rzeknie: „Stań się!“ — a za chwilę nic nie macie. Poświęćcie częśćkę, aby wszystkiego nie stracić“.

„Znieście niewolę chłopów! Dopóki rościecie sobie prawo do panowania nad podobnemi wam ludźmi, dopóty usprawiedliwiacie panowanie cara nad sobą. Zrównajcie się z chłopami, z ludem! Tak zrobiła Francya i nie narzeka dziś na to.“

„Zrzecście się tytułów dziedzicznych! Tytuły nie były nigdy u was rzeczą narodową, były raczej rodzajem zakąły w obliczu szlachty“.

„Nie zaszczepiajcie królewskości! Królewskość na waszej ziemi republikańskiej musi wydać owoce zgubne“.

„Ogłoście wolność wyznań! Nawracajcie przekonywa-

niem, ale nie przemocą! Tolerancja jest religią przyszłych wieków“.

„Rozciągnijcie zasadę braterstwa dla wszystkich Polaków! To tylko zwiąże wasz naród w nierozdzielną jedność, przez to tylko naród cały powstanie, jak jeden człowiek. Wywieście odąd za chorągiew waszą ten napis: Wolność całego ludu, niepodległość całego narodu... Oto jest znak, w którym zwyciężycie i zostaniecie narodem“.

Przedstawiliśmy tylko szkielec dzieła. W podobnym przedstawieniu musi całkiem zniknąć ten urok, ta pełność myśli, ten powab wysłowienia, ta barwa czucia, którymi drga, którymi promieni każdy wyraz. Trudno jest podobny przedmiot pojąć i wydać z taką poezją, z takim interesem, jak go pojął i wydał Raspail; trudno mieć ich wyobrażenie, nie czytając samego dzieła; zdaje się, że słuchamy hymnu na cześć Polski. Wątpimy, aby był Polak, któryby po przeczytaniu Raspaila nie podniósł się czuciem i duchem. Wszakże obok tej barwy poetycznej, w rozumowaniach ścisła logika, w opowiadaniu prostota, w malowaniu prawda, nigdzie przesady, deklamacyi, zboczeń wyobraźni.

Raspail nie odkrył nam prawd nieznanych, prawd, którebyśmy po raz pierwszy usłyszeli. Ostatnie klęski rozjaśniły nasz zdrowy rozsądek, spory emigracyjne dotknęły wszystkiego niemal, co się stało przyczyną naszych nieszczęść, w czym spoczywa szczęśliwa przyszłość Polski; jużśmy to sami przez siebie odkryli. Niemniej przeto zasługa Raspaila jest wielką; rozjaśnił on niepospolicie nasze spory, słowem ziomków dał świadectwo bezstronnego cudzoziemca, położył na nich pieczęć znakomitego talentu. Wdzięczność tobie, szlachetny pisarzu! A lepiej nie możemy ci jej wydać, jak wynurzeniem pragnienia, ażeby dzieło twoje było jak najrychlej w rękę każdego Polaka.

1839.

KILKA SŁÓW O UKRAINIE I RZEZI HUMAŃSKIEJ.

PRZEDMOWA DO „ZAMKU KANIOWSKIEGO“.¹

Jeden z celniejszych naszych poetów miał wyrzec o „Zamku Kaniowskim“, że jest pełen kozackiej haraburdy, i tem go potępił. Nie dziwię się jego zdaniu, wiedząc, że nie zna Ukrainy — ale dziwię się, patrząc na jego własne godło: „Kto chce zrozumieć poetę, powinien kraj jego poznać.“ Powyższy zarzut i tym podobne spowodowały mnie obeznać cokolwiek publiczność z ludem, który dostarczył bohaterów mojej powieści, tudzież z wypadkami, których ona jest ustępem, a przeto zostać zrozumialszym.

Jak charakter człowieka poznajemy z jego czynów, tak charakter narodu maluje się w jego dziejach. Przebiegnę więc w krótkości wiadome życie kozackiego ludu, a rys ziemi, na której mieszka, będzie tłem obrazu.

Zajmę się głównie tak zwaną polską Ukrainą, tą częścią ziemi, którą od wschodu Dniepr oblewa, Boh od zachodu, od północy Wołyń, a od południa chersońskie stepy otaczają.

Powierzchnia kilkudziesięciu mil Ukrainy mieści w sobie najmielszą rozmaitość. Lasy i jary płaszczyzn, składających większą część tej prowincyi od strony Bohu — skały nadbrzeżne z granitów, jak okolica Humania, Bohusławia i Korsunia — sosnowe bory, lesiste wzgórza, całe rzeki w bagnach, jak między Mosznami i Smilą — okazałe gromady wód Bohu, Dniepru, licznych stawów i kilku jezior — zaczynające się morze stepów — jednym słowem, płaski i najżyźniejszy w świecie lądy, najprzejrzystsze wody i bagna niedostępne, wesole laski i odwieczne puszcze, ciche doliny i olbrzymie wzgórza, bory nieschodzone i stepy nieprzejrzane zgromadziły się tu, jakoby na pojednawczą przyrodę ucztę. Nie dziw, że taką krainę uważam za najpiękniejszą może w dawnej Polsce;

¹) Przedmowę tę poeta napisał za pobytu w Galicji i dołączył ją do poematu w wydaniu zbiorowem „Pism“, Lwów 1838 u Pillera i sp., t. I.

nie dziw, że taka ziemia wpłynęła na swoich mieszkańców i wypiastrowała naród, mogący stanąć między najdzielniejszymi. Dostę słyseć jego podania, jego dumy historyczne, dostę obejrzyć pola, najeżone mogiłami, aby przystać na moje zdanie.

Za Stefana Batorego postrzegamy pierwszy ślad kozaków. Ognisko ich było przy dniewowych porohach, mieszkanie na obronnych wyspach. Zwali się Zaporozcami, a to miejsce Siczą. Wchodzili do ich składu ludzie rozmaitego plemienia, a żyli dziwnym obyczajem. Nie cierpieli u siebie kobiet; polowanie, rybołówstwo, napady wodą i lądem na pobliskie okolice — były ich zabawą i sposobem życia. Przezorny król polski wezwał tych ludzi do swojej służby, zawarował przywileje i nadał kilka miejsc warownych nad Dnieprem, ażeby zasłaniali granice Polski przeciw Moskalom i Tatarom. Za Zygmunta Trzeciego słyną po całej Europie już to pod atamanem Konaszewiczem, już jako Lisowczycy, walczący w Moskwie, a za sprawę rzymskiego cesarza w Niemczech. Za tego też króla nietolerancya księży katolickich i nieludźkość panów dają im po raz pierwszy broń w rękę przeciw Polakom. Za Władysława Czwartego wystąpił Chmielnicki, który pod Janem Kaźmierzem zatrząsł potęgą Polski. Kozackie państwo składało się wówczas z dzisiejszych gubernii: czernichowskiej, połtawskiej i charkowskiej za Dnieprem, na tej stronie Dniepru posiadało teraźniejszą gubernię kijowską i część przyległą podolskiej. Hetman Chmielnicki poznał, co z tym ludem zrobić można, i, łącząc dumne własne zamiary z jego niepodległością, rozpoczął śmiertelną walkę z Polakami. Pokonało go męstwo naszych ojców, ale nie umieli korzystać ze zwycięstwa. Kozacy rozdzielili się na dwoje. Większa część przyjęła opiekę Moskwy, druga, przeddnieprzańska, została niby przy Polsce. Jeżeli Polacy stracili na tem rozwojeniu, to prawdziwie kozacy tylko cierpieli. Opieka Moskwy groziła im co chwila zupełną zagładą. Często było chwianie się ich hetmanów między Polską a Moskwą, lecz nigdzie dobra nie znaleźli. Nareszcie zjawił się Mazepa. Nadzwyczajny ten człowiek zdolny był utworzyć naród potężny, gdyby kto losy mógł zwalczyć. Używ-

szy we szwedzkiej wojnie przeciw Piotrowi Pierwszemu jawnie i skrycie wszystkiego, co tylko podstępny i waleczność podał, uległ z Karolem Dwunastym szczęściu Cara. Z nim zginęła samoistność kozackiego ludu i wszelkie jego nadzieje. Niektórzy z następców Mazepy widzieli jeszcze zbawienie w Polsce i kusili się ocalić kozaków odstąpieniem od Moskwy, ale, jako zdrajcy, pochwytani zostali i potraceni. Powoli godność hetmana została czczym tytułem; mniemanemu hetmanowi kazano mieszkać w Petersburgu — nakoniec państwo kozackie podzielone na gubernje, a Siczowych, czyli Zaporozców, zapędzono w liczbie kilkudziesięciu tysięcy nad brzegi Czarnego morza, gdzie dotąd stanowią obronną linię przeciw Czerkiesom. Zdaje się, że bunt polskich Ukraińców w roku 1768 był ostatnią konwulsją konającego ciała kozaków. Dzieje tego zdarzenia, jako podstawy mojej powieści, są właściwie głównym przedmiotem niniejszej przemowy.

Było to w początkach panowania Stanisława Augusta. Polskę szarpał nierząd możnej szlachty, intrygi Czarторыiskich i zewnętrznych dworów wpływy. Garstka prawych obywateli, czujących niedołężność króla i pewną pod nim zgubę kraju, utworzyła w zbawiennych zamiarach Barską konfederacyę. Ocknienie się Polaków zatrwożyło nieprzyjazną im politykę; przedsięwzięto więc wszelkie środki do stłumienia konfederacyi. Nienawiść ruskiego pospółstwa ku gnębiącemu go panom i spólności wiary z pograniczną Moskwą, dzielnie posłużyły do zamiaru przerażenia, a może i wytępienia polskiej szlachty, przynajmniej w ruskich prowincjach, gdzie była największa konfederatów potęga.

W połowie roku 1768 przebył Dniepr w okolicy Chyryna z kilkunastu towarzyszymi nieznany nikomu zaporoski kozak, nazwiskiem Żeleźniak, i zaraz, w skutku porozumień się z popami ruskimi i pospółstwem, odbyło się poświęcenie nożów przy nocnym obrzędzie w monasterze św. Motry, położonym samotnie wśród gór i lasów nad Taśminą, w powiecie czechryńskim, o mil dwie od miasteczka Aleksandrówki, idąc na północ¹⁾. Niedaleko

¹⁾ Zdaje się, iż nie w jednym miejscu noże poświęcano. Widziałem starą drewnianą kapliczkę, należącą do jednego monasteru

wspomnianego klasztoru leży wieś Medwedówka, gdzie jarmark następował. Było to w święto Makkaweja (Machabeusza). Tłum na taki dzień zebranego pospólstwa sprzyjał zamiarowi rozpoczęcia buntu. Z wozu tedy, wśród rynku, pop ruski przeczytał zmyślony, jak mówią, ukaz imperatorowej Katarzyny, który, obiecując wiele dobrodziejstw ukraińskim chłopom, nakazywał im wyczyszczenie pszenicy z kłólu, to jest wytępienie szlachty, księży i Żydów; przedstawił następnie tenże pop Żeleźniaka, jako mianowanego przez imperatorową księcia Smilańskiego, i pobłogosławił rozpoczęciu rzezi.

W mgnieniu oka wszystko rzuciło się do spis i nożów, a wkrótce cała Ukraina, jakby czekała tylko hasła, zmieniła się w teatr niesłychanych mordów. Ówczesny stan i położenie wojska polskiego nie mogły przeszkodzić tak naglemu szerzeniu się buntu; zjawienie się kilku wysłańców Żeleźniaka w najodleglejszych miejscach Ukrainy rozniecało pożar dokoła; całe wsie szły na ich wezwanie. Polscy dziedzice nie byli także zdolni oprzeć się pojedynczym usiłowaniu; wszystko chroniło się lub za granicę Ukrainy lub do Humania, a Żeleźniak, z okrzykiem: „o tak, Lasze, po Słucz nasze!“¹ — swobodnie posuwał się ku zachodowi i bez przeszkody pod Humanem stanął.

Human, dzisiejsze powiatowe miasto w gubernii kijowskiej, było w owym czasie przeciw niećwiczonemu wojsku miejscem dosyć warownem. Siła jego składała się z niewielu żołnierzy polskich, kilkudziesięciu pruskich, którzy tam za kupnem koni przybyli, i kilkuset nadwornych kozaków Potockiego pod atamanem Gontą; można tu dodać liczne szkoły ks. Bazylianów i mnóstwo okolicznej szlachty, zbiegłej do obronnego miasta. Ani wątpić, że z tą siłą zbrojną i swoją ludnością byłby się Human obronił, gdyby nie nastąpiła okoliczność. Szczesny Potocki, dziedzic Humania, napisał do Gonty, że mu dwie wsie daruje, jeżeli utrzyma jego kozaków w posłuszeń-

w puszczy Łebedyńskiej, niedaleko miasta Szpoły, gdzie podobną uroczystość odbyto.

¹) „O! tak Lachu (Polaku), nasze panowanie po Słucz.“ Słucz, rzeka na Wołyniu, która podług Rusinów ma stanowić na wschodzie granicę udziałnego ruskiego państwa.

stwie i Human obroni. Ten list szedł przez ręce pewnego Mładanowicza, zawiadującego dobrami Potockich, który go otworzył, przeczytał, a skuszony sposobnością zyskania dwóch wiosek, zataił obietnicę pana przed Gontą i na siebie wziął całą obronę. Tymczasem Żeleźniak się zbliżał. Przerazenie powszechne, podsycane ciągłymi wieściami najwymyślniejszych okrucieństw, dręczyło zamkniętych w samym warownym Humanu. Gonta podejmuje się traktowania z Żeleźniakiem i wyjeżdża naprzeciw niego o trzy mile, do miasteczka Sokółówki; kozacy nadworni postawieni w polu dla zasłony miasta. Niedługo trwała niepewność zamkniętych w Humanu. Kozacy Żeleźniaka, albo, jak ich zowią, hajdamacy, pokazują się od lasku, zwanego Greków, i stają obozem. Gonta z nimi, a wnet i jego cały oddział przechodzi na stronę hajdamaków. Wtedy dopiero poznał Mładanowicz całą nierozumność swego postępu i trudność obrony; ujmuje Gontę obietnicami Potockiego. „Już za późno!“ — Gonta odpowiedział. Obsadzono jednak okopy, zwrócono działa nabite ku nieprzyjacielowi — wszyscy z rozpaczą chcą się do ostatniego bronić. Dwa dni przechodzą na nieśmiałych harcach ze strony hajdamaków; gotowe działa trzymają ich w oddaleniu — udają się więc do wybiegu. Gonta posyła do Mładanowicza, aby mu pozwolono wjechać do miasta dla rozmówienia się; pomimo oporu innych, Mładanowicz zezwala. Gonta przybywa pod bramy, ale w liczniejszym orszaku, niż była wymowa; puszkarz chciał dać ognia — Mładanowicz poją od sukni nakrył zapal działą. Gonta wjeżdża, a jego towarzysze opanowują natychmiast bramę i pobliskie działa, i ułatwiają szturm do miasta całemu korpusowi Żeleźniaka.

Pierwszy Mładanowicz padł ofiarą niedołężnego swego głupstwa z rąk Gonty, który, jak sam wtedy powiedział, robi mu tę przysługę dlatego, że był chrześnym ojcem jego dzieci.¹ Śmierć Mładanowicza była hasłem

¹) Znałem jeszcze w roku 1830 jedno z tych dzieci chrześnych Gonty, córkę Mładanowicza. Jej tylko brwi czarne uratowały ją od śmierci, która wtedy całą prawie jej rodzinę zniszczyła. Gonta wziął ją pod swoją opiekę i na trupach rodziców oddał ją za żonę jednemu z kozaków. Wkrótce małżonka powieszono, a jego następcą

rzezi. Niespodziewany ten napad rzucił taki popłoch, że wszystko prawie o ucieczce tylko myślało. Szczupła liczba broniących się nie zdołała uniknąć smutnej śmierci. Broniono się jednak. Znaczna część schroniła się do kościoła Bazylianów. Dobyli go wkrótce kozacy. Rektor klasztoru, ksiądz Kostecki, miał mszę właśnie i lud wtedy błogosławił; strzał rusznicy z chóru obalił go u ołtarza. Nie było względu na świętość miejsca; nikogo nie oszczędzono. Wkrótce scena mordu ogarnęła całe miasto. Trzy dni rzeź trwała: szesnaście tysięcy osób miało życie utracić rozmaitymi rodzajami śmierci; dziś jeszcze pokazują pod klasztorem Bazylianów miejsce ze studni, gdzie do tysiąca uczniów żywcem wrzucono i zaduszono kamieniami. Po trzech dniach przestrzeń miasta napelniona była we dnie snującymi się jeszcze za rabunkiem mordercami, a w nocy rozlegała się wyciem psów i wilków¹. Obóz kozaków ciągle był za miastem, gdzie już Gonta dowodził, księciem humańskim obwołany, Żeleźniak zaś z częścią korpusu poszedł dalej i przez Boh się przeprawił.

Tymczasem wojewoda Stempkowski, mianowany regimenterem z nieokreśloną władzą użycia wszelkich środków, aby stłumić szerzące się niebezpieczeństwo, nadciągał w te strony. Z polskiem wojskiem porozumieli się teraz i Moskale na zgubę hajdamaków. Nędzny koniec ich zawodu. Pułkownik moskiewski szedł oddzielnie; udając, że im sprzyja, stanął tuż przy nich obozem i posłał Goncie, niby na znak dobrej przyjaźni, złoty łańcuch, który miał znaczyć zgotowane mu kajdany, przyczem na wieczerzę go zaprosił. Nie zapomniano i o podwładnych.

został pułkownik polski Krebs, po którym wdową ją poznałem. Kochana ta od wszystkich kobieta dla przyjemności charakteru, choć w takim wieku, napisała pamiętniki swojego życia; żałowaćby trzeba, gdyby zaginęły. Są w nich ciekawe szczegóły, dotyczące się nie tylko rzezi humańskiej, ale wielu pierwszych domów polskich, między które los ją rzucał.

¹ Cały niemal obraz tych wypadków zamyka się w poemacie pod tytułem: „Rzeź Humańska“. Napisał go niejaki Darowski, który był wówczas uczniem i całą rzeź przesiedział w kopule farnego kościoła. Szanowny ten dla swojej autentyczności zabytek w rzedkich bardzo rękopisach krąży po Ukrainie. Czytałem go w takim wieku, że go jeszcze ocenić słusznie nie umiałem.

Wieczerza długa, napoju do woli; nazajutrz ujrzeni się hajdamacy okutymi w kajdany wśród Polaków i Moskali. Wkrótce nastąpiło wymierzenie kary. Była ona dopełnieniem okrucieństw, jakie hajdamacy nad Polakami wywierzali. Rozwożono tych nieszczęśliwych w różne miejsca i rozmaicie wymyślanymi sposobami mordowano. Gontę stracono w Humaniu. Podanie twierdzi, że z nadzwyczajną stałością przeniósł wszystkie męczarnie. Darto z niego pasy, ćwiertowano żywcem, zdjęto skórę z głowy, a on cały czas fajkę palił i książkę czytał, póki mu głowy nie ścięto. Żeleźniak umęczony na Pobereżu we wsi Serbach za Tulczynem.

Tak się zakończyło to pamiętne powstanie, hajdamaczyzną i kolejewszczyzną między ludem ukraińskim zwane. Z takich to czasów, z takich to ludzi osnułem „Kaniowski Zamek“. Teraz pytam, jaki jego duch być powinien?

Popelnialiśmy nieraz i dotąd jeszcze popelniamy liczne błędy stąd tylko, że nie znamy swojego kraju. Nie w samej literaturze czuć się to daje.

Zanadto może rozwlokłem przemowę, ale nigdy w chęci bronienia siebie. Zważałem tu głównie na wygodę czytających. Zresztą wiem dobrze, że przemowa i przepisy nie naprawią ladajakiego tekstu. Każdy za siebie.

1832.

PRZEDMOWA

DO „POWSZECHNEGO PAMIĘTNIKA NAUK I UMIEJĘTNOŚCI“
(Kraków, 1835, tom I.)

Jeżeli przedmowy dzieł, zamykających w sobie wszystkie cele, widoki i chęci piszącego, wszystkie strony przedmiotu, nie zawsze swoim duchem dadzą się usprawiedliwić, to, przeciwnie, na czele rozpoczynających się pism czasowych mogą być uważanemi za właściwe, konieczne. Konieczność ta powstaje naprzód z różnorodności, niepełnej istoty czasowego pisma — powtóre, z jego stosunków z czytającą publicznością, które się zwykle otwierają przez jakąś obawę przyszłości — albo, mówiąc wyraźniej, przez potrzebę moralnej rękoi ze strony wydawców. Przedmowa tedy powinna być niejako wyznaniem wiary

wydawców. Główna treść tego wyznania zależy na wyjaśnieniu, jak wydawcy zapatrują się na rodzaj swej pracy, jak dalece czują ważność swojego powołania, i jakich środków mają zasób, aby mu godnie odpowiedzieć mogli. Otóż przyczyna, dla której kilka te słów piszemy.

Zaprowadzenie dziennikarstwa można uważać za jedną z najgłówniejszych korzyści druku. Ujrzelśmy je u nas w pierwszej połowie zeszłego wieku, nie o wiele w tem wyprzedzeni od innych narodów. Prowadzone według niedokładnych pojęć dziennikarstwo polskie, długo nie odpowiadało swojemu przeznaczeniu. Przywykli wyglądać wszystkiego od cudzoziemców, nie przeniknieni tą jasną a prostą prawdą, że ci, których naśladowaliśmy, nie mieli, bo mieć nie mogli, żadnego przed sobą wzoru, poruszaliśmy długo dziennikarstwo sprężyną naśladowstwa. Dojrzenie wyobrażeń, objawione najwybitniej na przerodzeniu się poezyi, można uważać za erę wyjaśnionych pojęć narodu o ważności i potrzebie pism czasowych; a jednak już od lat kilku nie mamy wcale czasowego pisma, któreby ułatwiałoby wzajemne udzielanie się powszechności. Zjawiające się tu i ówdzie pod rozmaitemi nazwami zbiory encyklopedyczne, pfennigi, magazyny, nie zastępują braku tego — tem zaś bardziej czasopisma, z zagranic sprowadzane; bo, jak pierwsze, w zarysach tylko, ogółowo rzecz przedstawiając, nie idą w pomoc samodzielnie myślącej powszechności — tak drugie tę niekorzyść mają, że nie od wszystkich zrozumiane być mogą, że nie są obrazem pojęć i myśli naszych, że, jako obce, muszą mieć mnóstwo przedmiotów i rozpraw albo mało nas zajmujących, albo nam zupełnie nieprzydatnych — że nakoniec, zwłaszcza niektóre, zbyt drogo są opłacane. Nam potrzeba pisma, któreby wyłącznie korzyści naszej przeznaczone było, pisma, w polskiej wydawanego mowie; tam powszechność znalazłaby sposobność zdania i pojęcia swoje rozwijać, porównywać, oceniać — umysły zaś celujące, innym swoich wiadomości udzielać. Otóż, oparci na takim rozumieniu dziennikarstwa, następne pismu naszemu zakładamy cele, następnymi określamy je warunkami.

Naprzód: piszemy dla Polaków — ogłaszać więc, co

się wywinie z głębi polskiego umysłu, będzie pierwszym tego pisma usiłowaniem.

Powtóre — jesteśmy Sławianami: korzystać z prac i badań reszty pobratymczych plemion przez wzajemne poznanie i zamianę moralnych płodów — to drugie staranie.

Po trzecie. Żyjemy w wieku powszechnego zamilowania oświaty; przemysł i sztuka olbrzymim krokiem postępują naprzód — mnożą się korzystne odkrycia i wynalazki. Zaniedbać skarby tego czasu, nie przyswoić, co się przyswoić daje, poczytalibyśmy sobie za grzech ciężki, za błąd śmieszniejszy, zgubniejszy, niż same naśladowstwo, za głupstwo obłąkanego narodowego fanatyzmu; uważamy więc za konieczne korzystać z powszechnego sztuk i nauk postępu.

Cokolwiek do tych trzech celów, mających być głównymi cechami naszego pamiętnika, moglibyśmy przydać, to się w rozpoczęciu pracy samo z siebie wywinie. Resztę więc zdajemy na przyszłość.

DO CZYTELNIKA.

PRZEDMOWA DO „TRZECH STRUN“¹⁾.

Uprzejmy mój czytelniku!

Masz tu przed sobą poezye, mało albo wcale dotąd nieznane, równie, jak ich twórca. Ośmielam się jednak nieść je tobie; co większa, ośmielam się mieć nadzieję, że ich nie przeniesiesz okiem zimnej obojętności, tem trudniej, im jesteś lepszym Polakiem i pocziwszym człowiekiem — bo wszystkie wypłynęły z duszy, która umiłowała nad wszelkie światła ponęty Polskę i Wolność. To przekonanie pobudziło mię i ośmieliło mię najwięcej do ogłoszenia niniejszego zbioru.

Przed wszystkim wpadnie ci w oczy naczelny napis: *Trzy Struny*; nie od rzeczy będzie wytłumaczyć się z tego. Wiersze niniejszego zbioru pisane są wszystkie między latami 1824 i 1839. Moja dusza, jako cząstka na-

¹⁾ „Trzy struny“ (oddział I. i II.) wyszły w Strasburgu 1839—40. Wydanie części III. nie doszło do skutku.

rodowej polskiej duszy, przeżyła w tym przeciągu czasu trzy okresy, trzy wielkie chwile, z których każda przeszła przez widownię dziejów pod znacznie różnem obliczem. W pierwszym okresie, który się kończy wieczorem 29 listopada 1830 roku, widzisz tak zwaną Polskę kongresową — drugi okres obejmuje czas ostatniej naszej wojny z Moskalami — trzeci, poczęty w upadku jawnego powstania i — niestety — dotąd jeszcze trwający, tworzy epokę Polski tułającej się, męczeńskiej. Pierwszy jest chwilą cierpienia i nadziei, silniejszych nad to cierpienie — w drugim okrzyk powstania, wojenna wrzawa zagłuszają wszystkie inne — w trzeciej zaś chwili cierpienia i boleści narodowe wzniosły się nad wszelkie uczucia, postawiły naród na tym szczelbku, że lepsza przyszłość objawia się bardziej w blasku wiary, niż w wypadku rachuby, że przechylenie się szali naszych losów na tę lub ową stronę musi być na całą przyszłość Polski stanowcze.

Takie są trzy historyczne oblicza, które naród polski po kolei za mojej pamięci przybierał; takie jest potrójne oblicze, mniej więcej wydatne, ogółu niniejszych poezyi. Dlatego nazwałem go Trzy Struny i uszykowałem we trzy oddziały.

Pierwszy odnosi się do epoki przedrewolucyjnej, drugi do czasu ostatniej naszej wojny, trzeci obejmuje wiersze, pisane przez cały ciąg tułaczki mojej po rodzinnej ziemi, aż do opuszczenia jej w roku 1838.

Z tem wszystkim uprzedzam, że, jak z jednej strony doznałby ten zawodu, ktoby się brał do czytania tego zbioru z ufnością, że znajdzie w nim wykończone, wierne odbicie owych trzech chwil narodowych, bo w pisaniu pojedynczych poezyi nie myślałem o podobnym systemacie — tak z drugiej nie trzymałem się niewolniczo wyłożonego powyżej podziału. Co miało mniej wybitny swojej chwili charakter, to kładłem dowolnie w którymkolwiek oddziale; sam to postrzeżesz. Nie dałem sobie podobnej wolności względem tych poezyi, którą czas właściwy wyraźniej napiętnował.

Nie czytaj też tych poezyi z usposobieniem artysty. Nie dla artystów one. Pisane po największej części pod bodźcem chwilowych wypadków, pod wpływem zewnętr-

nych okoliczności, w natchnieniach, jak wichry burzliwych, ulatujących, jak meteor, nie są, nie mogły być utworami, rozważnie obmyślanemi, swobodnie wylewanemi, obrabianemi starannie.

Ich świat nie jest owym światem, który spokojne rozmyślanie otwiera poecie, gdzie mu wolno przechadzać się, rozpatrywać się, zatrzymywać się z całem lubem artystowskim farniente — który dowolnie urządza, upiększa, objawia albo zamyka i porzuca. Nie taki świat niniejszych poezyi, nie takie było położenie ich twórcy. Dwadzieścia lat przygód, niebezpieczeństw, trwóg, nadziei, szalonych przedsięwzięć, licznych rozczarowań, niespokojnej tułaczki, często ostatniej nędzy, czasem szczęścia — dwadzieścia lat burz moralnych i fizycznych nie dozwalały jemu obeznać się z jego światem po artystowsku. Był on dla niego obwarowany wszystkimi zawałami życia; u jego wejścia stała, jak u rajskiej furty Cherubin, dziwna dola poety i wciąż go odganiała na świat rzeczywisty. Ukradkiem niemal wchodziłem do mego świata, uchodziłem przed gwałtem; porwałem, co mogłem, objawilem światu zewnętrznemu, jak mogłem, nie, jak chciałem; bo objawienie, czując się za granicami swojej sfery, wydierało się myślom i słowom, ulatywało wichrem wprzód, nim je dokładnie zdołałem obejrzeć. To tylko było mojem, co w jego przelocie mogłem ująć — zaledwie szczątek całej myśli. — Musiał zatem na formie utworu wycisnąć się duch jego — i te poezye są to właściwie improwizacye z całą niepoprawnością improwizacyi, z wielkimi ułomnościami, wadami tak formy, jak istoty.

Spokojniejszy dzisiaj, przynajmniej materyalnie, a obok tego zważając, że dotychczasowa mojej tylko duszy własność ma się zamienić na własność publiczną, chciałem ją zrobić, o ile można, godną swego przeznaczenia, z niektórych rzeczy oczyścić, niektórymi upiększyć; stąd, mój czytelniku, znajdziesz pewne zmiany w znajomych już tobie wierszach. Nie wiem, jak dalece zyskały one na tem, gdyż krępowałem się względem, aby nie zacierać barwy pierwotnego natchnienia, i tam się tylko rozgrzeszałem, gdzie widziałem konieczność większej mocy lub

jasności wyślowienia, płynniejszego toku, logiczniejszego związku myśli, i t. p..

Zresztą, jakiegokolwiek znajdziesz te moje poezye, to wiem przynajmniej, że w nich przechowałem niektóre z najmiłszych, z najpełniejszych chwil mojego życia, że one są drogami mojej duszy dziećmi, a składam je przed tobą w najczystszych zamiarach, najżyczliwszem sercem, i przy tej ofierze jedno mam pragnienie, jedną odmawiam modlitwę: bodaj się obróciła w korzyść mej ojczyźnie, bodaj była na ołtarzu naszego męczeństwa ostatnią ofiarą ze słów i zgasła jak najprędzej przed ofiarą czynów!

Kończę przesłaniem ci, mój czytelniku, braterskiego, szczerepolskiego pozdrowienia.

Pisałem 8 lipca 1839 r.
w Neuilly nad Marną.



47922

Biblioteka Pedagogiczna w Radomiu
nr inw.: K - 47922



BGZs 47922